

**Biografie Sławnych Ludzi**

**J. E. Neale**

**Elżbieta I**

*Przełożył Henryk Krzeczkowski*

*Państwowy Instytut Wydawniczy 1981*

*Tytuł oryginału*

*Queen Elizabeth I*

*Wiersze przełożył*

*Zygmunt Kubiak*

*Konsultacja naukowa i bibliografia*

*Edward Potkowski*

*Wybór ilustracji*

*Krystyna JuraszDąmbska*

*Indeks zestawiała*

*Zofia Zmserling*

*Opracowanie graficzne Jolanta Barącz*

*(c) 1934 by J. E. Neale*

*(c) Copyright for the Polish edition by Państwowy Instytut Wydawniczy 1981*

*ISBN 83-06-00528-7*

## *Rozdział pierwszy*

### POCZĄTKI

W niedzielę 7 września 1533 roku, w Greenwich, w uroczym pałacu nad Tamizą, między godziną trzecią i czwartą po południu Anna Boleyn urodziła dziecko, którego przyszłość związana była ściśle z losami państwa. Losów tych nikt nie mógł przewidzieć; jedno tylko było jasne, że narodziny te stały się symbolem najdonioślejszej przemiany w dziejach kraju.

Sześć lub więcej lat minęło od chwili, gdy Henryk VIII uległ urokowi czarnych oczu, żywego temperamentu i francuskiej swobody manier jednej z dam dworu Katarzyny Aragońskiej. W myślach przesądził już sprawę rozwodu. Nie był to wcale przypadek męskiej niestałości: miał przecież dosyć okazji, by się rozerwać nie komplikując sobie małżeńskiego pożycia, i gdyby nie istniały inne, nadrzędne powody rozwodu i ponownego ożenku, nie wiadomo, jak długo Anna Boleyn wytrwałaby w cnocie, na którą czyhał król. Mogła zastać królewską metresę, czego na dworze francuskim, na którym przebywała przez trzy lata, nie uważano by za dyshonor. Rzecz w tym, że dla Henryka jako króla, drugiego z rzędu władcy nowej dynastii, sprawą najpilniejszą było spłodzenie następcy tronu i zapewnienie w ten sposób przyszłości domu panującego. W Anglii nie obowiązywało prawo salickie, które wzbraniałoby sukcesji jego jedynemu prawowitemu dziecku, Marii, ale największy teoretyk prawa już w minionym stuleciu dowodził, że kobieta nie może dziedziczyć tronu angielskiego. W ciągu czterech i pół wieku od podboju Anglii przez Normanów panowała tylko jedna królowa, Matylda, lecz wyjątkowość tego faktu, a także losy jej były równie skutecznymi argumentami przeciw kobiecie na tronie, co jakiegokolwiek prawo w rodzaju salickiego. Z panowaniem kobiety wiązały się wielkie i oczywiste niebezpieczeństwa. Musiałaby szukać męża w kraju lub za granicą. Gdyby nim był rodak, zawiść, którą wzbudziłaby władza małżonka, mogłaby rozpalić wojnę domową; gdyby zaś cudzoziemiec, kraj mógłby się stać prowincją obcego państwa. Jeśli nawet z prawnego punktu wadzenia była to sprawa dyskusyjna, przezorność stanowczo przemawiała przeciw kobiecie na tronie.

Oto powody, dla których Henryk postanowił mieć syna. Trwał z Katarzyną Aragońską, dopóki przyświecała mu nadzieja na następcę tronu, i według wszelkiego prawdopodobieństwa pozostałby przy niej do śmierci, gdyby urodziła męskiego potomka. Ale w roku 1527 miała już czterdzieści dwa lata, była o sześć lat starsza od męża, tęga, bez

wdzięku, postarzała życiowymi zawodami. Los prześladował ją tragicznie w połogu. Pięcioro dzieci - w tym trzech chłopców - przyszło na świat martwych; jedno zmarło kilka tygodni po narodzeniu; ostatnie urodziło się martwe w listopadzie 1518 roku. W czasach, kiedy ludzie zwykli byli się dopatrywać dopustu Bożego w każdej zarazie, nieurodzaju, w zapadnięciu się przegniłej podłogi pod konwentykłem heretyków, przeświadczenie Henryka, że niedole jego żony są dowodem gniewu Bożego, nie dowodziło bynajmniej hipokryzji lub przewrażliwienia. Czyż nie przemówił jednoznacznie Bóg w Księdze Kapłańskiej: „Kto by pojął żonę brata swego, czyni rzecz, która się nie godzi... bezdzietni będą.” Bóg i racja stanu wyraźnie polecały królowi usunąć Katarzynę Aragońską.

Tak oto zapoczątkowany został słynny rozwód, którego następstwem były nieobliczalne skutki zerwania z Rzymem. Henryk rzeczywiście kochał się do szaleństwa w Annie Boleyn, ale w rewolucji przypadła jej tylko rola matki następcy tronu. Henryk i Anna zaczęli żyć ze sobą, na jesieni 1532 roku, sprawa rozwodowa wlokła się już od sześciu lat; król coraz bliższy był decyzji ostatecznego zerwania z Rzymem. W styczniu Anna była w ciąży, a jako że osiągnięcie celu, któremu miał służyć rozwód, zdawało się pewne, dalsza zwłoka nie miała sensu. Dwudziestego piątego stycznia Henryk pośpiesznie i w tajemnicy poślubił Annę, kiedy zaś Cranmer uzyskał bullę papieską potwierdzającą jego nominację i wybór na arcybiskupa Canterbury, zerwanie z Rzymem zostało sfinalizowane. W maju Cranmer unieważnił małżeństwo Henryka z Katarzyną i uznał ślub z Anną za prawomocny. Kościół angielski zrzucił zwierzchność Rzymu. Stało się to głównie za przyczyną dziecka, które Anna nosiła w swym łonie. O sławie potomka miała dopiero zadecydować historia, lecz już sam fakt przyjścia na świat stanowił o tym, że będzie to dziecko angielskiej reformacji.

„Modłę się, Jezu, taka bądź wola Twoja, ześlij nam królewicza” - takimi słowami modlił się współczesny kronikarz. Rzadko się zdarzało, by płeć dziecka tak wielkie miała znaczenie. Nikt nie śmiał nawet pomyśleć, że mogłaby to być córka: lekarze i wróżbici zapewniali króla, że urodzi się syn. Już zawczasu otrzymał imię - Henryk lub Edward. Dla uświetnienia wydarzenia sprowadzono do Greenwich łoża godne księcia, jedno z najcenniejszych w królewskim skarbcu. Przygotowywano turnieje rycerskie i uczyły.

Niestety! Na świat przyszła córka. Henryk przeżył gorzkie rozczarowanie, Anna coś znacznie gorszego. Sprawiała zawód królowi, co więcej, zawiodła się w swych nadziejach. Wspaniała kariera przysporzyła jej wielu wrogów, dla jednych bowiem oznaczała uszczuplenie, a nawet całkowite przekreślenie ich wpływów na dworze, inni byli przeciwni nowym skrajnym prądom religijnym, jeszcze innych drażniła arogancja parweniuszowskiej rodziny królowej, jej własny i brata złośliwe języki. W owych czasach wpływy polityczne

rodziły nieprzejednanych wrogów. Straszny był to dzień, gdy człowiek stawał się niepewny królewskich względów. Dworzanie, widzący w upadku innych własne wywyższenie, korzystali z każdej prawie okazji, by sączyć jad w uszy króla, zaś "gniew panującego to śmierć". Przed oszczerczymi językami chroniło Annę w pewnej mierze to, że była królową, lecz jej bezpieczeństwo w znacznie większym stopniu niż przyszłość Katarzyny zależało od tego, czy powiśnie następcę tronu. Na tydzień czy dwa zaledwie przed urodzeniem dziecka wypominała Henrykowi jakiś romans, a wtedy usłyszała, że lepiej zrobi, jeśli przymknie oczy i przejdzie nad tym do porządku, jak postępują zacniejsze od niej osoby. Niech zrozumie, mówił Henryk, że w jednej chwili może ją strącić znacznie głębiej, niż ją wyniósł. W umyśle króla istniał nierozzerwalny związek między wolą boską a posiadaniem następcy i w tym kryło się dla Anny równie wielkie niebezpieczeństwo jak dla Katarzyny. Przyjście na świat córki już zwiastowało te mroki, które w końcu miały ją pochłonać.

Chwilowo jednak sytuacja nie była beznadziejna. Anna urodziła księżniczkę i da Bóg urodzi jeszcze Henrykowi księcia. Na wieść o przyjściu na świat dziecka rozpalono w mieście ogniska i uderzono w dzwony. Cieszono się, że "króla spotkał zawód - jak powiedział pewien złośliwy ambasador. Nazajutrz u Sw. Pawła odśpiewano uroczyste Te Deum. W środę odbyła się wspaniała ceremonia chrztu dziecka. Lord Mayor Londynu z rajcami, w barwnych strojach i złotych łańcuchach, w otoczeniu starszyny miejskiej i obywateli popłynęli paradną galerią do Greenwich, gdzie przyłączyli się do lordów i ich małżonek kroczących w procesji między arrasami rozwieszonymi na ścianach domów, po ulicach wysłanych zielonymi gałązkami, do kościoła franciszkanów. Ojcem chrzestnym był Cranmer, matkami chrzestnymi stajra księżna Norfolk i markiza Dorset. Po ceremonii kanclerz Orderu Podwiązki donośnym głosem wyrecytował oficjalny tytuł dziecka: "Niech Bóg w swej dobroci nieskończonej da życie szczęśliwe i długie szlachetnej i potężnej księżniczce Anglii, Elżbiecie!"

Przed siedemnastu i pół laty taka sama proklamacja powitała córkę Katarzyny Aragońskiej. Maria była już dorosła, kiedy jej matka znalazła się w niełasce; przeżyła to głęboko i stała się zaciekle przeciwniczką nowego ładu. Cesarski ambasador ukradkiem podsycił te uczucia i udzielał rad, kpiła więc z życzeń i rozkazów ojca z takim uporem, że gniew jego dochodził do niebezpiecznego stanu wrzenia. Niezmiennie traktowała Annę Boleyn jako konkubinę, zaś jej córkę jako dziecko z nieprawego łoża, co oczywiście zatruwało stosunki między obiema kobietami. W trzy miesiące po przyjściu na świat Elżbiety nadarzyła się znakomita okazja, by poskromić pychę Marii i przypomnieć jej, że nie jest następczynią tronu, tylko zwyczajną nieślubną córką Henryka. Opierając się na precedensie stworzono dla małej księżniczki jej własny dwór w królewskiej posiadłości Jlatfield. W

drodze do nowej siedziby dziecko przewieziono przez Londyn, sprawiając wielką uciechę rozmiłowanemu w takich widowiskach ludowi, a przy okazji część świty posłano, by zdemolowała rezydencję Marii, zmusiła ją do złożenia hołdu Elżbiecie i przeniesienia się na jej nowy dwór. Na próżno protestowała, nie pozostawało jej więc nic innego, jak trwać w uporze, stanowczo domagać się zachowania należnych jej tytułów i nie uznawać Anny i jej dziecka. Z pogardą odrzuciła wyciągniętą do zgody rękę królowej i nic już nie mogło uśmierzyć ich wzajemnej nienawiści. Nie uległy też poprawie stosunki z ojcem. Kiedy przyjeżdżał odwiedzać Elżbietę, zakazywał Marii opuszczać jej pokój i nie chciał z nią rozmawiać. Ten stan rzeczy utrzymywał się przez rok 1534 i 1535. Księżniczka ze swym dworem przebywała w Hatfield, Eltham, Hunsdon albo w innych posiadłościach królewskich. Czasami sprowadzano ją na dwór królewski.

A tymczasem Annie Boleyn ziemia usuwała się spod nóg Bóg nie obdarzył jej synem. Latem 1534 roku mówiono, że królowa jest w ciąży, ale Henryk już we wrześniu wiedział, że to nieprawda. Uczucia, którymi przez chwilę zaczął ją znowu darzyć, przeniósł na bardzo piękną dworę, kiedy zaś Anna zaczęła się dąsać, raz jeszcze brutalnie jej przypomniał, skąd się tu wzięła. Dwór królewski śledził te znaki jak stado sępów. Anna wciąż jeszcze zachowała jakieś resztki władzy nad Henrykiem, tej samej, która go niewoliła, kiedy byli kochankami, ale gniew budziły w nim wybuchy jej złego humoru, agasł żar niegdyś rozpalający namiętności, i eo gorsze, pojawił się złowróźbny omen: budziło sęd sumienie królewskie! Zaczął rozważać możliwość uwolnienia się od niej. Przeszkodą jednak była Katarzyna, gdyż póki żyła, pozbycie się Anny oznaczało wskrzeszenie dawnych wklopotów z pierwszą żoną. Wahał się i w tym właśnie czasie Anna zaszła w ciążę. W drodze był następca tronu.

Z nastaniem roku 1536 pozycja Anny Boleyn wspierała się na dwóch filarach: na życiu Katarzyny Aragońskiej i nadziei na królewskiego syna. Z nikim jeszcze los nie obszedł się tak okrutnie. Siódmego stycznia umarła Katarzyna, zaś 29, w dniu jej pogrzebu, Anna przedwcześnie powiła nieżywego potomka płci męskiej. Poroniła swego zbawcę. Teraz już nie ulegało wątpliwości, że tragedia zmierza ku rozwiązaniu, i zaiste nastąpiło ono szybko. Drugiego maja Annę aresztowano i osadzono w Tower pod zanzutem zdrady małżeńskiej popełnionej z pięcioma mężczyznami, z których jednym był jej własny brat. Sąd wszystkich uznał winnymi i sprawiedliwości stało się zadość. Egzekucja Anny odbyła się 19 maja. Żaden już ludzki sąd nie zdoła obecnie ustalić, czy rzeczywiście była winna zarzucanej jej zbrodni, zaś współcześni nie byli w tej sprawie jednomyślni. Według wszelkiego prawdopodobieństwa zachowała się nieroztropnie. Jeśli nawet posunęła się za daleko, jeśli naprawdę zdradziła męża - takiej zaś możliwości nie można całkowicie wykluczyć - to być może był to postęp

kobiety, która w rozpaczliwej sytuacji zdecydowała się na rozpaczliwy krok; pragnęła dać Anglii następcę tronu i siebie uratować od zguby. Tak czy inaczej, postawiła wszystko na jedną kartę i przegrała.

Z kretesem! Odebrano jej nawet nadzieję, że dzięki córce zatriumfuje po śmierci. W ciągu czterech dni między procesem i egzekucją Cramner miał znaleźć powód dla unieważnienia małżeństwa, a tym samym zdegradować Elżbietę do rangi bastarda. Nic to, że brakowało logiki w skazaniu i straceniu za zdradę małżeńską kobiety, która nigdy nie była żoną; Henryk chętnie kręcił jak szewc kopytem. Nie znamy argumentów Cranmera. Może wykorzystał fakt, że starsza siostra Anny była kochanką Henryka, co prawo kościelne uznawało za stosunek uniemożliwiający zawarcie związku małżeńskiego. W każdym razie była to przykra sprawa, choć w ten sposób jakąś tam doraźną sprawiedliwość wymierzono, i to wcale politycznie. Elżbieta znalazła się więc w takiej samej sytuacji jak Maria, której jednak z racji wieku przypadało pierwszeństwo, przy czym obie ze względu, na płęć ustępowały miejsca swemu bratu z nieprawego łoża - księciu Richmond. Sprawa sukcesji wyjaśniała się w pewnym stopniu, bowiem w najgorszym wypadku można było Richmonda uważać za następcę tronu, jeśli nawet nieprawowitego. W najlepszym należało ufać Bogu, że pobłogosławi króla potomkiem nie budzącym żadnych wątpliwości. Henryk miał dopiero czterdzieści pięć lat. Katarzyna i Anna nie żyły, a tym samym przeszłość została przekreślona. Mógł od nowa zacząć starania o syna.

Elżbieta straciła matkę w wieku dwu lat i ośmiu miesięcy. Dzięki temu, że miała własny dom, nie była narażona na przykrości, które nawet jako dziecko mogłaby odczuć. W przeciwieństwie do Marii nie przeżywała głęboko nieszczęść swej matki. Rak wstydu i uraz nie toczył jej dumy. W każdym razie nie wchodził w rachubę wstyd, ponieważ wychowywała się w społeczeństwie, które reagowało całkiem inaczej niż my. Rodzic monarcha był dostatecznie wysoką parantelą, by uświetnić nieprawe pochodzenie i zmazać plamę wiarołomstwa matki. Niewiele też znaczył szafot; stanowił narzędzie polityki, której haracz spłacały w owych czasach wszystkie po kolei wielkie rody. Pewien mantuańczyk, opisując Anglię w połowie owego stulecia, stwierdził, że "wielu jest takich, którzy przechwalają się tym, iż członkowie ich rodzin zawiśli na szubienicy lub zostali poćwiartowani. Niedawno jakiś cudzoziemiec zapytał angielskiego kapitana statku, czy w jego rodzinie ktoś został powieszony lub poćwiartowany, na co usłyszał: "O ile mi wiadomo, nie." Na co inny Anglik szepnął do cudzoziemca: "Nie dziwcie się, panie, on nie jest szlachcicem.", Elżbiecie wystarczyło, że jest córką Henryka VIII. To był ojciec, z którego mogła być, i słusznie była, dumna i którego kochała. Kwestia winy matki zawsze pozostawała pod wielkim znakiem

zapytania. Co prawda pisarze katoliccy długo jeszcze wspominali jej frywolność, popuszczając przy okazji wodze fantazji, ale za to pisarze protestancy wyносили pod niebiosa jej cnoty.

W chwili zgonu matki Elżbieta przebywała w Hunsdon pod opieką lady Bryan, ongiś nadwornej wychowawczynie czy też guwernantki małej Marii. W liście do Thomasa Oromwella żaliła się lady Bryan na niezliczone kłopoty związane z prowadzeniem domu. Skarżyła się, że nie wie, jaką właściwie pozycję zajmuje Elżbieta w hierarchii dworskiej, skoro pozbawiona została godności księżniczki, o czym zresztą lady Bryan słyszała tylko nie sprawdzone pogłoski. Nie wie, jak tytułować Elżbietę, jak właściwie ma się wobec niej zachowywać, jakie polecenia wydawać służbie. Garderoba dziecka jest w okropnym stanie; dziewczynka nie ma sukienki, nie ma spódniczki, halki, płótna na koszule. Brak też innych niezbędnych rzeczy. Co więcej, męska głowa domu, ipan Shelton, narzuca jej, lady Bryan, swą wolę, wtrąca się do spraw wychowanki, żąda, by lady Elżbieta zasiadała z całym ceremoniałem, publicznie, do obiadu i kolacji. "Niestety - pisze strapiona dama - obowiązki takie nie są stosowne dla dziecka w jej wieku. Zawiadamiam Pana, i biorę pełną odpowiedzialność za moje słowa, że nie mogę zaręczyć za zdrowie Jej Wysokości, jeśli będzie zmuszana do przestrzegania tych obowiązków, do stołu bowiem podaje się różne mięsowa i owoce, i wina, mnie zaś trudno będzie bronić ich Jej Wysokości. Przecież Pan wie, że nie miejsce to na zwracanie uwagi, tym bardziej, że ona jest jeszcze za młoda, by mogła zrozumieć reprimendę. W takich warunkach nie będę imogła wychować jej tak, by przyniosła zaszczyt Jego Królewskiej Mości, ani dla jej własnego dobra, ani w zdrowiu, ani zgodnie z moją skromną uczciwością." Po czym dodaje: "Bóg jeden wie, jak bardzo Jaśnie Paniienka cierpi, bo bardzo powoli rosną jej nowe zęby, wskutek czego pozwalam Jej Wysokości na znacznie więcej, niż chciałabym. Da Bóg, że kiedy zęby się wyrzną, uda mi się inaczej niż dotąd pokierować Jej Wysokością, tak że Jego Królewska Mość będzie miał wielką pociechę z Jej Wysokości. Nie widziałam bowiem jeszcze w życiu dziecka tak pojętnego, o tak łagodnym usposobieniu. Niech Pan Jezus ma w swojej opiece Jej Wysokość." Braki w garderobie, choć tak zdawały się martwić lady Bryan, były klęską, która mogła się przytrafić w każdej innej sytuacji. Nie świadczyły o tym, by los Anny Boleyn w jakiegokolwiek mierze osłabił uczucia, którymi Henryk darzył córkę. Był na to zbyt dobrym ojcem, zaś niezwykle jak na jej wiek inteligencja Elżbiety jeszcze bardziej go do niej przywiązywała. Opowiadano, że jako sześciolatnia dziewczynka zachowywała się z powagą czterdziestoletniej kobiety. "Jeśli będzie nadal tak wychowywana - pisał sekretarz Wriothesley - zostanie ozdobą płci niewieściej."

Nie brakło jej miłości, której dziecko jest tak bardzo spragnione. Macocha, Katarzyna Parr, była dla niej drugą matką. Zmienił się nawet stosunek jej siostry Marii, bowiem śmierć Katarzyny Aragońskiej tuż przed straceniem Anny Boleyn utorowała drogę całkowitemu pogodzeniu sióstr. Marię kosztowało wiele podporządkowanie się woli ojca, który nie uznawał żadnych półśrodków, ale jej kuzyn cesarz, potrzebując politycznego poparcia Henryka, nalegał i w lipcu 1536 roku Maria ustąpiła. Na pozór poddała się całkowicie, jednak prawdziwe swe myśli ukryła w najgłębszych zakamarkach duszy. Odtąd ustał dokuczliwy obowiązek tytułowania siostry "księżniczką". Maria nie musiała już nadskakiwać Elżbiecie. Otrzymała własną świtę, jak przystało na córkę królewską, zaś we wspólnym domu przypadła jej teraz rola starszego partnera. Mogła wreszcie dać wyraz swej wrodzonej serdeczności; do ojca pisała: "Moja siostra Elżbieta jest tak pojętnym dzieckiem, że nie wątpię, iż z czasem przysporzy Najjaśniejszemu Panu wiele radości."

Obie siostry często bywały na dworze królewskim. W październiku 1537 były obecne podczas chrztu następcy tronu, którego Bóg w swej wielkiej dobroci zesłał, by pocieszyć Henryka, tym bardziej pociechy tej spragnionego, że zmarł jego nieślubny syn, książę Richmond. Maria była matką chrzestną, zaś Elżbieta niosła bogato zdobione krzyżmo, czyli sukienkę chrzestną, ją zaś samą, jako że była jeszcze bardzo mała, niosło dwóch lordów. Rzecz naturalna, że Edward pokochał swą siostrzyczkę Elżbietę; dzieliła ich nieznaczna różnica wieku i mieli nauczycieli i wychowawców, którzy myśleli podobnie. Elżbieta pilnie wyszywała noworoczne prezenty dla braciszka, a kiedy zaczął pobierać nauki, pisała do niego listy po łacinie i po francusku.

Jeden tylko cień padał na tę idyllę. Elżbieta, podobnie jak Maria, zachowała pozycję nieślubnej córki. W praktyce, co prawda, miało to coraz mniejsze znaczenie. Obie dziewczynki były na równi z Edwardem "najdroższymi dziećmi" króla i zajmowały na dworze oraz podczas oficjalnych ceremonii należne im z tej racji miejsca. Kiedy zaś uchwałą parlamentu z roku 1544 uznano ich prawo do sukcesji, nominalna pozycja dziewczynek okazała się tym, czym w istocie już była, czyli formalnym reliktem minionych wydarzeń. Akt parlamentu oznaczał faktyczne uznanie ich prawowitego pochodzenia, wszelkie zaś kroki, jakie podjąłby Henryk, by doprowadzić do przekreślenia dawnych decyzji i podania w wątpliwość własnych orzeczeń, byłyby czystą lekkomyślnością. Po co budzić śpiące licho?

W tych właśnie latach zaczęła się normalna edukacja Elżbiety. Miała to szczęście, że przysłała na świat w okrasie szczytowego rozkwitu idei renesansu. Wiek szesnasty pod wieloma względami może wydawać się nam odległą przeszłością, lecz w dziedzinie kształcenia kobiet bliski jest najświetniejszym osiągnięciom naszych czasów. Nie było to



owocem jakiejś drastycznej przemiany w myśleniu, lecz właściwie rozwinięciem średniowiecznej tradycji chrześcijańskiej. Czyż nie uczył św. Paweł, że "nie masz mężczyzny ani kobiety: albowiem wy wszyscy jedno jesteście w Jezusie Chrystusie"? Kobiety były równe mężczyznom, w tym przynajmniej, że posiadały duszę, żartem z duchowego punktu widzenia było rzeczą pożądaną, by nauki pobierały w szkole chrześcijańskich obyczajów. Nauk takich udzielały dość Mcane w średniowiecznej Anglii żeńskie klasztory i szkoły tworzone przy kaplicach gildii oraz fundacjach kościelnych, tak więc renesansowi nauczyciele mieli tradycję, do której mogli nawiązać. Pamiętając o chrześcijańskim celu edukacji, dbali równocześnie o rozwój duchowy i zmieniali metody nauczania. Uczono greki i ładny, by panny odpowiadały chrześcijańskiemu ideałowi, i ten sam cel przyświecał doborowi lektur dla uczennic. Nauka, pisał największy ówczesny teoretyk, ma wznosić umysł ku znajomości rzeczy szlachetnych i odrywać od rozpamiętywania rzeczy plugawych. Co prawda, nie brakło ludzi nastawionych krytycznie, 'którzy krakali o słabości natury niewieściej, o zamięłowaniu kobiet do nowinek i przyrodzonej im skłonności do grzechu. Uważali, że są wystarczająco niebezpieczne i nie ma potrzeby pogłębiać ich przewrotności i bezczelności pomysłami i elokwencją pisarzy starożytnych. Ewasawantka rysowała się im jako wizja przerażająca, nie byli jednak w stanie zapobiec jej pojawieniu się na świecie.

Małgorzata, matka Henryka VII, była w Anglii jedną z pierwszych kobiet, w których wykształceniu przejawiała się ta tendencja. Łacinę znała słabo, za to francuskim władała tak biegle, że przetłumaczyła na angielski Złote zwierciadło dla grzesznej duszy. Była patronką Caxtona i hojną dobrodziejką uniwersytetów. W następnym po niej pokoleniu nowy typ kobiety wkroczył stanowczo na scenę głównie dzięki dwóm zbieżnym prądom. Jeden, rodzimy, wywodził się ze środowiska oksfordzkich humanistów i katolickich reformatorów pozostających pod wpływem błyskotliwej i śmiałej umysłowości sir Tomasza More'a. Do tego grona, szczycącego się zażyłą przyjaźnią wielkiego Erazma, należeli Linacre, Grocyn i Colet. Słysnęły z uczoneści trzy córki More'a i ich kuzynka Margaret Giggs, wychowane w domu, w którym kobiety traktowano w rozmowach jak równe mężczyznom i gdzie wiedza i dowcip krzyżowały się w powietrzu. Margaret More, oprócz doskonałej znajomości greki i łaciny, posiadała wiadomości z dziedziny filozofii, astronomii, fizyki, arytmetyki, logiki i muzyki. Takie właśnie kobiety nadawały ton epoce, zaś humaniści z dumą wspominali je w listach do zagranicznych uczonych.

Prąd ten wzmacniały obce wpływy, które dotarły za pośrednictwem Katarzyny Aragońskiej. W Hiszpanii, gdzie spędziła dzieciństwo, szlachetnie urodzone damy przyjaźniły się z uczonymi, były patronkami literatury i nawet nauczały na dwóch uniwersytetach. Matka

Katarzyna dbała o wykształcenie swych córek i sprowadzała dla nich zagranicznych uczonych jako preceptorów. W sprzyjającej atmosferze dworu Henryka VIII Katarzyna, rzecz jasna, szła za tym przykładem, dbając o edukację swej córki. Linacre, przyjaciel Mofre'a, otrzymał polecenie skompilowania gramatyki łacińskiej, zaś hiszpański uczyony Vives, jedna z najsympatyczniejszych postaci w historii wychowania, sprowadzony do Anglii napisał Plan studiów dla dziewcząt, by według niego kierowano wykształceniem Marii. Pewną miarą poziomu osiągniętego w edukacji kobiet wysokiego urodzenia, od czasów kiedy królowa Małgorzata władała francuskim i miała pewne pojęcie o łacinie, jest fakt, że księżniczka Maria, choć nie była intelektualistką, znała biegle łacinę, francuski i hiszpański oraz niezłe władała włoskim.

Takie oto dziedzictwo otrzymała Elżbieta, dziecko obdarzone bystrym umysłem. Lata jej edukacji przypadły na okres drugiego wielkiego pokolenia, kiedy to osłabły wpływy starszego środowiska uczonych Oksfordu, a wzrosło znaczenie młodej grupy z Cambridge. Niejednemu z tych ludzi pisana była sława i nazwiska ich są niezłe znane, całe zaś grono miało w przyszłości odegrać ważną rolę w karierze Elżbiety. Wzorem uczoneści był John Cheke. On sam i jego ulubiony uczeń Roger Ascham, a także ulubiony uczeń Aschama, William Grindall, podobnie jak William Cecil, James

Pilkington i William Bili, wywodzili się z St. John's College. W innych kolegiach studiowali Nicholas Bacon, Thomas Smith, Thomas Wilson, Walter Haddon, Mathew Parker, Ponet, Bidley, Richard Cox i John Aylmer. W ostatnich latach panowania Henryka VIII mogło się wydawać, że pod ich wpływem jest młodzież i przyszłość Anglii, z wyjątkiem pewnych potencjalnych ośrodków niezgody łączonych z Marią Tudar. Cox i Cheke byli preceptorami następcy tronu, Grindall, a po nim Ascham uczyli Elżbietę, Aylmer zaś lady Jane Grey. Ponieważ to oni, zgodnie z wytyczanymi przez religię chrześcijańską celami edukacji, kształtowali zarówno religijny, jak intelektualny pogląd na świat swych uczniów, mogli się spodziewać, że im przypadnie intelektualne kierowanie państwem i Kościołem. Ich przyjaciele zostawali przyjaciółmi ich wychowanków. Oni sami skłaniała się ku radykalniejszym tendencjom religijnym niż krąg skupionych wokół More'a wyznawców liberalizmu katolickiego i konserwatywnego, stronników starego ładu, Katarzyny Aragońskiej i jej córki, a przeciwników Henryka VIII. Los zaplanował życia Marii i Elżbiety jako antytezę, wiążąc zaś każdą z nich z jednym z tych świetnych, całkowicie odmiennych środowisk uczonych tworzył prawdziwe arcydzieło.

Nie wiemy, jak wyglądała edukacja Elżbiety do ukończenia przez nią dziesiątego roku życia. Jej brat Edward, dziecko również przedwcześnie rozwinięte, zaczął się uczyć łaciny w

szóstym roku życia, zaś pod koniec dziesiątego zabrał się do języka nowożytnego - francuskiego. Elżbieta uczyła się włoskiego i francuskiego mając lat dziesięć i prawdopodobnie nieźle już wtedy знаła łacinę. Pierwszy z jej zachowanych listów do królowej Katarzyny Parr z lipca 1544 roku był pisany po włosku. Pod koniec tegoż roku skończyła tłumaczenie poematu Małgorzaty Nawarskiej *Zwierciadło grzesznej duszy*. Poemat w kunsztownej, własnoręcznie haftowanej oprawie był prezentem noworocznym dla królowej. W poprzedzającym go liście księżniczka czerpała ze zbiorów sentencji i ważkich aforyzmów, tak jak inne dzieci epoki Tudorów, które ukazują się nam w swych listach i na portretach niczym pominięszane wersje osób dorosłych. Tak oto już w dzieciństwie wpadła w nawyk, który z czasem stał się przekleństwem nieznośnie zaciemniającym i komplikującym jej erudycyjne posłania. "Wiedząc - zaczynał się list - że małoduszność i lenistwo są w istocie rozumnej najbardziej odstręczającymi wadami i że (jak rzecz filozof) narzędzie nawet z żelaza czy innego metalu szybko rdzewieje, jeśli nie jest stale w użyciu, jako i umysł mężczyzny lub kobiety tępa się i staje niezdolny do zrobienia czegokolwiek lub zrozumienia, jeśli nie jest stale zajęty jakimiś studiami: eo biorąc pod uwagę, postanowiłam użyć tych skromnych zdolności, jakich Bóg mi użyczył, by pokazać, na co mnie stać."

Dowodem tych zdolności był straszliwie nudny poemat francuski przełożony na elżbietańską prozę. Tytuł przypominał literackie osiągnięcie prababki Elżbiety, Małgorzaty. Temat dokuczliwie i natrętnie podkreślał, iż celem uozoności jest wznoszenie umysłu ludzkiego do poznania *q*praw najszczytniejszych."Gdzież jest piekło pełne cierpień, bólu, nieprawości i mąk? Gdzież jest otchłań bluźnierstwa, z którego wywodzi się wszelka roapacz? Czyż istnieją piekła dość głębokie, by ukarać jedną dziesiątą mych grzechów?" - i tak dalej. Jakże więc dziwić się przedwczesnej powadze inteligentnych dzieci owych czasów? A przecież nie cytowaliśmy fragmentów najgorszych, poemat bowiem pogrąża się w erotycznej mistyce:"Lecz ty, któryś oddalił się od mego łoża, a kochanki nieprawe na me miejsce wprowadziłeś, by z nimi uprawiać rozpustę; pamiętaj, że jednak możesz do mnie wrócić... O biedna duszo! Gdybym mogła znaleźć sę tam, gdzie twój grzech cię skierował; choćby na drogach rozstajnych, gdzie godzinami czyhasz na wędrowców, by ich oszukać... Dlatego, zaspokoiwszy swą chuć, zaraziłeś cudzołóstwem całą ziemię, która cię otacza."

W tym właśnie roku, w którym tłumaczenie to powstało, Elżbieta dzięki swym studiom związała się z grupą humanistów z Cambridge. W lipcu wezwano stamtąd Johna Cheke'a do pomocy Richardowi Coxowi, pierwszemu preceptorowi księcia Edwarda, za jego zaś paradą w kilka miesięcy później sprowadzono na dwór królewski Williama Grindalla, ucznia Aschama, i mianowano go nauczycielem Elżbiety. Grindall był świetnym znawcą

starożytności greckich i człowiekiem o wielkim wdzięku. Ascham nie wiedział, co bardziej podziwiać, czy talenty uczennicy, czy pilność nauczyciela. Przeszło trzy lata Grindall czuwał nad łacińskimi i greckimi studiami Elżbiety, ale w styczniu 1548 ten znakomicie zapowiadający się młodzieniec zaraził się dżumą i zmarł.

W chwili jego śmierci Elżbieta rezydowała z Katarzyną Parr - wdową po Henryku VIII. Zarówno Katarzynie, jak i jej nowemu mężowi bardzo zależało na tym, by miejsca Grindalla nie zajął Ascham, którego życzyła sobie Elżbieta. Poznała go dzięki Grindallowi i korespondowała z nim po łacinie, w języku uczonych. Postawiła na swoim, co dobrze świadczy o jej samodzielności; oczywiście Ascham starał się na nią wpłynąć. Wybór okazał się szczęśliwy, choć Ascham niedługo utrzymał się na tym stanowisku. Pod koniec roku 1549 lub na początku roku następnego rzucił je po jakiejś kłótni z jednym z domowników. W pamięci zachował się przede wszystkim jako preceptor Elżbiety, i słusznie, ponieważ doradzał już Grindallowi w sprawach jej edukacji, nim jeszcze został powołany na to stanowisko, a po ustąpieniu, do samej śmierci, miał wpływ na jej naukę. To on pomagał jej wyrobić sobie piękną włoską kaligrafię, której używała pisząc swe ważniejsze posłania. W swej książce Nauczyciel i w listach, które ogłoszono niedługo po jego śmierci, Ascham przekazał potomności wiele przemiłych pochwał pod adresem swej pani i jemu zawdzięczamy prawie wszystkie wiadomości dotyczące jej edukacji.

W ciągu tych dwóch lat, które spędziła pod opieką Aschama, Elżbieta codziennie rano pogłębiała znajomość greki. Dzień zaczynał się od lektury Biblii po grecku, po czym czytała i tłumaczyła takich autorów klasycznych, jak Isokrates, Sofokles i Demostenes. Przekładała teksty wpierw na angielski, z angielskiego zaś ponownie na grekę. Ascham był wielkim zwolennikiem tej metody podwójnego przekładu. Popołudnia poświęcała Elżbieta łacinie. Przeczytała prawie całego Cyncerona i znaczną część Liwiusza. Lekturę greckiej Biblii uzupełniała pismami świętego Cypriana, Melanchtona *Loci communes* - słynnym komentarzem do zasad teologu protestanckiej i sztuki rządzenia państwem - oraz innymi dziełami podobnej natury. Ponadto odświeżała znajomość francuskiego i włoskiego: języka hiszpańskiego nauczyła się prawdopodobnie kilka lat później.

„Trudno powiedzieć - powiadał Ascham swego przyjaciela Sturma, słynnego protestanckiego uczonego ze Strasburga - co bardziej podziwiać należy w mojej znakomitej uczennicy: talenty wrodzone czy nabyte. Skupia w sobie wszystkie cnoty wychwalane przez Arystotelesa: urodę, postawę, roztropność i pracowitość. Skończyła właśnie szesnaście lat i zadziwia niezwykłą w tym wieku i u osoby tej pozycji towarzyskiej postawą pełną godności oraz łagodnym usposobieniem. Z największą gorliwością przykłada się do prawdziwej religii

i nauki. Umysłowi jej obce są kobiece słabości, wytrwałością dorównuje mężczyźnie, zaś w pamięci długo zachowuje to wszystko, co szybko nabywa. Po francusku i włosku mówi równie dobrze jak po angielsku, chętnie i często rozmawia ze mną po łacinie, którą włada biegle; grekę zna znośnie. Jej kaligrafia, kiedy pisze po łacinie i grecku, jest przepiękna. Jej znajomość muzyki dorównuje umiłowaniu tej sztuki. Ubiera się bardziej z elegancją niż na pokaz. Lubi taki styl, który jest narzucony przez temat, trafność osiąga dzięki swej skromności, piekno dzięki jasności. Najwyżej ceni skromne metafory i dobrze zbudowane zestawienia sprzeczności, szczęśliwie ze sobą kontrastujące.” Jakaż to szkoda, że tak je ceniła! - dodajemy z westchnieniem. Ascham tak oto kończy list:”Mój drogi Sturmie, niczego nie zmyślam, bo i nie ma potrzeby.”

Łatwo o cyniczny uśmiech, kiedy się słyszy o rzekomych talentach możliwych tego świata.”Człowiek bogaty plecie głupstwa i wszyscy go chwala; biedak jest mądry i wszyscy go wyśmiewają.” Ascham, rzecz jasna, zachwycał się swoją uczennicą i trochę był pod wrażeniem jej pozycji, lecz pamiętajmy, że Elżbieta żyła w epoce, kiedy o wykształcenie dzieci dbano w sposób okrutny. Słyszała z bystrości i inteligencji i miała prawdziwe zamiłowanie do nauki. Nie przestała pogłębiać swej wiedzy na tronie, kiedy ciążyło na niej przerażające brzemie obowiązków i trosk. W roku 1562 Ascham czytał z nią codziennie greckich i łacińskich pisarzy; mawiał, że w jeden dzień czyta ona więcej greki niż niejeden ksiądz prebendarz łaciny w ciągu całego tygodnia.

## ***Rozdział drugi***

### EPIZOD Z SEYMOUREM

Niedaleka przyszłość ukazała Elżbietę niepodobną do owej dziewczynki ślęczącej nad świętym. Cyprianem, Sofoklesem i Cynceronem. Jej ojciec umarł w styczniu 1547 roku, kiedy miała trzynaście i pół lat. Oszczędzony jej został przygnębiający widok łoża śmierci i w słowach godnych osoby dorosłej pisała do brata, że potrafiła znieść tę stratę z chrześcijańskim i filozoficznym męstwem. Wszystko zdawało się wskazywać na to, że czeka ją świetlana przyszłość. Podzielała religijne i filozoficzne poglądy nowego króla. Protestantyzm okrzepł i skończyła się niepewność trapiąca poprzednie panowanie. Dla jej siostry Marii mógł to być i był rzeczywiście zły omen, tym dobitniej jednak podkreślał ten fakt harmonię panującą między Elżbietą i Edwardem.

Oto jednak znalazł się człowiek, którego niespokojne ambicje miały rzucić cień na pogodnie malującą się przyszłość i dodać głębi lekcjom wyniesionym z nauki szkolnej.”Biada państwu - wołał kaznodzieja - którego królem jest dziecko.” To właśnie stulecie miało aż nazbyt dowodnie wykazać, że siła monarchii leży w bóstwopodobnej samotności króla, stawiającej jego osobę i majestat ponad zawiścią żądnych władzy arystokratów. Król niepełnoletni jednak, będąc tylko dzieckiem, nie może sprawować władzy, regent natomiast nie może oczekiwać od swych współpoddanych tej lojalności, której przedmiotem nie jest przecież państwo, lecz osoba monarchy. Gdy więc boskie pochodzenie władzy królewskiej osłaniało bezsilność dziecka, władza stawała się przedmiotem ambitnych rozgrywek między możnowładcami. Henryk VIII przewidział to niebezpieczeństwo i próbował mu zapobiec, powierzając rządy w okresie niepełnoletności Edwarda VI nie regentowi, lecz gronu doradców, którzy mieli być wykonawcami jego woli.

Na nic jednak nie zdał się ten krok zapobiegawczy, nie rozwiązywał bowiem problemu, ignorował naturalną tendencję do indywidualnego przywództwa i sprzeczny był z precedensem, na którym opierał swe roszczenia wuj królewski, Edward Seymior, domagający się stanowiska opiekuna siostrzeńca i szefa rządu. Rozporządzenia Henryka natychmiast zmieniono i Edward Seymior został Lordem Protektorem księciem Somenset.

Niestety! Stało się to ze szkodą dla spokoju w państwie. Somerset miał młodszego brata, Thomasa Seymoura. Człowiek ten posiadał wiele zalet: przystojny, o męskiej budowie, silny, śmiały, wprawnie władający bronią na wojnie i w turnieju. Zdolny był do szczerej i serdecznej przyjaźni, lecz równie łatwo ulegał żrącej zawiści, której nie potrafił roztropnie ukrywać. Był ambitny, ale także porywczy i uparty. Za dużo i zbyt otwarcie mówił. Stworzony był do działania, a nie do polityki. Polityka wydobywała z niego najgorsze cechy charakteru. Henryk VIII, tym razem dobrze oceniając człowieka, wyznaczył mu pomniejsze stanowisko w rządzie Edwarda, ale wywyższenie brata nieuchronnie pociągało za sobą wzrost jego znaczenia. Został parem Anglii, członkiem Tajnej Rady i otrzymał stanowisko dowódcy floty. To wszystko bynajmniej go nie zadowalało: nie dawały mu spokoju wyższe godności brata.

W chwili śmierci Henryka VIII Thomas Seymour liczył lat trzydzieści osiem i nie miał żony. Był świetną partią nawet dla córki królewskiej, postanowił więc ożenek wprząc w służbę swych ambicji. Religijna żarliwość Marii przekreślała z góry wszelkie nadzieje, pozostawała więc jako najlepsza partia w królestwie Elżbieta. Gdyby to tylko było możliwe, ożeniłby się z nią natychmiast, temu jednak stanowczo i nieugięcie przeciwstawił się jego brat i inni członkowie Rady. Wobec tego zainteresował się kolejną, niemal równie dobrą

kandydatką i potajemnie uderzył w konkury do Katarzyny Parr, wdowy po królu. Nie napotkał na większe przeszkody, Katarzyna bowiem gotowa była go poślubić już w okresie pierwszego wdowieństwa, zanim na horyzoncie pojawił się Henryk VIII. Katarzyna była zakochana i Seymiour, grając na jej uczuciach, nakłonił ją do potajemnego i pośpiesznego ślubu w niespełna trzy miesiące po śmierci Henryka. Uczynili krok nierozważny, wręcz niebezpieczny, oboje jednak zachowali całą sprawę w tajemnicy, a tymczasem Seymiour odgrywał komedię przekonywania młodego króla i swego brata Somerset, by poparli jego starania o rękę kobiety, która już była jego żoną. Na szczęście członkowie Rady, zadowoleni, że udało się ukreślić łeb małżeństwu z Elżbietą, nie zdając sobie sprawy, że są ofiarami podstępu, nie zgłaszali żadnych obiekcji. Małżeństwo jednak nie wpłynęło na poprawę stosunków Seymoura z bratem, bowiem kochająca żona zaczęła dzielić uczucia zawiści swego męża i mszcząc się żądała, by jako królowejwdowie przyznano jej prawo pierwszeństwa przed żoną Protektora. Tak oto kobieta podsycala spór między braćmi.

Po ślubie Seymour spotykał się codziennie z młodą księżniczką, z którą daremnie wiązał swe ambitne nadzieje. Elżbieta po śmierci ojca zamieszkała u Katarzyny Parr, zgodnie z ówczesnym obyczajem, który paonom nakazywał nabywanie ogłady w wielkich domach. Katarzyna i Elżbieta bardzo sobie przypadły do gustu: poza tym dom królowejwdowy był pierwszym domem w kraju i wobec tego najlepszą szkołą manier dla młodej panny.

Temperament pana domu, jak to można łatwo sobie wyobrazić, stwarzał atmosferę ożywienia, swobody i wesołości. Stosunki panowały tam niekonwencjonalne, nawet jak na stulecie nie odznaczające się pruderią. Już w pierwszych tygodniach po ślubie z Katarzyną Seymour często zwykł był zaczynać dzień od wizyty w apartamencie Elżbiety. Jeśli już wstała, witał się, pytał, jak się czuje, i familiarnie klepał po plecach lub pośladkach, po czym szedł na swoje pokoje, niekiedy wstępując do dworek i barszkując z nimi. Jeśli zastawał ją w łóżku, rozsuwał zasłany, życzył pomyślnego dnia i udawał, że chce się koło niej położyć, ona zaś cofała się głębiej, by nie mógł jej dosięgnąć.

Wiktoriańska opinia uznałaby Seymoura za rozpustnika, zaś Elżbietę za bezwstydną dzierlatkę. W istocie były to dość niewinne igrasaki, przynajmniej póki nie budziły plotek i jak długo partnerzy nie zdawali sobie sprawy z dwuznaczności sytuacji. Nie dało się jednak zapobiec fałszywym wnioskom, bo przecież było publiczną tajemnicą, że Seymour chciał poślubić Elżbietę i że wolałby ją od Katarzyny Parr. On sam nie przypuszczał, że jego zachowanie może wywołać plotki. "Na Boga!" - zawołał, kiedy guwernantka Elżbiety zwróciła mu uwagę. Zaklinał się, że doniesie Protektorowi o tym, jak go szkalują, a ponieważ nie miał żadnych złodziejczych zamiarów, przysięgał, że nie amieni swego postępowania.

Guwernantka rozmówiła się wobec tego z jego żoną, ale i ta wyśmiała całą sprawę, traktując ją jako błażostkę i obiecując w przyszłości towarzyszyć mężowi podczas tych wizyt. Tak też postąpiła. Razem odwiedzali Elżbietę i jeżeli jeszcze była w łóżku, razem ją łaskotali. Razem też pozwalali sobie na igraszki przy innych okazjach. Zdarzyło się nawet, że razu pewnego w ogrodzie Katarzyna przytrzymała Elżbietę, gdy jej mąż ciął suknię księżniczki na drobne kawałki.

Nieuchronne plotki odebrały igraszkom aurę niewinności. Elżbieta zaczęła na nie reagować w (niefortunny sposób, a z czasem rozbudziła zazdrość Katarzyny. Kate Ashley, guwernantka Elżbiety, żona krewniaka i dworzanina swej pani, była kobietą oddaną i porządną, ale nie bardzo rozumną. Nie widziała świata poza swoją wychowanką, ale nie potrafiła się oprzeć czarującemu i miłemu Seymourowi. Często o nim mówiła i była na tyle niemądra, iż powiedziała Elżbiecie, że to w niej właśnie, a nie w królowej kochał się Seymour, kiedy się żenił. Zostało to prawdopodobnie powiedziane w tym czasie, kiedy stosunki między paniami trochę się popsuły. Panna się stropiła, serce zaczęło bić szybciej. Otoczenie zauważyło, że nadskakiwanie Seymoura zaczyna jej sprawiać przyjemność, że się rumieni, kiedy w rozmowie pada jego nazwisko.

W tej sytuacji było tylko jedno rozumne wyjście: pannę należało wysłać z domu. Być może decyzję tę podjęto beznamietnie, ale zapewne zagrały uczucia zazdrości, bo przecież Katarzyna była w ciąży. Tak czy inaczej, w tydzień po Zielonych Świątkach 1548 roku Elżbieta wyjechała i otworzyła dom w Cheshunt. Jeśli nawet w chwili rozstania nie panowała całkowita harmonia, to obecnie obie panie znowu się przyjaźniły i pisywały do siebie. W pierwszym liście - dziękując na gościnę - Elżbieta z przykładowym rozsądkiem zamknęła epizod. "Nie starczyło mi słów wdzięczności za niezliczone uprzejmości, jakich doznałam od Jej Wysokości, gdy odjeżdżałam, na pewne jednak wybaczenie zasługuję, gdyż zaprawdę pełna byłam smutku, że muszę Jej Wysokość opuścić... I chociaż nie byłam wylewna, tym głębiej przejęłam się słowami Jej Wysokości, że będzie mnie przestrzegała o wszystkich złych rzeczach, które o mnie usłyszysz. Gdyby bowiem Jej Wysokość nie była o mnie tak dobrego zdania, to nie ofiarowałaby mi swej przyjaźni w sposób, który wszyscy ludzie odmiennie oceniają. Cóż jednak więcej mogę powiedzieć, jak podziękować Bogu, że dał mi takich przyjaciół?"

We wrześniu Katarzyna Parr zmarła w połogu. Od wystąpienia w roli swatki mogła powstrzymać Kate Ashley tylko przezorność, a na niej właśnie guwernantce zbywało. "Dawny twój małżonek, wyznaczony ci po śmierci króla - powiedziała Elżbiecie - jest znowu wolny. Jeśli zechcesz, będziesz go miała.", "Nie" - odrzekła panna. "Nie odmówisz jednak - ciągnęła



pani Ashley - jeśli Lord Protektor i Rada będą sobie tego życzyli.” Takie przekomarzenia często powtarzały się w rozmowach. A gdy podczas gry Elżbieta wyciągała kartę przedstawiającą lorda admirała, rumieniła się, chichotała, zaś pani Ashley zawsze miała już na podorzędziu właściwy komentarz. W ostatnich miesiącach 1548 roku Elżbieta zaczęła darzyć Seynioura cieplejszymi uczuciami, choć kokieteryjnie temu zaprzeczała. Ludzie z jej otoczenia, czy to powodując się sympatią dla księżniczki, czy też z wyrachowania, występowali w roli aides de guerre admirała. Skarbnik Elżbiety, Thomas Parry, był w Londynie przed i po świętach Bożego Narodzenia i odbywał tam częste i długie rozmowy z Seymourem. Omawiali sytuację finansową księżniczki. Seymour chciał, by domagała się szybkiego wystawienia dokumentów nadań, na mocy których zgodnie z testamentem swego ojca otrzymałaby posiadłości ziemskie przynoszące trzy tysiące funtów rocznego dochodu. Z rozmowy z Lordem Strażnikiem Prywatnej Pieczęci, bezceremonialnym i małomównym lordem Russellem, wywnioskował, że Rada może się opierać wystawieniu tych dokumentów; z całą pewnością to uczyni, jeśli on ją poślubi przed załatwieniem sprawy. Seymour chciał, by poczyniła starania o przyznanie jej posiadłości na zachodzie, w hrabstwie Gloucester i w Walii, w pobliżu jego majątków. Rozmowy poszły znacznie dalej; jak daleko, nie wiemy. Parry po powrocie rozmówił się szczerze z panią Ashley i starał się dowiedzieć, co właściwie myśli Elżbieta. Niewiasta okazała się pleciugą, zaś panna ostrożną i przezorną osobą, postępującą z rozwagą, której wyraźnie brakło starszym od niej ludziom.

Sytuacja była zaiste niebezpieczna. Między Somersetem i Seymourem raz po raz następowała zgoda, ale młodszy brat nie mógł zapomnieć o swych rzekomych krzywdach i niespokojny duch popychał go do nieustannych intryg. Dzięki wrodzonemu urokowi podbił dziecinne serce króla, któremu dawał pieniądze, robiąc nieustanne aluzje do skąpstwa i surowości swego brata.”Bardzo dziadowska jest teraz Wasza Królewska Mość - mawiał - nie inacie, panie, ani na zabawy, ani na to, by obdarować swoje sługi.” Raz po raz zachęcał chłopca, by pożyczał od niego pieniądze, i za pośrednictwem jednego z dworzan ukradkiem z nim korespondował, przeikając Edwardowi rozmaite sumy - niekiedy do czterdziestu funtów. Wmawiał sobie, że z racji posiadanej rangi powinien być wychowawcą króla, i jesienią 1547 roku usiłował nakłonić chłopca, by skierował do parlamentu list z poparciem starań o przyznanie mu tego stanowiska wbrew woli Rady. Przegrał, ale od razu zawiązał intrygę, która miała doprowadzić do jak najszybszego uznania króla pełnoletnim. Potem, korzystając z królewskiej przychylności, chciał pozbawić władzy swych rywali.

Równocześnie Seymour próbował stworzyć stronnictwo arystokratyczne. Obiecywał, że lady Jaine Grey zostanie żoną króla - przyniosłaby mu to dodatkowe korzyści, ponieważ

jego brat nie mógłby wówczas zostać teściem Edwarda - i nakłonił ojca panny, by umieścić ją w jego domu, przez co pozyskał jej rodzinę dla swej sprawy. Wisizysitkie te działania zmierzały do zamachu stanu. Stale wypytywał przyjaciół, gdzie mają swe posiadłości i jakie stanowiska piastują w swych hrabstwach, namawiał ich też, by zabiegali o dotbre stosunki z sąsiadami, nie tylko ze szlachtą, która ma więcej do stracenia, jest więc mniej pewnym sojusznikiem w sytuacji kryzysowej, lecz by pozyskiwali najważniejszych zamożnych i wolnych chłopów (yeomenów i freemenów), którzy mieli posłuch na wsi i mogliby wpłynąć na masy. Powinni od czasu do czasu bywać u nich, zasiadać jak z przyjaciółmi do stołu, przywozić ze sobą dzban albo dwa wina oraz dziczyznę. Sam, powiadał, tak postępuje i dzięki temu ma stronników, których obliczał na dziesięć tysięcy. Ponieważ jego posiadłości skupiały się głównie na zachodzie, zaczął przygotowywać zamek Holt na granicy hrabstwa Denbigh jako ewentualny ośrodek rewolty. Wielce podejrzane było jego pragnienie, by Elżbieta w tych właśnie okolicach otrzymała swe posiadłości. Do jego adherentów należał skorumpowany urzędnik mennicy w Bristolu i z nim to ułożył się w sprawie wybicia dziesięciu tysięcy funtów ina opłacenie swych ludzi w przypadku rebelii. Wykorzystywał nawet urząd Lorda Admirała.”Dalipan - oświadczył jednemu z przyjaciół, który uważał, że jest to dla niego zbyt niskie stanowisko - teraz będę miał na swoje rozkazy dobre okręty i dobrych ludzi, a powiadam cd, dobra to rzecz mieć pod sobą ludzi.” Do jego obowiązków należało likwidowanie piractwa, lecz zmówił się z przestępcami, dzielił się z nimi łupem i liczył na ich pomoc w razie potrzeby. Wpadły mu w ręce wyspy Scilly, uznał więc morze za swą drogę odwrotu.

Niewykluczone, że więcej w tym było lekkomyślności i przechwałek niż prawdziwego spiskowania. Seymour, oczywiście, mię uważał siebie za zdrajcę. Czyż nie był najdroższym wujem i przyjacielem króla, adresatem tajnych liścików od Edwarda, ukrywanych pod dywanem? Z jego punktu widzenia sytuacja przedstawiała się prosto: nie poczuwał się do obowiązku wierności wobec Protektora i Rady i nie darzył ich szacunkiem. To był jego brat i równi mu ramgą panowie. Niemniej jego zachowanie groziło niebezpieczeństwem i jeśli w chwili rozgoryczenia popełniłby błąd wywołując powstanie, kto wie, jakich niezadowolonych ściągnąłby pod swoje sztandary i dokąd zawiodłyby go rozpalone ambicje.

Ostatnią kroplą była intryga mająca doprowadzić do poślubienia Elżbiety. Rada wiedziała już, że wystrychnął ją na dudka w sprawie Katarzyny Parr, i nie mogła tego zignorować. Języki poszły w ruch. Przyjaciele Seymoura daremnie powtarzali mu, że zaczyna lgnąć do niego reputacja człowieka chciwego, łaknącego zaszczytów, zaniedbującego służbę. On jednak uporczywie lekceważył te ostrzeżenia. Rada była więc zmuszona podjąć jakieś

kroki. Siedemnastego stycznia 1549 roku padł cios. Seymoura aresztowano i osadzono w Tower.

W toku trwania śledztwa Elżbieta przeżywała chwile wielkiego niepokoju. Dwudziestego pierwszego stycznia przywieziono do Londynu i zamknięto w Tower Kate Ashley i Thomasa Panry'ego, natomiast do Hatfield wysłano sir Roberta Tyrwhitta, by wydobył prawdę od ich pani. Po przybyciu na miejsce zorientował się, że ma przed sobą przeciwnika, który mu nie ustępuje ani pod względem bystrości, ani stanowczości. Dwudziestego drugiego stycznia pisał do Somerseta, że Elżbieta absolutnie odmawia złożenia zeznań, które miałyby potwierdzić jakąkolwiek zмовę między panią Ashley i Skarbnikiem a Seymourem."A jednak - dodawał - z jej miny widzę, że jest winna." Następnego dnia powtarza w liście to samo obwinianie:"Zapewniani Waszą Łaskawość, że ona jest bardzo sprytna i niczego z niej się nie wydobydzie bez wielkiej przemyślności." Próbowano więc przemyślności, ale e niewielkim skutkiem. W dwa dni później Tyrwhitt przypomniał sobie o lady Browne - pięknej Geraldynie hrabiego Surrey - która dzięki Seymourowi znalazła się przed rokiem wśród domowników Elżbiety. Jak nikt inny umiała sobie radzić z księżniczką, prosił więc, by ją odesłano z powrotem do Hatfield z wyraźnym poleceniem nakłonienia Elżbiety do przerwania jej upartego milczenia. Następnie Protektor spróbował coś zdziałać uprzejmym listem. Elżbieta odpowiedziała, bardzo niewinną historyjką, ale pod koniec listu wspomniała o tym, do jakich metod się uciekano, by złamać jej wolę."Pan Tyrwhitt i inni opowiadali mi - pisze Elżbieta - że po świecie krążą pogłoski wielce ubliżające mojemu honorowi i uczciwości (które nad wszystko inne sobie cenię), a mianowicie, że jestem osadzona w Tower i spodziewam się dziecka z Lordem Admiralem. Wasza Wysokość, są to wszystko bezwstydnе oszczerstwa. Niezależnie od tego, że bardzo pragnę zobaczyć Jego Królewską Mość, najserdeczniej proszę Waszą Miłość o pozwolenie stawienia się na dworze w pierwszym terminie, jaki mi zechce wyznaczyć, bym mogła powiedzieć prawdę o sobie."

Tyrwhitt był w rozterce."Wierzę głęboko - pisał - że istniało jakieś tajne porozumienie między księżniczką, panią Ashley i Skarbnikiem, by nawet pod groźbą śmierci do niczego się nie przyznać." Nie mylił się zbyt. W tydzień później Skarbnik, najmniej twardy z trójki, załamał się i wygadał wszystko, co mu Kate Ashley w konfidancji opowiedziała. Ona sama jednak nic nie chciała powiedzieć do czasu konfrontacji z Parrym, który przy niej powtórzył swe zeznania. Nazwała go wtedy"fałszywą kanalią" i przypomniała, jak obiecał, że raczej umrze, niż się przyzna. Teraz wydobyto już z obojga wszystko - a przynajmniej to wszystko, co nam jest wiadome. Elżbieta znalazła się w bardzo niebezpiecznym położeniu."Strasliwie się stropiła i z trudem panując nad sobą doczytała to do końca, dokładnie przestudiowała

wszystkie nazwiska, charakter pisma pani Ashley i Skarbnika rozpoznała natychmiast, jest więc przekonana, że oboje wyznali wszystko, co wiedzieli.” Dzień, drugi zwlekała z odpowiedzią na pytania, które sformułowano na podstawie zeznań jej dworzan, po czym - no właśnie, nie dodała nic nowego. Rada chciała mieć dowody konkretnego spisku, ona jednak stanowczo zaprzeczała, jakoby pani Ashley lub Parry ustnie bądź pisemnie nakłaniali ją do jakiegokolwiek zmowy z Seymourem.”Oni wszyscy śpiewają jedną i tę samą piosenkę - skarżył się Tyrwhitt - i myślę, że nie postępowaliby w ten sposób, gdyby zawczasu nie ustalili melodii.” Dni mijały: coraz czarniej malowała się przyszłość Seymoura. Kiedy Elżbieta to rozumiała, zaczęła tracić otuchę, ale równocześnie gwałtownie go broniła, gxiy ktokolwiek w jej obecności źle się o nim wyrażał. Dotąd tylko losami pani Ashley tak bardzo się przejmowała.

Nowy kłopot powstał w związku z żoną Tyrwhitta. Posłano ją do Hatfield na miejsce Kate Ashley i tu znalazła się w przykrew sytuacji, bo Rada udzielała jej reprimend za to, że nie wywiązuje się z obowiązków, równocześnie zaś musiała znosić żywiołową niechęć swej podopiecznej. Elżbieta płakała całymi nocami, po czym całymi dniami była ponura. Powtarzała z uporem, że jej guwernantką jest Kate Ashley. Cóż takiego zrobiła, że Rada przysłała jej nową guwernantkę? Obejdzie się bez żadnej. Tyrwhitt odpowiedział zgryźliwie, że jego zdaniem powinna mieć dwie guwernantki! Elżbieta sama napisała do Protektora, nie pozwalając Tyrwhittowi, by podpowiadał jej, co ma pisać. Somerset udzielił jej listownie ostrej nagany. Rozum chyba straciła, jeśli jest tak pewna siebie. Nie tracąc kontenansu odpisała mu jeszcze bardziej wojowniczo, by pamiętał, że ona jest siostrą króla oraz że jego i Rady obowiązkiem jest pokazać ludowi, iż szanują jej honor.

W miesiąc później Seymour zapłacił za swą lekkomyślność. Zlekceważył Radę, wpierw odmawiając udzielenia odpowiedzi na trzydzieści trzy artykuły wysuniętego przeciw niemu oskarżenia. Potem, odpowiedziawszy na trzy, nie odezwał się więcej słowem. Dwudziestego piątego lutego zgłoszono w parlamencie akt orzekający utratę praw. Dwudziestego marca został stracony. Zaufał życzliwości króla, nie przypuszczając nawet, że jak zimną krwią chłopiec go poświęci. W przeddzień śmierci, wciąż jeszcze zbuntowany, pisał do Marii i Elżbiety metalową końcówką sznurowadła, gromiąc swego brata i namawiając je, by spiskowały przeciw niemu. Ostatnie słowa, jakie wyrzekł, to było polecenie wydane służącemu, który te zapiski wszył w podeszwę aksamitnego bucika, by jak najszybciej je doręczył. Seymour został pozbawiony praw i nie pozwolono mu przemówić we własnej obronie; umierał odważnie, nie okazując skruchy; ludzie powtarzali:”umarł bardzo dzielnie, a przecież nie zachowałby się tak, gdyby nie stawał w słusznej sprawie” - nic więc

dziwnego, że zaczęto szemrać i przepowiadać dalsze kłopoty. Sam Latimer postanowił uciszyć te głosy i w dworskich kazaniach, które wygłaszał w następnych tygodniach, mówił:”Dla mnie będzie on żoną Lota do samej śmierci mojej. Słyszałem, jak mówiono o nim, że był człowiekiem chciwym, i zaiste był chciwy: oby już tacy w Anglii się nie rodzili! Słyszałem, że był człowiekiem żadnym władzy, oby już Anglia takich nie znała! Słyszałem, że podzegał do buntu, pogardził wiarą powszechną: oby już więcej takich w Anglii nie było! Na szczęście już go nie ma!”

Resztę tego nieszczęsnego panowania, upadek Somerseta, wyniesienie Northumberlanda, Elżbieta przeżyła na uboczu. Zajęta studiami, prowadziła się rozważnie i skromnie. Aylmer, preceptor lady Jane Grey, pisał do Bullingera w roku 1551 prosząc go, by pouczył jego wychowankę, ”jakie ozdoby i upiększenia przystoją młodej kobiecie prowadzącej się cnotliwie”, d sugerując, by za wzór postawił księżniczkę Elżbietę, ”która ubiera się tak, jak przystoi młodej pannie”. ”Nikt jednak - dodawał - za przykładem tej znakomitej damy i zgodnie z pouczeniem Ewangelii nie rezygnuje ze złota, klejnotów i trefienia włosów, nie mówię już o gardzeniu tym wszystkim.” Elżbieta przebywała głównie w Hatfield lub Ashridge. W roku 1551, a może i wcześniej, zaczęła znowu bywać na dworze królewskim. Regularnie przysyłała bratu pełne szacunku siostrzane listy z pouczeniami, to znów posłała mu swój portret: ”Przyznaję, że powinnam rumienić się ofiarowując Ci wizerunek mej twarzy, lecz nigdy nie będę miała powodu do wstydu ofiarowując Ci moje myśli”; innym znowu razem gratuluje przedwcześnie rozwiniętemu, chorującemu ‘na gruźlicę chłopcu powrotu do zdrowia. Raz po raz słyszało się, że ma wyjść za mąż, ale były to jedynie pobożne życzenia.

W maju 1553 roku, kiedy Edward leżał złożony swą ostatnią chorobą, rozeszły się pogłoski, że Elżbieta przybywa do Londynu i że najstarszy syn Northumberlanda ma zamiar rozwieść się z żoną i poślubić księżniczkę. Na szczęście plotka okazała się fałszywa. Uznano Elżbietę i jej siostrę za ofiary ambitnego Northumberlanda, który chciał odebrać koronę prawowitemu następcy i osadzić na tronie swą synową lady Jane Grey. Elżbieta trzymała się z daleka od tego nieprzemyślanego spisku, choć przemawiał do jej uczuć religijnych. Po załamaniu się intrygi przesłała Marii gratulacje i 29 lipca przybyła w zbrojnej asyście do Londynu. Dwa dni później wyjechała na spotkanie siostry z tysiącem jeźdźców i setką młodych dworzan, a przy uroczystym wjeździe królowej do Londynu, 3 sierpnia, zajęła należne sobie miejsce za królową.

Zdumiewająca była różnica między tymi dwiema przyrodnimi siostrami. Maria miała lat trzydzieści osiem; była niska, bardzo chuda, twarz miała okrągłą, włosy rudawe, duże

jasne oczy i szeroki, raczej długi nos. W swoim czasie była niebrzydka, ale zmartwienia pozostawiły swój ślad i naznaczyły ją przedwczesną powagą. Choroby, być może również będące wynikiem utraień, przyspieszyły przemijanie młodości. Elżbieta dopiero co skończyła lat dwadzieścia i była w kwiecie wieku. Jedni uważali ją za bardzo ładną, inni za urodziwą. W miarę wysoka, miała zgrabną figurę, poruszała się wytwornie, z imponującą godnością. Włosy miała złociste, bardziej rude niż blond; bardzo delikatną, choć nieco oliwkową cerę, wspaniałe oczy, ale nade wszystko prześliczne ręce, którymi umiała się posługiwać. Oto dwa światy: stary i młody. Takie właśnie były dwie córki Henryka VIII.

## ***Rozdział trzeci***

### EKSPERYMENT: KOBIETA NA TRONIE

Anglia znalazła się teraz w takiej sytuacji, przed jaką chciał ją ustrzec Henryk VIII. Miała przekonać się, co są warte rządy kobiety. Dzięki Northumberlandowi wszystko zaczęło się w aurze powszechnej życzliwości; jego egoistyczny spisek wzbudził tak głęboką odrazę, że nawet wielka przepaść podziałów religijnych poszła chwilowo w niepamięć. Londyn witał królową biciem w dzwony i dziękczynnymi nabożeństwami, bankietami i widowiskami, dając wyraz lojalności i przychylności ludu.

Marię czekało niełatwe zadanie. Była żarliwą katoliczką, lecz miała rządzić krajem, w którym reformacja w ciągu dwudziestu lat zdążyła zapuścić korzenie i w którym wyrosło pokolenie uważające władzę papieską za obcą i wrogą. Kraj, zadowolony ze siwej wyspiarskiej izolacji, nienawidził cudzoziemców i obcej jurysdykcji. Pewien spostrzegawczy katolik z Wenecji, po prawie trzech latach spędzonych na dworze Marii, uważał, że prawdziwych katolików jest niewiele i że żaden z nich nie ma poniżej trzydziestu pięciu lat, niemniej jednak Anglicy w zasadzie są gotowi naśladować zwyczaje i obyczaje swego władcy, nawet jeśli będzie mahometaninem lub żydem. Obserwacje te, poczynione zapewne w bardzo ograniczonym kręgu, nie były jednak bezpodstawne, bowiem sobór trydencki nie zdefiniował jeszcze katolickiej nauki wiary, kontrreformacja jeszcze nie wskrzesiła dawnych namiętności i protestantyzm był chwilowo siłą żywą i atakującą. Co więcej, opanował strategiczne części kraju, dominował w miastach i hrabstwach wokół Londynu, najbardziej zaś stanowczych i żarliwych zwolenników miał w samym Londynie, który za poprzedniego panowania stanowił azyl dla emigrantów uciekających przed prześladowaniami religijnymi za granicą. Z wielu punktów widzenia Londyn był synonimem całego królestwa. Tu skupiały się

finanse, handel i administracja; monarchię wiązały z tym miastem nierozzerwalne więzy. Jeśli w późniejszych latach stulecia Paryż wart był mszy, to Londyn w równej mierze wart był kazania. Nie przypadkiem zarówno we Francji, jak i w Anglii charakter religijny kraju określała stolica.

Ale to nie wszystko. Sprzedaż posiadłości ziemskich klasztornych i kościelnych przekształciła reformację w olbrzymi interes, w który zainwestowali wszyscy dysponujący wolnym kapitałem: szlachta, kupcy, yeomeni i arystokracja. Ziemia przechodziła z rąk do rąk jak za naszych czasów akcje, zaś spekulujących było znacznie więcej niż właścicieli ziemi, choć tych też nie brakowało. Podczas gdy doktorzy teologii i laicy do utraty głosu toczyli spory, dla większości ludzi cokolwiek znaczących obrót ziemią pozostawał sprawą najważniejszą; jeśli katolicy głosili prawdę, to przecież głosili ją również protestanci, dając zarazem solidną gwarancję w postaci inwestycji na skalę krajową, nie budzących żadnych wyrzutów sumienia. Nawet dla kleru sprawa nie była prosta, bo wielu duchownych pożeniło się za poprzedniego panowania, a przywrócenie obrządku katolickiego oznaczałoby wybór między rezygnacją z powołania a opuszczeniem żony. Reformacja stała się wielkim zabezpieczeniem stanu posiadania.

Można było ewentualnie wycofać się ze zmian doktrynalnych wprowadzonych za panowania Edwarda VI, chociaż nawet taki krok wywołałby zapewne zamieszki, szczególnie w Londynie, ale myśleć o przywróceniu supremacji papieża było z praktycznego punktu widzenia czystym obłędem. Nic jednak lepiej nie charakteryzuje Marii niż jej stanowcze postanowienie, by szaleństwo to popełnić. Przez dwadzieścia z górą lat, od panieństwa do wieku dojrzałego, religia była dla niej wszystkim - jej prawem, dumą, odwagą i pociechą w przeciwnościach. Podporządkowała się woli ojca, ale dopiero po zawziętej walce, i choć na pozór mu posłuszna, w tajemnicy sporządziła testament, w którym odzęgnęła się od tego czynu. Za ostatniego panowania zbuntowała się przeciw braitu i jego Radzie ślubując, że głowę położy pod topór i poniesie śmierć męczeńską, lecz tnie ustąpi. Przeżycia zrodziły w niej ślepy upór męczennika; pragnęła z całej duszy tylko jednego, a mianowicie, by jej kraj wrócił na łono papieżstwa.

W miesiąc po wjeździe Marii do Londynu w niektórych kościołach miasta zaczęto odprawiać mszę. Powitano to zamieszkami. Jednemu z kapelanów królewskich, wygłaszającemu 13 sierpnia kazanie pod krzyżem przy katedrze Sw. Pawła, przerywano okrzykami: "Papista! Papista! Ściągnąć go z ambony!" Ktoś rzucił w niego sztyletem i ksiądz ledwie uszedł z życiem. Wyglądało na to, że lojalność wobec królowej słabnie ze zdumiewającą szybkością, i chociaż pierwsi protestanczy emigranci zaczęli uciekać w

przewidywaniu zbliżającej się burzy, ich wyjazd nie uszczuplał bynajmniej liczby przywódców oporu przeciw polityce religijnej Marii.

Jako że kłopoty rzadko chodzą w pojedynkę, w jeszcze innej sprawie Maria kierowała się uczuciami, a nie rozumem. Tym problemem, było małżeństwo. Podobnie jak większość jej poddanych, zdawała sobie sprawę, że musi wyjść za mąż; nie do pomyślenia bowiem była królowa niezamężna. Kraj potrzebował króla, zarówno po to, by wspierał ją w rządzeniu, jak i po to, by spłodził następcę. Niezwykła jednomyślność panowała wśród jej doradców, w parlamencie i w całym kraju w kwestii osoby, którą winna wybrać. Musi to być jej poddany, a nie cudzoziemiec, i wszyscy zgodni byli co do tego, że najwłaściwszym kandydatem jest młody Edward Ourtenay, prawnuk Edwarda IV. Henryk VIII kazał stracić jego ojca za zdradę stanu, on sam zaś prawie piętnaście lat przebywał w Tower i dopiero Maria go uwolniła. Zapewne nie był wyśnionym ideałem męża. Wysoki, przystojny i fizycznie pociągający, nie bardzo przykładowie się prowadził po wyjściu z twierdzy i nie odznaczał się bynajmniej silnym charakterem. Niemniej Maria dobrze by zrobiła biorąc go za męża.

Raz jeszcze okazało się jednak, że nie potrafi uwolnić się od przeszłości i że nie umie jako królowa zacząć życia na nowo. Przywykła była we wszystkich trudnych sytuacjach szukać oparcia w radach swego kuzyna, cesarza Karola V. Stosunki z nim, podobnie jak jej wiara, pozostały nie zmienione. Za najbliższego powiernika obrała sobie ambasadora cesarskiego, Simona Renarda; swych doradców angielskich traktowała niemal jak ludzi obcych. Obiecała Karolowi, że gdy dojdzie do wyboru męża, usłucha jego rady, a teraz cesarz skwapliwie postanowił wykorzystać nadarzącą się okazję. Syn jego Filip był w tym czasie wdowcem. Małżeństwo z Marią stanowiło nieodpartą pokusę dyplomatyczną, gdyż wprowadzało Anglię w orbitę wpływów hiszpańskich i powstrzymywało ją od sojuszu z Francją.

Marii taki związek pochlebiał i był dla niej szczególnie dogodny.

Filip był synem jej opiekuna i przyjaciela. Miała w żyłach krew hiszpańską. Twierdziła skromnie, że do małżeństwa skłania ją obowiązek, nie zaś zmysłowość, z chwilą jednak, gdy decyzję podjęła, straciła bez reszty głowę dla Filipa. Stała się upartą, zakochaną panną. Nic nie mogło jej powstrzymać: ani ostrzeżenia doradców, ani niedwuznaczne stanowisko parlamentu, ani nawet coraz głośniejsze szemranie ludu. Oświadczyła, że woli śmierć od innego męża. Zawarcie związku małżeńskiego było jej najbardziej osobistą decyzją jako królowej, i to decyzją fatalną. Zadrasnęła boleśnie wyspiarskie uprzedzenia i rozbudziła we wszystkich Anglikach poczucie urażonej godności. Decyzja ta budziła lejk przed obcą dominacją świecką i jeszcze silniej podkreślała wrogi charakter supremacji papieskiej.



Doprowadziła do zaślubin dwóch opozycji: protestanckiej i politycznej. Odtąd słowa Anglik i protestant stały się synonimami.

Nic dziwnego, że zawiedzeni ludzie odwrócili się od Marii i nadzieje swe związali z jej siostrą! Elżbieta była protestantką, w jej żyłach nie płynęła kropla obcej krwi. Jeśli Maria umrze bezpotomnie, ona zostanie ich królową; bardziej popędliwi ulegali pokusie, by przyśpieszyć i rozstrzygnąć rozwój wydarzeń. Sytuacja stawała się niezmiernie trudna. Nawet gdyby Elżbieta była opatrnościowo rozważna, nie mogłaby przeszkodzić temu, że imię jej pojawiało się na ustach każdego zapaleńca, taka zaś atmosfera nie sprzyjała siostrzanym uczuciom.

W rzeczy samej uczucia te ulegały ochłodzeniu. Maria pragnęła jak najszybciej przywrócić dawną wiarę i ustanowiła z powrotem mszę na dworze, zaś członkowie Rady i dworzanie szybko się przystosowali do zmienionych porządków. Elżbieta i Anna de Cleves dystansowały się w sposób demonstracyjny nie bywając na katolickich nabożeństwach. W Londynie wrzały spory religijne i nie trzeba było ambasadora Renarda, by zwrócić królowej uwagę na groźne konsekwencje jej zachowania. Renard, zaniepokojony zawziętością i pośpiechem Marii, już w pierwszych miesiącach jej panowania posepnie spodziewał się udanego powstania na rzecz Elżbiety i Oourtenaya. Jego często wypowiedane obawy nieuchronnie udzielały się Marii i przyczyniły się do tego, że przychylność zaczęła ustępować miejsca podejrzeniom i niechęci.

Z nastaniem września królowa była tak chłodna i niebezpieczeństwo tak oczywiste, że Elżbieta postanowiła ustąpić. Odwiedziła siostrę i ze łzami w oczach 'błagała o książki i nauczycieli, by mogła naprawić błędy, w których ją wychowano. W święto Narodzenia Matki Boskiej po raz pierwszy uczestniczyła we mszy. Królowa była uszczęśliwiona, Renard sceptyczny; zresztą nie bez powodu, uczęszczając bowiem nieregularnie na mszę, Elżbieta dawała do arozumiemia przyjaciom, że nawrócenia swego nie traktuje poważnie. W niespełna dwa tygodnie łatwowierna Maria zaczęła się obawiać, czy jej nawrócona siostra znowu nie schodzi z dnogi prawdy, i błagała Elżbietę, by szczerze wyznała, czy wierzy bez zastrzeżeń w doktrynę katolicką, czy też, jak twierdzą niektórzy, nawróciła się tylko pozornie. Elżbieta zapewniła siostrę, że postąpiła zgodnie z nakazami sumienia, nie powodując się strachem czy chęcią oszukania kogokolwiek, i w tym właśnie duchu ma zamiar złożyć publiczne oświadczenie. Maria nie wiedziała, czy jej wierzyć; Renard nadal był sceptyczny. Dopatrywał się wszędzie francuskich spisków i intryg. Zauważył, że Elżbieta podczas koronacji potraktowała przyjaźnie ambasadora francuskiego; podsłuchał, jak poskarżyła mu się, że jej korona jest ciężka, na co ambasador odpowiedział: "Cierpliwości! Wkrótce będzie

lepsza.” Mocodawca Renarda, Karol V, wciąż nakłaniał Marię, by pod byle jakim pretekstem osadziła Elżbietę w Tower.

Napięcie nie zelżało, gdy w październiku zebrał się pierwszy parlament od czasu wstąpienia Marii na tron. Do pewnej chwili obrady przebiegały gładko. Cofnięto innowacje religijne z okresu ostatniego panowania, co prawda nie bez pewnego sprzeciwu i przy wyraźnym zastrzeżeniu ogółu członków parlamentu, że nie mają zamiaru pójść dalej i nie chcą przywrócenia supremacji Rzymu. Ponadto na mocy wymownego aktu rozwód Katarzyny Aragońskiej uznano za błędny i nieważny, unieważniono też wszystkie statutowe orzeczenia o nieślubnym pochodzeniu Marii, nie odwołano natomiast klauzul uznających Elżbietę za dziecko nieślubne. Był to znaczny postęp, lecz Maria chciała pójść dalej. Co prawda, z punktu widzenia prawa, Elżbieta pozostała dzieckiem z nieprawego łoża, zgodnie jednak ze statutem zajmowała następne miejsce w sukcesji do tronu. Maria dążyła do odwołania statutu i zwróciła się w tej sprawie o radę do Pageta, jednego z najbardziej wpływowych członków Tajnej Rady. Paget powiedział, że parlament na pewno się nie zgodzi i nie warto nawet myśleć o przeniesieniu sukcesji na inną osobę. Najlepszym wyjściem będzie publiczne przyznanie sukcesji Elżbiecie i wydanie jej za Courtenaya. Rzuci się wtedy ochłap arystokracji i ludowi i uśmierzy ich obawy, że po śmierci Marii Filip sięgnie po koronę lub że Anglia na zawsze przypadnie cudzoziemcowi. W ten sposób królowa pogodzi ich z myślą o swym małżeństwie.

Rada Pageta była gorzką pigułką do przełknięcia. Maria zwróciła się do Renarda. W toku tej rozmowy uświadomiła sobie, że przeszłość została wskrzeszona, że ona i Elżbieta znalazły się w sytuacji Katarzyny Aragońskiej i Anny Boleyn. Powiedziała więc ambasadorowi, że sumienie nie pozwala jej na uznanie sukcesji siostry. Elżbieta jest bastardem, jej matka była przyczyną wszystkich trudności i zmian w królestwie, zaś Elżbieta z kolei znowu doprowadzi wszystko do ruiny. Jej obecność na mszy jest tylko hipokryzją, w swym otoczeniu ma samych heretyków, stale rozmawia z heretykami, daje posłuch zbrodniczej inicjatywie i sympatyzuje z Francuzami. Inne osoby pretendują do sukcesji, ciągnęła Maria. Jest przecież królowa szkocka, księżna Suffolk i hrabina Lennox. Ona osobiście woli tę ostatnią.

Pod koniec listopada Elżbieta była w tak wielkiej niełasce, że dworzanie bali się bywać u niej i z nią rozmawiać. Zdarzało się, że nie uznawano jej rangi i musiała postępować za hrabiną Lennox i księżną Suffolk. Odwrót wydawał się najlepszym wyjściem. Elżbieta poprosiła o pozwolenie niebywania na dworze i uzyskała zgodę. Szóstego grudnia wyruszyła do Ashridge eskortowana przez prawie pięciuset panów na kaniach. Siostry rozstawały się na

pozór w przyjaźni. Elżbieta prosiła Marię, by nie dawała posłuchu plotkarzom, lecz pozwoliła jej wytłumaczyć się osobiście, gdy coś złego o niej usłyszy. Po przejechaniu dziesięciu mil posłała po lektykę, równocześnie prosząc siostrę o kapy, ornaty i inne paramenta liturgii katolickiej. Jakże typowy to był chwyt! Ale Maria nie dała się już dłużej oszukiwać. Była rozgoryczona, niespokojna i nieszczęśliwa.

Barometr zaczął wskazywać na burzę. W tym samym dniu, w którym Elżbieta wyjechała do Ashridge, rozwiązano parlament, a do sali audiencjonalnej w pałacu królewskim wrzucono psa z ogoloną głową, postronkiem okręconym wokół szyi, obciętymi uszami i napisem głoszącym, że wszystkich księży i biskupów należy powiesić. Tuż przed Wigilią Bożego Narodzenia pojawiły się w Londynie egzemplarze rozprawy przeciw supremacji papieskiej, napisanej jeszcze za panowania Henryka VIII przez Gardinera, obecnego Lorda Kanclerza. Wydali ją, opatrzywszy karczemną przedmową, protestanci emigranci. Napływały meldunki o zaburzeniach oraz wystąpieniach w mowie i na piśmie przeciw Hiszpaniom i małżeństwu królowej. Damy dworu Marii były przestraszone; ona sama wpadła w melancholię i zaczęła znowu rozważać propozycję Pageta, by Elżbietę wydać za Courtenaya. W Wigilię Bożego Narodzenia w jakiejś parafii kornwalijskiej niejaki Sampson Jackman ozinajmił, że jeszcze przed Nowym Rokiem "cudzoziemscy przybysze spadną nam na głowę, a jest ich już kilku w Plymouth". "Nie powinna kobieta dzierżyć u nas miecza" - odpowiedział mu znajomek. "A jeśli już kobieta miecz ma dzierżyć - rzekł na to Jackman - to pierwsza powinna to zrobić pani Elżbieta." Ambasadorzy, których Karol V wysłał, by zawarli umowę ślubną, przybyli do Londynu 2 stycznia 1554. Na dzień przed tym londyńscy ulicznicy obrzucili ich święty kulami śnieżnymi, a teraz, kiedy oni sami przejeżdżali przez ulice miasta, "ludzie, bynajmniej me uradowana, stali ze smutnie opuszczonymi głowami".

Za tymi demonstracjami krył się spisek, który ujawnił się 25 stycznia, kiedy w hrabstwie Kent wybuchła rebelia Wyatta. Rozpoczęła się przedwcześnie, Oourtemay bowiem, związany ze spiskiem, okazał się człowiekiem słabym i oszukał swych towarzyszy. W następstwie tego upadły regionalne powstania w Devon, w hrabstwach Anglii środkowej i w Walii i sam tylko Wyatt odniósł pewne sukcesy. Przez dwa tygodnie jednak tron Marii wisiał na włosku i gdyby nie jej wspaniała odwaga, rebelia zapewne by się powiodła. Załamała się 7 lutego po klęsce Wyatta i wzięciu go do niewoli.

Karol V i jego ambasadorzy, oceniając sytuację, dochodzili do wniosku, że za wszelką cenę należy uwolnić świat od młodej kobiety, która przez sam fakt swego istnienia zagrażała polityce Marii i była stałym zarzewiem buntów. Maria pilnie śledziła Elżbietę. Na dwa lub trzy dni przed rebelią Wyatta napisała do niej i otrzymała wdzięczną odpowiedź: Elżbieta

donosiła, że nie pisała dotąd ze względu na zły stan zdrowia. List tchnął niewinnością, wkrótce jednak wrażenie to się rozwiało, gdy rząd stwierdził, że Wyatt namawiał Elżbietę, by przeniosła się z Ashridge do Donnington Hali w Berkshire i tam, dalej od Londynu, broniła się w razie potrzeby do 'zwycięskiego zakończenia rebelii. Natychmiast wysłano rozkaz wzywający ją do stawienia się w Londynie. Maria wciąż jeszcze czekała na odpowiedź, a tymczasem los spletał Elżbiecie okrutnego figla. Rząd, pragnąc rozeznaczyć się w spisku Wyatta, zdecydował się na zwyczajny rozbój i porwał kuriera ambasadora francuskiego. W poczcie znaleziono kopię listu Elżbiety do królowej! Choć kopia trafiła tam bez wiedzy Elżbiety, urzędnicy Marii nie mogli o tym wiedzieć i rzecz jasna pośpiesznie doszli do wniosku, że księżniczka utrzymuje stałą łączność z ambasadorem. Kiedy Kanclerz Gardiner otworzył pakiet kurierski i ujrzał wymowny dokument, poczuł ów dreszcz tak dobrze znany hazardzistom, gdy trafia im się niezwykła karta. Na domiar złego Elżbieta napisała, że stan zdrowia nie pozwala jej usłuchać rozkazu królowej i jechać do Londynu. Zdawało się to potwierdzać podejrzenia rządu.

Gdy tylko klęska Wyatta rozwiązała Marii ręce, przystąpiła energicznie do działania. Wysłała trzech członków Rady w towarzystwie swych osobistych lekarzy i silnej eskorty, by przywieźli Elżbietę do Londynu, jeśli jest w stanie podróżować. Choroba okazała się prawdziwa. Elżbieta była opuchnięta - w owym czasie miewała częste nawroty tej choroby - i leżała obezwładniona strachem. Ale dało się ją przewieźć. Rzemiennym dyszlem przybyła na dwór królewski. Wyprzedzały ją plotki, jedne głoszące, że została otruta, inne, że jest enceinte. Dwudziestego drugiego lutego przejechała przez miasto do Westminsteru. Firanki lektyki rozsunięto, by mogła się pokazać ludowi. Była cała w bieli, twarz miała schorowaną i bladą, ale dumną i godną księżniczki postawą maskowała nurtujące ją obawy. Miasto przedstawiało obraz grozy i opuszczenia. Głowy i poćwiartowane ciała zdrajców na bramach stanowiły obrzydliwe ostrzeżenia, zaś dwadzieścia szubienic przypominało o niedawnej krwawej rozprawie. Nieszczęsna Jane Grey, królowa przez dwanaście dni, została ścięta; rzeź wciąż jeszcze trwała."Tyle szlachetnej krwi przelanej za cudzoziemców" - szemrał lud. Czyżby jeszcze jedno, i to szlachetniejsze życie miano złożyć w ofierze temu hiszpańskiemu związkowi małżeńskiemu? Tak by się stało, gdyby Simon Renard mógł postawić na swoim.

Maria, podobnie jak Renard, nie miała żadnych wątpliwości, że Elżbieta jest wmieszana w spisek, i jeśli byłyby na to dowody, księżniczka nie mogłaby liczyć na łaskę. Wielokrotnie przesłuchiowano Wyatta i innych, usiłując zdobyć dowody winy, które pozwoliłyby skazać Elżbietę. Wyszło na jaw, że Wyatt pisał do niej dwukrotnie i otrzymywał na swe pisma odpowiedzi, ale tylko ustne i w sumie niewinne. Może nawet nie były to jej

słowa, albowiem w spisek zamieszani byli jacyś jej dworzanie i nie sposób stwierdzić, czy nie nadużyli imienia swej pani. Słów zresztą zawsze można się zaprzecć. Elżbieta jednak na tym nie poprzestała:”Jeśli idzie o zdrajcę Wyatta - oświadczyła - to być może jakiś list do mnie napisał, ale moim honorem ręczę, że ja żadnego listu od niego nie otrzymałam.” Nie wiadomo, czy mówiła prawdę, czy tylko sprytną półprawdę, trudno jednak uwierzyć, by nie wiedziała o spisku. Być może go nie pochwalała, nie leżało bowiem w jej naturze cieszyć się perspektywą korony otrzymanej z rąk buntowników, i to za cenę życia siostry. Ale jeśli nawet wiedziała i nie pochwalała - zdają się o tym świadczyć pewne fakty z lat późniejszych - to i tak nie mogła przecież przeciwstawiać się lub zdradzić ludzi, którzy z całym poświęceniem walczyli o jej sprawę. Nie miała innego wyboru, jak unikać wszystkiego, co mogłoby ją beznadziejnie skompromitować. Wymagało to umiejętności, lecz w takiej właśnie umiejętności celowała. Rząd i potomność mogą najwyżej powtórzyć słowa, które podobno wydrapała na szybie okiennej:

Wielce mi jest podejrzane, Nic wszako nie wykazane.

Istniały jednak dostateczne racje, by ograniczyć swobodę ruchów Elżbiety. Mimo sprzeciwu kilku członków Rady postanowiono osadzić ją w Tower. Sąd nad Wyattem wyznaczony był na 15 marca i wtedy lud się dowie, że Elżbieta jest skompromitowana, postanowiono więc przewieźć ją do Tower następnego dnia. Osłupiała, kiedy jej powiedziano, że ma się przygotować. Nie mogła uwierzyć, by to była decyzja siostry, błagała o audiencję, a kiedy jej odmówiono, poprosiła o pozwolenie napisania przynajmniej listu. Czułe serce hrabiego Sussex uległo, zasiadła więc Elżbieta do pisania. Błagała siostrę, by nie wtrącała jej do Tower, ”miejsca bardziej odpowiedniego dla wiarołomnego zdrajcy niż dla wiernego poddanego”. ”Klnę się przed Bogiem, który osądzi moją prawdomówność, choćby nie wiadomo jakie oszczerstwa wymyślono, że nigdy nie zrobiłam, nie dałam zgody na nic i nie ukrywałam niczego, co w jakikolwiek sposób mogłoby zaszkodzić Tobie lub co mogłoby w jakiegokolwiek mierze zagrażać państwu... Niechaj sumienie podpowie Waszej Wysokości lepszy sposób postępowania ze mną niż skazanie mnie na oczach wszystkich ludzi przed wykazaniem mojej winy.” Błagała siostrę, by pozwoliła jej osobiście odpowiedzieć za stawiane zarzuty.”Za mego życia słyszałam już o wielu takich - dodawała - którzy znaleźli się w niełasce tylko dlatego, że nie mogli osobiście stanąć przed swym władcą.”

W tym właśnie czasie, kiedy zrozpaczona młoda kobieta pisała list, przytyływ podniósł poziom wody na Tamizie i nie można było tego dnia bezpiecznie przepłynąć pod Mostem Londyńskim. Zyskała więc Elżbieta to, czego tak bardzo pragnęła - czas na skierowanie prośby, która miała wzruszyć Marię. Zamiast jednak litości wzbudziła w niej gniew na

doradców, którzy okazali Elżbiecie pobłażliwość. Nie śmieliby tak się zachować za czasów jej ojca! Gdybyż on ożył choćby na miesiąc! Następnego dnia, w Niedzielę Palmową, około dziesiątej rano, kiedy wszyscy byli w kościele

L palmami, z Whitehall odpłynęła ukradkiem w dół rzeki barka wioząca Elżbietę do Schodów Zdrajców (Traitors\* Stairs). Padał deszcz, dzień był ponury. Śmierć wydawała się bardzo bliska. Ludzie słyszeli, jak wchodząc do Tower, z oczyma wzniesionymi, powiedziała do dozorców i żołnierzy:”Mój Boże! Nigdy nie myślałam, że przybędę tu jako więzień; więc proszę was wszystkich, dobrzy ludzie i przyjaciele, bądźcie mi świadkami, że przybyłam nie jako zdrajca, lecz kobieta jak nikt inny wierna Jej Królewskiej Mości, i że zachowam jej wierność do śmierci.”

Rząd nadal szukał dowodów. Wyatt został stracony dopiero 11 kwietnia: do tego czasu zwlekano z egzekucją spodziewając się nowych rewelacji. Dworzanin Elżbiety, sir James Croft, jeden z głównych spiskowców, był”przedziwnie dokładnie przesłuchiwany” Przesłuchano wszystkich możliwych świadków. Elżbiecie kazano odpowiadać na nowy zestaw pytań. Simon Renard naciskał na Marię. Wciąż powtarzał, że najważniejszą rzeczą jest zapewnienie porządku, nim Filip będzie mógł stanąć na ziemi angielskiej. Do Marii ten argument przemawiał najsilniej, rozpaczliwie bowiem spieszno jej było do skonsumowania małżeństwa. Nic dziwnego, miała lat trzydzieści osiem i czuła, że skrada się nieuchronna starość.

Dowodów brakło i w końcu stało się rzeczą jasną, że nie ma podstaw do stracenia Elżbiety. Sędziowie oświadczyła, że dowody winy nie są wystarczające, by wydać wyrok. Pozostawała co prawda broń nadzwyczajna, której na ogół używano w tak kłopotliwej sytuacji - akt orzekający utratę praw; ale o skierowaniu tej broni przeciw Elżbiecie nie można było nawet marzyć. Parlamenti bywają ustępliwe, do pewnych jednak granic. Z grubsza odzwierciedlały opinię publiczną, ta zaś obecnie bynajmniej nie była skłonna tolerować zastosowania nienormalnej procedury wobec następczyni tronu. Rada też nie była jednomyślna. Niektórzy członkowie, a należał do nich admirał, lord William Howard, wujeczny dziadek Elżbiety, mogli w takim wypadku wystąpić bardzo gwałtownie. Londyn doprowadzał Marię do rozpacz. Piątego marca około trzystu dzieci zebrało się na łące i podzieliwszy się na dwie grupy bawiło się w wojnę między królową a Wyattem. Batalię zakończyło dopiero wzięcie do niewoli i powieszenie królewicza hiszpańskiego; natychmiast zdjęto go z szubienicy. W dziewięć dni później tysiące ludzi zgromadziły się, by posłuchać, jak ze ściany przemawia duch, najświeższy cud w stolicy. Kiedy ludzie wołali:”Boże, chroń królową Marię!”, duch nie odpowiadał, ale kiedy wołali:”Boże, chroń księżniczkę Elżbietę!”,

odpowiadał: „Amen!” Na pytanie: „Co to jest msza?”, replikował: „Bałwochwalstwo!” Drugiego kwietnia, w dniu otwarcia parlamentu, w mieście rozdawano wywrotowe ulotki w obronie Elżbiety oraz odezwę głoszącą: „Nie ustępujcie, działajcie zgodnie, a w ten sposób nie wpuścimy królewicza hiszpańskiego do naszego państwa.” Następnej niedzieli powieszono na szubienicy w Cheapside zdechłego kota w stroju przypominającym ornat z haftowanymi krzyżami. Miał wygolony łebek i kawałek papieru podobny do opłatka w przednich łapach. W trzy dni potem Wyatta stracono. Z szafotu oświadczył zebranym tłumom, że Elżbieta i Oourtanay nie wiedzieli zawczasu o zorganizowanym przez niego powstaniu. Słowa te, choć niewiele mówiące, sprawiły rządowi kłopot, o czym świadczyło postawienie dwóch mężczyzn pod pręgierz za rozpowszechnianie pogłosek, jakoby Wyatt oczyścił z winy księżniczkę Elżbietę. Następny cios padł 17 kwietnia, kiedy to ogólnie szanowana londyńska ława przysięgłych uznała sir Nicholasa Throckmorta nie winnym zdrady, za co przysięgłych aresztowano i skazano na wysokie grzywny. Tego samego dnia ktoś zdjął głowę Wyatta z pala, na który ją wbito, zaś w kilka dni później na stole kuchennym królowej znalazła się ulotka zawierająca pogroźki pod adresem Marii, Gardinera i innych, szkalująca Filipa i ostrzegająca go, że jeśli wyląduje w Anglii, uczyni to na własne ryzyko. Renard spodziewał się kolejnej rebelii w maju.

Konflikt Marii z Elżbietą utknął właściwie w martwym punkcie. Paget uważał, że nie można Elżbiety ani stracić, ani pozbawić prawa sukcesji. Nie powinno się jej przetrzymywać w Tower, ponieważ stwarza to niebezpieczną sytuację, nie można jej uwolnić, bo z tego będą tylko kłopoty, wreszcie nie sposób pozwolić jej na przebywanie na dworze, to bowiem obrażałoby królową. Pozostawało jedno wyjście: mniej lub bardziej honorowe trzymanie jej pod ścisłą strażą w jakiejś posiadłości wiejskiej. Wybrano królewską rezydencję Woodstock w hrabstwie Oksford, zaś strażnikiem uczyniono członka Rady, sir Henry Beddingfielda.

W sobotę 19 maja, po dwóch miesiącach pobytu w Tower, Elżbieta popłynęła łodzią do Richmond. Był to pierwszy etap jej podróży. Londyńczycy cieszyli się, przekonani, że wyszła na wolność. Kiedy łódź mijała kantor hanzeatycki (Steelyard), kupcy oddali trzy salwy z dział. Dziennymi etapami płynęła z Richmond do Windsoru, następnie do domu sir Williama Dormera w West Wycombe, po czym do Ricote, posiadłości lorda Williams(r) z Thame, gdzie wspaniale ją podejmowano. Dwudziestego trzeciego maja dotarła z Ricote do Woodstreak. Gromadzący się po drodze ludzie okazywali jej wiele życzliwości. Kobiety z Wycombe przyniosły tyle ciast, że musiała prosić, by się wstrzymały, bo ciężar był zbyt wielki. W Aston czterech mężczyzn pobiegło do kościoła i uderzyło w dzwony, za co później

zamknięto ich w więzieniu. W Wheatley i Stanton St. John całe wsie wyszły jej na spotkanie wołając:”Boże, ochroń Jaśnie Oświeconą Księżnę!”

W Woodstock zastosowano ściśle środki ostrożności, by nie dopuścić do uwolnienia Elżbiety i uniemożliwić jej tajne porozumiewanie się ze światem zewnętrznym. W nocy oddział żołnierzy trzymał wartę na wzgórzu przed domem. Bez pozwolenia Bedingfielda nikt nie mógł wejść do środka ani nic doręczyć. Nieliczne damy dworu i służbę dobrano troskliwie. Jedna z dworek usunięto na osobisty rozkaz Mani, co wprawiło Elżbietę w zły humor.”Przełożoną dziewcząt” była dama dworu królowej, Kate Ashley zaś trzymano oczywiście w bezpiecznej odległości. Thomas Parry, jako Skarbnik, zawiadywał wyżywieniem i opłacaniem dworu, nie wolno mu było jednak mieszkać w domu. Rada chciała, by w ogóle wyniósł się z okolicy, ale Parry zamieszkał w Woodstoak w gospodzie Pod Bykiem, zatruwając życie przerażonemu Bedingfieldowi, bo ludzie Parry’ego, jedni w jego liberii, inni w służbie u jego pani, dzień w dzień przyjeżdżali i wyjeżdżali, przy czym ich liczebności bynajmniej nie usprawiedliwiały obowiązków Parry’ego. Gospoda Pod Bykiem stała się też niemal jawną kwaterą główną przyjaciół Elżbiety. Przebywał tam młody Francis Yerney, o którym Bedingfield pisał:”Jeśli gdziekolwiek w Anglii dzieją się jakieś występne rzeczy, to ów Vemey jest w nie wtajemniczony.” Elżbieta i jej domownicy byli zbyt żywą kompanią dla tępego strażnika.

Sir Henry, do przesady uczciwy, do przesady pozbawiony wyobraźni i do przesady nieśmiały, był kompletnie zbity z tropu humorami”tej wielkiej damy” - tak bowiem zaczął o niej pisać - i jej nieustannymi próbami wyłudzenia nowych ‘Ustępstw. Instynktownie trzymał się udzielanych mu instrukcji z zaciekłością buldoga i nie postawiłby kropki nad”i” bez zapytania wprawo o zgodę Rady. Parry przysłał Elżbiecie tom Cycerona i łaciński przekład Psalmów; trzeba było Radę zapytać, czy można jej te książki doręczyć. Elżbieta zażądała Biblii angielskiej: Bedingfield zaproponował jej Cycerona i Psalmy, a tymczasem napisał do Londynu w sprawie Biblii. Życie stało się dla Elżbiety osobliwą utarczką z jego bukolicznym uporem, faktycznie zaś - bo przecież z pewnością się domyślała, że Bedingfield skrupulatnie o wszystkim informuje Radę - z władzami na dworze. Wyłudziła od niego pozwolenie napisania listu do Marii, ale ton skrzywdzonej niewinności tak bardzo rozgniewał królową, że zabroniła dalszego wysyłania tego rodzaju”podstępnych i kłamliwych listów”. Pragnąc na to odpowiedzieć, Elżbieta poprosiła Bedingfielda, by ją wysłuchał i powtórzył jej słowa w piśmie do Rady. Odmówił. Wobec tego skarżyła się, że jest gorzej traktowana niż więzień w Tower, co więcej, po dniu rozmyślań doszła do wniosku, że jest gorzej traktowana niż najgorszy więzień Newgate. Wszystko to dotarło do Rady i w rezultacie postawiła na swoim.



Ograniczyła się do powtórzenia zapewnień o swej niewinności. Następnie zaczęła molestować, by pozwolono jej osobiście napisać do Rady. Po otrzymaniu zgody zwlekała przez tydzień, nim zażądała piór i papieru; w końcu oświadczyła, że do członków Rady zawsze pisała przez sekretarza, i zmusiła Bedingfielda, by wystąpił w tej roli. W czasie nawrotu choroby, obrzęku twarzy i ciała, zażądała lekarzy królowej. Oświadczone jej, że wszyscy są zajęci, i zaproponowano usługi innych medyków. Odmówiła. "Nie mam zamiaru - zawołała - obcego człowieka wtajemniczać w stan mego ciała, lecz pragnę oddać je Bogu." Wreszcie postawiła na swoim. I tak ciągnęła się ta komedia.

A tymczasem polityka zagraniczna Marii wkraczała w etap realizacji. W lipcu 1554 Filip wylądował w Southampton, w pięć dni później poślubił królową w Winchesterze. Lud zachowywał się przyzwoicie i wspaniałe ceremonie przebiegły całkiem gładko. Londyn przybrał weselszy wygląd. Rozebrano dwadzieścia szubienic, które stały od powstania Wyatta, obywatele miasta raczono dobrymi napitkami. Dziewiętnastego sierpnia londyńczycy powitali z niezwykłą pompą uroczysty wjazd króla i królowej do miasta. Winę za jedyny nieprzyjemny incydent ponosił malarz, który sporządził portrety dziewięciu słynnych ludzi na obrotowej wieżyczce fontanny na Gracechurch Street. Nierozważnie przedstawił Henryka VIII nie z berłem, mieczem lub toporem w ręce, jak inne osobistości, lecz z Biblią, z wypisanymi na niej słowami: "Yerbum Dej." Spostrzegawczy Gardiner natychmiast to zauważył podczas uroczystego przejazdu. Zirytował się straszliwie i zrobił awanturę malarzowi, który udawał, że nie rozumie, o co właściwie robi się tyle hałasu, wrócił, zamalował Biblię i włożył w ręce Henryka rękawiczki!

Filip bardzo się starał zachowywać układnie i trzymać w garści swą dumną świtę, ale bliższa znajomość bynajmniej nie przyczyniła się do wzrostu wzajemnej sympatii między Anglikami i Hiszpanami. Jak notował współczesny kronikarz, "w owym czasie tylu było Hiszpanów w Londynie, że na ulicy spotykało się na jednego Anglika aż czterech Hiszpanów, co oczywiście sprawiało wielką przykrość narodowi angielskiemu". Uwagę jego należy rozumieć w tym sensie, że przeciętny landyńczyk w najlepszym wypadku ścierpiałby jedną czwartą Hiszpanów, którzy znaleźli się w jego mieście. Piątego września rozeszła się "pogłoska, że do Anglii ma zjechać jeszcze dwanaście tysięcy Hiszpanów, podobno, by zabrać koronę". Potem rozpuszczono plotkę, że arcybiskupem Canterbury został mnich hiszpański. Kiedy spotykali się przedstawiciele obu narodowości, byle pretekst wystarczał, by szable szły w ruch i często dochodziło do utarczek. Zaprawdę dała Maria potężną broń do ręki swym krytykom i wrogom sprowadzając Hiszpanów do Anglii. Jakież to jednak mogło mieć znaczenie dla zakochanej bez pamięci kobiety?

Nie spełnione było jeszcze następne wielkie marzenie królowej. Legat papieski, kardynał Pole, od roku niecierpliwił się przed progami królestwa; Piotr domagał się dostępu do domu Marii Z różnych powodów nie chciano się na to zgodzić przed ślubem, lecz teraz drzwi się przed nim rozwarły. Trzydziestego listopada 1554 roku rozegrały się wzruszające sceny - królowa cichutko pochlipywała, członkowie parlamentu padali sobie w ramiona płacząc i powtarzając: "Amen, amen!" Parlament korzył się w pokucie i błaganiach przed wysłannikiem papieża i słuchał, jak naród otrzymuje uroczyste rozgrzeszenie. Anglia wróciła na łono i zjednoczyła się z Kościołem Chrystusowym. Ale ani chwilowe ich wzruszenie, ani duchowa rozterka Pole'a obserwującego ten interes ubity kosztem zbawienia duszy nie mogły powstrzymać tych praktycznych i już otrzeźwiałych ludzi od zapewnienia sobie antypapieskiej gwarancji, (zapewniającej im przejęcie klasztornej i kościelnej własności).

Osiągnięciem tego parlamentu było wsparcie prawidłości straszliwymi argumentami płonących stosów. W lutym 1555 roku zaczęły się hekatomby, które Marii i Bonnerowi zasikarbiły przydomki "krwawych". Tej rzezi nie mogli przewidzieć ludzie głosujący za ustawami przeciw heretykom. Byli nią wstrząśnięci ambasadorowie cesarza, Francji i Wenecji, choć cudzoziemcy i katolicy, cóż dopiero Anglicy. Zagłada nie sprzyjała krzewieniu wiary katolickiej, wzbudziła jedynie podziw dla odwagi męczenników. Kiedy stracono pierwszą ofiarę, Johna Rogersa, zebrany lud - jak pisał ambasador francuski - tak wiatował na jego cześć, jakby go prowadzono do ślubu, a nie na szafot. Płonące stopy rozjątrzyły stare rany, Anglicy bowiem nie byli zwolennikami jurysdykcji kościelnej i chociaż przywykli do widoków egzekucji, nawet do straszliwej śmierci, jaka spotykała zdrajców, te jednak procesy o herezję uważali za szczególnie obrzydliwe, obce, księżowskie. Co więcej, królowa, sprzyjająca bardziej cudzoziemcom niż Anglikom, pozbywała się w ten sposób poddanych, których nie tylko religijne, lecz i polityczne poglądy uważała za niewłaściwe.

Do bigoteryjnego umysłu Marii żadne wątpliwości nie miały dostępu. Małżeństwo i pogodzenie z Rzymem wprawiły ją w stan euforii. Oczekiwała teraz ostatniego dowodu szczerze spływających łask bożych, potomka, który przejmie i utwali jej dzieło. Po spotkaniu z Pole'em w listopadzie 1554 roku była w takim uniesieniu, że oznajmiła, iż spodziewa się dziecka. Nakazano odśpiewanie Te Deum we wszystkich kościołach. Kaznodzieja u Sw. Pawła wołał: "Nie trwóż się, Mario! Znalazłaś bowiem upodobanie w oczach Pana. I oto poczniesz w łonie swym i urodzisz syna!" Poglądy innej części ludności wyrażone zostały w ulotce, którą przybito do drzwi pałacu w Hampton Court: "Pocziwi Anglicy, nie jesteśmy przecież aż takimi głupcami, by uwierzyć, że nasza królowa jest w odmiennym stanie!"

W miarę jak ciąża stawiała się coraz widoczniejsza Maria zaczęła gorączkowo rozmyślać nad tym, co się stanie, jeśli umrze w położu. Tak oto zmów wypłynął problem Elżbiety. Maria wciąż nie mogła się zdecydować, co z nią zrobić. Jeśli nadal będzie ją więzić, może zrazić sobie potężnych lordów, natomiast na wolności Elżbieta może pobudzić do nowych spisków. Renard po nagłej zmianie frontu przestał występować jako advocatus diaboli. Nie nalegał już na zgładzenie Elżbiety, lecz popierał politykę Pageta domagającego się uznania jej praw do sukcesji. Tłumaczyło się to w sposób prosty. Gdyby Maria zmarła, dla Hiszpanów korzystniejsze byłoby objęcie tronu przez Elżbietę niż przez inną następczynię, Marię, królową Szkocji, zaręczoną z francuskim Delfinem. Tak więc Elżbieta zyskała na dworze potężnego przyjaciela w osobie Filipa.

Maria reagowała powoli, bardzo powoli. W końcu myśli o śmierci skłoniły ją do działania, było bowiem więcej 'niż prawdopodobne, że w przypadku jej zgonu lud da upust [nienawiści do Filipa i jego Hiszpanów; należało ich zabezpieczyć, najskuteczniej eaś dałoby się to zrobić sprowadzając Elżbietę na dwór królewski. Pod koniec kwietnia 1555 roku Bedingfield eskortował swą podopieczną z Woodstock do Hamipton Couirt. Pozostał do końca łęklwym i rygorystycznym opiekunem.

Przez pewien czas Elżbieta przebywała w ścisłej izolacji. Królowa przyjęła ją prywatnie, księżniczka podobno błagała na klęczkach siostrę, by uwierzyła jej, że zawsze była i nadal jest najlojalniejszą poddaną."Wciąż nie chcesz wyznać siwej przewiny i upierasz się przy swej prawdzie - odpowiedziała Maria - daj Boże, by to się sprawdziło." „Jeśli się nie sprawdzi - rzekła Elżbieta - nie będę Waszej Miłości prosiła o względy lub łaskę." „No cóż - stwierdziła Maria - trudno, trzymasz się swego. Jak bardzo to do ciebie pasuje, nie tylko nie chcesz się przyznać, ale jeszcze utrzymujesz, że zostałam niesprawiedliwie ukarana." „Nie śmiałabym tego powiedzieć Waszej Miłości." „Więc na pewno powiesz innym." „Nie, Pani, dźwigam to brzemie i nadal muszę je dźwigać. Tylko pokornie błagam Waszą Miłość, by była dobrego zdania o moim zachowaniu dotąd i uwierzyła, że takie będzie ano do samej śmierci." Z tym się rozstały. Królowa zachowała swe wątpliwości, zaś Elżbieta swe przekonania. Stopniowo odzyskiwała swobodę. Już wkrótce dworzanie mogli ją widywać; pozwoleń udzielano ostrożnie i niechętnie.

Zbliżał się czas rozwiązania królowej. Trzydziestego kwietnia rozeszły się po Londynie wieści, że Maria powiła syna; odśpiewano Te Deum i uderzono w dzwony. Następnego dnia przyniósł rozczarowanie."A jednak to się stanie, kiedy Panu Bogu się spodoba - notował kronikarz - wierzę bowiem, że Bóg pamięta o swych wiernych sługach, którzy Go wzywają i pokładają w Nim nadzieję." W maju były już gotowe listy

zawiadamiające zagranicznych władców o przyjściu ma świat potomka; poczyniono wszystkie przygotowania, by je doręczyć. Pragnąc dodać otuchy Marii, pokazano jej troje pięknych niemowląt, powitych bez komplikacji przez kobiety”drobnej postury i podeszłą w leciech”. Z nastaniem czerwca Maria zległa.

A potem mijały tygodnie i inic się mię działo. Poszły w ruch języki, powtarzano płaskie dowcipy, protestanci przysięgali, że cała historia jest znową, by narzucić krajowi podstawione dziecko. Przybył polski ambasador\* z wyuczoną na pamięć łacińską oracją, w którą wpleciono gratulacje z okazji przyjścia na świat potomka; nieszczęsny musiał całą mowę wygłosić przed królem! W niedługim czasie wszystkie te perypetie zaczęły się obracać w dworską farsę. Filip od miesięcy niecierpliwie wypatrywał okazji, by uciec ze znieawidzonego kraju i od żony zbyt leciwej i za bardzo steranej, by mogła rozpalić w nim choćby iskrę pożądania, ale musiał wytrwać do końca tej tragikomedii pozorowanej ciąży.

Trzeciego sierpnia dwór przeniósł się na kilkanaście dni do Oatlands. Trzeba było poabyć się tłumów, które się gromadziły przed Hampton Court, powstrzymać nieustanne procesje religijne i ‘Umożliwić Marii jak najmniej kłopotliwy powrót do życia publicznego. Filip myślał tylko o tym, jak opuścić Anglię. Dwudziestego szóstego sierpnia 1555 wyruszył z Marią przez Londyn do Greenwich, stamtąd zaś po trzech dniach udał się do Dover i Flandrii

Maria została w swym ulubionym Greenwich. Sprowadziła bernardynów z powrotem do ich klasztoru, w którym mogła mamować swych obowiązków żyć jak zakonnica, uczestnicząc we wszystkich nabożeństwach. Do późnej nocy ślęczała samotna i smutna nad listami do Filipa, pisząc o sprawach angielskich. Łudziła się, że za kilka tygodni wróci, ale włókł się miesiąc za miesiącem, a jego nie było. Coraz częściej wpadała w melancholię. Od dzieciństwa skłonoa była do leż; teraz słabość tę pogłębiało uczucie zawodu w ży-

\* Posłem tym był Wojciech Kryski, wysłany do Londynu w 1555 roku przez Króla Zygmunta Augusta; por H. Zms, Polska w oczach XIVXVI w., Warszawa 1974, s. 33. (Przyp. kons.)

ciu publicznym i osobistym. Małżeństwo okazało się bezdzietne. W tragicznej farsie połogu opinia publiczna dopatrywała się dowodu, że inaczej być nie mogło. Ludzie w miarę otwarcie, na tyle, na ile śmieli, zaczęli zabiegać o względy jej następczyni Elżbiety - skały, o którą mogła się rozbić katolicka Anglia. Maria nie miała żadnych złudzeń. Opozycja nie zasypiała gruszek w popiele i nie mijał tydzień, by nie doszło do jakiegoś incydentu lub by kogoś nie aresztowano. Wiedziała, że jeśli umrze bezpotomnie, po niej nastąpi Elżbieta i

protestantyzm. Ale ona nie umrze bezpotomnie, do tego nie dopuści! Na pewno będzie miała dziecko, byle tylko Filip wrócił, nim ona się zestarzeje.

Elżbieta również była w Greenwich. Miała mocniejszą pozycję niż przed dwoma laty, kiedy jesienią 1553 roku przebywała na dworze królewskim. Wrogowie zdawali sobie sprawę z jej popularności, wiedzieli, że ich możliwości są ograniczone, Filip był jej przyjacielem; na wszelkie możliwe sposoby starała się pozyskać jego względy i sympatię jego hiszpańskiego otoczenia. Jeśli zachowa się rozważnie, czas będzie pracował dla niej. Powinna wystrzegać się małżeństwa podyktowanego hiszpańskimi interesami. Ponadto istniało niebezpieczeństwo, że podobnie jak Courtenaya wyślą 39 za granicę, by nie przeszkadzała w kraju. Tego rodzaju sugestie wciąż się powtarzały i mogła tylko liczyć na to, że jej przyjaciele na dworze oraz strach przed gniewem ludu pokrzyżują takie plany.

Rozwaga miała duże znaczenie, lecz istniał jeden nieprzewidziany czynnik, który mógł zaważyć na losach Elżbiety, a mianowicie nieostrożność jej przyjaciół. Sprzeciw wobec polityki Marii nieustannie wyrażał się w balladach i pamfletach, wywrotowych wypowiedziach i spiskach. Ogniskiem tej zarazy było otoczenie Elżbiety. W lipcu 1554 roku aresztowano jednego z jej służących za wywrotową wypowiedź; w marcu roku następnego inny służący musiał się stawić przed Radą; w kwietniu uwięziono trzeciego; w maju jej włoski preceptor, Baptista Castiglione, już raz chyba aresztowany, znalazł się w Tower, bo podejrzewano go o współautorstwo buntowniczego dialogu. Podobno tysiąc egzemplarzy tego dialogu skonfiskował burmistrz Londynu. W czerwcu aresztowano astrologa Johna Dee oraz trzech innych - jeden z nich, a może dwóch, było na jej służbie - za sporządzenie horoskopu Elżbiety równocześnie z horoskopami króla i królowej.

Dopóki Elżbieta przebywała pod czujnym okiem dworu, nie groziło jej żadne konkretne niebezpieczeństwo, ale w październiku

1555 roku, kiedy Maria przeniosła się do pałacu Sw. Jakuba w Londynie - na czas sesji parlamentu, Elżbieta rozstała się z siostrą i udała do Hatfield, po drodze przejeżdżając przez miasto, gdzie ją zegnał żywiołowy aplauz tłumu życzącego jej szczęśliwej drogi. Ostatni raz podróż taką odbyła zimą 1553/4; skończyła się wtedy w Tower i o krok od śmierci. Przebywając tę drogę ponownie w groźnym osamotnieniu, Elżbieta z niepokojem myślała o przyszłości.

Wydarzenia zaczęły się powtarzać z jakąś niesamowitą szybkością. Sesja parlamentu w 1555 roku była równie burzliwa jak w 1553 roku. W Izbie Gmin zasiadała grupa młodych zapaleńców, którzy spotykali się w gospodzie U Arundela i tworzyli protestancką opozycję, stawiającą sobie za cel zwalczanie wszelkich inicjatyw katolickich. Niewiele brakowało, a nie

dopuszcziliby do uchwalenia ustawy rządowej, na której Marii szczególnie zależało, potem zaś, podczas czytania innej ustawy, skierowanej przeciw przebywającym za granicą protestanckim uchodźcom, zdobyli klucze do sali, w której obradowała Izba, zamknęli wszystkie drzwi, wymusili głosowanie i ustawę odrzucili. Wkrótce pewna ich część pospołu z innymi młodymi protestantami dała się wciągnąć w bardziej niebezpieczną zabawę. Tym razem chodziło o spisek w celu zorganizowania w nowym roku armii z emigrantów (przebywających we Francji, urządziła napadu na skarb angielski i wszczęcia rebelii, która osadziłaby Elżbietę i Countenaya na tronie. Spisek był tak rozgałęziony, że nie udało się go utrzymać w tajemnicy. Rząd wkroczył, nim doszło do 'czegokolwiek.

Przy pomocy tortur i kazamatów Rada po nitce do kłębka odkryła wszystkie szczegóły spisku. W czasie śledztwa padały nazwiska domowników Elżbiety. Przeprowadzono rewizję w jej londyńskiej rezydencji, Somarset House, gdzie w kryjówce znaleziono wielki kufer pełen wywrotowych, antykatolickich ksiązek, pism, ballad i karykatur. Z Hatfield przywieziono i osadzono w Tower Kate Ashley, która objęła swe dawne stanowisko, włoskiego preceptora Casitigbone, Francisa Yerneya oraz jeszcze jedną osobę. W kilka dni później znów aresztowano dwóch domowników. Kate Ashley wypierała się jakiegokolwiek wiedzy o spisku. Jej pani, utrzymywała, jest teraz tak usposobiona, że natychmiast by ją wyrzuciła, gdyby pozwoliła sobie choćby źle pomyśleć o królowej. Wszystko jednak wskazywało na to, że do niej należał kufer z książkami i pismami. Przetrzymano ją trzy miesiące w więzieniu i zabroniono w przyszłości widywać Elżbietę. Yerneya, sadzonego za zdradę stanu, skazano, ale potem ułaskawiono.

Elżbieta znowu okazywała się najbardziej 'oczywistym zagrożeniem dla państwa, ale w jalkze innej była teraz sytuacji niż przed dwoma laty! Mairia nie ufała swym doradcom; obawiała się, że ją opuszczą, tak jak w swoim czasie opuścili Northumberlanda. Bała się ludu. Tej bezdzietnej, przedwcześnie postarzałej kobiety nie interesowała przyszłość - ta należała do Elżbiety, z którą wszyscy wiązali nadzieje. Aresztowanie Kate Ashley i jej kompanów wywołało gniewne komentarze; były one ostrzeżeniem dla królowej, świadczyły bowiem, że czasy się zmieniają. Musiała się tłumaczyć przed siostrą i do listu utrzymanego w uprzejmym tonie dołączyła cenny pierścień. Chciała, podobnie jak za czasów Wyatta, ściągnąć Elżbietę na swój dwór, tym razem musiała jednak przyjąć za dobrą monetę nieprzekonywające wykrety, którymi Elżbieta uzasadniała odrzucenie zaproszenia. W chwilach irytacji Mairia być może nawet myślała o tym, by zaniknąć siostrę w Tower, ale była bezsilna. Oficjalnie wypadało uważać Elżbietę za ofiarę nieodpowiedzialnych łotrzyków, którzy świętokradczo

posłużyli się jej imieniem, za osobę”zbyt mądrą, zbyt uczciwą, prawdomówną, za bardzo szanującą obowiązki i lojalność”, by mogła uczestniczyć w zмовie.

Co prawda na przeciąg trzech miesięcy Elżbietę umieszczono pod kuratelą, lecz w formie zaszczytnej i przyjemnej. Ochmistrem w Hatfield został mianowany założyciel Tininity College w Oksfordzie, SIT Thomais Pope, co Elżbieta powitała z radością, jako że obecność tego pokrewnego duchem opiekuna uwalniała ją od wszelkiej odpowiedzialności. Jak bardzo korzystna była to sytuacja, okazało się w lipcu, kiedy w Essex pojawił się człowiek podający się za Courtenaya i proklamował”panią Elżbietę królową, zaś jej ukochanego i najbliższego przyjaciela lorda Courtenaya królem”. Pope miał powtórzyć tę wiadomość Elżbiecie w charakterze przestrogi, zaś jego podopieczna, uważając, że nie wolno zmarnować takiej okazji, zasiadła do pisania wiennopoddańczego listu do Marii, w którym najwyższą kaligrafią i w piodniosłym stylu stwierdzała:”Kiedy rozmyślałam, najszlachetniejsza Pani, nad pradawną miłością, jaką poganie swego władcę darzyli, nad (nabożnym lękiem, jaki Rzymianie odczuwali przed swym senatem, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko się izdumiewać i rumienić ze wstydu za tych chrześcijan z nazwy, lecz żydów po prawdzie, którzy w sercach swych ukrywają buntownicze myśli i spiskują przeciw swemu Pomazańcowi.” List kończył się życzeniem, by znaleźli się tacy wyśmienici chirurdowie, którzy potrafiliby otworzyć serce, na podobieństwo tych doświadczonych lekarzy, którzy operują ciało, wtedy bowiem,”im mroczniejsze mgły przesłaniają światło mej prawdy, tym bardziej zajaśniałyby moje prawdziwe myśli, na pohybel ich skrywanej złościwości”.

Chociaż styl Elżbiety był mglisty, świadczył o spokoju wewnętrznym. Teraz nie ulegało już wątpliwości, że jeśli zachowa ostrożność, to na pewno przetrzyma wszelkie buirze polityczne i religijne. Groziła jej jeszcze tylko jedna pułapka, a było nią małżeństwo. We wrześniu 1556 roku zmarł w Padwie Courtenay, którego głos ludu wyznaczył na jej małżonka. Jego śmierć mogła oznaczać nowe, większe nawet niebezpieczeństwa. Filip, pragnąc utrzymać dobre stosunki z Ainglią również po śmierci Marii, chciał wydać Elżbietę za swego sojusznika, księcia sabaudzkiego. Niecierpliwił się i jak tylko mógł, naciskał ma żoną, Maria jednak się upierała, ponieważ takie małżeństwo pociągnęłoby za sobą konieczność uznania prawa sukcesji siostry. Spowiednikowi Filipa powiedziała wręcz, że Elżbieta nie jest jej siostrą, nie jest córką Henryka VIII, lecz dzieckiem kobiety cieszącej się złą sławą, która wielce znieważyla jej matkę, Katarzynę Aragońską, i ją samą. Ale Maria była zakochana do obłędu - ambasador francuski twierdził, że obraziłaby Pana Boga i ludzi, gdyby tego życzył sobie Filip - więc wynik utarczek między mężem i żoną był z góry przesądzony.

W listopadzie była już bodaj gotowa do ustępstw. Elżbietę wezwano na dwór i zaczęto nakłaniać, by poślubiła księcia sabaudzkiego. Odmówiła i po nieprzyjemnej scenie odesłano ją do Hatfield. Rozgniewana Maria raz jeszcze wróciła do nierealnego pomysłu nakłonienia parlamentu, by pozbawił Elżbietę prawa sukcesji. Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. W kwietniu następnego roku ambasador francuski ostrzegł Elżbietę o planie wydania jej za mąż i wysłania do Flandrii. Odpowiedziała, że woli umrzeć, lecz nie skapituluje. Z każdym jednak miesiącem sytuacja stawała się jaśniejsza. Rosły szeregi jej zwolenników i nie brakło wśród nich członków Rady. Elżbieta coraz bardziej stawała się (panią własnego losu.

Kończyły się lata darowane Marii. W marcu 1557 roku Filip wrócił do Anglii po dziewiętnastu miesiącach nieobecności. Dla Marii były to miesiące rozpacz i napięcia. Jeszcze w listopadzie poprzedniego roku słyszało się: "Tylko o jednym się myśli, tylko jednego się oczekuje - szczęśliwego powrotu króla." Filip wytrwał przy królowej zaledwie półtora miesiąca; dostatecznie długo, by uwikłać Anglię w swoją wojnę z Francją. Nastąpiło to, co przepowiadali wszyscy przeciwnicy małżeństwa, a czemu zapobiec chcieli jego zwolennicy: miłość została uwieczniona kapitalnym głupstwem. Pociągnęło ono za sobą zajęcie Calais, które jeszcze gęstszym mrokiem spowiło tragedię Marii. Każde przedsięwzięcie kończyło się niepowodzeniem. Krew angielska polała się w imię obłądnego przywiązania do męża i religii, równie obojętnych ludowi, jedynym zaś tego skutkiem było przekreślenie wszystkiego, co Maria ceniła. Z nastaniem roku 1558 marzenie o potomku, który ocali jej dzieło, tak się nasilało, że poczuła się brzemienna. Raz jeszcze okazało się to złudzeniem. Przeznaczone jej było wychylić kielich goryczy do ostatniej kropli. Szóstego listopada pod presją członków Rady uznała Elżbietę za siwą następczynię, pod warunkiem że zachowa ona wiarę katolicką. Siedemnastego około godziny siódmej rano zmarła. W dwanaście godzin później umarł kardynał Pole, jakby definitywnie zamykając ten nieszczęsny rozdział historii.

## ***Rozdział czwarty***

### TRON

W tym samym czasie, gdy Maria leżała na łożu śmierci w pałacu Sw. Jakuba, naród spokojnie przechodził na stronę jej siostry rezydującej w Hatfield. Pod koniec października mogła już dziękować tym, którzy zgłaszali swą pomoc, i wkrótce zyskała poparcie całej szlachty. Ludzie tłumnie stawiali się u jej boku. Pewien Hiszpan pisał: "Nie ma w całym ikraju takiego heretyka lub zdrajcy, fetory nie wstałby jak z grobu, by świadczyć jej swą



wielką radość.” Stary ład przemijał i było to taik nieuchronne jak śmierć, która (przychodziła po ikrólową. Losy wielu ludzi były jak najściślej związane ze starym ładem, ale nawet i oni ulegając powszechnym (nastrojom powiadali: niechaj umarli grzebią swoich umarłych. Członkowie Rady przyjęli wysłannika Filipa, jakby się zjawiał z bullami zmarłego papieża.

Wysłannikiem tym był hrabia de Feria. Chociaż bardzo zajęty w dniach poprzedzających śmierć Marii, znalazł jednak czas, by odwiedzić Elżbietę. Nie pierwszy raz przebywał w Anglii; miał nawet ożenić się z jedną z dam dworu Marii. Fiiliip żywił przekonanie, że nowa monarchini uzna go za persona grata, lecz Feria był typowym hiszpańskim grandem, pozbawionym poczucia humoru, dumnym i wyniosłym. Z kinyim posłem, człowiekiem bardziej taktownym, Elżbieta rozmawiała łaskawie, nawet podziękowała Filipowi za dotychczasowe usługi i obiecywała przychyłność w przyszłości. Zmieniła ton przy pyszałkowatym Ferii twierdzącym, że zawdzięcza ona tron wyłącznie jego painu. Nie miała zamiaru być niczyją marionetką, a już na pewno nie Filipa. To nie Filipowi, odparła, i nie arystokracji, lecz swemu ludowi tron zawdzięcza. Feria pisał:”Jest głęboko przywiązana do ludu i święcie wierzy, że lud jest bez reszty jej oddany, co istotnie jest prawdą.” Wracał z audiencji pełen złych przeczuć, i nie bez racji.

Nie trzeba było daru prorokowania, by w ogólnych zarysach przewidzieć przyszłą politykę Elżbiety. Kiedy się pamiętało o jej pochodzeniu, o roli, jaką odgrywała za panowania Marii, o religijnych sympatiach jej domowiników i grona zaufanych osób, które teraz wokół niej się skupiły, kierunek tej polityki wydawał się oczywisty. Ona jednak zachowywała jak największą ostrożność i taki był sens rad, których jej nie skąpiono. Sir Nicholas Throckmorton, uniewinniony przez sąd przysięgłych po rebelii Wyatta, tłumaczył w listach szczegółowo, jak ma postępować w pierwszym okresie po objęciu tronu, moral zaś jego pouczeń sprowadzał się do tego, że jeśli na początku będzie się zachowywała roztropnie, to na pewno wszystko świetnie się ułoży. Podobne memoranda otrzymywała przez następne tygodnie od wielu innych osób. Oni też doradzali przezorność.

Faktyczny tron nowego rządu miała już na podorędziu. W jego skład wchodzili świetni wychowankowie Cambridge, z którymi Elżbietę łączyły więzy edukacji i wspólna przeszłość. Pod tym względem powiodło się jej wyjątkowo, największym zaś atutem był sir Wdliam Cecil, który zajął się wszystkim. Miał lat trzydzieści osiem, pochodził z tej średniej warstwy, z której Tudorowie rekrutowali swych najlepszych pomocników. Był osobistym sekretarzem Protektora Somerseta, udało mu się przetrzymać jego upadek, co więcej, zostać ministrem w rządzie Northumberlanda. O jego ostrożności jeszcze lepiej świadczy, że wyszedł cało z niebezpiecznego okresu uzurpacji tronu przez lady Jane Grey i przypłacił to

jedynie utratą urzędu. Choć podobnie jak jego przyjaciele z Cambridge był zagorzałym protestantem, za panowania Marii umiał się dostosować. Kierował się rozumem, a nie uczuciami, nawet w wyborze żon. Pierwszą była siostra Cheke'a; drugą jedna z inteligentnych córek sir Ainthony Cooke'a, którą Ascham uznał za najuczciwszą kobietę w Anglii po lady Jane Grey. Był geniuszem pracowitości, skrupulatności i jasnego rozeznania w trudnych sprawach; jeśli w ogóle istnieje idealny minister, to niewątpliwie on właśnie zasługiwał na to miano. Najszczęśliwszym pociągnięciem nowej królowej było mianowanie go Sekretarzem Stanu.

Paraliż spowodowany dworską żałobą zaczynał ustępować. Dwudziestego listopada wznowiono urzędowanie. Z polecenia Elżbiety zaprzysiężone Cecila jako członka Tajnej Rady."Wierzę - powie-

53 działa mu - że nie dasz się przekupić żadnymi darami, że zachowasz wierność państwu i że nie zważając na moje osobiste poglądy będącisz udzielając mi takich rad, jakie uznasz za najlepsze." W tymże dniu po raz pierwszy właściwie złożyła publiczne oświadczenie, przemawiając do grona członków Tajnej Rady Marii, którzy zjawili się w Hatfield."Prawo natury każe mi opłakiwać siostrę; brzemień, które spadło na me banki, przeraża ranie; lecz pamiętając o tym, że Bóg stworzył mnie i powołał do wypełnienia Jego woli, będę jej posłuszna, z całego serca pragnąc, by wsparł mnie Swą łaską jako wykonawczynię Jego Boskiej woli na powierzonym mi urzędzie."

Jej słuchaczy najbardziej interesował skład nowej Rady. Problem był delikatny i wielkiej wagi. Elżbieta nie chciała okazać słabości i wystrzegła się pochopnych decyzji. Nie życzyła sobie Rady nazbyt licznej, naabyt konserwatywnej, ale równocześnie chodziło jej o to, by mieć zrazić tych, którzy będą musieli odejść. Prosiła więc, by nie sądzili, że rezygnuje z ich usług, bo się nie nadają do piastowania powierzonych godności; kieruje się jedynie przekonaniem, że zbyt łkane grono nie sprzyja dobrym radom, lecz krzewi niezgodę i zamieszanie. Nie powiedziała, kogo dotknie jej decyzja, podała natomiast do wiadomości pierwsze nominacje do Rady i na urzędy. Ochmistrem dworu królewskiego izostał wierny i obecnie korpulentny Skarbnik Thomas Parry, którego tegoż dnia nobilitowała. Chwilowo jednak tych nominacji było niewiele. Rozsądek nakazywał podsycać nadzieje tak długo, jak to tylko będzie możliwe.

Z podobną rozważą postępowala w sprawach religijnych. W pierwszym urzędowym dokumencie po tytułach królowej zwrot"et caetera" zastąpił"głowę Kościoła", jak w dokumentach ogłaszanych za panowania jej ojca i brata. Był to krok śmiały i zarazem ostrożny. Śmiały, ponieważ pośrednio potwierdzał teorię angielskiej reformacji, że

zwierzchnictwo papieża jest uzurpacją uświęconych przez czas prerogatyw i korony oraz że nie potrzeba aktu parlamentu, by powierzyć monarsze zwierzchnictwo w Kościele, ale i krok ostrożny, gdyż ograniczając się do słów "et caetera" Elżbieta pozostawiała katolikom pole do domysłów i nadziei. Nadzieje te w rozmowie z Ferią znakomicie, choć bezwstydnie podsyciła. Odsłoni swe karty we właściwym czasie, być może wcześniej, niż ostrożniejsi doradcy uznają to za możliwe. Tymczasem, zanim kraj przyzwyczai się do nowej władzy, najważniejszą rzeczą było przeszkodzić biskupom i klerowi katolickiemu w podjęciu próby wszczęcia jakichś zamieszek.

Równocześnie należało zneutralizować wrogie siły w Rzymie. Papież Paweł IV był starcem popędliwym, po którym nie można było się spodziewać umiaru. Miał zresztą na podorzędziu kandydatkę na tron angielski, Marię, królową Szkocji, prawnuczkę Henryka VII. Gdyby sukcesja opierała się jedynie na prostym dziedziczeniu, tron przypadłby Manii, ponieważ Elżbieta była dzieckiem nieślubnym nie tylko z punktu widzenia katolickiego prawa kanonicznego, lecz również, do czasu zwołania parlamentu, z punktu widzenia prawa angielskiego. A nade było to jakieś czcze i urojone niebezpieczeństwo. Teść Maryi, król francuski, mógł przecież nakłonić papieża do opowiedzenia się po stronie Manii przeciw Elżbiecie i nawet zdeponować ją, nakazując wykonanie swej decyzji wojskom francuskim. Elżbieta mogła jednak liczyć w Rzymie na potężne poparcie Filipa II, oczywiście pod warunkiem, że nie wystąpi otwarcie przeciw katolicyzmowi. Filip był dobrym katolikiem, lecz w żadnym wypadku nie mógł dopuścić do podboju Anglii przez Francuzów.

Takie oto czynniki określały politykę Elżbiety, ona zaś w wytrawny sposób wykorzystywała je zmierzając ku swoim celom. Zyskała przychylność papieża, gdyż pozostawała jako swego przedstawiciela w Rzymie dawnego ambasadora angielskiego i obiecała przysłanie właściwego przedstawiciela w niedalekiej przyszłości. W jej prywatnej kaplicy nadal odprawiano mszę i w swej pierwszej proklamacji zakazywała wprowadzania jakichkolwiek zmian lub poprawek religijnej natury. Starła się zyskać na czasie i zdobyć powszechne poparcie. Dwudziestego trzeciego listopada wyjechała z Hatfield do Londynu, by zabiegać o względy ludu, który - jak o tym doskonale wiedziała - nie znał muzyki słodszej nad przychylność władcy.

W otoczeniu przeszło tysiąca lordów, szlachty i dam Elżbieta przybyła do klasztoru Kartuzów, gdzie pozostała przez pięć dni. Dwudziestego ósmego, w szkarłatach i ze wstęgą orderową, odbyła paradny przejazd przez zatłoczone ulice do Tower. Po drodze witano ją oracjami wygłaszanymi przez dzieci, śpiewem, muzyką regałową i strzelaniną, jakiej nigdy jeszcze nie słyszano. Piątego grudnia ruszyła z Tower rzeką do Somerset House z graniem

na trąbach i pieśniami, budząc radość i entuzjazm w sercach wszystkich szczerych Anglików i Angielek”. Stamtąd 23 grudnia przeniosła się na święta Bożego Narodzenia do Whitehall.

W ciągu tych kilku tygodni Elżbieta bez reszty pozyskała sobie miasto. Jeden z kronikarzy notował:”Jeśli kiedykolwiek istniała osoba tak umiejąca zdobyć sobie serca ludu, to była nią ta właśnie królowa. Ten dar swój czy talent teraz ujawniła, łącząc łagodność z majestatem, z godnością zniżając się do najniższych. Wszystkie te zdolności wykorzystała, każdy zaś jej ‘krok był przemyślany: oko spoczywało na jednym, ucho słuchało drugiego, na trzeoim skupiona była uwaga, do czwartego mówiła. Duchem zaś przebywała wszędzie, lecz równocześnie tak w sobie skupiona, że była tylko w tym, a nie żadnym innym miejscu. Niektórym współczuła, innych chwaliła, jeszcze innym dziękowała, jeszcze z innymi dowcipnie żartowała, ale nikogo nie lekceważyła, żadnego urzędu nie pominęła i tak kunsztownie rozdzielała uśmiechy, spojrzenia i komplementy, że ludaie odpowiadali na to ze zdwojonym entuzjazmem, potem zaś najgłośniejszym, jak tylko umieli, wkładali wszystkim w uszy najprzesadniejsze pochwały swojej władczyni.” Potrafiła z niezwykłym wdziękiem lekceważyć konwenanse. Podczas jednego z uroczystych przejazdów przez miasto zauważyła w oknie markiza Northampton, brata Katarzyny Parr, który chorował właśnie na malarię. Zatrzymała wierzchowca i przez dłuższą chwilę z największą serdecznością wypytywała go o zdrowie. Zrzęda Feria donosił Filipowi, że zrobiła to tylko dlatego, że Northampton haniebnie zdradził jej siostrę.

Z każdym tygodniem Elżbieta czuła się pewniej na tronie, zaczęła więc stopniowo ujawniać swą politykę religijną. Interesowali ją przede wszystkim przywódcy Kościoła katolickiego, szczególnie biskupi. Czternastego grudnia White, biskup Winchester, przemawiając nad trumną Matnii wezwał wszystkich biskupów, kler i świeckich dygnitarzy, by grodzili drogę wilkowi herezji, gdy spróbuje wdrzeć się w trzodę. Przypomniał, jak to Trajain rozkazał swemu dowódcy wojsk, by dobył miecza sprawiedliwości w jego obronie, jeśli będzie rządził sprawiedliwie, lecz przeciw niemu miecz ten zwrócił, jeśli jego rządy okażą się niesprawiedliwe. Episkopat z takich biskupów złożony stanowiłby nie lada przeszkodę dla nowego ładu. Los jednak sprzyjał Elżbiecie. W chwili śmierci Marii wakowało pięć biskupstw. Śmierć Pole’a osierociła szóste, zaś przed końcem roku zmarło jeszcze czterech biskupów. O tylu więc zmniejszyła się liczba potencjalnych przywódców oporu.”Przeklęty kardynał - skairzył się Feria - zostawił dwanaście wakansów biskupich, które teraz przypadną kapłanom Lucyfera.” Co prawda źle policzył, ale proroctwo okazało się trafne.

„Kapłani Lucyfera”, wygnańcy z czasów panowania Marii, pośpieszyli do Anglii, starając się jak najprędzej zrzucić więzy przytrzymujące ich na kontynencie. Biskup White wołał: „Nadciągają wilcy z Genewy i z miast niemieckich; wysłali już swoje księgi wypełnione zgubnymi naukami, herezjami i bluźnierstwami, by szerzyć zarazę wśród ludzi.” Pierwszy spośród owych wybitnych duchownych, którzy mieli stanowić czoło protestanckiej ofensywy, przybył do Anglii przed końcem roku. Zarówno oni, jak i ludzie udzielający im gościny wiadomość o śmierci Marii i wstąpieniu na tron Elżbiety powitali z wielką radością i uniesieniem: „Pan kazał rozbłysnąć nowej gwiazdzie”, „Nadszedł czas, by odbudować w tym królestwie mury Jerozolimy, aby się okazało, że nie na darmo tak obficie przelana została krew męczenników.” Od słynnych reformatorów, między innymi od Piotra Mantyra i Bullingera, nadchodziły listy hołdownicze do nowej królowej, ona zaś czytając je płakała. Kolejno odzyskiwali wolność prześladowani za czasów Marii, którzy jeszcze znajdowali się w więzieniach. Dziewiątego stycznia 1559 roku rozbito i wyrzucono na ulicę figurę św. Tomasza, której w 1555 roku dwukrotnie w ciągu jednego miesiąca odtrącono głowę. Religijne zabarwienie Londynu nie ulegało wątpliwości. Ojcowie miasta planowali na początek stycznia wspaniałe widowiska z okazji koronacji i obiecywali sobie, że będą miały bardzo jednoznaczną wymowę.

Elżbieta wolała śpieszyć się powoli. Dała znak w daień Bożego Narodzenia, kiedy biskupowi mającemu odprawić misze w jej kaplicy zabroniła podnosić hostię. Biskup się nie zgodził, wobec czego opuściła nabożeństwo natychmiast po Ewangeli. W dwa dni później wydała proklamację, w której pozwalała na odmawianie pewnych części mszy po angielsku, zakazywała natomiast wszelkich kazań i homilii. Na pozór chodziło o pohamowanie protestanckich raptusów, równocześnie jednak zamykała w ten sposób usta katolickim kaznodziejom i utrudniała im płatanie figłów. Powoli przygotowywała się na dzień 25 stycznia, kiedy otworzy nową sesję reformacyjnego parlamentu i dramatycznie zawoła do opata i duchownych Westminsteru witających ją w jasny dzień z płonącymi świecami: „Zabrać mi te pochodnie! Dla nas dzień jest dość widny.”

Zanim jednak dzień ten nastąpił, Elżbieta urządziła procesję koronacyjną przez ulice Londynu. Był to punkt szczytowy jej zabiegów o względy ludu. Prawdopodobnie charakter i powodzenie tej fety ośmieliły ją do podjęcia decyzji o natychmiastowym rozpoczęciu likwidacji Kościoła katolickiego.

Właściwa uroczystość koronacji odbyła się w niedzielę 15 stycznia 1559 roku. Przedtem, w czwartek, Elżbieta ruszyła Tamizą z Whitehall do Towar. Pewien włoski obserwator przyrównał to widowisko do uroczystości zaślubin Wenecji z morzem w święto

Wniebowstąpienia, kiedy Signoria występuje w pełnej gali. Rankiem tego dnia cały dwór zebrał się w Tower i chociaż lekko prószył śnieg, iskrzące się klejnoty i złote łańcuchy zdawały się rozjaśniać niebo. Po południu tysiąc jeźdźców ruszyło statecznie przez ulice miasta do Westminsteru. Królową w monarszej szacie z suto haftowanego brokatu, w koronie, lecz jeszcze bez emblematów władcy, niosły w otwartej lektyce, przybranej zwisającym do ziemi brokatem, dwa piękne miuły przykryte tym samym materiałem. Po obu stronach kroczyło dwóch szlachciców [królewskich w strojach ze szkarłatnego adamaszaku, ze złożonymi halabardami, obok nich zaś rój giermków w szkarłatnych aksamitnych kurtkach z guzami z litego połączanego srebra oraz czerwoną i białą różą i literami E.R. na piersiach i plecach. Trafnie zauważył jeden ze współczesnych: "Tajemnica rządzenia w znacznej mierze polega na wystawnych ceremoniach."

Od Fenchurch Street do Cheapside ustawiono wzdłuż ulic obite sukmem i obwieszone dywanami, aksamitami, adamaszkami i jedwabiami drewniane bariery, za którymi stali członkowie cechów miasta w swych barwnych strojach i kosztownych futrach. Z okien zwisały haftowane sztandary i proporce. Od wielu godzin wszędzie stały tłumy sownicie wynagrodzone nie tylko wspaniałym widowiskiem, lecz również tysiącem drobnych szczegółów, które wzruszyły ich lojalne serca i pozwoliły potem godzinami opowiadać w tawernach i domach o przebiegu tego dnia, budząc entuzjazm w słuchaczach. Gdzieś jakiś starzec odwrócił się i zapłakał. "Zaręczam, że płacze z radości" - powiedziała Elżbieta, i tak zaiste było. W innym miejscu zauważono, że królowa się uśmiecha. Zapytana o powód odpowiedziała, iż usłyszała, jak ktoś zawołał: "Pamiętaj o dobrym królu Henryku VIII." Wielu prostych ludzi podchodziło, by zamienić z nią kilka słów. Kazała wtedy zatrzymać lektykę. Ubogie kobiety wręczały jej niezliczone wiązanki kwiatów i ktoś dostrzegł, że gałązka rozmarynu, którą dostała od jakiejś nędzarki koło mostu Fleet, leżała jeszcze w lektyce, gdy dotarła do Westminsteru.

Na szlaku, którym miała przejść procesja, władze miasta przygotowały stacje. Czekają tam królową żywe obrazy i muzyka "głośnych instrumentów" grających piękne melodie. Każdemu żywemu obrazowi towarzyszył łaciński poemat wyjaśniający sens widowiska; na podwyższeniach stali chłopcy i deklamowali rymowane tłumaczenia tych poematów, wyrażających nastroje religijne Londynu i mówiących o zaufaniu, jakim daniono nawa królową. Pierwszy żywy obraz, na trójpostupowej scenie koło Giracechurch, przedstawiał Jedność i Zgodę. Część dolną zajmowali Henryk VII z małżonką; nad nimi widok jakże szczęśliwy po dwudziestu dwóch latach! - Henryk VIII z Anną Boleyn; na samej górze - Elżbieta. Drugi obraz wystawiono w Connhill przy studni. Dziecisko przedstawiające Elżbietę

siedziało na tronie zacnych rządów, podtrzymywanym przez cztery cnoty depczące występki. Jedną z cnót była prawdziwa religia, która stąpała po zabobonie i ciemnocie. Barwnie prezentowało się pięknie udekorowane Cheapside z "hałasem trąb" w jednym miejscu i "hałasem chóru" w drugim. Tu właśnie notariusz miejski wręczył królowej tysiąc złotych dukatów w bogato haftowanej sakiewce z purpurowego jedwabiu. "Dziękuję mojemu Panu Burmistrzowi, jego braciom i wam wszystkim -" odpowiedziała Elżbieta. - A jako że żądam, abym nadal była wam dobrą panią, zapewniam was, że dorównam w tym względzie każdej królowej. Nie zabraknie mi dobrej woli i wierzę, że nie zabraknie mocy. Możecie być pewni, że dla waszego bezpieczeństwa i spokoju nie poskąpię w razie potrzeby własnej krwi. Bóg zapłać wam wszystkim!" „Nic dziwnego, że słowa te powitał niezwykle okrzyk radości - relacjonuje narrator - jako że niezwykle była serdeczność i składowość tych słów."

Czwarty żywy obraz, wystawiony przy Małej Studni, za główny temat miał Czas. "Czas! - zawołała Elżbieta - to właśnie czas tu mnie przywiódł." Scena przedstawiała dwa pagórki. Jeden zielony i żyzny, na którego szczycie stał piękny młodzieniec, wystrojony i radosny, pod zielonym drzewem laurowym. Był to obraz państwa w rozkwicie. Na szczycie drugiego martwego wierzchołka nędznie ubrany młodzieniec (rozpaczał pod uschniętym drzewem). Było to państwo w upadku. Między wzniesieniami znajdowała się jaskinia, z której wyłaniał się Czas prowadząc swą córkę Prawdę z angielską Biblią w ręce. Pachołę wyjaśniało scenę: „STRON

Ten starzec z kosą w dłoni to Stary Ojciec Czas, Ta jego córka z księgą to Prawda przez nas czczona. Ją ze swej skały wywiódł, by trwała pośród nas. Przez ileż lat minionych nie śmiała wyrzeć ona.

Biblia ta - ciągnęło pachołę - wskazuje drogę, uczy, jak można państwo ze stanu upadku doprowadzić do rozkwitu; dźwignąć je ze stanu - któż by się nie domyślił - w którym się znajdowało w czasie poprzedniego panowania, niedawno zakończanego. Prawda wręczyła księgę królowej, ta zaś ją pocałowała i obiema rękami uniosła do góry, po czym przycisnęła do piersi, dziękując serdecznie miastu za otrzymany dar.

Koło katedry Sw. Pawła uczeń ze szkoły Ooleta wygłosił mowę łacińską i sławił onoty i wiedzę Elżbiety wzorując się pięknie na platońskiej pochwałce króla-filozofa. Elżbieta minęła następnie wystrojoną bramę Ludgate, gdzie powitała ją miuizyka, i na Fleet Street zatrzymała się przed piątym i ostatnim żywym obrazem. Był to subtelny hołd złożony kobiecości królowej i stojącym przed nią zadaniom. Obraz przedstawiał Deborah, "sędzinę i wskrzesicielkę domu Izraela", która siedziała na tronie w szatach członka parlamentu i naradzała się ze swymi trzema stanami nad sposobami sprawiedliwych rządów w Izraelu!

Tempie Bar”ozdobiony byłpięknie dwoma wizerunkami: Albiończyka Gogmagoga i Brytyjczyka Koryneusza, dwóch olbrzymów odpowiednio przedstawionych”. Miasto rozstawało się z królową żegnając ją pięknym wierszem, który podsumowywał lekcje żywych obrazów, i drugim, który deklamowało przebrane za poetę pacholę:

Bądź zdrowa nam, Królowo! Już my tę pewność mamy: Przywrócisz prawdę onym, gdzie błąd panował, drogom. Ufamy, że zachowasz władanie tve nad nami I odtąd już na zawsze będziesz nam Panią błogą.

„Bądźcie pewni, że będę dla was dobrą królową” - zawołała Elżbieta. W dziesięć dni później w sprzedaży znalazła się broseurka upamiętniająca te wydarzenia.”Tak oto Jej Królewska Mość przejechała przez miasto, które upiękrszyło się bez cudzoziemskiej pomocy.”

Następnego dnia odbył się w Opactwie Westmiristerskirn skomplikowany i symboliczny ceremoniał koronacji Elżbiety. Kiedy wyprowadzano ją przed oblicze ludu, który miał wyrazić swą aprobatę, organy, piszczałki, trąby, bębny i dzwony tak głośno zahuczały, że jak to zapamiętał jeden z widzów, miało się wrażenie nadejśoa końca świata. Procesja wróciła następnie do Westminster Hali, gdzie odbył się tradycyjny długi i unozysty bankiet. Elżbieta zasiadła w pełnych regaliach, z berłem i jabłkiem królewskim, radosna, uśmiechająca się do wszystkich, dla wszystkich znajdująca dobre słowo. Poseł mantuański, który podobnie jak dumny Faria krytykował swobodne zachowanie Ikrólowej, naruszające wymogi ceremoniału i etykiety, uznał, że”przekroczyła granice powagi i przyzwoitości”.

Monarszy majestat przemówił uwodzicielskim głosem młodej kobiety i wszystkimi jej powabami. Co innego jednak czarować ludzi, a co innego rządząc. W sprawowaniu rządów kobiecość była niemal rozpaczliwą przeszkodą. Kraj raz już doświadczył rządów niewieścich; nabyte doświadczenia nie wróżyły nic dobrego następnemu panowaniu. John Knox w swym osławionym pamphlecie Pierwsze surmy przeciw potwornym rządóm kobiet pisał:”Wiem na pewno, że Bóg w naszych czasach Objawił już niektórym, iż rządy kobiety i sprawowanie przez nią władzy nad mężczyznami są czymś gorszym niż potworny wybryk natury.” Kobietę, twierdził, natura pomyślała jako istotę słabą, chwiejną, niecierpliwą, bezwolną i niemądrą. Jest ona otchłanią i bramą szatana, o pożądliwości nienasyconej jak otchłanie piekła. Obraza to boska, podważanie ładu i sprawiedliwości, gdy słabi żywią silnych, gdy głupcy rozkazują mądrym, jednym słowem, gdy kobiety rządzą mężczyznami. Zgodnie w tej materii wypowiadają się Biblia, Ojcowie Kościoła, Arystoteles, świat starożytny; ludzie zaś, zdaniem Knoxa, gorai są od zwierząt, jeśli zezwalają na takie wypaczenie boskiego porządku.



Knox zamierzał „trzykrotnie uderzyć w trąby w tej samej sprawie, jeśli Bóg mu na to pozwoli”, lecz Bóg nie pozwolił, gdyż oto Elżbieta wstąpiła na tron zaledwie w kilka miesięcy po pierwszej fanfarze. Oczywiście większość wispółwyznawców pirotestantów, stropiona takim contretemps, potępiła pamflet Knoxa. Co prawda nie dlatego, żeby byli odmiennego zdania o kobietach. John Aylmer, który w roku 1559 ogłosił schlebującą Kinowd replikę, nieśmało zauważył, że „fanfara nie była na czasie”. Dziwnie też tłumaczył się Kalwin w liście do Cecila: „Przed dwoma laty - pisał - John Knox zapytał mnie w prywatnej rozmowie, co myślę o rządach kobiet. Odpowiedziałem szczerze, że to odejście od pierwotnego i właściwego porządku natury i powinno się je zaliczać TRON do równych niewolnictwu kar za grzech pierworodny człowieka.” Jednakowoż „zdarzają się czasami kobiety o tak wielkich zaletach, że promieniujące z nich cnoty dowodzą, iż powołane zostały z woli Bożej. Wzory tafcie postawił Bóg przed naszymi oczami bądź to, by napiętnować lenistwo mężczyzn, bądź też, by silniej zajaśniała Jego własna chwała.”

Spółeczność protestancka, włącznie z Knoxem, jak najbardziej gotowa była zaprzestać bicia w tarabamy, gdy na tronie angielskim zasiadła Debora. A ponieważ katolicy również byliby skazani na kobietę, gdyby chcieli doprowadzić do zmiany na tronie, małe istmiało prawdopodobieństwo, by spory o pełnoprawność rządów kobiecych mogły przysporzyć kłopotów Elżbiecie. Musiała sobie poradzić nie z teorią, lecz z mentalnością, która się za nią kryła, oraz praktycznymi trudnościami, jakie czekały ją na tronie.

Rządy były zajęciem męskim i mężczyźni dominowali w świecie, którego ośrodkiem był król. Tym światem był dwór, instytucja nie poddająca się żadnym istotnym zmianom. Można by co najwyżej zredukować liczbę painów na pokojach królewskich, kilkunastu dworzan zastąpić damami, w ich liczbie pannami z dobrych domów, które na dworze królewskim uzupełniałyby swą edukację, dwór jednak pozostałby nadal męską społecznością, licząca około tysiąca pięciuset osób, począwszy od dygnitarzy, zaś na kuchcikach skończywszy. Rezydowali oni przeważnie w pałacu królewskim. Tu mieszkali główind dostojnicy, a pomniejsi, zgodnie z rangą, zasiadali przynajmniej do stołu. Na szlacheckich, arystokratycznych i monarszych dworach służba zawodowa odgrywała w szesnastym wieku rolę podobną do tej, jaką w nowoczesnych społeczeństwach odgrywają służby par excellence - marynarka i armia lądowa; przy czym dwór królewski ofiarowywał mężczyznom dobrze urodzonym najwyższe zaszczyty, najświetniejsze towarzystwo, największe kariery i niezrównany patronat. Każdy, kto chciał zostać zawodowym dworzaniem, musiał znaleźć sobie miejsce w administracjach dworu, co spowodowało, że z czasem urzędy niegdyś

służebne stały się honorowymi, ci zaś, 'którzy je zdobyli, ściągali na dwór królewski mrowie swej osobistej służby.

Monarcha - słońce, wokół którego ten świat się obracał - był źródłem życia dworu. Musiał rozważnie dzielić czas między odosobnieniem komnat prywatnych a obecnością na apartamentach królewskich, do których dostęp był ściśle ograniczony, i w znacznie dostępnejsze j sali audiencjonalnej. Stwarzało to skomplikowane problemy dla kobiety, zwłaszcza zaś - młodej i niezamężnej. Na domiar złego, były to problemy bez precedensu. Musiała pozyskać sobie dwór, zapewnić jego lojalność i przywiązanie, od tego bowiem zależał sukces albo niepowodzenie jej rządów; musiała dbać o splendor i atrakcyjność dworu, bo tylko w ten sposób mogła przyciągnąć nań ludzi; monarcha bez olśniewającej, imponującej "prezencji" stawał się podrzędnym, podupadłym władcą. Ponadto waimnkiem utrzymania pokoju wewnętrznego w państwie było skupienie na dworze arystokracji krążącej jak ómy wokół świecy, trwoniącej majątki na stosunkowo nieszkodliwe, lecz kosztowne rozrywki.

Dworzanie sami znaleźli rozwiązanie tych problemów. Czołobitność, którą okazywali każdemu królowi, zabarwili admiracją, pochlebstwami i zalotnością należnymi niebrzydkiej młodej kobiecie. Tak oto paradoksalnie kobiecość, która stworzyła problemy, pomogła je rozwiązać. Panowanie Elżbiety zamieniło się w idyllę, w piękną, lecz odgrywaną na koturnach komedie o młodych - i starych - zakochanych mężczyznach. Nigdy dotąd niczego podobnego nie widziano, więc gorszyli się nieco ludzie pozbawieni wyobraźni, i nadal jeszcze gorszą, ale ta dworska zabawa zapewniała wierną służbę, a to przecież stawiał sobie za cel każdy monarcha; oo więcej, służba na dworze miała obecnie emocjonalne zabarwienie, tak jak tego Elżbieta pragnęła. Stanęła na wysokości zadania. Poczucie królewskiej godności, zainteresowania intelektualne, bystrość umysłu i dar ciętej riposty pozwalały Elżbiecie utrzymać tę komedię w bezpiecznych granicach zabawy, jednocześnie zaś nie dopuścić, by zamieniła się w płaską farsę.

Konieczność utrzymania dyscypliny stwarzała inne trudności. Była to epoka walk faikcyjnych i zwady między sąsiadującymi rodami częstokroć odbijały się echem na dworze królewskim. Dwór jednak rodził własne rywalizacje o względy tronu, o posady, stanowiska i dochody. Rywalizowali ze sobą wielcy i mali, politycy i urzędnicy, dworzanie i ludzie z zewnątrz. Była to ruletka, przy której przeżywali uniesienia i załamania gracze zabiegający o uśmiech losu:

Kto nie doświadczył, ten nic nie wie o tym, Jaką udręką są długie zaloty: Gdy dni pogodne trzeba tracić w cieniu, Marnować noce w markotnym strapieniu; Gdy dziś cię przyjmie, a jutro wyprosi, Wraz szę spodziewasz i trwożysz w żalości, Masz łaskę Księcia,

ale drżysz przed Sługą; Dostałeś jawor i czekasz nań długo; Duszę - frasunek trapi i czekanie; Serce przeżera ci rozpacz bez granic Łasisz się, pełniesz, biegiesz na skinienie; Trwonisz, co miałeś, łafcesz nieskończenie.

Interesy i ambicje stale się ścierały i gdy jeden był zadowolony, wielu mogło się obrazić. Walki stronnictw prawie nie ustawały, kłótnie zaś mogły przybierać tak poważny obrót, że zagrażały pokojowi wewnętrznemu. Była to niespokojna społeczność ludzka. Pensje urzędnicze, niskie, nie zmieniane od dziesięcioleci czy nawet stuleci, uzupełniano wynagrodzeniami, umożliwianiem ubocznych dochodów, darami, ekspektywami i pożyczkami. Władza w nieuczciwych rękach mogła się stać źródłem niewiarygodnych zysków. Jeden ze współczesnych, oceniając w liście do przyjaciela dochody z wielkich unedów - każdy zaś talki urząd związany był z pensją o ustalonej wysokości - obliczał je trojako: zależnie od tego, czy dygnitarz chciał się znaleźć po śmierci w niebie, czy zadowalał się czyścem, czy też wreszcie w ogóle mu nie zależało na zbawieniu duszy. W tej ostatniej kategorii”nikt nie potrafi powiedzieć, jak wysokie są dochody”.

Dla kobiety utrzymanie korupcji w granicach przyzwoitości i niedopuszczenie do tego, by dziecinie beztroska arystokracja zamieniła dwór w trafieniem, było zadaniem niezwykle trudnym. W żaden sposób nie mogła przecież wzbudzać takiego lęku, jaki budził król, zresztą budzenie strachu nie szło w parze z flirtami Elżbiety i jej kobiecym, łagodnym sercem. Musiała wykorzystywać swe niezwykle zalety charakteru i rozumu. Z natury była uparta; w razie potrzeby umiała rozkazywać. Obie te cechy były jej potrzebne.

Politycy wierzyli głęboko, że rządzenie jest sekretem objawionym wyłącznie mężczyznom; co prawda za wszelką cenę unikali wypowiedzania głośno swych poglądów w tej sprawie. Do Debory mieli jeszcze mniej zaufania niż John Knox, a było to tym bardziej niebezpieczne, że zachowywali ostrożność. Po dwóch latach w służbie Elżbiety Ceoil potrafił jeszcze udzielić reprimendy wysłannikowi pewnego ambasadora za to, że omawiał jakąś sprawę z królową: ”Kobieta nie może się znać na tak ważnych sprawach” - powiedział. Mając do czynienia z podobną mentalnością, trzeba było wielkiej rozwagi i żelaznej woli, by władza nie stała się fikcją. Gdyby Elżbieta ustanowiła zwyczaj stałego rozpatrywania spraw na urzędowych posiedzeniach Rady, trudno byłaby jej opierać się coraz bardziej bezpodstawnemu twierdzeniu o męskiej wyższości; gdyby natomiast zrezygnowała całkowicie ze słuchania wszystkich jej członków, do czego zresztą upoważniała władczynię konstytucja, wzięłaby na siebie całą odpowiedzialność za wszelkie niepowodzenia. Niepowodzenia kobiety zaś piętnowano podwójnie: jako błędy i jako błędy popełnione przez kobietę.

Elżbieta nie miała bynajmniej zamiaru rezygnować ze swych prerogatyw i nie chciała się pogodzić z poglądami mężczyzn na rolę kobiet. Oświadczyła, że marzy o "dokonaniu czegoś takiego, o co dałoby jej sławę na świecie jeszcze za życia i wieczną po śmierci". Feria zaś pisał: "Mam wrażenie, że budzi ona znacznie większy strach, niż budziła jej siostra, że wydaje rozkazy i stawka na swoim równie bezwzględnie jak jej ojciec." Sprawami państwowymi zajmowała się przeważnie sama i jeśli zasięgała rady swych doradców, to zazwyczaj zwracała się o nią do każdego z osobna, zgodnie z zasadą *divide et impera*. Teraz dopiero się okazało, ile zawdzięczała temu, że była kobietą renesansową. Znajomość obcych języków pozwoliła jej zatrzymać w swych rękach ważną dziedzinę rządzenia, a mianowicie stosunki dyplomatyczne, miast je przekazać Radzie, żaden bowiem z obcych ambasadorów nie mówił po angielsku. Nie był to język dyplomacji. Ówczesne podręczniki nakazywały ambasadorowi doskonale władać łaciną, włoskim, francuskim, hiszpańskim i niemieckim, pewien włoski autor dodał jeszcze turecki, żaden jednak nie wspominał nawet o angielskim. Elżbieta swobodnie porozumiewała się po łacinie, po francusku, po włosku i chętnie się popisywała znajomością tych języków. Była dobrym causerem i w kunszcie zwodzenia nie dorównywał jej żaden ambasador - być może dlatego, że była kobietą. Miała rzeczywiste powołanie i w tej dziedzinie żaden współczesny monarcha nie posiadał takiej samodzielności i wyłączności decyzji.

Co prawda nikt nie przywiązywał wtedy zbyt wielkiej wagi do tego fenomenu "nowoczesnej kobiety" na tronie; z prostej zresztą przyczyny - wszyscy liczyli na to, że Elżbieta wyjdzie za mąż. Przecież Maria, choć miała już lat trzydzieści osiem, natychmiast po wstąpieniu na tron podporządkowała się tej konieczności. Jak pisał Filip: Elżbieta musi wyjść za mąż choćby tylko po to, by mieć małżonka, który "uwolni ją od trudów, do których tylko mężczyzna się nadaje". Feria powtarzał za nim: "Koniec końców wszystko zależy od tego, kogo ona wybierze na męża, bowiem tu w każdej sprawie największe znaczenie ma wola króla." Droga kobiety władcy prowadzi od politycznej bezsilności do małżeństwa, które samo przez się jest stanem bezsilności.

## ***Rozdział piąty***

### PROBLEM MAŁŻEŃSTWA

Elżbieta była najlepszą partią w Europie, z czego zdawał sobie sprawę każdy kawaler i wdowiec do wzięcia. Rozumiał to też Filip II i jednym z obowiązków Ferii po przybyciu do

Anglii w przeddzień wstąpienia Elżbiety na tron było opanowanie tego rynku. Filip nie zdecydował jeszcze, czy sam się ożeni, miał więc tymczasem Feria dopatrzeć, by jedynym dysponentem tego smacznego kąska był jego pain. Ambasador wyobrażał sobie, że przypadnie mu rola, jaką odgrywał Renard po wstąpieniu na tron Marii. Miał wszelkie powody, by się spodziewać, że będzie mógł tę rolę odegrać. Elżbietę, kiedy była za panowania siostry ośrodkiem opozycji, łączyły przyjaźnie stosunki z Francją, ale czasy się zmieniły i wiedziała, że jeśli nie chce powtórzyć błędu Marii, musi myśleć o dniu dzisiejszym, nie zaś wczorajszym. Dzień dzisiejszy oznaczał wrogi stosunek do Francji, bo żona Delfina była pretendentką do tronu angielskiego. Oznaczał też przyjazne stosunki z Hiszpanią, ba, ewentualne uzależnienie od Hiszpanii, Anglia znalazła się bowiem w bardzo niebezpiecznym położeniu; finanse były w opłakanym stanie, państwo było bezbronne, wojsko prawie nie istniało. Z pertraktacji pokojowych mających zakończyć nieszczęsną wojnę z Francją mogła wyjść z honorem tylko przy poparciu Filipa.

Nic więc dziwnego, że Feria zachowywał się protekcyjnie! Zdumiony był, że Elżbieta nie widzi swej sytuacji tak jasno, jak on ją widział, ale dodawał: "Czego można się spodziewać po kraju rządzonym przez królową, młodą, bystrą dziewczynę, lecz pozbawioną rozwagi?" Był rozgoryczony chłodnym traktowaniem. Spodziewał się, że dostanie pokój w pałacu, że Rada będzie się zwracać do niego w każdej sprawie, a tu się okazało, że nie ma pojęcia o tym, co się dzieje. "Uciekają przede mną jak przed diabłem" - donosił. Rozmawiano z nim nieszczerze, niepoważnie, i to go doprowadzało do szału. W jego raportach początkowo dominował ton aroganckiej pewności siebie. Dwudziestego pierwszego listopada uważał, że wystarczy jedno słowo jego pana, by Elżbieta wyszła za niego za męża. "Jeśli zdecyduje się na małżeństwo zagraniczne, to wzrok jej natychmiast spocznie na Waszej Królewskiej Mości." W miesiąc później nie zostało śladu po tej pewności: "Obawiam się, że pewnego pięknego poranka dowiem się, że ta niewiasta wyszła za męża, ale ja będę ostatnim, który o tym usłyszy."

Te słowa pobudziły do działania niezbyt skłonny do pośpiesznych decyzji Filipa. Dziesiątego stycznia pisał do Ferii, że ma wiele zastrzeżeń, jeśli chodzi o poślubienie Elżbiety. Nie może przebywać zbyt długo w Anglii, ponieważ obecność jego jest konieczna w innych posiadłościach; poza tym Elżbieta wyznaje błędne poglądy religijne i ślub z nią oznaczałby prawdopodobnie nie kończącą się wojnę z Francją, jako że Maria, królowa szkocka, zgłasza roszczenia do tronu; ponadto małżeństwo takie zmusiłoby go do dużych wydatków w Anglii, na co nie pozwala stan jego skarbu; a poza tym jest jeszcze wiele innych nie mniej poważnych trudności. Ponieważ jednak jest rzeczą istotną, by Anglia nie wróciła do

swych dawnych błędów religijnych, gotów jest z tego właśnie powodu, nie zważając na wszystkie wątpliwości, poślubić Elżbietę i spełnić swój obowiązek wobec Pana Boga. Stawia wszakże następujące warunki: Elżbieta musi wyznawać jego religię, utrzymać ją w swoim państwie i postarać się o tajne rozgrzeszenie od papieża. W ten sposób cały świat się przekona, że zawierając związek małżeński służy Bogu i nawrócił Elżbietę.

Żaloszne to były złudzenia! Trudno wyobrazić sobie bardziej odległe od rzeczywistości pomysły. Jeśli już w 1553 roku Anglicy nie byli przychylni ewentualnemu małżeństwu hiszpańskiemu, o ileż goręcej sprzeciwiali mu się po tragicznych doświadczeniach rządów Marii! Wystarczyły pogłoski, że Elżbieta ewentualność taką rozważa, a już doradcy zasypali ją lawiną argumentów przeciw podobnej decyzji. Te argumenty okazały się zresztą zbyteczne. Nie gorzej od swego otoczenia wyciągała ona wnioski z doświadczeń przeszłości. Czyż nie chęlna była się tym, że „po ojcu i matce tylko angielską krew odziedziczyła, a nie hiszpańską, jak jej zmarła siostra”? Nie należało jednak z miejsca odrzucać propozycji Filipa, ponieważ nadal toczyły się pertraktacje pokojowe z Francją i jak długo Filip starał się o jej rękę, miała znacznie lepszą pozycję przetargową. Co więcej, właśnie miał zebrać się parlament, by obalić porządki religijne wprowadzone przez Marię, a w tej sytuacji Filip mógł oddać jej podwójną przysługę - powstrzymując papieża od zabrania głosu i katolików od skupienia się przy nim.

Kiedy więc Feria poruszył sprawę małżeństwa, spotkał się z życzliwym przyjęciem. Elżbieta oczywiście powiedziała, że musi zasięgnąć rady parlamentu, ale Filip może być pewny, że jeśli w ogóle zdecyduje się wyjść za mąż, to wybór padnie na niego. Kłamstwo dało jej miesiąc zwłoki, a gdy termin zaczął upływać, raz jeszcze wykręciła się od jednoznacznej odpowiedzi. Na początku marca nie można już było dłużej zwlekać, wobec czego oświadczyła, że w ogóle nie ma zamiaru wyjść za mąż. Podkreślała, że korzyści, jakie obojgu suwerenom dałoby małżeństwo, można z powodzeniem uzyskać, jeśli pozostaną dobrymi przyjaciółmi. Drwiąc złośliwie zapytała Ferie, czy mogłaby poślubić męża swej siostry nie obrażając tym samym pamięci swego ojca, który odtrącił żonę swego brata? Niektóre jej repliki tak bardzo przypominały zadufany list Filipa z 10 stycznia, że Feria zastanawiał się, czy przypadkiem jego korespondencja nie jest przechwytywana. Jeszcze bardziej nieswojo poczuł się w trakcie następnej rozmowy, kiedy Elżbieta użyła wobec Filipa jego własnego argumentu i powiedziała, że przecież on nie może poślubić heretyczki. To położyło kres zalotom. Filip ożenił się z córką króla francuskiego. Dla Elżbiety była to porażka dyplomatyczna, ale i tak nie mogłaby jej uniknąć. Przyjęła wiadomość pogodnie, raz po raz trochę wzdychając, ale te westchnienia za bardzo przypominały śmiech. Filip, powiedziała, to szczęśliwe imię. Feria usiłował jej wykazać, jak wielki błąd popełniła,

usłyszał jednak, że to przecież wszystko wina Filipa, bo ona żadnej definitywnej odpowiedzi nie dała, a on widocznie nie był tak bardzo zakochany, skoro nie starczyło mu cierpliwości, by poczekać cztery miesiące.

W rzeczy samej Elżbieta wbrew temu, co myślał Feria, bardzo dobrze dbała o swoje interesy. Oboje wiedzieli, że ona potrzebuje poparcia Filipa, ale równocześnie zdawała sobie sprawę, że Filip ma związane ręce i że jako rywal Francji i władca Niderlandów uzależnionych handlowo od Anglii nie może tak po prostu zostawić jej na lodzie. Mogła starać się wykorzystać Filipa, tak jak on mógł starać się ją wykorzystać, ale od ich usposobień, sprytu i przebiegłości zależało, kto w tej grze przegra. Filip polecił swemu ambasadorowi, by postraszył Elżbietę i uświadomił jej, że bez jego pomocy i ochrony czeka ją niechybna klęska, po czym ambasador miał zapewnić, że królowa może zawsze liczyć na Filipa, który jest bardzo do niej przywiązany i ją kocha. Tych uczuć nie osłabi sojusz matrymonialny z Francją, Filip ma zresztą na uwadze własne interesy, a mogłyby one bardzo ucierpieć, gdyby - oo nie daj Boże! - jej królestwo dostało się komu innemu. Cóż za naiwność! W grze dyplomatycznej polegającej na blefowaniu ani pan, ani jego sługa nie mogli iść w zawody z tą młodą kobietą. "Staram się, jak mogę, utrzymać jej przychylnie i pogodne usposobienie - pisał Feria - i choć czasem odzywam się do niej bardzo śmiało, jak zresztą powinienem, skoro prawda i prawo są po mojej stronie, to jednak dzięki temu właśnie jeszcze się jej nie znudziłem i chętnie omawia ze mną różne sprawy." Jakżeby nie! Zасыpywała go głupstwami i żarcikami, raz po raz zmieniała stanowisko, coraz to komu innemu sprzyjała, on zaś bywał przekonany, że ma na nią wielki wpływ, to znów czuł się kompletnie dezorientowany i wpadał we wściekłość. W takim właśnie napadzie złego humoru pisał: "Jednym słowem, tyle tylko mogę donieść Jego Miłości, że to państwo po trzydziestu latach rządów znanych Waszej Królewskiej Mości znalazło się w rękach kobiety, która jest córką diabła, i największych kanalii i heretyków tej ziemi."

Filip był tylko jednym z kandydatów do ręki Elżbiety, zabiegającym o nią najkrócej, a zatem najszcześniejszym. Przybył do Anglii ambasador króla Szwecji, by podobnie jak przed udkiem zaproponować najstarszego syna swego mocodawcy, Eryka. Rozdawał kosztowne prezenty damom i panom dworu, a ci przyjmowali je i wyśmiewali jego cudzoziemskie manieri. Cesarz również stanął do licytacji w imieniu swych dwóch młodszych synów, arcyksiążąt Ferdynanda i Karola, kiedy zaś Filip wycofał się z przetargu, ambasadorowie cesarski i hiszpański zwarli szeregi, by wspólnym wysiłkiem doprowadzić do jeszcze jednego ożenku szczęśliwego dla domu Habsburgów. Feria był pewny sukcesu; gdyby tylko cesarz i jego synowie chcieli przyjąć do wiadomości, że ręką Elżbiety rozporządzą właściwie Filip!

Początkowo wymieniano imiona obu synów, wkrótce jednak starszy, Ferdynand, przestał wchodzić w rachubę, jako że trwał niezachwianie w wierze katolickiej, zaś jego ojciec narzekał, że zasady religijne Elżbiety pozostawiają wiele do życzenia. Dostateczną przykrość sprawiało mu proponowanie Karola, którego młodzieńcze poglądy nie były tak (niezachwiane; cesarz wyznał zresztą swemu ambasadorowi, że tylko ważne względy polityczne skłoniły go do narażenia syna na utratę wiecznego zbawiania duszy.

W kraju brano pod uwagę dwóch Anglików: hrabiego Arundel i sir Williama Pickeringa. Arundel miał zaledwie dwa atuty - tytuł i rodzinę. Liczył lat czterdzieści siedem, nie odznaczał się urodą, był niemądry i gburowaty, z dwóch poprzednich małżeństw miał dwie zamężne już córki. W epoce komercyjnych obyczajów matrymonialnych i wzruszającej poezji miłosnej takie mankamenty nie stanowiłyby zbyt wielkiej przeszkody, gdyby nierówność rangi społecznej obojga była odwrotna. Pickering liczył lat czterdzieści dwa, był wysoki, przystojny, uchodził za wielkiego kobieciarza i słynął z licznych podbojów. Te właśnie zalety, a nie pozycja czy majątek, pozwalały mu żywić pewne nadzieje. Być może łączyła go też dawina przyjaźń z królową. W każdym razie londyńczycy skłonni byli uważać, że ma większe szansę, i jego obstawiali w zakładach. Nadszkiewanie członków Rady i innych zapobiegliwych dworzan przewróciło mu jednak w głowie. Zaczął się zachowywać wyzywająco, zadzierał masa, urządzał bankiety z muzyką. Pewnego dnia rozeszła się plotka, że wyzwiał na pojedynek hrabiego Bedford, bo podobno miał się o nim źle wyrazić. W sześć lub siedem tygodni później poróżnił się z Arundelem, który go zatrzymał przed wejściem do kaplicy w apartamentach królowej. Arundel zwrócił mu uwagę, że człowiek jego rangi nie ma prawa tu przebywać, jego miejsce jest w sali audiencyjnej. Pickering odpowiedział, że wie o tym dobrze, ale wie także, iż Anundel jest bezczelnym chamem.

Konkurenci, politycy, wszyscy w ogóle mówili o małżeństwie. Nikt nie wątpił, że Elżbieta wyjdzie za mąż; talk w końcu postępuje każda kobieta, jeśli ma tylko okazję, a tu wchodziły jeszcze w grę bardzo istotne względy polityczne. Kiedy pod koniec stycznia 1559 roku zebrał się parlament, Izba Gmin nalegała, by Elżbieta wreszcie się zdecydowała na ten krok. Odpowiedziała, że z chwilą gdy wkroczyła w lata samodzielności, postanowiła zachować dziewictwo i gdyby ambicje, lęk przed niebezpieczeństwami lub śmiercią mogły ją skłonić do wstąpienia w awiażłki małżeńskie, nie byłaby obecnie paininą. Zdołała już do tego się przyzwyczać i ma nadzieję, że Pan Bóg pozwoli jej w tym stanie wytrwać. Ale zapewnia ich, że jeśli taka okaże się wola boska, to zdanie zmieni, wyjdzie za mąż i na pewno wybierze sobie małżonka równie jak ona dbałego o bezpieczeństwo państwa. Jeśli zaś Pan Bóg zechce, by wytrzymała w panieństwie, wówczas sprawa następstwa tronu zostanie uregulowana we



właściwy sposób.”Mnie wystarczy - konkludowała - marmurowa tablica, która obwieści, że królowa, po najdłuższym panowaniu, żyła i zmarła w stanie dziewiczym.”

Członkowie laby Gmim byli ludźmi światowymi. Uznali, że nie należy się przejmować całą tą gadaniną o dziewictwie. Jeśli tylko względy polityczne lub dyktat serca wsikają właściwego kandydata, to stara panna zaklinająca się obecnie, że nigdy nie wyjdzie za mąż, postąpi jak wszystkie. Elżbieta mówiła o swym stanie dziewiczym jako o powołaniu, w istocie jednak był on konsekwencją układów politycznych, wzbraniała się bowiem w przeszłości przed małżeństwem, by nie stać się pionkiem w rękach Narthumbecrlanda lub Filipa. Nie przeszły też bez śladu doświadczenia życiowe: miała piętnaście lat, kiedy zdarzyła się historia z Seymourem, która była dla niej pierwszą przestrożą. Jej impulsywną naturę równoważył umysł ostrożny, nakazujący dobrze się zastanowić przed podjęciem decyzji zamążpójścia. Znamy tysiące jej wypowiedzi na ten temat, szczerych, nieszczerych i pośrednich, ale tak naprawdę nikt dobrze nie wiedział, jak je rozumieć. To mówiła, że małżeństwo uważa za sprawę poważną i nie może przecież wychodzić za mąż tak jak inne kobiety; to zmów stwierdzała, że”jest tylko człowiekiem i że nie są jej obce ludzkie uczucia i impulsy, lecz być może, kiedy w grę będzie wchodzić dobro państwa albo umie względy, to może serce i rozum każą jej postąpić inaczej”.

Dobro państwa albo inne względy. Inne względy mogły być podporządkowane kaprysom i uczuciom, ale na pewno nie do państwa. Teoretycznie wymagało ono jej małżeństwa, w praktyce jednak wszystko zależało od tego, kim ma być ewentualny małżonek, zwłaszcza zaś, czy ma to być poddany, czy też cudzoziemiec. Elżbieta oczywiście nie zapomniała o nauczce, jaką było panowanie Marii. Cały kraj opowiadał się podówczas po stronie Courtenaya, gdyż uważano, że Maria może go poślubić, ponieważ dzięki swemu yorkistowskiemu pochodzeniu może wzbudzi on zawiści arystokracji, ale ironia losu sprawiła, że wtedy Anglię rządziła królowa pozbawiona wspólnego języka ze swym ludem, teraz zaś brakło takiego Courtenaya. Być może febra padewska, która odebrała mu życie, darowała Anglii królową dziewicę. W każdym razie na to się zanosilo, nie było bowiem Anglika zdolnego odegrać jego rolę. Z braku lepszego kandydata wielu przystało na Pickeringa, ale

‘On był na noże z licznymi przedstawicielami arystokracji, każdy inny zaś naraziłby Elżbietę na poróżnienie z możnymi panami. Celibat okazywał się mniejszym złem.

Cudzoziemiec też byłby kłopotliwy. Zresztą Elżbietę zniechęcała do takiego rozwiązania świadomość, że Maria popełniła ‘wielki błąd wychodząc za Filipa. Przeczuwała, że poślubienie cudzoziemca będzie źle przyjęte. Wątpliwości mogłaby prawdopodobnie rozproszyć jednomyślna zachęta ze strony Rady i dworu, lecz tej właśnie jednomyślności

brakło, jedni mieli tego kandydata, drudzy innego. Nadal więc się wahała, nadal rozprawiała o zaletach stanu panińskiego, zwodząc wszystkich przebiegłością, dowcipem i kokieterią. Twierdziła, że nie podjęła jeszcze definitywnej decyzji niewychodzenia za mąż, niemniej powinni jej wierzyć, kiedy powiada, że nie rna ochoty na małżeństwie.

Ambasadorowie nie odstępowali od oblężenia. W październiku 1559 co najmniej dziesięciu lub dwunastu zabiegało o względy Elżbiety, niezbyt przyjaźnie współzawodnicząc ze sobą. Cecil był równie jak oni zdezorientowany. O jednym z posłów powiedział: "Jeden Bóg wie, jak mu się powiedzie, bo ja nie wiem." Biskup Quadra, następca Ferii, miotał się między skrajnie różnymi nastrojami. Jednego dnia nie rozumiał, o co chodzi Elżbiecie; drugiego był pewny, że ona wybierze arcyksięcia; trzeciego miał wątpliwości, wreszcie czwartego wpadał w rozpacz i wściekłość. Do Ferii pisał: "Widai więc Wasza Wysokość, co to za przyjemność mieć do czynienia z tą niewiastą. Myślę, że w niej siedzi sto tysięcy diabłów, choć stale powtarza, że marzy tylko o tym, by zostać mniszką i całe życie spędzić w 'klasztorze na modlitwie." Innym razem, straciwszy wszelką nadzieję, że cokolwiek uda mu się załatwić, donosił zgnębiony: "Ona jest samą próżnością i fałszem."

Konkury przedłużały się nie tylko z wwny Elżbiety. Jej ręka była wysoką stawką, zaś nadzieja bywa uparta. Niezwykły był upór Eryka, króla szwedzkiego. W maju 1559 dostał oficjalnie kosza, ale już w lipcu zapewniał, że wystarczy jedno jej słowo, a stawi się nie zważając na morza, niebezpieczeństwa i wrogów, bo jest pewny, że ona nie wzgardzi jego wiarą i żarliwością. Dostał kosza po raz drugi, trzeci, czwarty, ale nadziei nie tracił. Od jesieni 1559 do wiosny roku następnego przebywał w Anglii jego brat, poseł szczodry, lecz niefortunny. W sierpniu Eryk sam ruszył w drogę i choć przeszkodziły mu sztormy, wyprawę ponowił, a gdy i tym razem burza rozproszyła i uszkodziła jego flotę, pisał do Elżbiety, że los okazał się twardszy niż stal i okrutniejszy od Marsa, om jednak i tak wybierze się do niej przez burzliwe morza i nie zważając na wiraże armie przybędzie na jej pierwsze wezwanie.

Nawet Elżbiecie zaczęły już doskwierać te konkury. Miały jednak swą dobrą stronę. W roku 1559, kiedy słaba i zubożała - w przekonaniu Ferii - Anglia prowadziła politykę drażniącą papieżstwo, niepokojącą Filipa i grożącą wojną z Francją, książęcy zalotnicy byli niemałym atutem. Ich rachuby chroniły tron, a ponieważ praktycznie biorąc najcenniejszym kandydatem był arcyksiążę Karol, Elżbieta szczególnie troskliwie dbała o tę swoistą gwarancję. Gdy tylko ambasador cesarski upadał na duchu, ona dokładała wszelkich starań, by ożywić jego nadzieje. Pewnego czerwcowego wieczora zauważyła go, gdy wiosłował po Tamizie. Natychmiast zaprosiła go do łodzi Skarbnika, podpłynęła blisko w swej łodzi i specjalnie dla mego grała na lutni. Następnego dnia przyjęła go w pałacu. W dzień później

podejmowała go śniadaniem, zaś wieczorem wybrała się z nim na przejażdżkę swą łodzią, posadziła go przy sterze i była bardzo rozmowna i wesoła.

Małżeństwo z Karolem natrafiało na dwie przeszkody. Pierwszą była religia. Co prawda tolerancyjna Elżbieta na pewno by się zgodziła, żeby arcyksiążę i jego świta zachowali na dworze swe katolickie nabożeństwa, ale fundament stabilności politycznej stanowiła zasada: "jeden król, jedna wiara", nie mogła więc ryzykować i narażać się na gniew siwych protestanckich poddanych i na to, że wokół jej męża będą się skupiali niezadowoleni katolicy. Druga przeszkoda była natury osobistej. Elżbieta wielokrotnie powtarzała, że nie wyjdzie za człowieka, którego sama nie widziała. Przecież wie doskonale, mówiła, że Filip na widok królowej Marii skłął malarzy i posłów; ona zaś, formułowała to delikatnie, nie chce, by arcyksiążę Karol z jej powodu wpadł w furję. Ambasadorowie cesarski i hiszpański palili się do tego, by sprowadzić Karola do Anglii incognito, lecz cesarz nie chciał nawet o tym słyszeć. Byłoby to poniżające, niegodne księcia krwi. Wystawiliby się na pośmiewisko, gdyby sprawa się nie powiodła, a przecież powszechnie znane są kaprysy Elżbiety. Nakłaniając go do przyjazdu, ograniczyłyby własną swobodę decyzji, to jej się wcale nie uśmiechało, nie miała też zamiaru wychodzić za mąż za kogoś, kogo przedtem nie widziała. Niechęć do poślubienia nieznanego pogłębiła się jeszcze bardziej, kiedy wpadł jej w oko jeden z dworzan, lord Robert Dudley. Dio chwili rozwiązania problemu Dudleya inne wagi dy stawały się coraz ważniejsze, natomiast dobro państwa coraz mniej się liczyło.

Nazwisko Dudleya nie wróżyło nic dobrego. Ojcem lorda Roberta był książę Northumberland, jego dziadkiem osławiony Edmund Dudley z czasów Henryka VII. Obaj zginęli na szafocie. Wrogowie twierdzili złośliwie, że krew jest skażona, tym jednak Elżbieta się nie przejmowała; dla niej było ważne, że Dudley jest wysoki, postawny, zgrabny, że ma regularne rysy, że wspaniale prezentuje się w bogatych strojach epoki, że ma długie, szczupłe palce, szczególnie, którym królowa zawsze się zachwycała. Był gładkim dworzaninem, znakomitym causerem i miał świetne obycie, ale choć Ascham wciąż mu z żalem powtarzał, że znajomość języków obcych jest drogą do polityki, zaniedbywał Cyncerana na rzecz linii i trójkątów Euklidesa. Podobnie jak Thomas Seymour, nieszczęsny brat Somerseta, znakomicie spisywał się w turniejach. O takim mężczyźnie marzyła Elżbieta, a nie o mężu, który będzie przesiadywał w domu i grzebał w kominku. Królowa i lord Robert byli mniej więcej w tym samym wieku i zapewne często się widywali w młodości. Za panowania Marii Robert Dudley należał do zwolenników Elżbiety i nawet sprzedał jakieś posiadłości, by ją poratować w kłopotach. Po wstąpieniu Elżbiety na tron był jednym z pierwszych na liście nowych

nominacji - został koniuszym, a to zaszczytne i cenne stanowisko uprawniało do zajmowania komnat na dworze.

Cóż dziwnego, że młoda, żywa dwudziestopięcioletnia panna, przebywająca nieustannie w męskim towarzystwie jednego z najbardziej fascynujących członków tego swoście ekskluzywnego męskiego klubu, jakim był dwór, darzyła go szczególną życzliwością? Nic też dziwnego, że ogromnie jej się podobał jako mężczyzna. Niemniej me było to rozważne. Jeden z jej ambasadorów pisał: "Młoda monarchini musi wielce uważać, by zachowywać odpowiedni dystans i nie wchodzić z jednym w większą komitywę niż z drugim." A gdy jest to na dodatek mężczyzna żonaty, nic już nie powstrzyma plotek. Dudley ożenił się z Amy Robsart jeszcze w 1550 roku. Był chyba nie najgorszym mężem, lecz uczucia już ochłodziły; nie mieli dzieci, które mogłyby stanowić jakąś więź między małżonkami lub przynajmniej stanowiłyby pociechę dla żony. Amy Robsart, podobnie jak inne żony dworzan, mieszkała przeważnie sama na wsi, gdy jej mąż przebywał na dworze u boku królowej. Zapewne zamartwiała się pogłoskami i nieprzystojnymi plotkami, które łączyły jej męża z królową.

Na zażyłość między nimi zwrócono po raz pierwszy uwagę w kwietniu roku 1559. "W ciągu ostatnich kilku dni - pisał Ferda - lord Robert znalazł się w takich łaskach, że robi, co mu się podoba, a powiadają, że Jej Królewska Mość bywa na jego pokojach w dzień i w nocy. Mówi się o tym tak swobodnie, że nawet (niektórzy pozwalają sobie twierdzić, jakoby jego żona chorowała na jedną pierś, a królowa czekała tylko na jej śmierć, by poślubić lorda Roberta." W sierpniu sprawy przybrały tak kiepski obrót, że Kate Ashley na klęczkach błagała swą panią, by wyszła wreszcie za mąż i na litość boską położyła kres nieprzystojnym plotkom, bo sympatia, którą darzy Dudleya, może się stać plamą na jej honorze i wywołać niezadowolenie poddanych. Elżbieta dobrze przyjęła te wyrzuty. Odpowiedziała, że jest łaskawa dla Dudleya, bo zasłużył sobie na to zarówno szlachetnością natury, jak i postępowaniem. Nie pojmuje, jakie można mieć pretensje do jej zachowania, zawsze przecież przebywa w towarzystwie dam dworu i sypialni, chociaż - dodała z przebłyskiem humoru - "gdyby kiedykolwiek przyszła jej ochota na tak niegodne postęпки i gdyby miały jej sprawiać przyjemność - przed czym niech ją Pan Bóg broni - to naprawdę nie widzi, jak ktokolwiek mógłby jej tego zakazać".

Zgorszenie było tak wielkie, że ambasador cesarski, pragnąc uspokoić swego pana, uznał za konieczne wypytywać o cnotę Elżbiety tych, którzy ją wychowywali od dzieciństwa. Przysięgali na wszystkie świętości, że Elżbieta nigdy się nie zapomniała, ale plotka nie zważała na prawdę. W grudniu ambasador angielski w Brukseli poczuł się zmuszony napisać

do swej mocodawczyni i do Cecila o krążących tam pogłoskach, tak okropnych, że nie śmiał ich powtórzyć nawet w liście przewodnim przeznaczonym tylko dla Cecila. Niektórzy panowie i członkowie Rady, tacy jak Cecil, byli straszliwie zaniepokojeni, inni łaknęli krwi Dudleya. Quadra donosił o spisku na jego życie, a ktoś podobno miał zapytać, czy Anglia jest aż tak biedna, że nie stać jej na znalezienie człowieka, który przebiję Dudleya sztyletem. Ambasador cesarski twierdził, że jeśli Elżbieta poślubi Dudleya, to położy się spać jako królowa, a zbudzi się jako zwyczajna pani Elżbieta. Quadra słyszał, jak ludzie mówili, że mają już dość kobiet na tronie. Mógł król nie panować nad swymi namiętnościami i nie miało to większego znaczenia, ale królowa, jak żona Cezara, musiała być ponad wszelkimi podejrzeniami. Latem 1560 roku stara Maitka Dawe z Btrantford opowiadała znajomym, że królowa doigrała się i ma dziecko z Dudieym. Podobna plotka kursowała w hrabstwie Hertford. W świetle tego, co miało nastąpić, znacznie groźniejsza była jednak pogłoska, że Dudley zamierza zgładzić żonę, przy czym najczęściej wspominano o truciznie.

Jedenastego września ambasador hiszpański Quadra przesłał bardzo dziwne wiadomości. Mniej więcej przed trzema dniami po bezprzedmiotowej rozmowie z Elżbietą na temat małżeństwa spotkał Cecila w rozpaczliwym nastroju. Cecil prowadził tego lata pertraktacje w Szkocji, więc nie bywał na dworze. Po powrocie zastał Dudleya w szczególnych łaskach, królową zaś w bardzo kapryśnym nastroju. Wciąż jeszcze skłonny był traktować ją jako młodą kobietę, która powinna wyjść za mąż i zająć się dziećmi, nie polityką. Kiedy się okazało, że nie słucha jego rad, przebrała się miara cierpliwości zazdrosnego, rozgoryczonego i przemęczonego męża stanu. Pozwolił sobie ma zdumiewającą szczerość w rozmowie z Quadrą. Oświadczył, że ma zamiar podać się do dymisji, choć spodziewa się, że jeśli to uczyni, zostanie osadzony w Tower. Kiepski to żeglarz, dodał, który nie zawija do portu, gdy zbliża się sztorm, a on nie ma wątpliwości, że zażyłość królowej z Dudleym doprowadzi do katastrofy. Jest przekonany, że ona ma zamiar wyjść za niego za mąż. Pozostawiła mu rządy, sama zaś spędza czas na polowaniach, które zagrażają jej zdrowiu i życiu. Cecil dwukrotnie powtórzył, że lepiej byłoby dla lorda Roberta, gdyby był w niebie, a nie tu, i błagał Quadrę, by uprzytomnił Elżbiecie konsekwencje złego prowadzenia się oraz nakłonił ją, by choć trochę czasu poświęciła sprawom państwowym. Na koniec wspomniał, że Dudley ma zamiar zgładzić żonę, która rzekomo jest chora, choć czuje się nieźle i na pewno będzie się pilnowała, żeby jej nie otruto.

Rozmowa odbyła się prawdopodobnie 8 września 1560 roku. Tego samego dnia znaleziono Aimy Rofosart martwą u stóp schodów w Cumnor Place w pobliżu Oksfordu. Cecil jednak nic jeszcze nie wiedział o tej tragedii, która tak złowieszcze znaczenie miała

przydać jego pełnym goryczy słowom. Sam Dudley otrzymał wiadomość dopiero następnego dnia. Elżbieta wracając z polowania powiedziała konfidencjonalnie Quadrze, że żona Dudleya nie żyje bądź jest bliska śmierci, ale sam fakt podano do wiadomości dopiero po nadejściu dalszych szczegółów. Jedenastego królowa poinformowała dwór: "Ona sikireciła kark." Powiedziała to po włosku, Quadra zaś powtórzył jej słowa w postscriptum swego listu.

Sąd przysięgły orzekł, że śmierć nastąpiła przypadkowo. Po tylu latach trudno powiedzieć coś z pewnością, wszystko jednak wskazuje na to, że Amy Robsart popełniła samobójstwo. Słyszano kilka razy, jak się modliła, by Bóg wybawił ją z rozpaczliwej sytuacji, a w krytycznym dniu, choć była to niedziela i niektórzy domownicy wcale nie mieli na to ochoty, kazała wszystkim pojechać na jarmark do Abingdon. Widocznie zdręczała się tym, że mąż ją zaniedbuje, i plotkami o ndm i o królowej, aż w końcu się załamała.

Zbyt długo plotki przepowiadały zabójstwo, by współcześni mogli mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Rektor Coyentry, Thomas Lever, pisał 17 września do dwóch członków Rady, że ludzie w okolicy szemrają, i domagał się skrupulatnego wyjaśnienia prawdy. Na ambasadorów Elżbiety wiadomość ta spadła jak grom z jasnego nieba. Mieli dostatecznie trudną sytuację, gdy krążyły dzikie pogłoski; teraz ogarniało ich uczucie, że mocodawczym analazła się na skraju przepaści. Tragedia "wstrząsnęła mną głęboko - pisał Randolph ze Szkocji - i pogrążyła w smutku, jakiego dotąd nie znałem". Throckmorton we Francji oświadczył, że wolałby nie żyć. Donosił, iż ludzie powtarzają historie, od których "każdy włos z osobna staje mi na głowie". "Jedni śmieją się z nas, inni wygrażają, jeszcze inni złorzeczą królowej. Niektórzy wręcz ośmielają się mówić: "Cóż to za religia, która poddanemu pozwala zabić żonę, władca zaś nie tylko go toleruje, ale jeszcze poślubia?" Nie pozostało mu nic innego jak się modlić, by ten okropny wypadek nie stał się zwiastunem dalszych nieszczęść, a mianowicie małżeństwa Elżbiety z Dudleyem.

Elżbieta nie chciała myśleć o ostrożności. Wierzyła bez zastrzeżeń w niewinność Dudleya. Nawet gdyby nie miała dla niego tak żywych uczuć, to powodując się dumą, odwagą i lojalnością przyjęłaby z oburzeniem sam pomysł pozwolenia jego wrogom na wykorzystanie tragedii jako pretekstu do usunięcia go z dworu i pozbawienia jej łask. Miała zamiar go poślubić; wyobrażała sobie, że wychodząc za mąż za poddanego udobrucha Anglików. Nie wierzyła, by zgorzenie wywołane śmiercią Amy Robsart oraz zawiść arystokracji i Rady miały uniemożliwić jej zawarcie jedyne małżeństwa, na które miała ochotę. Mało było ludzi tak mądrych i tolerancyjnych jak hrabia Suasex, który w październiku pisał do Cecila sugerując, że najlepiej pozwolić jej pójść za głosem serca, bo mężczyzna, którego pokochała od pierwszego spojrzenia, będzie najpewniejszym gwarantem pojawienia

się następcy tronu. Sama Elżbieta ciągle zmieniała zdanie i wszyscy zachodzili w głowę, czego właściwie chce. Skłonna była lekceważyć wszelkie sprzeciwy, lecz równocześnie zachowywała elementarną rozwagę. Kiedy popadała w nastrój buntowniczy, przeciwnicy małżeństwa, w tym również i Cecil, schodzili w cień, nic nie dawało się załatwić i wyglądało na to, że państwo podupada.

W listopadzie rozeszły się pogłoski o tajnym ślubie Elżbiety z Dudleyem w pałacu księcia Pembroke. Damy dworu, które widziały ich wracających razem od księcia, wyciągnęły pochopny wniosek. Okazało się jednak, że Elżbiecie zmów amienił się humor, i kiedy przedstawiano jej do podpisania patent mianujący Dudleya parą Anglii, chwyciła nóż i przecięła dokument na pół. Po czym przysłała kolejną przemianę. W styczniu mąż Kate Ashley miał przykrości, gdy zbyt obcesowo mówił o małżeństwie. Cecil i jeden z jego przyjaciół pisali do Throckmortonowi, by miarkował za bardzo dosadne opinie, bo jeśli chodzi o jego panią, to przynoszą więcej szkody niż korzyści. "Jeden Bóg wie, co królowa postanowi" - dodawał.

Sprawa wlokła się ze zmiennym szczęściem, dając asumpt do coraz to świeższych plotek. W lutym Drumken Burley z Totnes raczył swych sąsiadów historią o tym, jak "lord Robert przekreślił królową". W marcu hrabia Bedford donosił radośnie Throckmortonowi, że "głośna sprawa, o której cały świat gada, obecnie przycichła" i Cecil znowu trzyma wszystko w garści, ale, rzecz znamienne dla sytuacji, nim list zapieczętował, sprawa odżyła ze wzmożoną siłą. Propozycja nadania tytułu para ponownie znalazła się na tapecie i ponownie została odrzucona. Elżbieta oświadczyła, że nie może nadawać tego tytułu ludziom, którzy od trzech pokoleń byli zdrajcami. Dudley chodził nadąsany, więc humor jej się zmienił. Klepała swego Robina po policzku powtarzając: "Nie, nie, niedźwiedzia i pień sękaty nie tak łatwo obalić." Dudley powrócił do łask. Przychylni mu dworzanie nabrali odwagi i popierali jego konkury. A ona krzywiła się i mówiła, że nie ma zamiaru zrównać się z księżną Norfolk, bo kiedy się pobiorą, ludzie będą dopytywali się o jej męża jako o "Jego Lordowską Wysokość".

Na próżno dworzanie tłumaczyli, że wyjście jest proste, wystarczy, jeśli przyzna Dudleyowi tytuł króla, ale na to nigdy by się nie zgodziła.

Z nastaniem lata 1561 romans trwał jeszcze i raz po raz sprawiał kłopoty Cecilowi i innym, ale kryzys już minął. Elżbieta dowiodła, że jej rozum panuje nad uczuciami. I taki właśnie był sens całego epizodu. Przez chwilę zdawało się, że druga z kolei kobieta na tronie angielskim, podobnie jak jej poprzedniczka, rzuci wszystko na jedną szalę i nie zważając na konsekwencje pójdzie za głosem serca, lecz Elżbieta, choć obdarzona żywiołowym

temperamentem, była mniej impulsywna od siostry. Doświadczenie wzbogaciło jej bystry i sprawny umysł, nauczyło ją cenić ostrożność. Jej ambicją było dorównać swemu ojcu, zostać władczynią wielką i popularną. Zdarzyło się jej na krótki czas poświęcić dobre imię i popularność, co stanowiło miarę zadurzenia w Dudleyu. W końcu jednak najtrwalszymi przesłankami jej działania były dobro państwa i pragmatyczne wymogi polityki.

Kilka lat później powiedziała, że jeśli kiedykolwiek miałyby wyjść za mąż, to decyzję podejmie jako królowa, a nie jako Elżbieta. W roku 1561 miała jeszcze nadzieję, że z aprobatą panów i ludu uda się obie te racje połączyć. Ale gdyby nawet Dudley nie był tak znienawidzony i nie budził tak wielkiej zazdrości, tragedia Amy Robsart za bardzo obciążała jego reputację w oczach Anglików, by Elżbieta mogła sobie pozwolić na takie małżeństwo. Skoro więc postanowiła, że nie wyjdzie za mąż jako Elżbieta, było rzeczą oczywistą, że zrobi to jako królowa, chyba że pojawiłby się mężczyzna, któremu nie potrafiłaby się oprzeć, zaś w związku małżeńskie z obowiązku wstąpi tylko w obliczu twardej konieczności.

## *Rozdział szósty*

### PIERWSZE KROKI

#### NA ARENIE MIĘDZYNARODOWEJ

Po objęciu tronu Elżbieta musiała kontynuować rokowania pokojowe z Francją i groziło jej formalne zrzeczenie się Calais. Mógł Cecil z właściwą sobie zimną krwią robić rachunek strat i zysków i dojść do wniosku, że nie oplaca się utrzymać tego miasta, lecz jego pani nie mogła sobie pozwolić na odstąpienie tej posiadłości. Duma narodowa wykluczała podobne rozumowanie. Utrata resztek rozległych niegdyś domen angielskich na kontynencie była dla Elżbiety bolesnym upokorzeniem. Nosila przecież, podobnie jak od wielu pokoleń jej poprzednicy, tytuł królowej Francji. Wiedziała, że nie ma najmniejszej szansy na odzyskanie miasta, niemniej targowała się z niezwykłym tupetem, wykorzystując przyjaźń Filipa II i jego nieufność względem Francji. Starła się przeciągać pertraktacje niemal do ostatecznych granic, aż wreszcie zgodziła się na wyjście najznośniejsze, a mianowicie na kompromis pozwalający zachować twarz. Na mocy pokoju zawartego 2 kwietnia 1559 w CateauCanibresis Calais pozostawało nominalnie w posiadaniu Anglików, tylko czasowo oddane w powiernictwo Francuzów. W rzeczywistości sprzedano je za pół miliona koron, które Francja miała spłacić w przeciągu ośmiu lat, chyba że zdołałaby się wykręcić od płatności lub Elżbieta szukałaby pretekstu do nowej wojny. Pokój ten nie był ani honorowy,



ani haniebny, ale dzięki temu zadowolający. Sytuację powstałą w jego następstwie tak oto określił pewien Anglik: "Król francuski siedzi okrakiem na Anglii, jedną nogę trzyma w Calais, drugą zaś w Szkocji. Niezachwiana wrogość, lecz brak niezachwianej przyjaźni za granicą." Francja była wrogiem par excellence. "Gdy Etiopczyk zbieleje, Francuz pokocha Anglika" - głosiło porzekadło. Anglicy lubili porównywać Anglię i zwyczaje angielskie z Francją, czyniąc to z pewnym poczuciem wyższości. Każdy Anglik uważał, że wart jest dwóch Francuzów. Wiekową rywalizację zadrażniła bolesna rama Calads, a jeszcze bardziej roszczenia żony Delfina, Marii, królowej Szkocji, do tronu angielskiego. Pretensje Manii były przedmiotem sporu w taku rokowań pokojowych. Jeśli oddamy Calais, pytali Francuzi Hiszpanów, to komu właściwie mamy je oddać, skoro żona Delfina jest prawowitą królową Anglii? Po zawarciu pokoju Maria demonstracyjnie umieściła godło Anglii w swoim herbie. Zapraszała ambasadorów angielskich na uczyty, w czasie których jej roszczenia dumnie przemawiała z ozdobionych herbami półmisków.

Roszczenia te mogłyby właściwie mieć mewiiinmy charakter; Maria przypominałaby w ten sposób o swym prawie do sukcesji w przypadku bezpotomnej śmierci Elżbiety, gdyby religia nie 'krzyżowała się z polityką. Wcześniej czy później papież musi ekskomunikować Elżbietę, po czym zacznie się rozglądać za jakimś katolickim władcą, który ją zdetronizuje. Była najważniejszym władcą protestanckim w Europie i tego rodzaju pociągnięcie stanowiłoby znakomitą okazję do rozpoczęcia zwycięskiej kontrreformacji. Elżbieta robiła, co mogła. Posługiwała się jak tarczą konkurami arcyksięcia Karola; nakłaniała Filipa do występowania w Rzymie w jej obranie; wystawiała na pofcaa w kaplicy królewskiej swój krucyfiks, świece i ornaty, ku straszliwej rozpacz nabożnych Anglików powracających z wygnania i oplakujących Nową Jeruzalem, w której przetrwały ślady bałwochwalstwa. Kiedy nad jej głową zbierały się czarne chmury, starała się na wszelki sposób przekonać ambasadorów, że daleka jesit od protestantyzmu swych radykalnych młodych doradców i że była tylko ich bezwolnym narzędziem przy wprowadzaniu zmian religijnych. Wiedziała jednak, że te wszystisie podstępny na bardzo krótko odroczyć cios.

Historia poprzedniego panowania mogła się bez trudu powtórzyć. Elżbieta była wtedy nadzieją protestantów walczących z jej siostrą, teraz zaś Maria, królowa Szkocji, miała szansę stać się nadzieją katolików. Historia powtórzyłaby się z tą tylko różnicą, że w porównaniu ze swą siostrą Elżbieta miała bardzo ograniczone możliwości, natomiast Maria mogła liczyć na błogosławieństwo i pomoc papieża i niewątpliwe poparcie zainteresowanej, potężnej Francji. Jej bazą będzie Szkocja, którą od katolickiej północy Anglii odgradzało jedynie słabo ufortyfikowane miasto Berwick.

Sytuacja była ciężka, z czasem zaś miała się jeszcze pogorszyć. Dziesiątego lipca 1559 roku król francuski Henryk II zmarł od rany otrzymanej na turnieju. Królem został mąż Marii, Franciszek II, słabowity piętnastoletni młodzieniec. Rządy przeszły w ręce ambitnych wujów Manii, kardynała Lotaryngii i księcia de Guise. Oni to przede wszystkim doprowadzili do jej małżeństwa i można się było spodziewać, że korzystając z pomocy swej siostry, Marii de Guise, matki Marii i regentki Szkocji, skierują połączone siły Francji i Szkocji przeciw Elżbiecie.

Na szczęście rodzina Gwizjuszów nie trzymała w swych rękach wszystkich atutów. Protestantyzm i uczucia nacodowe zjednoczyły się w Szkocji przeciw obcemu katolickiemu rządowi, podobnie jak wspólnie wystąpiły za panowania Marii przeciw Filipowi i jego Hiszpanom w Anglii. Kościół był skorumpowany, kaznodzieje protestancy aktywni i wymiowini, zaś arystokracja marzyła o majątkach kościelnych i nieprzychylnie patrzyła na francuskich intruzów zagarniających urzędy i wpływy. Wstąpienie na tron Elżbiety zbiegło się z ożywieniem katolickiej i francuskiej polityki w Szkocji i stało się silnym bodźcem dla opozycji. Kiedy nieustraszony propagator reformacji John Knox wrócił w maju 1559 z wygnania, Szkocja była o krok od rebelii. W Peirith jakiś bezczelny młokos, podburzony sugestywnymi kazaniami Knoxa, znieważył biskupa i rzucił kamieniem w tabernaculum na ołtarzu. Tłuszcza wpadła w szal i zdemolowała kościół. Rewolta się zaczęła.

„Kongregacja” - jak nazywali siebie protestancy arystokraci i kaznodzieje - zwróciła się oczywiście o pomoc do Elżbiety. Uważali, że walczą o jej interesy, w tej samej mierze, co o własne, Francja bowiem na pewno wyśle potężną armię na pomoc regentce, a jeśli buntownicy zostaną pokonani, nic już nie przeszkodzi Francuzom pomaszerować na Anglię i obalić Elżbietę, o czym przecież marzą Gwizjusze. Jeśli natomiast oni zwyciężą, jeśli uda się im wypędzić wszystkich Francuzów ze Szkocja, zlikwidować Kościół katolicki i rządzić krajem w imieniu Marii, Elżbieta uzyska wtagłdne bezpieczeństwo, a w każdym razie pozbędzie się najgorszych obaw. Anglia i Szkocja będą prowadziły wspólną politykę i z czasem może nawet dojdzie do unii personalnej, jeśli Elżbieta poślubi młodego hrabiego Arran. Maria, zgodnie z przewidywaniami wielu osób, może umrzeć bezpotomnie lub też sytuacja może zmusić buntowników do jej zdetronizowania, zaś Hamiltonowie, rodzina Arrana, są następnymi w sukcesji do tronu. Niech więc Elżbieta nie śpieszy się z wyborem męża. Prośbę tę mogła łatwo spełnić, podobnie jak bez trudu mogła była poszerzyć listę zabiegających o jej rękę o jeszcze jednego konkurenta, i to posiadającego walory polityczne. Kiedy się dowiedziała, że Franciszek II ma być proklamowany królem Szkocji, Anglii i Irlandii, oświadczyła z ponurą satysfakcją, że on nawet sobie nie wyobraża, jak może dostać

po łapach; ona weźmie sobie takiego męża, że Framciszika głowa nozlboli. Arran przebywał w tym czasie na kontynencie i Francuzi za wszelką cenę starali się go schwycić, lecz Elżbieta ściągnęła go bezpiecznie do Anglii tajnymi kanałami, obejrzała sobie i odesłała do Szkocji, by jego obecność dodała wagi i znaczenia rebelii. Arran był jej bardzo wdzięczny. Do Ceoila pisał po kilku miesiącach: "Kiedy przypominam sobie tę osobistą sprawę, która przywodzi mi na myśl Jej Wysokość, wciąż jeszcze jestem tak zdumiony, że nie mogę się pozbierać." Słowa te okazały się niestety prorocze, bo rzeczywiście postradał zmysły. Nim to jednak nastąpiło, odegrał, podobnie jak inni konkurenci, rolę pionka w rękach Elżbiety.

Udzielenie pomocy Szkotom byłoby ryzykowne, a ponadto oznaczałoby pogwałcenie traktatu z CateauCambresis, lecz Elżbiecie nigdy nie można było zarzucić małoduszności, a poza tym nie mogła sobie pozwolić na większe skrupuły niż jej wrogowie. Ona i Cecil doskonale wiedzieli, że trzeba wykorzystać okazję, którą los zesłał. Elżbieta chciała jednak zachować pozory poprawnych manier i utrudnić w ten sposób Francji lub jakiemukolwiek innemu mocarstwu jawne wystąpienie przeciwko niej. W związku z tym Cecil nie wymieniał jej imienia w korespondencji ze Szkołami i na pierwsze oferty rebeliantów odpowiedział listem, który jedynie pokazano adresatowi. Oczywiście postawa Anglików nie pozostawiała żadnych wątpliwości. W Berwiok Ceoil kazał sir Jamesowi Ciroftowii zapewnić Szkotów, że Anglia nie dopuści do ich zagłady; niech rozpalą ogień możliwie jak największy, bo jeśli zostanie zdławiony, druga taka okazja za ich życia już się nie powtórzy.

Elżbieta przepadała za podobnymi sytuacjami, wymagającymi ostrożności, zachowania wszystkiego w tajemnicy i zuchwałych kłamstw. Urzędników odprawiano, Cecil sam pisał, szyfrował i rozszyfrowywał ważniejsze listy. Królowa, sir Thomas Parry i Cecil utworzyła ścisłą tajną radę, ściągając gromy na głowy młodych parweniuszów ze strony starszych, bardziej konserwatywnych i nie wtajemniczanych doradców. Wszyscy zdawali sobie niejasno sprawę z tego, że coś się dzieje, było to zresztą nieuchronne, skoro bez przerwy prowadzono pertraktacje, delegacje przekraczały granicę w obie strony i pieniądze płynęły do Szkocji. Regentka, Maria de Guise, miała siwych szpiegów, Szkoci paplali, zaś John Knox nie był człowiekiem, który potrafiłby utrzymać wyjazd do Anglii w tajemnicy. Jeszcze trudniej było zachować pozory, kiedy kongregacja zaczęła wypłacać zółd w angielskiej i flamandzkiej monecie i gdy przechwycono tysiąc funtów wysłanych dla wojska.

Im sytuacja stawała się trudniejsza, tym uporczywiej kłamała Elżbieta. Z początkiem sierpnia regantka protestowała przeciw temu, co się działo na terenach pogranicznych. Elżbieta tylko wyraziła zdumienie, że jej poddani, i to będący w służbie państwowej, pozwalają sobie na własną rękę przestawać z takimi ludźmi jak szkoccy rebelianci, choć

dobrze rozumieją, że w ten sposób sprawiają jej przykrość. Ona nic nie wie; jeśli regantka dostarczy szczegółowych informacji, ukarze winowajców. Pod koniec miesiąca nadeszły nowe skargi. Całkiem możliwe, powiedziała Elżbieta ambasadorowi francuskiemu, że jacyś jej podwładni zachowali się niemądrze, nie brak przecież wśród nich głupców. Wysłała już kogoś, by przeprowadził dochodzenie. Tyle tylko może powiedzieć, że kongregację czeka rozczarowanie, jeśli spodziewa się po mej jakiejś pomocy dla tego szalonego przedsięwzięcia. Nie pisała do nich, nie obiecywała niczego, oo łatwo da się sprawdzić, bo każdy pozna jej podpis; niechże on przedstawi dowód. Audyencja odbyła się w Hampton Court. Na koniec królowa zaprowadzała ambasadora do galerii i pokazała mu wiszący tam portret regantki. Rozwodziła się nad jej szczerością, uczciwością i życzliwością; prosiła, by przekazał jej najczulsze pozdrowienia."Gdyby sędzić po pozorach - donosił ambasador regentce - można by na podstawie jej słów i wyrażanych uczuć uznać, że kieruje się jedynie pięknymi intencjami zachowania pokoju i przyjaźni między Waszymi Wysokościami." Nie wiedział, że Arran przybył właśnie do Anglii i że członek Rady udający się na tereny pograniczne, by załatwić różne sprawy z przedstawicielami regentki, otrzymał tajną instrukcję prowadzenia rozmów z kongregacją i przekazania jej trzech tysięcy funtów!

W końcu września kolejna skarga spotkała się z równie stanowczymi zaprzeczeniami, tym razem jednak kłamstwo było przejrzyste i Elżbieta uśmiechała się podczas audyencji, jakby uważała to wszystko za znakomity żart. Zapewniała ambasadora, że wiadomości dochodzące do regentki są jedynie złośliwymi plotkami, ona zaś nie ma zamiaru zaprzeczać ani potwierdzać, gdyż zbyt wysoko ceni swój honor. Śmiejąc się prosiła, by przekazał dosłownie to, co powiedziała, pod koniec audyencji zaś powtórzyła jeszcze raz te słowa, by je dokładnie zapamiętał. Ambasador zmienił zdanie o królowej:"W jej zachowaniu więcej jest udawania niż uczciwości i dobrej woli. Nikt nie może jej dorównać w tej grze."

Cecil był zadowolony ze swej pani."Bóg obdarował ją równie dobrym zdrowiem, jak naturą." To prawda, że należało obchodzić się z nią ostrożnie; miała swoje antypatie i jedną z nich był John Knox. Nie sposób sobie wyobrazić dwóch bardziej różnych charakterów. Jakaś sakoda, że nigdy nie spotkali się osobiście! Knox potrzebował pomocy Elżbiety, wobec czego w lipcu napisał do niej, by załagodzić sprawę pamfletu Pierwsze surmy i świadczyć się ze swa niekłamana miłością i szacunkiem. List był utrzymany w typowym dla niego tonie:"Nie zaprzeczę, że napisałem książkę przeciw uzurpatorskiej władzy i niesprawiedliwym rządóm kobiet; nie zamierzam tego odwoływać ani cofać mego głównego argumentu i wniosku, póki prawda mnie do tego nie zmusi." Tak oto po przemyśleniu wyglądało jego zdanie o pamflecie, który napisał! Nie rozumiał, dlaczego Elżbieta jest na niego obrażona. Przecież

pamflet nie był w nią osobiście wymierzony i w żadnym wypadku nie miał szkodzić jej rządowi. Tłumaczył, że Elżbieta zawdzięcza władzę szczególnej łasce Boga, który zezwolił jej na to, czego natura i prawo zabraniają każdej innej kobiecie. Jeśli zaś upokorzy się przed Bogiem, to on, John Knox, gotów jest wystąpić w obronie jej władzy językiem i piórem, jako że Duch Święty tak właśnie uczynił w innym wyjątkowym przypadku, a mianowicie, gdy chodziło o Deborę. „Zapomnij o swym urodzeniu - zaklinał - i o wszystkich posiadanych z tej racji tytułach. Pomyśl tylko, jak daleko odeszłaś od Boga lękając się o własne życie, jak głęboko ukorzyłaś się przed bałwochwalstwem. Nie lekceważ sobie tego, co mówię.” „Cii, którzy odrzucają rady wiernych, choćby wydawały się najszlachetniejsze, ku własnej zgubie będą słuchali kłamstw pochlebców.” Nic więc dziwnego, że Cecil przestrzegał swych kolegów na terenach pogranicznych, by w listach nawet nie wymieniali nazwiska Knoxa, jest ono bowiem zniechęcające jak żadne mnę na dworze królewskim. Meldunki Knoxa należało przekazywać na ręce Cecila, on zaś zazwyczaj dalej już ich nie przysyłał, bo „nie przyniosą tu pożytku”. Arcybiskup Parker modlił się, „oby Bóg uchronił nas przed tarciami dopustami, jakiego Knox próbował narzucić Szkocji, by lud decydował o sprawach”. Na co królowa stanowczo by odpowiedziała: „Amen.”

Szczęście nie sprzyjało kongregacji. Każda niemal patyczka z wojskami regentki kończyła się porażką. Pod koniec 1559 roku było już jasne, że kongregacji nie sterczą siły i energii, by wypędzić ze Szkocji przybyłe tam wojska francuskie, a cóż dopiero, by stawić czoło armii i flocie, które przygotowywano we Francji. Potrzebna była jawna i bardziej energiczna pomoc z Anglii, temu jednak sprzeciwiała się Elżbieta. Godziła się chętnie na wszystko poza otwartymi działaniami wojennymi. Dała na przykład flotę Williamowi Winterowi, kazała mu popłynąć do Berwick i stamtąd do Firth of Forth, gdzie miał nie dopuścić do tego, by pomoc, czy to w postaci żywności, czy ludzi, dotarła do regentki, i przy okazji starać się wyrządzić jak największą szkodę statkom i okrętom francuskim na morzu i w Firth. Ale jego działania miały być samowolne i w razie potrzeby winien był uciekać się do wszelkich możliwych wybiegów, byle uchronić królową przed odpowiedzialnością. Równocześnie przeprowadzono zaciąg do Ayr, liczący cztery tysiące piechurów i dwa tysiące jazdy; miała ona znaleźć się w Berwick pod rozkazami księcia Norfolk, wkroczyć do Szkocji i przystąpić do oblężenia Francuzów w twierdzy Leith; innymi słowy, Cecil chciał zrobić krok, który niechybnie oznaczałby otwartą wojnę z Francją.

Podjęcie takiego decydującego kroku wymagało porozumienia się z całą Radą. Dyskusja trwała podobno osiem dni. Propozycji sprzeciwiał się początkowo szwagier Cecila, Lord Strażnik Wielkiej Pieczęci, sir Nicholas Bacon. Twierdził, że Anglia nie ma dość

pieniędzy, ludzi i przyjaciół, by się poważyc na takie przedsięwzięcie. Dochody skarbu nie wystarczały nawet na utrzymanie państwa w czasie pokoju oraz na spłacenie wewnętrznych i zagranicznych pożyczek - w listopadzie 1559 dług przekraczał normalny dochód roczny - sprolongowanie zaś części długów pociągnęłoby za sobą zbyt wysokie oprocentowanie. Arystokracja była przeważnie goła, biskupi i kler gruntownie wyżęci, szlachta i gmin niezdolne udźwignąć brzemienia. Na skutek głodu i zarazy brakło ludzi do pracy na roli, cóż dopiero na uzupełnienie armii. Anglia nie dysponowała pieniędzmi na obcych najemników, nawet gdyby względy bezpieczeństwa nie przemawiały przeciw sprowadzaniu cudzoziemców do kraju. Jedyni przyjaciele, szkoccy rebelianci, nie potrafili, jak się okazało, wypędzić trzech tysięcy Francuzów ani też wytrwać w polu przez pełny miesiąc, chyba że płacono im jak zaciężnym żołnierzom. Nie należy też zapominać, dodawał, że w Anglii jest sporo niezadowolonych. Nie brak takich, którym nie podoba się religijne oblicze rządu, i nie są to wcale ludzie głupi, oraz takich, którzy stracili stanowiska w Radzie i urzędy. Łatwo można sprawdzić, że większa część społeczeństwa jest przeciwna wojnie i inwazji. Udzielenie pomocy poddanym przeciw ich prawowitemu władcy będzie za granicą uchodziło za niesprawiedliwe, Anglia zyska opinię strony, która pierwsza złamała umowę; Francja ma czterokrotnie większe terytorium, czterokrotnie większe dochody i dysponuje czterokrotnie większą liczbą ludzi; ma doświadczonych dowódców, wypróbowanych żołnierzy i cieszy się przyjaźnią większości władców europejskich. Trzeba pamiętać, że Hiszpanie nie mieli powodu, by lubić Anglików po lekcji, jaką dostali za panowania Marii, Filip zaś, ze względów religijnych, przyłączyłby się raczej do Francji. A jeśli nawet tego nie uczyni, z pewnością zrobi to papież.

Przemówienie swe Bacom zakończył konkretną radą, by potajemnie udzielać Szkotom pomocy w ciągu lata, osłabiając w ten sposób Francję, ale oszczędzać własne siły. Za rok można będzie wspólnie ze Szkotami wypędzić Francuzów raz na zawsze. W ciągu jednego roku nie da się odbić Szkocji, a nie wiadomo, co się może zdarzyć w tym czasie. Maria, królowa Szkocji, jest bardzo chora i może umrzeć; rodzina Gwizjuszów może stracić władzę we Francji, może Elżbieta wstąpi w związki małżeńskie, co znacznie ułatwi rozwiązanie problemu. Bacom nie był osamotniony w swych poglądach. Graowelle i Feeria w rozmowach z angielskim ambasadorem w Niderlandach podkreślali, że wystąpienie Elżbiety przeciw Francji byłoby szaleństwem. Niejeden uważał, że pędzi ona ku pewnej i kompletnej katastrofie.

Cecil był innego zdania. Jego przyjaciel Thirooknorton, zawołamy intrygant i zawadziaka, wrócił z Francji, gdzie przebywał jako ambasador. Przyjechał rzekomo odwiedzić

chorą żonę, choć cieszyła się najlepszym zdrowiem. Prawdopodobnie chciał poinformować Elżbietę o spisku przeciw stronnictwu Gwizjuszów we Francji, w którym zresztą sam maczał palce. Gorąco popierał ideę działania. Uważał, że nadeszła najwłaściwsza chwila zadania ciosu. Jego przyjazd wzmocnił partię Cecila. W końcu udało się przekonać Bacona i czterech innych oraz Radę, która głosowała z jednym tylko głosem sprzeciwu za interwencją prowadzącą zapewne do otwartej wojny. Dwudziestego czwartego grudnia przedłożono królowej opinię Rady. W cztery dni później królowa ją odrzuciła. Elżbieta nie odpowiadała przed nikim i w odróżnieniu od grona doradców nie musiała uzasadniać swego zdania na piśmie, tak więc powody, którymi się kierowała podejmując decyzje, są 2 reguły przedmiotem domysłów. Miała zupełnie inny temperament niż Cecil, a poza tym jej pozycja nakazywała zachowanie ostrożności. Była w sytuacji sędziego, zobowiązanego wysłuchać opinii obu stron, Cecil natomiast, chociaż mógł i zazwyczaj brał pod uwagę wszystkie "za" i "przeciw", występował w roli adwokata. Jej słowo miało znaczenie rozstrzygające. Ona podejmowała ostateczną decyzję, Rada zaś wypowiadała jedynie swe zdanie i choć Cecil miał duże poczucie odpowiedzialności, oboje występowali w różnych rolach, między którymi istniały subtelne różnice psychologiczne. Elżbieta niewątpliwie wiedziała o początkowej rozbieżności zdań w Radzie, zaś w tak poważnej sytuacji nie wystarczało przekonanie oponentów przez Cecila. Tym bardziej, że królowa prawdopodobnie podzielała poprzednie poglądy Baecoma. Doskonale wiedziała, jakie koszty w ludziach i pieniądzech pociąga za sobą wojna; gra była hazardowa - skoro ma do niej przystąpić, woli postawić na powodzenie metod tajnych i zamaskowanych, którymi posługiwała się wręcz genialnie i po których spodziewała się więcej niż Cecil. Brakło jednomyślnego poparcia dla wojny; skoro zaś istniały wątpliwości, to wołała nie podejmować jednoznacznych decyzji.

Ponieważ zwycięstwo w Radzie na nic się nie zdało, Cecil uciekł się do jedyne go środka nacisku, jaki mu pozostał. Podał się do dymisji. Nie znamy rzeczywistego przebiegu wydarzeń, nie mamy nawet pewności, czy napisał z prośbą o dymisję, gdyż zachował się tylko brulion jego listu. Elżbieta prawdopodobnie wyraziła w zasadzie zgodę na otwartą interwencję, ale taka decyzja nie pociągała za sobą żadnych nieodwracalnych konsekwencji, ona sama bowiem musiała wydać polecenie rozpoczęcia działań, a mogła sobie pozwolić na to, by krok ten uzależnić od rozwoju wydarzeń.

Wydarzenia zaś niezmiennie sprzyjały polityce Cecila. Dwudziestego siódmego grudnia 1559 Winter odpłynął w kierunku Porth. Wichura i sztorm utrudniły zadanie, ale choć stracił szalupy okrętów, flota pozostała nienaruszona i 23 stycznia zawinął z przypiływem do Finth. Został tam dwa okręty wojenne, szalupą załadowaną amunicją i pewną liczbę barek.

Dowiedziawszy się, że wspierają armię francuską nacierającą przez Fife na St. Andrews, zaJął je, Mika barek zaś popędził do brzegu, gdzie zniszczyli je Szkoci. Kiedy regemtką wysłała herolda z trębaczem domagając się wyjaśnień, przekazał jakąś bajdę i zgodnie z otrzymanymi instrukcjami oświadczył, że działał na własną rękę, bez rozkazów królowej.”Wymówka jest zbyt przejrzysta - pisała regemtką - któż bowiem uwierzy, że zwykły poddamy i oficeir zechce, a co więcej, będzie mógł prowadzić wojnę wbrew wioM i bez wyraźnych rozkazów królowej!” Miała rację. Podstęp był zaiste szyty grubymi nićmi, miał jednak tę zaletę, że pozwalał nominalnie zachować stan pokoju, chyba żeby Francuzi zechcieli wykorzystać akcję Wintera jako casus belli, a na to właśnie nie mieli ochoty. Kiedy z kolei zażądano wyjaśnień od Elżbiety, zachowała się równie bezczelnie jak Wimter. Powiedziała, że książę Norfolk otrzymał polecenie przeprowadzenia dochodzeń, aresztowania winowajcy i wysłania go do Londynu, nie może jednak tak postąpić z Winterem, człowiekiem zasłużonym i wyższym dowódcą. Nawet Żyda nie ukarałaby nie wysłuchawszy wprzód tego, oo ma do powiedzenia. Nie trzeba dodawać, że młody admirał pozostał w Forth i kontynuował blokadę.

Elżbietańska marynarka wojenna pod rozkazami młodego dowódcy wywiązała się ze swego pierwszego zadania bojowego sprawnie i gładko. Francuzom powiodło się gorzej. Na początku grudnia stracili cztery okręty i tysiąc żołnierzy, teraz zaś ten sam sztorm, który opóźnił flotę Wintera, rozbił ich główną flotę z długo oczekiwaną armią na pokładzie. Podobno cztery okręty i dwa tysiące ludzi utonęło, reszta zaś musiała wrócić do portu.

Cały ten epizod był równoznaczny z wygraną bitwą i dawał Elżbiecie upragnioną zwłokę. Cecil denerwował się, że sprawy idą tak powoli:”pragniemy pokoju, jak długo tylko da się on znieść”, ale królowa wciąż się dopytywała, czy Szkoci potrafią na własną rękę wypędzić Francuzów, odpowiedź zaś brzmiała niezmiennie i stanowczo: Nie. W pierwszych dniach lutego 1560 kraj przeżywał gorączkę przygotowań wojennych. Codziennie można było oglądać piękny widok - królowa na neapolitańskdm rumaku asystowała przy szkoleniu nowych oddziałów. Jej agent finansowy Gresham zabiegał w Niderlandach o dużą pożyczkę i po kryjomu skupował i wysyłał znaczne ilości prochu strzelniczego i amunicji, które w swych listach nazywał aksamitem i purpurowym jedwabiem. Udało mu się nawet zdobyć dwa tysiące panczerzy z królewskiego arsenału w Mechelen; gdy wykryto ich brak, powstała niemąła wrzawa. Podpisany 27 lutego traktat w Berwick oznaczał nowy etap w rozwoju sytuacji. Elżbieta wzięła Szkocję pod swoją opiekę, by bronić jej swobód i wolności, oraz wyraziła zgodę na otwartą interwencję. Zbuntowani Szkoci ze swej strony zobowiązali się pirzyjść z pomocą, jeśli Francuzi wtargną do Anglii. W miesiąc później armia angielska wkroczyła do Szkocji.



Teraz interweniował Filip II. Biedaozysiko! Znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Nie chciał, by Elżbieta anektowała Szkocję, ale jeszcze bardziej przeciwny był anektowaniu Anglii przez Francję. Nie chciał, by Szkotom uszła płazem rebelia i by narzucili swą herezję reszcie rodaków. Jeśliby tak się stało, wówczas ta niewiasta, udzielając poparcia heretykom, poróżni całą Europę i w niedługim czasie niepokoje ogarną jego własne dominia, Niderlandy. Był przekonany, że w razie wojny między Anglią i Francją zostanie w nią wciągnięty, nie ulegało bowiem wątpliwości, że Francuzi będą odnosili zwycięstwa i że on we własnym interesie będzie musiał ich poskromić. Widział tylko jedno wyjście: trzeba nakłonić Elżbietę, by wycofała swą pomoc, on zaś pośle tymczasem armię hiszpańską z Niderlandów, która wspólnie z ograniczoną liczbą wojsk francuskich ukarze rebeliantów. Gdyby Francuzom po rozbiciu Szkotów przyszło do głowy napaść na Anglię, wówczas jego armia pośpieszy z pomocą Elżbiecie. Może więc ona zapewnić sobie bezpieczeństwo za cenę zdania kongregacji na łaskę losu.

Sytuacja wymagała zachowania jak największej ostrożności, gdyż każdy nierozważny krok mógł pchnąć Filipa do działania. Teraz właśnie kunktatorstwo Elżbiety i jej niezwykle talenty krasomówcze zdały egzamin. Cecil chciał iść naprzód nie bacząc na konsekwencje, Elżbiecie instynkt podpowiadał, że należy zacierać linię tak, by nie wiadomo było, kiedy ją przekroczy. Uzupełniali się znakomicie, choć Cecil, zmuszany nieustannie przez zwyciężać wahania i depresje swej pani, nie miał chwili spokoju. Na szczęście genialny pomysł Filipa nie wywołał zachwyty jego doradców. Uważali, że nie przypadnie on do gustu Francuzom, a co gorsza, że Francuzi w końcu dogadają się z Elżbietą kosztem Filipa. Nidktórzy z nich byli do tego stopnia antyfrancuscy, że stali się proangielscy.

W (kwietniu Filip przekazał Elżbiecie swe propozycje - przez posła, flamandzkiego arystokratę, i dał jej do zrozumienia, że może albo się wycofać, albo toczyć wojnę z Francją i Hiszpanią. W Niderlandach inatomiast śpiewania peany ma jej cześć. Pewien zakonnik, który w kazaniu napadł na Elżbietę, mię mógł wyjść z kościoła w obawie przed samosądem tłumem. Powiadano, że żołnierze hiszpańscy odmówią wykonania rozkazów. Poseł Filipa, przychylny Anglii, skutecznie stępił ostrze polecenia, w największej tajemnicy radząc Cecilowi i Lordowi Admirałowi, by kontynuowali działania wojenne. Ambasador hiszpański w Paryżu podobnie izachęty powtarzał Throokmortomowi w (rozmowie prywatnej. W maju - co prawda raport dotarł do Elżbiety dopiero w czerwcu - książę Alba powtórzył ambasadorowi angielskiemu hiszpańskie porzekadło: "Jeśli twój wróg tkwi w wodzie po pas, podaj mu rękę i pomóż miu się wygramolić; jeśli siedzi w niej po szyję, przyduś go i

przetrzymaj pod wodą.” Innymi słowy, jeśli Elżbieta jest w stanie wypędzić Francuzów ze Szkocji inie narażając się ma. niebezpieczeństwo, niechże z tym Jiie zwleka.

Armia rzeczywiście szła naprzód, co prawda nie tak sprawnie i nie w takim porządku jak flota. Siódmego maja obroniła się twierdza Leith; saturm kosztował około tysiąca zabitych i rannych. Elżbieta nie dała poznać po sobie niepokoju. Pośpiesznie zwerbowała nowych żołnierzy, podtrzymała armię ma duchu obietnicą posiłków i wsparcia, ale wróciły jej dawne wątpliwości podsycane doniesieniami o korupcji w wojsku, o braku dyscypliny, nieudolności, a nawet zachowaniu sde graniczącym ze zdradą. Obawa, że dojdzie do wojny z Hiszpanią, jeśli (zwycięstwo będzie się odwlekalo, dolewała oliwy do ognia. Elżbieta znowu występowała w roli Kasandry przepowiadającej klęska, zaś pochlebcy i tchórze szerzyli na dworze ponure nastroje. Cecil pisał do Throckmortona:”Bóg wystawia nas na próbę stwarzając przeróżne trudności. Jej Królewska Mość zawsze była niechętna szkockiej sprawie.” „Nacierpiałem się bardziej niż od pięciu ataków febry...”

Francuzi jednak znaleźli się w sytuacji, w której nawet nie mogli liczyć na zwycięstwo. Co prawda w marcu udało się zdławić spisek w Amboise, wspomniany przez Throckmortona w grudniu, podczas jego pobytu w Ikraju, ale pozostało tyle kłopotów, że stronictwo Gwizjuszów miało pełne ręce roboty i mowy nie było o wysłaniu odsieczy dla Ledth przed końcem sierpnia, a do tego czasu oblężeni prawdopodobnie zginą z głodu. Maria de Guise była chora, właściwie ‘umierająca. Należało się śpieszyć z zawarciem pokoju, wobec czego Francuzi rnimo pomyślnych wiadomości ze Szkocji zażądali pertraktacji. Elżbieta nalegała na ich rozpoczęcie i wspierana przez Radę namawiała Cecila, by jako jeden z delegatów udał się do Edynburga. Ale om wraz z grupą przyjaciół miał jak najgorsze przecucia. Co się zdarzy ina dworze pod jego nieobecność?”Kto będzie mógł lub chciał (przeciwstawić się argumentom królowej d jej wątpliwym pomysłem?” - pytali.”Kto potrafi szybko ukrócić wątpliwości opóźniające wszystko? Czy będzie ktoś w stanie sprawy przyśpieszyć?” „Wiem, że każdy kocha swój kraj z całych sił, oby tylko Jej Królewska Mość talk go ikochała.”

Cecil wyjeżdżał z oporami, nie wierzył ‘bowiem w sens negocjacji. Z chwilą jedinalk, gdy się w nie wdał, mistrzowsko i subtelnie wykorzystywał swe talenty, a gdy przekonał się na własne oczy, jak potężną twierdzą jest Leith, bardziej jeszcze inż królowa zapragnął pokoju. W toku r ozonów sytuacja polityczna wciąż się zmieniała na korzyść Anglików. Umarła Mania de Goiise, nadeszły wiadomości o klęsce wojsk hiszpańskich w Tripolisie, rozwiewając obawy przed Filipem, we Francji zaś narastały kłopoty wewnętrzne. Elżbieta była coraz bardziej pewna siebie. Mogła teraz, jalk to stwierdzał z entuzjazmem

Gresham, "zmusić do ugięcia się pod jej szlachetnym kadłubem najdumniejszego władcę świata chrześcijańskiego". Zaiste, gotowa była domagać się nie tylko zwrotu Calais, lecz i spłacenia pół miliona koron jako rekompensaty za używanie jej godła i tytułu. Szkoci otrzymali to, czego pragnęli, ona dostanie swój funt mięsa. Nie przejmowała się możliwością zerwania pertraktacji i gotowa była aprobować najbardziej szaleńcze plany. Ileż ironii w tej przemianie! Teraz Cecil doradzał powściągliwość i starał się wyplenić wątpliwość, którą sam zasiał w umyśle królowej. Miał niewątpliwie rację, lecz gdyby był wcześniej postawił na swoim, równie niewątpliwie nie doszłoby w ogóle do rokowań pokojowych. Otóż prawda polegała na tym, że pomyślnie załatwienie sprawy wymagało obu umysłów i usposobień, szczęśliwie, choć nie zawsze zgodnie się uztupniających. W ostatniej chwili Elżbieta osobiście napisała do Cecila list szyfrem, chodziło bowiem o tajemnicę, której nikt poza nimi dwojgiem nie powinien był znać, że zamierza wkroczyć do Francji, udzielając w ten sposób pomocy rebeliantom, i że chce zająć jakieś miasto francuskie w zastaw za Calais. Na szczęście list dotarł do adresata za późno. Co prawda sam Cecil dawniej rozważał taki pomysł, ale tymczasem role się zmieniły.

Szóstego lipca 1560 roku podpisano traktat edynburski. Był to triumf prestiżu i honoru Anglii. Uznane zostały prawa Elżbiety do tronu, zaś Franciszek i Maria zobowiązali się nie używać jej herbu i tytułu. Można by wyliczyć jeszcze inne ustępstwa, ale nawet z angielskiego punktu widzenia najistotniejszymi warunkami pokoju było wycofanie wszystkich, poza drobną garstką, wojsk francuskich ze Szkocji, zburzenie twierdzy Leith i przekazanie rządów Radzie utworzonej ze szkockich panów. Bez względu na to, jakie się okażą losy traktatu, bez względu na to, czy Franciszek i Maria go ratyfikują, sprawy najważniejsze nie budziły niepokoju, wojska bowiem miały być natychmiast wycofane, twierdza zburzona i za tydzień lub dwa poza zbuntowanymi panami szkockimi nie będzie już nikogo, kto mógłby ptnzejąć władzę. "My te wojska wyprowadzimy, a Szkoci będą je odtąd klęli." Elżbieta miała wszelkie powody do zadowolenia. Jej autorytet za granicą wzrósł niesłychanie, i to zarówno wśród katolików, jak i protestantów. Oto jak wiele osiągnęła wbrew pesymistycznym prognozom zarozumiałych Hiszpanów, i to tną samym początku iswego panowania i, jak mówił Cecil, jeszcze w panieństwie.

Przez następne kilka tygodni w Szkocji panował nastrój niezmaconego szczęścia, talk przynajmniej uważał agent Elżbiety Thomas Randolph. Kochajmy się! - powtarzała cała arystokracja, pełna wdzięczności dla tej onoty uosobionej, wobec której Szkocja zaciągnęła dług wdzięczności, dług, którego nigdy nie będzie w stanie spłacić. Panowie marzyli o tym, by wybrać się do Anglii i osobiście podziękować Elżbiecie. W parlamencie zwołanym w

sierpniu przebudowali państwo zgodnie z własnymi ideami d nikt im w tym nie rnógł przeszkodzić. Obalono zwierzchność papieża, zabroniono odprawiać mszę, trzykrotne zaś naruszenie tego zakazu karano śmiercią. Przyjęte zostało protestanckie wyznanie wiary, zatwierdzony traktat z Berwick, panowie zaś, dążąc do połączenia obu krajów undą nierozzerwalną, zwrócili się do Elżbiety z petycją, by poślubiła hrabiego Anran, którego sukcesję zatwierdzili statutem. Brakło głosów sprzeciwu d podobno nawet papięsd gotowi byli za tę cenę wyrzec się swego papieża. Wszyscy byli zdecydowani dołożyć wszelkich możliwych starań, by to małżeństwo doszło do skutku. Mówiono o tym co dzień, co godzinę i gorączkowo rozważano, jakie szansę ma Arran w zestawieniu z innymi konkurentami. Przyznawano, że wielkie bogactwo syna króla szwedzkiego jest poważnym atutem, ale jeszcze większym był dobry charakter, religijność oraz inne cnoty księcia holsztyńskiego.”On to - pisał Randołph - budził straszliwy niepokój w naszym obozie. On to zakłócał nasz sen i pętał języki.” Wszyscy jednak mieli nadzieję, że zalety Arraina i inne względy. Nie ma rzeczy ‘niemożliwych dla serca gorącego i chcącego. Airran zaś miał najlepszą wolę.

Cecil tymczasem wrócił przekonany o swoich zasługach. Uważał, że ma prawo hojnie rozdzielać dary, (którymi przypieczętuje pomyslnie załatwienie spraw. Na dworze izastał Dudleya cieszącego się coraz większym wpływem - było to tuż przed śmiercią Amy Robsart - i (królową w nastroju oszczędzania. Chyba zbyt często przypisywał złemu wpływowi Dudleya to, co wynikało raczej z uporu Elżbiety, rozpamiętywał swe kcerzywdy i tak bardzo wsłuchiwał się we współczujące głosy przyjaciół, że pinzed upływem miesiąca anowu myślał o dymisji. Czegóż może się on spodziewać, skoro księżę Norfolk, wielki pan d krewny królowej, za swą służbę otrzymał tylko podziękowanie i odprawiony został bez żadnej nagrody lub choćby obietnicy? Twierdził, że przez następne siedem lat będzie dotkliwie odczuwał skutki poniesionych wydatków, a przecież dzięki pośpiechowi, z jakim rozpuścił wojsko, w jeden dzień oszczędził Elżbiecie 15 000 funtów. Dla swego własnego dobra powinna się zlitować nad biednymi lordami szkockimi; byłaby to dobra inwestycja. Gdyby on sam miał do dyspozycji tysiąc funtów, podjąłby się uratować dwudziestu na przeciąg pięciu lat, czterdziestu, gdyby miał dwa tysiące. Hrabia Glencaim był ubogi, uczciwy, wierny i roztropny; Maxwell był bardzo mądry i religijny; Hume poszedłby na lep kilku dukatów; Maitland odznaczał się wieloma zaletami; życzenia lorda Jamesa dałoby się spełnić; Kircaldy zasługiwał na pamięć z uzasadnionych powodów.

Stara, jakże dobrze znana historia! Ustąpić łatwo, lecz trudno się przeciwstawić. Szeroka jest droga prowadząca do bankructwa; tą właśnie drogą (kroczyli sąsiedzi Anglii, Francja i Hiszpania. Elżbieta prowadziła wojnę na kredyt, co zresztą fojło nieuniknione, i to

na kredyt krótkoterminowy. O prolongacie na rozsądnych warunkach nie mogła marzyć. Sama armia kosztowała 132 000 funtów, Gresham zakupił zbroje i amunicję za 109 000, zadłużenie za granicą wyrażało się sumą 247 000. Czekala ją spłata długu, który przekraczał roczny dochód skarbu państwa. Przez cały nok następny Elżbieta i Gresham starali się rozpaczliwie spłacić długi, by uratować kredyt umożliwiający zaciągnięcie pożyczki w przypadku jakiejś nowej potrzeby. Doświadczenie nauczyło ją, że nie prezenty lub pensje są fundamentem wierności. Na dalszą metę liczy się wspólnota interesów, nie przelotny nastrój wdzięczności. Najtrwalsze zatem więzy unii wykuła Elżbieta wypędzając Francuzów i powierzając szkockim panom władzę w Ikraju wbrew wolicom suwerena. Gdyby uczyniła więcej, byłaby to już dobroczynność, która jest przywilejem bogatych i powinna zaczynać się od najbliższych. Cecil być inoże mdał chwilowo pustą kieszeń, ale w końcu został sownie wynagrodzony. Gdybyż wiedział, że tajemnicą wielkości Elżbiety były jej finansowe talenty, je] uparte, denerwujące skapstwo.

## ***Rozdział siódmy***

MARIA,

KRÓLOWA SZKOCKA

Zdaniem Franciszka II traktat edynburski był niesprawiedliwy i nie do przyjęcia. Oświadczył, że nie może tolerować sytuacji, w której wielki monarcha musi się godzić na dyktat poddanych. On i Maria dali co prawda królewskie słowo honoru, że będą ratyfikowali traktat, w końcu jednak wycofali się pod różnymi pretekstami. Co gorsza, oie zaprzestali posługiwania się herbami angielskimi. Tak więc powstał impas. Ale niespodziewanie, nim cokolwiek można było przedsięwziąć, 5 grudnia 1560 roku Franciszek zmarł. Na tronie - zasiadł jego małoletni brat Karol IX, zaś rządy przejęła król owama tka Katarzyna Medycejska. Dom Gwizjuszów chylił się ku upadkowi. Mania była bardzo przywiązana do Francji, nie miała jednak wyboru i musiała wracać do dziwacznej, prymitywnej i niegościnniej Szkocji, którą opuściła przed dwunastu laty.

Zmieniali się protagomiści dramatu panowania Elżbiety. Zaczęto uważnie obserwować jej stosunki z Marią. Dwie młode królowe, kuzynki, występujące na jednej scenie - czego można było się spodziewać poza nieubłaganą wrogością? Przecież ma dobrą sprawę to Elżbieta, stosując przemoc, doprowadziła do tego, że poddani odmówili posłuszeństwa Marii i ustanowili w Szkocji nienawistny jej system religijny i polityczny.

Maria ze swej strony odmówiła ratyfikowania traktatu edynburskiego i biorąc pod uwagę jej wolę i stanowczość, mogła odplacić rywalce pięknym za nadobne. W każdej chwili mogła wzniecić zarzewie katolickiego opoiru w Anglii, a nawet wystąpić z roszczeniami do tronu angielskiego. Już samo wdowieństwo Marii kryło w sobie wyzwanie i niebezpieczeństwo, mogło bowiem przyćmić atrakcyjność Elżbiety jako. najlepszej dotąd partii w Europie. Konkurenci, którzy mię szczydzili pieniędzy, czasu i nerwów ma zabieganie o rękę Elżbiety, zaczęli interesować się kobietą mię trwającą uparcie w panieństwie i znacznie mniej kapryśną. Przed upływem kilku tygodni zaczęto mówić o Don Cairlosie z Hiszpanii, o arcyksięciu Karolu, o (królu szwedzkim i królu Damid. Czy to dlatego, że przemawiała przez nią racja polityczna, czy też instynktowna zazdrość, Elżbieta nie miała zamiaru odstąpić rywalce na pół lub całkowicie odtrąconych Kaletników. Każdy z nich poślubiwszy Marię uznałby tron angielska za smakowity kąsek, zaś Don Cairlos i arcyksiążę Karol mieli potężne katolickie poparcie. Może dojść do tego, że zatrą się granice między Anglią i Szkocją, dwa narody pograżą się w wojnie religijnej, do której zostaną wciągnięte niemal wszystkie państwa europejskie, po czym cały świat chrześcijański podzieli się na dwa wrogie obozy - katolicki i protestancki. Obawy te mogły się okazać jedynie koszmarami sennymi, niemniej ibyły realne. Europa dojrzała do takiego obłędu. Kmox i jemu podobni uważali się w pierwszym rządzie za protestantów i dopiero po tym za Szkotów, Francuzów lub Niemców; podobnie przedstawiała się sprawa z coraz liczniejszymi żarliwymi katolikami. Gdyby nawet udało się szczęśliwie uniknąć takiego niebezpieczeństwa, nie - zmieniało to w niczym faktu, że losy chrześcijańskiego świata wiązały się z rozwojem stosunków między dwiema monarchiniami.

Początki nie były obiecujące. Elżbieta panownie zażądała ratyfikacji, Maria ponownie odmówiła, skutek zaś był taki, że gdy Maria poprosiła o list żelaany ma przejazd przez Anglię w drodze do Szkocji, Elżbieta odpowiedziała: bez ratyfikacji nie ma glejtu. Ambasadorowi Throefmortonowi poleciła przedstawić Marii motywy swej decyzji. Kiedy przybył ma audiencję, Maria nakazała dworzanom wyjść z sali, gdyż - jak powiedziała - obawia się, że nie zapanuje nad sobą, a nie chce publicznie okazywać gniewu, jak to uczyniła Elżbieta. Throckmortonowi oświadczyła, że najbardziej żałuje, iż się zapomniała i prosiła o łaskę, o którą wcale nie potrzebowała prosić. Może przecież wrócić do Szkocji tak, jak stamtąd wyjechała - drogą morską, jeśli zaś wiatr zepchnie ją na brzeg Anglii, no cóż, Elżbieta będzie mogła postąpić tak, jak zechce, nawet może ją stracić, co zresztą może się okazać lepsze, inż gdyby miała pozostawić ją ptrzy życiu. Niech się dzieje wola Boża. Elżbieta wyraziła się o

niej, że jest młoda i niedoświadczona; być może, ale ma pewno nie ustępuje Elżbiecie odwagą.

Gorzkie to były słowa, lecz w gruncie rzeczy Maria nie była aż tak bardzo zagniewana. Podobnie jak Elżbieta rewidowała swą politykę w świetle nowej sytuacji. Obie szukały jakiegoś modus vivendi. Każda z nich miała coś do zyskania i każda mogła w czymś ustąpić. Elżbiecie zależało na tym, by Szkocja nie wróciła do dawnego aliansu z Francją. Zdawała sobie sprawę, że jeden Bóg wie, co temu krajowi może przynieść religia i polityka Marii. "Czeka nas kompletny oblęd - pisał Raindolph - bo ona nigdy się nie pogodzi z naszymi wymogami i odmiennościami religijnymi." Protestancka, anglofińska partia w Szkocji sprawiała wrażenie silnej, któż jednak mógł przewidzieć, czy sprytna i ładna królowa mież z czasem podważyć wpływów tego stronnictwa? Już teraz ludzie mniej dalekowzroczni od rozumnego sekretarza Maitlanda z Lethington lub nie tak zacierzewieni jak John Knox dają się uspić świeżym poczuciem bezpieczeństwa i zgłaszają się do dyspozycji królowej. "Wielu - prostych ludzi - pisał Maitland - ulegnie złudnym nadziejom d da się oczarować pięknym słówkom." W takiej sytuacji Elżbieta wykazałaby krótkowzroczność, gdyby zlekceważyła sobie Macrię i zdała się na poparcie kongregacji. Lepiej było dojść do przyjaznego porozumienia.

Maria ze swej (strony nie była przeciwna ugodzie, choć wpadając w gniew mówiła o wypędzeniu wszystkich Anglików, co do jednego, ze Szkocji. Od czasu gdy jej krewni Gwizjusze stracili władzę, coraz mniej kusił ją sojusz z Francją. Poza tym, nie mając salnej i zorganizowanej partii w Szkocji, nie mogła nawet marzyć o prowadzeniu polityki diametralnie przeciwnej polityce kongregacji. Musiała pogodzić się z tym, że odtąd jej losy związane będą z Wyspami Brytyjskimi, i fakt ten przyjęła do wiadomości. Odmawiała ratyfikacji traktatu edynburskiego, ponieważ niejasno sformułowaną klauzulę zobowiązującą ją do zrezygnowania z angielskiego tytułu i herbu można było interpretować jako unieważnienie jej przyszłych roszczeń do tronu angielskiego. Ale kompromis był chyba możliwy? Maitland i bastard ojca Marii, Murray, przyjaźnie nastawieni wobec Anglii, namawiali królową, by zrzekła się wszelkich praw i roszczeń do tronu angielskiego in rzecz Elżbiety i jej potomstwa pod warunkiem, że Elżbieta uzna ją za ewentualną następczynię, gdyby zmarła bezpotomnie. Pomysł podsunęto Elżbiecie, zanim jeszcze Maria opuściła Francję. Cecil wspominał o tym Throckmortonowi jako o sprawie trzymanej w tajemnicy, "zbyt wielkiej dla ludzi słabych, zbyt skomplikowanej dla prostaczków". Wciąż rozwodził się nad niemal katastrofalną słabością Elżbiety do Dudleya i dodawał, że nie zamierza być ojcem tego kompromisu. Miał już dosyć kobiet na angielskim tronie." Oby Bóg

zesłał naszej pani męża, a z czasem i syna, tak żebyśmy mogli żywić nadzieję, iż nasi potomni będą mieli męską sukcesję.”

Elżbieta zmiękła i niemal w ostatniej, jak sądziła, chwili wysłała Marii list żelazny. Mogło to jedynie oznaczać, że gotowa jest się z nią spotkać i przedyskutować warunki ugody, kiedy Maria będzie przejeżdżała przez Anglię. Krok ten zdawał się zapowiadać porozumienie i przyjaźń. Niestety! Maria już odpłynęła do Szkocji. Tak oto zmarnowana została pierwsza okazja do spotkania. Los okazał się nieubłagany.

Rankiem 19 sierpnia 1561 roku Maria stanęła w Leith. Pogoda była rozpaczliwa, mżył deszcz i wszystko tonęło w gęstej ciemnej mgle. Przez dwa dni poprzednie i dwa następne słońce nie wyjrzało ani razu. John Knox tłumaczył, że”samo oblicze nieba wyraźnie dawało do zrozumienia, jakie to pociechy przywiozła ona ze sobą dla nas - a mianowicie smutki, boleści, ciemności i wszelką bezbożność”. Przybycie Marii było niespodzianką, lecz salwa z dział okrętowych szybko ściągnęła tłum pragnący ją zobaczyć. Na jej przyjęcie przygotowano pośpiesznie pałac Holyrood. Panowała powszechna radość i entuzjazm. Tego jeszcze wieczora grono najbardziej szanowanych obywateli koncertowało pod oknami jej sypialni. Tak przynajmniej twierdził John Knox. Natomiast dla jednego z panów, z jej świty, osławionego autora francuskich opowieści miłosnych, Brantôme’a, było to pięciuset czy sześciuset gburów, którzy nie pozwalali zmrużyć powiek przez całą noc grając na swych skrzypkach i gęślach i fałszywie wyśpiewując psalmy.

Maria chciała pozyskać ludzi. Liczyła sobie niespełna dziewiętnaście lat, ale była nad wiek doświadczona i znała świat. Wysoka jak matka, miała jasną cerę, ciemne brązowe oczy, kasztanowe włosy, a choć rysy może nie najpiękniejsze, podbijała wszystkie serca żywością usposobienia. Bardzo się podobała mężczyznom i choć była królową, niejeden próbował pozwalać sobie na poufałość. Była inteligentna i jak należało się spodziewać po osobie przybyłej z renesansowej Francji, starannie wykształcona, celowała jednak w muzyce, tańcu i jeździe konnej, nie w naukach. Wychowała się w”radości”; tak nazywała swe tańce, które Knox z kolei określał jako”podskoki, niezbyt przystojące przyzwoitej niewieście”. W niczym prawie nie przypominała angielskiej kuzynki. Uczyła się języków obcych, lecz nie władała nimi biegle; czytała po łacinie i kontynuowała łacińskie lektury pod kierunkiem George’a Buchanana, lecz nie potrafiła wysłowić się gładko w tym języku. Elżbiecie największą przyjemność sprawiały długie dysputy teologiczne, Maria natomiast przecinała je z miejsca mówiąc, że”nie umie rezonować, lecz wie, w co ma wierzyć”. Knoxowi kiedyś powiedziała:”Jesteś dla mnie za mądry, gdyby tu jednak byli ci, których słuchałam, daliby ci odpowiedź.” Cierpliwie siedziała z robótką w ręce na posiedzeniach Rady, przysłuchując się



mowom swych doradców. Elżbieta zazwyczaj unikała swej Rady, bo nie chciała zostać zdominowana, w tych zaś przypadkach, gdy była obecna, umiała argumentami zmusić ministrów do milczenia. Maitland powiedział Randolphowi, że nie znajduje w Marii takiej dojrzałości sądu i takiego doświadczenia w sprawach ważnych jak u Elżbiety, którą natura i czas doświadczyły boleśniej niż wielu ludzi od niej starszych. Jakże łatwo Maria roniła łzy; była kobietą, w której górę brały uczucia, nie intelekt. Potrafiła znieść i w rzeczy samej zniosła dużo, lecz taki kryzys uczuciowy, jaki przeżyła Elżbieta z Dudleyem, złamałby ją łatwo.

Maria przybyła na miejsce we wtorek. Do niedzieli panowała niezakłócona radość i spokój, ale właśnie w ten dzień, kiedy czyniono przygotowania do mszy w kaplicy królowej, prysnął nastrój beztroski. Obudzili się bogobojni: "Czy można dopuścić do tolerowania bałwochwalstwa w naszym kraju? Do tego nie dojdzie!" Głośno domagali się, zgodnie z prawem boskim, śmierci bałwochwalczego księdza, i kiedy nieszczęsny człowiek uniósł swego Boga wysoko, "ze strachu omal nie... więcej nic powiem ze względu na przyzwoitość" - donosił Randolph. Na szczęście Murray był na miejscu. Stał w drzwiach kaplicy i nie dopuścił do ekscesów. Zabrano tylko i zniszczono świece. W dziewięć dni później Edynburg z kolei popisał się swą żarliwością. Okazja się nadarzyła podczas uroczystego wjazdu Marii do miasta, które witało ją widowiskami, tak jak przed trzema laty Londyn witał Elżbietę. W jednym z żywych obrazów dorodne pachole wychodziło z kuli wyobrażającej niebo, by wręczyć królowej Biblię, psalterz i klucze miasta. Inny obraz przedstawiał Koracha, Datana i Abirama, których Bóg raził piorunem za składanie ofiar bożkom. Obywatele zamierzali spalić drewnianą kukłę księdza podnoszącego hostię przed ołtarzem. Hrabia Huntly nie dopuścił

A tymczasem John Knoy Smite rzekł z kazalnicy. Randolph najbardziej się obawiał, że pewnego dnia Knox wszystko zepsuje. "On panuje nad wszystkim - dałby Bóg, żebyś wiedziała, jak wielką ma władzę." Drugiej niedzieli po przyjeździe Marii Knox oświadczył, że jedna msza jest dla niego groźniejsza od dziesięciu tysięcy uzbrojonych nieprzyjaciół lądujących tu, by zniszczyć religię. Maria postanowiła spotkać się z nieustraszonym kaznodzieją. Daremne były to trudy; jej talenty i wdzięki, nawet jej władza nie robiły na nim wrażenia. Potraktował ją tak arogancko, że się rozplakała; z gniewu i żalości. Zdanie, które sobie wyrobił o niej w czasie rozmowy, było równie jasne i dosadne jak wypowiedziane potem słowa: "Jest pełna pychy, przewrotna i zatwardziała w nienawiści do Boga i Jego prawdy albo nie wiem, co mówię."

Maria musiała kroczyć drogą usianą troskami, upokorzeniem i gniewem. Miała jednak po swej stronie czas i cierpliwość. Knox zauważył, że protestanci lordowie początkowo się

jeżeli uczestnicząc w widowisku mszy, ale już wkrótce przywykali, jak inni przed nimi. Jeden z przybyłych na dwór usłyszał od pewnego nabożnego człowieka:”Zjawileś się, panie, niemal ostatni z tych, co stawić się mieli, i widzę po twym gniewie, że jeszcze płonie w tobie ogień, ale obawiam się, że gdy zostaniesz skropiony dworską wodą święconą, uspokoisz się jak reszta. Jestem tu już bowiem od pięciu dni i początkowo słyszałem, jak każdy z nich wołał:”Powieśmy księdza”, lecz po drugiej lub trzeciej bytności w opactwie opuszczała ich gorliwość. Chyba są to jakieś czary.”

Maria starała się oddziaływać zarówno umiarem, jak i kokieteryą. Nie wyrzekła się mszy, lecz w sprawach politycznych słuchała Murraya i Maitlanda. Wróciła do projektu nawiązania przyjaznych stosunków z Elżbietą. Podjęła sprawę w miejscu, w którym znalazła się z chwilą przybycia spóźnionego glejtu. Po niespełna dwóch tygodniach Maitland,”kwiat szkockiej inteligencji”,”człowiek uczciwy, bardziej interesujący się polityką niż kazaniem pana Knoxa”, ruszył w drogę do Anglii z przyjaznym posłaniem od Marii.

Elżbieta była zadowolona z przybycia posła. Udawała zaskoczenie, kiedy zaproponował, by uznała Marię za ewentualną dziedziczkę tronu.”Innego posłania spodziewałam się od królowej, twej pani” - odpowiedziała przypominając, że Maria słowem honoru zobowiązała się ratyfikować traktat edynburski. Niechże to wpierw uczyni, a potem przyjdzie czas na ustępstwa.”Dość długo karmiono mnie pięknymi słowami.” Już wkrótce jednak Maitland przeknał ją, że choć zajęła stanowisko niewątpliwie słuszne, nie przypadnie ono do gustu Szkotom, którzy nie myślą tak jak dawniej, lecz wiążą swe nadzieje z interesami królowej, a zatem i z jej roszczeniami do tronu angielskiego. Elżbieta odrzekła, że nie ma zamiaru wtrącać się do problemu sukcesji; lepiej go nie ruszać, bo jest jak smoła i mógłby pobrudzić lub też - i tu zmieniła porównanie - przypomina nauki o sakramentach, o których każdy ma swoje zdanie, a tylko jeden Bóg wie, kto ma rację.

Elżbieta mówiła z przejęciem. Nie dalej jak w ubiegłym miesiącu problem sukcesji ponownie się wyłonił, kiedy się dowiedziała, że Catherine Grey, następna według testamentu Henryka VIII osoba na liście ewentualnych sukcesorów tronu, spodziewa się dziecka. W toku dochodzeń wyszło na jaw, że potajemnie poślubiła najstarszego syna Protektora Somerseta, hrabiego Hertford. Nie pierwszy to raz Catherine sprawiała kłopot. Na początku panowania powstał spisek w celu przerwania jej do Flandrii i wykorzystania po stronie katolików, a chociaż nie miała już z nimi powiązań, Elżbieta była pewna, że za tym tajnym ślubem, graniczącym ze zdradą stanu, kryli się jacvs arystokraci. Jeśli wierzyć nie bardzo wiarygodnej relacji ambasadora Quadra, małżeństwo było w samej rzeczy intryga obmyślona przez wrogów Dudleya, kiedy się wydawało, że poślubi on Elżbietę. Ponieważ ani duchowny, który

udzielał ślubu, ani świadkowie nie ośmielili się wystąpić publicznie, Elżbieta spowodowała unieważnienie małżeństwa, Hertforda zaś i Catherine zamknęła w Tower. Tu, we właściwym czasie, ku nieopisanemu obrzydzeniu i gniewowi królowej, para ta potajemnie spłodziła następne dziecko.

Sukcesja była problemem drażliwym. Elżbieta oświadczyła Maitlandowi, że całkowicie wystarczy pewność, iż jak długo ona żyje, tak długo będzie królową Anglii.”Po mojej śmierci tron odziedziczy ten, kto ma po temu największe prawa. Jeśli to ma być twoja królowa, ja jej nigdy nie skrzywdzę; jeśli kto inny ma większe prawa, byłoby rzeczą nierozumną żądać, bym wyrządziła mu oczywista krzywdę.” Gotowa była pójść dalej i wypowiedzieć swe zdanie, a mianowicie, że o ile jej wiadomo, Maria ma największe prawa i że nie widzi osoby, którą wolałaby od niej, wreszcie, że nie zna takiego pretendenta, któremu udałoby się przeszkodzić Marii.”Znasz ich przecież wszystkich. Któryż z tych nieboraków w ogóle się liczy?” Co prawda, dodała sarkastycznie, niektórzy popisując się tym, że nie są bezpłodni i mogą mieć potomków, pragną w ten sposób dowieść światu, że są bardziej godni tronu niż ona lub Maria. Nieszczęsna Catherine.

Maitland dowodził, że jego pomysł wzmocni przyjaźń.”Czy sądzisz, że mogłabym pokochać mój całun, kiedy doświadczenie uczy, że władcy nie kochają nawet własnych dzieci, które mają po nich wstąpić na tron?” Najbardziej jednak martwiła się groźącym niebezpieczeństwem. Znała dobrze niestałość swych poddanych; wiedziała, że wola słońce wschodzące od zachodzącego.”Za panowania mojej siostry przekonałam się, jak bardzo ludzie chcieli, żebym zajęła jej miejsce, i jak szczerze pragnęli posadzić mnie na tronie. Wiem też, do czego byliby zdolni, gdybym wyraziła zgodę.” Teraz być może, mówiła dalej, uczucia niektórych się zmieniły. Podobnie jak dzieci, którym śniły się jabłka i które płaczą po przebudzeniu, gdy jabłek nie znajdują, każdy życzliwy pani Elżbiecie wyobrażał sobie, że gdy tylko wstąpi ona na tron, natychmiast zostanie wynagrodzony, tak jak sobie wymarzył, a kiedy się okazało, że rzeczywistość nie odpowiada marzeniom, przyjąłby może z zadowoleniem nową zmianę licząc na to, że tym razem będzie miał więcej szczęścia. I mądrze zauważyła, że”nie ma takich królewskich dochodów, które mogłyby zaspokoić nienasyconą chciwość ludzka”. Co więcej, pozostawała jeszcze kwestia religii, najprawdopodobniejszy powód rozbicia królestwa. Uznając za swą następczynię katoliczkę Marię, władczynię możną i bliska sąsiadkę, wbiłaby zapewne klin, który rozszczepiłby państwo na dwoje. Na obietnicach nie można polegać, mówiła. Na dowód przypomniwała, że Maria odmawia ratyfikowania traktatu edynburskiego.”Trudno od władców żądać gwarancji,

gdy istnieje nadzieja na królestwo.” „Gdyby świat wiedział z pewnością, kto po niej wstąpi na tron, nigdy nie czułaby się dostatecznie bezpieczna.”

Tak więc, donosił Maitland, „sprawa pozostała re inlegra” i niczego nie załatwiono. Elżbieta była jednak więcej niż przyjaźnie usposobiona, starała się coś zrobić. Gotowa była zaofiarować przychylną neutralność, zapewniając sobie w ten sposób przyjaźń Marii. Od zachowania Marii będzie zależało, czy ta neutralność rozwine się w coś więcej, czy też nie. Intencje Elżbiety były szczere, jej dyplomacja mistrzowska.

Przestrzegając form, Elżbieta dla zachowania swej przewagi w grze dyplomatycznej raz jeszcze zażądała ratyfikowania traktatu edynburskiego, powiedziała jednak Maitlandowi, że gotowa jest zrewidować traktat, obwarować go zastrzeżeniami, zaś w liście do Marii wyjaśniła, o co jej naprawdę chodzi: zaproponowała, by się spotkały. O swych zamiarach nie mogła mówić przez pośredników, natomiast osobiste spotkanie umożliwiłoby obu królowym osiągnięcie porozumienia znacznie dalej idącego niż traktatowe formułki. Trudno oprzeć się wrażeniu, że Elżbieta była właściwie gotowa zapewnić Marii sukcesję. Zapewnić na warunkach, których łatwo można się domyślić: żadnych sojuszów z Francją, przyjaźń z Anglią, małżeństwo możliwe do przyjęcia i prawdopodobnie definitywne przejście na protestantyzm. Droga usiana była trudnościami, nie ma jednak powodu uważać, że nie udałoby się ich przełamać, gdyby obie królowe się spotkały i ‘nabrały do siebie zaufania. Maitland nie sądził, by jego pani była nieodwracalnie związana z katolicyzmem.” „Dostrzegam w niej pewną ustępliwość - wzmiankował Cecilowi - i sądzę, że twoja królowa mogłaby wiele z nią zdziałać w sprawach religijnych, jeśli tylko nawiążą zadowalające stosunki.”

Elżbieta poleciła Maillandowi i Cecilowi, by korespondowali z sobą swobodnie i poufnie, każdy z wiedzą swej władczyni, szukając drogi do porozumienia, zanim powie się o tym światu. Wymiana listów trwała. Maitland prowadził korespondencję z większą swobodą, bowiem wszystkie swe karty wyłożył na stół i to on dyktował Marii, a nie Maria jemu. Razu pewnego przetrzymał odpowiedź Marii na list Elżbiety, by Cecil mógł mu poradzić, co Maria ma napisać! Cecil tę prośbę pominął milczeniem.

Cecil przeżywał trudne chwile. Stracił pewność siebie i inicjatywę po incydencie z Dudleyem, który zaszkodził jego zażyłym stosunkom z Elżbietą. Zachowywał się jak dryfujący okręt. W grudniu 1561 donosił plotkarzowi Throckmortonowi: „Mógłbym lamentować nad moim stanowiskiem, tak ważnym pozornie, ponieważ często widuję królową, w istocie zaś pozbawionym wszelkiego znaczenia. Jedynym wyjściem byłoby z niego zrezygnować, ale powstrzymuje mnie myśl o moim przypuszczalnym następcy, który z pewnością zniweczy wszystkie moje dobre zamiary.” „Tak mało widzę wyników mych

trudów, bo ich Najjaśniejsza Pani nie uznaje, więc już na niczym mi nie zależy.” Trwał na stanowisku dla zachowania pozorów, lecz faktycznie do niczego się nie wtrącał, „pozostawiając sprawy swojemu biegowi, jak zegar jest pozostawiony, gdy nakręcono sprężynę”. Nie chciał ponosić odpowiedzialności za sprawy szkockie. Być może nie miał do nich serca, gdyż perspektywa jeszcze jednej kobiety na tronie wydawała mu się nie do zniesienia. Maitland stale przekonywał; „Między nami możemy poruszać wiele spraw”, o których ani Maria, ani Elżbieta, „otwarcie pisać do siebie nie będą”. „Błagam cię, nie zakładajmy rąk, póki nie doprowadzimy do ich spotkania, bo nie wątpię, że znajdą wspólny język i potem nie będą już potrzebowały pośredników; wtedy powiem: nunc dimittis servum tuum domine.” „Obaj zmierzamy do jednego celu - zjednoczenia tej wyspy.” Maitland się skarżył, że Cecil stale przysyła mu przypowieści, pisze krótkie i niejasne zdania. Cecil odpowiadał, że będąc ministrem musi w sprawach swej pani pisać tak, jak ona tego żąda.

Sprawa spotkania, raz puszczona w ruch, nabierała jednak coraz większego rozpędu mimo wszystkich, całkowicie zresztą zrozumiałych, obaw i niejasnych zdań. Na tym spotkaniu bardzo zależało wujom Marii przebywającym we Francji, którzy przestali już identyfikować swe stanowisko z polityką francuską, i o dziwo, między Gwizjuszami i Elżbietą wytworzyła się nawet atmosfera pewnej serdeczności. Throckmorton opowiadał się za spotkaniem. Maria była pełna entuzjazmu, Elżbieta również.

A potem dotarły pomruki burzy z Francji. Dziwny i niepewny pokój religijny, który zapanował tam po wstąpieniu na tron Karola IX, zniweczyła masakra protestantów w Yassy, urządzona przez zwolenników księcia de Guise 1 marca 1562. Katolicy i hugenoci byli uzbrojeni; w miesiąc później rozgorzała między nimi wojna. Throckmorton natychmiast zaczął nakłaniać Elżbietę, by zrezygnowała ze spotkania z Marią. Musi przyjść z pomocą księciu Kondeuszowi i jego hugenotom. Wobec tego, że Hiszpania, Sabaudia i inne kraje prawdopodobnie staną po stronie katolików, zamieniając tę wojnę w jedno wielkie wydzieranie sobie łupów, ona również powinna przystąpić do gry. Jego zdaniem, miała szansę nakłonić hugenotów do odstąpienia jej Calais, Dieppe lub Hawru, a nawet wszystkich trzech portów razem.

Słabe były widoki na spotkanie! Maria dobrze o tym wiedziała, z jednej strony trapiąca lękiem o swego wuja Gwizjusza, z drugiej zaś myślą o tym, jak jego poczynania mogą wpłynąć na jej stosunki z Elżbietą. Płakała nad swoją niedolą; „Bóg mi świadkiem, że to prawda!” - pisał Randolph. Ale sytuacja nie przedstawiała się jeszcze beznadziejnie. Elżbieta nie miała ochoty na rozgrywkę we Francji i chociaż wzięła pod uwagę słowa Throckmorta i gotowa była w razie potrzeby wystąpić, wołała jednak spróbować, czy nie uda się

doprowadzić do pokoju drogą mediacji. Wciąż jeszcze nie rezygnowała z zamiaru spotkania z Moria. Na początku czerwca Rada zebrała się, by rozważyć ten problem. Jej członkowie widzieli same przeszkody, niemniej Elżbieta oznajmiła, że uda się na spotkanie, i nakazała poczynić odpowiednie przygotowania.

Wtedy właśnie przybył do Londynu Maitland ze szczerym listem od Marii. Rada miała ponownie przedyskutować sprawę spotkania i Elżbieta, świadoma, że mało jest szans na bardziej przychylne wnioski, osobiście uczestniczyła w posiedzeniu. Rada zebrała się w komplecie. Przemawiali wszyscy jej członkowie. Szczęśliwym trafem zachowało się wystąpienie sir Nicholasa Bacona. Zaczął od tego, że jego zdaniem nie ma żadnej różnicy między Marią i rodziną Gwizjuszów, po czym przypomniał wrogie poczynania Gwizjuszów wobec Anglii. Wykazał, że Maria ma wszelkie powody, by nie lubić Elżbiety, a czyż uporczywa odmowa ratyfikowania traktatu edynburskiego nie świadczy o tym, że te uczucia nie uległy zmianie? Co innego słowa, a co innego czyny; mądrość nie daje wiary słodkim i pięknym przemowom przybranych obietnicami. Spotkania władców należą do rzadkości; są one manifestacjami wielkiej przyjaźni, a to spotkanie nieuchronnie wzmocni rodzinę Gwizjuszów, i to w takiej chwili, kiedy walczą w obronie katolicyzmu przeciw protestantom. Niechby Gwizjusze i ich zwolennicy wygrali we Francji, a prawdopodobnym tego następstwem będzie związek władców katolickich, którzy uczynią wszystko, co w ich mocy, by zniszczyć protestantyzm w Anglii. Jeśli zaś Elżbieta sprawi zawód protestantom francuskim w ich obecnej potrzebie, to nie będzie mogła liczyć na pomoc innych władców protestanckich, gdy sama się znajdzie w tarapatkach. Nikt chyba nie wątpi, że jeśli Gwizjusze dojdą do władzy we Francji, to pomogą Marii obalić obecny rząd i religię w Szkocji. Na koniec oświadczył, że spotkanie z Marią nie wróży nic dobrego, lecz jedynie wielkie nieszczęścia, i dlatego on ze swej strony jest mu przeciwny.

Wszyscy bez wyjątku członkowie Rady wypowiedzieli się w tym duchu. Elżbieta słuchała, jak kolejni mówcy z przerażającą jednomyślnością mnożą argumenty przeciw spotkaniu, po czym odpowiedziała wszystkim, „subtelny dowcipem i znakomitą wymową” zdobywając powszechny aplauz. Nie udzieliła odpowiedzi. Oświadczyła wyzywająco, że jeśli nie otrzyma z Francji od Throckmorta wiadomości w pełni uzasadniających pozostanie na miejscu, uda się na spotkanie. Sir Henry Sidney pisał do Throckmorta, że prawie wszyscy, i to najmądrzejsi, są rozżaleni jej decyzją i zalamują ręce. Tłumaczył, że jeden tylko ambasador może ewentualnie wpłynąć na Elżbietę, i błagał, by zrobił wszystko, co w jego mocy, i to jak najprzemysłniej, by nie dopuścić do spotkania. Na marginesie dodawał, że oszczędzi w ten sposób arystokracji i ziemiaństwu angielskiemu ponad czterdzieści tysięcy funtów.

Nawet gwiazdy zdawały się przeciwne spotkaniu. Pogoda była koszmarna, drogi stały się nieprzejezdne dla długiego orszaku powozów i koni. "Ani słońce, ani księżyc, ani zima, ani wiosna, ani lato, ani jesień nie dopełniły swych obowiązków" - pisał w sierpniu 1562 biskup Jewel, dodając jesień do swej listy w charakterze stylistycznego ozdobnika. "Deszcze były tak obfite i padały niemal bez przerwy, jak gdyby tylko na to stać było niebios." Częste wypadki przychodzenia na świat monstualnych noworodków potwierdzały złe znaki: na świat przychodziły potwornie zniekształcone niemowlęta - dziecię płci męskiej, urodzone 24 maja w Chichester, miało głowę, ramiona i nogi "jak kościotrup, piersi i brzuch potwornie wielkie od pępka, a ten niczym długi sznur; wokół sizyi wielki kołnierz ze skóry rosnący jak kreza koszuli lub chusta, układający się w fałdy i sięgający powyżej uszu". Podobne potomstwo rodziły świnię i kobyły: dwugłowe źrebię z długim ogonem wyrastającym między głowami; jeden wieprz z ludzkimi rękami oraz palcami, drugi zaś podwójny, ośmionogi, z jedną tylko głową.

Elżbieta nie przejmowała się omenami, wróżbami i trudnościami. Monstualne noworodki pozostawiała duchownym, kronikarzom i pismakom, złe drogi swym urzędnikom, a zdobycie funduszy na stroje - przemysłności arystokracji i szlachty. Martwiła się natomiast sytuacją we Francji. Dwudziestego piątego czerwca zawarto tam pokój. Szóstego lipca Elżbieta ustaliła z Maitlandem warunki spotkania z Marią. Jednym z nich było prawo domagania się ratyfikacji traktatu edynburskiego; klauzula korzystna, wynagradzająca upór. Królowe miały się spotkać w Yorku lub jakimś innym dogodnym miejscu między 20 sierpnia i 20 września.

Do spotkania jednak nie doszło. Dwunastego lipca zerwany został pokój we Francji i wznowione działania wojenne. Elżbieta nie mogła dłużej grać roli widza i dopuścić do obalenia Kondeusza. Jak to w kilka miesięcy później wyjaśniała Marii: "Kiedy zrozumiałam, że wszyscy moi doradcy i poddani uważają, że wzrok mam zbyt słaby, słuch zbyt przytępiony i że brak mi rozważliwości, wyrwałam się z tej drzemki i doszłam do wniosku, że nie byłabym godna rządzić moim królestwem, gdybym nie dowiodła, że radzę sobie dobrze z moimi obowiązkami." Piętnastego lipca wysłała do Szkocji sir Henry Sidneya, by przełożył spotkanie na lato 1563. Maria była w rozpaczy i przez cały dzień nie wstawała z łóżka, ale kiedy usłyszała od Sidneya, że Elżbieta jest jej przychylna, a spotkanie zostało jedynie odroczone, i to zaledwie do przyszłego roku, odzyskała humor. Naiwny optymizm! Los jest nieubłagany.

## *Rozdział ósmy*

### PROBLEM SUKCESJI

Elżbieta zmierzała ku swojej kolejnej niefortunnej awanturze wojennej. Na pozór wszystko przebiegało z chwalebłą sprawnością. Niezwłocznie wydano rozkazy rekrutacji żołnierzy, przygotowano flotę i transport, Greshama wysłano na antwerpski rynek pieniężny, by sprolongował stare długi i pozyciował nowe, ale za kulisami Cecil i inni gorączkowo zabiegali o rozproszenie wątpliwości swej mocodawczym, usiłowali zniechęcić ją do pokoju i przygotować intelektualnie i psychicznie do wojny, której żywołowo nie cierpiała uważając, że jest zwyczajnym marnowaniem pieniędzy i ludzi. Mieli argumenty i przedstawiali je w przekonujących memoriałach. Przebywającemu we Francji Throckmortonowi dano do zrozumienia, że ma nieustannie przypominać o niebezpieczeństwach, jakie kryją się w zwycięstwie katolików.

Była to całkiem normalna sytuacja. Instynkt i doświadczenie podpowiadały Elżbiecie, by nie pędziła na oślep ku niebezpieczeństwu. Wołała czekać, aż samo się pojawi. Wiedziała przecież, że okazja często bywa złudna i ośmiesza pochopnych proroków. Obcy był jej duch krucjaty. W polityce skłaniała się ku sceptycyzmowi i jeszcze bardziej ku realizmowi. Szkocja kosztowała ją przed dwoma laty bardzo dużo; wołała chwilowo zrezygnować z wojny i podreperować swe finanse. Nic więc dziwnego, że w takim stanie ducha targowała się zawzięcie i ubiła interes z księciem Kondeuszem i hugenotami, zmuszając ich do odstąpienia Hawru do czasu, kiedy Francja zwróci Calais. W zamian za to miała wypłacać im subsydia i wysłać armię, która będzie okupowała Hawr. Wątpliwa ta polityka odbierała sojusznikom Elżbiety dobre imię Francuzów. Z całą pewnością po przywróceniu pokoju we Francji przyniosłaby fatalne skutki. Ale pokój wydawał się odległy. Religijne zacietrzewienie przerodziło się w niewiarygodne barbarzyństwo. W szale tortur, rzezi i bezprawia nie baczono na płeć i wiek ofiar. W Paryżu wystarczył okrzyk wyrostka: Yoild un huguenot!, by bezpańskie włóczęgi i tragarze rzucili się z kamieniami na nieszczęśnika, by rzemieślnicy i czeladnicy zadali mu tysiące ran, by ulicznicy odarli zwłoki z odzieży i nagiego trupa wrzucili do rzeki. Byle szalbierz zyskiwał przychylność ludu i rządził jego gniewem. Chytry morderca stojąc już pod szubienicą zawołał: "Panowie, ginę, bo zabiłem hugenota, który bluźnił przeciw Matce Boskiej, ale ja zawsze wiernie Jej służyłem i w Niej pokładałem zaufanie, wierzę więc, że i teraz dokona dla mnie cudu!" W tłumie rozległ się pomruk. Ludzia rzucili się pod



szubienicę, zbili kata i uwolnili zbrodniarza. Nietrudno sobie wystawić, że protestancka opinia w Anglii była głęboko poruszona historiami o gwałtach popełnianych przez katolików.

Traktat z Kondeuszem został zawarty na początku października 1562 roku. Wojska angielskie czekały w pełnym pogotowiu. Zajęły Hawr. Poza małym oddziałem, który dzielnie bił się w obronie Rouen, nie zakosztowały wojny. Niebezpieczeństwo pojawiło się dopiero wraz z pokojem. Po wzięciu do niewoli Kondeusza i zamordowaniu Gwizjusza Katarzyna Medycejska doprowadziła do zawarcia pokoju 25 marca 1563 i jak było do przewidzenia, katolicy zjednoczyli się z hugenotami przeciw Anglikom. Elżbiecie zaproponowano układy, lecz ona, pewna, że jej wojska utrzymają Hawr, zdecydowana była odebrać Calais. Nie pozostawało więc nic innego, jak prowadzić wojnę. Przypuszczalnie odniosłaby zwycięstwo, gdyby nie pojawił się nowy straszny nieprzyjaciel, dżuma, która zdziesiątkowała armię. Elżbieta pośpiesznie próbowała dojść do porozumienia, ale było za późno. Już wkrótce w garnizonie umierało pięciuset ludzi tygodniowo, potem stu dziennie i dwakroć tylu zapadało na chorobę. Nie wystarczało żołnierzy do obsadzenia murów, do chowania umarłych. Spiesznie przysyłane posiłki dziesiątkowała śmierć. Kończyły się przeszkolone rezerwy. I choć nie brakło wytrwałości w kraju i odwagi w szeregach, sprawa była przegrana. Dwudziestego dziewiątego lipca Anglicy musieli poddać Hawr. Po długich przetargach zawarto pokój. Podobnie jak w 1559 roku pod CateauCambresis, uratowano honor, tyle tylko, że jeszcze bardziej rozpaczliwym kosztem. Calais i kompensaty obiecane w traktacie z 1559 roku przepadły bezpowrotnie.

Awantura okazała się niefortunna i kosztowna. Znowu się obudziła stłumiona niechęć do kobiety na tronie.”Boże, dopomóż Anglii - pisał ktoś do ambasadora w Hiszpanii - i ześlij jej króla, niewiele bowiem zyskaliśmy pod panowaniem kobiet.” Niesprawiedliwe były to słowa. W obliczu przeciwności Elżbieta wykazała swe największe zalety: nie załamywała się i na nikogo, poza przywódcami hugenotów, nie zwałała winy. Nie pozwoliła, by lud zlorzeczył żołnierzom za utratę Hawru; wręcz przeciwnie, gdyby jej pozwolono, sama udałaby się do Portsmouth, nie zważając na dżumę, by powitać żołnierzy i podziękować im za odwagę.

Upadek Hawru nie był końcem niepowodzeń. Powracający garnizon zawlókł do Anglii dżumę, która do nastania październikowych i listopadowych chłódów i deszczów dziesiątkowała ludność, W samym Londynie liczba zgonów wzrosła w ciągu jednego tygodnia od stu do trzech tysięcy na tydzień. W stolicy i okolicznych parafiach zmarło na dżumę około dwudziestu tysięcy ludzi. Jedną z ofiar zarazy był ambasador hiszpański Quadra. Umarł przy biurku, do końca pozostając postacią zagadkową.”Już nic więcej nie

mogę zrobić” - to były jego ostatnie słowa. Pisząc złośliwe raporty i podsycając dysydenckie nastroje religijne i polityczne, walnie się przyczynił do pogorszenia stosunków między Anglią i Hiszpanią, a także do podkopania autorytetu Elżbiety, za co też ostatnio angielska Rada bardzo surowo go traktowała. Uważał się jednak za wiernego sługę, który za swe starania otrzymywał - podobnie zresztą jak większość ówczesnych ambasadorów - nader krzywdzące wynagrodzenie finansowe. Umierał straszliwie zadłużony. Od lat nie płacił służbie i dostawcom. Wykonawcy jego testamentu przez z górą osiemnaście miesięcy nie śmieli odesłać zwłok do kraju obawiając się, by czujni wierzyciele nie porwali ich dla wymuszenia spłaty długów.

Gdy francuska awantura dobiegła końca, uwaga znowu skupiła się na stosunkach między Elżbietą i Marią. W czasie wojny Maria zachowywała się przykładowo. Lawirowała między współczuciem dla „drogiej siostry, kochanej kuzynki i przyjaciółki” i równie drogich wujów. Skarżyła się na swój los, zwycięstwo bowiem jednej lub drugiej strony musiało pogрузić ją w żałobie. Ale nie dała się odwieść od neutralności i nie wznowiła dawnych związków z Francją. Gorzko opłakiwała śmierć trzech wujów i serdecznie dziękowała Elżbiecie za czułe listy. Mimo to wojna tragicznie zahamowała proces, który miał doprowadzić do porozumienia i trwałej przyjaźni dwóch królowych, przede wszystkim dlatego, że dynastia Gwizjuszów znowu przybrała wrogą postawę wobec Elżbiety i usilnie starała się przekonać Marię, że kuzynka ją oszukuje. Na domiar złego, czas i wydarzenia przyniosły nowe powikłania.

Wiosną 1562 roku, kiedy obie królowe gorąco pragnęły spotkania, Anglicy nie przejmowali się zbytnio problemem następstwa tronu. Obojętność ta przemieniła jednak w październiku tegoż roku, kiedy brutalnie przypomniła o sobie „ślepa Furia ze swymi straszliwymi nożycami”. Elżbieta zachorowała na ospę; jej stan groził śmiercią. Choroba ta od dwóch lub trzech lat trapiła kraj, dając się szczególnie we znaki damom z towarzystwa. Na ospę zmarła hrabina Bedford i wiele innych pań. Elżbieta poczuła się niedobrze, wykąpała się i z niecierpliwością właściwą osobom aktywnym, nie zważając na dolegliwości wyszła z domu. Przeziębła się i dostała wysokiej gorączki. Przez dłuższy czas nie było wysypki. W dniu, w którym nastąpiło przesilenie, na kilka godzin straciła przytomność. Sama potem mówiła, że śmierć już zawładnęła wszystkimi jej członkami. Dwór był w żałobie - królowa umierała. Poprzedniej nocy wezwano Cecila z Londynu do Hampton Court, gdzie Rada, przekonana, że Elżbieta lada chwila umrze, omawiała nerwowo sprawę następstwa tronu. Jediną konkluzją tych obrad było stwierdzenie różnicy zdań. Jedni opowiadali się za

Catherine Grey, inni za hrabią Huntingdon. Nikt, przynajmniej otwarcie, nie był za królową szkocką, Marią.

Po odzyskaniu przytomności Elżbieta - jak głosi wielce prawdopodobna relacja - myślała przede wszystkim o Anglii i o Dudleyu. Wciąż jeszcze niepewna, czy przeżyje, wyrażała tylko instynktowne pragnienie, by jej ukochanym i nieszczęśliwym krajem zaopiekował się jedyny człowiek, którego darzyła bezwzględny zaufaniem. Prosiła Radę, by mianowała Dudleya Protektorem oraz przyznała mu tytuł i uposażenie wysokości dwudziestu tysięcy funtów. Wyznała, że zawsze go kochała, lecz klęła się przed Bogiem, że łączące ich stosunki zawsze pozostawały w granicach przyzwoitości. Cała ta historia jest być może zmyślona, ale królowa na pewno myślała w tym czasie o Dudleyu, kiedy bowiem po trzech dniach zaczęła wracać do zdrowia, mianowała go członkiem Tajnej Rady. Równocześnie odzyskała bystrość umysłu: by uniknąć zawiści, wprowadziła do Rady księcia Norfolk.

Choroba wysunęła problem sukcesji na plan pierwszy. Różnice zdań w Radzie zaczęły przenikać na zewnątrz. Teraz już Anglicy wiedzieli, że spokój wewnętrzny państwa wisi na cienkiej nitce życia kobiety. Ambicje, egoizmy, sympatie religijne lub wręcz zwyczajna niepewność jutra zmuszały do opowiedzenia się po stronie jednego z pretendentów.

W cieniu tych obaw obradował w styczniu 1563 drugi parlament zwołany za panowania Elżbiety. Miał pomóc w sfinansowaniu wojny francuskiej, ale powszechnie przypuszczano, że rozwiąże również sprawę następstwa tronu. Natychmiast po rozpoczęciu obrad jeden z posłów Izby Gmin wygłosił długie przemówienie na ten temat. Wybrano komisję mającą przygotować petycję do królowej i zwrócono się do Izby Lordów. Izba wyższa ina to tylko czekała, by przystąpić do opracowania własnej petycji. Wszyscy byli zgodni co do tego, że sprawę trzeba poruszyć. Cecil przychylił się do prośby, choć - jako człowiek rozważny i znający poglądy królowej, a do tego świadomy, że jeśli udzieli poparcia niefortunnemu pretendentowi, pewnego dnia zaważy to niepomyślnie na jego losach - zachował milczenie. Do swego przyjaciela pisał: "Problem jest tak trudny, że mnie przerasta. Oby Bóg zesłał dobre rozwiązanie!"

Petycja Izby Gmin utrzymana była w tonie najgłębszego przywiązania do królowej i zawierała żądanie, by Elżbieta wyszła za mąż. Te kwieciste frazesy miały jednak tylko zdobić właściwy przedmiot petycji, a mianowicie sprawę sukcesji. Posłowie przypominali, jak wielkie obawy wywołała niedawna choroba królowej, wskazywali, że było to groźne ostrzeżenie, i malowali przerażający obraz straszliwych klęsk, wojny domowej i obcej inwazji, perspektywę upadku wielkich rodów i masowych rzezi, karuzeli nie kończących się

konfiskat, spisków zagrażających życiu i mieniu obywateli. Takie i inne nieszczęścia czekają Anglię, jeśli po śmierci Elżbiety rozgorzeją walki między pretendentami do tronu. Powoływali się na losy imperium Aleksandra Wielkiego i na własną angielską wojnę Dwóch Róż. Ich obawy uzasadnione były licznymi precedensami. Lękali się o losy religii protestanckiej. Pisali:”Z obawą patrzymy na heretyków w Twoim królestwie, kłótliwych i przewrotnych papistów.”

Elżbieta odpowiedziała na petycję krótko, zwięźłą i świetną mową. Niechaj nie sądzą, mówiła, że ona, która zawsze tak się troszczy o ich interesy, okaże beztruskę w sprawie, od której zależy nie tylko ich, ale i jej własne bezpieczeństwo. Dla niej jest to nawet sprawa ważniejsza. Oni bowiem, w najgorszym wypadku, mogą to przypłacić głowami, ona zaś, jeśli jej polityka zawiedzie, może nie tylko stracić życie, ale i duszę swą zgubić. Pewien filozof, którego dzieła czytała, zwykł był powtarzać sobie w myślach alfabet, nim decydował się udzielić odpowiedzi w trudnej sprawie; ona postąpi podobnie. Z odpowiedzią na petycję poczeka do innej okazji, nie chce bowiem zbyt lekkomyślnie rozstrzygać tak ważnego problemu.”Zapewniam was - powiedziała na koniec - że jeśli nawet po mojej śmierci będziecie mieli wiele macoch, żadna z nich nie będzie wam tak prawdziwą matką, jaką ja pragnę być dla was wszystkich.”

W kilka dni później przybyli lordowie ze swoją petycją. Sformułowali ją delikatniej. Sprawie małżeństwa poświęcili więcej uwagi i użyli bardziej ostrożnych słów. Ale Elżbieta się uniosła. Powiedziała, że potrafi zrozumieć Izbę Gmin, w której”niespokojnych głowach bezużyteczne młoty wyklepują próżne opinie”, po lordach jednak spodziewała się poczynań mniej pochopnych i krótkowzrocznych, czymże zaś innym jest poparcie przez nich Izby Gmin i opuszczenie samotnej królowej? Ostrzega ich, że jeśli mianuje następcę tronu, krew poleje się w Anglii obficie. I dodała z goryczą, że ślady po ospie, które widzą na jej twarzy, nie są bynajmniej zmarszczkami. Być może jest stara, lecz jeśli Bóg zechce, ześle jej potomstwo, jak zesłał świętej Elżbiecie.

Izba Gmin czekała z niecierpliwością na obiecaną odpowiedź. Ktoś nawet zaproponował, by do chwili uregulowania sprawy sukcesji wstrzymać kredyty, lecz większość stchórzyła. Być może posłowie zachowaliby się inaczej, gdyby pojęli, że Elżbieta postanowiła poczekać, aż zostanie uchwalona ustawa w sprawie finansów, i potem rozwiązać parlament, dając mu jedną ze swych”odpowiedzi”.

Kiedy wreszcie obie Izby zasiadły razem na uroczystym zamknięciu parlamentu, Elżbieta powierzyła odczytanie swej odpowiedzi sir Nicholasowi Baconowi. Sama ją napisała i zredagowała, dokładnie przestudiowała dokument, poprawiła poszczególne słowa i zwroty,

aż wreszcie stał się wzorowym przykładem jej uroczystego i wyszukanego stylu. Zaczęła od ironicznego przypomnienia, że w swoim czasie obecni tu przedstawiciele obu Izb wyrazili gorące pragnienie życia tylko pod jej berłem i pod berłem jej potomków. Przypuszczała wobec tego, że "żaden kwiat innego drzewa" nie będzie brany pod uwagę, póki istnieje nadzieja, że ona zaowocuje. Jeśli ktokolwiek przypuszcza, mówiła dalej, że ona zrezygnowała z myśli o małżeństwie, niech lepiej zarzuci taką herezję, błędne są to bowiem przypuszczenia. To prawda, że uważa staropanieństwo za najodpowiedniejszy stan dla osoby prywatnej, lecz jej zdaniem nie przystoi ono królowej. Przemówienie, utrzymane w bardzo życzliwym tonie, ale nie pozbawione akcentów niepewności i zdań niejasnych, zakończyła tymi oto słowami: "Wierzę, że umrę spokojnie z Nunc dimittis, ale stanie się to możliwe jedynie wtedy, jeśli przedtem w najmniejszym bodaj stopniu dojdę do przekonania, że będziecie bezpieczni, gdy me kości legną w grobie."

Parlament został odroczoney. Mogła teraz odetchnąć swobodniej, dopóki nie trzeba go będzie zwołać ponownie w celu załatwienia spraw finansowych czy innych. Jego nerwowe inicjatywy się nie powiodły, niemniej przyczyniły się do wzrostu popularności niektórych pretendentów. Po roku Elżbieta dowiedziała się, że w czasie sesji parlamentu ukazał się paraflet atakujący roszczenia Marii i broniący praw Catherine Grey. Autorem był poseł John Hales, jeden z protestanckich przyjaciół Aschama, urzędnik Kancelarii. Nie działał sam; dochodzenia obciążały Lorda Strażnika Pieczęci, sir Nicholasa Bacona, i nawet Cecil przez pewien czas nie był wolny od podejrzeń. Elżbieta gardziła Catherine i chciała przyznać sukcesję Marii, nic więc dziwnego, że wpadła w straszliwy gniew. Bacon został oddalony z dworu. Halesa osadzono w więzieniu.

Tego rodzaju incydenty zakłócały spokojne przygotowania do ugody między Elżbietą i Marią. Sukcesja nie była przecież prezentem, który można by lekkomyślnie ofiarować i potem odebrać, w razie gdyby Maria zaczęła prowadzić wrogą politykę. Sukcesja była prawem. Po ogłoszeniu nie dawało się już jej odwołać. Byłoby to bezprawne i najprawdopodobniej nieskuteczne. Poza tym, gdyby nawet Elżbieta chciała - a wcale nie chciała - nakłonić któryś ze swych parlamentów do uznania roszczeń Marii, nie mogłaby tego zrobić bez dostarczenia przekonujących dowodów, że sprawa Marii wiąże się realnie z interesami Anglii i Kościoła protestanckiego.

Kluczowym problemem było małżeństwo Marii. Nie powinna poślubić cudzoziemskiego, katolickiego księcia, na przykład hiszpańskiego Don Carlosa, arcyksięcia Karola czy króla Francji. Z angielskiego punktu widzenia idealnym kandydatem byłby jakiś angielski arystokrata bezwzględnie wierny Elżbiecie i Anglii. Królowa znalazła się w sytuacji

bardzo podobnej jak wówczas w październiku, kiedy zachorowała na ospę i sądziła, że umrze. Więc i teraz wróciła do rozwiązania, o którym podobno wtedy myślała. Pełnym zaufaniem - głupio czy mądrze - darzyła tylko jednego człowieka, a był nim Dudley. Doszła do wniosku, że sama go nie poślubi, postanowiła więc podarować go Marii. Pośrednio rozwiązałyby to problemy uczuciowe, pozwoliłoby pogodzić się z celibatem i umożliwiłoby poświęcenie się bez reszty karierze. Dla kobiety o jej temperamencie nie byłoby to nazbyt bolesnym wyrzeczeniem. Jeden z ambasadorów szkockich powiedział jej przecież: "Pani, znam twe potężne apetyty. Uważasz, że gdybyś wyszła za męża, byłabyś tylko królową Anglii, a teraz jesteś królem i królową. Nie ścierpiałabyś, żeby ktoś ci rozkazywał!"

Propozycja Elżbiety dodawała pikanterii historycznej komedii pomyłek, lecz nie byłaby nietaktem czy też nieprzyjaznym krokiem wobec Marii, gdyby tylko inni mogli podzielać jej wiarę w wątpliwe zalety Dudleya. Trudno jednak było się spodziewać, że znajdzie się ktoś tak zaślepiony jak królowa. Kiedy zakomunikowała swój zaskakujący pomysł Maitlandowi, który przebywał w Londynie w czasie obrad parlamentu 1563 roku, ten wykręcił się z ręcznie z kłopotliwej sytuacji odpowiadając, że Elżbieta powinna najpierw sama poślubić Dudleya i po swej śmierci zostawić Marii w spadku męża i królestwo, Dudley będzie miał potomków z jedną z nich i ci potomkowie we właściwym czasie zasiądą na tronie angielskim. Czyż nie będzie to najszcześniejszym rozwiązaniem?

Nie wiadomo, czy Maitland powtórzył swej pani tę rozmowę, ale plotka dotarła do Francji, a stamtąd do Szkocji. Elżbieta nie była jednak tak lekkomyślna, by wystąpić z propozycją przed wybadaniem gruntu. Mając wolne ręce po zakończeniu awanturycznej przygody z Hawrem, poleciała swemu ambasadorowi Randolphowi, by we własnym, a nie jej imieniu powiedział Marii, iż jego zdaniem Elżbieta najbardziej będzie zadowolona, jeśli małżonkiem Marii zostanie jakiś Anglik szlachetnie urodzony, posiadający pozycję i talenty odpowiadające tej godności. "Nawet jeśli będzie to ktoś, o kim nie myślałaby, że się na niego zgodzimy" - wpisała własnoręcznie do instrukcji Randolpha! Nazwisko tego ideału zostało ujawnione dopiero w marcu 1564 roku. Maria udała takie zaskoczenie, że zamilkła.

Ale nie była już po dawnemu ustępliwa. Przybyło jej lat, czuła się pewniej na swym tronie, chciała prowadzić własną politykę, skłonna - ze swego punktu widzenia nie bez powodu - nie dowierzać Elżbiecie. "Z wszystkich jej wad ta jest największa, że dopatruje się wielkiej przewrotności tam, gdzie w ogóle nie była zamierzona" - pisał Randolph. Obdarzona dużym temperamentem, miała już dość kurateli. Nie upierałaby się przy prowadzeniu polityki katolickiej, jako że "nie była tak przywiązana do mszy, by oddać za nią królestwo", ale protestanci bigoci działali jej na nerwy. Najgorszy z nich, John Knox, wciąż nie

dowierzający jej poczynaniom i słowom, był - według dowcipnego określenia Randolpha - jakby tajną radą Pana Boga i z góry znał wyroki Wszechmocnego. Wiosną 1563 roku doprowadził Marię do szału kazaniem do arystokratów, w którym rozwodził się nad jej małżeństwem. ”Dowiaduję się, panowie, o małżeństwie królowej. Książęta, cesarscy bracia, królowie walczą o tę wielką zdobycz. Ja jednak powiadam wam: jeśli szkoccy panowie wyznający Jezusa dadzą zgodę na to, by niewierny, wszyscy zaś papiści są niewierni, został mężem królowej, będzie to równoznaczne z wygnaniem Chrystusa z naszego królestwa.”

Knox musiał się stawić na dworze. Królowa, straszliwie rozgniewana, zaczęła krzyczeć, że żadnego władcy nie traktowano jeszcze tak jak ją. ”Cierpliwie znosiłam, gdyś ostro napadał na mnie i na moich wujów; co więcej, na wszelkie sposoby starałam się ciebie pozyskać. Przychodziłam i słuchałam, gdy tylko zachciewało ci się mnie napominać, a mimo to nie zdołałam cię zadowolić. Klnę się na Boga, któregoś dnia będę pomszczona!” A kiedy wypowiadała te słowa, relacjonuje Knox, paż Marnock nie mógł nadążyć z chustkami do otarcia jej łez i ”szloch” wraz z niewieściami łzami przerwał jej mowę.

Knox cierpliwie przeczekał te wstępne dąsy i w chwili właściwej odpowiedział: ”To prawda, Miłościwa Pani, że były między nami rozmaite spory, ale nigdy nie podejrzewałem, że Jej Miłość czuje się obrażona przeze mnie. Kiedy jednak Bóg zechce w swej łaskawości uwolnić cię z pęt mroków i błędów, w których się wychowałaś, gdyż nie udostępniono ci prawdziwej nauki, przekonasz się, że słowa moje nie są obraźliwe.”

„Cóż cię obchodzi moje małżeństwo? Kim ty jesteś w tym państwie?” - wołała Maria.

„Poddanym, który tu się urodził, Miłościwa Pani - odpowiedział. - I chociaż nie jestem ani lordem, ani baronem, ani hrabią tego królestwa, Bóg jednak uczynił mnie, jakkolwiek nędznego w Twych oczach, pożytecznym tego królestwa poddanym.”

Maria była przekonana, że małżeństwo uratuje ją od kłopotów; zarówno tych, które sprawiał ponury kaznodzieja i jego towarzysze, jak i tych, które nie bez jej winy sprawiała starsza kuzynka z Anglii. Miało to być wspaniałe małżeństwo - tak dyktowało Marii dumne serce. Nie mogła zapomnieć o tym, że była niegdyś żoną króla i że teraz jest królową. Orzeł nie poluje na muchy. Poniżej jej godności byłoby małżeństwo z Dudleyem, arystokratą świeżej daty, potomkiem ludzi splamionych zdradą. Na początku 1563 roku w rozmowie z przebywającym w Londynie Maitlandem ambasador hiszpański poruszył możliwość małżeństwa królowej z Don Carlosem, synem Filipa II. Gdyby Maria przywiązywała do osobistych zalet Człowieka tak wielką wagę jak Elżbieta, zapewne dowiedziałyby się, że Don Carlos jest chorowitym, żarłocznym, złośliwym epileptykiem. Jej jednak wystarczało, że był wspaniałą partią i mógł zapewnić sukcesję angielską bez względu na postawę Elżbiety. Jakiz

rywal do tronu ośmieliłby się po śmierci Elżbiety stawić czoło połączonym potęgom Hiszpanii i Szkocji? Wbiła więc sobie w głowę ten związek. Ambasador Hiszpanii miał już przed oczami wspaniałą wizję: Elżbieta zdetronizowana, katolicyzm przywrócony, Wyspy Brytyjskie przyłączone do rozległych posiadłości hiszpańskich. Pisał entuzjastyczne raporty do swego mocodawcy i pilił go, by wyraził zgodę. Ostrożny Filip również dostrzegał możliwości, jakie stwarzało to małżeństwo, i plan pochwalał, ale w jego słonecznym kraju czas tak bardzo się nie liczył, roztropność zaś podszeptowała: „Jutro, jutro i znów jutro.”

Brak podstaw, by sądzić, że Maria chciała usunąć Elżbietę z tronu, ale dochodzące Elżbietę pogłoski nietrudno było interpretować jako złowrogie. Tym bardziej, że wciąż jeszcze nie nastąpiła ratyfikacja traktatu edynburskiego, w którym Maria wyrzekła się roszczeń do angielskiego tronu. Planowane małżeństwo musiało budzić wielki niepokój. Obie królowe jednak nadal zachowywały pozory przyjaźni. Korespondencja nie ustawała, „ich listy wypełniały całe arkusze papieru i pisane były własnoręcznie”. Randolph niezmiennie cieszył się wielkimi względami na dworze Marii, często rozmawiał z nią wesoło, gdy przez cały dzień odpoczywała zostając w łóżku; Elżbieta nie pozwalała sobie na takie słabostki. Ale ta przyjaźń to były tylko pozory. Ukryta sprzeczność interesów wyszła na jaw wiosną 1564 roku, kiedy Elżbieta zaproponowała by od dawna odkładane spotkanie z Marią odbyło się latem tego jeszcze roku. Marii było to jak najbardziej nie na rękę. Prowadziła potajemne rozmowy w sprawie realizacji swego hiszpańskiego pomysłu, znacznie bardziej w jej mniemaniu obiecującego niż porozumienie z Elżbietą. Odrzuciła więc zaproszenie.

Po raz trzeci zmarnowana została okazja spotkania, a przecież tylko w ten sposób dałoby się przełamać barierę wzajemnej nieufności. Czyżby tragedia była nieuchronna? ‘

Stosunki uległy ochłodzeniu. Maria usiłowała je poprawić i wysłała zręcznego młodego dworzanina Jamesa Melville’a, którego Elżbieta znała i lubiła. Zastał ją rozgniewaną jakimiś zuchwałymi zwrotami w liście Marii. Wyjęła z sakiewki cierpką odpowiedź mówiąc, że wstrzymywała się z jej wysłaniem tylko dlatego, iż nie była dość ostra. Łatwo jednak dała się przebłagać i podała oba listy.

Przez resztę swego dziewięciodniowego pobytu Melville codziennie bywał u królowej, a niekiedy nawet widywał ją trzy razy dziennie. Spędził wiele lat na cudzoziemskich dworach, więc Elżbieta mogła odświeżyć znajomość francuskiego, włoskiego i niemieckiego - tym ostatnim językiem nie władała biegle. Rozmawiała z nim o zwyczajach panujących w innych państwach. Porównywano mody. Codziennie pokazywała się w innej sukni, to angielskiej, to francuskiej, to znów włoskiej. Zachwycona była słowami Melville’a, że najbardziej jest jej do twarzy we włoskich strojach, ponieważ podkreślają



złocisty kolor włosów. Pytała, jakie włosy uchodzą za najładniejsze i czy ona ma włosy ładniejsze niż Maria. Po czym nastąpiła cała seria porównań. Która z nich jest piękniejsza? Melyille próbował wykręcić się odpowiadając, że Elżbieta jest najpiękniejszą królową Anglii, Maria zaś najpiękniejszą królową Szkocji. Elżbieta nie ustępowała, więc powiedział jej, że obie są najpiękniejszymi damami swych dworów, ale Elżbieta ma płeć bielszą, zaś Maria ciemniejszą. Następnie chciała wiedzieć, która z nich jest wyższego wzrostu. Maria, odpowiedział Melville. A zatem jest za wysoka, stwierdziła Elżbieta, ponieważ ona sama nie jest ani za wysoka, ani za niska. A jakie Maria lubi rozrywki? Czy dobrze gra na lutni i wirginalach? "Nieźle, jak na królową" - odpowiedział Melville. Nadarzała się więc okazja popisania się swą wyższością i jeszcze tego samego wieczora kuzyn królowej, lord Hunsdon, zaprowadził Melville'a bez zapowiedzi do komnaty królowej, która była sama i niezwykle pięknie grała na wirginalach. Gdy Elżbieta zauważyła jego obecność, zaczęła go strofować: "Jakże to tak, wszedł bez pozwolenia? Melville i tym razem się znalazł!" "Usłyszałem melodię, która mnie oczarowała i przywiodła, sam nie wiem jak, do tej komnaty." Jego wyjazd przełożono na dzień następny, by mógł jeszcze zobaczyć Elżbietę w tańcu i wyciągnąć odpowiednie wnioski. Oznajmił, że Maria "nie tańczy tak zgrabnie jak ona".

Przebywając na dworze był świadkiem ceremonii nadania Dudleyowi tytułów barona Denbigh i hrabiego Leicester, które miały go uczynić godnym ręki Marii. Ceremonię odprawiono bardzo uroczyście, ale gdy nowo mianowany hrabia ukląkł pokornie przed Elżbietą, jej poczucie humoru wzięło górę i połaskotała go po karku.

Melville znakomicie odegrał swą rolę w dworskiej komedii Elżbiety, ale nie bardzo trafnie odgadł jej klimat. Uznał, że Elżbieta zazdrości Marii, i niefortunny raport, który złożył swej pani, przyczynił się jedynie do podsycenia jej nieufności. Oświadczył, że jego zdaniem Elżbieta nie gra w otwarte karty i nie jest szczerą. Nasłuchiwał się zbyt wielu krytycznych opinii o Elżbiecie i za wiele czasu spędził z jej wrogami.

Jednym z tajnych poleceń, jakie otrzymał, było podjęcie w Londynie ostatniej i - jak się okazało daremnej - próby wskrzeszenia pomysłu hiszpańskiego małżeństwa. Maria chciała zyskać pewność, że sprawa jest beznadziejna, przed przystąpieniem do realizacji alternatywnego planu, a mianowicie poślubienia swego kuzyna, młodego lorda Darnleya. Jego matka, hrabina Lennox, była córką Małgorzaty Tudor z drugiego małżeństwa, a zatem wnuczką Henryka VII. Maria wywodziła się z pierwszego małżeństwa Małgorzaty, miała zatem większe prawa do tronu angielskiego, ale osłabiał je fakt, że urodziła się cudzoziemką. Darnley i jego matka urodzili się w Anglii, gdzie hrabia Lennox przebywał od czasów Henryka VIII jako szkocki banita. Związek z Darnleyem przedstawiał potrójne korzyści:

połączyłby oba roszczenia, zapobiegłby rywalizacji i przeciągnął na stronę Marii Lennoxów oraz katolicką partię w Anglii. Maria dała wiarę przesadzonym relacjom o sile tej partii i była przekonana, że Darnley, podobnie jak Don Carlos, pozwoli jej dać nauczkę droczącej się z nią Elżbiecie. Jeśli nawet Darnley nie był tak świetnym kandydatem na męża jak Don Carlos, to jednak w jego żyłach płynęła krew królewska, a przy tym był znacznie atrakcyjniejszy od hrabiego Leicester, który przyniósłby w wianie zależność od Elżbiety. Matka Darnleya, osoba władcza i ambitna, o usposobieniu, które wyraźnie zdradzało dziedzictwo Tudorów, polowała na to małżeństwo syna od chwili śmierci Franciszka II. Wiosną 1562 roku intrygi te ściągnęły na nią i na jej małżonka kłopoty. Na początku 1563 roku znowu byli w łaskach, zaczęli więc nakłaniać Elżbietę, by napisała do Marii popierając ich starania o cofnięcie banicji i zwrot tytułów oraz posiadłości w Szkocji. List Elżbiety był po prostu dobrym uczynkiem i w tym czasie, gdy go pisała - w czerwcu 1563 - nie miał żadnego znaczenia i nie krył w sobie żadnego niebezpieczeństwa. Kiedy jednak w rok później Maria zaczęła myśleć o małżeństwie z Darnleyem, okazał się dla niej prawdziwym darem niebios, umożliwiał bowiem pokonanie największej trudności, jaką było sprowadzenie Darnleya do Szkocji. Najpierw sprowadzi Lennox - rzekomo na prośbę Elżbiety - zaś po jego rehabilitacji łatwo znajdzie się pretekst dla przyjazdu Darnleya.

Pomyślane to było bardzo sprytnie. Gdyby Elżbieta spróbowała ukreślić łeb projektowi, uznano by to za postępek grubiański i publiczną obrazę Marii oraz Lennoxów. Oczywiście Elżbieta wiedziała, na co się zanosi. Kiedy nadała Leicesterowi tytuł hrabiowski, zapytała Melville'a, czy go lubi, lecz wskazując na Darnleya dodała: "Ale ten młody chłopiec bardziej ci się podoba." Niezawodny Melville i tym razem znalazł właściwe słowa: "Prawdziwa kobieta nigdy nie wybrałaby takiego mężczyzny, co bardziej kobietę niż mężczyznę przypomina."

Jak się zdaje, Elżbieta nie miała żadnych zasadniczych zastrzeżeń do tego małżeństwa. Gdyby Maria definitywnie odtrąciła Leicestera, Darnley nie byłby jeszcze pis aller, a na pewno okazałby się lepszy od jakiegoś cudzoziemskiego katolickiego księcia. W listopadzie 1564 roku Cecil powiedział komuś w zaufaniu, że jego zdaniem takie właśnie małżeństwo miałoby największe szansę, gdyby tylko Maria stawiała sprawę uczciwie. Był to warunek kluczowy. Z politycznego punktu widzenia Elżbieta uważała za sprawę najważniejszą, by małżeństwo Marii szło w parze z ugodą w należyty sposób gwarantującą dzień dzisiejszy i jutro Anglii.

Perspektywa wyjazdu Lennox do Szkocji latem 1564 roku niepokoiła Elżbietę, ponieważ przewidywała, czym się to może skończyć. Usiłowała temu zapobiec i pisała w

sekrete do Marii, lecz nie mogła przeszkodzić podróży nie wywołując obrazy, a na to nie miała ochoty. Lennox przybył do Szkocji we wrześniu 1564. Wkrótce nadeszła prośba, by Darnley przyjechał w ślad za nim.

W pierwszej chwili Elżbieta stanowczo odmówiła. Jej wysłannicy mieli się właśnie spotkać z Murrayem i Maitlandem w celu omówienia warunków, które ona przedstawi wraz z propozycją małżeństwa z Leicesterem, i bynajmniej nie zamierzała torpedować swej hołubionej idei. Pertraktacje nic nie dały. Randolph, jak ślepy Bayard, "któremu serce dobrze jeszcze służyło, ale wzrok nie dopisywał", nadal słał optymistyczne listy. Cecil jednak i sam Leicester wiedzieli, że sprawa jest przegrana. Nakłaniali Elżbietę, by pozwoliła Darnleyowi jechać do Szkocji. Być może liczyli na to, że wiele zyskają okazując przychyłność człowiekowi, który w przyszłości może zostać ich królem. Wreszcie postawili na swoim. Elżbieta prawdopodobnie zdawała sobie sprawę z tego, że ustępując przekreśla na zawsze miły swemu sercu pomysł. Trzynastego lutego 1565 roku Darnley przybył do Edynburga, gdzie wszyscy z niepokojem rozprawiali o straszliwym omenie, który niedawno się pojawił. Przez trzy noce z rzędu słychać było o północy szczęk broni i bitewne okrzyki walczących duchów. Zła przepowiednia nie trwożyła jednak królowej i jej dworu. Weselono się i bankietowano.

Maria być może jeszcze się wahała, ale kto to wie? Tuż przed przybyciem Darnleya i tuż po tym ponownie prosiła Elżbietę, by uznała jej roszczenia do tronu. Murray i Maitland poparli ją poważnymi argumentami. Obaj przeżywali okrutną rozterkę. Woleli Leicesterę od Darnleya, ale nie śmieli nalegać na Marię nie otrzyrnawszy uprzednio zapewnienia w sprawie sukcesji. Wiedzieli, że ich perswazje nie odniosłyby skutku, a tylko wzbudziłyby zacieklą wrogość w Marii i jej przyszłym mężu.

Piątego marca Elżbieta wysłała odpowiedź. Randolph szesnastego przekazał ją Marii. Jeśli Maria poślubi Leicesterę, Elżbieta przyzna mu wszystkie zaszczyty, jakimi dysponuje, i podejmie wszelkie możliwe kroki, by poprzeć roszczenia Marii, poza jednym: nie zarządzi urzędowego rozpatrzenia sprawy i nie ogłosi decyzji, póki sama nie wyjdzie za rnąż albo póki nie oznajmi, że na zawsze zrezygnowała z małżeństwa. Jedno lub drugie zamierza uczynić w najbliższym czasie. Z punktu widzenia Elżbiety była to odpowiedź rozsądna. Ale podejrzliwa Maria dopatrywała się w niej prowokacji i uznała, że jest nie do przyjęcia. Oto tragiczny skutek trzech straconych okazji spotkania. Rozgoryczona i rozgniewana Maria wołała, że Elżbieta ją obraża i jedynie traci czas.

Gniew pchnął Marię w objęcia Darnleya. Ale nie tylko gniew.

Zakochała się w tym chłopcu, promieniującym świeżością i urokiem młodości. Liczył sobie podówczas dziewiętnaście lat; był równo o trzy lata młodszy od Marii. Oboje byli tego samego wzrostu. Miał długie kształtne nogi, szczerą chłopięcą twarz i krótko ostrzyżone jasne włosy. "Lico panięskie, bez zarostu." Marii wydawał się "najzwawszym i najzgrabniejszym mężczyzną, jakiego widziała w życiu". Starannie wychowany przez ambitną matkę, grał pięknie na lutni, celował w męskich\* rozrywkach sportowych. Zafascynowana w pierwszej chwili Maria nie dostrzegała, że za tymi wdziękami kryją się znikome walory umysłowe i jeszcze mniejsze zalety charakteru. Z czasem dopiero miała to odkryć. Zapatrzona w siebie, uważała, że arogancja zarozumiałego Darnleya dowodzi tylko jego inteligencji. Stanowili dobraną parę. Gotowa była poświęcić dla niego nie tylko siebie, ale i swą politykę. Przejrzała, gdy czar prysnął i objawiły się skutki niefortunnej afery.

Gdyby Maria pozwoliła Darnleyowi wrócić do Anglii i potem załatwiła sprawę małżeństwa za pośrednictwem Elżbiety, jak zresztą wypadło i należało, gdyż był on poddany angielskim, stosunki między królowymi zapewne ułożyłyby się poprawnie. Wprawdzie Maria posłała Maitlanda do Elżbiety z prośbą o wyrażenie zgody, jakaż jednak mogła być odpowiedź, skoro Darnley wciąż przebywał w Szkocji? Elżbieta słusznie uważała, że Maria go poślubi bez względu na odpowiedź, ale już dochodziły do niej pogłoski o ślubie. A może Maitland sprzeniewierzył się swej pani i potajemnie doradzał Elżbiecie, by się sprzeciwiła małżeństwu. O Leicesterze nie chciał nawet słyszeć i proponował księcia Norfolk, ten jednak skromnie się wymówił od tego zaszczytu. Elżbieta zwołała swą Radę, która jednomyślnie zaleciła sprzeciw. W miarę jak kryzys narastał, przemijała życzliwość Elżbiety. Rada coraz jawniej demonstrowała swą wrogość wobec Marii i wrogość ta miała bardzo zaciążyć na dalszym rozwoju wydarzeń.

Elżbieta wysłała do Szkocji Throckmorton, by sprzeciwił się małżeństwu. Miał przekazać jej zgodę na małżeństwo z księciem Kondeuszem lub jakimkolwiek angielskim poddanym, byle nie z Darnleyem. Gotowa była podjąć ryzyko uznania Marii za swą następczynię jedynie pod warunkiem, że poślubi ona Leicesterza. Misja nie rokowała żadnych szans powodzenia. Mądry i powściągliwy Maitland przebywał w Anglii, Maria zaś słuchała rad dobranej pary całkiem nieodpowiedzialnych ludzi, Darnleya i swego ukochanego sekretarza, muzyka Davida Riccio. Obaj zdążyli się już zaprzyjaźnić i byli nierozłączni. Maitland żałował, że Elżbieta nie upoważniła Throckmorton do zagrożenia wojną, gdyż być może to przywołałoby Marię do przytomności. W dniu, w którym poseł angielski dotarł wreszcie do dworu przebywającego w Stirling, Darnley otrzymał tytuł hrabiego Ross. Przyjął go bez zgody Elżbiety i ślubował wierność nie zastrzegając się, że jest poddanym angielskim.

Był to krok bezczelny, którego królowa nie mogła puścić płazem, i równocześnie wyzwanie. Lady Lennox osadzono w Tower, Lennox i Darnley zostali wezwani do powrotu do Anglii pod groźbą naruszenia przysięgi wierności. Wszystko na próżno. Dwudziestego dziewiątego lipca 1565 Darnley poślubił królową Szkocji.

Maria rzuciła wyzwanie Anglii. Co więcej, popełniła ten sam błąd, którego omal nie popełniła Elżbieta, kiedy chciała poślubić Roberta Dudleya. Wywołała złego ducha walk partyjnych. Darnley, choć był poddanym angielskim, miał szkocką rodzinę uwikłaną w wendety tego kraju trapionego przez system klanowy. Przywrócenie jego ojcu tytułów i posiadłości obudziło uspięne spory. Hamiltonowie uznali sukcesy ojca i syna za zapowiedź swej kompletnej ruiny. Przechwałki Darnleya, że rozwali księciu głowę, bynajmniej nie przyczyniały się do uśmierzenia ich obaw. Murray również widział zagrożenie swych wpływów i bogactw, Darnley zaś i w tym wypadku zachował się głupio, bo kiedy pokazano mu mapę z zaznaczonymi posiadłościami Murraya, powiedział, że jest ich stanowczo za dużo. Dla Knoxa i jego przyjaciół wystarczało, że katolicy angielscy wiązali nadzieje z rodziną Lennoxów. Protestanci murem stali w obronie swego nabożnego zboru i nie dali się zwieść temu, że Darnley dyplomatycznie bywał na kazaniach. Może to się wydać dziwne, ale lepiej by się stało, gdyby Maria poślubiła Leicestera, nie obciążonego tak zgubną schedą.

Miała więc Maria się przekonać, że za małżeństwo z Darnleyem zapłaci buntem Murraya i innych lordów szkockich. Obiecana pomoc z Anglii stanowiła dla nich zachętę i przez chwilę wyglądało na to, że między obiema królowymi musi dojść do wojny. Maria była jednak odważna i nie zwlekała z tłumieniem rebelii, Elżbieta natomiast, choć posyłała buntownikom pieniądze, nie mogła się zdecydować na zerwanie pokoju. Siły buntowników topniały w obliczu stanowczych poczynań ich królowej, przywódcy musieli się skryć po drugiej stronie granicy. Rada angielska zebrała się, by omówić sytuację, i wahała się między wojną i pokojem. Elżbieta, posłuszna swym inklinacjom, wybrała pokój.**PROBLEM SUKCESJI**

Maria triumfowała. Przechytryła kuzynkę i stawiała jej czoło. Złamała przeciwników swego małżeństwa i zapewniła mu aprobatę, a więc i poparcie Francji, Hiszpanii i papieża. Ale za jaką cenę! Już jesienią 1565 roku, po pełnym zwycięstwie, chamskie obyczaje i pijaństwo podlutkiego małżonka dały znać o sobie. Pisał Randolph: „Nieszczęsna to była chwila, kiedy lord Darnley stanął na naszej ziemi!”, „Cóż ją czeka, jakie będzie miała z nim życie... innym pozostawiam to do odgadnięcia!”

## *Rozdział dziewiąty*

### ZNOWU SPRAWA MAŁŻEŃSTWA

Trwał jeszcze kryzys wywołany ślubem Marii, gdy oto pewnego dnia ambasador francuski zastał Elżbietę przy partii szachów. Ta gra, zauważył, przypomina ludzkie sprawy. Utrata jednego pionka wydaje się bez znaczenia, a przecież często decyduje o przegranej. Elżbieta w lot wykorzystwała okazję. Tak, odpowiedziała, Darnley jest tylko pionkiem, ale ja muszę się pilnować, by przez niego nie dostać mata.

A wszystko zdawało się wskazywać, że tak właśnie będzie. W pierwszym, żywiołowym odruchu Elżbieta chciała poprzeć Murraya i jego towarzyszy, którzy wystąpili przeciw małżeństwu Marii, wycofała się jednak, bo zrozumiała, że takie poparcie oznacza wystawienie wojska i wojnę. Ryzyko było zbyt wielkie. Tyle tylko osiągnęłyby, że pchnęłyby Marię w objęcia Francji, a tego przecież zawsze starała się unikać. Mogłaby nawet ściągnąć Anglii na głowę mocarstwa katolickie; straszące protestantów widmo katolickiego aliansu stałoby się ciałem. Francja nie owijając sprawy w bawełnę żądała stanowczo, by Elżbieta trzymała ręce precz od Szkocji, choć równocześnie Katarzyna Medycejska demonstrowała swą przyjaźń, starając się złowić Elżbietę dla swego syna, Karola IX. Filip II w dowód życzliwości dla Marii wysłał jej drobny zasiłek; co prawda pieniądze przepadły wraz z posłańcem, gdy okręt rozbił się u brzegów Northumbrii, ale dobra wola przetrwała. Na koniec papież wysłał do Francji nuncjusza i pieniądze. Nuncjusz miał czekać na sygnał i udać się do Szkocji. Cóż więc innego pozostawało Elżbiecie w tej sytuacji, jak zwodzić swych przyjaciół rebeliantów? Kiedy Murray wbrew jej rozkazom pośpieszył na południe, by błagać ją o pomoc, Elżbieta urządziła jedno z tych niepoważnych widowisk mających ratować pozory; ówczesna dyplomacja dopuszczała takie chwytły. Murray cały w czerni klęczał przed nią na oczach dwóch francuskich ambasadorów. On mówił po szkocku, ona zaś po francusku. Strofowała go jak uczeniaka za podnoszenie buntu. Próba tej farsy odbyła się prawdopodobnie poprzedniego wieczoru na jej pokojach.

Maria zdawała sobie sprawę ze swej przewagi. Za przyjaźń domagała się ustępstw w sprawie sukcesji, a jej żądania, jeśli nie w treści, to w każdym razie w tonie były bardziej stanowcze niż kiedykolwiek. Niewiele brakowało, a postawiłaby na swoim. Elżbieta wręcz rozważała możliwość wysłania ambasadorów z ofertą ustępstw, do których przed kilkoma jeszcze miesiącami gotowa była jedynie pod warunkiem ślubu z Leicesterem. Po namyśle zrezygnowała z tego, gdyż taki krok przyniósłby jej ujmę, Marię zaś prawdopodobnie by

rozzuchwalił i zachęcił do podbicia ceny. Nie ulega jednak wątpliwości, że przez parę dni skłonna była do daleko idących kompromisów. Czy miało to doprowadzić do przegrania partii?

Odrzucając patronat stronnictwa protestanckiego i poślubiając nieszczęsnego, niewydarzonego Darnleya, Maria dała upust tym wadom swojego charakteru, które miały się stać przyczyną jej zguby. Co prawda dowiodła wielkiej odwagi. Nawet Knoxowi zaimponowała ta kobieta, gdy na czele swych wojsk, mimo szalejącej burzy, przepłynęła się przez potoczek, który straszliwa ulewa przemieniła w potężną rzekę, i nie zeszła z czoła pochodu, choć znaczna część jej armii coraz bardziej upadała na duchu. Dzięki tej odwadze, godnej mężczyzny, odniosła wstępne zwycięstwo, ale odwaga nie mogła zastąpić rozumu politycznego, a tego właśnie potrzebowała, by umocnić i utrwalić zwycięstwo. Załamanie się polityki pociągnęło za sobą konieczność zmiany doradców. Murraya, który znalazł się na wygnaniu, postanowiła za wszelką cenę zniszczyć. Maitland wciąż sprawował funkcję jej sekretarza, ale za bardzo się skompromitował, by mogła mu nadal ufać, pozostawiała mu więc aż nadto wolnego czasu na igraszki z kochanką. Takie były fakty; niepomyślnie, może nawet nieuchronnie. Szczytem jednak szaleństwa okazało się zastąpienie Maitlanda włoskim parweniuszem, muzykantem Davidem Riccio, przezywanym drwiąco Seigneur Riccio.

Kiedy ten syn muzyka przybył do Szkocji w 1561 roku w świcie ambasadora księcia sabaudzkiego, liczył sobie lat dwadzieścia osiem. Maria poszukiwała właśnie basisty do kwartetu, więc go namówiła, by został w jej służbie. Wkrótce awansował ze skromnego stanowiska muzyka na francuskiego sekretarza. Do jego obowiązków należało prowadzenie francuskiej korespondencji, zajęcie bardziej literackiej niż politycznej natury, choć zakres i waga francuskiej korespondencji Marii umożliwiały człowiekowi, który ją prowadził, zdobycie wpływów politycznych. Darnley, znalazłszy się w Szkocji, zaprzyjaźnił się z nim serdecznie. W miarę jak Murray i Lethington odchodzili w cień, Riccio zaskarbiał sobie coraz większe względy u królowej i co za tym idzie, rosła jego władza. Tym samym torem potoczyły się sprawy, gdy Darnley zaczął tracić wpływ na Marię. Riccio zajął jego miejsce. Za wpływami szły pieniądze. Przez niego prowadziła droga do królowej i ci, którzy chcieli do niej dotrzeć, musieli płacić myto.

Uzurpacja takiej pozycji przez człowieka niskiego pochodzenia, cudzoziemca i na domiar złego Włocha - pewien współczesny Anglik skarżył się, że "Włosi służą wszystkim władcom równocześnie, osiągają każdy cel dzięki swym perfumowanym rękawiczkom, rozpuszonym prezentom i w razie potrzeby nie szczędzą złota, by oskubać nas do czysta" - była najbezpieczniejszym, jakie sobie tylko można wyobrazić, naruszeniem arystokratycznych

zasad postępowania obowiązujących w tym wieku. Cecil powiedział co prawda synowi, że szlachetne pochodzenie może się okazać jedynie dawno zdobytym majątkiem, niemniej w owych czasach dostęp do władzy i rządów wymagał jakiejś przeszłości. Maria napisała kiedyś kilka słów w obronie władcy, który darzy względami człowieka niskiego pochodzenia i ubogiego, ponieważ ma na uwadze to przede wszystkim, że jest bogaty duchem - wypowiedź osobliwa, skoro teźże monarchini duma kazała wzgardzić hrabią Leicester jako parweniuszem! - lecz prawdopodobnie napisała je z myślą o Riccio. Jeśli tak rzeczywiście było, słowa te świadczyły dobitnie o ślepych i niemądrych uczuciach.

Maria zachowywała się poniżej wszelkiej krytyki. Jej postęпки gorszyły opinię i mobilizowały groźną opozycję. Przebywający na wygnaniu lordowie i ich przyjaciele w kraju - na dobrą sprawę, całe stronnictwo protestanckie - gotowi byli widzieć w przypadku Riccia symbol nowej polityki Marii. Ci, których podobnie jak Maitlanda pozbawił wpływów, nienawidzili Włocha z całego serca. I tak właśnie nienawidził go Darnley. Maria nadała mężowi tytuł króla, lecz to go nie zadowalało. Marzył o pozycji należnej mu z racji małżeństwa, uznanej przez parlament i zapewniającej władzę za życia żony i potem. Maria, jak długo była zakochana, słuchała go, ale gdy wybuchły nieporozumienia, jęła okazywać mężowi pogardę i lekceważenie. Kurtuazyjny tytuł i własna niemoc zaczęły drażnić Darnleya. Riccio, a nie on, miał teraz wpływ na królową! Ten chłystek był przy niej od rana do nocy. Oczywiście rodziło to plotki, którym rozgoryczony i wściekły Darnley łatwo dawał wiarę. Kimże był obecnie we własnych oczach? Królem bezsilnym, a co gorsza, rogaczem. Maria spodziewała się dziecka. Mówiono, że to dziecko Davida."Lituję się nad tobą - pisał Randolph - biada, jeśli syn Davida będzie królem Anglii!" Podobno Henryk IV, król Francji, miał po latach powiedzieć, że Jakub I ma prawo być zwany współczesnym Salomonem, bo jest synem Davida, który grał na lutni.

Tak więc doszło do zмовy między Darnleyem i lordami protestanckimi. Postanowiono zgładzić Riccia. Darnley miał otrzymać tytuł księciemamłżonka, zaś Murray i jego towarzysze przebywający na wygnaniu przebaczenie i przywrócenie do łask. Do tak obiecującej dla interesów angielskich tajemnicy dopuszczono Randolpha, hrabiego Bedford rezydującego w Berwick, Cecila, Leicestera i Elżbietę. Wydaje się jednak, że ją powiadomiono dopiero po wszystkim.

W sobotę 9 marca 1566 wieczorem, gdy Riccio w czapce na głowie spożywał kolację z Marią i lady Argyll, wszedł do pokoju Darnley w towarzystwie chudego i schorowanego Ruthvena w pełnej zbroi. Przerażony skazaniec czepiał się sukni królowej błagając, by go



ratowała. Wywleczono go jednak i zamordowano w sąsiedniej sali, zadając pięćdziesiąt sześć ran.

„Mój panie - zawołała Maria do Darnleya - dlaczego dopuściłeś się tak podłego uczynku wobec mnie, choć to ja wyniosłam cię z niskiego stanu i uczyniłam moim mężem?”

„Miałem po temu słuszne powody - odpowiedział Darnley. ‘-i Od kiedy bowiem ten łajdak David spoufalił się z Waszą Miłością i zdobył jej zaufanie, przestałaś mnie szanować, rozmawiać ze mną i ufać mi, jak to dawniej bywało. Zwykłaś była przychodzić do mej komnaty codziennie przed wieczerzą i ze mną spędzać czas, ale od dawna już tego nie robisz, a kiedy przychodziłem do ciebie, nie dotrzymywałaś mi towarzystwa, chyba że był przy tym David. A po wieczerzy grywała Wasza Miłość z owym Davidem w karty do pierwszej lub drugiej po północy.’” Może nawet, powodowany zazdrością, powiedział jej w gniewie słowa, które podobno słyszał Bedford:”Przez dwa miesiące David więcej nacieszył się twoim ciałem niż ja.”

Tragiczne i groźne dla kobiety w szóstym miesiącu ciąży wydarzenie nie wytrąciło Marii z równowagi.”Dość leż! - miała powiedzieć, gdy doniesiono jej, że Riccio nie żyje. - Czas pomyśleć o zemście.” Namówiła swego chwiejnego i tchórzliwego małżonka, by rzucił współspiskowców, co było postępkim nie tylko głupim, lecz i podłym, po czym - raz jeszcze dając dowód odwagi, energii i twardości - uciekła z Darnleyem z Holyrood i z niewoli. Następnie wezwała do siebie Murraya, izolując go w ten sposób od spiskowców, i już wkrótce znów była panią swego królestwa. Kolejna partia wygnańców przekroczyła granicę i znalazła się w Anglii. Maria popełniła jeszcze kilka głupstw, nie panując nad rozżaleniem: przeniosła zwłoki Riccia z lichego grobu do kaplicy królewskiej i stanowisko Davida powierzyła jego osiemnastoletniemu bratu, który przybył do Anglii w miesiąc po morderstwie. Ale teraz, kiedy u jej boku znalazł się Murray, można było wierzyć, że zaczyna się nowa era umiaru i trzeźwości. Dziewiętnastego czerwca 1566 roku urodziła syna. Zdawało się, że rozplynęły się czarne chmury, które wisiały nad minionymi latami. Światała promienna przyszłość. W tych czasach bezdzietny władca był zapowiedzią kłopotów z sukcesją i nieuchronnych klęsk. Wiele więc wybaczone królowej, bo przyniosła na świat potomka, którego w przyszłości czekał nie tylko tron szkocki, ale być może i angielski.

Kiedy James Melville zabrał się na starość do pisania memuarów, zawodna pamięć płatała mu różne figle. Opowiadał więc, jak to Cecil szeptem przekazał wieść o tych narodzinach tańczącej Elżbiecie. Tego wieczora ustała wesołość na dworze. Królowa usiadła, podparła głowę ręką i pożałowała się jednej z dam dworu:”Królowa szkocka została matką

krzepkiego syna, ja zaś jestem tylko martwym drzewem.” Niezła anegdota, ale chyba nic więcej.

Od czasu obrad parlamentu w 1563 roku Elżbieta myślała o małżeństwie. Obie Izby domagały się tego od niej wyraźnie i niecierpliwie. Znajdź męża, gdzie tylko chcesz, jakiego tylko chcesz, ale jak najszybciej. Tego życzenia nie mogła lekceważyć, wyrażało bowiem zniecierpliwienie całego narodu. Ale to nie wszystko. Liczyła w 1563 roku lat trzydzieści, raz już śmierć zajrzała jej w oczy, czas mijał. Staropanieństwo zaczynało psuć królowej humor. Twierdziła, że woli swój stan obecny, ale powtarzała to za często!

Krótko mówiąc, najwyższa pora, by wyjść za mąż. Brakowało tylko kandydata.

Z wszystkich, jacy się pojawili w ubiegłych latach, najlepszą partią pozostawał arcyksiążę Karol. Wnosił wielki tytuł, choć nie królestwo; pożyteczny alians dla Anglii, ale nie zagrażający wchłonięciem jej przez inne państwo. Nie bardzo jednak wiedziano, jak wznowić rozmowy nie tracąc atutu, że się jest przedmiotem starań, nie zaś stroną zabiegającą. Królewskie małżeństwo wiązało się z układem wymagającym nie mniejszych targów niż traktat pokojowy. Elżbieta do granic dopuszczalnych w grze dyplomatycznej zwlekała i kluczyła. Tylko w ten sposób mogła osiągnąć swój cel nie przyjmując warunków stawianych przez arcyksięcia.

Cecil rozpoczął pertraktacje jesienią 1563 roku. Napisał do przedstawiciela Elżbiety w Niemczech, który zwrócił się do księcia wirtemburskiego, po czym ten z kolei skomunikował się z cesarzem i wysłał posła do Elżbiety pod pretekstem wręczenia jej prezentu w postaci książek. Cecil doradzał posłowi, by postępował ostrożnie, bo Elżbieta trwa w zamiarze zachowania wolnego stanu. Sama zresztą powiedziała posłowi:”Szczerze ci powiem, że gdybym słuchała głosu mej natury, wołałabym zostać żebraczką niezamezną niż królową mężatką.” Osobliwy, lecz dyplomatyczny gambit! Jeszcze bardziej osobliwie, ale wciąż nie wychodząc poza reguły gry dyplomatycznej, zachowywała się podczas dalszych negocjacji. Zarzucała cesarzowi, że z jego winy poprzednim razem małżeństwo nie doszło do skutku. Przechwalała się, że ma tylu starających się o jej rękę. Robiła nadzieje, po czym je gasiła. Zmieniała zdanie, domagała się komplementów popisując się swą znajomością łaciny i francuskiego, mówiła wszystko i nic. Wreszcie poseł oświadczył Cecilowi, że nie ma po co przedłużać pobytu.”Ależ królowa - odparł niespodziewanie Cecil - tak bardzo sobie chwaliła możliwość prowadzenia z panem francuskiej konwersacji. Powiedziała, że sprawia jej to wielką przyjemność.” W końcu napisała do księcia wirtemburskiego, że gotowa jest wyjść za mąż.

Śmierć cesarza latem 1564 roku przerwała rokowania. Wiosną roku następnego nowy cesarz, brat Karola, wysłał posła z poleceniem wznowienia rozmów, jeśli tylko po dokładnym zaznajomieniu się z sytuacją dojdzie on do wniosku, że Elżbieta zachowała cnotę i że nie pada na jej reputację żaden cień. Poseł stwierdził, że wszystkie oszczerstwa są płodem zawiści, złośliwości i niechęci, zabrał się do dzieła. Początkowo wiodło mu się nie lepiej niż posłowi ksiąźcemu. Wy tłumaczył sobie jej wielomówność jako odmowę, ale po dwóch bezowocnych, zaskakujących audiencjach - prawdopodobnie obliczonych na speszenie go i zmiękczenie - sprawy potoczyły się gładziej. Przyszło mu na myśl, że Elżbieta może potajemnie posłać kogoś, by obejrzał sobie arcyksięcia, napisał więc do cesarza, że trzeba zadbać o wytworne stroje dla Karola. "Odtąd należy wielką wagę przywiązywać do ubioru Jego Ksiąźcej Wysokości. Nie powinien jeździć na szkapach i kiepskich wierzchowcach, lecz na ognistych rumakach... Niech się pokazuje w towarzystwie, łaskawy dla wszystkich, by w przypadku, gdy niepostrzeżenie zjawi się ktoś od królowej - a może to się wkrótce zdarzyć - mógł go zobaczyć na własne oczy. Tym chętniej powinien ksiąź to czynić, że drugiej takiej królowej nie znajdzie na świecie."

Po długich przetargach obie strony doszły do kilku zasadniczych punktów spornych. Elżbieta nadal była zdecydowana obejrzeć arcyksięcia przed podjęciem decyzji. Nie dowierzała nikomu: tot odpita, tot sensus. Tym bardziej, że podejrzewała kandydata o jakieś fizyczne defekty. Być może wpadł jej w ręce list niemieckiego agenta do Cecila: "Powiadają - pisał - że Aleksander Wielki miał szyję lekko przekrzywioną na lewo; oby nasz kandydat arcyksiąźę przypominał go pod względem wielkoduszności i odwagi." W rok potem szwagier Cecila, wysłany do Wiednia, donosił: "Ktoś powiedział, że jest trochę garbaty." Cecil odnotował w tym miejscu na marginesie, że to ważna wiadomość, ale późniejsze postscriptum zawierało informację: "Figurę miał jak najbardziej prostą." Arcyksiąźę był średniego wzrostu. Cerę miał rumianą, "jak na mężczyznę piękny, o regularnych rysach twarzy, zgrabny, szczupły w talii, o szerokiej i mocnej klatce piersiowej", i na tyle, na ile pozwalał osądzić strój, "miał kształtne uda i nogi, choć trochę krzywe". Był także "dworski, przystępny, prawy, mądry, obdarzony dobrą pamięcią". Tak brzmiała relacja przesłana Elżbiecie. Niemniej, chciała się o tym przekonać osobiście.

Cesarz początkowo się sprzeciwiał, lecz wkrótce zgodził się, by Karol pojechał i poddał się oględzinom. Przedtem jednak warunki małżeństwa muszą być w zadowalający sposób ustalone. Jednym z punktów spornych była kwestia finansowania dworu arcyksięcia. Elżbieta uważała, że pieniądze powinny pochodzić z austriackich apanaży, cesarz zaś twierdził, że do tego winna zobowiązać się Anglia. Targowano się zaciekle, wreszcie uznano,

że nie jest to sprawa pierwszej wagi. Zasadniczym natomiast i odwiecznym problemem była religia. Elżbieta przemawiała cesarzowi do rozsądku wskazując na tysiączne komplikacje, jakie muszą wynikać z odmienności religii męża i żony. Mając zapewne na myśli Darnleya i Marię zapytywała, czy królestwu może przytrafić się większe nieszczęście niż rozbitcie na dwa stronnictwa, z których jedno popiera męża, drugie zaś żonę? Dwa różnie chodzące konie nigdy równo nie pociągną. Zamiast jednomyślności zrodzi się wzajemna nienawiść. Ale cesarz nalegał na przyznanie Karolowi i jego cudzoziemskim dworzanom oficjalnego miejsca kultu. Na tym punkcie pertraktacje utknęły.

Była to szansa dla przeciwników małżeństwa, a należeli do nich Francuzi. Katarzyna Medycejska, przerażona perspektywą jeszcze jednego aliansu Anglików z Habsburgami, wystąpiła z nową przynętą w postaci króla francuskiego Karola IX. Urodzony w czerwcu 1550 roku, miał zaledwie czternaście lat i był o siedemnaście lat młodszy od Elżbiety. Ambasador angielski we Francji, przyjaciel Cecila i zwolennik związku austriackiego, pisał wykrętnie, że kandydat zapowiada się na wysokiego mężczyznę, bo ma grube kolana i kostki, nogi zaś do nich nieproporcjonalne; mówi dość szybko i niewyraźnie, ale to znamionuje żywy temperament człowieka czynu, a nie słów; nie jąka się i nie sepleni; włada tylko swym językiem ojczystym. Błazen Elżbiety w obecności cesarskiego posła - któremu królowa tłumaczyła te uwagi na włoski - odradzał wyjście za męża, bo to jeszcze "chłopczyk i dziecko", jeśli zaś weźmie sobie arcyksięcia, to "będzie miała dzieckochłopczyka". Na co poseł zauważył, że "błazny i dzieci mówią prawdę". Elżbieta się roześmiała, nie miała wcale zamiaru wychodzić za Karola IX, ale chciała, jak długo tylko można, trzymać Katarzynę w niepewności, by przeszkodzić ewentualnemu zbliżeniu między Francją i Szkocją i równocześnie umocnić swą pozycję przetargową wobec Austriaków.

Póki hrabia Leicester spodziewał się, że otrzyma na otarcie łez królową szkocką, dopóty szczerze popierał arcyksięcia. Kiedy jednak się okazało, że szkocki projekt spalił na panewce, austriacki zaś jest odłożony na półkę, Leicester wrócił do planu poślubienia Elżbiety. Towarzysze zabaw, którym marzyło się wygodne życie i nieopisane bogactwa, podsycali jego ambicje. Małżeństwo Marii z Darnleyem dodało im otuchy. Być może Elżbieta też pójdzie za głosem serca. Leicester musiał jednak z wielu powodów zachowywać ostrożność, ukrywać swe zamiary i chwilowo popierać nierealne małżeństwo francuskie, by nie dopuścić do austriackiego. Rozumiał przecież, że czeka go katastrofa, jeśli okaże się zawiedzionym rywalem przyszłego króla Anglii. Francuzi ze swej strony, wiedząc, że ich starania spełzły na niczym, zaczęli rozpowszechniać w Niemczech i Anglii złośliwe pogłoski, które miały doprowadzić do zerwania pertraktacji Elżbiety z cesarzem, i czynili wszystko, co

było w ich mocy, by zwiększyć szansę Leicesterera. Ambasador hiszpański popadł w straszliwą rozterkę, bo w tej idealnie zrównoważonej sytuacji chętnie poparłby arcyksięcia, ale bał się narazić Leicesterowi, który w końcu mógł zostać mężem Elżbiety.

Leicester przeżywał wzloty i upadki. Latem 1565 roku Elżbieta zaczęła zwracać uwagę na przystojnego i dowcipnego, lecz żonatego dworzanina, Thomasa Heneage. Być może chciała tylko dać trochę żeru dworskim plotkom. Leicester pokłócił się z Heneage-’em, zaczął flirtować z piękną damą, by wystawić na próbę uczucia Elżbiety, i tyle zyskał, że chwilowo popadł w niełaskę. Królowa dziwnie zachowywała się w Windsorze, notował Cecil w swym dzienniku. Głośno powtarzała, że żałuje czasu, który straciła na Dudleya;”podobnego zdania jest każdy wierny poddany”, zauważył Cecil w rozmowie z przyjacielem. W styczniu, z okazji zabawy na Trzech Króli, wybrany królem migdałowym Heneage zmusił w grze towarzyskiej Leicesterera, by zapytał królową, co trudniej wymazać z pamięci, zazdrość czy złośliwe oszczerstwo. Leicester dopatrywał się w tym żarcie obelgi i przez przyjaciela zagroził Heneage’owi, że mu sprawi lanie za impertynencję. Heneage odparł, że jeśli Leicester spróbuje spełnić swą pogroźkę, przekona się, że jego miecz tnie i kłuje. Kiedy Elżbieta usłyszała o zajściu, zapowiedziała twardo, że jeśli jej łaska przewróciła Leicesterowi w głowie, to wkrótce ona sama nauczy go skromności. Tak jak go wywyższyła, tak go poniży. Leicester przez cztery dni nie opuszczał swych komnat i smętnie czekał, aż serce królowej zmięknie.

Pogłębiały się rozbieżności między stronnictwami, podobnie jak w Szkocji, gdzie się zaostrzyły na tle małżeństwa z Darnleyem. Książę Norfolk i jego szwagier hrabia Sussex stali na czele stronnictwa zwalczającego Leicesterera. Gdyby został królem, nie tylko ich fortuny i wpływy, ale być może i głowy - nie mówiąc już o urokach życia - znalazłyby się w niebezpieczeństwie. Nic więc dziwnego, że żywili do niego zapiekłą nienawiść i nie ustawiali w działaniu. W czerwcu 1565 roku i ponownie w rok później doszło do otwartej wojny między Sussexem i Leicesterem. Obaj chodzili z liczną i uzbrojoną ochroną. W obu przypadkach królowa musiała interweniować i zmusić ich do zawarcia zgody. Z okazji Nowego Roku 1566 Leicester kazał wszystkim swoim stronnikom nałożyć błękitne koronki lub naszywki, by pokazać, ilu ma przyjaciół i jaką dysponuje siłą. Książę Norfolk natychmiast kazał swoim włożyć żółte koronki. Elżbieta, jak się zdaje, zmyła obu głowę. W ciągu najbliższych miesięcy Leicester dwukrotnie oddalał się z dworu na krótkie okresy częściowo za poradą przyjaciół, częściowo zaś pod naciskiem wrogów. Wszystko świadczy o tym, że uporczywie dążono do jego zguby; w tym właśnie czasie ktoś próbował się porozumieć z bratem przyrodnim Amy Robsart, który boczył się na Leicesterera i miał do niego pretensję o

to, że nie został należycie wynagrodzony, a przecież, jak opowiadał, „dla hrabiego zatuszował morderstwo swej siostry”. Obiecano mu znaczną łapówkę za złożenie donosu na Leicestera i oskarżenie go o morderstwo lub, jak to sformułowano, za przyłączenie się do Norfolka, Sussexa, Heneage’a i innych, „którzy mają zamiar oskarżyć Leicestera o pewne rzeczy”.

Ostrożny Cecil trzymał się z dala od tych intryg i zachowywał pozory dobrych stosunków z Leicesterem. Pamiętał, że już raz ucierpiał, gdy niepotrzebnie się wtrącił w podobne sprawy. Niemniej, w ciszy swego gabinetu, w kwietniu 1566 roku, a więc wtedy, gdy przygotowywano atak, sporządzał wykaz kontrastów między arcyksięciem i Leicesterem. W rubryce „urodzenie” notował przy nazwisku Leicestera: „Syn szlachcica, ale dziadek siedział tylko na folwarku.” W rubryce „majątek”: „Wszystko ma od królowej i po uszy tkwi w długach.” Prawdopodobieństwo potomstwa: „Bezdzielne małżeństwo. Żaden z braci nie miał potomków, ale ich żony miały... Sam żonaty, dzieci nie było.” Jakie są szanse, że będzie kochał żonę? „Małżeństwo z poządlivosti zaczyna się przyjemnie, a kończy smutnie.” Reputacja: arcyksiążę „jest przez wszystkich szanowany”, Leicester zaś „znenawidzony przez wielu” i „okryty niesławą po śmierci żony”. Inna notatka: „Ludzie pomyślą, że oszczerze rozmowy królowej z hrabią są prawdziwe” - chodziło zapewne o plotki, które rozpuszczali Drunken Burley i Matka Dowe, albo o niedawno zasłyszane w Suffolk słowa, że królowa nie potrafi rządzić, jest kobietą frywolną i „utrzymanką” lorda Roberta, lub też o uwagę ambasadora francuskiego, że noc noworoczną Leicester spędził z królową. „Zajmuje się tylko - czytamy dalej - przysparzaniem majątków, urzędów i ziem swoim przyjaciołom i obrażaniem innych.”

W tej trudnej sytuacji Elżbieta radziła sobie wcale nieźle, choć w sposób, który odpowiadał tylko nielicznym. Ściągnęła Leicestera z powrotem na dwór, być może po to, by położyć kres atakom na niego, ale bardzo się pilnowała, by nie dawać żadnego powodu do zgorzienia, jak to powiedział Cecil jednemu ze swych powierników. Wyjaśnił przy tym, że Elżbieta poważnie myśli o małżeństwie z arcyksięciem, choć natrafia ono na wiele przeszkód. On, Cecil, błaga Boga, by nakłonił ją do jakiegokolwiek małżeństwa, inaczej bowiem nie wróży jej panowaniu spokoju i ładu.

Kiedy w październiku 1566 roku zebrał się ponownie parlament, trwały jeszcze pertraktacje z cesarzem, sytuacja zaś była podobna jak w 1563 roku. Królowa nadal nie miała męża i sprawa sukcesji nie została uregulowana. Elżbieta nie rozwiązała ostatniego parlamentu, lecz jedynie odroczyła jego obrady. Jak się okazało, był to krok nierozważny. Izba Gmin z 1563 roku wznowiła obrady w przeświadczeniu, że przed trzema laty ją oszukano i pokrzyżowano jej plany. „Niespokojne głowy” nie musiały tracić czasu na

rozpoznawanie nastrojów i obliczanie ewentualnego poparcia. Znały dobrze nastawienie Izby i obrały odpowiednią taktykę. Już zawczasu rozpuszczono pogłoski, że królowa nie dostanie pieniędzy, jeśli nie wyjdzie za mąż lub nie mianuje swego następcy. I tak też się stało. Po wyborze komisji budżetowej rozpętała się debata nad sukcesją. Posłowie przemawiali przez dwa przedpołudnia. Pierwszego dnia doszło nawet do rękoczynów, gdy bardziej nieśmiali usiłowali przerwać dyskusję i udać się do domu, a inni zamykali drzwi, by dyskusję przedłużyć. Członkowie Rady, zgodnie z instrukcjami Elżbiety, daremnie próbowali przekonać Izbę, że królowa naprawdę ma zamiar wyjść za mąż. Nie można było powstrzymać Izby Gmin od wyboru komisji, która miała się zająć przygotowaniem projektu petycji, ani od zwrócenia się do Izby Lordów, która po krótkich wahaniach wyraziła zgodę na wspólne wystąpienie.

Elżbieta była wściekła i nie szczędziła wszystkim wokół gorzkich wyrzutów. Pierwsze gromy spadły na głowę księcia Norfolk. Kiedy Pembroke próbował wstawić się za nim, usłyszał, że przemawia jak fanfaron. Leicesterowi powiedziała, że po każdym innym, lecznie po nim mogłaby się spodziewać, iż ją opuści, nawet gdyby cały świat przeciw niej wystąpił. Zaklinał się, że gotów jest zginąć u jej stóp, na co odrzekła, że jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Markizowi Northampton z kolei wypaliła, że zrobiłby lepiej, gdyby zamiast cedzić słowa i doradzać jej małżeństwo, wpierw opowiedział o awanturach, które doprowadziły do jego gorszącego rozwodu i ponownego ożenku. Po czym wybiegła z sali. Niektórzy lordowie, wśród nich Leicester i Pembroke, otrzymali zakaz wstępu na komnaty królewskie. Ambasadorowi hiszpańskiemu powiedziała, że jeśli idzie o Izbę Gmin, to po prostu nie ma pojęcia, o co tym durniom chodzi.

Zaiste ciekawie zapowiadała się ta sesja parlamentu! Połączona komisja obu Izb przystąpiła do opracowania projektu petycji, lecz Elżbieta bynajmniej nie miała zamiaru dopuścić do tego, by przedstawiono jej nieodparte argumenty posłów. Najpierw muszą wysłuchać tego, co ona ma do powiedzenia. Nakazała przerwanie prac komisji i wezwała do siebie delegację obu Izb. Zaczęła od ataku na owe rozkiełznane osoby, które pochopnie miały nie ukróconymi jęzorami w Izbie Gmin. W tej to Izbie pan Bell i jego komilitoni utrzymują, że jako urodzeni Anglicy gorąco kochają swój kraj. A temu krajowi, ciągnęła z ironią, grozi nieuchronna zagłada, jeśli sukcesja nie zostanie ograniczona. W Izbie Lordów natomiast biskupi długo wyjaśniali członkom Izby rzecz dotąd im nie znaną, a mianowicie, że gdy królowa wyzionie ducha, to będzie martwa, co dla państwa będzie bardzo niebezpieczne! Przejrzysty jest ich cel - chcą sformułować przeciw niej oskarżenia”.

„Czyż ja nie urodziłam się w tym królestwie?” - wołała. Czyż tu nie urodzili się jej rodzice?”Czyż nie jest to moje królestwo? Kogóż ja uciskałam? Kogo wzbogaciłam cudzym kosztem? Jakież to niepokoje wzbudziłam, że posądzacie mnie o brak troski o to państwo? Jak rządziłam od chwili wstąpienia na tron? Sąd nade mną sprawuje zawiść zwyczajna, ale ja nie potrzebuję wielu słów. Za mnie mówią moje czyny.”

Dowiedziała się, że w petycji mają być poruszone dwie sprawy: małżeństwa i sukcesji. Małżeństwo kurtuazyjnie znalazło się na pierwszym miejscu. Chce więc im przypomnieć, że już powiedziała, iż wyjdzie za mąż, a ona nigdy nie złamie publicznie danego słowa. Spodziewa się, że będzie miała dzieci; w innym bowiem wypadku nie wychodziłaby za mąż. Podejrzewa, że prowodyrzy, którzy teraz tak gorąco namawiają ją do małżeństwa, z taką samą energią będą występowali przeciw jej mężowi i”wtedy się okaże, że nie o to im chodziło”.”No cóż - dodała - każdą zdradę można pięknie wytłumaczyć.”

Mówią o sukcesji, ale nikt z nich nie był drugą osobą w państwie, ona zaś tego doświadczyła i wie, jak intrygowano przeciw jej siostrze, i jakaż to szkoda, że ona nie żyje! Stare przysłowie powiada, że kiedy przyjaciele cię opuszczą, prawda wyjdzie na jaw. Są w Izbie Gmin ludzie, którzy za panowania jej siostry usiłowali wciągnąć ją do swych spisków. Godność powstrzymuje ją od ujawnienia ich podłości, ale ona nie dopuści do tego, by jej następca znalazł się w takim położeniu. Sprawa następstwa tronu jest złożona, brzemenna w niebezpieczeństwa dla niej i dla państwa, ale ci, którzy jej teraz słuchają, wyobrażają sobie w swej naiwności, że”wszystko pójdzie ładnie i składnie, byle kielich w jedną tylko stronę się przechylił”. Królowie szanują filozofów, lecz ona czciłaby jak anioła każdego, kto zajmując drugie miejsce w państwie nie zabiegałby o pierwsze, zajmując zaś trzecie nie starał się o drugie.

Spodziewa się, że prowodyrzy tych awantur jeszcze przed śmiercią okażą skruchę i wyznają swe błędy, a wtedy będzie można oddzielić owce parazywe od reszty.”Ja śmierci się nie boję, bowiem wszyscy ludzie są śmiertelni, i choć jestem kobietą, nie niniejszą mam odwagę właściwą memu stanowisku niż mój ojciec. Jestem waszą królową z Bożej łaski. Siłą nie zmusicie mnie do niczego. Dzięki Bogu takie mam umiejętności, że gdyby wypędzono mnie z mego królestwa w samej koszuli, dam sobie radę w chrześcijańskim świecie.”

Cecil otrzymał polecenie odczytania tej mowy w Izbie Gmin. Trzykrotnie ją przepisywał, nim udało mu się tak stonować zawarte w niej złośliwości, że nadawała się do powtórzenia. Mimo to po jej zakończeniu zapadła złowroga cisza. W dwa dni później jeden z członków Izby zaproponował, by kontynuować pracę nad petycją nie zważając na mowę królowej. Elżbieta odpowiedziała natychmiastowym zakazem dalszej dyskusji w tej sprawie,



a wtedy Paul Wentworth, jeden z dwóch niespokojnych braci, otworzył dyskusję nad przywilejami Izby. Posłowie deliberowali od dziewiątej rano do drugiej po południu - choć w owych czasach Izba zasiadała od ósmej teoretycznie do jedenastej, w praktyce zaś do południa - po czym przenieśli debatę na następny dzień. Rada nakłaniała Elżbietę, by ustąpiła i pozwoliła na swobodną dyskusję w Izbie Gmin ona jednak nie chciała się zgodzić. Wezwała przewodniczącego Izby, zanim rozpoczęli obrady, i za jego pośrednictwem zgłosiła stanowcze i opatrzone pogrózkami weto. Tego dnia nie obradowano, lecz już wkrótce Izba

gar ok. 1585, Hatfield House.

y, ok. 1575, National Portrait Gallery.

W Izbie panowała duża nerwowość. Nie przebierano w słowach. Jeden z posłów zobaczył u drugiego poemat napisany we Francji przez jakiegoś Szkota z okazji przyścia na świat syna Marii, królowej szkockiej. „Jak odpowiecie na pamflet, który niedawno ukazał się w druku - pytał Izbę - nazywający infanta szkockiego”następcą tronu Szkocji, Anglii i Irlandii”?...”Następca tronu Anglii\* i syn szkockiej królowej?”Następca tronu Szkocji i Anglii” i Szkocja przed Anglią?... Jakież szczere serce angielskie spokojnie zniesie taką zniewagę?„Ta bezczelność tak mnie wzburzyła - wyznawał Radzie - że nie wiem, czy czegoś nie powiedziałem niepotrzebnie.” Zaiste, powiedział - odmówił Marii tytułu do sukcesji i to prawdopodobnie Izba dobrze przyjęła.

A tymczasem sprawa pieniędzy nie ruszała z miejsca. Obie strony utknęły w martwym punkcie. Groziło niebezpieczeństwo, że będzie to”zepsuty” parlament. Ale królowa była giętka, wiedziała, kiedy i jak należy ustąpić. Skierowała więc do parlamentu posłanie odwołujące poprzednie weta przeciw swobodnej dyskusji i po trzech dniach oznajmiła, że rezygnuje z jednej trzeciej dotacji, którą zamierzają jej przyznać, woli bowiem usłyszeć ich lojalną opinię, zaś wierząc w ich dobrą wolę, całkowicie zdaje się na nich jako na jej ministrów finansów. Ugięła się, by zwyciężyć. Uradowana Izba postanowiła zrezygnować z debaty nad nieznośnym problemem sukcesji i wniosła z powrotem na agendę uchwałę budżetową.

Pewien sprytny poseł wpadł jednak na pomysł umieszczenia w preambule do uchwały wzmianki o obietnicy królowej, zawartej w jej mowie, że wyjdzie za mąż i mianuje następcę, gdy tylko pozwolą na to okoliczności. W ten sposób obietnica obiegłaby cały kraj w druku. Znowu doszło do spięcia. Pod projektem preambuły, który pokazał jej jeden z członków Rady, królowa nabazgrała wściekłą uwagę:”Niechaj nie świecą mi w oczy swoją świętością. Niech wiedzą, niech wie Izba, że wiedziałam, choć nie pokazywałam tego po sobie, że lepiej

postąpię czyniąc to, co nakazuje mi moje czyste sumienie, niż ustępując pod naciskiem ich obleśnych poczynań.

Nie widzę żadnego powodu, dla którego moje osobiste wypowiedzi miałyby się stać wstępem do ustawy, nie rozumiem też, dlaczego z taką bezczelnością wykorzystuje się moje słowa bez mej zgody.<sup>7</sup> Czyż są one jak księgi prawnicze, które w naszych czasach trzeba posyłać do kauzyperdy, by je uczynił jaśniejszymi? Czyż moje słowa nic nie znaczą bez aktu prawnego, który mnie zmusi do ich dotrzymania?... Teraz już nic więcej nie powiem, gdyby jednak tym ludziom zapłacono właściwą monetą, mniej byłoby wśród nich fałszerzy.”

Na zakończenie sesji Izba Gmin dostała kolejne baty, ale już wymierzone łagodną, matczyną ręką.”Niechże ta moja surowość wystarczy wam za boleśniejsze cięgi, tak żebyście już nigdy nie wystawiali na zbyt wielką próbę cierpliwości monarchy, moje zaś słowa pociechy niech was podniosą na duchu i pozwolą wam uważać, że wracacie w łaskach u swego władcy, który dba o was i któremu nie trzeba przypominać o waszych sprawach.”

Elżbieta nie oszukiwała parlamentu, kiedy mówiła, że ma zamiar wyjść za mąż. Jeszcze w maju wysłała posła do Wiednia i powiedziała mu, że jeśli arcyksiążę przybędzie do Anglii, żadna drobna sprawa - oczywiście zakładając, że nie ma on jakiegoś poważniejszego defektu cielesnego - nie stanie na drodze małżeństwu. Jednak tym razem warunki cesarza okazały się nie do przyjęcia. Elżbieta, prawdopodobnie by zmusić go do większej ustępliwości, odłożyła wysłanie mu Orderu Podwiązki, chociaż miał to być pretekst do następnej rundy przetargów. Misję powierzono hrabiemu Sussex, co było pomyślnym znakiem. Przygotował się, ale mijały miesiące, a rozkaz wyjazdu nie następował. Wyruszył wreszcie w czerwcu 1567, zabierając z sobą portret królowej. Raport, który nadesłał o wyglądzie arcyksięcia, nie pozostawiał nic do życzenia. Nie znalazł w nim żadnej skazy. Nawet ręce i stopy Karol miał piękne. O te sprawy Elżbieta mogła być spokojna. Nie dało się jednak usunąć całkowicie rozbieżności w sprawach religii. Gotów jest natychmiast przybyć do Anglii i sfinalizować sprawę małżeństwa, jeśli Elżbieta pozwoli mu prywatnie i po cichu odprawiać praktyki religijne w swoich komnatach, publicznie natomiast będzie się z nią pokazywał na nabożeństwach anglikańskich.

Było to najdalej idące ustępstwo, na jakie mógł się zdecydować arcyksiążę, skoro nie zamierzał zmieniać wyznania. Elżbieta zastanawiała się, czy przystać na to i sprowadzić go do Anglii, czy też warunek odrzucić. W listopadzie zwołała Radę, żądając, by wypowiedziała się w tej sprawie. Rozpoczęła się ostatnia straszliwa batalia. Nie chodziło jedynie o małżeństwo królowej, decydował się również los Leicestera. Jedno bowiem było pewne - jeśli arcyksiążę zostanie królem, będzie to oznaczało triumf wrogów Leicestera i jego upadek.

Rozwinął więc ze swymi zwolennikami gorączkową działalność, „jak nigdy dotąd”. Rozniecali religijne namiętności wykorzystując to, że we Francji toczyła się inna wojna religijna i że Alba dławił herezję i bunt w Niderlandach, skąd do Anglii napływali uchodźcy uciekający przed prześladowaniami. Biskup Jewel wygłaszał pod krzyżem u Sw. Pawła kazania oparte na tekście: „Przeklęty będzie przed Panem mąż, który podejmie odbudowę tego miasta, Jerycha!” - innymi słowy, który wprowadzi wiarę katolicką w Anglii. Ktoś z Wiednia - przypuszczalnie wspólnik - przysłał do Anglii przesadzone doniesienia o katolicyzmie arcyksięcia, równocześnie przedstawiając w Wiedniu fałszywie sytuację w Anglii. A tak się nieszczęśliwie składało, że księżę Norfolk, wpływowy zwolennik małżeństwa, chorował i nie był u dworu. Królowa jednak napisała do niego prosząc o poradę. Nalegał, by poszła na ustępstwa i poślubiła arcyksięcia. Podobnie radził Cecil i inni. Ale Leicester i jego stronnictwo równie nieustępliwie trwali w opozycji. Rada była podzielona i w niczym nie mogła pomóc królowej.

Elżbieta, zdana na własną rozagę, uznała, że może pójść na ustępstwo, którego od niej żądano. Bardzo chciała, by arcyksiążę, jeśli to będzie możliwe, przybył do Anglii, i wierzyła, że wszelkie trudności same znikną, on jednak wstrzymywał się z przyjazdem. Sussex, Norfolk i Cecil byli w rozpacz. Przeklinali Leicester i jego stronników za to, że prywatę ubierali w szaty nakazów sumienia. Pisał Sussex: „Gdybyż to protestanci byli tylko protestantami! Ale niektórzy z nich mają ukryte zamiary, które osłaniają religią. Jeśli postąpi się według ich rady, wówczas niech Bóg chroni królową swym potężnym ramieniem.”

Trzeba przyznać, że Elżbieta tym razem w wyjątkowy wręcz sposób dowiodła swego rozumu politycznego. Wystarczyło, by wskazała na Szkocję, gdzie przed niewielu miesiącami tragiczny błąd małżeński Marii doprowadził do straszliwej katastrofy. W tej chwili najważniejszą dla kraju sprawą nie był - jak uważał Cecil i inni - potomek królewski, który rozwiązałby trudną i niebezpieczną kwestię sukcesji, lecz uniknięcie wojny domowej i religijnej, a wybuchowi takiej wojny sprzyjały walki facyjne wśród arystokracji i podziały religijne wśród ludu. Nawet gdyby arcyksiążę został protestantem, jego obecność zaostrzyłaby rozbieżności między stronnictwami. Jako katolik nieuchronnie wywołałby zamieszki. Fanatycy na pewno powstałoby tak jak w Szkocji pod hasłem: „Nie dopuścimy do wskrzeszenia bałwochwalstwa.” Nie dalej jak przed miesiącem nieznaną osobę podszedł do ołtarza w kaplicy królowej w czasie nabożeństwa, strącił krucyfiks i świece, podeptał je i potępił. Może był to wariat i z tego właśnie powodu został ułaskawiony, po czym jeszcze raz powtórzył swe wykroczenie, ale takich wariatów liczone na setki. Równocześnie nie ulegało kwestii, że katolicy skupią się wokół arcyksięcia, będą go buntowali przeciw ograniczeniom,

jakie na niego nałożono, potem zaś przeciw tym, które narzucono jego współwyznawcom. Stopniowo tron, dwór i kraj cały podzieli się na dwa obozy i Anglię spotka los jej sąsiadów: Francji, Niderlandów i Szkocji, których przykład, napisała Elżbieta do cesarza, skłania ją do odmówienia żądaniu arcyksięcia. Elżbieta była kobietą i nie ulega wątpliwości, że przez te cztery lata negocjacji stała obecność Leicesterera nieraz zakłócała jej spokój ducha, lecz decyzję zamążpójścia podejmowała jako królowa i jako królowa odmawiała teraz przyjęcia stawianych warunków. Małżeństwo, mówił Cecil do swego syna, jest podobne do operacji wojennej, w której tylko jeden raz można się pomylić. Wyrażał uczucia Elżbiety, zapewne już zastanawiającej się nad tym, czy dla kobiety na tronie każde małżeństwo nie jest błędem i czy warunkiem pomyślnego panowania nie jest właśnie zachowanie panieństwa. Małżeństwo jej siostry było błędem. A teraz właśnie cała Europa śledziła z napięciem tragiczne perypetie szkockiej królowej Marii, które, jak to powiedział ambasador wenecki, dowodzą naocznie, że "rządzenie państwem nie jest zajęciem dla dam". I

## ***Rozdział dziesiąty***

### ZAMORDOWANIE DARNLEYA

Po zamordowaniu Riccia stosunki między Elżbietą i Marią ułożyły się pod znakiem rozumnej serdeczności. W kwietniu 1566 ambasador hiszpański zauważył podczas audiencji, że Elżbieta nosi miniaturę Marii na złotym łańcuchu przy pasku. W związku z morderstwem Riccia powiedziała, że na miejscu Marii sama wyrwałaby mężowi sztylet i zakłula sekretarza. Dodała jednak pośpiesznie, że Filip II nie powinien sądzić, iż gotowa byłaby tak postąpić z arcyksięciem Karolem, gdyby wreszcie zdecydował się przyjechać do Anglii! Obie królowe wznowiły przyjacielską korespondencję. Elżbieta występowała w roli starszej siostry nie szczędzącej dobrych rad: "Wykarczuj krzewy, a cień cię nie zrani", "Kamień często spada na głowę tego, kto go rzucił", "Co sobie pomyślą poddani, kiedy zobaczą, że choć twe słowa ociekają miodem, uczynki twe tryskają jadem?" Modliła się, by Maria nie cierpiała w położu, i z utęsknieniem czekała na dobrą nowinę. Maria ze swej strony prosiła Elżbietę, by została matką chrzestną dziecka. Na chrzest w grudniu 1566 roku wyruszył hrabia Bedford z szczerozłotą chrzcielnicą, pięknie kutą i emaliowaną. Po drodze szczęśliwie umknął rabusiom, którzy zaczęli się na niego w pobliżu Doncaster.

Wszystko szło jak z płatka. Maria podziękowała "najdroższej siostrze" za to, że znowu życzliwie traktuje jej roszczenia do angielskiej sukcesji. Pochwalała małżeństwo z

arcyksięciem i nawet oświadczyła się z gotowością ratyfikowania traktatu edynburskiego. Była to zdumiewająca oferta, oznaczała bowiem ni mniej, ni więcej, tylko rezygnację z głównego atutu w dyplomatycznej rozgrywce! Czy Maria knuła podstęp? W każdym razie jest rzeczą znamioną, że poseł wiozący to posłanie opuścił Edynburg 8 lub 9 lutego 1567 roku, a w niespełna czterdzieści osiem godzin później rozegrała się tragedia, która w nieobliczalnym stopniu nadwerzężyła miłosierne uczucia Elżbiety.

W Szkocji źle się działo. Źródłem kłopotów był Darnley. Zamordowanie Riccia bynajmniej nie podniosło jego królewskiego autorytetu, jak się spodziewał. Wręcz przeciwnie. Nieszczęsnego, nierozumnego młodzieńca traktowano jak wyrzutka, pogardzali nim wszyscy, a wielu nienawidziło. Zdradził swych przyjaciół; płaszczył się przed żoną, kobietą inteligentną, której uczucia zranił boleśnie. Zabrakło mu męskich cech mogących go uratować w rozpaczliwej sytuacji. Maria przestała kryć się ze swym gniewem i pogardą. W sierpniu 1566 Bedford donosił: "Między królową i jej małżonkiem wszystko po staremu lub raczej gorzej. Bardzo rzadko zasiada z nim do stołu, nie dzieli z nim łoża - nie przebywa w jego towarzystwie i bynajmniej nie darzy miłością tych, którzy go kochają... skromność i honor królowej nie pozwalają mi powtórzyć tego, co o nim mówi." Maria straszliwie pogniwała się na Melville'a za to, że podarował królowi spanielawodołaza, który mu się spodobał, nazwała ofiarodawcę łgarzem i pochlebcą i oświadczyła, że nie może ufać człowiekowi, który robi prezenty osobie przez nią nie kochanej.

Darnley znalazł się w żalosej sytuacji. Myślał o opuszczeniu kraju. Maria próbowała go od tego odwieść, ale na próżno. Nie lepiej powiodło się Radzie królewskiej. "Adieu, Pani - wołał - nieprędko ujrzysz moją twarz!" Głupiec wciąż groził, że ściągnie tę hańbę na kraj. Stawał się niemożliwy. W październiku 1566 roku Maitland pisał, że królowa jest zrozpaczona, kiedy sobie pomyśli, że ma takiego męża i nie wie, jak go się pozbyć. W miesiąc później omawiali z nią tę sprawę jej doradcy. Rozwód nie wchodził w rachubę, nie mogła bowiem dopuścić do tego, by dziecko uznano za bastarda. Proponowano inne wyjście: prawdopodobnie aresztowanie Darnleya pod zarzutem zdrady stanu i zabicie go, jeśli będzie próbował stawiać opór. Ale na to nie można było sobie pozwolić ze względu na zagranicznych ambasadorów, którzy przybyli na mający się odbyć lada dzień chrzest dziecka.

Trudno powiedzieć, jak potoczyłyby się wypadki, gdyby nie pojawił się inny niepokojący element sytuacji. Wiele ważnych osobistości w otoczeniu królowej chętnie pozbyłoby się Darnleya każdym sposobem, byle za jej zgodą, liczba zaś wrogów króla wzrosła kiedy pod koniec roku ułaskawiono ludzi skazanych na wygnanie w związku ze sprawą Riccia.

Ale dramat Darnleya, od samego początku stojący pod znakiem namiętności, musiał tak samo dobiec końca. Maria znalazła wreszcie tego wspaniałego kochanka, którego domagało się całe jej jestestwo. Był nim trzydziestoletni hrabia Bothwell, „młody, piękny, porywczy ryzykant”, który w swej barwnej karierze życiowej zdążył już nabrać poloru francuskiej kultury. Prawdopodobnie zgwałcił Marię, nim się w nim zakochała. W każdym razie sugerują to francuskie „sonety” znalezione między „Listami ze szkatułki”.

Pour luy je jète mainte larrne

Premier aund U se fit de ce corps possesseur, De quel alors U n'avoyt pas le coeur.

O Bothwellu mówiono, że nie zna umiaru w miłostkach. Niewątpliwie obyczaj i język miał nieskromne. Przed niespełna rokiem mówił o Marii, że jest „dziewką kardynała”, swego wuja. Z Marii i Elżbiety - powiedział - nie da się złożyć jednej uczciwej niewiasty. Chociaż był protestantem, nienawidził Murraya i stronnictwa protestanckiego, zachowując wierność matce Marii. Zmiana polityki po małżeństwie z Darnleyem przywróciła go do łask, które umiał zachować. W sierpniu 1566 Bedford pisał: „Bothwell jest nadal najbardziej znienawidzonym człowiekiem w państwie, zaś jego bezczelność, nie mniejsza niż Davida, nigdy jeszcze nie budziła tak wielkiego wstrętu jak teraz.” Jakże fatalny przedmiot swych uczuć znalazła królowa! Na domiar złego Bothwell ożenił się niedawno z kobietą, którą wolał od Marii, choć nie od królowej Szkocji.

Czyż można sobie wyobrazić groźniejszy zbieg okoliczności? Maria gardziła mężem, tak niemożliwym w roli króla, że jej doradcy gotowi byli przymknąć oczy na najbardziej desperacki sposób usunięcia go z drogi i nawet w tym dopomóc, a równocześnie kochała się do szaleństwa w najlekkomyślniejszym człowieku całej Szkocji. Bothwell przygotował plan zamordowania króla. Maria miała zwabić ofiarę na miejsce zbrodni.

W styczniu 1567 roku Darnley wracał w Glasgow do zdrowia po przebytej ospie. Maria odwiedziła go udając, że chce się z nim pogodzić, ale w rzeczywistości odgrywała wyznaczoną sobie rolę. Po przybyciu na miejsce i rozmowie z Darnleyem zasiadła w nocy do fisania wielostronicowego listu do swego ukochanego, dzieląc się z nim wiadomościami i otwierając przed nim serce. Zdumiewająca to epistoła. Impulsywnie kreślone, bezładne zdania odzwierciedlają wciąż zmieniające się nastroje. Jest więc przebłysk żalu: „Gdybym nie miała dowodów na to, że ma serce z wosku, gdyby moje nie było twarde jak diament, którego żadne nie przeszyje ostrze, chyba że twoją ręką prowadzone, byłabym bliska litości.” Potem do głosu dochodzi pogarda wzbudzona rosnącą zazdrością o żonę Bothwella. Jeszcze dalej jest mowa o Darnleyu i lady Bothwell jako dwóch przeszkodach na drodze do jej szczęścia. „Związani jesteśmy z dwojgiem fałszywych ludzi; diabeł nas rozdziela, lecz Bóg

nas połączy na zawsze i uczyni nas najwierniejszą parą, jaka kiedykolwiek była złączona. Wierzę w to i z tą wiarą umrę.” Czuje się nieswojo, ale woli pisać, gdy inni śpią, skoro nie może spać tak, jakby pragnęła, „to znaczy w twoich ramionach, moja miłości najdroższa”. „Niech będzie przeklęty nieszczęśnik, który tyle kłopotów mi przysparza.” Kończy list następnej nocy w całkiem innym usposobieniu: „Przymuszasz mnie do odegrania roli zdrajcy. Wiedz, że wolałabym umrzeć, niż robić to, co robię, gdyby nie to, że jestem ci posłuszna. Lecz moje serce krwawi, gdy Q tym myślę.” „Niestety! A przecież nigdy jeszcze nikogo nie oszukałam. Ale bez reszty jestem ci powolna.” „Najdroższy, skoro słucham ciebie nie zważając na honor, sumienie, ryzyko i wielkość, to przyjmij moją ofiarę życzliwie.” „Nie widuj się z nią [lady Bothwell], bo jej łzy fałszywe nie zasługują na taką pochwałę i szacunek jak moje cierpienia, które znoszę, by zasłużyć sobie na zajęcie jej miejsca!” „Już późno. Chciałabym pisać dalej, ale skoro już ucałowałam twe ręce, kończę list.”

Maria uspiła podejrzenia Darnleya zapewniając go, że gdy tylko wróci do zdrowia, będzie z nim dzielić stół i łóżko. Pod koniec miesiąca ściągnęła go do Edynburga i umieściła w nędznym domu w pobliżu Kirk o'Field, tuż za murami miasta. Sama zamieszkała piętro niżej i spędzała z nim dużo czasu. Wreszcie nadeszła niedziela 9 lutego. Królowa miała nocować w domu, ale nagle przypomniała sobie, że obiecała być na maskaradzie w Holyrood. Na dowód swej miłości podarowała Darnleyowi pierścień, po czym odjechała w świetle pochodni. Około drugiej nad ranem straszliwy wybuch zbudził miasto. Dom Darnleya wyleciał w powietrze; jego ciało odnaleziono w sąsiednim ogrodzie; podobno był uduszony.

Na wieść o wybuchu Katarzyna Medycejska powiedziała, że Maria miała szczęście pozbywając się tego durnia. Wszyscy podzielaliby jej zdanie, gdyby gra była czysta, ale choć Maria utrzymywała, że tylko maskarada uratowała ją przed losem Darnleya, wielu, a w tym i ambasadorowie, znało lub podejrzewało prawdę. Powszechną opinię wyraziła dosadnie Elżbieta: „Pani, nie byłabym dobrą kuzynką i szczerą przyjaciółką, gdybym ci schlebiała miast ratować twój honor. Nie będę zatajała tego, co większość ludzi powtarza, a mianowicie, że będziesz patrzyła przez palce, gdy trzeba będzie pomścić tę zbrodnię, i że nie masz ochoty ukarać tych, którzy tak wielką przyjemność ci sprawili; że podobno zbrodnia została popełniona, ponieważ zabójcy wiedzieli, że im nic nie grozi.” „Wzywam cię, radzę ci, błagam, weź sobie to do serca, żebyś nie zawahała się wystąpić nawet przeciw najbliższym ludziom.” W dwa tygodnie potem ambasador i wierny poddany Marii we Francji pisał jeszcze szczerzej. Donosił mianowicie, iż ludzie mówią, że ona sama była „głównym sprawcą” i wszystko zrobione zostało na jej rozkaz. Niech więc raczej straci życie, niżby miała zrezygnować z surowej zemsty.

W Szkocji prości ludzie oburzali się na morderstwo, które okryło hańbą ich naród. Duchowni wzywali do modłów i pokuty. W Edynburgu pojawiły się ulotki wskazujące na Bothwella jako na mordercę, zaś pod osłoną nocy oskarżenia te powtarzano głośno. W pierwszych dniach kwietnia jakiś mężczyzna krążył co wieczór po ulicach miasta głośno lamentując: "Zemsta na tych, którzy zmusili mnie do przelania krwi niewinnej! Panie, otwórz niebiosa i ześlij zemstę na mnie i na tych, którzy zabili niewinnego!" Można było odnieść wrażenie, że zbrodnie Darnleya spoczęły w grobie wraz z jego kośćmi.

Chociaż otwarcie mówiono o winie Bothwella, Maria nie wszczęła przeciw niemu żadnych kroków. Wręcz przeciwnie, obsypała go łaskami. Oskarżenie musiał wnieść ojciec Darnleya, Lennox, lecz postępowanie sądowe zostało tak przygotowane, że zwykła ostrożność nakazywała oskarżycielowi trzymać się z daleka. Wyrok zapadł zaoczny. "Bothwella nie oczyszczono z winy, lecz umyto w szewskim czernidle." W tydzień później wydał kolację i "nakłonił" kilku lordów, by podpisali oświadczenie, iż wierzą w jego niewinność i gotowi są poprzeć jego małżeństwo z królową. O Marii mówiono, że jest gotowa dla niego stracić Francję, Anglię i własny kraj i że pójdzie za nim na koniec świata w białej koszuli, ale go nie rzuci. Dwudziestego czwartego kwietnia z małą eskortą wyruszyła ze Stirling do Edynburga. Bothwell uprowadził ją po drodze i zawiózł do Dunbar. "Sami osądźcie, czy za jej zgodą." Wszczęto postępowanie sądowe, które miało uwolnić go od żony, i po dwunastu dniach Maria wróciła ze swym porywaczem do Edynburga, gdzie 15 maja 1567 roku wzięli protestancki ślub. Kilka dni wcześniej Kościół protestancki ogłosił Bothwella cudzołożnikiem i na tej podstawie udzielił rozvodu jego żonie.

W krótkim pożyciu małżeńskim Marii z Bothwellem radości splatały się ze smutkami. Bothwell był niezwykle podejrzliwy, złościł się, kiedy okazywała przychylność innym mężczyznom, miał jej za złe stałe szukanie przyjemności. Maria była prawdopodobnie zazdrosna o lady Bothwell. Dwa dni po ślubie ambasador francuski zastał ją w złym humorze. Pragnęła umrzeć, wołała o sztylet, bo chce się zabić. Ale łzy i lamenty nie ochłodziły jej namiętności.

Zapomniała o rozsądku. Znaczna część arystokracji gotowa była darować jej zabójstwo Darnleya. Niektórzy uważali, że i tak, wcześniej czy później, musiał zginąć, choć jest rzeczą wątpliwą, czy ktokolwiek, poza najbliższym otoczeniem Bothwella, przyłożył rękę do morderstwa. Nikt jednak nie chciał się pogodzić z tym, że jeden z nich, i to właśnie bezczelny Bothwell, który miał tylu wrogów i tylko nielicznych przyjaciół, dostał w nagrodę królową i królestwo. Zbuntowali się, przemawiał zaś za nimi świetny, choć niezasłużony argument - powszechne i sprawiedliwe pragnienie zdjęcia z królestwa odpowiedzialności za



zładzenie Darnleya. Równy w miesiąc po ślubie Bothwell uciekał już przed prawem, Maria zaś znajdowała się pod strażą w Edynburgu. "Spalić dziewczkę!" - wołali jednym głosem żołnierze. "Spalić ją, spalić, nie zasługuje na to, by żyła. zabić ją, utopić!" - wtórowali mieszkańcy miasta. "Największą zaciekłość i bezczelność okazywały kobiety, choć i mężczyźni nie panowali nad swym gniewem."

Doświadczenie uczyło, że osobę tak odważną i przebiegłą jak Maria trudno jest utrzymać w więzieniu, wobec czego przeniesiono ją do zamku wyspy na Loch Leven. Gdyby okazała skruczę i zgodziła się na rozwód lub gdyby lordom udało się schwytać Bothwella, postawić go przed sądem i stracić za morderstwo popełnione na Darnleyu, i w ten sposób rozwiązać małżeństwo, być może zaistniałaby możliwość uwolnienia Marii i jej powrotu na tron. Prawdopodobnie skończyłoby się wszystko na uśmierzeniu powszechnego oburzenia i ograniczeniu jej władzy. Ale Maria, choć pozbawiona wolności, nie upadała na duchu. Była rozgoryczona na wszystkich, nie chciała słyszeć o rozwodzie. Przecież spodziewała się dziecka - w lipcu, jak się zdaje, poroniła bliźniaki - i odrzucała z pogardą myśl, że mogłaby urodzić bastarda. Nadal kochała Bothwella; prosiła tylko, by posadzono ją z nim w łodzi i pozwolono popłynąć, gdzie fale poniosą. Wszyscy wiedzieli, że gdy znajdzie się na wolności, pierwszą rzeczą, jaką zrobi, będzie przywołanie go z powrotem, dla lordów zaś był to szczególnie trudny problem, ponieważ Bothwell w końcu uszedł pogoni i wylądował w Norwegii. Mogli ją zdezonizować, najpewniejszym rozwiązaniem było zamordowanie jej, bowiem "umarli nie mają towarzyszy". Wreszcie perswazją i groźbami - grozili, że ją oskarżą o śmierć Darnleya posługując się ukrytymi w szkatułce obciążającymi listami do Bothwella, które udało im się zdobyć 20 czerwca - zmusili ją 24 lipca do abdykowania na rzecz nieletniego syna i do wyznaczenia na regenta Murraya, on jednak czując swąd, jak przystało na człowieka roztropnego, wyjechał z wizytą na kontynent.

Elżbieta śledziła rozwój wydarzeń z coraz większym gniewem i niepokojem. Początkowo obrała prostą taktykę: chciała doprowadzić do wymierzenia kary zabójcom i nie dopuścić do małżeństwa Marii z Bothwellem, który niezależnie od tego, że zamordował Darnleya, był zawsze wrogiem interesów angielskich. Każdy szkocki arystokrata, "gotów stanąć w obronie honoru Boga", zasługiwał na poparcie. Kiedy jednak po upływie miesiąca okazało się, że taka szlachetna postawa może pociągnąć za sobą rebelię i postawienie przed sądem męża Marii, Elżbieta zaczęła się wahać. Tego rodzaju ingerencja mogłaby przynieść więcej szkody niż pożytku. Elżbiecie przyświecał jasny cel. Chciała, żeby Maria uwolniła się od Bothwella, lecz pozostała na tronie, by lordowie protestancy kierowali polityką, by nie doszło do obcej interwencji, a nade wszystko pragnęła przeszkodzić Francuzom w łowieniu

ryb w mętnej wodzie. Na wieść, że lordowie noszą się z zamiarem koronowania nieletniego księcia Jakuba, w przypadku gdyby Maria poślubiła Bothwella, Elżbieta natychmiast ich ostrzegła, że ani ona, ani żaden inny monarcha nie przełkną tego gładko. Gwoli prawdy trzeba powiedzieć, że Francuzi mieliby mniejsze kłopoty z przetykaniem. Obiecywali lordom pomoc, jeśli Jakuba przyślą do Francji. Maria skontrowała tę propozycję zobowiązując się wysłać syna, który zresztą nie znajdował się pod jej opieką, jeśli Francuzi jej, a nie lordom udzielą poparcia. Elżbieta z kolei zaproponowała lordom, by księcia wysłali do Anglii, ofiarowując w zamian za to nie poparcie, lecz jakieś mgliste obietnice i jasno sprecyzowane wątpliwości! Nie okazała się w tym wypadku najbardziej nieuczciwa ani też najmniej przewidująca.

Przebywający w Berwick hrabia Bedford, który przekazał posłanie Elżbiety lordom, złagodził jej wątpliwości kilkoma słowami zachęty od siebie. Cecil o tym wiedział, być może nawet sam podsunął ten pomysł. Elżbieta znała swych doradców na wylot. Wiedziała, że może porykiwać jak lew, ale oni będą wtórować gruchając jak gołąbki lub śpiewając jak słowiki. Ryczała więc, gdy lordowie uwięzili Marię i wspominali nie tylko o detronizacji, lecz wręcz o straceniu królowej. Elżbieta nie posiadała się z oburzenia. To byłoby sprzeczne z jej filozofią polityczną, monarszą godnością i roztropnością, a poza tym szczerze sprzyjała Marii. "Ani boskie, ani ludzkie prawo nie zezwala im i nie upoważnia ich do ustawiania się w pozycji zwierzchników, sędziów czy mścicieli ich władczyni i suwerena, choćby nie wiadomo jak formułowali lub interpretowali stawiane jej zarzuty."

Po czym od teorii politycznej przechodziła do praktyki. Przestrzegając lordów i tłumaczyła im, że lepiej będzie, jeśli przed podjęciem jakichkolwiek innych kroków zastanowią się, jak zachować obecną pozycję. Jedynym bezpiecznym dla nich wyjściem jest porozumienie z Marią. Królowa, nawet pozbawiona wolności, przyciągać będzie ludzi; jednych skusi perspektywa korzyści, innych pchnie ku niej współczucie. Nieuchronne spory i zawiści będą dla niej czystym zyskiem, zaś Francuzi mogą równie dobrze udzielić poparcia jej, jak im. Jest królową. Z czasem litościwa mgła wątpliwości i zapomnienia zatrze jej przewiny. Maria ma niespełna dwadzieścia pięć lat - czyż mogą zatem liczyć, że uda się ją zatrzymać w więzieniu do końca życia? To był argument rozsądny, lecz obosieczny! Przemawiał również za zgładzeniem Marii. Wzmocniła go jeszcze dodając, że jeśli stracą Marię, Hamiltonowie być może przejdą na ich stronę.

Cecil, Leicester, Bedford, Throckmorton i inni byli zrozpaczeni zachowaniem swej mocodawczyni. Z ich prywatnych listów można by ułożyć księgę trenów. Domagali się, by energicznie poparła lordów, ponieważ obawiali się śmiertelnie, że swym postępowaniem

pchnie ich w objęcia Francji.”Jeśli lordowie nie mówią po angielsku, a chętnie by to czynili, będą mówili po francusku.” Elżbieta jednak, nie oglądając się na nic, uparcie kroczyła swoją drogą. Na jej gwałtownie ją krytykującego ją Throckmorta posłała do Szkocji, by dodał otuchy Marii i nakłonił ją do wysłuchania lordów. Misji podjął się wbrew woli, ale w tej grze niezrównanej by tak cenną figurą jak John Knox, który całemu narodowi groził”straszliwą karą Bożą”, jeśli Maria nie dostanie tego, na co zasłużyła, a zarazem modlił się codziennie o zachowanie tradycyjnej przyjaźni z Anglią, grzmiał przeciw sojuszowi z Francją i napominał słuchaczy, by wystrzegali się tego aliansu jak”garnków egipskich, w których jest tylko osłodzona trucizna”.

Marię zapewne by stracono, gdyby Elżbieta obiecała lordom, że będzie aprobować postawienie jej przed sądem i skazanie za zabójstwo Darnleya, lub nawet gdyby zachowała obojętną postawę. Ona jednak postępowała wręcz przeciwnie i coraz głośniej się oburzała. Jedenastego sierpnia, około piątej po południu, wezwała pośpiesznie Cecila i wygłosiła do niego wielką obraźliwą tyradę. Nikt nie zastanawia się nad tym, jak ona ma pomścić uwięzienie królowej szkockiej i jak ją uwolnić. Cecil odpowiadał możliwie ostrożnie, czym wzbudził jeszcze większy gniew. Zaczęła całkiem poważnie mówić o wojnie. Wszystkie argumenty Cecila uznała za nieprzekonujące. Musi natychmiast napisać do Throckmorta, by zakomunikował lordom, że jeśli będą nadal przetrzymywać Marię w więzieniu lub jeśli ośmielią się podnieść na nią rękę, ona, jak jest królową, nie omieszką zemścić się okrutnie. Jej posłanie ma przekazać jak najwierniej i w jak najostrzejszych słowach, bo ona wie przecież, że nie zdobędzie się na ton gwałtowniejszy niż ten, którego jej zdaniem należałoby użyć. Cecil ośmielił się wtrącić, że lordowie doprowadzeni w ten sposób do ostateczności mogą zabić Marię, a wtedy złośliwi powiedzą, że o to właśnie Elżbiecie chodziło. Na szczęście w tej samej chwili, gdy Cecil zjawił się z listem do podpisu, nadszedł pakiet z listami od Throckmorta, zawierającymi tę samą argumentację. W dziewięć dni później Cecil biadolił, że gniew Elżbiety, którego on nie jest w stanie uśmierzyć, może zniweczyć owoce siedmiu czy ośmiu lat pertraktacji ze Szkocją. Uważał, że dwa główne motywy określające jej postawę to pragnienie, by świat nie uważał, że jest uprzedzona do Marii, oraz obawa, by przykład Szkocji nie ośmielił jej poddanych.

Po dziesięciu i pół miesiącach niewoli, 2 maja 1568 roku, stało się to, co się stać musiało. Maria uciekła. Sytuacja była groźna, lecz Elżbieta stanęła na wysokości zadania. Własnoręcznie napisała do Marii, co już samo przez się było subtelnym zaznaczeniem zmiany, jaka zaszła w stosunkach między nimi, odkąd bowiem Maria poślubiła Bothwella, wyręczała się Cecilem. Twierdziła, że będąc wytrącona tym małżeństwem z równowagi, nie

jest w stanie wskrzesić w sobie tego uczucia, które przedtem umożliwiało jej pisanie do Marii własnoręcznie. A teraz wszystko było jak dawniej. Gratulowała Marii pomyślnej ucieczki. Przy okazji pozwoliła sobie na kilka moralizatorskich uwag na temat burzliwej przeszłości kuzynki. Doręczyciel listu miał przekazać propozycję Elżbiety, która gotowa była podjąć się mediacji między Marią i jej poddanymi. Jeśli Maria się zgodzi, Elżbieta użyje wszystkich dostępnych jej środków, by nakłonić lub zmusić poddanych Marii do ugody. Gdyby jednak Maria zdecydowała się wezwać na pomoc Francję, no cóż, wówczas, dawała dyskretnie do zrozumienia, krok taki może sprowokować wojnę. Przypominała Marii, że "ci, którzy posługują się łukiem o dwóch cięciwach, być może wypuszczają strzały silniejsze, rzadko jednak trafiające do celu".

Wysłannik listu nie doręczył. Nie zdążył jeszcze ruszyć w drogę., gdy oto 13 maja armia Marii została rozgromiona. W trzy dni później królowa szkocka, opuszczona przez wszystkich, przekroczyła Solway i znalazła się w Anglii. Była w rozpacz i śmiertelnym strachu. Wiedziała, że niewola oznacza śmierć, że nie może liczyć na poparcie Hamiltonów i że czekanie na statek do Francji stanowiłoby niebezpieczną zwłokę.

Elżbieta znalazła się w trudnej sytuacji. Od roku walczyła uparcie o życie Marii, o jej wolność i tron, a teraz miała ją u siebie w charakterze uchodźcy. Arcybiskup Parker pisał: "Obawiam się, że nasza zacna królowa znalazła się w położeniu bez wyjścia." W pierwszej chwili, wiedzioną szlachetnym odruchem, chciała sprowadzić Marię z wszystkimi honorami na swój dwór. Doradcy jednak pośpiesznie powstrzymali ją od tak nierozważnego kroku. Po krótkiej utarczce zdołali wytłumaczyć Elżbiecie, czym grozi taka sentymentalna decyzja. Kiedy się rządzi wielkim państwem, nie ma miejsca na osobiste uczucia! - trafnie zauważył ambasador francuski dodając, że gdyby miejsce takie się znalazło, to przed upływem tygodnia obie kobiety wzięłyby się za łby i przyjaźń przerodziłaby się w zazdrość.

Z chwilą gdy uczucia zostały wzięte w karby, zaczęła się polityka. Elżbieta nadal uważała za najważniejszą sprawę pogodzenie Marii z jej poddanymi. Osiągnięcie tego celu wymagało, by obie strony gotowe były do ustępstw, ale pojawienie się Marii na dworze angielskim przekreśliłoby wszelkie na to nadzieje. Marii wystarczyło kilka bezpiecznych dni, by doszczętnie zapomniała o strachu. W pierwszym liście do Elżbiety rozwodziła się nad swą żalną sytuacją, ale już w drugim oświadczała, że przybyła do Anglii, by poskarżyć się na poddanych kuzynce, która - co prawda nie ze złej woli - spowodowała wszystkie jej nieszczęścia. Wyrzuca sobie, że nie powiedziała tego w pierwszym liście! Jeśli Elżbieta nie naprawi wyrządzonych krzywd, wówczas ona zastrzega sobie prawo zwrócenia się do innych

sojuszników, których, chwała Bogu, nie straciła. Uniesiona pychą obrzucała swych przeciwników wściekłymi inwektywami. Opiekun Marii pisał, że bez przerwy myśli ona o zemście i mówi, że wolałaby wszystkich swych zwolenników zobaczyć na szubienicy, niżby mieli się poddać Murrayowi, a jeśli nie zostanie poniszczona, wówczas zwróci się o pomoc nawet do wielkiego Turka.”Marzy tylko o zwycięstwie i jak się zdaje, jest jej zupełnie obojętne, czy wrogów ukorzy miecz jej przyjaciół, czy też jej obietnice i pokusa hojnych nagród pieniężnych, czy wreszcie zgubią ich spory i kłótnie wewnętrzne. Dla zwycięstwa gotowa jest znieść wszelkie cierpienia i niebezpieczeństwa. W porównaniu ze zwycięstwem majątek i wszystko inne uważa za godne pogardy i potępienia.”„I cóż począć z taką damą i królową?”

Były jeszcze inne względy. Maria od lat hodowała sobie stronnictwo w Anglii. Katolicka północ spontanicznym wybuchem radości powitała jej przybycie do kraju. Zanim Elżbieta opanowała sytuację, wielu okolicznych ziemian pośpieszyło złożyć hołd Marii. Codziennie słuchali, jak broni swego postępowania, jak się zaklina, że jest niewinna, i gwałtownie napada na swych wrogów. Bez trudu podbiła ich serca powabem i wdziękiem, uroczym szkockim akcentem i ostrym dowcipem łagodnym zwodniczą dobroduszością. Miała zawsze na podorędziu słodkie słówka, lubiła dużo mówić, przymilała się, zachowywała prosto i swobodnie. Jej purytański opiekun utrzymywał, że nie rażą jej dosadne wyrażenia, jeśli tylko uważa, że rozmówca jest szczery, i choć nie zawsze potrafi powstrzymać się od wyłożenia tego, co”ma ana wątrobie”, to jednak bardzo szybko się opanowuje i żartem łagodzi nieporozumienia. Niezwykła i niepospolita kobieta, łakomy kąsek i tym groźniejsza, że może wystąpić z roszczeniami do tronu angielskiego i bardziej uzasadnionymi do sukcesji.

Cecil twierdził, że sprowadzenie Marii na dwór może tylko ośmielić występnych poddanych Elżbiety. Sprawiłoby to wrażenie, że Anglia wtrąca się do spraw szkockich, by pomóc Marii i jej stronnictwu, i prawdopodobnie pchnęłoby Murraya i lordów do desperackiego kroku, a mianowicie do wysłania Jakuba do Francji i dogadania się z jej królem. A co będzie, jeśli Maria zjawi się na dworze i, jak to łatwo przewidzieć, okaże się nieustępliwa? Elżbieta będzie musiała przywrócić jej tron, choćby po to tylko, by nie hodować żmii na własnej piersi i by”zamknąć usta skłóconym i szemrzącym poddanym”, a przecież nieustępliwa Maria może wrócić na tron jedynie po trupie protestanckiego, proangielskiego stronnictwa w Szkocji. Byłoby to czystym szaleństwem. I nie mniejszym szaleństwem byłoby pozwolić jej na wyjazd do Francji.

Tak więc Maria została honorowo internowana, przy czym dokładano wszelkich starań, by nie przypominało to w niczym uwięzienia, umożliwiano jej więc nawet

zaspokajanie nienasyconej pasji do polowań z sokołem. W Carlisle przebywała do połowy lipca. Miejsce było niepewne, blisko granicy, którą osoba tak rzutka i z tak żywiołowym temperamentem mogłaby bez trudu przekroczyć wykradłszy się nocą przez okno sypialni za pomocą liny czy innych sztuczek. Rzadko kładła się spać przed brzaskiem; z reguły później niż jej opiekun. Przeniesiono ją zatem do zamku Bolton w Wensleydale. Jej opiekun skarżył się:”Zaprawdę, gdybym miał opisać te wszystkie trudności, które musieliśmy pokonać, nim udało się nam nakłonić ją do przeprowadzki, nie byłby to list, lecz opowieść, i to tragiczna!” Niewdzięczne zadanie podejmowania tego opornego, awanturującego się i płacziwego gościa przypadło kuzynowi Elżbiety, sir Francisowi Knollysowi. Szczegółowo rozwodził się nad swymi kłopotami.

Potrzebna była formuła uzasadniająca takie traktowanie Marii i wkrótce ją znaleziono. Sprowadzała się do tego, że goszczenie Marii, wciąż jeszcze obciążonej zarzutem współdziałania w morderstwie Darnleya, mogłoby poważnie zaszkodzić reputacji Elżbiety, szczególnie jako królowej niezamężnej, a także bliskiej kuzynki Darnleya i dawnej jego monarchini. Zaletą tego pretekstu było, że stanowił naturalny stopień w drodze do załatwienia sprawy najważniejszej, a mianowicie do zrealizowania planu mediacji. Kiedy Maria poprosiła o rozmowę z Elżbietą, ponieważ chciała osobiście wytłumaczyć się przed nią, dostała następującą odpowiedź:”O Pani, chyba na całym świecie nie ma takiej istoty, która by bardziej ode mnie chciała wysłuchać słów tych i odpowiedzi, która oczyści twój honor.” Elżbieta oznajmiła, że wystąpi jako sędzia między Marią i jej poddanymi, choć Maria o to bynajmniej nie prosiła, i przyjmie ją, gdy tylko zapadnie wyrok uniewinniający. Zapewniła, że kuzynka dla własnego dobra nie powinna się z nią spotkać, wtedy bowiem wrogowie mogliby uznać królową angielską za sędziego niewłaściwego i stronniczego. Ponieważ to ona będzie rozjemcą, podkreślając swą bezstronność wydała rozkaz Murrayowi, by przestał gnębić zwolenników Marii. Posłaniec, który wiózł to polecenie, specjalnie zboczył z drogi, bo chciał się zobaczyć z Marią, ale równocześnie Cecil i inni szybko przestrzegli Murraya, by na nic nie zważając robił to, co do niego należy!

Maria w końcu zgodziła się na plan Elżbiety, ale nie bez gwałtownych awantur, lamentów i skarg na złe traktowanie. Przypomniała, że jest władcą absolutnym, którego jeden Bóg może sądzić, że Murray i jego stronnicy są tylko jej poddanymi, i to zdrajcami, W sporze z nią nie mogą być stroną, skoro nie są jej równi. Po czym, w innym już usposobieniu, pisała:”Kochana siostró, przemyśl sprawę; podbij serce, a wszystko będzie twoje i na twoje rozkazy. Myślałam, że dam ci pełną satysfakcję, jeśli uda mi się z tobą zobaczyć. Niestety!

Nie zachowuj się jak wąż, który uszy zamyka, nie jestem bowiem czarownicą, lecz twą siostrą i rodzoną kuzynką.”

Rozmawiając z ambasadorem Marii, Elżbieta użyła wszelkich możliwych argumentów, by odpowiedzieć na jego zastrzeżenia. Nie będzie to proces, lecz jedynie dochodzenie mające ustalić, jaki był stosunek Murraya i jego stronnictwa do Marii. Będą je prowadzili angielscy komisarze rządowi i wyrok zapadnie tylko w tym wypadku, jeśli zwolennikom Murraya zostanie udowodniona wina. Jeśli, jak spodziewa się Elżbieta, nie potrafią usprawiedliwić swego postępowania, ona użyje całej władzy, by przywrócić tron Marii. Na to ambasador zapytał:”A co będzie, jeśli, nie daj Boże, na pozór okaże się inaczej?” Wówczas ona postara się doprowadzić do możliwie najlepszego kompromisu między Marią i jej poddanymi. Za swe usługi w roli sędziego domaga się ochrony interesów Anglii: ratyfikacji traktatu edynburskiego; traktatu z Anglią, który zastąpi traktat z Francją; wreszcie rezygnacji Marii z mszy katolickiej i wprowadzenia umiarkowanie zreformowanego anglikańskiego nabożeństwa.

Maria właściwie nie miała wyboru. Musiała ustąpić, bo jej zagraniczni przyjaciele zajęci byli swymi kłopotami. Francja, po niedawno zakończonej kolejnej wojnie religijnej, przeżywała sześciomiesięczny okres nominalnego pokoju i fali gwałtów przed nawrotem chronicznej przypadłości. Hiszpanię pochłaniała rewolta w Niderlandach. Ambasador francuski nie robił zbyt wielkich nadziei. Jego zdaniem Maria będzie bardziej bezpieczna i lepiej traktowana w Anglii niż na zamku w Edynburgu, w otoczeniu wszystkich swych tak zwanych stronników. Nakłaniał ją do cierpliwości i tłumaczył, że powinna czekać, aż świat chrześcijański poradzi sobie z obecnymi kłopotami.

Maria wybrała wobec tego najkorzystniejsze dla siebie wyjście. Pogodziła się z obrządkiem anglikańskim, uważnie i - jak twierdził Knollys - z zadowoleniem słuchała kaznodziei, który grzmiał przeciw wszelkiego rodzaju papizmowi, i skłaniała się do przyjęcia”głównego artykułu wiary według Ewangelii”, czyli usprawiedliwienia przez wiarę. Elżbietę starała się przekonać, że jest bliska nawrócenia, ale w tajnych listach do ambasadora hiszpańskiego, do - Filipa II i do papieża była przykładną katoliczką. Donosiła im, że nie dopuszczono do niej księdza, co było wielce prawdopodobne, i zapewniała, że nigdy nie zmieni wiary. Kiedy pod koniec września dotarła do niej krążąca po okolicy pogłoska, jakoby przeszła, na protestantyzm, co oburzyło jej katolickich sprzymierzeńców, publicznie w swej sali audiencyjnej oznajmiła, że jest katoliczką. Zdenerwowanemu Knollysowi powiedziała:”A dlaczego uważasz, że powinnam stracić Francję i Hiszpanię oraz wszystkich przyjaciół w innych krajach udając, że zmieniłam wyznanie, skoro nie mam żadnej pewności, czy moja

dobra siostra pozostanie mi wierna w przyjaźni?” Do królowej hiszpańskiej pisała, że wszyscy w okolicy są dobrymi katolikami i znalazłszy się w Anglii dobrze poznała tych ludzi. Jest ich pewna, jak swych praw do tronu angielskiego. Gdyby miała choć cień nadziei na poparcie z zagranicy, natychmiast podjęłaby próbę obalenia religii protestanckiej w Anglii, choćby miała to przypłacić śmiercią. W chwili uniesienia oświadczyła Knollysowi:”Doprowadziłam do wielkich wojen w Szkocji i proszę Boga, bym nie stała się źródłem kłopotów w innych państwach.”

Trudno żywić pretensje do Marii. Władca, podobnie jak ambasador, miał prawo okłamywać w swoim interesie zagranicę, uciekać się do fałszów i intryg. Ale ceną dwulicowości jest nieufność. Maria powinna była pamiętać o ulubionej maksymie współczesnych mężów stanu: *littera scripta manet*, co w wolnym przekładzie znaczyło:”Twoje listy mogą się znaleźć w niepowołanych rękach.” W owych czasach przekupstwo sięgało nawet do sali posiedzeń Tajnej Rady. Władze, które miały dość sprytu, by przejmować listy więźnia pisane częściowo cebulą i przekazywane tam i z po-wrotein w korkach butelek i rozporkach spodni, stać było na to, by przy pomocy Murraya perlustrować listy Marii i zdemaskować jej nieszczerłość. W rezultacie 20 czerwca, na plenarnym posiedzeniu Tajnej Rady, wszyscy obecni zgodnie odradzali Elżbiecie przywrócenie tronu Marii, nawet z ograniczoną władzą, ponieważ nie można ufać, że będzie przestrzegała jakichkolwiek restrykcji, i nawet najprzebieglejszy umysł gwarancji takich nie wymyśli. Elżbieta jednak uparła się i nie chciała zrezygnować ze swego planu. Cecil i inni, jak przystoi ludziom mądrym, kiwali tylko głowami nad takim szaleństwem. Niepokoiła ich skłonność królowej do ustępstw wobec Marii i okazywanie jej zbyt wielkiej sympatii. Elżbieta obiecała, że dochodzenia nie skończą się werdyktem niekorzystnym dla Marii, i nadal tego chciała. Obiecała przywrócić jej tron i nadal miała nadzieję, że to się uda.

Dochodzenia wszczęto na początku października 1568 roku w Yorku. Zgodnie z instrukcją komisarze Elżbiety: Norfolk, Sussex i sir Ralph Sadler, mieli dążyć do ugody, na mocy której powstałaby ograniczona monarchia na fundamencie trójstronnego układu między Elżbietą, Marią i Jakubem, zawierającego prawne gwarancje dotrzymania go i przyznającego Elżbiecie ściśle określone funkcje gwaranta. Nic z tego nie wyszło. Cała procedura zawiodła głównie z winy Murraya, który choć gotów był i nawet bardzo chciał oskarżać Marię o współudział w zabójstwie Darnleya, równocześnie jednak nalegał, by Elżbieta się zobowiązała, że w przypadku udowodnienia zarzutów uzna i poprze jego rząd z Jakubem jako królem, po czym albo wyda mu Marię, albo zatrzyma na zawsze w Anglii i zapobiegnie wszelkim grożącym z jej strony niebezpieczeństwom. Elżbieta odmówiła. Zapewne miała



jeszcze nadzieję, że nie zajdzie potrzeba uciekania się do ostateczności, ponieważ sama ewentualność podjęcia tego rodzaju kroków zmusi Marię do ugody. Bez względu na to, czy ktoś postawi zarzut morderstwa, chciała, by Maria wróciła na tron, oczywiście na warunkach określonych w instrukcji.

Murray gotów był na własną rękę pogodzić się ze swoją królową, gdyby nie udało mu się doprowadzić do przyjęcia najkorzystniejszej dla niego linii postępowania, czyli oskarżenia o morderstwo i wykluczenia jakichkolwiek układów z Marią. Dochodzenia w Yorku utknęły w trzęsawisku intryg. Sussex pisał, że stronnictwa Marii i Murraya przerzucają się koroną i państwowymi interesami Szkocji jak piłką, zaś Marię czy Jakubem interesują się tylko o tyle, o ile są oni doraźnie potrzebni jednej lub drugiej stronie. Nie można nawet przewidzieć, do czego zdolne byłyby te dwa rywalizujące ze sobą szkockie stronnictwa, gdyby uzgodniły swe prywatne interesy. Mogły wystawić Elżbietę do wiatru, wrócić do Szkocji i zależnie od tego, jak im będzie wygodnie, albo zostawić Marię w Anglii, albo też uznać, że jest niewinna, i zażądać jej powrotu. Elżbieta nie mogłaby tego odmówić oczyszczonej z winy królowej. Na domiar złego, zachowanie Norfolka budziło wątpliwości. Ktoś, bodajże Maitland, zaproponował wskrzeszenie dawnego planu Elżbiety wydania Marii za Anglika. Wymieniano Norfolka, który owdowiał, on zaś skłonny był się zgodzić, choć podobnie jak inni komisarze widział "Listy ze szkatułki" i podobnie jak wszyscy donosił swej pani, że budzą one obrzydzenie w każdym przyzwoitym i bogobojnym człowieku. Nawet uczciwy i zacyjny Knollys, słysząc o tym projekcie, choć nie wspomniano nazwiska kandydata, uznał, że jego kuzyn będzie dobrą partią dla Marii. Oto jak naprawdę wyglądało ich oburzenie na jej współudział w zabójstwie Darnleya! Wystarczy, by swą drobną rączką uchwyciła koronę, a rączka zapachniałaby im nawet bez użycia wonności Arabii.

Elżbieta, zdając sobie sprawę, że w każdej chwili może paść ofiarą jednej z tych intryg, przeniosła dochodzenia z Yorku do Westminsteru. Sama rezydowała w pobliżu, w Hampton Court, i przy okazji mogła poszerzyć trybunał o Cecila i pozostałych członków Tajnej Rady. Jej tolerancyjne plany spaliły na panewce, ustąpiła więc pod naciskiem Rady i obiecała Murrayowi to, czego żądał. Wytoczą Marii najcięższy zarzut, zaś wśród dowodów trybunał znajdzie słynne listy Marii do Bothwella wraz ze srebrną szkatułką odebraną 20 czerwca 1567 roku jednemu z jego służących. Była to ważka decyzja. "Niech Bóg utwierdzi Jej Królewską Mość w postanowieniu, w którym, jak mi donosisz, trwa obecnie" - powiedział Sussex. Aby uniknąć choć pozoru stronnictwo i równocześnie pokazać, jaka jest królowa, którą część Anglików woli od niej, Elżbieta sprowadziła do Londynu sześciu hrabiów. Mieli oni zaznajomić się z zarzutami i zbadać dowody, kiedy członkowie Rady już to zrobią.

Sesje w Westminsterze zaczęły się pod koniec listopada. Dzień po dniu wysłuchiowano zarzutów stawianych przez Murraya i skrupulatnie badano dostarczone przez niego dowody. Komisarze Marii nie uczestniczyli w przesłuchaniach, ponieważ nie uznali ich prawomocności i wycofali się, gdy ich pani odmówiono prawa wytłumaczenia się osobiście przed Elżbietą ze stawianych jej zarzutów. Maria uporczywie tego żądała, i to z tym większym uporem, że, jak powiedział Cecil, wiedziała, iż spotka się z odmową. Wszem wobec tłumaczyła, że "Listy ze szkatułki" są sfałszowane, co zresztą było do przewidzenia. Sussex słusznie uważał, że wypiera się tych listów, ponieważ w ten sposób utrudnia wykorzystanie ich jako dowodów sądowych.

Cała ta sytuacja przypominała jakiś koszmarny sen. To nie współludził w morderstwie Darnleya, lecz wierność Bothwellowi ściągnęła na głowę Marii wszystkie nieszczęścia. Ale uczucie, które na chwilę rozbłysło dawnym płomieniem w nastroju uniesienia po udanej ucieczce z Loch Leven, zgasło. Wielka romantyczna miłość okazała się złudzeniem. Teraz już nie jej nie obchodziło, że Bothwell, za którego niegdyś oddałaby cały świat, gnije w duńskim więzieniu. Ci spośród jej oskarżycieli, którzy w swoim czasie nie podnieśliby ręki na Darnleya, obecnie gotowi byli o wszystkim zapomnieć. Ten żaloszny król za życia i po śmierci był tylko pionkiem w grze politycznej i jedynie prości ludzie przejęli się szczerze morderstwem. Dla dopełnienia cynicznego obrazu warto dodać, że komisarze Marii, choć oficjalnie musieli temu zaprzeczać, byli, jak się zdaje, przekonani o jej winie. W trzy lata później jeden z nich, biskup John Leslie z Ross, będąc podówczas jej ambasadorem, powiedział do dworzanina Elżbiety, że Maria w ogóle nie zasługiwała na męża, "bo, jak mówił, po pierwsze otruła swego męża, króla francuskiego, o czym on wie z wiarygodnego źródła; następnie wyraziła zgodę na zamordowanie swego kolejnego męża, lorda Darnleya, a po trzecie zeszła się z mordercą i wyprowadziła go w pole, by i jego zamordowano!" „O Boże, co za ludzie, co za królowa, co za ambasador!” - zdumiewał się Anglik.

Komisarze Marii co prawda wycofali się z udziału w dochodzeniach, lecz potajemnie starali się doprowadzić do ugody, "by ratować jej honor", jak powiedział Cecil. Rozważano trzy plany: Maria miałaby potwierdzić swą abdykację i zamieszkać w Anglii; miałaby dzielić tytuł z synem, przy czym Murray zostałby regentem; wreszcie miałaby przebywać w Anglii, zachować tytuł królowej, lecz trzymać się z dala od polityki, podczas gdy regentem nadal pozostałby Murray. Były to oczywiście warunki ciężkie, znacznie surowsze od tych, jakie Elżbieta chciała osiągnąć w Yorku. Murray nalegał, by przyjęto pierwsze rozwiązanie, i nie godził się na trzecie. Tuż przed Bożym Narodzeniem Elżbieta powiedziała Knollysowi, by spróbował nakłonić Marię do przyjęcia pierwszego. Knollys uważał, że sprawa jest do

załatwienia, jeśli dwór udzieli mu stanowczego i całkowitego poparcia, ale spotkał się z odmową. Cała Rada dawała wiarę zeznaniom Murraya, natomiast odnośnie przysłych losów Marii zdania były podzielone. Hrabia Arundel pisał do Elżbiety: "Przecież głowa koronowana nie może przekonać drugiej głowy koronowanej, że powinna z korony zrezygnować tylko dlatego, iż poddani odmawiają jej posłuszeństwa. W Szkocji być może taka nowinka się przyjmie, ale na pewno nie w Anglii." Elżbieta postąpiła nierozważnie zdradzając się ze swą życzliwością dla Marii przed biskupem Ross, który jej to powtórzył i tym samym przekreślił nadzieje Knollysa. Pisał więc Knollys: "Jeśli mam być szczery z Waszą Miłością, to wyznam, że moim zdaniem ta królowa jest chyba przekonana o tym, że Bóg obdarzył Waszą Miłość taką powściągliwością uczuć, iż nigdy nie upokorzysz jej publicznie i nie poprzesz przeciw niej Murraya."

Należało kończyć dochodzenie, ponieważ Murray był pilnie potrzebny w Szkocji. Dziesiątego stycznia 1569 roku Elżbieta złożyła tymczasowe orzeczenie, w którym stwierdzała, że jak dotąd nie przedstawiono żadnych dowodów, które mogłyby podać w wątpliwość lojalność i honor Murraya oraz jego zwolenników. Oświadczenie takie miało kluczowe znaczenie, ponieważ formalnym pretekstem dla dochodzeń była skarga Marii przeciw zbuntowanym poddanym. Następnie oznajmiała, że jak dotąd nie przedstawiono żadnych argumentów, które mogłyby skłonić ją do wyrobienia sobie złego zdania o kochanej siostrze. Były to słowa roztropne, jako że Maria dotąd nie odpowiedziała na zarzuty pod jej adresem, Elżbieta zaś wciąż jeszcze starała się taką odpowiedź uzyskać. A przy tym pozostawiały one otwartą drogę do ugody.

Ale nastrój Marii uległ już zmianie. Dziewiątego stycznia pisała, że woli umrzeć niż zrezygnować z korony; jej ostatnie słowa w życiu będą słowami królowej Szkocji. W rzeczy samej otwierały się przed nią pomyślniejsze perspektywy. Przed dwoma lub trzema tygodniami Elżbieta przechwyciła pokaźną ilość złota przeznaczonego dla Alby w Niderlandach, kiedy przewożące je galery musiały zawinąć do angielskich portów w ucieczce przed piratami grasującymi w Kanale. Alba odpowiedział aresztowaniem angielskich marynarzy, okrętów i towarów w Niderlandach, na co z kolei Elżbieta zareagowała postępując tak samo z Hiszpanami w Anglii. Maria była w świetnym humorze, wojna między Anglią i Hiszpanią wydawała się nieunikniona. Spodziewała się, że do marca otrzyma z Francji i Hiszpanii co najmniej dziesięciotysięczne posiłki. Wreszcie najwspanialsza wiadomość: Anglicy przygotowują powstanie w jej obronie."Powtórz ambasadorowi - powiedziała służącemu ambasadora hiszpańskiego - że jeśli jego pan przyjdzie mi z pomocą,

to przed upływem trzech miesięcy będę królową Anglii i msza będzie odprawiana w całym kraju.”

Knollys napisał:”Jest tak odważna, że wystarczy jej cień nadziei, by przetrwać.”  
Nadzieja - błędny ogień! 1

## ***Rozdział jedenasty***

### REBELIA NA PÓŁNOCY

Minęły dalsze trzy miesiące. Maria nie zasiadła na tronie angielskim, lecz znalazła się pod nadzorem hrabiego Shrewsbury, około stu mil na południe od zamku Boi ton, daleko od swych katolickich przyjaciół z północy. Złe wiadomości dochodziły o losach jej stronnictwa w Szkocji. Straciła wszelką nadzieję. Bez przerwy lamentowała, nic nie jadła, wciąż tylko płakała, aż spuchły jej wargi i cała twarz.

Elżbieta postanowiła skorzystać z okazji i raz jeszcze się przekonać, czy ugoda jest możliwa. Zależało jej na tym, by Maria niezwłocznie opuściła Anglię. Była nawet gotowa wydać ją Murrayowi bez większych ceregieli, ale sumienie nie pozwalało tego zrobić bez uzyskania gwarancji, że nic jej życiu nie zagrozi. Równocześnie Elżbieta obawiała się powtórzenia ucieczki z Loch Leven, być może z innym zakończeniem i całkowitym przekreśleniem angielskich interesów w Szkocji. Jeśli nie brać pod uwagę śmierci, to istniało tylko jedno rozwiązanie, na które Maria ewentualnie by się zgodziła. Nadal więc, wbrew Cecilowi i danym Murrayowi obietnicom, Elżbieta zmierzała do przywrócenia tronu Marii, obwarowując to możliwie najkorzystniejszymi dla Murraya i interesów angielskich warunkami, tak obmyślonymi w granicach ludzkiej omyłności, by chroniły przed wiarołomnym ich naruszeniem. Propozycje swe przesłała Murrayowi w kwietniu 1569 roku, on jednak zwlekał z odpowiedzią, a potem jego stronnictwo podjęło decyzję, że do rokowań przystąpi tylko w wypadku potwierdzenia abdykacji Marii. Tym razem Elżbieta rozgniewała się naprawdę. Zagroziła, że sprawę tak załatwi, iż ugoda okaże się znacznie mniej korzystna dla Murraya. Zanim jednak można było cokolwiek przedsięwziąć, zaczęły wychodzić na jaw intrygi, których ośrodkiem w Anglii była już od dawna Maria i które w styczniu tak bardzo dodały jej otuchy. Kłopoty spadły i na Elżbietę.

Minęło dziesięć lat od jej wstąpienia na tron. Anglia w tym czasie cieszyła się pokojem, ale sąsiednie kraje, jeden po drugim, wpadały w wiry walk politycznych i religijnych. I nie był to pokój taki jak w Niemczech i Włoszech, obezwładnionych

straszliwymi skutkami wojen i wewnętrznych zaburzeń. Elżbieta panowała nie cofając się przed niebezpieczeństwem i przodującą pozycję w świecie zawdzięczała sławie, tak jak Filip II zawdzięczał ją swym posiadłościom. W oczach protestantów całej Europy była bastionem wiary, Judytą triumfującą, walczącą Deborahą: w oczach katolików była "kobietą występłą", "służebnicą hańby", "ucieczką niegodziwców". Jedni uważali, że rządzi dzięki sile nieczystej, inni, że dzięki Opatrzności. "W tym kraju jakże cudownie i ponad wszelkie oczekiwania Bóg w swej dobroci nieprzebranej i Pan w swej chwale zachował wszystko w bezpieczeństwie i całości." Prawdziwie "Bóg otaczał ją ojcowską opieką". Nawet Cecil, który w tym właśnie czasie analizował sytuację i sporządzał zaiste straszny katalog grożących niebezpieczeństw, tłumaczył dotychczasową pomyślność czystym przypadkiem i przestrzegał swą panią, że to nie może trwać wiecznie. Gdy zawodzi szczęście, trzeba się zdać na politykę. Bóg nie może bez przerwy czuwać nad swymi Anglikami.

Elżbieta niewątpliwie, w pewnej przynajmniej mierze, miała szczęście. Kanał odgradzał Anglię od bezpośredniego zetknięcia z perturbacjami zachodniej Europy. Ale szczelność swej wyspiarskiej izolacji zawdzięczała Anglia polityce, która doprowadziła do wypędzenia Francuzów ze Szkocji i rozkrzewienia tam reformacji, bez niej bowiem i tu dotarłaby szerząca się gwałtownie zaraza wojen religijnych. Prawdą też jest, że splotowi szczęścia i polityki zawdzięczała Anglia strukturę bardziej sprawną, jednolitą i scentralizowaną, niż mieli jej sąsiedzi. W odróżnieniu od Francji nie miała książąt krwi rywalizujących z koroną i legitymizujących bunty; zachłanna monarchia połknęła prawie wszystkie feudalne wolności, zaś więzy rodzinne, które w Szkocji wywoływały chroniczne podziały, umożliwiały wyładowanie się w przelicznych machinacjach, nawet w swych najzjadliwszych formach stosunkowo dla państwa nieszkodliwych. Miast trwonić majątki na prywatne wojny, Anglicy pławili się w przyjemnościach, jakby już jutro mieli umrzeć, i budowali, jakby mieli żyć wiecznie. Arystokracja rezydowała w Londynie i zjawiała się na dworze królewskim, by popisać się dowcipem, a kiedy go nie starczało, to wystawnymi, egzotycznymi strojami. Potomkowie możnych rodów lawirowali na krawędzi bankructwa i trudnili się łowieniem posagów. W elżbietańskim wielkim świecie bogata wdowa mogła raz po raz wychodzić za mąż, aż do znudzenia lub do grobu.

Było to społeczeństwo względnie zrównoważone, ale szarpane urazami prywatnymi i publicznymi. Podobnie jak we Francji, gdzie Kondeusz był hugenotem, ponieważ Gwizjusz był katolikiem, lub jak w Szkocji, gdzie Hamiltonowie byli zwolennikami Marii, ponieważ L'ennox i Murray byli jej przeciwnikami, w Anglii przeróżne rywalizacje i zawiści mogły pewnego dnia znaleźć ujście w jakimś poważnym sporze. Zespalaający ludzi proces

kształtowania się wyższych form kultury towarzyskiej nie wszędzie i nie w równej mierze docierał. Odnosi się to szczególnie do północy z jej dzikimi wrzosowiskami i odciętymi od świata dolinami, gdzie czas stanął, gdzie boczo się na nowinki z południa i z uporem kultywowano dawne obyczaje, starą wiarę i zasady, gdzie jakiś Percy lub Neville ważniejszy był od różnych królów, a prywatne wojny nadal się toczyły w postaci przygranicznych potyczek ze Szkotami.

Elżbieta wstępując na tron prosiła Boga, by dał jej łaskę rządów miłosiernych, bez przelewu krwi. Uważała, że jej najwyższym zadaniem jest utrzymanie jedności narodu. Zwracając się do któregoś ze swych parlamentów powiedziała: "Gdybym wygłosiła mowę najśłodszą, językiem najwymowniejszym, jaki może być dany człowiekowi, nie potrafiłabym wyrazić w pełni mej nieustannej troski o to, by zawsze rządzić dla największego dobra." Głębszą radość sprawiał jej jeden lojalny katolik niż dziewięćdziesięciu dziewięciu fanatycznych ewangelików, których lojalność nie wymagała manifestowania. Podczas jednego z procesjonalnych przejazdów dworu przez kraj jakiś poddany podszedł do otwartego powozu królowej i zawołał: "Vivat Regina! Honi soit qui mai y pense." Torzyszącemu jej ambasadorowi hiszpańskiemu Elżbieta z dumą powiedziała: "Ten zacny człowiek jest duchownym starej religii." Oczywiście kraj miał być protestancki i w chwilach zagrożenia wolno było Cecilowi i jej co gorliwszym doradcom nękać nieposłusznych katolików, lecz Elżbieta sprzeciwiała się metodom inkwizytorskim i zagładaniu ludziom do duszy. Wystarczał zewnętrzny konformizm; sumienie było prywatną sprawą każdego człowieka, a nie przedmiotem zainteresowań państwa. Miała nadzieję, że stały nacisk tolerancyjnej organizacji kościelnej pozwoli z biegiem lat jej katolickim poddanym uwolnić się od starej mentalności.

Na dworze Elżbiety byli kryptokatolicy i gorliwi purytanie, ludzie idący z duchem czasu i maruderzy. Lojalność ich mogła sobie zapewnić jedynie stojąc ponad partiami i prowadząc politykę nade wszystko własną, choćby nie wiadomo jak wiele zawdzięczała cudzym radom. "Naszą rolą - pisał Cecil - jest udzielanie rad, ale także słuchanie wodza." Jego nieustanne skargi w zapiskach i listach do przyjaciół świadczą niezbicie o tym, że Elżbieta nie przyjmowała bezkrytycznie nawet tego, co mówił jej najzdolniejszy i cieszący się największym zaufaniem doradca. Słyszała zresztą z uporem. Sir Francis Knollys, który swe obowiązki krewnego i doradcy traktował bardzo poważnie, z nieustraszoną szczerością tłumaczył, że nie śmie nawet przewidywać, jak jej najwierniejsi doradcy - a chodziło mu o Cecila i wojujących protestantów - zachowają się w sytuacji krytycznej, skoro ona stale ich zniechęca, tak długo nie dając im posłuchu, póki wszystko nie będzie po jej myśli. Do Cecila

pisala ironicznie, ze jej chodzi tylko o to, by byc "wladca lub wspolwladca", miast zabiegac o podreperowanie podupadajacego autorytetu, dodawac otuchy poddanym i unikac niebezpieczenstwa, pokornie robiac to, co jej kazą wierni doradcy, Z tonu napomnień Knollysa wynika, ze otoczenie nie umialo sobie poradzić z faktem, iż ma do czynienia z kobietą. Ona zaś w typowo kobiecy sposób bronila swych praw. Pewien ambasador francuski poprosil kiedyś o audiencję, na której będzie obecna cała Tajna Rada. Elżbieta odpowiedziala, ze się zapomina, skoro przypuszcza, ze ona nie potrafi udzielic mu odpowiedzi bez pomocy doradców; moze takie praktyki są na miejscu we Francji, gdzie król jest młodzieniaszkiem, ale ona lepiej rządzi swym królestwem niż oni swoim.

Polityka tolerancji miala oczywiscie niewielu zwolenników. Najgorliwsze i najbardziej krzykliwe elementy w Kościele narzekaly, ze uniemozliwia się im, jak to formułowaly, "prawdziwe kapłanstwo i zarzadzanie Kościołem zgodnie z Pismem Świętym". Elżbieta nie pozwalala reformowac Kościoła w duchu wzorów genewskich czy prezbiteriańskich; nie chciala się zgodzić na ocenzenie Modlitewnika, "wadliwej księgi zlepionej z odpadków zebranych na owym papistowskim śmietniku, pełnym obrzydliwosci, jakim jest msza"; nie likwidowala arcybiskupów, archidiakonów, biskupów itp., którzy mieli tytuły i urzędy zapozyczone z papieskiego sklepiku; nie uwolnila się od sądów kościelnych, zwlaszcza od "malego, śmierdzacego ścieku, wyplywajacego z dawnego wielkiego bajora - Sądu Wysokiej Komisji". Niezaleznie od tego, ze idee genewskie po prostu ją mierzily, co wynikało nie tylko z jej luteriańskiego wychowania, ale i z charakteru, zdawala sobie sprawe, ze ustępstwa poczynione stronnictwu purytańskiemu przekreślą jej tolerancyjną politykę i co więcej, mogą pchnąć katolickich poddanych do buntu. W przekonaniu tych bogobożnych mężów darzyła niekiedy większą przychylnością katolików niż ich samych, toteż głośno protestowali przeciw kapom, ornatom, komżom i ceremoniom, których zachowania stanowczo się domagala, oraz przeciw rytuałowi obowiazujacemu w jej kaplicy. Niemal identyczną postawę zajmowala w sprawach politycznych. Z reguly wolala decyzje mniej jednoznaczne i działania mniej otwarte, niż to zalecali Cecil i jego grupa. Zapewne przyznawala, ze elżbietańska Anglia powinna być agresywnie protestancka, ale równocześnie pozostawala mądrze i stanowczo powściągliwa, poniewaz tego wymagaly finanse i konieczność zapewnienia znośnego życia ludziom starej daty.

Te metody rządzenia nie znajdowaly również uznania w oczach konserwatywnych doradców i ich przyjaciół z kręgow starej arystokracji. Złoscili się, ze Cecil, wspierany przez sir Nicholasa Bacona i innych parweniuszy, kieruje Tajną Radą; mieli mu za złe wpływy, które zawdzięczal swej niezrównanej wiedzy, i zazdrościli stalego dostępu do królowej. Jako

królowa i jako kobieta w dwójnasób nie mogła odpowiadać za błędy popełnione, wobec czego całą winę zwalano na niego, jeśli coś szło na opak.

A ich zdaniem teraz właśnie, w tej krytycznej chwili, wszystko szło na opak. Po pierwsze, nastąpiło zerwanie tradycyjnej przyjaźni z Hiszpanią. Musiało do tego dojść z nastaniem nowych czasów, ale niedawno zupełnie przypadkowe wydarzenia sprawę przyspieszyły. Zaczęło się to wiosną 1566 roku, kiedy ambasadorem w Hiszpanii został doktor John Mań, dziekan katedry w Gloucester i przełożony kolegium Mertona. Względy protokolarne wymagały, by ambasador rezydował w tym kraju, choć niewiele tam miał do roboty, a nie w Niderlandach, które odgrywały główną rolę w stosunkach angielsko-hiszpańskich. Skazywało to ambasadora na ciężkie lata bynajmniej niewesołego wygnania i zaniedbania ze strony rządu ojczystego kraju, nic więc dziwnego, że trudno było znaleźć odpowiedniego kandydata. Stąd doktor Mań. Gorszył Hiszpanów i cały korpus dyplomatyczny w Madrycie jako żonaty duchowny, który na domiar złego nie był szlachcicem, lecz żył z otrzymywanej pensji i nie odznaczał się dyskrecją. Przez dwa lata Filip odnosił się do niego wyniośle i z pogardą, po czym w niełasce odprawił do domu. Tę obrazę Elżbieta postarała się jak najlepiej wykorzystać. Przestała wysyłać stałych ambasadatorów do Hiszpanii, co było darem niebios dla ewentualnych kandydatów, dla niej zaś okazją do robienia oszczędności.

W tym samym czasie Filip zmienił swego stałego ambasadora w Anglii, co pociągnęło za sobą niezamierzone pogorszenie stosunków między oboma krajami. Co prawda poprzedni ambasador nie odpowiadał wyobrażeniom o dumie hiszpańskiej, lecz za to nowy był pyszałkiem, głupcem i człowiekiem bez poczucia humoru. Ponadto ten niepoprawny intrygant nie zaznał spokoju, póki nie umaczał palca w jakimś komplocie, jednym słowem okazał się najfatalniejszą osobą, jaką można było wysłać w tym czasie do Anglii, i stanowił złowrogą pokusę dla namiętnej, krewkiej intrygantki Marii. Zmienił się całkowicie ton raportów wysyłanych do Hiszpanii. Kiedy na przykład zirytowany Cecil zgłaszał pretensje o traktowanie doktora Mana, poprzedni ambasador meldował: "Nie przerywałem mu, poczekałem, aż się trochę uspokoi, po czym podszedłem do niego z uśmiechem, uściskałem go i powiedziałem, że bardzo jest zabawny, kiedy się tak unosi." Natomiast o charakterze nowego ambasadora świadczą jego opinie o doradcach Elżbiety: Cecil - człowiek nikczemny, ale bardzo przebiegły, fałszywy i kłamca, zawsze ma na podorędziu różne fortele, wielki heretyk i typowy angielski błazen; Leicester - lekkomyślny i chciwy; Bacon - zatwardziały heretyk i bardzo złośliwy; Lord Admirals - bezwstydnym złodziej, kompletny bezbożnik; hrabia Bedford - straszliwy heretyk o potwornych obyczajach i charakterze, itp. Sugerował Filipowi,



by po stłumieniu zamieszek w Niderlandach Hiszpania i Francja wspólnie urządziły blokadę ekonomiczną Anglii, zaś wszyscy władcy katoliccy wystąpili z demarche, by zmusić zastraszoną Elżbietę do przejścia na katolicyzm. Do listu dołączył projekt solennego upomnienia, które on przy tej okazji oso. biście wygłosi. Dokument spoczął w archiwum, gdzie przez trzy lub cztery stulecia dojrzywał jego specyficzny humor.

Zdobycie skarbu hiszpańskiego w grudniu 1568 doprowadziło ambasadora do stanu hysterii. Właściwie nie był to postęp tak skandaliczny, jak nam się dziś wydaje, ani też tak zuchwały, jak usiłowali go przedstawić urzędnicy portowi Elżbiety. Ci bezceremonialni Anglicy i dzielni protestanci mieli wielu przyjaciół wśród kaperów i uważali taką okazję za dar Opatrzności. Jeden z nich nawet gotów był ponieść odpowiedzialność za zagarnięcie skarbu pod warunkiem, że Elżbieta po wstępnych awanturach, mających na celu odpowiednie zabarwienie faktu, przywróci go do łask. Jego zdaniem wszystko, co się odbierze temu występniemu narodowi, przyczyni się do wspólnego dobra. Cecil myślał podobnie. Elżbiecie złoto było potrzebne, bo rynek pieniężny w Antwerpii wysychał w następstwie tamtejszych zaburzeń i właśnie miała dobrze znane wszystkim władcom kłopoty ze zdobyciem gotówki, bez której nic się nie dało począć. Nie mogła jednak pochwalać prymitywnych metod funkcjonariuszy portowych.

Co prawda Hiszpanie i kapitanowie statków starali się temu zaprzeczyć, ale złoto wysłane przez geneueńskich bankierów dla Alby w Niderlandach stawało się własnością hiszpańską dopiero w miejscu przeznaczenia i ryzyko związane z transportem ponosili właściciele. Zdradził to rządowi angielskiemu ich agent londyński, ku wściekłości ambasadora hiszpańskiego, i jest rzeczą wielce prawdopodobną, iż agent ten zawarł z Elżbietą tajną umowę, na mocy której ona przejmowała pożyczkę, co było korzystne dla właścicieli, w innym bowiem wypadku musieliby płacić za eskortę na morzu lub za transport i przeładowanie w innych portach, by zmylić kaperów i piratów krążących jak rekiny wokół portów, gdzie znajdował się skarb. W każdym razie Elżbieta zabrała złoto jako pożyczkę, na co widocznie pozwalały ówczesne obyczaje.

Nie był to krok przyjazny w stosunku do Hiszpanii, lecz Elżbieta miała wtedy właśnie ochotę dać prztyczka Filipowi i skorzystała z tej opatrnościowej okazji. Przejadła się jej nieznośna arogancja Hiszpanów - traktowanie doktora Mana, niezliczone akty samowoli wobec statków angielskich stojących w hiszpańskich portach, wreszcie napad na wyprawę Hawkmsa i Drake'a po niewolników z hiszpańskiego Nowego Świata, o którym niedawno dowiedziano się w Anglii. Anglicy sympatyzowali ze zbuntowanymi Niderlandami, ona zaś sama, dzieląc powszechne przeświadczenie o spisku katolickim zmierzającym do

wykorzenia protestantyzmu w Europie, obawiała się, że wojska Alby, stłumiwszy bunt w Niderlandach, w drodze powrotnej wtargną do Anglii. Ścieżki Anglii i Hiszpanii się rozchodziły. Niderlandy, które niegdyś zbliżały oba te państwa, stawały się obecnie barierą uczuciową. Filip udzielał gościny i popierał angielskich katolików, uchodźców i buntowników knujących nieustannie plany inwazji. Równocześnie Elżbieta dawała schronienie uchodźcom i buntownikom z Hiszpanii. Gdy jeden kraj coraz bardziej wchodził w rolę szermierza katolicyzmu, drugi utwierdzał się w roli obrońcy protestantyzmu.

Trudno powiedzieć, jaki obrót przyjęłyby wydarzenia, gdyby dawny ambasador hiszpański pozostał w Anglii. Jego następca, znikowany na punkcie blokady gospodarczej, doradzał Albie, by zagarniał statki i towary angielskie, zanim jeszcze dotarła do niego wiadomość, że Elżbieta ma zamiar zabrać skarb. Umożliwił jej w ten sposób wystąpienie w charakterze strony skrzywdzonej, co też znakomicie wykorzystwała. Nie posiadał się ze złości, więc zastosowała wobec niego areszt domowy, dając mu zakosztować smaku hańby, która spotkała doktora Mana. W pierwszych miesiącach 1569 roku wyglądało na to, że wojna jest nieunikniona.

Fakty jednak zdawały się drwić z pozorów. Elżbieta miała w swym ręku atuty. W rozgrywce konfiskat, nie mówiąc już o skarbie, zdobyła łup bez porównania cenniejszy niż Hiszpanie. Angielscy kupcy i przemysł ponieśli co prawda pewne straty, zaraz jednak znaleźli niezły rynek w Hamburgu, natomiast wstrzymanie handlu zrujnowało kupców w Niderlandach i Hiszpanii. Alba rozumiał, że wojna nie wchodzi w rachubę; Filip i jego rada nie tylko byli jej przeciwni, ale wręcz modlili się, by Elżbieta się nie domyśliła, jak bardzo im zależy na zgodzie, i by nie wymierzyła następnego policzka, którego Filip nie mógłby już przemilczeć. Postanowiono obchodzić się z nią bardzo ostrożnie. Ambasadorowi nakazano cierpliwie dźwigać krzyż, zaś Alba, który nim gardził i uważał go za wścibskiego durnia, natychmiast zabronił mu knucia intryg.

Poza Elżbietą i Cecilem tylko nieliczni wiedzieli, jak bardzo ma ona ograniczoną swobodę manewru. Stosunki polityczne i handlowe z Francją były prawie tak samo napięte jak z Hiszpanią. Wciąż jeszcze nie udało się rozwiązać problemu królowej szkockiej, głównie wskutek przychylności okazywanej stronnictwu Murraya. Aż dziw, że angielscy konserwatyści mogli sobie wyobrazić, iż szaleństwo Cecila osiągnęło punkt szczytowy!

Jak dotąd nastroje niezadowolenia nie znalazły ujścia, ponieważ żadne stronnictwo nie zostało jeszcze doprowadzone do skrajnej desperacji, a poza tym brakło tak wybitnych osobistości, jak Kondeusz lub Gwizjusz we Francji, które mogłyby się stać organizatorami lub przywódcami buntu. Ale w Anglii przebywała Maria, „córa kłótni posianej niezgodą”.

Historia zdawała się powtarzać, odtwarzając scenierię panowania królowej Marii do takich wręcz szczegółów, jak uwięzienie w Woodstock. Elżbieta występowała teraz w roli swej siostry, Maria zaś w jej roli. Jeśli jednak podówczas Elżbietę uratowały popularność i rozważa, to obecnie rozważa była ostatnią cnotą, jaką dałoby się przypisać Marii, a dopiero czas miał pokazać, czy Anglia tym razem pragnie zmiany królowej.

Dziwna to była kompania malkontentów, którzy skupili się wokół Marii. Dziwność ta wynikała z planu wydania Marii za mąż za księcia Norfolk. Pomysł, poczęty na konferencji w Yorku w październiku 1568 roku, wydawał się pod wieloma względami szczęśliwy, cały bowiem kłopot z Marią polegał na tym, że nikt jej nie ufał, można by natomiast doprowadzić do jej powrotu na tron przy mężu, który cieszyłby się zaufaniem Elżbiety i Murraya. Wszelkie jednak szansę na zrealizowanie tego projektu zniweczyło zwlekanie i trzymanie go w tajemnicy. Plan przeobraził się w szeroko rozgałęziony spisek. Konserwatywni lordowie zdecydowani byli doprowadzić do małżeństwa, uznać Marię za następczynię Elżbiety, wznowić przyjazne stosunki z Hiszpanią, zwracając skarb i skonfiskowaną własność, oraz wstrzymać wszelkie poparcie dla francuskich hugenotów. Innymi słowy, postanowili uratować Anglię od katastrofalnej wojny z Francją i Hiszpanią i rozwiązać wszystkie problemy za pomocą przewrotu politycznego. Pociągnęłoby to za sobą obalenie Cecila i stronnictwa nowych ludzi, co nie tylko nie przeszkadzało, lecz wręcz cieszyło. W dawnych dobrych czasach Cecil przypląciłby głową jak Thomas Cromwell. Początkowo rozważano również możliwość obalenia Leicestera, ale przyłączył się do nich i podobnie postąpił jego posłuszny poplecznik Throckmorton, który z przyjaciela Cecila przeobraził się w jego wroga, a choć nadal pozostawał protestantem, doszedł prawdopodobnie do wniosku, że skoro Elżbieta wytrwale dąży do przywrócenia tronu Marii, rozsądek nakazuje popierać plan małżeństwa z Norfolkkiem.

Tak samo jak Throckmorton nie pasowali do tego towarzystwa katolicy lordowie z północy, między innymi hrabiowie Northumberland i Westmorland oraz Leonard Dacres. Wszyscy oni mieli jakieś osobiste pretensje do rządu i podobnie jak katolicy i inni ludzie z południa spiskowali z ambasadorem hiszpańskim. Maria od dawna już zabiegała o ich względy, pisała do nich schlebujące bileciki, przesyłała pełne zachęty posłania. Wymieniano śliczne prezenty, to jakiś pierścień brylantowy, to różaniec lub perfumy dla hrabiny Northumberland, to znów drogocenny kamień w złotej oprawie. Co prawda panowie ci nie mówili otwarcie, że chcą zmienić królową, ale dążyli do restauracji katolicyzmu z obcą pomocą, co oczywiście musiało się skończyć detronizacją Elżbiety. Zresztą tylko w ten sposób mogli liczyć na odpowiednie wynagrodzenie. Niektórzy byli w tarapatkach

finansowych, inni, jak na przykład hrabia Arundel z południa, znajdowali się na progu bankructwa. Dla tak wygłodniałej sfory skarb szkocki byłby skąpym kąskiem.

W marcu i kwietniu brzemiennego w wypadki roku 1569 Cecil, musiał stawić czoło potężnym wichurom. Niezadowoleni członkowie Rady pod różnymi pretekstami nie przychodzili na posiedzenia. Podobno w Środę Popielcową Leicester ośmielił się powiedzieć królowej, że większość jej poddanych, i to najlepszych, uważa politykę rządu za tak fatalną, iż albo Cecil zapłaci za to głową, albo państwo znajdzie się w niebezpieczeństwie. W tym samym czasie, gdy Leicester dostawał solidne cięgi od rozgniewanej królowej, w drugim końcu sali Norfolk śmiało i na cały głos wykladał swe myśli innemu członkowi Rady. Konfederaci, którym pokrzyżowano plany - ta relacja również nie jest sprawdzona - postanowili uciec się do zamachu i aresztować Cecila. Trzykrotnie w kwietniu przymierzali się do wystąpienia, ale nie udało im się podważyć lojalności czy też roztropności Leicester. Wahał się, groził, że doniesie o wszystkim królowej. A potem Cecil zmienił linię postępowania. Zbliżył się do Norfolka i nakłonił go do zajęcia bardziej umiarkowanego stanowiska. Tak czy inaczej, za panowania Elżbiety nie mogło być mowy o powtórzeniu historii z Cromwellem. Królowej nie dało się zastraszyć, pozostawała miłosierna i zdumiewająco lojalna w stosunku do swych ministrów.

Grupa zajęła się teraz małżeństwem Marii z Norfolkiem. Elżbieta dowiedziała się o tym planie wkrótce po jego powstaniu, jeszcze na jesieni. Norfolk usłyszał kilka ostrych słów, ale odrzekł: "Ja miałbym poślubić kobietę tak występłą, znaną cudzołożnicę i morderczynię? Lubię spać spokojnie. Uważam, za pozwoleniem Jej Królewskiej Mości, że jestem równie wielkim panem w mojej kręgielni w Norwich, jak ona panią, choćby znalazła się w samym środku Szkocji. A gdybym starał się ją poślubić wiedząc o tym, o czym wiem doskonale, że ona zgłasza roszczenia do twojej, Najjaśniejsza Pani, korony, mogłaby Miłościwa Pani sprawiedliwie mi zarzucić, że sięgam po koronę z twojej głowy." Królowa się uspokoiła, ale odtąd niełatwo było Norfolkowi wrócić do tego tematu.

Na czele kabały stanął Leicester, któremu marzyła się rola szafarza korony i obfite żniwo w przypadku wczesnej śmierci Elżbiety. Około Wielkanocy napisał ze swym krewniakiem hrabią Pembroke list do Marii. Elżbieta w tym czasie starała się usilnie urzeczywistnić plan restauracji Marii, oni zaś wraz z przyjaciółmi potajemnie prowadzili pertraktacje na własną rękę. Chcieli dobrze, pozostali lojalni, tyle tylko, że mieli zamiar narzucić Elżbiecie swoje rozwiązanie sprawy; z ich męskiego punktu widzenia był to najwłaściwszy sposób postępowania z kobietą kroczącą fałszywą drogą. Do Norfolka zaczęły przychodzić słodkie liściki od Marii. Czuł, że wir wciąga go na głęboką i niebezpieczną

wodę. Niepokoił się odwlekaną rozmową z Elżbietą. Prawdę rzekłszy, żaden z tych znakomitych konspiratorów nie śmiał stawić jej czoła, zaś Leicester, wciąż tłumacząc się i obiecując, czekał”sposobnej chwili”. W lipcu byli już trochę przestraszeni i opowiedzieli wszystko Cecilowi. Zachował to w tajemnicy. Plan wydawał mu się w najlepszym wypadku nierealny i wątpił, czy Elżbieta wyraziłaby zgodę.

A ona już wkrótce zwęszyła, co się święci. Bardzo mądrze starała się dać Norfolkowi okazję do wypowiedzenia. Wezwała go pewnego dnia i zapytała, co słyhać na świecie. Odpowiedział, że nic ciekawego.”Rzeczywiście? Przyjeżdżasz z Londynu i nie masz dla mnie żadnych wiadomości o jakimś małżeństwie?” On jednak, opierając się na nieszczerym Leicesterze i obawiając się wyznać prawdę, co mu radził Cecil, zwlekał i przedłużał kompromitujące milczenie. Potem Elżbieta zaprosiła go do stołu i pod koniec posiłku uszczypnęła przestrzegając, by dobrze uważał, gdzie kładzie głowę. Minęły jeszcze trzy tygodnie. Nadal milczał. Wezwała go i zapytała, czy doniesienia są prawdziwe. Odpowiedział, że ona zna już prawdę od innych. Odrzekła na to, że wolałaby usłyszeć ją z jego ust. Wyznał tylko część prawdy. Przypomniała mu o przysiędze na wierność i zabroniła dalej zajmować się tą sprawą.

Dworzanie zaczęli teraz unikać Norfolka. Był osamotniony, wydany na łup zmieniających się nastrojów strachu, dumy i gniewu. Za daleko posunął się z Marią, by teraz wycofać się z honorem, i w odróżnieniu od Leicesterera i kilku innych bliski był zdrady stanu i zaplątał się w katolicki ruch powstańczy. Nie pytając o pozwolenie opuścił dwór będący podówczas w drodze i wrócił do swej londyńskiej rezydencji. Elżbieta posłała po niego, kazała mu wracać. Odpowiedział, że ma febrę i przybędzie za cztery dni, i jeszcze tej samej nocy uciekł do swego majątku w Norfolk. Ten postępek postawił go przed straszliwą zaplanowaną alternatywą buntu w towarzystwie katolików z północy. Maria i jej przyjaciele nawoływali, by zachował się dzielnie; ambasador hiszpański, któremu się zdawało, że sam Pan Bóg zsyłał szansę światu katolickiemu, uważał, że tylko małoduszność może zgubić Norfolka. Księżę próbował posłać człowieka do Alby, lecz porty okazały się zamknięte. Myślał, że ściągnie do siebie całe ziemiaństwo swego hrabstwa, ale stawili się jedynie papiści, bo lojalni protestanci podjęli środki ostrożności, nim jeszcze dotarł do nich list Elżbiety, nakazujący im to zrobić. Straż nad Marią wzmocniono przed kilkunastu dniami o dwóch godnych zaufania lordów, którzy znaleźli się przy ustępliwym Shrewsbury. Elżbieta przejawiała wielką czujność. Norfolkowi kazała wrócić, powołując się na przysięgę wierności, a gdy się wymawiał kolejnym atakiem febrzy, odpowiedziała, by w razie potrzeby wrócił na noszach. Zaczęła go opuszczać odwaga. Wysłał posłańca do hrabiego Westmorland

blagając, by siedział na miejscu, w innym bowiem razie on może zapłacić głową, po czym ruszył za dworem. Zawrócono go i skierowano do Tower, dokąd dotarł 11 października. Trzej inni lordowie i Throckmorton znaleźli się pod strażą. Leicester wyznał wszystko - tak w każdym razie utrzymywał - i uzyskał przebaczenie.

Większość ludzi wraz z Cecilem niezachwianie wierzyła w lojalność Norfolka, tylko nie Elżbieta, która miała jakiś szósty zmysł, gdy chodziło o spiski. Przysięgła sobie, że dojdzie prawdy, ale przyjaciele Norfolka na dworze i gdzie indziej postarali się, by wiedział o wszystkim, co się święci, i był przygotowany na kłopotliwe pytania. Zorganizowali tajną pocztę w butelkach z napojami, znaleźli sposób, by porozumieć się z nim ustnie przez otwór do sąsiedniego pomieszczenia, a jeden z jego ludzi wchodzący pod strażą do izby swego pana wrzucał listy zawinięte w czarny papier do małej ciemnej ubikacji, skąd później je zabierano. Elżbieta w uniesieniu mówiła, że przewinienie Norfolka kwalifikuje się jako zdrada stanu. Cecil przesłał jej wyciąg ze statutów Edwarda III, by ją przekonać, że tak nie jest, i doradzał ukreślenie ła wszelkim komplotom małżeńskim przez ożenienie Norfolka z inną kobietą.

A tymczasem z północy nadchodziły groźne echa krążących tam pogłosek. Słyszano je na jarmarkach, powtarzano z ust do ust, docierały wszędzie jak wiatr i były równie nieuchwytnie. Kto je rozpuszczał, co się za nimi kryło, tego władze nie umiały ustalić. Plotki mówiły o losach księcia Norfolk, o tym, że lada chwila znów wyznaczony zostanie następca tronu, że książę i inni arystokraci wrócili do swych majątków i wkrótce w całym kraju zaczną się awantury. W najbliższych dniach wybuchnie powstanie w obronie Marii i religii. Protestantów już ostrzegli ich przyjaciele. Hrabia Sussex, przewodniczący Rady Północnej, wezwał do siebie hrabiów Northumberland i Westmorland. Uspokoili go, a pogłoski zamarzyły równie tajemniczo, jak się narodziły. Zdezorientował ich powrót Norfolka na dwór i listy od niego, Marii i ambasadora hiszpańskiego z ostrzeżeniami, by nie wszczynać powstania.

Sussex wolałby na tym poprzestać, lecz Elżbieta nie mogła dopuścić do plnienia się buntu i do podsycania go swą bezczynnością. Jeśli czekają ją kłopoty, to lepiej stawić im czoło teraz niż w czasie bardziej dogodnym dla nieprzyjaciela. Wezwała więc na dwór obu hrabiów z północy. Kiedy posłaniec królowej opuszczał Topcliff po doręczeniu rozkazu Northumberlandowi, dzwony we wsi biły na alarm, zaś na pytanie posłańca, co to znaczy, przewodnik odpowiedział z westchnieniem, że chyba wzywają lud do powstania. Oskarżenie o zdradę stanu strasznie brzmiało w uszach ludzi posiadających rodowody i majątności i obaj hrabiowie najchętniej wycofali by się z awantury, ale mieli przy sobie rozgorączkowanych przyjaciół, którzy nie tylko namawiali, lecz wręcz przymuszali, i tak samo zachowywały się ich żony. Lady Westmorland wołała płacząc gorzko: "My i nasz kraj okryjemy się wstydem na

wieki, jeśli teraz, na koniec, schowamy się w norach.” Sługa Northumberlanda powiedział mu, że teraz nie może się już wycofać.”Jeśli tak, niech będzie, jak mówisz!” - odpowiedział. Był przy tym Richard Norton, czcigodny, siwowłosy starzec liczący siedemdziesiąt jeden lat, szeryf hrabstwa York, członek Rady Północnej, burgrabia zamku Norham. Niósł krzyż i chorągiew, na której wymalowano pięć ran Chrystusa - echo dawno minionych czasów i Pielgrzymki Łaski. Wraz z nim poszło do powstania siedmiu z jego jedenastu synów.

... troskliwa Północ do tego dojrzała, By swe tysiące na on bój wysłała, Izby Percy'emu z wiernością i z mocą I Neville'owi mogły być pomocą.,,Czternastego listopada powstańcy wkroczyli do katedry w Dur-ham, podarli Biblię i inne księgi, wyrzucili stół komunijny, ustawili dwa ołtarze od lat ukryte i przywrócili mszę. Podobnie działo się wszędzie. Wyłoniły się ze schowków ołtarze i kropielnice, płonęły protestanckie księgi:”Baczcie, jak homilie lecą do diabła!”

Mieli około tysiąca słabo uzbrojonych pieszych i tysiąc pięćset lub więcej konnych, dobrze wyekwipowanych i groźnych. Przez pewien czas północ była w ich rękach. Sussex nie śmiał wydać bitwy w obawie, że jego rekruci z Yorkshire, którzy mieli ojców, braci i synów w szeregach powstańczych, zdezerterują, podobnie jak to się zdarzyło z garnizonem zamku Barnard, gdzie oblężeni przeskakiwali przez mur, by przyłączyć się do oblegających. Moralne skutki takiej klęski mogły być nieobliczalne. Rebelianci maszerowali na południe, chcąc przebić się do Marii, która przebywała w Tutbury; przeniesiono ją jednak pośpiesznie do Coventry. Nie śmiejąc wysunąć się za daleko poza granice hrabstwa York ani też szturmować miasta, zawrócili na północ, lecz ludzie zaczęli podupadać na duchu. Jeden oddział zdobył Hartlepool, zwiedziony obietnicą rozgorączkowanego ambasadora hiszpańskiego, że Alba przyśle posiłki. Inni obiegli i zdobyli zamek Barnard.

A tymczasem w środkowych i południowych dzielnicach kraju pośpiesznie zwoływano pospolite ruszenie. Część posłano na dwór jako gwardię królewską, reszta powoli i zmusznie maszerowała po rozmokłych drogach na północ. Osławione londyńskie prostytutki z ulicy St. Paul's zbierały obfite żniwo plotek, zaś bywalcy Papisfs Corner (Papistowskiego szynku) i Liars' Bench (Baru kłamców) byli w doskonałych humorach, bo na mieście mówiono, że Alba obiecał wypłacić żołd swym żołnierzom w Cheapside i zmusić Elżbietę do wysłuchania mszy w katedrze Sw. Pawła w najbliższe święto Matki Boskiej Gromniczej. Krążyła też pogłoska o dziesięciu tysiącach Szkotów, którzy poszli na odsiecz królowej i dostali takie lanie od powstańców, że lepiej by zrobili, gdyby w ogóle nie ruszali się z domu. Ale z wyjątkiem północy cały kraj zachował lojalność niezależnie od wyznawanej religii. Zważywszy liczebność i uzbrojenie nadciągającej armii rebelianci nie mieli najmniejszej

szansy. Załamali się i uciekli nie wydając ani jednej bitwy, zaś ich przywódcy przekroczyli granicę 20 grudnia 1569 roku, by szukać schronienia wśród szkockich zwolenników Marii.

Winowajcom niskiego stanu wymierzono surową karę. W każdej wsi, która dała ludzi hrabiom, sądy wojenne zbierały obfite żniwo. Około sześciuset buntowników zawisło na szubienicach. Przeklinali swych przywódców, których spotkał szczęśliwszy los, ponieważ czekała ich zwyczajna procedura sądowa. Większość z nich znalazła azyl w Szkocji, miała przyjaciół, którzy mogli się za nimi wstawić, czekała ich wobec tego jedynie utrata majątków. Elżbietę ta oczywista niesprawiedliwość bardzo martwiła, ale takie były obyczaje świata. I takie były obyczaje jej świata, że dwór i armia, miast spokojnie radować się zwycięstwem, ogarnięte zostały haniebnym szałem rozdrapywania skonfiskowanych majątków i grabienia biednych. Wodzowie patrzyli na siebie zawistnym okiem. Brat Leicester, dowodzący armią południową, i jego stronnicy sączyli jad w uszy królowej oczerniając Sussexa. Cecil i jego przyjaciele byli przygnębieni, ponieważ "wierni doradcy" stracili zaufanie królowej, która troszczyła się tylko o kasę, zaiste pusta, i o to, by jak najszybciej rozpuścić wojsko.

Północ stać było jeszcze na opór, dopóki Leonard Dacres pozostawał na wolności i cieszył się taką samą lojalnością klanową jak Percy i Neville. Miał bardzo silne powiązania ze spiskiem, ale głównie dzięki temu, że pokłócił się z Norfolkem o spadek, nie przystąpił do rebelii. Kiedy w toku dochodzeń wyszła na jaw jego wina, Elżbieta kazała sprowadzić go na dwór. Jej ministrowie na północy wahali się; zadania podjął się kuzyn królowej, lord Hunsdon. Wyruszył, by połączyć się z wojskami lorda Scrope, lecz po drodze, 19 lutego, zaskoczył go Dacres ze swymi ludźmi. W zaciętej walce, mimo dwukrotnej przewagi liczebnej przeciwnika, Hunsdon odniósł świetne, decydujące zwycięstwo. Dacres zbiegł przez granicę i przyłączył się do reszty przywódców północy. Przez całe miesiące uchodźcy krążyli w niepewności. Northumberland, wzięty do niewoli przez regenta szkockiego, został wydany Elżbiecie i stracony. Reszta, gdy już nie miała czego szukać w Szkocji, zbiegła do Niderlandów, gdzie z trudem utrzymywała się na powierzchni pobierając hiszpańską rentę, spiskując nieustannie, wciąż na coś licząc, wiecznie zawiedziona i bez grosza.

Dzień jaśniał, ptaki śpiewały nad nami, Gdy nas Północna żegnała Kraina. Lecz wieje wichur, kiedy odpływamy Na to wygnanie, ostro grad zacina.

Elżbieta nie posiadała się z radości na wieść o zwycięstwie Hunsdona. Oficjalny list z podziękowaniami opatrzyła entuzjastycznym dopiskiem: "Nie wiem naprawdę, mój Harry, czy bardziej uradowało mnie zwycięstwo, które mi przypadło, czy to, że Bóg właśnie ciebie wybrał na narzędzie mej chwały. I zapewniam cię, że jeśli pierwsze wystarczyłoby dla dobra mego kraju, drugie, zaiste, bardziej mnie ucieszyło... I nie myśl, że choć tyle zrobiłeś dla



swego honoru, nic na tym nie zyskałeś. Postaram się, by te trudy powiększyły nieco twe dochody, żebyś nie musiał sobie powiedzieć: perditur quod factum est ingrato. Kochająca cię krewniaczka, Królowa Elżbieta.” Hunsdon, który jeszcze przed miesiącem handryczył się z Cecilem, był niezmiernie zadowolony.

## ***Rozdział dwunasty***

### **SPISEK RIDOLFIEGO**

Z drugiej strony granicy docierał głos człowieka, jednego z niewielu, którzy przez te wszystkie lata nie ulegli urokowi Marii.”Jeśli nie sięgniecie do korzeni, gałęzie na pozór uschnięte znowu się zazielenia, i to szybciej, niż ludzie mogą sobie wyobrazić... Wasz posłuszny w Panu John Knox, jedną nogą stojący w grobie.”

Jakby dla potwierdzenia przestrogi Knoxa, w Rzymie uznano, że rebelia na północy jest dogodną okazją do ogłoszenia odkładanej od dawna ekskomuniki. Opatrzona wymowną preambułą i obelżywymi epitetami pozbawiała Elżbietę rzekomych praw do korony angielskiej, zwalniała poddanych królowej od przysięgi wierności i zabraniała przestrzegania jej praw. Pod pewnymi względami dokument ten ujawniał bezsilność papieża; bulla zirytowała Filipa II, Albę i cesarza, Francja zaś po prostu sprzeciwiła się jej ogłoszeniu. Bulla, wydana w lutym 1570 roku, została”ogłoszona” w Anglii dopiero w maju, kiedy to potajemnie przybito ją do drzwi pałacu biskupa londyńskiego przy kościele Sw. Pawła. Rebelię już dawno stłumiono, bulla jednak była zachętą do nieposłuszeństwa, choć angielscy katolicy usiłowali ją ignorować zasłaniając się różnymi argumentami lub wykrętami. I aczkolwiek Elżbieta szczerze pragnęła kontynuować politykę tolerancji, bulla wywołała wielkie oburzenie i spotęgowała protestanckie i wojownicze nastroje w rządzie.

Bulla papieska była tylko jednym z wydarzeń podkreślających konieczność pilnego rozwiązania trudnego problemu królowej szkockiej Marii. Od roku pogłębiał się rozłam w stronnictwie Murraya w Szkocji. Sprytny Maitland zajął początkowo stanowisko pośrednie, ale w końcu zdezerterował do Marii. W styczniu 1570 zamordowanie Murraya przyniosło stronnictwu niepowetowaną stratę. Dla Elżbiety był to straszliwy wstrząs. Na domiar złego Hiszpania i Francja naciskały, by przywróciła tron Marii, zaś w lutym Karol IX oświadczył, że użyje do tego celu wszystkich swych sił. Elżbieta odpowiedziała odważnie, ale była zaniepokojona. Dużo słyszała o intrygach Marii, jeszcze więcej się domyślała i nie miała żadnych złudzeń, że jej dwulicowość musi doprowadzić do nieszczęścia. Chciała się pozbyć z

kraju Marii, która podstępnie zabiegała o sympatię Anglików i burzyła tak drogi Elżbiecie błogi stan spokoju i narodowej zgody. Uczuciom swym dawała wyraz w wierszach:

Żaden tu nie zarzuci kotwicy obcy wygnaniec.

Nasz kraj im nie ulegnie. Gdzie indziej niech znajdą mieszkanie. Nasz miecz, choć w spoczynku ordzały, imże pierwszym oddzieli Łby niespokojne od karków i jakże się uweseli.

Zasady i rozważa nadal kazały Elżbiecie dążyć do osadzenia Marii na tronie, lecz taka polityka byłaby szaleństwem bez uprzedniego przywrócenia równowagi sił w Szkocji, naruszonej przez śmierć Murraya. Na szczęście miała na podporządkowaniu pretekst, gdyż przywódcy rebelii krążyli na pograniczu razem ze stronnikami Marii, wspólnie urządzali wycieczki na stronę angielską i czekali tylko na okazję, by wszcząć nowy bunt. Postanowiła więc dać im porządną nauczkę. Sussex otrzymał rozkaz przeprowadzenia karnej ekspedycji i w kwietniu jego wojska przekroczyły granicę równocześnie ze wschodnich, środkowych i zachodnich hrabstw. Żołnierze mordowali i brali do niewoli, spalili setki wiosek i burzyli zamki. Była to "najzaszczytniejsza wyprawa, jaką kiedykolwiek podjęto przeciw Szkocji z tak niewielką ilością żołnierza, i zakończona tak bezpiecznym powrotem". Chociaż Maitland się zaklinał, że zmusi Elżbietę do podwinienia ogona i skomlenia, udało jej się podnieść na duchu stronnictwo króla Jakuba. Cecil był bardzo zadowolony ze swej pani. No, proszę! Jakże ten leń się zerwał ze swego legowiska!

W dniu 29 kwietnia Elżbieta zwołała swych doradców, by wysłuchać ich zdania. Oświadczyła, że nic jeszcze nie zdecydowała i gotowa jest wybrać najbardziej honorowy sposób postępowania. Cecil i jego zwolennicy, stanowiący większość Rady, uważali, że po - j winna wesprzeć stronnictwo nieletniego króla pieniędzmi i żołnierzami. Jeśli wprowadzi Marię z powrotem na tron, nie będzie pewna swego bezpieczeństwa. Sussex nalegał, by na coś się zdecydowała. Pisał: "Jeśli chcesz stanąć po stronie królowej, to niezwłocznie zajmij się sporem między nią i jej poddanymi... Jeśli po drugiej stronie, to natychmiast przerzuć swe siły na tę szalę. Nie widzę bowiem, jak mogłabyś być pewna jednej lub drugiej, jeśli nadal będziesz zwlekała."

Elżbieta, wciąż jeszcze trzymając się kurczowo swej starej polityki, rozpoczęła negocjacje z Marią. Tym razem warunki miały być surowsze niż kiedykolwiek dotąd, co świadczyło o pogłębiającej się nieufności. Nieletni Jakub, wydany jako zakładnik, miał wychowywać się w Anglii. W czerwcu ambasador Marii doręczył Elżbiecie prezenty od swej pani, między innymi kałamarz lub szkatułkę z przyborami do pisania i wygrawerowaną dewizą, której obie królowe używały w dawnych czasach przyjaźni. Przyjmując dar Elżbieta

powiedziała ambasadorowi: "Daj Boże, panie biskupie Ross, by wszystko było tak jak wówczas, gdy tę dewizę wspólnie układałyśmy."

Po wstępnych krokach Elżbieta postanowiła wysłać do Marii dwóch swych doradców celem ustalenia faktycznych warunków układu. Z właściwą sobie mądrością wybrała Cecila i jednego z jego zwolenników, a nie Leicestera czy któregoś z członków Rady przychylnych Marii. Cecil "znalazł się w labiryncie". "Bóg niech będzie naszym przewodnikiem, bo zadanie nie odpowiada żadnemu z nas." W rozmowach z Marią targowano się o warunki. Ona proponowała, by w klauzuli zobowiązującej ją do zrzeczenia się roszczeń do tronu angielskiego na rzecz Elżbiety i jej potomstwa słowo "potomstwo" zastąpić słowami "prawowite potomstwo". Elżbieta parsknęła. "Czyżby przypadkowo nie oceniała skłonności innych według swoich uczynków?" - zapytała Cecila, ale poszła na kompromis i pozwoliła, by słowo "małżonek" poprzedzić słowem "prawowity", ponieważ zdawała sobie sprawę, że można w dobrej wierze poślubić kogoś potajemnie już zaręczonego z inną osobą. Odplaciła jednak Marii pięknym za nadobne poprzedzając jej tytuł do sukcesji słowem "rzekomy". Cecil był przekonany, że Maria ustąpi w tych dwóch lub trzech punktach, co do których jeszcze istniała różnica zdań.

Pod koniec października rozmowy doszły do takiego stadium, że można było ściągnąć delegatów obu arystokratycznych stronnictw szkockich, Marii i króla. W tym właśnie punkcie utknęły rozmowy w roku 1569 i Elżbieta, dodając odwagi partii króla, znowu zaryzykowała impas. Ale było to ryzyko nieuniknione. W lutym 1571 przybyli przedstawiciele króla i podobnie jak w 1569 roku okazało się, że są stanowczo przeciwni restauracji Marii. Ich opór doprowadził do generalnej batalii w Radzie angielskiej. Tym razem Elżbieta była zdecydowana postawić na swoim. Chciała, by sprawę załatwiono bez dalszych przeszkód ze strony Cecila i jego "braci w Chrystusie". Przedstawicielom króla nie pozostawało nic innego, jak wyłożyć ostatnią kartą na stół. Oświadczyli, że nie są upoważnieni do zawarcia układu, i w ten sposób zmusili Elżbietę, by odroczyła rokowania do maja, kiedy oni zwołają parlament.

Gdyby Maria była mniej porywcza i bardziej cierpliwa, gdyby się zastanowiła nad lekcjami przeszłości, gdyby nie przepadała za intrygami i nie kłamała bez zmrużenia powieki, gdyby wystarczała jej jedna cięciwa w łuku, krótko mówiąc, gdyby uczciwie podchodziła do negocjacji, wówczas nie ulega wątpliwości, że Elżbieta przywróciłaby jej władzę. Być może ograniczoną, ale znalazłaby się na wolności i byłaby królową. Ona jednak nie zaprzestała intryg, tu, ówdzie i wszędzie. Hiszpanom szeptała do ucha jedno, coś wręcz przeciwnego Francuzom. Pisała listy miłosne do Norfolka i w każdej chwili gotowa była pisać je do księcia andegaweńskiego i austriackiego Don Juana. Posyłała angielskim rebeliantom słowa zachęty,

planowała ucieczkę, organizowała olbrzymi spisek mający na celu zrzucenie Elżbiety z tronu. W roku 1569 pertraktacje w sprawie ponownego osadzenia jej na tronie ugrzęzły w miejscu, gdy wyszły na jaw intrygi związane z planem poślubienia Norfolka; w latach 1570-1571 negocjacje zniweczył spisek Ridolfiego.

Ridolfi był florenckim bankierem, jednym z tych "wszawych" Włochów, którzy mieszkali i robili interesy w Londynie. Papież potajemnie korzystał z jego usług. Do niego wysyłano egzemplarze bulli papieskiej. Pod płaszczykiem interesów mógł swobodnie komunikować się z ambasadorem hiszpańskim, biskupem Ross i innymi. Podobnie jak ambasador, był namiętnym i pomylnym intrygantem. Z dziecinną wręcz lekkomyślnością wpisywał na listę potencjalnych rebeliantów każde znaczniejsze nazwisko i naiwnie kalkulował, ilu ci lordowie mają zwolenników. Idealniejszych organizatorów spisku na papierze niż Ridolfi i jego przyjaciele nie znalazłaby Maria na całym świecie. Ridolfi przesłał próbkę swego rękodziela papieżowi we wrześniu 1570: wystarczy chuchnąć i śladu nie będzie po tronie Elżbiety! Papież był zachwycony. Napisał do Marii, że weźmie ją i jej sojuszników pod swe skrzydła jak kwoka kurczęta. Wszyscy, którzy przyłączą się do rebelii, otrzymają dispensę.

Księżę Norfolk, namawiany przez Marię i wciągany przez Ridolfiego, z pewnymi oporami przystąpił do spisku. W sierpniu 1570, dzięki powszechnej sympatii, jaką cieszył się na dworze, uwięzienie w Tower zamieniono mu na areszt domowy. Podwójnie był zobowiązany do zerwania z dotychczasową działalnością: po pierwsze, nakazywała mu to przed rokiem Elżbieta; po drugie, latem 1570 zobowiązał się pisemnie, odwołując się do złożonej przysięgi na wierność królowej, że już nigdy więcej nie przyłoży ręki do planu małżeństwa ani jakiegokolwiek innego projektu związanego z osobą Marii. Ale jego najbardziej uroczyste przyrzeczenia niewarte były papieru, na którym zostały napisane. Przed podpisaniem przesłał swą deklarację lojalności Marii do aprobaty. Nadal korespondował z nią i wymieniał prezenty. Pożyczał jej pieniądze, służył radą w planowanej ucieczce i nawet w sprawach układu o jej restaurację, zalecając, by odrzuciła niektóre żądania Elżbiety. I wszystko to mimo iż złożył ślubowanie jako doradca Elżbiety! Przekleństwem tego słabego człowieka była godność jedyne księcia Anglii: ambicja przesłaniała mu rzeczywistość, chwiejność nie pozwoliła się wycofać, zanim ugrzązł po szyję w zdradzie stanu.

Tak oto się przedstawiał spisek Ridolfiego po dyskusjach z ambasadorem hiszpańskim i zwolennikami Marii: od księcia Alba zażąda się przysłania sześciotysięcznej alboi jeszcze lepiej, dziesięcioletniej armii oraz pieniędzy i broni dla angielskich powstańców. Wylądują oni w Harwich lub Portsmouth i pomaszerują na Londyn, a wtedy powstanie

Norfolk ze swymi arystokratycznymi i gołymi przyjaciółmi. Norfolk miał ruszyć prosto do Marii lub porwać Elżbietę i trzymać ją jako zakładniczkę celem zagwarantowania bezpieczeństwa Marii. Religia katolicka zostanie przywrócona i oczywiście Maria z Norfolkem będą rządili zarówno w Anglii, jak i w Szkocji.

Pod koniec marca 1571 roku Ridolfi wyjechał, by zobaczyć się z księciem Alba, z papieżem i Filipem II. Cały jego plan został przedstawiony w długich instrukcjach Marii dla Norfolka, które Ridolfi sam pisał. Harwich umiejscowił w hrabstwie Norfolk! Książę z pewnością znał treść tych instrukcji i je aprobował. Ponadto były jeszcze listy uwierzytelniające. W tym przypadku książę raz jeszcze zachował się ostrożnie i odmówił podpisania listów, choć zgodził się, by jego sługa udał się z ambasadorem Marii biskupem Ross do ambasadora hiszpańskiego i je autoryzował. Ridolfi najpierw spotkał się z księciem Alba. Alba - żołnierz i realista, pisał do Filipa, że jeśli Norfolk ze swymi przyjaciółmi powstanie i utrzyma się przez czterdzieści dni, wówczas dopiero wysłanie wojsk będzie miało sens i tak właśnie on postąpi; wcześniej - jak o to prosił Ridolfi - byłoby to szaleństwem. Nie ukrywał pogardy dla Ridolfiego i oceniając go właściwie przestrzegwał Filipa, że jest to niebezpieczny gaduła. W Rzymie i Madrycie powiodło się Ridolfiemu lepiej. Tam oczarował wszystkich planem, który wzbogacił jeszcze w swej bujnej wyobraźni o ewentualne zgładzenie Elżbiety.

Ridolfi rzeczywiście nie potrafił utrzymać języka za zębami. Po spotkaniu z Albą natychmiast napisał do swych przyjaciół w Anglii, w tym i do Norfolka, i jeszcze jednego arystokraty, że wszystko poszło jak z płatka. Mógł sobie darować to posłanie, tym bardziej że rząd angielski miał szpiegów wśród emigrantów w Niderlandach. Doręczyciela pisma, służę biskupa Ross, aresztowano po wylądowaniu w Dover. Przychylny Norfolкови, szlachetny urzędnik, który go przetrzymał, bezwiednie osłonił przestępstwo, bo w chwili osłabionej czujności dopuścił do usunięcia kompromitujących listów i do wysłania ich biskupowi Ross. Ale Cecil, obecnie już lord Burghley, zamknął posłańca w więzieniu i przystawił mu szpiega” który podjął się roli pośrednika w tajnej korespondencji między więźniem i biskupem Ross. W ten sposób Burghley dowiedział się o wszystkim. Nie do końca jednak. Listy Ridolfiego były szyfrowane i adresowane do”30” i”40”. Wykrył, że chodzi o dwóch arystokratów, lecz nie umiał ustalić ich nazwisk.

Szczęśliwy przypadek pomógł znaleźć klucz do zagadki. Pod koniec sierpnia Norfolk podjął się przekazać stronnikom Marii w Szkocji 600 funtów od ambasadora francuskiego. Namówiono jakiegoś kupca z Shrewsbury, by doręczył te pieniądze agentowi Norfolka w północnej Anglii, ale waga torby, nie zgadzająca się z tym, co mu powiedziano, wzbudziła w

kupcu podejrzenia, wobec czego przekazał torbę władzom. Aresztowano służących Norfolka. Wyniki przesłuchania oraz znalezienie szyfru ukrytego na dachu domu i listów schowanych w innych miejscach umożliwiły Burghleyowi nie tylko wykrycie całego spisku, lecz i zdobycie wielu informacji o tym, co się działo w ostatnich dwóch latach. Ponieważ się okazało, że ambasador hiszpański we wszystkim macza palce, położono niesławny kres jego ustawicznym knowaniom i nieznośnej arogancji. Został wezwany przed Radę, wyliczono mu wszystkie grzechy i nakazano natychmiast opuścić kraj, ponieważ królowa nie ścierpi już dłużej jego obecności. Opuścił Anglię na początku stycznia 1572 roku nie budząc współczucia u księcia Alba.

Szesnastego stycznia książe Norfolk stanął przed parami Anglii w Westminsterze oskarżony o zdradę główną. Oskarżenie zawierało wiele punktów, było obficie udokumentowane, zaś księciu niezwykle liberalnie pozwolono się wypowiadać, toteż rozprawa trwała od ósmej rano do ósmej wieczór, "czego dotąd jeszcze nigdy nie widziano". Po udowodnieniu księciu winy zwrócono topór ostrzem w jego stronę i Lord Wielki Marszałek odczytał straszliwy wyrok ogłaszający go zdrajcą.

Książe cieszył się sympatią. Był pierwszym arystokratą w królestwie, a ponieważ pod wyjątkowo miłosierdnymi rządami Elżbiety jeszcze żaden lord nie stanął na szafocie, los jego budził tym większe współczucie. Dwóch trochę komicznych straceńców zamierzało nawet zabić Burghleya i królową, by go ratować. Mimo to Elżbieta wzdragała się przed podpisaniem nakazu egzekucji; doznała zbyt wielkiego wstrząsu, by mogła myśleć tylko o własnym bezpieczeństwie. Egzekucja miała się odbyć 21 stycznia. Została odroczone. Burghley pisał: "Jej Miłość zawsze była litościwa, lecz. choć litością więcej sobie szkody wyrządziła niż sprawiedliwością, nadal uważa, że im bardziej sobie szkodzi, tym bardziej jest kochana. Niech Bóg dla swej chwały zachowa ją jeszcze długo między nami." Zdarzało się, co prawda, że pamiętając o własnym bezpieczeństwie gotowa była zadośćuczynić sprawiedliwości, ale kiedy indziej, gdy myślała o Norfolku jako o swym krewnym, człowieku tak wysoką piastującym godność, ogarniały ją wątpliwości. Pewnej soboty na początku lutego podpisała nakaz egzekucji wyznaczonej na poniedziałek. Nagle w niedzielę, pośrodku nocy, zdjęta straszliwym niepokojem, wezwała Burghleya i zażądała natychmiastowego przełożenia terminu. "Niech się dzieje wola Boga - pisał - i niech On ma w swej opiece Jej Królewską Mość i sprawi, by wyszło jej to na dobre." Martwili się również przyjaciele Burghleya. Hunsdona zdumiewała beztroska królowej. "Cały świat" wie, że jest mądra, a trudno o coś mądrzejszego jak troska o własne dobro, nade wszystko zaś o własne życie. O ileż bardziej musi się pilnować Jej Królewska Mość, bowiem od jej życia zależą losy państwa, pomyślność

kraju i utrzymanie wiary. I gdyby przez zaniedbanie lub z kobiecej litości wszystko to było zagrożone, ona jedna tylko wie, co odpowie Bogu.” Pod koniec lutego zapadła ponowna decyzja, znów odwołana. Dziewiątego kwietnia królowa podpisała kolejny nakaz egzekucji. Jedenastego, o drugiej nad ranem, przesłała Burghleyowi własnoręczną notatkę, że tylna część głowy, siedlisko uczuć, nie ufa przedniej. Egzekucję należy odwołać. Wzdragala się przed śmiertelnym ciosem.

Oczywiście w następstwie spisku zmienił się stosunek Elżbiety do Marii. Posłańca Ridolfiego aresztowano tuż po tym, jak Elżbieta odesłała do kraju komisarzy szkockich po zgodę na przywrócenie korony Marii. Pertraktacje zostały zawieszono, a po ujawnieniu rozmiarów spisku Elżbieta zmieniła dotychczasową politykę. Oświadczyła, że już nigdy nie będzie rozmawiała o przywróceniu tronu Marii, ani jej samej, ani pospołu z synem, że nigdy więcej nie dopuści do tego, by Maria miała swobodę działania i mogła podejmować takie kroki przeciw niej. Tak więc Elżbieta stopniowo rozstawała się z teorią polityczną głoszoną przez jej uczonych współwyznawców, teorią, która swój najpełniejszy wyraz znalazła w zadziwiającym kazaniu wygłoszonym niedawno przez jednego ze zwolenników Marii, biskupa Galloway:”Grzesznikiem był święty Dawid i tak samo ona jest grzesznicą. Cudzołożył święty Dawid i tak samo ona. Święty Dawid zgładził Uriasza, by zdobyć jego żonę, i tak postąpiła ona... Nie wątpię, iż uważacie, że żaden poddany niżej stojący nie jest władny złożyć z urzędu prawowitych urzędników, choćby winni byli rozpusty, morderstwa, kazirodztwa czy jakiegokolwiek innego przestępstwa.”

Dotąd Elżbieta miała zawsze na uwadze honor Marii, w każdym razie chętnie o tym mówiła, i nie bez uzasadnienia. Po dochodzeniach westminsterskich 1568 roku powstrzymała się od wszelkich wypowiedzi przeciw Marii i nie podała do wiadomości publicznej zarzutów i dowodów przedstawionych przez Murraya. Miała zamiar przywrócić Marii tron i nie chciała publicznie jej zniesławiać. Bodaj najdobitniej o tej zmianie, jaka zaszła w jej uczuciach po spisku Ridolfiego, świadczy to, że pozwoliła teraz Burghleyowi opublikować zangielszczone szkockie i łacińskie tłumaczenie *Detectio Buchanana*, pamfletu relacjonującego historię Marii, Darnleya i Bothwella w wersji rozgłaszanej przez Murraya i jego stronników, z załączonymi do broszury”*Listami ze szkatułki*”.

Elżbieta powiadomiła stronnictwo Marii w Szkocji o tym, że zmienia politykę, by raz na zawsze zrezygnowało z nadziei na powrót Marii. Równocześnie zajęła się przywróceniem Szkocji pokoju i zgody narodowej, próbując doprowadzić do uznania króla i regenta oraz zaniechania dawnych sporów. Okazało się, że jest to zadanie beznadziejne. Maria i Jakub byli przecież tylko symbolami krwawych niesnasek osobistych i rodowych. Burghley ze swymi

przyjaciółmi opowiadał się za przyśpieszeniem pokoju przy użyciu siły przeciw stronnictwu Marii, lecz Elżbieta z sobie jedynie wiadomych powodów wołała me kończąca się, lecz pokojową drogę rokowań.

Początkowo Maria bała się o swe życie. Trzymano ją pod ścisłą strażą i zwolniono wielu z jej sług. Kiedy się okazało, że śmierć nie nadchodzi, odzyskała tupet i znów zaczęła przemawiać tonem osoby niewinnej, pełnej dobrej woli, niesłusznie skrzywdzonej i bardzo źle potraktowanej. Wystosowała do Elżbiety serię listów uwieńczonych posłaniem pełnym słów "niestosownych, tchnących irytacją, żalem i mściwością". Elżbieta odpowiedziała dopiero po otrzymaniu ostatniego listu i równocześnie wręczyła hrabiemu Shrewsbury długi memoriał, który miał odczytać Marii, zawierający szczegółowy opis zachowania się Elżbiety i Marii. Nie owijała rzeczy w bawelnę. Ale był to tylko jej punkt widzenia. Maria odpowiedziała jeszcze obszerniejszym posłaniem, bardzo zgryźliwym i zawierającym wiele celnych strzał. Rękawice zostały rzucone.

Mało jednak było szans na to, że osoba, która wzdragała się przed straceniem Norfolka, zdecyduje się na zlikwidowanie Marii. Podobnie jak los Elżbiety za panowania jej siostry, tak i los Marii zależał od opinii publicznej; i to nie tylko opinii garstki arystokratów, których nazwiska dumnie brzmiały na liście uczestników spisku, choć były w rzeczywistości miedzią brzęczącą, lecz nade wszystko tych, którzy - pozbawieni widocznego wpływu na rządy - dominowali w Izbie Gmin.

Zwołany na wiosnę 1571 parlament miał orzec utratę praw przywódców północnej rebelii, uchwalić fundusze na jej stłumienie oraz podjąć wiele uchwał, między innymi zatwierdzić nową ustawę o zdradzie głównej w związku z zaistniałymi niebezpieczeństwami. Znamienny był stosunek tego parlamentu do Marii. Zasiadał w nim chociażby Thomas Norton, który przed kilku laty współpracował przy pisaniu znanej tragedii Gorboduc. Piąty akt sztuki, będący właściwie traktatem na aktualny temat sukcesji, w niedwuznaczny sposób atakował roszczenia Marii. Kiedy rząd przedstawił projekt ustawy o zdradzie, Norton wystąpił z własnym projektem w którym - nie wymieniając Marii po imieniu - bardzo przekonująco odmawiał jej oraz jej spadkobiercom tytułu do sukcesji. Norton przewidywał, że Elżbieta założy weto, jeśli będzie mogła, aby więc temu zapobiec, zaproponował dołączenie projektu do projektu rządowego. Członkowie Rady na wszelki sposób starali się mu przeszkodzić, zwalczając projekt na każdym etapie procedury parlamentarnej, w czym wspierali ich przyjaciele Marii. Ponieśli jednak porażkę i dopiero w bardziej ustępliwej Izbie Lordów, gdzie Maria miała licznych przyjaciół, udało im się stępić ostrze ustawy.



Takie oto nastroje panowały w Izbie Gmin przed odkryciem spisku Ridolfiego; czego więc można było się spodziewać po nowym parlamencie, który zebrał się po spisku, w maju 1572? Przedsmak tego, co miało nastąpić, dawały słowa nowego przewodniczącego Izby Gmin: "W wielu głowach zalał się przesąd, jakoby była w naszym kraju taka osoba, której żadne prawo nie może osiągnąć." Głównym zadaniem tej sesji było zapewnienie bezpieczeństwa królowej, a członkowie parlamentu mieli jeszcze w uszach łaskawe słowa Elżbiety, wysławiane przez przewodniczącego pod niebiosa, o tym, że pragnie ona podwoić, potroić, ba, czterokrotnie pomnożyć dobrodziejstwa swego panowania, gdy wysłuchiwali opowieści o nieprawościach Marii, poczynając od zgłoszenia przez nią w latach 1558-1559 roszczeń do tronu angielskiego po spisek Ridolfiego. Relacja była bardzo długa, znacznie przekroczyła czas wyznaczony na posiedzenie, wobec czego debatę przełożono na dzień następny. Pierwszy mówca - przodujący wiekiem, choć jak skromnie oświadczył, ustępujący wiedzą i rozumem wszystkim w tym gronie - stwierdził, że po wczorajszej opowieści boi się zasnąć, póki nie zostaną podjęte jakieś kroki. Maria zabiła męża, cudzołożyła, jest pospolitym mącicielem porządku. Radzi więc "uciąć jej głowę bez żadnych ceregieli". Następny mówca domagał się, by uciąć również głowę księciu. Trzeci oświadczył, że Maria "była już ostrzeżona i dlatego następnym ostrzeżeniem musi być topór". "Czyżbyśmy uważali, że nasze prawa nie stanowią o takim występku? Jeśli tak, to są one w najwyższym stopniu niezadowolające."

Wyznaczono komisję, która wspólnie z komisją Izby Lordów miała znaleźć rozwiązanie. Jednak Izba Gmin nadal głośno domagała się głowy Marii i Norfolka. Norton wygłosił długą mowę. Wyjaśnił swym słuchaczom, że jeśli Norfolk nie zostanie stracony, nie będą mogli stracić Marii. Elżbieta próżno się łudzi, że może zaufać księciu Norfolk. "Okazano mu miłosierdzie i nic dobrego z tego nie wyszło. Nie dotrzymał deklaracji wierności, pisemnych zobowiązań, przysięgi. Nic nie dały ostrzeżenia i okazywana mu wzgarda." Któż ośmielił się ujawnić zdradę, jeśli zdrajcy pozostaną przy życiu i mścić się będą na tych, którzy ich zdradę ujawnili? Egzekucja Marii "jest koniecznością i może być dopełniona w zgodzie z prawem". "Nikommu nigdy nie przyznano generalnie prawa popełnienia zdrady bezkarnie." Niepohamowany Peter Wentworth w tym lub innym dniu oświadczył, że Maria jest najsłynniejszą ładacnicą świata.

Komisja wróciła z narady i oznajmiła, że istnieją dwa sposoby postępowania: albo pozbawić Marię praw za dopuszczenie się zdrady głównej, albo pozbawić ją prawa sukcesji, postanawiając równocześnie, że znajdzie się poza prawem, jeśli kiedykolwiek wznowi knowania przeciw Elżbiecie. Izba Gmin wybrała pierwszy wariant; tak samo postąpili

Lordowie. Elżbieta interweniowała i oznajmiła, że woli drugi wariant, ponieważ honor nie pozwala jej pozbawić Marii praw bez uprzedniego zażądania od niej odpowiedzi na stawiane zarzuty, zaś odłożenie sesji do czasu, gdy komisje obu Izb powrócą po jej wysłuchaniu, byłoby zbyt kosztowne dla członków parlamentu i przy tym niebezpieczne, ponieważ zbliża się lato i zaraza. Członkowie Izby Gmin odpowiedzieli na to, że ich koszta i bezpieczeństwo są niczym w porównaniu z bezpieczeństwem królowej, po czym jednomyślnie i jednogłośnie postanowili przyjąć pierwszy wariant, jako że drugi Izbie nie odpowiadał. Lordowie poszli za przykładem Izby Gmin. Posłowie uzbroili się w odpowiednie precedensy, teksty i argumenty zaczerpnięte z wszelkich możliwych źródeł mądrości i powagi, z Biblii, prawa i historii.

Synod ustami biskupów przedstawił królowej mnóstwo nabożnych argumentów.”Była królowa Szkocji nagromadziła wszystkie grzechy wszetecznych synów Dawidowych - cudzołóstwa, morderstwa, spiski, zdrady i bluźnierstwa przeciw Bogu.” Mieli nadzieję, że jako duchowni doradcy poruszą sumienie Elżbiety i nakłonią ją do posłania Marii na szafot. Natomiast obie Izby przemawiały do rozsądku. Wystosowały przekonującą i nieodpartą petycję. Doceniały uczucia Elżbiety i to, że jej zdaniem Maria znalazła się w jej rękach uciekając przed przemocą i jak ptak ścigany przez jastrzębia padła do jej stóp; że kieruje się względami honoru wobec siostry i królowej z urodzenia, ale niech pamięta, że”groźne słowa prawa” w żaden sposób nie powstrzymają Marii od snucia dalszych złośliwych planów obalenia ich królowej i nie będą przeszkodą dla wspierających ją zdrajców, albowiem”ci, którzy nie ruszą się w drobnych sprawach, gotowi będą wypłynąć na najgłębsze wody, gdy chodzi o koronę, licząc na wielkie nagrody za oddane usługi”. Posłowie określali swą petycję jako wołanie i lament do Boga wszystkich prawych poddanych przeciw miłosiernej naturze ich królowej.

Dwudziestego ósmego maja o ósmej rano Elżbieta przyjęła połączoną komisję obu Izb. Nie zachowała się żadna relacja o jej mowie, musiała jednak być niezwykła, łącząca kunszt oratorski z rozsądkiem i taktem, bo choć odrzucała petycję, bardzo okrutnie ich rozczarowując, uczyniła to w słowach świadczących o tak rzewnej wdzięczności, iż dwóch członków Izby Gmin wystąpiło z wnioskiem o złożenie królowej podziękowania za to, że ma tak dobre zdanie o swym parlamencie. Peter Wentworth zabrał głos i oświadczył, że królowa nie zasługuje na podziękowanie.

Izba Gmin przeżywała ciężkie chwile, rozdierana sprzecznymi uczuciami: wielką miłością do swej królowej i żywiołową nienawiścią do jej wrogów. Skoro nie mogą mieć głowy królowej szkockiej, owego”straszliwego i olbrzymiego smoka”, to nie ustąpią, póki nie otrzymają głowy”ryczącego lwa”, księcia Norfolk. Nie można było ich przekonać, by

poczekali kilka dni i pozwolili Elżbiecie działać nie pod przymusem. Musiano im rzucić kogoś na pożarcie i 2 czerwca wyprowadzono Norfolka na Tower Hill, by odcierpieć za swoje grzechy. Zginął odważnie, okazując skruchę, choć do końca kłamał w nadziei, że uratuje życie. Miał wiele zalet. Mało jest dokumentów równie wzruszających jak czuły list pożegnalny, który napisał do swych dzieci. Tak oto zginął jedyny książę Anglii, pierwszy za tego panowania stracony arystokrata. Przez cały dzień egzekucji Elżbieta była pogrążona w smutku.

Maria też straciłaby życie, gdyby nie litość Elżbiety i jej żelazna wola. Ambasador francuski bez przerwy wstawiał się za Marią, lecz z Paryża ambasador angielski donosił swej pani, że Karol IX troszczy się o Marię wyłącznie z obawy, iż jeśli pozostanie przy życiu, to pewnego dnia zasiądzie na tronie angielskim i sprzymierzy się z Hiszpanią. Jeśli zaś zginie, to król francuski będzie co prawda oburzony, ale w głębi serca się ucieszy. Kiedy Karolowi opowiedziano o spisku, zawołał: "Ach! Ta nieszczęsna głupia kobieta nie uspokoi się, póki nie straci głowy! A jestem pewny, że ją straci z własnej głupoty i winy, i na to nie widzę lekarstwa

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Elżbieta mogła posłać Marię na szafot nie obawiając się żadnych konsekwencji, i jest rzeczą równie pewną, że parlament i doradcy królowej słusznie uważali to za najlepszy i najprostszy sposób zapewnienia bezpieczeństwa Elżbiety i spokoju państwa. Najpotężniejszy władca mógłby pozwolić, by skrupuły wrażliwego sumienia ustąpiły miejsca tak sensownym argumentom pod silnym naciskiem ze strony poddanych i mężów stanu. Elżbieta nie mogła i nie chciała.

Parlament, któremu uniemożliwiono wybór pierwszego wariantu, zabrał się z ponurymi minami do urzeczywistniania drugiego, a był to wariant bardzo drastyczny. Uchwała parlamentu wyliczała przewinienia Marii i wzywała Elżbietę, by nie na próżno władała mieczem sprawiedliwości, lecz odtąd, gdy zajdzie potrzeba, karała winowajczynię, tak - jak ona na to zasłuży. Pozbawiała Marię wymaganego tytułu i prawa do tronu angielskiego, stwierdzała, że występowanie z takimi roszczeniami równoznaczne jest ze zdradą stanu, i ustanawiała, że jeśli Maria znowu będzie spiskowała przeciw królowej, wówczas sądzić ją będą parowie Anglii. Ponadto czyniła Marię odpowiedzialną za wszelkie spiski na jej rzecz i uprawomocniła samosąd w takim przypadku. Co najmniej jeden członek parlamentu miał do tej ostatniej klauzuli zastrzeżenia. Być może została zmodyfikowana, choć jest to raczej rzeczą wątpliwą; nie wiemy.

Obie Izby uchwaliły ustawę jako łagodniejszy wariant tylko dlatego, że nie chciały urazić uczuć Elżbiety, mimo to w ostatnim dniu sesji, zamiast ją aprobować, królowa założyła

weto. Pragnąc uspokoić wzburzone umysły, dodała do licznych łaskawych słów prośbę, by jej weto, sformułowane w tradycyjnej formie *La royne s'avisera*, rozumiano dosłownie; królowa nie aprobuje i nie odrzuca. Cóż to jednak była za pociecha? Członkowie parlamentu przekonali się, że Elżbieta nie potrafi się zdobyć nawet na taki krok wobec Marii. "Straszliwy i olbrzymi smok" nadal był nietykalny.

## ***Rozdział trzynasty***

Wściekłość parlamentu na królową szkocką Marię była poniekąd wyrazem sentymentów protestanckich, lecz również szczerym hołdem złożonym popularności Elżbiety. Jak żaden inny władca umiała ona zabiegać o względy ludu; żadna aktorka nie mogła jej dorównać w kunszcie wzruszania widzów, nie potrafiła tak wielkiej budzić miłości i podziwu. Z wyjątkiem krótkich epizodów, takich jak z Dudleyem, liczyła się zawsze z sympatią poddanych, początkowo, mając na uwadze sztukę rządzenia, później z głębokiej emocjonalnej potrzeby.

Okazji pokazywania się ludowi miała wiele, bowiem dwór był stale w drodze. Niemal co roku, przenosząc się rzeką lub lądem z jednego pałacu do drugiego, podróżując ze swoją świtą między rezydencjami w Greenwich, Whitehall, Richmond, Hampton Court i Windsor, odwiedzając inne domy królewskie lub prywatne w okolicach Londynu, pojawiała się często przed swoimi poddanymi na podobieństwo jakiejś bardzo ludzkiej i przystępnej bogini. W Londynie miała swe doroczne jesienne widowisko, kiedy dwór wracał do Whitehall, gdzie zazwyczaj świętowano Boże Narodzenie. Powrót dworu stał się uroczystą ceremonią, podczas której burmistrz, rajcowie i obywatele w swych bogatych ubiorach witali wspaniałą procesję królewską i swą monarchinię powracającą do miasta, wymieniając powitania: "Niech Bóg chroni Waszą Miłość!", "Niech Bóg chroni mój lud!" W roku 1570, po rebelii pomocnej, dzień 17 listopada, rocznicę wstąpienia Elżbiety na tron, czczoną biciem w dzwony, uznano za święto i dzień narodowego dziękczynienia i do końca panowania królowej pozostał jednym z najważniejszych dni roku. Za czasów Jakuba I, kiedy imię Elżbiety zaczęło symbolizować szczyt wielkości Anglii, wznowiono obchodzenie tej rocznicy, przez dalsze sto lat budzącej żywe uczucia; echa jej przetrwały jeszcze przez następne stulecie. Był to dzień, w którym młodzi dworzanie popisywali się przed tysiącami widzów swą dzielnością i umiejętnością władania kopią na dziedzińcu turniejowym w Westminsterze. Te wystawne i pełne fantazji turnieje należały do programu ich romantycznego flirtu z królową. Potem zaczynały się

przygotowania do sztuk teatralnych i maskarad wieńczących dwunastodniowy karnawał po Bożym Narodzeniu.

Oczywiście lwią część łask królowej zagarniali londyńczycy; czarowała ich nieustannie, bowiem posiadanie tego klucza do królestwa stanowiło sekret władzy. Dla tych jednak, którzy nie mogli przybyć do miasta lub na dwór, pozostawały doroczne królewskie przejazdy. Były to letnie wakacje królowej, kiedy łącząc przyjemne z pożytecznym zabierała cały dwór na jedno - lub dwumiesięczne przejażdżki po kraju. Po drodze zatrzymywano się w tej czy innej z wielkich rezydencji królewskich lub korzystano z zawsze chętnie udzielanej gościny ziemiaństwa czy miast. Elżbieta przepadała za tymi podróżami; zaspokajały jej naturalną potrzebę działania oraz zmiany atmosfery i otoczenia i równocześnie stwarzały pole do popisania się niezwykłym talentem podbijania serc poddanych. Nie dawały wytchnienia od obowiązków spoczywających na królowej, ale jej nie o to przecież chodziło, praca była bowiem dla niej najprawdziwszym życiem i nigdy chyba nie czuła się nią znudzona.

Urzędnicy mniej mieli powodów do zachwytu. Przejazdy wymagały straszliwych przygotowań. W drogę wyruszał cały personel dworu królewskiego oraz setki wozów z bagażami, w tym również z wyposażeniem dla pustych domów, które często trzeba było dopiero przygotować dla gościa. Przy kiepskiej pogodzie jazda po złych drogach w ślad za taką strażą przednią nie należała do przyjemności. W ciągu jednego dnia uroczysta procesja przebywała najwyżej dziesięć do dwunastu mil. Często brakowało odpowiedniego pomieszczenia dla całej świty królewskiej. Elżbieta zaś z upływem czasu coraz chętniej zmieniała decyzję w ostatniej minucie. Skarg było wiele i starano się wykorzystać każdy pretekst, byle zatrzymać przejazd, ale rzadko to się udawało. W roku 1571, w najkrytyczniejszych chwilach spisku Ridolfiego, Rada uznała, że podróż należy odwołać ze względu na osobiste bezpieczeństwo królowej. Elżbieta się nie zgodziła. Do ostatniego roku życia zachowała ten zwyczaj, a kiedy dwa lata wcześniej dworzanie utyskiwali na

„długi przejazd”, ona, wówczas w sześćdziesiątym siódmym roku życia, zaproponowała, by „starzy zostali w domu, zaś młodzi i zdrowi jej towarzyszyli”.

Królowa jechała konno albo w otwartym powozie, by mogły ją oglądać tłumy ściągające z okolic i wyczekujące wzdłuż drogi. Na granicy hrabstwa witali ją szeryf i miejscowi panowie, którzy później pełnili przy niej służbę przez cały czas trwania wizyty. Z okazji jednej z wizyt w hrabstwach Suffolk i Norfolk ziemiaństwo Suffolk wykupiło cały aksamit i jedwab, jaki można było dostać, nie bacząc na cenę, podczas powitania królowej szeryf miał przy sobie dwustu młodzieńców w białych aksamitnych strojach, trzystu „poważniejszych” w czarnych aksamitnych płaszczach i pięknych łańcuchach oraz

tysiąc pięciuset giermków dzielnie siedzących na koniach,”co zaiste stanowiło armię godną i piękny widok”. Ziemiaństwo Norfolk nie dało się prześcignąć i”w sposób najokazalszy wystawiło dwa i pół tysiąca konnych”.

Tę niespieszną procesję cechowała niezwykła swoboda i bezceremonialność. Elżbieta raz po raz się zatrzymywała, gdy ktoś się zbliżał, by podać petycję lub powiedzieć kilka słów.”Zatrzymaj swoją furmankę, dobry człowieku, żebyśmy mogli pogadać z królową!” - zawołał sędzia Bendlowes z hrabstwa Huntingdon do królewskiego stangreta,”na co królowa się roześmiała, jakby ją połaskotano... choć bardzo łaskawie, jak to jest w jej zwyczaju, serdecznie mu podziękowała i podała rękę do pocałowania”. A oto jak opisywał przejazd Elżbiety w roku 1568 ambasador hiszpański:”Przyjmowano ją wszędzie z wielką akklamacją i oznakami radości, jak to jest tutaj w zwyczaju; czym była niezwykle uradowana i co mi powiedziała dając do zrozumienia, jak wielką miłością darzą ją poddani i jak bardzo ona to sobie ceni, podkreślając przy tym, że są oni zadowoleni i spokojni, podczas gdy wszyscy jej sąsiedzi mają tak wielkie kłopoty. Przypisywała to cudownej dobroci Bożej. Czasami kazała podejżdżać swej karecie tam, gdzie tłum był największy, wstawała i dziękowała ludziom.”

Każde miasto, które miała odwiedzić, czyniło wielkie przygotowania:

Zaledwie imię to zadźwiękło, iskrzą się chłopiąt oczy. Bogactwo, nędza, młodość, starość - wszystko się ciżbą tłoczy. I klaszcząc w race, tak wołali: „Piękny nam dzień zaświtał, Gdy naszą Parną z blaskiem, z mocą możemy w Mieście witać.”

Wywożono śmiecie, zamiatano ulice, na domach pojawiały się barwne dekoracje, uczono się na pamięć przemówień, czasami urządzano żywe obrazy, wreszcie, a nie była to bynajmniej rzecz błaha, kupowano srebrny puchar, który wręczano królowej zazwyczaj wypełniony pieniędzmi, od dwudziestu do stu funtów, zależnie od zamożności miasta. Srebrny, podwójnie pozłacany puchar ofiarowany przez Worcester,”najpiękniejszy, jaki udało się znaleźć w Londynie”, wart był 10 funtów 17 szylingów i 2 pency i zawierał czterdzieści funtów w półsuwerenowych monetach. Coventry włożyło do pucharu 100 funtów i Elżbieta”raczyła powiedzieć swym lordom:”Piękny był ten dar stu funtów w złocie; niewiele takich prezentów dostaję.” Na co burmistrz wtrącił odważnie:”Za pozwoleniem Waszej Miłości, puchar zawiera znacznie więcej.”„A co takiego?”, zapytała królowa i usłyszała:”Serca wszystkich twoich kochających poddanych.\*”Zaiste, jest to znacznie więcej, panie burmistrzu, i za to ci dziękujemy\* - brzmiała odpowiedź królowej.”

W Warwick, po mowie powitalnej notariusza miejskiego, Elżbieta powiedziała podając mu rękę do pocałowania:”Podejdz bliżej, mały notariuszu. Mówiono, że będziesz się bał podnieść na mnie oczy i że zabraknie ci odwagi, by do mnie przemówić, ale okazuje się,

że nie bałeś się mnie tak jak ja ciebie, więc dziękuję za to, że mi przypomniałeś o moich obowiązkach.” W Norwich, widząc zdenerwowanie nauczyciela, który miał wygłosić łacińską orację, powiedziała łaskawie:”Nie bój się!”, a po zakończeniu mowy podbiła do reszty jego wierne serce małym kłamstwem:…Najlepsza to mowa, jaką słyszałam. Oto moja ręka”, po czym odjeżdżając posłała jeszcze, by dowiedzieć się jego nazwiska. Podobnie subtelnym pochlebstwem posłużyła się w Sandwich. Małżonki miejskich urzędników przygotowały tam dla królowej bankiet ze stu sześćdziesięciu dań na stole długości dwudziestu ośmiu stóp. Jadła nie poddając potraw próbie lub wstępnemu skosztowaniu, jak to było w zwyczaju, by zapobiec otruciu, lecz ponadto kazała niektóre potrawy odesłać do swojej rezydencji. Dwa nieprześcignione komplementy! Słowa, którymi żegnała Norwich, można uznać za typowe:”Spotkałam się tu z tak wielką życzliwością, że nigdy nie zapomnę Norwich!” Odjeżdżając”potrząsnęła szpicrutą i ze łzami w oczach zawołała:”Żegnaj, Norwich!\*

Elżbieta odwiedziła oba uniwersytety. Dwukrotnie była w Oksfordzie, jeden raz w Cambridge, wysłuchiwała cierpliwie, ba, z przyjemnością długiej rundy łacińskich i greckich przemówień, dysput, kazań i sztuk teatralnych, co musiało być przeraźliwą nudą dla mniej wykształconych dworzan, i pozwoliła się nakłonić do udzielenia odpowiedzi uniwersytetom w ich uczonym stylu. Kiedy jeden z mówców zachwalał jej liczne i niezwykle zalety, skromnie kręciła głowę, przygryzała wargi i palce i przerywała mu protestując, kiedy jednak zaczął sławić jej dziewictwo, zawołała:”Bóg zapłać za dobre serce! O tym mów więcej!” Incydenty niefortunne należały do rzadkości, ale po odwiedzeniu Cambridge w 1564 jacyś szkolarze popędzili za nią do następnego postoju, by przedstawić farsę, której przedtem nie zdążyli odegrać. Okazało się, że była to obraźliwa satyra amtykatolicka. Jeden z aktorów występował w roli biskupa Bonnera, inny zaś przebrany za psa trzymał w pysku hostię. Elżbieta rozgniewana, rzucając kilka mocnych słów, opuściła komnatę, a za nią służący z pochodniami. Farsa skończyła się niesławnie w ciemnościach.

W prywatnych domostwach wizyty Elżbiety były wydarzeniem upragnionym, lecz zarazem napawającym lękiem. Przynosiły wielki zaszczyt, ale obawiano się możliwych komplikacji, a także tego, że okazana gościnność zawiedzie oczekiwania. Na pozór wystarczało oddać dom do dyspozycji królowej; koszt utrzymania i nawet urządzenia wewnątrz pokrywano z wydatków dworu królewskiego, lecz ograniczenie się tylko do tego mogło uchodzić za dowód skąpstwa; raz z pewnością zarzut taki padł, w każdym razie ze strony dworzan. Wiele drobnych epizodów zdaje się świadczyć, że Elżbieta nie życzyła sobie, by mniej zamożni gospodarze wysilali się ponad swoje możliwości, ale ekstrawaganckie przygotowania dociów bogatych lub dworzan prześcigających się w rozrzutności ustanawiały

pewien wzorzec i to właśnie powodowało, że wizyta królewska stawała się bardzo kosztownym honorem. Takie czterodniowe goszczenie królowej w roku 1577 kosztowało sir Nicholasa Bacona 577 funtów; w roku 1591 na dziesięciodniową wizytę królowej lord Burghley wydał ponad 1000 funtów, zaś koszta trzydniowego pobytu u Lorda Strażnika Pieczęci Egertona w 1602 roku wyniosły 2000 funtów.

Niezależnie od problemów związanych z wyżywieniem i goszczeniem królowej i jej świty, gospodarz musiał przygotować prezenty i zadbać o rozrywki, a prezenty bywały często bardzo kosztowne. Kiedy Elżbieta odwiedziła Lorda Strażnika Pieczęci Puckeringa, wręczono jej, gdy zsiadała z konia, piękny wachlarz z rączką wysadzaną brylantami. Nim doszła do domu, podbiegł do niej jeden z domowników i wygłosiwszy specjalnie przygotowaną mowę, podał bukiet kwiatów, w którym ukryty był wspaniały klejnot z brylantowymi pendentami, oceniany na 400 funtów. Po obiedzie otrzymała kolejny prezent, parę pięknych wirginałów, zaś w sypialni zastała śliczną suknię i spódnicę. Ale to jeszcze nie wszystko.”Pragnąc okazać swą łaskę jego lordowskiej mości, wzięła od niego sama solniczkę, łyżkę i widelec, wszystkie z pięknego agatu.” Puckering mógł sobie na taką rozrzutność pozwolić, powszechnie bowiem wiadano, że ciągnie olbrzymie zyski ze swego urzędu.

Najbardziej typowym było przyjęcie w Kenilworth, gdzie Leicester, nie szczędząc swoich pieniędzy i wyobraźni zawodowych wierszopisów, urządził podczas trzytygodniowej wizyty Elżbiety w 1575 roku słynne”zabawy królewskie”. Podobnie, jeśli nawet w mniej wyszukany sposób, zabawiano ją wszędzie. W 1591 roku hrabia Hertford podejmował królową w Elvetham i choć miała tam spędzić jedynie trzy dni, zawczasu zatrudniono trzystu ludzi przy rozbudowie pałacu, stawianiu pawilonów dla świty królowej oraz kopaniu stawu w formie półksiężyca z trzema wyspami przedstawiającymi okręt, fort oraz górę ślimaka. Królową powitał łacińska oracją poeta w zielonym stroju symbolizującym radość, z wieńcem laurowym na głowie i gałązką oliwną w ręce, obuty, co miało świadczyć, że nie jest jednym z”plecących trzy po trzy lub podłego stanu wieszczków”, za jakich mają poetów niektórzy ignoranci. Podczas jego przemówienia sześć dziewic usunęło z drogi królowpi zawady ustawione przez Zawiść, po czym wyprzedzając ją sypały jej pod stopy kwiaty i śpiewały pełną uroku sześciogiosową pieśń. Następnego przedpołudnia angielska pogoda pokrzyżowała plany: padał deszcz. Ale już po południu królowa udała się nad sztuczne jezioro, gdzie wieszczek morza Nereus płynął na czele pięciu Trytonów o”strasznie zmierzwionych fryzurach i brodach w różnych kolorach i kształtach”, którzy brodzili w wodzie i radośnie dęli w rogi. Za Trytonami Neptun i Oceanus ciągnęli łódź, w której siedziały trzy dziewice przygrywające na kornetach, zaś nimfa Neaera i trzej śpiewacy



wtórowali jako echo z dwóch innych łodzi, na końcu zaś płynęły dwa klejnoty dla królowej. Na dany znak z lasu wyszedł Silvanus z towarzyszami, by wygłosić jeszcze jedną orację i zabawić królową. Następnego ranka, kiedy królowa otworzyła okno, powitało ją trzech muzyków w starodawnych strojach wieśniaczych, którzy odśpiewali piękną pieśń o Korydonie i Filidzie:

B logi maj się iskrzył wokół. Wiośnie dzień się wyklul z mroków. Szedłem ścieżką skrajem boru - Maj się barwił w sto kolorów. Tamem ujrział samodwoje: Filis z Korydonem swoim. Boże, zmiłuj się tej klęsce: On chce kochać, ona nie chce.

Wieczorem puszczano ogień sztuczny z trzech wysp na jeziorze.”Najpierw rozległ się huk stu moździerzy z góryślimaka; odpowiedziała im salwa z wyspyokrętu, wsparta salwą z dział. Potem był zamek z ognia sztucznych wystrzelonych w forcie, na co repliką była wystrzelona z góryślimaka kula ziemską wielkości beczki, z przeróżnych ognia sztucznych, a kiedy one zgasły, po linach rozpiętych między góryślimakiem i zamkiem w forcie przeleciały liczne koła diabelskie i kule żywego ognia, które płonęły na wodzie.” W czasie widowiska odbywała się uczta. Do stołu usługiwało dwustu szlachciców, potraw było tysiąc, wszystkie podane na szkle i srebrze.

Ostatniego ranka królową po obudzeniu powitały Królowa Wieszczek i jej dworki. Po czym nastąpił odjazd, w czasie którego odśpiewano piosenką Wróć do nas:

Wróć do nas, tyś Natury czarem, Twe lico cieszy ponad miarę.

Wróć, tyś Niebiosów lubość ista. Gdy ciebie nie ma, noc wieczysta.

Wróć, cudogwiedzne oko świata! Twa jaśnia niebo w czar oplata.

Wróć do nas, sionce ty piękności! Bez ciebie - szczyzną nam radości.

Skończyły się radości! Hrabiego czekało teraz regulowanie rachunków oraz przeliczanie srebra, półmisków i wszelkich ruchomości, albowiem pobyt świty królowej przypominał klęskę szarańczy.

Powolność i uciążliwość przejazdu oraz wciąż niepewna sytuacja polityczna zarówno wewnętrzna, jak i zagraniczna, uniemożliwiały Elżbiecie zbyt dalekie wypady. Odwiedzała Dover, Southampton, Bristol, Worcester, Stafford i Norwich. W kręgu tych miast zamykały się jej podróże. Chciała odwiedzić Shrewsbury, ale nic z tego nie wyszło. W 1562 roku zamierzała spotkać się z Marią w Yorku, w 1575 znowu wybierała się do tego miasta, ale”głęboka północ” nigdy nie doświadczyła wzruszeń, które budził przejazd Elżbiety. Północ pozostała wierna swym tradycjom i romantycznemu urokowi rywalki przebywającej w niewoli. Inaczej być nie mogło, a szkoda! Opowieści o tych podróżach i towarzyszących im niezrównanych i przedziwnych królewskich rozrywkach, osobliwe wiersze i opisy

nieprzewidzianych incydentów jak ten, który się zdarzył w Kenilwrth, gdzie dzikus zniewolony widokiem królowej, na dowód poddania się, złamał drzewo i wierzchołek odrzucił omal nie trafiając konia Elżbiety, który się spłoszył i stanął dęba, ona zaś zawołała:”Nic się nie stało! Nic się nie stało!”, krążyły w druku, przekazując szerokim kręgom czytelników atmosferę wydarzeń i wdzięczny urok królowej - miłości i dumy Anglików. Prasa i propaganda walnie sprzyjały temu pięknemu romansowi.

Na dworze odbywały się regularnie widowiska, w których bez trudu mógł uczestniczyć każdy szlachcic. Co niedziela uroczysta procesja ciągnęła przez sale pałacu do kaplicy królewskiej. W sali audiencjonalnej czekał już zazwyczaj tłum spragnionych tego widoku. Elżbieta przechodząc do wielu zwracała się uprzejmie. Lord Herbert z Cherbury jako młodzieniec był obecny przy takiej okazji w ostatnich latach jej panowania i opowiadał potem:”Gdy tylko mnie zobaczyła, zatrzymała się, zakłęła jak zwykle:”Rany boskie!\*, i zapytała:”A to kto?” Wszyscy obecni spojrzeli na mnie, ale nikt mnie nie znał, póki sir James Croft, widząc, że królowa czeka, nie wrócił i nie powiedział, kim jestem i że ożeniłem się z córką sir Williama Herberta z St. Julian’s. Królowa przyjrzała mi się wówczas bacznie i powtórzyła swe przekleństwo, po czym powiedziała:”Szkoda, że tak wcześnie się ożenił\*, dwukrotnie podała mi ręką do pocałowania i za każdym razem łagodnie klepała po policzku.”

Gdy królowa była w kaplicy na nabożeństwie, widzowie mogli oglądać ceremoniał nakrywania do stołu w sali audiencjonalnej przy wtórze trąb i kotłów. Obrusy, solniczki i potrawy wnosili służący poprzedzani przez mistrza ceremonii z laską i wszyscy trzykrotnie przyklękali przed królewskim tronem wchodząc i wychodząc. Dama pełniąca funkcję degustatora podawała każdemu służącemu na próbę kęs z każdego półmiska, który wnosił. Gdy wszystko było już gotowe, wchodziły panny służące królowej i uroczyście zanosiliły jedzenie do komnat prywatnych, Elżbieta bowiem bardzo rzadko jadała na oczach ludzi w sali audiencjonalnej, i to tylko z okazji jakichś wielkich uroczystości lub bankietów państwowych. Piła i jadła bardzo wstrzemięźliwie.

W sali audiencjonalnej królowa ukazywała się całemu dworowi uświetniając swą obecnością rozmaite rozrywki, w tym również tańce, które bardzo lubiła. Na królewskich pokojach rozmawiała lub grała w karty czy szachy ze swymi doradcami oraz uprzywilejowanymi panami, którzy mieli tu dostęp. W komnatach prywatnych starała się w miarę możliwości być osobą prywatną. Spędzała tu czas w towarzystwie dam dworu i bardzo wąskiego kręgu ludzi bliskich. Jedni uważali ich za jej osobistych przyjaciół, inni zaś, którzy nie byli dopuszczeni, za”faworytów”. Wszyscy monarchowie mieli swych”faworytów”. Czy mogło być inaczej? Ale w przypadku Elżbiety anomalią była różnica płci między monarchią

i faworytami, którą podkreślała romantyczna poufałość w sposobie zwracania się do królowej. Nie oznaczała wszakże ani natury rozwiązłej, ani braku wrażliwości, i jeśli odcień flirtu, dający się w tym wysledzić, budził czyjeś podejrzenia, to świadczyły one tylko o łatwowierności, której kłam zadawała zdumiewająca ilość "romansów" Elżbiety. Sir Thomas Heneage posłał jej szpilkę do włosów i kolczyk ze słowami: *Amat iste sine fine* - "kocha cię bezgranicznie". Odpowiedziała, że skoro zwrócił się do niej w takich słowach, to ona w takich samych do niego się zwraca: "Kocham sine fine", i przesyła "dziesięć milionów podziękowań", obiecuje nosić kolczyk w tym uchu, które "nie słyszy tego wszystkiego, co mogłoby skrzywdzić ofiarodawcę kolczyka". "Wiedząc zaś, że jej Krewki - był to zapewne jego przydomek - przebywa na dalekiej zimnej północy, gdzie nie ma motyli", posyła mu dla rozrywki motyla z macicy perłowej. O naturze tego "romansu" najlepiej świadczy fakt, że polecała Heneage'owi, by jak najprędzej wracał do żony i sprowadził ją na dwór królewski.

Wszyscy bodaj przyjaciele Elżbiety mieli przydomki. Leicester był jej "Oczami" i listy swe ozdobił parą oczu. Christopher Hatton, który pojawił się w szczęśliwym kręgu osób zaufanych w latach sześćdziesiątych, był jej "Powiekami" i posługiwał się monogramem, który można by uznać za uproszczony wizerunek powiek. "Adieu, Najśodsza Pani", kończył swój list, po czym manipulując inicjałami Elizabetha Regina dodawał: "Cały i na zawsze (EveR) oddany Ci, Twój najszczęśliwszy rab, Powieki." Z czasem został jej "Baraniną" lub "Baranem". Pewnego razu, obawiając się, że sir Walter Raleigh, przezwany "Wodą", wypiera go z serca Elżbiety, przesłał jej czuły list z wyrzutami oraz kilka symbolicznych prezentów, między innymi miniaturowy cebrzyk mający oznaczać Raleigha. W odpowiedzi pisała, "że gdyby władcy byli jak bogowie (a być powinni), nie dopuściliby do takiej obfitości żywiołu, która mogłaby zrodzić zamieszanie". Zwierzęta polne "tak jej są drogie, że umocniła brzegi, by nie zniosły ich żadne rzeki ani powodzie", i pragnąc jeszcze bardziej utwierdzić go w przekonaniu, że nie grozi mu zatonięcie, posyła gołębia, "który wraz z tęczą przyniósł dobrą nowinę i przymierze zapowiadające, że już nigdy nie będzie zniszczenia przez wodę". Dalej przypominała, że ona jest Pasterzem, niech więc pamięta, "jak drogie są jej owieczki". Śniady Walsingham był jej "Maurem", Burghley jej "Duchem". "Panie Duchu - pisała do niego żartobliwie, gdy popadł w typowy dla siebie melancholijny nastrój - zaczynam mieć wątpliwości, czy słusznie cię przezwałam, bo przecież istoty twego gatunku (podobno) nic nie czują; a jednak miałam ostatnio ecce signum, że gdy cię osioł kopnie, aż nadto szybko to czujesz. Odwołam cię ze stanowiska mego ducha, jeśli kiedykolwiek się dowiem, że nie lekceważysz sobie takiego czucia. Służ Bogu, lękaj się króla, a dla pozostałych bądź dobrym

kompanem.” I dodawała:”Nie bądź duchem głupim, by nie zawieść zaufania tej, która je w tobie pokłada. Niech cię Bóg błogosławi i żyj długo. Omnino, E. R.”

Trudno jest nakreślić wierny wizerunek tej niezwyklej monarchini, tak niepospolicie inteligentnej, tak kipiącej energią, tak bezpośredniej w przyjaźni, a zarazem tak władczej i królewskiej. Podbiła serca całego dworu i kraju, całe królestwo przestroiała na wysoki ton swej duszy. Mogła tego dokonać tylko kobieta, ale tylko kobieta obdarzona jej niezwyklejmi zaletami mogła to osiągnąć nie ryzykując katastrofy. Po części dowierzała swemu instynktowi, po części zaś działała świadomie i w sposób przemyślany. Dowcipny syn chrzestny Elżbiety, sir John Harington, pisał, że umysł jej często przypominał łagodny wietrzyk z zachodu w letni poranek, orzeźwiający i czuły dla wszystkiego wokół; jej mowa wzruszała każdego, a poddani starali się spełniać rozkazy z miłością, powiadała bowiem, że”z urzędu musi nakazywać to, co, jak jej wiadomo, lud chętnie sam zrobi z miłości do niej”... Niewątpliwie znakomicie rozgrywała swe karty, by zyskać posłuszeństwo też przy-musu. A gdy posłuszeństwo zawodziło, umiała tak się zmienić, by nikt nie miał wątpliwości, czyją jest córką.” Harington opowiada, jak sprytnie dowiadywała się, co naprawdę myślą jej doradcy, prowadząc do późnych godzin nocnych rozmowy to z Burghleyem, to znów z kim innym; zestawiała potem ich wypowiedzi na posiedzeniach Rady z prawdziwymi poglądami.”Sir Christopher Hatton zwykł był mawiać, że”królowa łowiła dusze ludzkie na tak słodką przynętę, że nikomu nie udawało się uniknąć z zastawionych przez nią sidła”... widziałem, jak jej uśmiech - zaprawdę doskonale wyrażający wielką sympatię dla wszystkich wokół - każdego skłaniał do zdradzania najtajniejszych myśli. Ona potem rozważała na osobności to, co zasłyszała, skrzętnie spisywała zasłyszane opinie, a gdy okoliczności tego wymagały, wyciągała zrobione notatki i czasami wprost odpieszała to, co powiedzieli przed miesiącem... Złowiła wiele biednych ryb, które nawet nie wiedziały, jakie na nie zarzucono sieci.”

Elżbieta była zawsze bardzo ludzka, zawsze pozwalała, by odruch przełamywał rami królewskiej oficjalności, uważała bowiem, że formy stworzone są dla niej, a nie ona dla form. Jakże często zdarzało się jej opatrywać oficjalne listy serdecznymi dopiskami, gdy chciała wyrazić wdzięczność lub przypomnieć przebywającemu daleko słudze, że czule o nim myśli. Wiemy, jak cudowną moc leczniczą słowa takie miewały. Potrafiła też, nie powiadamiając o tym swych dostojników, skreślić naprędce list polityczny, jak to zrobiła w roku 1565, kiedy napisała do przebywającego w Irlandii sir Henry Sidneya. List zaczynał się prosto:”Harry”, po czym następowały zdania w najbardziej afektowanym stylu, na jaki było ją stać, brzmiące niczym wypowiedzi wyroczeni i zakończone takimi oto słowami:”Niechaj posłanie to przekazane zostanie jedynie nikczemnej pieczy Wulkana i przetrzymane będzie przez tak

krótką tylko chwilę, jaka potrzebna jest, by je przeczytać, co więcej, nikomu innemu nie może ono być wiadome. Proszę Cię, ale moją prośbę potraktuj jak rozkaz. Masz utrzymywać, że dostawałeś ode mnie listy jedynie za pośrednictwem sekretarza. Twoja kochająca cię pani, E. R.” Na szczęście list zachował się w Penshurst, a nie u Wulkana. Stać ją było również na to, by przerwać kazanie lub mowę. Gdy na zakończenie jednego z parlamentów Lord Strażnik Pieczęci Bacon starał się dorównać długością swego przemówienia rozwlekłej mowie przewodniczącego Izby, Elżbieta kazała mu kończyć. Bacon zanotował w tekście swej oracji:”Odtąd będzie to, co zamierzałem powiedzieć, gdyby nie kazano mi przerwać.” Zgoła inaczej postąpiła podczas otwarcia innego parlamentu, kiedy to po zatwierdzeniu wyboru nowego przewodniczącego wysłuchiwała jego udanego popisu elokwencji. Ściągnęła w przejściu rękawiczkę, podała mu rękę do pocałowania i używając zwrotu zapożyczonego z terminologii łucznictwa powiedziała:”Ty, panie, masz prawo do tarczy.” Objęła go obiema rękami za szyję, przez dłuższą chwilę ich nie zdejmując, po czym bardzo łaskawie pożegnała się z nim. A później na swych pokojach powiedziała do dam dworu, że”żałuje, iż nie poznała go wcześniej”.

Kaznodzieje, którzy nie potrafili zachować umiaru, bywali surowo przywoływani do porządku. Noweli, dziekan katedry Sw. Pawła, wygłaszając w Wielkim Poście 1565 roku kazanie przed licznie zgromadzonymi na dworze królewskim wiernymi, zgromił niedawno wydaną katolicką książkę dedykowaną królowej, po czym przeszedł do ataku na obrazy i idolatrię, co w tych okolicznościach było niedwuznaczną napaścią na krucyfiks wiszący w królewskiej kaplicy. Elżbieta przerwała mu:”Nie mów o tym!”, a kiedy on, nie usłuchawszy, mówił dalej, podniosła głos:”Przestań, to nie ma nic wspólnego z twoim tematem, cała ta sprawa jest już przebrzmiała.” Sześćdziesiąty trzeci rok życia uchodził w owych czasach za”wielkie klimakterium”, wiek krytyczny, budzący poważne obawy. Elżbieta była właśnie w tym wieku w roku 1596, kiedy biskup Rudd - ośmielony pochwałami, jakie od niej usłyszał, i relacjami Whitgifta, że”królowej znudził się już pusty dowcip i elokwencja, które tak wielkie wrażenie robiły na niej w młodości, najbardziej zaś przemawiają do niej proste kazania” - oparł swe wielkopostne kazanie na cytacie:”Naucz nas liczyć dni nasze.” Po omówieniu pewnych świętych i mistycznych liczb, jak na przykład 3, odpowiadającej Świętej Trójcy, jak iloczyn 3 razy 3 odpowiadający hierarchii niebiańskiej, po 7 odpowiadającej sabbatowi, iloczynie 7 razy 7 oznaczającym jubileusz, doszedł do 7 pomnożonej przez 9, znamionującej”wielkie klimakterium”. Elżbieta zorientowawszy się, w jakim kierunku zmierza, zaczęła się denerwować. Biskup to zauważył, więc aby wybrnąć z kłopotliwej sytuacji, przeszedł do liczb wygodniejszych, na przykład 666, oznaczającej łacinnika, za

pomocą której rzekomo „mógłby dowieść, że papież jest antychrystem”, a także do złowieszczej liczby 88, Ale pod koniec nabożeństwa Elżbieta otworzyła okienko swej loży, powiedziała mu bez ogródek, żeby „zachował tę arytmetykę na własny użytek”, i do-dała: „Jak widzę, najwięksi dygnitarze nie są bynajmniej ludźmi najmądrzejszymi.” Uwaga jak najbardziej na miejscu, bo było szczytem głupoty robić aluzję do powszechnych podówczas obaw o jej życie.

Na zmartwienia bliźnich królowa reagowała po kobiecemu. Kiedy umarł hrabia Huntingdon, zataiła to przed jego żoną i pośpiesznie przejechała do Whitehallu, by przekazać jej osobiście smutną wiadomość i słowa pociechy. Kiedy lady Norris straciła syna w Irlandii, pisała do niej: „Moja Wrono kochana, nie trudź się szukaniem nieskutecznej pomocy, lecz daj dobry przykład i pociesz tego, który wspólnie z tobą dźwiga jarzmo bóleści...” A gdy dwa lata później dwaj dalsi synowie zginęli w tej samej służbie, napisała do obojga rodziców: „Piszemy do was obojga równocześnie, pragnąc, żebyście razem przyjęli wszelką pociechę, którą przesyłamy w tym gorzkim przypadku. W ogóle nie chcieliśmy pisać, by nie budzić od nowa waszego smutku, jakże jednak się powstrzymać pamiętając, jak dzielnie przyjęliście podobne nieszczęście w przeszłości, i wiedząc, z jaką głęboką wiarą i posłuszeństwem przyjmiecie zrządzenia Tego, którego ciosów uniknąć nie można. Siebie stawiamy za przykład, nasza bowiem strata nie mniejsza jest od waszej.” Kiedy w 1595 roku hrabia Hertford wszczął kroki w celu unieważnienia rozwodu z lady Catherine Ofrey i za te niebezpieczne poczynania osadzony został w Tower, Elżbieta pisała do jego drugiej żony, „Kochanej Francke”, szalejącej z niepokoju, by nie sądziła, że ten jego występki jest „bardziej zgubny i złośliwy niż rozwiązanie i pełne pychy wzgardzenie” jej osobistym zakazem. „Na myśl nam nie przychodzi szukać błędów w takich jak on ludziach. Wzdragamy się przed wymierzaniem kary najpodlejszym, więc nie postąpimy z większą surowością, niż to będzie konieczne, by odstraszyć innych w podobnych przypadkach, i ograniczymy się tylko do tego, co nakazuje honor i konieczność... Żegnając cię przypominamy, że skoro tyle bóleści i zmartwień spada na nas nagle, głupotą jest bać się tego, co niczym nie grozi, lub ze szkoda dla swego ciała i umysłu boleć nad tym, nad czym boleć nie należy.”

W bardzo ludzkim świetle ukazuje ją też liścik, który wraz z kopią swego przemówienia do parlamentu roku 1576 przesłała chrześniakowi Haringtonowi, chłopcu jeszcze. „Jack, mój chłopcze, kazałam sekretarzowi przepisać ślicznie moje skromne słowa na twój użytek, bo nie można jeszcze takiego młokosa wprowadzać na posiedzenia parlamentu. Przemysł je w wolnych chwilach, aż je dobrze zrozumiesz, byś mógł w przyszłości, gdy już twoja matka chrestna będzie zapomniana, mieć z nich jakiś pożytek. Robię to, bo twój ojciec

kochał nas i służył nam w niepowodzeniach i biedzie” - była to aluzja do czasów jej siostry Marii.

Humory Elżbiety były ciężkim dopustem dla jej dworzan i doradców. Miała swe słabostki, jak choćby nieprzyznawanie się do chorób. Przez całe życie cieszyła się zdumiewająco dobrym zdrowiem, wszelkie dolegliwości denerwowały ją i złościła się, kiedy uważano, że jest chora. W roku 1577 kilka razy kazała Leicesterowi napisać do Burghleya przebywającego podówczas w Buxton, by przysłał jej tamtejszą wodę leczniczą. Kiedy woda nadeszła, zaczęła mieć wątpliwości, „czy tu będzie równie skuteczna jak tam”. Chodziło jednak o to, iż dotarły do niej pogłoski, „jakoby Jej Królewska Mość miała chorobę nogę”. Rozgniewała się z kolei na Leicesterza za to, że pisał do Burghleya! W 1578 bolał ją ząb, który trzeba było wyrwać, ale ponieważ królowa „jest albo chce być innego zdania”, lekarze bali się jej to doradzić. W 1597 roku „bolał ją rozpaczliwie” prawy kciuk, ale nie mogła to być, a raczej nie śmiała to być podagra; a właściwie w ogóle nic ją nie bolało, tylko nie chciała podpisywać listów!

Rzecz zrozumiała, że osoba tak energiczna i uparta bywała czasami nieznośna. Nic nie uchodziło jej oczom, ciągle odkrywała jakieś nieporządki, a była bardzo wymagająca. Wszystko musiało iść jak z płatka albo chciała natychmiast wiedzieć, dlaczego tak nie idzie. Bezpośredniość i swoboda w stosunkach z otoczeniem wymagały ostrego ściągania uzdy, by wiedziano, kto tu rządzi. Kiedy jej kuzyn lord Hunsdon samowolnie przedłużył sobie urlop będąc na służbie w Berwick, co zresztą robili wszyscy, syn jego pisał mu, że Elżbieta „strasznie się rozgniewała i klnąc jak zwykle” rany boskie!”, oświadczyła, że „powiesi cię za nogi i pośle kogoś innego na twoje miejsce, jeśli będziesz ją tak zwodził, bo ona na to nie pozwoli\*”. Wszystkie jej gwałtowne wybuchy okazywały się w końcu nie bardziej groźne niż błyskawice na letnim niebie. Sir John Harington, który najlepiej pamiętał jej ostatnie lata, pełne nieustannych trosk i irytacji, opowiada: „Kiedy się uśmiechała, było to, jakby zaświeciło czyste światło słoneczne, w którym każdy chciałby się wygrzewać; ale niebawem, z nagle zbierających się chmur, nadciągała burza i pioruny raziły wszystkich wokół.”

## ***Rozdział czternasty***

### **NAMIĘTNOŚCI RELIGIJNE I POLITYKA**

W nieustannych zapisach urzędowych Burghleya krytykujących politykę Elżbiety powtarzała się niezmiennie jedna pretensja: królowa nie wychodzi za mąż. Ten dziwny i

niepokojący fakt był oczywiście żerem dla plotki. Próbowano go tłumaczyć domysłami, że Elżbieta nie może mieć dzieci, ale równocześnie mówiono, że ma z Leicesterem jedno albo i dwoje. Języków nie można ukrócić. Ben Jonson, popijając z Drummondem z Hawthornden, dodał kilka sprośnych szczegółów, by plotkę uczynić bardziej wiarygodną. Okazja i relacja były ryzykowne. W roku 1566, kiedy król francuski starał się o rękę Elżbiety, jego ambasador zapytał jej lekarza, ile prawdy jest w pogłoskach o bezpłodności królowej. Rozmówca wyśmiał go: "Jeśli król ją poślubi, zaręczam, że będą mieli dziesięcioro dzieci, a nikt przecież lepiej ode mnie nie zna jej organizmu." Burghley i inni przynajmniej w jednej dziesiątej podzielali przeświadczenie lekarza. Chcieli mieć następcę tronu i wierzyli, że będą go mieli, jeśli królowa wyjdzie za mąż.

Małżeństwo było wyborem między jednym złem a drugim. Różnice temperamentów, wyobraźni i koncepcji politycznych powodowały, że królowa wolała jedno, jej minister drugie. Skończyło się na tym, że przestano się interesować staraniami arcyksięcia Karola. Ale to było dawno. Od kiedy królowa szkocka Maria przebywała w Anglii, coraz więcej argumentów przemawiało za małżeństwem, nie ulegało bowiem wątpliwości, że roszczenia do sukcesji znacznie wzmocniły pozycję Marii. Przyjście na świat potomka Elżbiety przekreśliłoby szansę jej rywalki. Przestałaby interesować nawet zagranicznych władców. W obecnej sytuacji natomiast nikt nie zechce się narazić przyszłej królowej Anglii. Choćby taki Leicester, który był za tym, by Marię skazać na śmierć za spisek Ridolfiego, wcale nie chciał uchodzić za jej wroga. Gra szła o bardzo wielką stawkę, więc nie lada odwagi i charakteru wymagało zachowanie absolutnej lojalności wobec Elżbiety. Katolicki manifest do Irlandczyków zawierał pytania: "Czyż nie widzicie, że ona nie ma prawowitego spadkobiercy, który potrafiłby wynagrodzić jej przyjaciół i zemścić się na jej wrogach?" Zabijcie ją i większość ludzi pogodzi się z Marią. Potomek byłby tarczą i puklerzem Elżbiety, gwarantem wierności jej ludu, osłoną przed ciosem zabójcy.

Po rebelii pomocnej sprawa stała się tak oczywista, że już dłużej nie można było jej ignorować. Za małżeństwem przemawiała ponadto sytuacja polityczna. Anglia nie miała sojuszników; postawa Hiszpanii, Francji i papieża była nieprzyjazna, małżeństwo zaś przyniosłoby jakiś sojusz. Zakończenie trzeciej wojny domowej we Francji oznaczało, że znowu można się spodziewać przykrości z tej strony. Wszystko to pobudzało Elżbietę do działania. W sierpniu 1570 roku wysłała swego ambasadora, by próbował doprowadzić do wznowienia starań arcyksięcia Karola o jej rękę. Wciąż jeszcze był wolny, lecz haczyka nie połknął, a co więcej, wkrótce się ożenił i zaczął prześladować protestantów. Tak więc i ta szansa przepadła. Ale Katarzyna Medycejska miała trzech synów. Jeden z nich, król, który



starał się niegdyś o rękę Elżbiety, był już żonaty. Drugi, książę andegaweński, nie skończył jeszcze dziewiętnastego roku życia, zaś Elżbieta liczyła sobie lat trzydzieści siedem. Cóż jednak znaczyła taka różnica wieku wobec perspektywy korony” i to jakiej! Katarzyna pochodziła z włoskiego rodu bankierskiego i była straszliwą parweniuszką. Marzyła o tym, by wszystkich trzech synów zobaczyć na tronach. A ponadto takie małżeństwo było z politycznego punktu widzenia atrakcyjne dla Francuzów, bo ewentualny sojusz Anglików z Hiszpanami spędzał im sen z oczu, podobnie zresztą jak Hiszpanom ewentualność odwrotnego aliansu. Chwila była wyjątkowo dogodna dla sprzymierzenia się z Anglią. W następstwie pokoju do władzy nie doszła nieprzyjazna Elżbiecie i ślepo nienawidząca hugenotów partia Gwizjuszów, lecz ”Politycy”, czyli umiarkowani katolicy, zwolennicy pogodzenia zwaśnionych stronnictw religijnych oraz narodowej, anty hiszpańskiej polityki.

Tak więc jesienią 1570 rozpoczęły się rozmowy mające na celu doprowadzenie do małżeństwa Elżbiety z księciem andegaweńskim. Widocznie nic już nie zostało z jej uczuć do Leicesterów, które mogłyby ją odwieść od powziętego postanowienia. Romans z upływem lat przemienił się w sentymentalną przyjaźń, stał się słodkim wspomnieniem i niczym więcej. W tych konkurach Elżbieta była już tylko królową. Przekonana o słuszności racji przemawiających za pilnym zawarciem związku małżeńskiego, prawdopodobnie zupełnie szczerze myślała o wyjściu za mąż. Wkrótce jednak natknęła się na dawną przeszkodę, różnicę wyznań, i znowu stanęła przed wyborem między niebezpieczną bezdziejnością a groźbą wojny domowej, gdyby pozwoliła mężowi zachować katolickie nabożeństwo. Znowu więc podjęła taką samą decyzję jak poprzednim razem i znowu zmartwiła Burghleya i innych. Pertraktacje utknęły na martwym punkcie.

Katarzynę Medycejską złościł upór religijny księcia andegaweńskiego, tym bardziej że był jej najukochańszym synem, ale nie rozpaczała, bo przecież został jeszcze jeden syn, książę Alençon, co prawda o trzy lata młodszy od swego brata i o z górą dwadzieścia od Elżbiety. Jego więc zaproponowała, zwracając przy tym uwagę ambasadora, że już sypie mu się broda. Przewidziała nawet, ile będzie dzieci z tego małżeństwa: dwóch chłopców, bo jeden może umrzeć, i trzy córki, które zapewnią dalsze sojusze. Alençon nie był urodziwy; twarz miał zeszeconą ospą. Ambasador angielski pisał: ”Dziury po ospie nie szpecą za bardzo jego twarzy, bo są raczej gęste niż głębokie i wielkie. Wielkie i głębokie są tylko na czubku nosa, a jak bardzo mogą się one nie podobać, zależy od tego, jak bardzo zechce Pan Bóg wzruszyć serce patrzącego. Kiedy widziałem go na mojej ostatniej audiencji, odniosłem wrażenie, że z dnia na dzień robi się coraz przystojniejszy.” Z woli Bożej serce Elżbiety zareagowało bez oglądania. Oświadczyła, że różnica wieku jest jednak za wielka. W

rzeczywistości powód był inny, a mianowicie "wrażliwość oka Jej Królewskiej Mości", i jak wyznała konfidencjonalnie, przekonanie, że "świat uzna to za absurd", jeśli poślubi tego nieszczęsnego, ospowatego chłopca po tym, jak odtrąciła tylu świetnych kandydatów do jej ręki. Nie zerwała co prawda rozmów, choć przestała przywiązywać do nich większą wagę, ale faktycznie odstawiła Alengona do kąta, by broda mu urosła, i być może, by trochę wyprzystojniał, no i by sama mogła się oswoić z myślą o poślubieniu tego dziwaczego człowieka.

Bez względu na to, jak się powiodą plany małżeńskie, Katarzyna i Elżbieta miały zamiar doprowadzić do sojuszu i po długich przetargach, korzystniejszych dla Elżbiety niż dla Katarzyny, podpisano w kwietniu 1572 roku traktat w Blois. Był to przede wszystkim sojusz obronny przeciw Hiszpanii. Nadużywając może określenia i nazbyt upraszczając sposób myślenia Elżbiety, można by układ ten nazwać rewolucją w dyplomacji. Alians Anglii z Francją przeciw władcy Niderlandów był niewątpliwie wydarzeniem wielce znamienym. Stopniowo precyzowało się wyzwanie rzucone Hiszpanii. Dla Elżbiety natomiast sprawą najważniejszą było to, że traktat likwidował niebezpieczny stan izolacji i uniemożliwiał Francuzom wtrącanie się do jej polityki w stosunku do Marii i Szkocji. Nie uważała przy tym, by przekreślał lub utrudniał uregulowanie spraw spornych z Hiszpanią, i w ostatnich fazach pertraktacji Burghley okazywał względy agentowi hiszpańskiemu w Anglii. Wracając pewnego dnia łodzią do domu Hiszpan zobaczył na rzece królową, która płynęła w barce do swego pałacu. Dzień był pogodny, więc w towarzystwie Leicestera i wielu innych dworzan zażywała świeżego powietrza. Hiszpan przyłączył się do licznych łodzi podążających za barką królewską i podobnie jak inni ukłonił się królowej. Zauważyła go, poznała i ku powszechnemu zdumieniu, "choć był tak skromną osobą", przywitała się z nim po włosku, pytając łaskawie i życzliwie, czy wraca ze dworu i czy widział się z Burghleyem. Dodała jeszcze kilka słów i na pożegnanie skinęła ręką, okazując mu swą łaskę i wyraźnie dając do zrozumienia, że spotkanie sprawiło jej przyjemność.

W tym samym miesiącu, w którym podpisano traktat w Blois, rewolta w Niderlandach, okrutnie tłumiona przez Albę, wybuchła z nową siłą. Elżbieta w sekrecie kazała ułatwić powrót do Niderlandów setkom emigrantów, którzy w ostatnich czterech latach napłynęli do Anglii i teraz wracali walczyć o wolność swego kraju. Hugenci i "Politycy" tylko czekali na taką okazję, by wszcząć wojnę z Hiszpanią i poszerzyć terytorium Francji. Pozyskali dla swej idei króla. Od razu się okazało, że przyjaźń Elżbiety ma swe granice. Nie mogła przecież dopuścić Francuzów do Niderlandów, nie mogła im pozwolić na kontrolowanie handlu angielskiego i naruszanie jej suwerennych praw na

wąskich wodach dzielących wyspę od kontynentu. Wołała już Hiszpanów. Sir Humphrey Gilbert wyruszył z kompanią ochotników na pomoc rebeliantom, udając, że czyni to bez wiedzy królowej i wbrew jej woli, ale zgodnie z tajnymi instrukcjami miał utrzymać Flushing i za żadną cenę nie dopuścić do tego portu Francuzów.

Zmiana sytuacji zaniepokoiła Katarzynę Medycejską. Wyglądało na to, że Francja niechybnie zmierza ku katastrofie, ku wojnie z Hiszpanią, w której Anglia, w najlepszym wypadku, zachowa wrogą neutralność. Cała wina za to spadała na jej syna Karola IX. Wymknął się spod opiekuńczych skrzydeł matki i uległ wpływom wielkiego przywódcy hugenotów, Coligny'ego. W sierpniu jej zazdrość doprowadziła do straszliwej tragedii. W Paryżu zebrano się z okazji ślubu swego przywódcy, młodego króla Henryka Nawarrskiego, z jej córką prawie cała arystokracja hugenocka, a także cała reszta arystokracji francuskiej. W tej napiętej atmosferze zaciekłych swarów religijnych i politycznych Katarzyna, zżerana matczyną żądzą władzy, podjęła szaleńczą decyzję zamordowania, w porozumieniu z partią Gwizjuszów, Coligny'ego. Na wieść o tym, że Coligny nie zginął, lecz jest tylko ranny, wpadła w panikę i rozpacz. Na miejscu znajdowała się cała arystokracja hugenocka, domagająca się zemsty, stanowiąca jakby jedną głowę, którą można ściąć za jednym zamachem. Okazja była tak oczywista, że trudno przypuszczać, by nie przewidziano jej zawczasu. Pomysł wisiał, w powietrzu; Katarzynie wydawał się jedynym wyjściem z bardzo trudnej sytuacji.

Coligny został ranny 22 sierpnia. Wieczorem dnia następnego, w wigilię św. Bartłomieja, plan Katarzyny i Gwizjuszów był już gotów i został aprobowany przez króla. Uderzono w dzwon alarmowy. Każdy hugenot, którego można było dopaść, arystokrata czy prosty człowiek, mężczyzna, kobieta czy dziecko, ginął. Przy

! okazji załatwiono wiele porachunków osobistych. Ulicami popłynęła krew, rzeką nagie trupy o straszliwie zniekształconych twarzach. Jakiś rzeźnik chełpił się, że tego dnia własnoręcznie zabił czterystu ludzi. Do południa padło dwa tysiące hugenotów. Rzeź trwała jeszcze dwa dni. Wieść rozchodziła się szybko po całym kraju i w wielu miastach katolicy poszli za przykładem Paryża. W Lyonie zabito siedemset lub osiemset osób, w Orleanie pięćset. W sumie zginęło w Paryżu prawdopodobnie cztery tysiące hugenotów i tyłuż w innych miejscowościach.

Opinia protestancka była straszliwie wzburzona, a gdy w ślad za wiadomościami o masakrze przybyli pierwsi z licznych uchodźców przed terrorem, nastroje w Anglii osiągnęły punkt wrzenia. Nawet przyjaciele Francji mówili teraz o niej z gwałtowną nienawiścią.

Wystarczała najbardziej nieśmiała próba perswazji, by wyciągano szablę z pochew. Londyńczycy zwoływali wiece i, po-

1 dobie jak mniej umiarkowani kaznodzieje, domagali się zemsty na własnych papistach. Bardziej umiarkowani biskupi pisali do Burghleya o swych obawach, radzili odebrać całą broń katolikom, usunąć ich z otoczenia królowej, jej zaś samej dać silną protestancką ochronę, pilnować miasta i Tower, wreszcie związać się mocno ze szkockimi i niemieckimi protestantami. Ileż to razy Bóg Wszechmogący objawiał nam swą wolę, okazując swą przychylność, lecz my lekkomyślnie wzgardziliśmy jego radami. Oby Bóg dał teraz królowej uszy, by słyszała, i umysł otwarty, by się czegoś nauczyła. W nowy i straszliwy sposób potwierdzało się przekonanie o istnieniu ligi katolickiej stawiającej sobie za cel zniszczenie protestantyzmu. Nic dziwnego, że protestanci uważali masakrę za rzecz od dawna już zaplanowaną wspólnie z papieżem i Hiszpanią. Na wybrzeżu angielskim ogłoszono stan pogotowia, marynarka otrzymała rozkaz natychmiastowego wypłynięcia na pełne morze, wszędzie obowiązywała czujność.

Kiedy ambasador francuski poprosił o audiencję, by przekazać oficjalną relację o masakrze, Elżbieta kazała mu czekać trzy dni, po czym przyjęła go milcząco w otoczeniu wielu swych doradców i głównych dam dworu. Zrobiła kilka kroków z miną surową i zasmuconą, lecz nie pozbawioną życzliwości, wysłuchała słów powitania, zaprowadziła go na bok do niszy okiennej i wysłuchała żalonych, lecz dyplomatycznych kłamstw, które miały wytłumaczyć postępowanie króla. Jej odpowiedź była pełna godności. Przyjęła tłumaczenia, lecz tylko tak, jak wypadało przyjąć królewskie zapewnienia, nie uważając bynajmniej, by usprawiedliwiać tę straszliwą zbrodnię. Nie śmiała zerwać z Francją, ale nie miała zamiaru darować masakry.

Obawy były powszechne, więc wszyscy z oburzeniem mówili o Marii, tej "niebezpiecznej zdrajczyni i dżumie świata chrześcijańskiego", i to z tym większym przekonaniem, że w wyniku masakry odzyskali władzę jej krewni Gwizjusze, będący synonimem zagrożenia. Biskup Londynu domagał się, by Burghley "natychmiast uciął głowę szkockiej królowej". Arcybiskup Parker doradzał to samo, lecz w bardziej oględnych słowach. Jakiś anonimowy korespondent Leicestera "wypowiadał powszechną opinię, lamenty i obawy dobrych poddanych" na sześciu gęsto zapisanych stronach: "Na litość boską, jaśnie wielmożny panie, niechże Jej Królewska Mość nie zapomina w tych ciężkich chwilach o największym niebezpieczeństwie, niechże pamięta o sumieniu i wieczności." Niech nie ściąga na Anglię fali morderstw, gwałtów, rabunków, przemocy, barbarzyńskich rzezi, a także wiecznego potępienia tylu dusz sprowadzonych na manowce przez postępy papistowskiej

wiary,”i wszystko to z pożałowania godnej litości i miłosierdzia, które każe jej oszczędzać tę straszliwą kobietę, ściągnającą wszędzie, gdzie tylko się ruszy, gniew Boży”. Zaiste, żaden władca nie zasłużył sobie, jak nasza królowa, na tak kochających poddanych.”Czyżbyśmy mieli wątpić w to, że Jej Królewska Mość, matka nasza, nie zawaha się przed wydaniem rozkazu zabicia ropuchy, węża lub wściekłego psa, kiedy widzi, że on ją atakuje, przegryza gardła jej niemowlętom i z nią chce tak samo postąpić?”

Możemy sobie tylko wyobrazić, bo nie wiemy, jak silnie naciskali najbardziej wpływowi doradcy Elżbiety. Kryzys zmusił ją wreszcie do takiego przynajmniej ustępstwa, że choć sama nie skaże Marii na śmierć, pozwoli wysłać ją do Szkocji i tam stracić za udział w zabójstwie Darnleya. Żąda jednak pewnych gwarancji, a mianowicie, że nie skończy się to na pozostawieniu Marii przy życiu. Z taką tajną misją, której treść znali tylko: królowa, Burghley, Leicester i później Bacon, wysłano pośpiesznie do Szkocji szwagra Burghleya. Miał tę propozycję przedstawić jako pomysł niektórych członków Rady, w żadnym zaś wypadku nie wspominać o Elżbiecie; oczywiście zastrzeżenie to zrobiono biorąc pod uwagę możliwość niepowodzenia misji. Regent oraz jego doradcy gotowi byli podjąć się tego zadania, ale pod kilkoma warunkami, między innymi, że armia angielska będzie się znajdowała w Szkocji w czasie egzekucji i następnie usunie z zamku edynburskiego resztę stronników Marii.

Od nocy św. Bartłomieja upłynęły jednak dwa miesiące i ziemia się nie zapadła, toteż Elżbieta zaczęła się skłaniać ku litości i kaprysić. Problem został wszakże rozwiązany bez jej udziału, ponieważ równocześnie z wiadomościami o warunkach stawianych przez regenta i uznanych za niemożliwe do przyjęcia nadeszła wieść o jego śmierci. Rozstrzygało to sprawę, przynajmniej na razie. Burghley pisał do Leicestera:”Niech Bóg da Jej Miłości siłę ducha, by ocaliła Bożą sprawę, swe własne życie i życie milionów wiernych poddanych... Niech Bóg ma nas w swej opiece.” W kwietniu doznał pewnej pociechy, kiedy wysłane przez Elżbietę wojska zdobyły zamek edynburski. Wraz z poddaniem twierdzy rozpadło się stronnictwo Marii w Szkocji.

Wszystko zdawało się sprzyjać temu, by panowanie Elżbiety zamieniło się w krucjatę. Drastyczne teksty i drzeworyty Księgi męczenników Foxe’a nie pozwalały zapomnieć o ofiarach panowania królowej Marii, teraz zaś oliwy do ognia dolewały wspomnienia nocy św. Bartłomieja. W miarę jak potęgował się gniew angielskich protestantów na katolików, rosło przywiązanie do królowej, od jej bowiem życia zawisła w ich przekonaniu przyszłość ich wiary. Minęły czasy, kiedy można było bezkarnie opowiadać sprośne historyjki po szynkach i

karczmach. W Doncaster straż miejska ledwie uratowała jakiegoś mężczyznę, którego tłum chciał rozerwać na kawałki za to, że mówił źle o królowej.

Doskonałym wyrazem tej głębokiej miłości, ożywiającej Anglię jeszcze przez kilka dziesięcioleci, były zmiany, jakie zaszły w Tajnej Radzie w marcu 1572 roku, po śmierci osiemdziesięciosiedmioletniego Lorda Skarbnika, markiza Winchester, bardzo sędziwego nestora polityki angielskiej, który doczekał się "dzieci swych dzieci w liczbie stu trzech, co jest rzadkim błogosławieństwem Bożym wśród ludzi jego urzędu". Stanowisko po nim otrzymał Burghley, ustąpiwszy z urzędu sekretarza. Przy okazji przywrócono dawny obyczaj mianowania dwóch sekretarzy głównych. Drugim z nich został w grudniu 1573 Francis Walsingham, rówieśnik królowej, spowinowacony z nią przez swego ojczyma. Nauki pobierał w Cambridge, gdzie obracał się w kręgu fanatycznych protestantów. Za panowania królowej Marii uciekł za granicę, skąd powrócił z typowym dla emigranta religijnego przekonaniem o nieustannie toczącej się walce z siłami ciemności, pogłębianym jeszcze po nocy św. Bartłomieja, której był świadkiem jako rezydujący w Paryżu ambasador. Ten poważny i posępny mężczyzna uosabiał ducha krucjaty. O Hiszpanach pisał: "Zaiste, nigdy nie dojdzie między nami do zgody, jeśli nie poprzedzi jej jedność w wierze, bo nie ma zgody między Chrystusem a Belialem." „Czyż władca wyznający Ewangelię może mieć słuszniejszy powód do wszczęcia wojny niż ten, że widzi, jak zawiązują się konfederacje dla wykorzenienia Ewangelii i wiary, którą on wyznaje? Wszystko, co żyje, stworzone zostało dla pomnożenia chwały Bożej; toteż gdy chwałę tę podaje się w wątpliwość, żaden sojusz ani polityka nie mogą usprawiedliwić władcy, który nie będzie wszelkimi sposobami, ryzykując nawet utratę życia, bronić Ewangelii i wiary." Walsingham zapewne uważał, choć o tym nie wspominał, że Bóg ześle takiemu władcy środki, nie ulegało bowiem wątpliwości, że gdyby Anglia wybrała zalecaną przez niego politykę, niechybnie znalazłaby się na progu bankructwa. Walsingham wkroczył na arenę polityczną pod patronatem Burghleya, ale już wkrótce zbliżył się do Leicesterera, który zaczynał się wysuwać na czoło radykałów. Walsingham został jego powiernikiem. Pojawienie się tej partii na lewicy skłoniło Burghleya do przesunięcia się nieco na prawo. Nadal był bratem w Chrystusie, nadal wraz z innymi załamywał ręce nad postawą królowej, ale był starszym bratem - przekroczył pięćdziesiątkę - i przemawiał głosem bardziej umiarkowanym niż młodszy bracia. Z wiekiem przyszła umiejętność godzenia się z faktami, zaś z nowym urzędem Skarbnika większe zrozumienie dla cnoty oszczędzania. Prawdopodobnie zaczął też bardziej cenić rozważę królowej. W każdym razie, choć od czasu do czasu miewał do niej żal, gdy różnili się nastrojem lub poglądami, to jednak łączące ich więzy przyjaźni i zaufania stawały się coraz silniejsze." Żaden władca w Europie nie ma

takiego doradcy, jakiego ja mani w nim” - oświadczyła Elżbieta. Kiedy ataki podagry zmuszały go do pozostawania w domu, trudno było cokolwiek załatwić na dworze. Elżbieta nie podejmowała żadnych decyzji pochopnie, a nikomu nie ufała tak jak jemu. Jesienią i zimą roku 1572 trudności z uzyskaniem podpisu lub decyzji pod nieobecność Burghleya doprowadzały do rozpaczony sekretarza, sir Thomasa Smitha. Nie lepiej wiodło się Leicesterowi. Elżbieta chętnie wysłuchiwała jego zdania, rozważała różne jego pomysły, pozwalając mu gadać, że władca, „nawet najmądrzejszy”, musi ufać swym wiernym doradcom i że gdyby mu zawierzyła, uniknęłaby wszystkich nieuchronnie czekających ją katastrof, ale choć powtarzał, że sprawa jest tak pilna, że godziny liczą się za dni, a dni za lata, i że zbyt wiele czasu już zmarnowała, nie podejmowała żadnej decyzji, nim zasięgnęła rady Burghleya. A po otrzymaniu jego rady robiła to, co uważała za słuszne. Jeden z doradców określił to dosadnie: „Jeśli wciąż jeszcze nam się wiedzie, to chyba tylko, tak jak zwykle, dzięki cudowi.”

Dobieranie sobie takich ministrów jak Walsingham najlepiej bodaj świadczy o tolerancji, roztropności i władczej naturze Elżbiety. Wybierała ich dla talentów, uczciwości i niezachwianej wierności. Nawet w swym zapamiętaniu reprezentowali tę Anglię, którą ona wychowywała, i jeśli trudno było ich ujeździć jak rasowe konie, to okazała się idealną amazonką. Tak jak oni spragniona była chwały, lecz za tytuł do prawdziwej chwały poczytywała sobie otoczenie opieką wolnego rolnika, żyjącego w strefie pośredniej między magnatem a biedakiem, w siermiężnym przyodziewku, lecz zapewniającego skarbowi złote dochody, bo ma srebro w kieszeni. Doskonale wiedziała, że zasoby Anglii są ograniczone, toteż wolała żeglować z wiatrem, którego kierunek znała, niż rozpinać żagle w oczekiwaniu burzy, która może wcale nie nadciągnąć.

Nic dziwnego, że jej mężowie stanu załamywali ręce; widzieli przecież, jak nad Anglię gromadzą się groźne chmury. W Niderlandach, w Rzymie i Hiszpanii siedzieli katolicy emigranci. Część z nich uciekła, kierując się motywami religijnymi, po wstąpieniu na tron Elżbiety, część przybyła niedawno po północnej rebelii. Pod ich wpływem cała emigracja zamieniła się w zbiorowisko spiskowców pochłoniętych jedną ideą „angielskiego przedsięwzięcia”. Żyli oczekiwaniem na dzień, w którym papież i Filip hiszpański poślą swe armie, by zrzucić z tronu tę złowrogą kobietę, angielską „diablicę”, i na jej miejsce wyniosą nabożną Marię, przywracając krajowi religię katolicką, im zaś ich fortuny. Zaczęli myśleć kategoriami rewolucjonistów lub emigrantów. Kierowali się czystym chęćstwem, wyciągali wnioski równie fałszywe, jak urojone były ich wyobrażenia o rządzie i narodzie angielskim. Z takim samym łatwym optymizmem jak Ridolfi zakładali, że Elżbietę można będzie obalić bez

trudu. Oczywiście Rzym był zadowolony z ich spiskowania, bo przecież mimo bulli z 1570 roku Elżbieta wciąż jeszcze nie została zdetronizowana. Po nocy św. Bartłomieja dwór papieski nie przestawał nakłaniać Filipa II, by przystąpił do "przedsięwzięcia" i ruszył na podbój Anglii. Trzeba przyznać, że poczynania Rzymu w pełni usprawiedliwiłyby zastosowanie przez Elżbietę surowych środków przeciw katolikom na tej tylko podstawie, że ich wiara, nakazująca posłuszeństwo jawnemu i groźnemu wrogowi państwa, nie da się pogodzić z lojalnością i postawą obywatelską. To nie wyłącznie Walsingham i fanatycy protestancy mieli uproszczone wyobrażenia o polityce jako o walce Chrystusa z antychrystem.

Stosunek Filipa do "przedsięwzięcia" był taki sam jak do spisku Ridolfiego. Nie bez powodu. Udzielał schronienia angielskim malkontentom i rebeliantom, ale Elżbieta robiła to samo i pozwalała jego poddanym przekradać się z powrotem do Niderlandów, gdzie zasilali armię buntowniczą, umożliwiała im przekazywanie funduszków i korzystanie z jej portów. Na kontynencie było tajemnicą poliszynela, że prawdziwym źródłem wszystkich kłopotów jest Elżbieta, systematycznie podsycająca niesnaski wewnętrzne w innych państwach. Była najbardziej osławionym władcą Europy: szanowali ją ci, którymi Filip gardził, i bali się ci, których darzył sympatią. Podobnie jak inni obawiał się, że dopóki Elżbieta zasiada na tronie angielskim, znikome są szanse na prawdziwy pokój w Niderlandach. Ale szanował jej talenty polityczne, a jeszcze bardziej się lękał, że jeśli wystąpi przeciw niej, to ona natychmiast sprzymierzy się z Francją. Rozwiązaniem tego dylematu była Maria, królowa szkocka. Gdyby Hiszpanie zaatakowali Anglię, by posadzić Marię na tronie, Francja najprawdopodobniej temu by nie przeszkodziła. Nic więc dziwnego, że poddani Elżbiety uważali jej miłosierny stosunek do Marii za niebezpieczną donkiszoterię! Powinna była ją stracić w 1572 roku, tak jak się tego domagali mężowie stanu i parlament, a wtedy przez następne dziesięciolecie, może nawet dłużej, "przedsięwzięcie" byłoby tylko przedmiotem jałowej paplaniny kilku emigrantów i pobożnym życzeniem niektórych księży. Nawet rachuby na to, że zwolennicy Marii wzniesą w Anglii powstanie, stanowiące integralną część tego planu, zostałyby praktycznie przekreślone.

Politykę Elżbiety należy oceniać w świetle poczynań Filipa. Zgodził się co prawda pomóc w sfinansowaniu inwazji na Anglię i nawet połowę obiecanej sumy przesłał do Rzymu, ale natychmiast po tym opadły go wątpliwości i lęki. Zaczai doradzać zwłokę i w końcu sam się wycofał. Elżbieta zdawała sobie sprawę, że agresywna polityka zniweczyłaby wszelkie korzyści płynące z jego kunktatorstwa i ostrożności, a także z paralizującej rywalizacji między Francją i Hiszpanią. Filip zostałby zmuszony do rozpoczęcia wojny, której



wynik trudno było przewidzieć, choć na pewno oznaczałoby dla Anglii katastrofę finansową i gospodarczą. Sytuacja jak nigdy wymagała polityki oportunistycznej, a taka właśnie polityka najbardziej odpowiadała Elżbiecie. Oto był ów cud, któremu Anglia zawdzięczała swe tradycyjne szczęście. "Pan Bóg opiekuje się swymi wybrańcami" - pisał szwagier Burghleya. W tym wieku wiary można to było uznać za w pełni zadowalające wytłumaczenie.

Ta oportunistyczna polityka przyjęła od roku 1572 zadziwiający kierunek. W obawie przed ponowną izolacją, od której uratował ją traktat w Blois, na ofertę Katarzyny Medycejskiej, pragnącej utrzymać przyjazne stosunki, Elżbieta odpowiedziała przychylnie, choć z należnym chłodem i powściągliwością, co było zrozumiałe po nocy św. Bartłomieja. Zgodziła się zostać matką chrzestną córki Karola IX, choć zgody swej nie omieszkła opatrzyć kilkoma zjadliwymi uwagami, i przystała na wznowienie swatów księcia Alençon, które się przewlekały, ale w każdej chwili mogły zapoczątkować ściślejszy sojusz. Równocześnie jednak potajemnie wspierała buntujących się znowu hugenotów, uważając, że należy zachować równowagę sił między stronnictwami we Francji i nie dopuścić, by Gwizjusze się szarogęsili. Trudno było przewidzieć, jaki kierunek obierze polityka francuska po nocy św. Bartłomieja, wobec czego, wierna zasadzie, że "gdy grozi niebezpieczeństwo ze strony jednego państwa, należy wygrać przeciw niemu drugie", zacieśniła stosunki z Hiszpanią, wznowiwszy rozmowy mające doprowadzić do załagodzenia sporów między oboma krajami i przywrócenia stosunków handlowych zerwanych po zagarnięciu skarbu w grudniu 1568 roku. Książę Alba okazał najlepszą wolę i energicznie nakłaniał Filipa, by nie dawał posłuchu swym doradcom będącym hiszpańskimi odpowiednikami marzącego o krucjacie Walsingham. Alba słusznie zapytywał, jakich korzyści można się spodziewać z poparcia angielskich katolików, jeśli przyjdzie za to zapłacić utratą Niderlandów. Całkiem możliwe, że obawy Filipa okazały się uzasadnione i niezależnie od ewentualnej umowy angielscy piraci będą nadal żerowali na handlu hiszpańskim, zaś angielscy protestanci nie przestaną potajemnie pomagać niderlandzkim rebeliantom, ale byłoby to mniej niebezpieczne od jawnego poparcia. W maju 1572 Drake wyruszył na podbój po wodach hiszpańskich, co zdaniem Alby było usprawiedliwionym odwetem za spisek Ridolfiego. Krótko mówiąc, książę przełamał wszelkie opory króla, któremu wytłumaczył, że wojna lub choćby ewentualność wojny z Anglią byłaby niebezpieczna. Na wiosnę 1573 uzgodniono klauzule traktatu i wznowiono handel między oboma krajami.

Stosunek Elżbiety do rewolty w Niderlandach zmieniał się w zależności od nastroju lub obieranej taktyki, niemniej opierał się na trwałych zasadach. Nie żywiła sympatii dla Wilhelma Orańskiego i jego stronników, ponieważ uważała ich za buntowników; darzyła ich

jednak życzliwością jako protestantów - choć warto zaznaczyć, że nawet w tych dwóch prowincjach, które były ośrodkiem rebelii, istniała większość katolicka - ale nie tak wielką, by uzasadniała pomoc dla powstańców. Polityczna dewiza tych czasów brzmiała: cuius regio eius religio, rzeczą władcy było określać wiarę poddanych. Elżbiecie nawet na myśl nie przychodziło protestować przeciw prześladowaniom hiszpańskich lub włoskich heretyków - prawdę mówiąc, nie myśleli o tym także Walsingham i jego przyjaciele. Nie miała żadnej wątpliwości, że jest to problem czysto polityczny, którego nie powinny przesłaniać argumenty religijne. Zapytała wprost ambasadora Filipa, jaką właściwie różnicę zrobi królowi, jeśli Niderlandy "pójdą do diabła na swój własny sposób".

Z politycznego punktu widzenia rebelia dwojako zahaczała o interesy angielskie. Po pierwsze, wszystko zdawało się wskazywać na to, że Filip po pokonaniu powstańców skieruje swe wojska przeciw Elżbiecie, wspierając katolickie "przedsięwzięcie", i uderzy z Niderlandów. Po drugie, jeśli Francji uda się stłumić wewnętrzne walki religijne, wówczas, mając na widoku zagarnięcie Niderlandów, może ona poprzeć rebeliantów holenderskich. Trzeba więc było obrać taką politykę, która pozwoli stawić czoło obu niebezpieczeństwom. Niezwykle stanowcza polityka Elżbiety, mimo pozorów oportunisty, była w zasadzie taka sama jak w stosunku do Szkocji w pierwszych latach jej panowania. Chciała utrzymać suwerenność Hiszpanii w Niderlandach, by nie dopuścić tam Francuzów, ale przy zachowaniu tak silnej arystokracji lokalnej i tak mocno chronionych lokalnych swobód, by Hiszpania nigdy nie mogła wykorzystać tego kraju jako bazy wypadowej na Anglię. Zamknęła przed swymi wrogami zaplecze Szkocji. Teraz chciała zamknąć strategiczne morskie dostępy do Flandrii.

Sprawą najważniejszą było oczywiście podsycanie powstania, póki Filip nie zmęczy się nim i nie zmięknie. Elżbieta mogła chwilowo polegać na awanturniczym temperamencie swego ludu i sympatiach Anglików dla rebeliantów, gdy chodziło o werbunek ochotników i organizowanie pomocy finansowej. Niderlandy stały się dla Anglików akademią wojskową, tak jak piractwo na Kanale i na wodach hiszpańskich było szkołą morską. W ten sposób Anglia zbierała zyski z wojny, nie ponosząc jej kosztów, zaś królowa mogła przykładowo przestrzegać umowy z Filipem. Kiedy w listopadzie 1573 roku na miejsce Alby mianowany został łagodniejszy gubernator, który miał doprowadzić do pokoju, choć nie mógł poczynić koniecznych koncesji, Elżbieta zaczęła się domagać, by jej przyznano rolę mediatora.

Śmierć Karola IX na wiosnę 1574 roku zasnuła horyzont ciemnymi chmurami. Na tego nieszczęsnego młodzieńca, któremu tylko raz jeden udało się wymknąć spod kurateli matki, spadła nominalna odpowiedzialność za masakrę nocy św. Bartłomieja, a wieść gminna,

instynktownie doszukująca się w każdej historii morału lub pragnąca ją przyozdobić barwnymi szczegółami, donosiła o jego straszliwej śmierci, o nocach i dniach, kiedy koszarne zwidy zmasakrowanych trupów szyderczo zwracały ku niemu zakrwawione twarze. Na tronie zasiadł jego brat Henryk III, książę andegaweński, niegdyś starający się o rękę Elżbiety, a teraz ulubieniec partii Gwizjuszów. Po takim królu Elżbieta spodziewała się najgorszego, toteż energicznie uderzyła w strunę przyjaźni z Hiszpanami... „Dobrze rozumiecie, że stare wino, stary chleb i stare przyjaźnie należy cenić, i choćby tylko po to, by pokazać tym Francuzom, którzy chcą się przekonać, czy nasza przyjaźń jest mocna, dać naoczne dowody tych uczuć, które w głębi duszy żywimy.” Zmieniła jednak ton, kiedy się okazało, że Henryk III wzoruje się na umiarkowanych metodach swej matki. Elżbieta uznała, że swą ofertę mediacji w Niderlandach może teraz poprzeć pogroźkami. Powiedziała ambasadorowi, że nigdy nie pozwoli, by Hiszpanie narzucali swą władzę temu krajowi, dobrze bowiem wie, jacy z nich sąsiedzi. Wyobrażają sobie, że mogą zacisnąć pas wokół jej królestwa, bo mają do czynienia tylko z kobietą i narodem kobiet, który garstka Hiszpanów pobije bez trudu. Jej ojciec nigdy nie pozwoliłby im tak daleko się posunąć i ona, choć jest kobietą, wie, jak się ma zachować. Odczekała, aż jej pogroźki zostaną dobrze zrozumiane, i po miesiącu spróbowała wręcz przeciwnej metody. Kazała ambasadorowi usiąść, obsypała wyszukаныmi komplementami i prosiła, by mówił szczerze, zapewniając, że nikt, ale to nikt nie dowie się, co powiedział, bo choć jest kobietą i dlatego można by ją uważać za paplę, to jednak jest królową, która wykształciła w sobie cnotę dyskrecji.

Filip, zmęczony już rebelią i przerażony jej kosztami, naprawdę chciał pokoju, ale stanowczo sprzeciwiał się przyznaniu powstańcom wolności religijnej. Pokój był jednak wciąż jeszcze muzyką dalekiej przyszłości, gdy w marcu 1576 zmarł nowy gubernator. Na jego miejsce król mianował swego brata przyrodniego z nieprawego łoża, Don Juana austriackiego. Był to wybór znamienity. Przed pięciu laty Don Juan, liczący sobie lat dwadzieścia cztery, zyskał światową sławę jako zwycięzca pod Lepanto. Ta bitwa morska z Turkami była podówczas równie głośna, jak w czasach nowożytnych Trafalgar. Jeszcze wcześniej zdobył laury w wojnie z Maurami na południu Hiszpanii. Był najromantyczniejszą postacią swoich dni, trochę marzycielem, bohaterem, któremu wspaniały wyczyn przewrócił w głowie, błędnym rycerzem, cesarskim bastarden poszukującym tronu. Już w roku 1569 mówiono o nim jako o ewentualnym mężu Marii szkockiej. Wielu ludzi, jego samego nie wyłączając, widziało w nim idealnego wodza „przedsięwzięcia” przeciw Anglii. Do Niderlandów udawał się z poleceniem poczynienia ustępstw i doprowadzenia do pokoju. Jemu nie o to jednak chodziło. Filip zgodził się, by po zawarciu pokoju przerzucił swoją

armię do Anglii, wyzwolił Marię, królową Szkocji, i w ten sposób wywalczył sobie żonę i królestwo.

Daremne marzenia! Niderlandy, podobnie jak Irlandia, były grobem sławy. Don Juan zatrzymał się we Włoszech i Hiszpanii, a tymczasem wojska hiszpańskie w Niderlandach zbuntowały się, wpadły w krwiożerczy szal i rozgrażyły Antwerpię. Wyskoki Hiszpanów doprowadziły do sprzymierzenia się prowincji i po przybyciu na miejsce Don Juan, zamiast dwóch zbuntowanych prowincji, zastał cały kraj objęty powstaniem. Nowa sytuacja zmusiła Elżbietę do prowadzenia bardziej aktywnej polityki. Odgadła trafnie tajne zamiary Don Juana i natychmiast pożyczyła powstańcom 20 000 funtów, obiecując gwarantować pożyczkę wysokości 100 000 funtów, co stanowiło połowę jej rocznych dochodów, jeśli zajdzie potrzeba zwolnienia ze służby i odprawienia do domu wojsk hiszpańskich. Tyle tylko, że w takim wypadku powinny wracać drogą lądową, a nie morzem, by nie uległy pokusie zaatakowania Anglii. W kilka miesięcy po przybyciu do kraju Don Juan musiał przypatrywać się temu, jak jego wojska opuszczają Niderlandy zgodnie z życzeniem Elżbiety. Pierwsza runda przeszła po jej myśli i gdyby przywódcy rebelii rzeczywiście zdobyli się na jednoś działania, Hiszpania musiałaby przystać na warunki trwałego pokoju.

Jedności tej zabrakło wszakże wśród przywódców powstania, pokój był częściowy, długo nie potrwał i Don Juan przywołał swe wojska z Włoch, po czym znów zaczął myśleć o "przedsięwzięciu" przeciw Anglii. Zachęcało go do tego papieżstwo, popierające na wszelkie możliwe sposoby jego plany, i książe de Guise, który miał wielką ochotę przyłączyć się do niego. Wrogowie Elżbiety zwierali szeregi. Zakończenie kolejnej wojny domowej we Francji we wrześniu 1577 rozwiązało księciu ręce, mógł więc teraz zająć się popieraniem wszelkich poczynań, skierowanych przeciw Elżbiecie, i - co ważniejsze - dawało pełną swobodę działania królowi Francji, a tego najbardziej się obawiała. Punktem kulminacyjnym stał się Nowy Rok, kiedy wojska Don Juana odniosły świetne zwycięstwo nad powstańcami. Sytuacja przedstawiała się groźnie. Pewien angielski purytanin pisał do swego zagranicznego współwyznawcy: "Oto znaki poprzedzające koniec świata. Szatan ryczy jak lew, świat oszalał, antychryst ucieka się do każdej ostateczności, by z wilczym okrucieństwem pożerać owce Chrystusowe." Doradcy Elżbiety żądali, by wysłała wojsko i pieniądze do Niderlandów. Nie wzbraniała się przed kosztami, nie szczędziła mocnych słów, w razie potrzeby gotowa była działać śmiało, ale wojna oznaczała zdanie się na łaskę losu. Instynkt jej podpowiadał, że lepiej zaryzykować uniknięcie wojny, toteż ku rozpaczycy swych doradców zdecydowała się na opłacenie najemników, którzy pod wodzą jakiegoś niemieckiego księcia mieli pójść na pomoc powstańcom.

Rozwój wydarzeń potwierdził słusność decyzji Elżbiety. Sytuacja nie była tak rozpaczliwa, jak się zdawało, i byłoby szaleństwem prowokować wojnę, a może nawet sprowokować przestraszoną Francję do przyścia z pomocą Don Juanowi. Filip chciał pokoju. Jego finanse wciąż jeszcze przedstawiały się kiepsko po bankructwie we wrześniu 1575 roku. Stał się przeciwnikiem "przedsięwzięcia" i nawet zaczął podejrzewać brata o brak lojalności. Z początkiem roku 1578 posłał do Anglii Bernadina de Mendoza w celu otwarcia ambasady zamkniętej po wypędzeniu hiszpańskiego ambasadora w styczniu 1572 roku. Podatny na nastroje Don Juan popadł w przygnębienie. Spotykały go same niepowodzenia. Stracił zaufanie w Niderlandach, jego ulubiony sekretarz został zamordowany w Hiszpanii - nie wiedział, że za wiedzą króla - dokuczał mu straszliwie brak pieniędzy, jego wojska nie otrzymywały odpowiednich posiłków, nie ufano mu. Czyż mógł z takich przeciwności losu wyczarować zwycięstwo, nie mówiąc już o podboju Anglii? Ostatecznym ciosem była porażka jego wojsk w sierpniu 1578. Załamany na duchu nie przetrzymał ataku febry i zmarł 1 października. Przed dwoma miesiącami zmartwiony Leicester skarżył się zmartwionemu Walsinghamowi na ich panią: "Naszą jedyną królową tylko sam Pan Bóg może obronić i utrzymać cudem." Tym cudem była śmierć Don Juana. Walsingham pisał: "Bóg szczególnymi łaskami darzy Jej Królewską Mość zabierając jej wrogów."

## ***Rozdział piętnasty***

### OSTATNIA

### PRÓBA MAŁŻEŃSTWA

Główni doradcy Elżbiety martwili się, że im więcej ma ona do czynienia z powstańcami niderlandzkimi, tym mniej ich lubi. Pożyczała im pieniądze, choć wiedziała, że spłatę długów odłożą ad calendas graecas; zaofiarowała się gwarantować ich transakcje na rynku pieniężnym swym niezrównanym kredytem, lecz oni naruszyli warunki i próbowali ją oszukać. Nie była zachwycona perspektywą partnerstwa z taką pokłóconą i niegodną zaufania kompanią, która żądała, by Filip podpisał pokój na tak niedorzecznych warunkach, że wojnę mogłoby zakończyć jedynie miażdżące zwycięstwo. W 1578 mógł być je przewidzieć tylko Pan Bóg, a przepowiedzieć tylko jakiś kiep. Pomoc rebeliantom oznaczała wydatki, wydatki i jeszcze raz wydatki

W takim oto nastroju była Elżbieta w ostatnich miesiącach poprzedzających śmierć Don Juana, nic więc dziwnego, że doradcy nie mogli dojść z nią do ładu. Starła się możliwie jak najrzadziej zasięgać ich rady. Leicester postanowił pomówić z nią szczerze, śmiało, bez

ogródek. Wysłuchała go cierpliwie, po czym, ku jego rozpaczy, nadal pozostała przy swoim zdaniu. "Niech Pan Bóg ma ją i nas w swej pieczy!" Burghley narzekał, że przypadło im w udziale "dostrzegać nadchodzące nieszczęścia, którym w żaden sposób nie można zaradzić". Sekretarz Wilson pisał: "Musicie pogodzić się z losem, z konieczności zrobić cnotę i powiedzieć sobie, że tym światem nie rządzi mądrość i rozważa, lecz jakiś ukryty cel lub raczej tragiczne przeznaczenie." „Owca będzie rzucona na pożarcie wilkom, a czymże innym może się to skończyć, jak tylko całkowitą zagładą i zniszczeniem naszego kraju?" Walsingham wtórował: "Pozostał nam tylko jeden ratunek - modlitwa. A gdy ministrowie wróżyli katastrofę, Elżbieta zmieniała kurs. Przyszło jej do głowy, że wyjściem z kłopotów może być książę Alengon. Ten niespokojny młodzieniec, obdarzony szczególnym talentem do robienia intryg we Francji, był cierniem w boku swego brata. Z nastaniem pokoju, a co za tym idzie przymusowej bezczynności, zaczął się interesować możliwościami wykrojenia sobie pięknej ojcowizny w Niderlandach. Przywódcom powstania, nie śmierdzącym groszem, zaiste się poszczęściło; mogli teraz wygrywać tego nieodpowiedzialnego awanturnika przeciw Elżbiecie. Żądał przecież tylko tytułu i zgody na prowadzenie wojny własnym sumptem. Jego poczynania przez pewien czas niepokoiły Elżbietę i gdyby miały zwiastować hegemonię francuską w Niderlandach, gotowa nawet była wysłać armię i zapomnieć o finansowej ostrożności. Bardzo szybko jednak się zorientowała, że Alengon gra na własną kartę. Jego brat Henryk III nie popierał awantury. Targały nim sprzeczne uczucia: z jednej strony obawiał się możliwych konsekwencji, z drugiej natomiast poczuł ulgę pozbywając się domowego kłopotu. Król byłby najszczęśliwszy, gdyby udało mu się doprowadzić do małżeństwa Alengona z Elżbietą i w ten sposób zwalić na nią zmartwienia o swego brata i jego eskapady. Otóż tak się składało, że o małżeństwie - lub przynajmniej o konkurach - myślał również Alengon. Zdawał sobie sprawę, że na zawadzie jego planom stoją obawy Elżbiety, co więcej, rozumiał, że gdy będzie mógł występować jako ewentualny król Anglii, jego kredyt znacznie się poprawi, a potrzebował pieniędzy na utrzymanie armii. Dla Elżbiety konkury zawsze stwarzały doraźne wyjścia z kłopotów, postanowiła więc raz jeszcze nimi się posłużyć. Jeśli uda się utrzymać Alengona w roli pretendenta do jej ręki, widmo wojny z Hiszpanią chwilowo przestanie straszyć, a może nawet zniknie bez śladu. W najgorszym zaś wypadku, jeśli sprawy przyjmą bardzo niepomyślny obrót, wyjdzie za niego za męża. W najlepszym, wykorzysta jego konkury jako parawan dla własnych operacji.

W takich oto zabawnych, choć nie wróżących nic dobrego okolicznościach zaczęły się drugie konkury Alengona. Pierwsze, przyjmowane bez entuzjazmu przez Elżbietę, wlokły się, aż wreszcie przed dwoma laty, w 1576 roku, odłożono je do lamusa. Dlaczego nie miałyby się

to powtórzyć za drugim razem? Walsingham nie ukrywał, że to odgrzewane i stęchłe widowisko budzi w nim obrzydzenie. Daj Boże, by Najjaśniejsza Pani tego poniechała - pisał - „niczym jeszcze nie zyskała sobie takiej nienawiści na świecie, jak tymi konkurami”. Ale tym razem pojawił się w nich nowy czynnik. Alengon osobiście przypuścił szturm, i to z takim temperamentem, że zaistniała obawa, czy nie zawróci Elżbiecie w głowie. Pisał do niej, że jeśli wyjdzie za niego za mąż, zyska sobie sześć łask i przywróci życie ginącemu z tęsknoty za służbą u najdoskonalszej bogini niebios. Kto wie? Gdyby żarliwe słowa i miłosne awanse mogły przysłonić kiepską figurę i dziobaty nochał, być może poddałaby się dziewicza twierdza królewska. Mimo różnicy wieku, wynoszącej dwadzieścia lat, te dwie nastrojone na najwyższy ton dusze zapowiadały wybuchowy związek.

W styczniu 1579 Alengon wysłał do Anglii „swego pierwszego ulubieńca”, Jeana de Simier, barona de SaintMarc, „dworzanina wytwornego, niezwykle wprawnego w miłosnych igraszkach, miłych podstępach i dworskich flirtach”. Pewnego ranka ukradł z sypialni Elżbiety jej nocny czepek i za jej pozwoleniem posłał Alengonowi, który już przedtem dostał od niego trofeum w postaci chusteczki. Jaki pan, taki sługa. Podwójny obstrzał żarliwych listów jednego i żarliwych słów drugiego, w połączeniu z inklinacjami królowej, stwarzał warunki dla gry miłosnej in excelsis. Zdumiony był cały dwór i naród. Ludzie szeptali, że Simier posługuje się lubczykami i innymi niedozwolonymi sztuczkami; plotka głosiła, że zdobył dostęp nie tylko do jej serca, lecz i do ciała. Można było pomyśleć, że spotkały się dwie bratnie dusze. Elżbieta przezwala go „swą małpą”, robiąc aluzję do jego nazwiska, on zaś podpisywał się „d jamais le singe votre”: był najwierniejszym z jej zwierząt. Dworzanie zauważyli, że w jego towarzystwie jest najszcześniejsza i w znakomitym humorze.

Sprawa wyglądała poważnie. Na przełomie marca i kwietnia Rada przewlekłe debatowała nad sformułowaniem zaleceń dla królowej. Członkowie Rady, jak i poprzednio, rozbili się na dwie partie. Walsingham przewodził opozycji bardziej gorliwych doradców, Burghley i Sussex nadal opowiadali się za małżeństwem. Pierwsi przedstawili dziesięć obiekcji; drudzy siedem korzyści plus jednaście niebezpieczeństw. Niektóre obiekcje były bardzo naciągane, inne błahe, jak na przykład trudność z utrafdeniem w gust Elżbiety, bo jak ktoś słusznie zauważył, sercami monarchów rządzi Bóg, a nie ich doradcy. Oczywiście znowu pojawiła się dawna przeszkoda religijnej natury, tym razem jednak mniej ważka, ponieważ Alengon nie był dewotem. Walczył po stronie hugenotów, teraz zaś po stronie holenderskich powstańców, choć jako ewentualny dziedzic tronu francuskiego musiał zachować wiarę katolicką.

Nową przeszkodę, i to rzucającą się w oczy, stanowił wiek królowej. Liczyła sobie lat czterdzieści pięć i gdy dojdzie do zawarcia związku małżeńskiego, będzie miała czterdzieści sześć lat. Walsingham i jego stronnicy podkreślali, że rodzenie pierwszego dziecka w tym wieku jest bardzo niebezpieczne. Pewien ambasador, znany z tego, że lubił powtarzać nieodpowiedzialne plotki, twierdził, jakoby Elżbieta zwołała konsylium lekarskie, by się dowiedzieć, czy może mieć potomka, na co lekarze oświadczyli, że nie widzą żadnych przeszkód. Burghley i jego zwolennicy powoływali się na przypadek księżnej sabaudzkiej, kobiety przywędłej, pod każdym względem ustępującej Najjaśniejszej Pani, która w jeszcze późniejszym wieku wyszła za mąż i mimo to urodziła zdrowego potomka. Podobno znane były i inne przykłady. W przeznaczonym dla Elżbiety raporcie pisali, że "ma płęć najgładszą, najzgrabniejszą figurę, jaką można zobaczyć u dobrze zbudowanej kobiety, wszystkie członki jak najbardziej proporcjonalne i kształtne i w oczach wszystkich mężczyzn natura nie mogłaby w niczym poprawić jej budowy, by zwiększyć prawdopodobieństwo, że poczne i urodzi dzieci bez jakiegokolwiek niebezpieczeństwa". Przekonany był o tym również ambasador francuski, który pisał, że Elżbieta jest tak piękna i urocza jak nigdy dotąd. Nie ma w sobie nic starego poza latami, ale kobiety urodzone pod jej konstelacją nigdy nie 54 bezpłodne i rzadko umierają nie pozostawiając potomstwa. Sam widział w swym domu jeden z cudów świata - Angielkę, swoją sąsiadkę, która licząc lat pięćdziesiąt sześć była w ósmym miesiącu ciąży. A w Anglii nie tylko nikt się temu nie dziwił, lecz co więcej, uchodzi to za rzecz naturalną u kobiet cieszących się dobrym zdrowiem i usposobieniem.

Trwało omawianie warunków małżeństwa. Alenon został zaproszony do Anglii, by poddać się oględzinom. W Londynie stawiano dwa do jednego, że nie przyjedzie, i trzy do jednego, że nie dojdzie do małżeństwa. Purytanie w mieście, prawdopodobnie zachęceni przez swych przyjaciół na dworze królewskim, montowali potężną opozycję. W styczniu znaleziono w sypialni królowej książki przeciw małżeństwu z Alenonem. Nie szczędzono nawet uszu królowej. Kaznodzieje wybierali teraz takie teksty z Pisma Świętego, które pozwalały im jawnie lub skrycie występować przeciw małżeństwu. Przy jednej takiej okazji zerwała się z miejsca i opuściła nabożeństwo w środku kazania. W końcu musiała wydać zakaz posługiwania się cytatami z Pisma Świętego, które nadawały się do tego rodzaju kazań. Simier mimo wszystko nie tracił nadziei. Oświadczył, że poczeka, aż zasłony zostaną zaciągnięte, świeca zdmuchnięta, a jego pan znajdzie się w łóżu, i dopiero wtedy dopowie resztę. Angielscy szlachcice w Mediolanie zamawiali wspaniałe stroje w związku ze spodziewanym weselem.



Alengon w przeciwieństwie do arcyksięcia Karola był za bardzo uparty i porywczy, by tracić czas na rokowania lub też liczyć się z przyzwoitością, co tylko opóźniało rozstrzygnięcie. W połowie sierpnia, lekceważąc przestrogi brata, przekradł się w przebraniu do Anglii. Na dworze nikt poza królową i Simierem nie wiedział lub nie powinien być wiedzieć o jego wylądowaniu. Wczesnym rankiem zjawił się w sypialni królowej, pogrążonej jeszcze we śnie, i nie można mu było przeszkodzić, gdy podbiegł do niej i pocałował ją w rękę. Simier zawiadomił ją potem, że ułożył swego pana między dwa prześcieradła, dodając: "Szkoda tylko, że nie przy twoim boku." Nie ulega wątpliwości, że Alengon umiał stawiać na swoim. W ciągu tych kilku lat trochę wyprzystojniał, reszty dokonało żywe usposobienie. Elżbieta powiedziała mu, że odmalowano go jako szkaradnego garbusa i kalekę, lecz ona uważa, że jest wręcz przeciwnie, bo widzi przed sobą bardzo przystojnego mężczyznę. Zaczął się trzynastodniowy flirt, wzajemne śluby i piękne obietnice. Wymieniono cenne prezenty. Wpisała go na listę swych ukochanych zwierzątek i nadała mu przydomek "Żaba". Czas jednak mijał szybko i trzeba było się pożegnać. Simier pisał, że jego pan przez całą ostatnią noc wzdychał i jęczał, że zbudził go o świcie, by rozmawiać o boskiej urodzie królowej, że po tysiąkroć zaklinał się, iż umrze, jeśli wkrótce znów jej nie zobaczy. Sam Alengon wysłał cztery listy z Dover, trzy z Boulogne; pisał, że jest niepoczyszony i tonie we łSach. Kreślił się jako jej najwierniejszy i najczulszy niewolnik, całował jej stopy znad brzegów morza, które odbiera mu wszelką pociechę.

A tymczasem w Londynie i całym kraju narastały zatrwazająco wrogie nastroje; atmosfera zdawała się przypominać czas, kiedy małżeństwo Marii z Filipem budziło tak samo wielkie sprzeciwy. Hiszpański ambasador uważał, że szykuje się rewolucja. We wrześniu wydrukowany został potajemnie pamflet pod tytułem: Odkrycie ziejącej przepaści, w którą wtrąci Anglię kolejne francuskie małżeństwo, jeśli Pan temu nie przeszkodzi, wyjaśniając królowej, że jest ono grzechem i zasługuje na karę. Pamflet rozrzucono w Londynie i kolportowano na prowincji. Napisał go John Stubbs, ziemianin z prawniczym wykształceniem, którego siostra była żoną najznakomitszego teologa partii purytańskiej. Ten popędliwy fanatyk, zapamiętały w swych uprzedzeniach Anglik, przemawiał z głębokim oburzeniem jako zatroskany i wierny poddany królowej. Jeśli Alencon wprowadzi swą mszę w Anglii, zacznie się ona szerzyć lotem błyskawicy, rozpalając pożar, którego nie ugasi morze, rujnując Kościół w kraju i za granicą. Jest on potomkiem rodu przeżartego chorobą, napiętnowanego widomymi znamionami, które zemsta Boża wycisnęła na ich ścierwach za powszechnie znane okrucieństwa. Jego gorliwe zabiegi o rękę królowej teraz właśnie, gdy dla Elżbiety wiek czyni rodzenie dzieci największym niebezpieczeństwem, to zwyczajny

francuski podstęp. Niechże Jej Miłość wezwie swych najwierniejszych i najmądrzejszych lekarzy i zaklinając ich na sumienie, lojalność i oddanie całemu krajowi, każe powiedzieć całą prawdę, bez względu na to, czy się ona komu spodoba, czy też nie, a dowie się, jak wielka jest groźba śmierci.

Elżbieta wpadła w straszliwy gniew. Nie bez powodu. Pamflet obrażał naród, z którym wypadało jej utrzymywać przyjazne stosunki, zniesławiał jej gościa i podburzał lud, „wzywając do buntu jak trąba rozbrzmiewająca nad uchem każdego poddanego”. Wydała długą proklamację, którą władze miały odczytać wszystkim kompaniom w Londynie, zaś biskupi klerowi. W katedrze Sw. Pawła specjalnie wyznaczony kaznodzieja wysławiał rządy królowej i zapewniał, że została wychowana i wykształcona w Chrystusie, że dzięki Chrystusowi zasiadła na tronie i panuje, że będzie żyła i umrze w Chrystusie. „Ludzie, zdawało się, jednogłośnie dziękowali Bogu” za to zapewnienie, ale „marszczyli brwi, gdy ostro i zaciekle atakował autora książki”, uważali go bowiem za człowieka bogoboju i prawdziwie kochającego królową. Podobnie zachował się kler londyński. Kiedy biskup sławił królową, duchowni płakali tak, że i jego do płaczu skłonili, ale niektórzy z uporem powtarzali, że muszą nawoływać swych wiernych do modłów i postów w związku z grożącym niebezpieczeństwem, biskup więc obawiał się ściągać ich zbyt gromadnie na swe pouczenia, by londyńczycy nie dowiedzieli się o szerzących się w kraju narzekaniach i pretensjach i nie stali się przez to jeszcze gorsi.

Stubbs, jego drukarz i wydawca zostali aresztowani i postawieni przed sądem. Rzecz znamienna, sądzono ich na podstawie uchwały parlamentu, która miała chronić Filipa jako króla Anglii. Wyrok skazujący na utratę prawej ręki i więzienie nie był złośliwy, jeśli weźmiemy pod uwagę ciężar przestępstwa i obyczaje wieku, choć niewątpliwie nie świadczył o rozwadze i miłosierdziu. Znaleźli się tacy, co uważali, że jest niezgodny z prawem, zaś sędzia, który wyrok potępił, oraz adwokat, który głośno wypowiedział swe zdanie - obaj przed kilku jeszcze laty należący do hałaśliwej opozycji parlamentarnej - trafili do więzienia. Tym razem Elżbiecie nie dopisała rozwaga. Drukarza ułaskawiła, ale pozostali dwaj musieli odcierpieć. Obaj wygłosili na szafocie wiernopoddańcze przemówienia do zebranego tłumu. Stubbs zakończył swoje grą słów: „Módlcie się za mnie, bo moje nieszczęście jest pod ręką”, a kiedy mu odcięto prawą rękę, lewą zdjął kapelusz z głowy, zawołał: „Boże, chroń królową”, i zemdłał. Wydawca uniósł w górę swój okrwawiony kikut i powiedział: „Tu oto postradałem rękę uczciwego Anglika”, po czym, znakomicie panując nad sobą, dzielnie odmaszerował. W tłumie panowało głębokie milczenie.

Parlament miał się zebrać 20 października, by zatwierdzić projekt małżeństwa, lecz Elżbieta postanowiła odroczyć obrady o jeden miesiąc. Nastroje były takie, że zanosilo się na bunt w Izbie Gmin, a to przekreśliłoby wszystkie plany. Na początku października królowa zażądała, by Rada wyraziła swe zdanie. Posiedzenia Rady trwały kilka dni, bo doszło do potyczek słownych. Podobno jedno z nich trwało od ósmej rano do siódmej wieczór i przez ten cały czas nikt nie ruszył się z miejsca. Walsingham nie brał w nim udziału, ale siedmiu członków Rady, w tym Leicester i Hatton, wypowiedziało się przeciw małżeństwu, zaś pięciu, pod stanowczym przywództwem Burghleya, za małżeństwem. Początkowo postanowiono przedstawić królowej jedynie argumenty za i przeciw, pozostawiając decyzję jej mądrości "oświeconej duchem Bożym"; następnie, być może za namową Burghleya, Rada zmieniła postanowienie i uznała, że wpiery należy ją zapytać o zdanie i dopiero potem wyciągnąć jakieś wnioski.

Taki stan rzeczy zapowiadał fiasko planów małżeńskich, można bowiem było przewidzieć, że niezależnie od pierwszej reakcji, Elżbieta na pewno usłucha swego zdrowego instynktu odradzającego jej trwanie w uporze w obliczu podzielonych zdań w Radzie i nieprzychylnego nastawienia ludu. Kiedy rano przybyła do niej czteroosobowa delegacja, rozplakała się i wystąpiła z pretensjami. Jakże mogą wątpić o tym, że najlepszym wyjściem dla niej osobiście i dla kraju będzie małżeństwo i wydanie na świat potomka, który utrzyma linię Henryka VIII? Przeklinała chwilę słabości, kiedy pozwoliła Radzie dyskutować nad tą sprawą, ale spodziewała się, że wszyscy bez chwili wahania zażądają, by wyszła za mąż. Jest za bardzo zdenerwowana, by podjąć jakąkolwiek decyzję, więc prosi ich, by wrócili po południu. Kiedy zjawili się ponownie, była już bardziej opanowana i skłonna do dyskusji. Zbeształa przeciwników małżeństwa i szczegółowo wyłożyła przemawiające za nim argumenty. Delegaci, po naradzeniu się z kolegami, ofiarowali jej następnego dnia swe poparcie, wzruszeni, jak mówili, z dwóch powodów: po pierwsze, przekonali się, że chce wyjść za mąż, by mieć potomka, po drugie, bo powiedziała, że chce Alencona i nikogo innego i że nie jest mu nieprzychylna. Królowa raz jeszcze zbeształa tych, którzy byli przeciwni jej planom, ale nie zdradziła, jak zamierza postąpić.

Tak więc kielich małżeństwa został odjęty od warg Elżbiety. Była to jej ostatnia, a właściwie jedyna szansa. Wyszłaby za mąż za Leicestera, gdyby złowrogie konsekwencje takiego kroku nie były tak oczywiste. Swoją karierę stawiała wyżej. Arcyksięcia Karola nie widziała na oczy, a czy to z politycznej rozwagi, czy też ze względów osobistych, nie mogła się zdobyć na poślubienie nieznanego. Gdyby arcyksiążę, tak jak Alengon, zaryzykował swą godność i przyjechał do Anglii, koronowana panna na wydaniu prawdopodobnie nie

byłaby tak skłonna dokonać żywota”na dziewiczych rozmyślaniach, dając wolę wyobraźni”. Ale konieczność ma niezawodne argumenty, nie należy się więc dziwić Elżbiecie, że wciąż jeszcze w czterdziestym szóstym roku życia doceniająca męską urodę uznała, iż inteligencja Alengona aż nadto wynagradza jego fizyczne niedostatki. Zapewne w grę wchodziły różne motywy. Dała się przekonać politycznym argumentom Burghleya i jego przyjaciół, choć, jak się zdaje, nie bardzo ją wzruszały, póki nie zjawił się Simier w roli swata, a po nim jego pan. Przeszkody religijne, które okazały się nie do przewyciężenia w pertraktacjach z arcyksięciem, w przypadku Alengona nie odgrywały większej roli; słusznie chyba uważała, że jego katolicyzm niewielką lub zgoła żadnej nie może wyrządzić szkody. Ale przesłanki polityczne to jeszcze nie wszystko. Choć trudno jest zajrzeć w serce tej mistrzyni pozorów, wydaje się, że szczerze i, co tu mówić, smętnie marzyła o mężu i dzieciach. Jakże bowiem inaczej moglibyśmy sobie wytłumaczyć jej niewątpliwie szczere łzy w obecności czterech najbardziej zaufanych doradców? Oczywiście, w jej wieku urodzenie pierwszego dziecka było wielce ryzykowne, ale nie jest tu ważny punkt widzenia współczesnej wiedzy medycznej, tylko wiara królowej, którą całym sercem podzielał jej najwierniejszy sługa, Burghley.

Utarczka z Radą oznaczała definitywne przekreślenie planów małżeńskich, lecz Elżbieta nadal kaprysiła, jak przed laty, kiedy chciała wyjść za Leicestera. Walsingham próbował z nią rozmawiać, ale mu powiedziała, żeby się wynosił, bo umie tylko bronić purytanów. Pomstowała na bogobożnego Knollysa: czyż nie ma prawa, jak inne kobiety, pragnąć dzieci? Hattonowi też się dostało. Krytyków pędziła lub oddalała od siebie. Przez dwa miesiące, a może i dłużej nie przyjmowała Walsinghama i Leicestera.

Rzecz zrozumiała, że najdotkliwiej odczuł gniew Elżbiety Leicester. W tym właśnie krytycznym momencie Simier i ambasador francuski donieśli jej, że Leicester się ożenił, o czym, jak widać, nikt na dworze nie śmiał przy niej wspomnieć. Zrobił to już przed rokiem. Poślubił córką sir Francisa Knollysa, owdowiałą hrabinę Essex, o której plotka londyńska głosiła pod koniec roku 1575, że pod nieobecność swego męża, przebywającego podówczas w Irlandii, miała dwoje dzieci z Leicesterem. Nie była to zresztą jego jedyna przygoda miłosna. Miał syna z lady Sheffield w 1574 roku i podobno rok wcześniej się z nią ożenił, ale potem ją rzucił. Chyba nie warto dociekać, co naprawdę zgniewało Elżbietę. Być może wiedziała o jego romansie z lady Sheffield, może doszły ją plotki o Lettice Knollys, może nawet poczuła przypływ irracjonalnej zazdrości. Nie ulega jednak wątpliwości, że potajemne małżeństwo Leicestera obrażało ją jako królową. Jej mówił, że nie powinna wychodzić za mąż, a skrycie zażywał przyjemności. Nie ukrywała i nie próbowała uśmierzać swego

gniewu. Leicester żalił się nad sobą i skarżył Burghleyowi, że stracił młodość, wolność, że zdał się bez reszty na łaskę królowej, wobec której”w ciągu wielu lat spędzonych razem bardziej był pokorny niż chłop pańszczyźniany jak długo pozostawiała mu choćby jedną pocieszającą kroplę nadziei”. Poniekąd miał rację. Konkurował z królami, postawił na na j świetnie j szą stawkę i przegrał.”Puste słowa, szydercze śmiechy, nieprzespane noce i płaszczenie się we dnie” - los tych, którzy kochają się w”splendorach życia, próżności dworu i dmuchawcach ambicji”, stał się jego udziałem. Wynagradzała mu to jednak władza, wpływy, monarsza rozrzutność. Jeśli zaś chodzi o miłość - profanujemy to słowo w tym kontekście - no cóż, pocieszał się, jak umiał.

Bitwa o Alengona trwała. Wszystko wskazywało na to, że Elżbieta ma zamiar go poślubić.’ Byłoby jednak bez sensu chować głowę w piasek. Oddalając przeciwników małżeństwa z dworu osiągała tylko tyle, że ich nieobecność stawała się zauważalna i świadczyła o nierozwadze królowej, u niej zaś na dłuższą metę zawsze zwyciężał rozsądek. Sesję parlamentu przełożono z listopada na styczeń, ona jednak wciąż się wahała i w ciągu jednego dnia trzykrotnie zmieniała decyzję. Podpisane następnie artykuły kontraktu narzeczęńskiego zawierały klauzule, które dawały jej dwa miesiące zwłoki na uzyskanie aprobaty ludu dla swej decyzji. Była to zarazem furtka umożliwiająca wycofanie się. Pod koniec listopada wyjechał Simier; pozostały przyjemne wspomnienia, ale zabrakło rzecznika, który umiałby przekonywać. Uczucia wędły szybko. W styczniu 1580 roku parlament znów odroczone i pod koniec miesiąca Burghley musiał ze smutkiem przyznać się do przegranej. Linia Henryka VIII skazana była na wygaśnięcie. Teraz już przyszłość rysowała się wyraźnie, w pełni uzależniona od tego, jak długo pożyje królowa i czy przeżyje Marię szkocką. W toku debaty małżeńskiej niektórzy członkowie Rady twierdzili stanowczo, że stan zdrowia Elżbiety pozwala się tego spodziewać, uważali wręcz, że ma szansę przeżyć Alengona. Zresztą dwa lata później pewien cudzoziemiec, nie mający żadnego powodu przeinaczać faktów, utrzymywał, że królowa wygląda bardzo młodo jak na swe lata.

Zdławiony został impuls do małżeństwa, nadal jednak zachowały aktualność względy czysto polityczne, nakazujące jej i Alengonowi wznowić przed rokiem konkury. Te właśnie względy nie pozwalały przerwać gry. Dla Elżbiety stwarzały wyjście z kłopotliwego dylematu: z jednej strony musiała dbać o to, by powstanie w Niderlandach nie wygasło, z drugiej zaś chciała zachować opcję na bliższy alians z Francją, gdyby zaistniała taka potrzeba, a w miarę upływu miesięcy alians taki wydawał się coraz bardziej niezbędny. Śmierć Don Juana nie stała się bynajmniej wydarzeniem opatrnościowym dla Niderlandów, gdyż jego następca, książę Farmy, przejawiał talenty dyplomatyczne nie ustępujące talentom wojskowym

swego poprzednika. W ciągu siedmiu miesięcy potrafił nakłonić prowincje południowe, czyli walońskie, do ponownego zadeklarowania swej wierności Filipowi. Pomoc zagraniczna, jak zawsze, stanowiła warunek podtrzymania rebelii. Powstańcy poszli o krok dalej w swej nieustępliwości, wypowiadając posłuszeństwo Filipowi i ofiarowując Alenconowi władzę suwerenną. Pokój w Niderlandach, na którym tak zależało Elżbiecie, okazywał się coraz odleglejszy, zaś nowy tytuł Alencona budził w niej obawy. Coraz bliższa natomiast stawała się perspektywa wojny. Chwilowo więc ograniczała się do dawnej polityki posługiwania się Alengonem jako parawanem, on zaś sądził, że rosła jego szansa jako konkurenta do jej ręki.

Pozostawało pytanie, jak długo będzie mogła Elżbieta bezkarnie przysparzać swym wrogom kłopotów, sama ich unikając? „Niedługo”, brzmiałaby odpowiedź, gdyby papieżowi udało się zarazić Filipa entuzjazmem dla świętej wojny.

Gorliwość papieska doprowadziła już do przygotowania dwóch ekspedycji przeciw Elżbiecie, które miały wyruszyć z Irlandii. Ten kraj moczarów i borów - zamieszkały przez lud prosty, o prymitywnych obyczajach, łączący religijne i patriotyczne uczucia - stwarzał niezwykle trudne problemy natury finansowej i wojskowej. Pierwsza ekspedycja papieska wyruszyła z Italii na początku 1578 roku na przegniłym okręcie. Żołnierzami, którzy chcieli uciec, dowodził umięjący wzbudzić zaufanie osławiony awanturnik i renegat Thomas Stukely, rzekomy bastard Henryka VIII. Po przybyciu do Portugalii przyłączył się ze swymi ludźmi do lekkomyślnej krucjaty młodego króla w Afryce i w straszliwej bitwie pod Al Kasr al Kabir stracił obie nogi. Przeszedł w ten sposób z historii do legendy jako Dick Turpin swoich czasów. Druga ekspedycja dotarła do Irlandii w lipcu 1579. Na jej czele stał potomek arystokratycznego irlandzkiego rodu wyposażony w święta chorągiew i papieskiego agenta, wybitnego księdza angielskiego, zaciętego wroga swego kraju. Ta garstka ludzi sama nic by nie zdziałała, lecz wywołała nowe powstania, a ponieważ przybyła z zagranicy, wydawała się zapowiedzią interwencji mogącej zamienić Irlandię w drugie Niderlandy. We wrześniu 1580 faktycznie nadeszły posiłki w liczbie około sześciuset ludzi, z obfitymi zapasami broni dla Irlandczyków. Rozprawiono się z nimi krótko. W ciągu dwóch miesięcy zostali otoczeni, zmuszeni do bezwarunkowej kapitulacji i wycięci niemal w pień. Przybyli w imieniu papieża, ale Lord Namiestnik nie uznał prawa prowadzenia wojny przez człowieka, którego władza nie pochodziła ani od Boga, ani od ludzi, będącego jedynie „nędznym klechą, prawdziwym antychrystem i głosicielem diabelskiej nauki”.

Filip II nie miał co prawda ochoty prowokować Elżbiety takimi błahymi incydentami, niemniej pozwolił na zorganizowanie wyprawy w 1580 roku w Hiszpanii, a ponadto wśród Włochów tworzących trzon ekspedycji znalazła się garstka Hiszpanów. Być może do takiej

nieostrożności skłoniła go wiadomość, która dotarła do Europy u schyłku lata 1579, a dotyczyła pomysłu przeprawy Drake'a przez Cieśninę Magellana i bajecznych łupów, jakie zdobył płynąc po Pacyfiku, wzdłuż wybrzeża Ameryki Południowej. W Anglii akcjonariusze wyprawy nie posiadali się z radości. Podekscytowani londyńczycy rozprawiali tylko o tym, jak by się tu przyłączyć do grabieżczej gry. Piractwo nie uchodziło za zajęcie niegodne człowieka szlacheckiego, zaś w oczach tych fanatycznych protestantów, kupujących kolorowe obrazki z wizerunkami "trzech tyranów świata" - papieża, Nerona i Turka - Hiszpanie stali poza prawem. Martwili się tylko kupcy handlujący z Hiszpanią.

Elżbieta nie bez powodu z troską śledziła rozwój wydarzeń w roku 1580. Zbliżała się przecież nie rokująca nic dobrego zmiana na tronie portugalskim. Młody król, podobnie jak Stukely, zginął bezpotomnie w bitwie o Al Kasr; jego następcą został stryjeczny dziadek króla, kardynał w bardzo podeszłym wieku. Był już umierający. Filip II, mając największe prawa do sukcesji, pośpiesznie szykował armię i flotę, by zdobyć tron siłą. Aneksja Portugalii i jej kolonii przez Filipa sama przez się była złem dostatecznym" lecz Elżbieta obawiała się ponadto, że flota, którą on przygotowuje" będzie wysłana przeciw Anglii. Na początku 1580 roku odbył się w Anglii przegląd wojsk, flotę na wszelki wypadek postawiono w stan pogotowia, królowa zaś żartem zagadnęła ambasadora hiszpańskiego Mendozę, czy przybył jako zwiastun wojny. W lipcu armia Filipa zajęła Portugalię. Tuż po tym nadeszły z Hiszpanii posiłki dla papieskiej ekspedycji w Irlandii. I tegoż miesiąca wrócił Drake ze swym bajecznym łupem, po opłynięciu całego świata.

Gdyby w tej bardzo ciężkiej chwili, kiedy rozdrażnianie Hiszpanii wydawało się szaleństwem, Elżbieta się zlekła i poświęciła Drake'a, by pozyskać Filipa, można by jej krok taki wybaczyć. Ona jednak śmiało, wręcz wyzywająco zagrała *va banque*, gdyż liczyła na to, że Francja jest przerażona aneksją Portugalii, a zresztą miała w rezerwie atut Alencon. Kazała więc Mendozie wytłumaczyć się z obecności Hiszpanów w Irlandii, uprzedzając w ten sposób jego pretensje o Drake'a, po czym przez długie miesiące nie przyjmowała go pod pretekstem, że Filip jej nie przeprosił. Filip uznał to za bezczelność; przecież ona nie miała nawet zamiaru tłumaczyć się % tego, że od lat udziela pomocy holenderskim rebeliantom! Podobnie jak Mendoza, był zaniepokojony jej] niegodziwą taktyką, ale dzięki niej właśnie mogła Elżbieta zrobić z Drake'a bohatera i być może uratować łup Przesłała Drake'owi rozkaz, by wziął część łupu wartości 10 000 funtów,"co ma zachować wyłącznie do swej wiadomości"; w ten sposób, gdyby się okazało, że będzie trzeba łup zwrócić, on nie straci nagrody. Przyjęła go oficjalnie na dworze, zachwycała się jego opowieściami i w dzień Nowego Roku włożyła koronę otrzymaną od swego "magnifico", wysadzaną pięcioma

wspaniałymi zagrabionymi szmaragdami. Czwartego kwietnia udała się do Deptford, by przeprowadzić inspekcję jego okrętu "Golden Hind". Powiedziała, że ma ze sobą złoty miecz, którym uderzy go w głowę, i zażądała od francuskiego ambasadora, by go nobilitował. Ambasador zdobył przy tej okazji trofeum w postaci amarantowej i złotej podwiązki, która zsunęła się z nogi królowej. Przesłał ją później Alenonowi dla uzupełnienia jego kolekcji. Królowa włożyła ją z powrotem w jego obecności, lecz później oddała mu jako zasłużoną nagrodę.

W tym samym 1580 roku wylądowali w Anglii pierwsi jezuici. Mieli nakłaniać ludzi do powrotu do starej wiary. Już w 1568 jeden z uchodźców założył seminarium w Douai w Niderlandach, w którym wychowywała się katolicka młodzież angielska. Przekształciło się ono z czasem w seminarium kształcące księży świeckich. W 1579 roku powstało następne kolegium w Rzymie, kierowane przez jezuitów. Studenci tego kolegium składali śluby powrotu do Anglii "dla ratowania dusz" i do tego starannie ich przygotowywano. Kiedy walka z rządem angielskim przybrała na sile i stało się rzeczą oczywistą, że czeka ich okrutna śmierć jako zdrajców, podczas ćwiczeń duchowych zaczęto ich uczyć kontemplacji męczeństwa i przeżywania w wyobraźni upokorzeń i koszmarów więzienia, sądu i egzekucji, tak że w końcu śmierć - śmierć zdrajcy - traciła swe żądło i stawała się dla nich upragnioną drogą do korony męczeńskiej. Najlepsi spośród tych studentów, ożywieni wzniosłymi ideami kontreformacji i przejęci wielkością sprawy, o którą walczyli, wyzbywali się wszelkiej myśli o sobie, podobnie jak protestanci męczennicy za panowania Marii. Święty Filip Neri zwykł był ich pozdrawiać na ulicach Rzymu słowami: *Salvete flores martyrum*, zaś ich kolegium nazywano Seminarium Męczenników.

Od roku 1574 napływała do Anglii stale wzbierająca rzeka księży misjonarzy z seminarium w Douai. Jezuici zasilili ją w 1580 roku, wzbudzając niezwykłą panikę, częściowo dlatego, że ożyło przekonanie o istnieniu świętego przymierza przeciw Anglii, częściowo ponieważ przybywali prosto od papieża, "riajglówniejszego wroga królowej i tego państwa", z którym przecież łączyły Towarzystwo szczególne więzy, częściowo wreszcie ze względu na to, że ich przywódcy, Parsons i Campion, byli bardzo wybitnymi postaciami. Parsons miał instynkt polityczny, świetne talenty organizacyjne, wybuchowy temperament i ostry język w polemikach, Campion natomiast był duchownym wykształconym i świątobliwym. Należało do nich zbawianie dusz: zabroniono im wtrącać się do polityki choćby - bo przywódcy katolików byh niepoprawnymi spiskowcami - "znajdą się przypadkiem w towarzystwie ludzi znanych od dawna z wierności i wypróbowanych". Okazało się to wygodną furtką dla człowieka pokroju Parsonsa. W rok później furtka ta została zamknięta



jako zbyt niebezpieczna. Bulla papieska z 1570 roku stanowiła oczywistą przeszkodę dla "takich świętych, pokojowych i zacnych starań zwykłych uczciwych ludzi". W celu uniknięcia politycznego zabarwienia misji, ojcowie jezuici zostali upoważnieni do zwalniania katolików od obowiązku przestrzegania bulli, "jak długo trwa obecny stan rzeczy". Innymi słowy, konwertyci mogli dopóty dochowywać wierności Elżbiecie, dopóki ktoś nie wprowadzi w życie papieskiego wyroku detronizacji. Z punktu widzenia Elżbiety oznaczało to, że księża misjonarze mieli nakłaniać Anglików do ewentualnej nielojowości.

Rząd odpowiedział na to prześladowaniem księży jako zdrajców. Litujemy się nad ofiarami, ale nie zapominajmy, że i sprawiedliwości należy przyznać jakieś miejsce. Nie ulega kwestii, że niektórzy księża ocierali się, a nawet po uszy zabrnęli w działalność antypaństwową. Większość zajmowała się jedynie zbawianiem dusz, usiłując zachować rozróżnienie między religią a polityką; co prawda w elżbietańskiej Anglii ściśle przestrzeganie takiego rozgraniczenia wymagało wielkiej rozwagi. Tragedią misjonarzy było to, że sam papież, jego pomocnicy, założyciel seminarium w Douai i inni przywódcy Kościoła, przejęci średniowiecznym duchem krucjaty, wręcz uniemożliwiali wprowadzanie w życie tych dobrych intencji. Papiestwo bez wypowiedzenia prowadziło wojnę przeciw Elżbiecie, co więcej, skłonne było zachęcać swych zwolenników do zamordowania królowej. Sekretarz papieża tak oto odpowiedział w grudniu 1580 roku na pytanie postawione mu w imieniu kilku jezuitów angielskich: "Jako że tak grzeszna Angielka panuje nad dwoma szlachetnymi królestwami chrześcijańskimi i jest przyczyną tak licznych szkód wyrządzonych wierze katolickiej oraz utraty tylu milionów dusz, nie ulega żadnej wątpliwości, że ten, kto ją wyprowadzi z tego świata w zbożnej intencji służenia Bogu, nie tylko nie popełni grzechu, lecz wręcz policzone mu to zostanie za dobry uczynek." Papiestwo nieustannie starało się doprowadzić do "angielskiego przedsięwzięcia", czego najświeższym przejawem była żalosna ekspedycja irlandzka. Zawsze brało pod uwagę i liczyło na katolickie powstanie w samej Anglii. Można by więc uznać, że misjonarze faktycznie zajęci byli ułatwianiem obalenia Elżbiety.

Księża odnosili niezwykle sukcesy. Poruszali się po kraju w przebraniu, ukrywali się w coraz to innych domach ziemiańskich, tropieni, szpiegowani, ścigani, aż strach wyzwał ich od strachu. Świecili katolikom przykładem, przywracali dyscyplinę i kładli kres dwudziestoletnim wahaniom i kompromisom. Ich działalność przekreślała nadzieje Elżbiety na pokojowe wchłonięcie kraju przez Kościół anglikański i podniecała opinię protestancką. Donośniej i ostrzej zabrzmiała nuta purytańskiego nacjonalizmu. Głównym przedmiotem obrad parlamentu, który się zebrał na początku 1581 roku, było zagrożenie katolickie.

Panowała na tej sesji atmosfera mściwego gniewu i dumnej pewności siebie. Posłowie oburzali się na papieża i jego najświeższych emisariuszy, "hipokrytów nazywających siebie jezuitami, hałastrę wędrownych mnichów świeżego miotu, krążących po świecie, by zakłócać spokój Kościoła Bożego". Byli pewni siebie, bo uważali, że klątwy papieża nie mogą wyrządzić krzywdy szczerym Anglikom, zaś błogosławieństwa nie uchronią jego zwolenników od kary, którą potrafią im wymierzyć. Gotowi byli wszystko poświęcić w obronie swej wiary i królowej, "władczyni - jak to powiedział jeden z mówców - o której z długiego doświadczenia wiemy, że jest główną obrończynią Ewangelii, cnotliwej, mądrej, wiernej, sprawiedliwej, nieskalanej w słowie i czynie, miłosiernej... królowej nie tylko w tym szlachetnym królestwie, naszym kraju ojczystym, lecz ponadto na całym świecie cieszącej się sławą".

Łatwo byłoby dopuścić do tego, by nastroje panujące w Radzie i parlamencie wzięły górę nad rozważą, trudno zaś temu przeszkodzić. Uchwalono drastyczne prawa i w okresach kryzysów mniej lub bardziej ściśle je egzekwowano. Ale obowiązywało rozumne rozróżnienie między laikatem i księżmi, między tymi, którzy już byli katolikami, a tymi, którzy się dopiero nawracali. Nie brakło też umiaru w stosowaniu praw. Nie ulega wątpliwości, że była to przede wszystkim zasługa samej królowej. Jej nowoczesna w zasadzie mentalność dyktowała świeckie podejście do problemu, budziła w niej niechęć do przelewu krwi i skłaniała do względnej tolerancji. Maria, będąc przede wszystkim katoliczką, a dopiero potem Angielką, zwalczała protestantyzm jako herezję i posłuszna swym instynktom religijnym uciekała się do sądu duchownych i szafotu. Elżbieta prześladowała - jeśli już koniecznie musimy użyć tego określenia - w imię patriotyzmu, za pomocą świeckich sądów i świeckich kar. Wierzyła głęboko, że naród jest jej wierny, i ta duma kształtowała jej postawę. Doradcy nieustannie uskarżali się na jej pobłażliwość. We wrześniu 1582 roku Leicester pisał do Walsinghama: "Największe moje zmartwienie to przeświadczenie królowej, że rozmnożenie się papistów w jej królestwie nie stanowi żadnego zagrożenia... Jeśli przez jeszcze choćby rok pozwoli, by się mnożyli tak jak w ostatnich dwóch czy trzech latach, to będzie za późno, by temu zaradzić."

Groźna sytuacja w kraju, teraz z kolei niebezpieczna sytuacja w Szkocji po ostatnich wydarzeniach, zagrożenie z zagranicy - wszystko to zmuszało Elżbietę do kurczowego trzymania się Francji i Ałengona, bo tylko w ten sposób mogła stawić czoło katolickiej nawałnicy. Nadal więc prowadziła swą zmienną politykę, konfundując nawet Burghleya i doprowadzając Walsinghama do rozpacznie nieustannymi zmianami frontu. O małżeństwie pisał: "Jeśli uważasz je za słuszne..." „Jeśli nie uważasz, że jest ono słuszne..." Teraz wołałaby

właściwie alians z Francją bez małżeństwa, bo w ten sposób uzależniłaby Alengona od jego brata, ale ani król, ani Katarzyna Medycejska nie dawali się wciągnąć w tę pułapkę. Oboje chcieli przywoździć wciąż zwodzącą Elżbietę małżeństwem, zwalić jej na kark awanturnika Alengona i ewentualnie zmusić ją do sfinansowania wojny z Hiszpanią. Obawiali się, że ona chce ich pchnąć do wojny, by potem zostawić własnemu losowi. Katarzyna próbowała nawet odwieść syna od zajmowania się Anglią i namawiała go, by ożenił się z Hiszpanką. Elżbieta natychmiast zareagowała przyływem zainteresowania dla konkurów. Odrącenie ich wiązało się ze zbyt wielkim ryzykiem. I tak sprawy toczyły się dalej.

Alengon chciał się zenić, w najgorszym wypadku chodziło mu o pieniądze. Na to był tylko jeden sposób - wymknąć się chyłkiem do Anglii. Jeśli Elżbieta nie zechce wyjść za niego, to będzie musiała zapłacić, by się go pozbyć. W maju 1581 roku pełen zapалу wsiadł na okręt w Dieppe, ale morze się rozszalało, Alengon się pochorował i okręt musiał wrócić do portu. Pisał, że trzeba by lepszego niż on oratora, by zrelacjonować te nieszczęścia. W lipcu Elżbieta czule i tkliwie zawiadomiła go, że nie może wyjść za mąż i "choć jej ciało do niej należy, duszą cała jemu jest oddana". W miesiąc później pożyczyła mu 30 000 funtów na sfinansowanie jego niderlandzkiej przygody, ale to było za mało. Brat nie chciał mu pomóc, znalazł się w rozpaczliwej sytuacji. Pod koniec października ponownie wymknął się, by odwiedzić królową, której śliczną podwiązkę przechowywał jako talizman mający zapewnić zwycięstwo. Chciał złożyć u jej stóp wszystkie swe trofea. Tym razem fale obeszyły się z nim łaskawiej i dotarł do Anglii. Elżbieta pisała do Burghleya: "Zawiadom mnie, co twoim zdaniem powinnam zrobić."

Czas mijał na trzeźwym załatwianiu interesów przeplatanych raczej komicznymi konkurami. Alengon chciał, by Elżbieta sfinansowała mu niderlandzką eskapadę. Zgodziła się, ale pod warunkiem, że jego brat również przyjdzie z pomocą. Umowę poprzedziła ponadto klauzulą zobowiązującą Alengona do poparcia antygwizjuszowskiego stronnictwa we Francji, obiecując i w tym swoją pomoc. Było to pociągnięcie przebiegłe, krok znakomicie przemyślany, mający powstrzymać króla francuskiego od przejścia na stronę wrogów Elżbiety. Alengon, jako następca tronu, cieszył się wśród Francuzów większymi wpływami niż Maria szkocka wśród Anglików, a Henryk chciał za wszelką cenę uniemożliwić swemu bratu wtrącanie się do spraw francuskich. Tak więc układ z Alengonem oznaczał dla Elżbiety świetny sukces dyplomatyczny. Przechytrzyła Henryka III i Katarzynę Medycejską, doprowadziła do faktycznego aliansu z Francją i wciąż była niezamężna.

Wygląda na to, że teraz główną obsesją Elżbiety stało się unikanie małżeństwa. Wbrew wyrachowanemu optymizmowi Katarzyny, nie mogła się już spodziewać dziecka, zaś

angielscy purytanie nadal głośno wyrażali swój sprzeciw. Thomas Norton, „wielki parlamentarzysta”, narobił sobie kłopotów, gdy wypowiadając się na temat małżeństwa nie potrafił powściągnąć języka. Ale Elżbieta nie mogła sobie pozwolić na to, by Alengon wyjeżdżał rozszalony. „Niezlomny Franciszek” uparcie powtarzał, że dniem i nocą marzy tylko o tym, by znaleźć się w łóżu małżeńskim i dowieść, jakim będzie wspaniałym małżonkiem. Dwudziestego drugiego listopada Elżbieta, przechadzając się w gale Whitehallu z ambasadorem francuskim i innymi osobami, pocałowała Alengona, zdjęła z palca pierścień i oznajmiła, że go poślubi. Nie wiadomo, czy dała się ponieść „sile skromnej miłości w toku zalotnych dyskursów”, czy też, jak mówiono, noc poprzednią spędziła bezsennie, trapiąca wątpliwościami i troskami wśród płaczących i lamentujących dworaków, ale trudno w to uwierzyć, skoro obietnica małżeństwa opatrzona została takimi warunkami, o których z góry było wiadomo, że ich nie przyjmie król francuski; gdyby nawet Henryk przejrzał jej grę, można było stawkę podnosić bez końca. Oświadczenie złożone w galerii pozwoliło Alengonowi zachować twarz. Mógł odjechać z poczuciem, że małżeństwo jest o krok bliższe, a także ze wzmocnionym kredytem na rynku pieniężnym, na którym korzystna plotka działała nie inaczej niż dziś, kiedy pozwala na giełdzie podskoczyć spadającym akcjom.

Alengonowi udało się wmanewrować Elżbietę w kłopotliwą sytuację, nie zadowolili się tym jednak i postanowili doprowadzić do pełnego zwycięstwa. Zaczęła się potyczka między inteligencją i wolą toczona w miłosnych szrankach. Elżbieta obiecała mu pożyczkę wysokości 60000 funtów, tym że połowa zostanie wypłacona piętnaście dni po jego wyjeździe, reszta zaś po pięćdziesięciu dniach. Miał wyjechać z tą nagrodą pocieszenia w połowie grudnia. Został. Pod koniec miesiąca doprowadził do tego, że wypłacono mu 10 000 funtów. Nadal nie wyjeżdżał. Wreszcie 1 lutego TO”zy} w drogę. Królowa z całym dworem odprowadzała go aż do Canterbury. W Rochester pokazała mu swe wielkie okręty. Widok ten skłonił francuskich wielmożów i panów do przyznania, że „zaiste sprawiedliwie królową Anglii nazywają Panią Mór”, Trzy okręty wojenne miały go przewieźć z Sanhich do Niderlandów wraz ze świtą złożoną ze stu szlachciców, trzystu osób służby oraz Leicestera, Howarda, Hunsdona i wielu wybitnych dworaków. Gdyby nawet był królem Anglii, nie mogłaby go Elżbieta bardziej uhonorować. Według relacji ambasadora hiszpańskiego udawała zasmuconą i rzekomo powiedziała, że dałaby milion, by jej Żaba znów pływała w Tamizie, a nie w zastygłych moczarach Niderlandów.

Pisali do siebie czułe listy. Alengon natarczywie domagał się ślubu, ale także reszty pożyczki. Elżbieta przez pewien czas robiła mu nadzieje, aż w końcu zgasły promienie zachodzącego słońca. Konkury spełniły swe zadanie. Uniknęła uwikłania w niderlandzkie

tarapaty i równocześnie postraszyła Filipa perspektywą sojuszu francuskoangielskiego. W sierpniu 1581 groził jej wojna; dwa miesiące później obiecywał wybaczyć wszelkie dawne przewinienia i proponował wznowienie starej przyjaźni. Niebo się trochę rozchmurzyło. Francuzi zaczęli prowadzić agresywniejszą politykę w stosunku do Hiszpanii, król rzeczywiście posłał pieniądze swemu bratu, wobec czego Elżbieta postanowiła, że ona już więcej nic nie pośle. W Szkocji również nastąpił zwrot ku lepszemu.

Ale w styczniu 1583 roku sytuacja się pogorszyła, gdy Alengon podjął szaleńczą próbę odebrania Antwerpii swym holenderskim sojusznikom. Poniósł klęskę i musiał sromotnie uciekać z kraju. Elżbieta, nadal wierna swej polityce, usiłowała załagodzić spór, kiedy niespodziewanie 10 czerwca 1584 roku febra i śmierć położyły kres awanturniczym poczynaniom Alengona. Przeżyła swego zalotnika, jak to przepowiedzieli jej doradcy. Płakała przez trzy tygodnie. Walsingham pisał: "Melancholia zawładnęła nami do takiego stopnia, że prawie wszystkie sprawy publiczne i osobiste są w zawieszeniu." Francuskiemu ambasadorowi powiedziała, że jest niepokieszoną wdową. Zauważył na to, że "jest królową, która potrafi zagrać każdą rolę, jaką się jej spodoba". Nie w porę były te sarkastyczne słowa. To prawda, że Elżbieta bez skrupułów wykorzystywała Alengona, niemniej ten brzydki, a przecież najmiłszy i najstarszy z zalotników zdobył sobie miejsce w jej sercu. Z nim łączyła ostatnie nadzieje, że będzie miała dzieci. Płakała nad sobą.

## ***Rozdział szesnasty***

### TRAGEDIA MARIII

Więcej niż dziesięć lat minęło od czasu, gdy fala protestanckiego gniewu, wywołana spiskiem Ridolfiego i masakrą nocy św. Bartłomieja, uderzyła z całą siłą w Marię, królową Szkocji, tego węża wyhodowanego na własnej piersi, jak o niej mówił Walsingham. Spędziła te lata pod nadzorem hrabiego Shrewsbury, głównie na zamku Sheffield, który opuszczała tylko wtedy, gdy rezydencję trzeba było oczyścić z nieuchronnych w ówczesnych warunkach brudów. Poddana była surowym restrykcjom. Cała jej korespondencja przechodziła przez ręce Shrewsbury'ego, zamek mogła opuszczać jedynie pod strażą, w nocy warty stały w domu i na zewnątrz, zaś w pobliskich wsiach rozstawiono posterunki. Każdy obcy człowiek pojawiający się w okolicy był podejrzany. Nikt nie mógł wejść do domu lub z nią rozmawiać bez pozwolenia i świadka.

Niemniej, o ile to było możliwe przy zachowaniu niezbędnych środków ostrożności, mających zapobiec ucieczce i spiskom, Marię traktowano z szacunkiem i w zasadzie

pobłażliwie. Zasiadała do stołu pod baldachimem, jak przystało na królową. Miała swych domowników, dworki i dworzan oraz służących, których dobierała sobie i opłacała sama i którzy byli jej wierni. Wszystkie koszty pokrywała Elżbieta, co wraz z utrzymaniem Shrewsbury'ego i jego rodziny sprowadzało się do pięćdziesięciu dwóch funtów, niemniej na owe czasy sumy. Maria, zwolniona od tych wydatków, mogła z wiana wyznaczonego jej jako francuskiej królowej wdowie subsydiować najbardziej niebezpiecznych katolickich emigrantów angielskich, podtrzymywać tajną łączność z wrogami Elżbiety i przekupywać okolicznych prostych wieśniaków hojnymi darowiznami. Zdrowie jej nie dopisywało. Nadal dokuczał ból w boku, w miarę zaś jak przybywało lat, coraz dotkliwiej dawał się we znaki reumatyzm. Straciła figurę. Kilka razy pozwolono jej wyjechać do wód w Buxton. Nadal przepadała za polowaniami, ale zdarzało się, że nie mogła dosiąść konia, a nawet miewała trudności z chodzeniem. Spędzała więc czas przeważnie siedząc w fotelu i haftując, otoczona swymi ptaszkami i pieskami. Szturmowała serce Elżbiety posyłając jej robótki ręczne i inne prezenty, które początkowo przyjmowane były z wdzięcznością i spotykały się z rewanżem, z czasem jednak stały się kłopotliwe, aż wreszcie Elżbieta dała znać, że "osoby starzejące się chętnie biorą obiema rękami, ale dają tylko jedną".

Dla kobiety o bardziej zrównoważonym usposobieniu byłoby to wcale znośne życie, ale nie dla Marii, która, jak to sama o sobie mówiła, miała wielkie serce i niezaspokojone namiętności. Po tylu rozczarowaniach, po tylu latach niewoli wciąż jeszcze powtarzała, że swe więzienie opuści tylko jako królowa Anglii. Wiedziała, jakimi niebezpieczeństwami grozi jej spiskowanie, wciąż, jednak intrygowała, gdzie tylko się dało, i z każdym, kto mógłby się jej w czymś przydać. Składała oferty papieżowi, Filipowi II, królowi Francji i Elżbiecie. Wszystkim równocześnie, bez najmniejszych skrupułów. Obyczaje epoki zezwalały jej na to jako królowej. My jednak nie mówimy tu o moralnym aspekcie sprawy, lecz o zwyczajnej rozwadze. Pisała za dużo i zbyt impulsywnie. Igrała z niebezpieczeństwem zdając się na tajną korespondencję, choć przebywała pod strażą, otoczona szpiegami, zaś wywiad angielski należał do najsprawniejszych i najprzemysłniejszych na świecie. Każdy list przechwycony lub przepisany przez szpiegów był dla Elżbiety kolejnym dowodem złej woli i zakłamania Marii. Te właśnie listy stawały się najpoważniejszymi kontrargumentami przy rozpatrywaniu jej prośb o lepsze traktowanie.

Mądre i szczególnie trafne w tym momencie okazało się powiedzenie arcybiskupa Parkera, że "nasza zacna królowa złapała Tatarzynę, a Tatarzynę ją za łeb trzyma". Elżbieta, choć zdrowa, była już w wieku, w którym nie mogła się spodziewać dzieci, Maria zaś co prawda chorowała, ale nikt nie mógł przewidzieć, która z nich pożyje dłużej. Nad

dworzanami i politykami wisiała ciężka chmura niepewności, z lękiem spoglądali w przyszłość. Sir Christopher Hatton powiadomił Marię, że jeśli Elżbieta umrze, on przybędzie natychmiast ze strażą, by ją uwolnić. Burghley, który z niejednego pieca chleb jadał, strzegł swej reputacji człowieka umiarkowanego. Nawet srogi i nieugięty Walsingham dokładał starań, by Maria nie uważała go za swego wroga. Nie byli to ludzie dwulicowi. Chętnie zgodziliby się na stracenie Marii, gdyby tylko Elżbieta chciała to usankcjonować. Shrewsbury również starał się lawirować między chwilą obecną a przyszłością. Jego rodzina, będąc pod urokiem Marii i mniej od niego lojalna, zabawiała ją ośmieszaniem królowej. Hrabina Shrewsbury, osławiona Bess z Hardwick, niepoprawna intrygantka i złośliwa jak żmija, powtarzała jadowite plotki o Elżbiecie, przyprawiając je sprośnymi wymysłami o nienasyconej pożądliwości królowej, zaspokajanej z Leicesterem, Simierem, Alengonem, Hattonem i innymi, o jej okrucieństwie i próżności, o tym, jak z zachwytem przyjmowała pochlebstwa, że nie można jej spojrzeć prosto w twarz, bo jasna jest jak słońce!

Nic więc dziwnego, że w takim domu Maria mogła swobodnie prowadzić tajną korespondencję. Kiedy w latach 1581-1582 katolicy emigranci, zajęci odgrzewaniem "przedsięwzięcia" przeciw Anglii, pertraktowali z papieżem, Filipem, księciem Gwizjuszem i konspirowali w Szkocji, licząc na to, że uda im się stamtąd zacząć inwazję na Anglię, Maria mogła uczestniczyć w spiskowaniu i utrzymywać żywą łączność z głównymi protagonistami afery. Jej nadzieje rosły, szczególnie jeśli chodzi o Szkocję, która nareszcie zerwała ścisłe stosunki z Anglią, dla Marii jednoznaczne z niewolą. I nie poczuła się zawiedziona, kiedy instygator całego tego przewrotu politycznego, Esmś Stuart, który jak meteor pojawił się i zgasł na - niebie, stracił władzę w 1582 roku i wrócił do Francji, by tam umrzeć. W toku bowiem walk partyjnych, które rozgorzały po jego upadku, na arenie szkockiej polityki zaczęła się wyłaniać nowa postać, blisko dwudziestoletni młodociany król Jakub VI, na tyle, na ile pozwalała mu jego lękliwa natura, palący się do przejęcia władzy z rąk arystokracji.

Maria nie widziała syna od swego fatalnego małżeństwa z Bothwellem. Jakub nie miał bynajmniej czułych wspomnień z lat dziecińczych, do których mogłaby się odwoływać. Jego preceptorem był uczony autor słynnego *Detectio*, oskarżającego Marię o zamordowanie Darnleya. Maria jednak wierzyła, że syn ją kocha. Liczyła na to, że wcześniej czy później ta jej naiwna wiara okaże się uzasadniona i wtedy będzie mogła we własnym i syna imieniu zażądać od Elżbiety, by ją uwolniła, takiemu zaś żądaniu, posiadającemu moralną siłę, trudno będzie odmówić. Tak oto Jakub pojawił się na politycznym horyzoncie zarówno Marii, jak i Elżbiety, wciąż pozostając wielką niewiadomą.

Brat francuskiego sekretarza Marii nakreślił wnikliwy portret Jakuba z tego czasu. "Stary młodzieniec", bardzo uczony, bystry i chętnie wdający się w dyskusje, jest jak najlepszego zdania o sobie, gardzi innymi książętami i wcale nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest stosunkowo biedny i pozbawiony znaczenia. Nie cierpi, by ktokolwiek w czymkolwiek go prześcigał; marzy o tym, by uchodzić za człowieka odważnego, którego wszyscy się boją, choć w rzeczywistości jest tchórzem. Podobnie jak jego matka przepada za polowaniem. Zaniedbuje sprawy, ale zawsze zadowolony z siebie tłumaczy się tym, że w ciągu godziny jest w stanie załatwić więcej niż inni w ciągu całego dnia, bo umie patrzeć, mówić i słuchać, pięć różnych rzeczy robić równocześnie. Jest krzykliwy, słabowity, nie umie usiedzieć na miejscu, lecz wciąż chodzi tam i z powrotem dziwacznym, niepewnym krokiem. Za bardzo lubi otaczać się faworytami. Zdaniem Francuza, manieri ma bardzo prymitywne i jest "niegrzeczny". Krótko mówiąc, w niczym nie przypominał tego prostego, kochającego matkę dziecka, które sobie Maria wyimaginowała.

O dziwo, Elżbieta i jej politycy wierzyli w ten rzekomy wpływ Marii na syna. Prawdopodobnie wierzyła w to sama Maria i wiarę tę podsyciała w Elżbiecie oświadczając - co w najlepszym wypadku było przesadą - że Jakub gotów jest dzielić z nią szkocką koronę i uznać w ten sposób nieważność jej abdykacji w Loch Leven. Gdyby tak było naprawdę, zagrażałoby to Elżbiecie, ale równocześnie stwarzałoby dogodną sytuację.

Elżbieta była zadowolona z tych rzekomo dobrych stosunków między matką i synem jako szansy ludzkiego rozwiązania problemu Marii. Dostrzegła możliwość uzgodnienia warunków, na jakich będzie można przywrócić wolność Marii, jeśli Jakub znajdzie się w kręgu polityki angielskiej, a Francja, która zawsze tak bardzo dbała o sprawy Marii, zechce razem z nim zagwarantować jej dobre sprawowanie. Była to bardzo pociągająca perspektywa, oczywiście jeśli okaże się realna. Elżbieta miała znakomitą przynętę: mogłaby zająć życzliwą postawę w sprawie sukcesji angielskiej. Taka polityka zapowiadała zjednoczenie Anglii ze Szkocją, być może nawet z Francją, we wspólnym froncie przeciw wrogom Elżbiety, pozbawiając ich "główną i jedyne podstawy", na jakiej opierali swe nieprzyjazne plany, czyli Marii przebywającej w niewoli. Kto wie? Być może w obliczu takiej kombinacji Filip okaże się skłonny do ugody w Niderlandach. Bez końca można było budować takie zamki na lodzie.

Tak oto zaczęła się ostatnia próba uniknięcia tragedii. Trzeba było jednak pokonać dwie przeszkody. Pierwsza wycisnęłaby łzy z oczu aniołów: stary, odwieczny problem, czy można zaufać przysięgom i obietnicom Marii? Czy uda się znaleźć gwarancję, że zachowa się przyzwoicie? Bez trudu zdołano ją nakłonić do przyjęcia warunków. Chętnie pozostanie w Anglii pod jakimś niezbyt uciążliwym nadzorem, godzi się na ograniczenie swobody ruchu,



rzządzenie Szkocją pozostawia synowi i chce tylko dzielić z nim koronę. Tę zdumiewającą ustepliwość łatwo było wytłumaczyć: ambasador hiszpański namawiał Marię, by została w Anglii, czekała na przybycie katolickiej armii inwazyjnej i stanęła na jej czele. Z jego, a być może także i z jej punktu widzenia nowy układ był jeszcze pewniejszym sposobem doprowadzenia do upadku Elżbiety. Przez cały czas trwania pertraktacji Maria nie przestawała spiskować. Było to poniekąd zrozumiałe, ponieważ papieżowi, Filipowi i innym zainteresowanym w "przedsięwzięciu" nie chodziło wcale o uwolnienie Marii na warunkach dogodnych dla Elżbiety i protestantów, lecz o obalenie Elżbiety. Maria natomiast uważała, że antagonizowanie ich byłoby czystym szaleństwem, bo przecież stanowili drugą cięciwę dla jej łuku. Jeśli armia katolicka wyląduje w Anglii przed zawarciem układu z Elżbietą, ona niewątpliwie opowie się po stronie armii, jeśli zaś traktat zostanie podpisany wcześniej, to któż potrafi przewidzieć, czy jej knowania ustaną? Nawet miłosierdzie ma swoje granice.

Drugą trudnością była reakcja Jakuba i Szkocji. "Kochający syn" utrzymywał, że chodzi mu o uwolnienie matki, jednak w chwilach szczerości lub gdy był przyciśnięty do muru, dawał wyraźnie do zrozumienia, że stawia wyżej swoje interesy. To, co zostanie, odstąpi Marii z dobrego serca. Dla niego sprawą najważniejszą było zachowanie korony i władzy, nawet gdyby miało to oznaczać odebranie matce wszelkiej nadziei na sukcesję angielską. Zaprzeczał stanowczo, jakoby zawarł jakiś układ w sprawie dzielenia z nią korony szkockiej. Jeśli nawet ją zwodził, to tylko z obawy, by "przedsięwzięcie" nie okazało się wymierzone zarówno przeciw Elżbiecie, jak i przeciw niemu. W Szkocji byli przy władzy przychylni Anglii arystokraci, stanowczo przeciwni jakimkolwiek związkom Marii z koroną. Obawiali się, że Maria, znalazłszy się na wolności, natychmiast przystąpi do knucia intryg w Szkocji i wszystkie kłopoty zaczną się od nowa. Rzecz znamienna, że takie samo stanowisko zajęli ich następcy, którzy doszli do władzy po obaleniu partii anglofiłskiej, choć mieli zupełnie inne poglądy, pozwalające Marii liczyć na ich przychylność, potrafiła bowiem dokuczyć im w nie mniejszym stopniu niż Elżbiecie. Krótko mówiąc, Szkocja jej nie chciała.

Elżbieta zdążyła uzgodnić warunki traktatu z Marią i upewnić się co do stanowiska Jakuba i jego głównych doradców, gdy partia angielska w Szkocji straciła władzę. Oczywiście przerwała pertraktacje, by poczekać i zobaczyć, w jakim kierunku rozwinię się sytuacja w Szkocji. Maria się zaniepokoiła. Z właściwą sobie porywcznością oświadczyła, że to jedynie utwierdza ją w nieufności, którą odczuwała od początku. Był sierpień 1583. I nim zdążono wznowić negocjacje, z epickim fatalizmem ujawniona została kolejna kabała - spisek Throckmorta. Szybko zbliżała się chwila, gdy straszliwy gniew narodu przetnie ten węzeł gordyjski.

W maju 1582 zatrzymany został nad granicą emisariusz ambasadora hiszpańskiego. Chciał się przedostać do Szkocji przebrany za dentystę. Udało mu się przekupić straż i uciec z bagażami, ale pechowo zostawił lustro, w którym ukryte były listy ujawniające istnienie "przedsięwzięcia". Walsingham postanowił osobiście zbadać sprawę do końca. Przechwycił listy ambasadora francuskiego do francuskiego agenta w Szkocji, otworzył je i zalepił z powrotem, nie naruszając pieczęci, po czym przekupił włoskiego kuriera, który wiozł odwrotną pocztę. W obu wypadkach musiał spotkać go zawód, jako że Francja nie brała udziału w "przedsięwzięciu". Walsingham o tym nie wiedział i dalej prowadził dochodzenia. Zwerbował szpiega w ambasadzie francuskiej i za jego pośrednictwem przekupił sekretarza ambasadora.

W ten sposób zdobył możliwość perlustrowania regularnej tajnej korespondencji, którą Maria prowadziła z ambasadorem, niezależnie od jawnej, przechodzącej przez ręce Shrewsbury'ego. Co prawda w listach tych nie było wzmianki o "przedsięwzięciu", uzależnionym od rywalki Francji, Hiszpanii, zawierały jednak wiele niewątpliwie kompromitujących wiadomości. Była to lektura nie pozbawiona wisielczego humoru. Tak na przykład Maria sugerowała ambasadorowi, by w przypadku, jeśli zawiodą sprawdzone sposoby łączności, pisał do niej ałunem na papierze lub cienkim białym płótnie, które należało na dwadzieścia cztery godziny przed użyciem zamoczyć w czystej wodzie - pismo będzie niewidoczne, stanie się jednak czytelne po zwilżeniu wodą. Ewentualnie radziła mu, by posługiwał się książkami, w których powinien pisać między wierszami na co czwartej stronie, przy czym tomy użyte ma przewiązać zielonym sznurkiem. Jeśli będzie pisał na płótnie, to powinien dopilnować, by każda sztuka użyta do korespondencji była o jakieś pół jarda dłuższa. Można też chować listy w wysokich obcasach albo w obudowie kufrów i waliz. Walsingham uważnie studiował te wskazówki. Czyżby spodziewał się, że w końcu uda mu się schwytać Marię w potrzask jej zaufania do takich przebiegłych sztuczek?

Jeśli chodzi o "przedsięwzięcie", to był na fałszywym tropie, ale los mu sprzyjał. Dowiedział się, że Francis Throckmorton, katolik, bratanek sir Nicholasa, odwiedza po nocach ambasadę francuską i jest głównym agentem Marii. Nasłał na niego szpiegów, którzy przez sześć miesięcy śledzili każdy jego krok. W listopadzie 1583 posłano do niego dwóch panów, którzy aresztowali go w domu. Throckmortonowi udało się wbiec po schodach, zniszczyć po drodze list do Marii i wydać polecenie, by szkatułkę z kompromitującymi dokumentami oddano ambasadorowi hiszpańskiemu. Znaleziono jednak papiery zawierające spis katolickich arystokratów i ziemian oraz portów, w których mogłyby wylądować obce wojska. Throckmorton początkowo dzielnie znosił surowe przesłuchania i nawet łamanie

kołem, ale w końcu stchórzył.”Wyjawiłem - jęczał - jej [Marii] tajemnicę, a była najdroższą mi osobą na świecie.” Kiedy wyprowadzono go z izby tortur, powiedział szeptem:”Chi a perso la jede, a perso l’honore” - kto stracił wiarę, ten stracił honor.

Throckmorton był jednym z głównych doradców przygotowujących”przedsięwzięcie”. Omawiał plany z ambasadorem hiszpańskim, korespondował z Marią i pośredniczył w przekazywaniu jej listów. Przyznał się do wszystkiego. Spisek wyglądał tym groźniej, że wmieszani weń byli różni arystokraci i szlachcice. Jedni uciekli na wieść o aresztowaniu Throckmorta, innych ujęto i zamknięto w Tower. W styczniu 1584 roku wezwano ambasadora hiszpańskiego Mendozę do stawienia się przed Radą, oskarżono go o przestępczą działalność i nakazano opuścić kraj w ciągu piętnastu dni. Próbował bluffować, lecz nie odniosło to żadnego skutku. Ostatni przedstawiciel Hiszpanii w elżbietańskiej Anglii pożegnał się oświadczając, że skoro nie udało mu się zadowolić królowej w roli narzędzia pokoju, w przyszłości będzie musiał dać jej satysfakcję na polu bitwy.

Tego rodzaju impreza, jak”przedsięwzięcie”, wymagała czasu, była zależna od ostrożności i finansów władców, a zatem groziło jej wykrycie na długo przed urzeczywistnieniem. Zabójstwo natomiast, równie skutecznie prowadzące do celu, mogło być dokonane potajemnie, szybko, toteż kusilo niecierpliwych desperatów. Nad dopuszczalnością tyranobójstwa od dawna już debatowali filozofowie i teologowie. Ostatnio Rzym wypowiedział się pozytywnie, udzielając błogosławieństwa każdemu, kto zamorduje Elżbietę. Wiadomo powszechnie, że głośne i niezwykle zbrodnie znajdują naśladowców. Tak też było i tym razem. W marcu 1582 roku Wilhelm Orański, największy po Elżbiecie ambaras dla katolików, padł ofiarą zamachu i walczył teraz ze śmiercią. Niedługo po tym, tuż przed aresztowaniem Throckmorta, jakiś młody szlachcic, katolik z hrabstwa Warwick, powiedział swym przyjaciołom, że wybiera się do Londynu, by zastrzelić z własnego pistoletu królową, i ma nadzieję, że”zobaczy jej głowę na palu, bo jest ona wężem i żmiją”. Ruszył więc w drogę, nie omieszkał po drodze wypaplać swych zamysłów i zamiast w pałacu wyładował w Tower. Prawdopodobnie był lekko pomyłony, ale gdyby nie miał długiego języka, to kto wie, czy nie udałoby mu się urzeczywistnić postanowienia. Ledwie udaremniono ten pomysł, gdy Throckmorton zaczął zeznawać, a nie minęło jeszcze wzburzenie wywołane przez jego rewelacje, gdy 30 czerwca 1584 nastąpił kolejny zamach na Wilhelma Orańskiego, tym razem udany.

Dwa miesiące później nowe wieści o szeroko zakrojonym spisku na życie Elżbiety wywołały jeszcze bardziej paniczne - o ile to było możliwe - nastroje. Władze holenderskie, prawdopodobnie uprzedzone przez Walsinghama, przechwyciły statek zmierzający do Szkocji

z bardzo uwikłanym w spisek jezuitą Creightonem na pokładzie. Creighton na chwilę przed ujęciem podarł i wyrzucił za burtę dokument szczegółowo opisujący "przedsięwzięcie", wiatr jednak zniósł skrawki papieru z powrotem na pokład. Starannie je złożono i odczytano. Creighton został odesłany do Anglii, gdzie zeznał wszystko, co wiedział.

Cóż dziwnego, że protestancką Anglię ogarnęła fala oburzenia? Kiedy Elżbieta w zimie przejeżdżała z Londynu do Hampton Court, po drodze gromadziły się tłumy, ludzie klęczeli na gołej ziemi, życzyli jej wszelkiej pomyślności i modlili się o karę dla tych, którzy chcieli ją skrzywdzić.

Nic jednak nie można było poradzić na to, że jak długo Elżbieta wzdragała się przed odebraniem życia Marii, tak długo nielojalni katolicy, uciekając się do gwałtu, mieli niewiele do stracenia i wszystko do zyskania. Zamordowanie Elżbiety spowodowałoby chaos. Tajna Rada, sędziowie, urzędnicy królewscy przestaliby istnieć, bo ich kadencja wygasła wraz ze śmiercią monarchy. Nikt nie miałby prawa pomścić morderstwa i według wszelkiego prawdopodobieństwa Maria wstąpiłaby bezkarnie na tron. W październiku Rada podjęła kroki mające zapobiec tak monstrualnej ewentualności. Członkowie Rady podpisali akt konfederacji zobowiązując się, że w przypadku zamachu na życie Elżbiety dokonanego z zamiarem osadzenia kogokolwiek na tronie nie tylko uniemożliwią takiej osobie objęcie sukcesji, lecz ją zgładzą nie przebierając w środkach. W akcie konfederacji uosobieniem protestantyzmu była Elżbieta, katolicyzmu zaś osoba nie nazwana, choć wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi. Gwałt miał być gwałtem odparty. Samosąd miał być odpowiedzią na morderstwo, któremu Rzym udzielał błogosławieństwa. Kopie aktu rozesłano do hrabstw i miast proponując najpoważniejszym ziemianom i obywatelom przystąpienie do konfederacji. Odzew był entuzjastyczny, tak gorący, że powstrzymanie się od złożenia podpisu wymagało odwagi, mimo to znaleźli się zagorzali protestanci, którzy nie chcieli aprobować bezprawia i do konfederacji nie przystąpili. W hrabstwie York przed końcem listopada pod dokumentem zawisło już ponad 7000 pieczęci, po czym doszła ich jeszcze taka ilość, że wypełniłyby duży kufer. W Coventry obywatele zawiązali konfederację i przesłali adres wiernopoddańczy opatrzony 201 podpisami i pieczęciami.

Wznowienie negocjacji w sprawie traktatu z Marią przy nastrojach panujących w roku 1584 było ze strony Elżbiety krokiem zdumiewającym. A jednak zostały wznowione, tyle tylko, że wlokły się bez końca, opóźniane przez chaos panujący w stosunkach angielskoszkockich. Maria na przemian to się gniewała, to wpadała w rozpacz, to znów ogarniała ją szaleńcza lekkomyślność. Raz po raz w rozmowach z angielskimi urzędnikami wzywała Boga na świadka i zaklinała się na wszystkie świętości, że nie ma pojęcia o spiskach

przeciw Elżbiecie i nigdy by ich nie aprobowała. Ledwie jednak kończyła swe krzywoprzysięskie zapewnienia, a już pisała do spiskowców, by dokonali inwazji nie zważając na jej osobiste bezpieczeństwo. Na wiadomość o akcie konfederacji oświadczyła, że gotowa jest złożyć pod nim swój podpis, zaś w dwa dni później nakazywała swym przyjaciółom zaczynać "przedsięwzięcie" bez względu na to, czym to jej może grozić, i nie zwracając uwagi na to, czy Elżbieta zawarła z nią układ, czy też nie. Ten ostatni list napisała na początku listopada, gdy ponownie omawiano traktat i sekretarz jej wybierał się na dwór angielski, by tam się przyłączyć do ambasadora Jakuba.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdyby Jakub rzeczywiście chciał i mógł się zgodzić na dzielenie korony z matką, i równocześnie sprzymierzył się z Elżbietą, traktat byłby już do tego czasu zawarty. Angielscy politycy, bilansując argumenty za i przeciw, dochodzili do wniosku, że więcej względów przemawia za traktatem niż przeciw. Elżbieta nawet złamała złożone przed czternastu laty ślubowanie i własnoręcznie napisała do Marii.

Maria ufała swemu synowi. Wierzyła również jego ambasadorowi, który należał do jej partii i znał wiele niebezpiecznych tajemnic. Ale nie miała przecież monopolu na przewrotność. Oszukiwali ją i syn, i ambasador. Jakub pragnął aliansu z Elżbietą, ale nie miał ochoty dzielić się koroną, co więcej, nie chciał, by matka odzyskała wolność. Taka była straszliwa prawda, której dłużej nie dało się już ukrywać. Postępowanie Jakuba, być może haniebne, z politycznego punktu widzenia okazało się bardzo mądre. Maria wpadła w furję. Wygrażała synowi, o jego ambasadorze mówiła, że zasługuje na to, by go nazwać zakłamanym łotrem. Straciła przecież ostatnią nadzieję. Znalazła się w sieci spisku, nad jej głową zawisł cień szafotu.

Pod koniec listopada, jeszcze w toku pertraktacji, zebrał się parlament. Izba Gmin zajęła się sprawą najważniejszą, zapewnieniem bezpieczeństwa królowej, z takim zapalem i oddaniem, że już nikt nie mógł powątpiewać o magicznej władzy, jaką sprawowała Elżbieta nad swymi poddanymi. Postanowiono za wszelką cenę zapobiec jakimkolwiek spiskowi na rzecz Marii lub Jakuba. Zaproponowano nadanie mocy prawnej aktowi konfederacji, co utworzyłoby drogę krwawemu polowaniu z nagonką i wprowadziłoby do prawa angielskiego najbardziej niebezpieczny artykuł, jakim kiedykolwiek usiłowano nadać moc prawną. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że posłowie nastawiali na życie Marii, i na pewno byłoby dla niej lepiej, gdyby wsłuchiwała się w prawdziwy głos narodu i nie dawała wiary gorączkowym rojeniom spiskowców i emigrantów.

W niektórych członkach parlamentu propozycja budziła jednak nie mniejsze skrupuły moralne niż sam akt konfederacji. Milczeli, rozdarci między wymogami lojalności i nakazami

sumienia. To wystarczyło. Elżbieta również miała wątpliwości. Wtrąciła się do debaty i zażądała, by parlament nie uchwalał żadnego aktu, który naruszałby elementarne zasady sprawiedliwości, gwałcił sumienie jej wiernych poddanych lub był sprzeczny z zasadami obowiązującymi na świecie, zarówno wśród wrogów, jak i przyjaciół. Uważała, że nikt nie może ucierpieć z powodu przewinień drugiego człowieka, innymi słowy, nim zechcą zemścić się na Marii, muszą jej dowieść, że brała udział w spisku. Wobec tego projekt uchwały przerobiono. Był mniej umiarkowany, niż życzyła sobie Elżbieta, ale wprowadzał instancję trybunału, który musi osądzić Marię i wydać wyrok, nim komukolwiek wolno będzie nastawać na jej życie. Odpowiednio też został zmodyfikowany akt konfederacji. Ponadto przyjęto uchwałę o likwidacji wszelkiej katolickiej działalności misyjnej. Jezuici i księża wyświęceni za granicą otrzymali rozkaz opuszczenia kraju w ciągu czterdziestu dni. Jeśli po upływie tego terminu będą przebywali w Anglii, zostanie to uznane za zdradę stanu. Pewną liczbę księży skazanych za zdradę zabrano z więzień i deportowano do Francji.

Zawieszenie broni z katolickimi przywódcami za granicą nie wchodziło w rachubę. Zeznania złożone przed zamknięciem sesji przez doktora Parry'ego, członka parlamentu i uczestnika spisku na życie Elżbiety, stanowiły dodatkowe potwierdzenie niecznych zamiarów niektórych duchownych walczących z grzeszną angielską Jezebel. Parry był szpiegiem rządowym i trudno się zorientować, czy rzeczywiście zamierzał zabić królową, czy też na własną rękę występował w roli prowokatora. Jedno jest pewne: Rzym aprobował jego plan i udzielił błogosławieństwa, zaś agent Marii w Paryżu nakłaniał go do wprowadzenia zamiaru w życie. Gniew Izby Gmin był straszliwy. Śmierć zdrajcy, choć okrutna, wydawała się jej członkom karą za łagodną; zwrócili się do Elżbiety, by pozwoliła Izbie wymyślić śmierć straszliwszą, którą uprawomocni uchwała parlamentu. Niektórzy domagali się, by natychmiast wznowić postępowanie wszczęte przez parlament 1572 roku i posłać Marię na szafot. Oba wnioski zostały utracone.

Panika wywołana przez spisek i morderstwo chwilowo przeminęła. W styczniu 1585 Marię przeniesiono do zamku Tutbury w hrabstwie Stafford. Od kwietnia pilnował jej tam surowy purytanin sir Amias Paulet, człowiek nawykły do obcowania z głowami koronowanymi, jako że był ambasadorem Elżbiety na dworze francuskim, nieprzekupny, nieczuły na piękne słowa i obietnice. Oznaczało to wielką zmianę po tolerancyjnych czasach Shrewsbury'ego i jego rodziny. Marii przydzielono nową służbę, narzucono nową dyscyplinę. Całkowicie przecięta została tajna korespondencja. W Londynie gromadziły się listy od konspiratorów zagranicznych, które czekały na jakiś nowy sposób umożliwiający uśpienie

nieustrudzonej czujności Pauleta. Niespokojny duch Marii znalazł sobie tymczasem ujście w wiecznym utyskiwaniu. Płonęła żądzą zemsty na wrogach.

Przez cały rok 1585 Elżbieta zajmowała się głównie negocjowaniem sojuszu z Jakubem oraz przyszłością Niderlandów, gdzie zabrakło Wilhelma Orańskiego, jedyne go człowieka umiejącego utrzymać jedność prowincji rozdzielanych partyjnymi i egoistycznymi ambicjami. Nie miała najmniejszej ochoty sprzymierzać się z tym niewdzięcznym motłochem”, jak kiedyś nazwała powstańców niderlandzkich, i wolałaby wspólną interwencję z Francją. Ale po śmierci Alengona spadkobiercą tronu francuskiego został przywódca hugenotów Henryk, król Nawarry, co z kolei spowodowało zawiązanie się stronnictwa katolickogwizjuszowskiego, popieranego przez Hiszpanię. Znowu pojawiły się symptomy dawnej choroby, wojny domowej. W takiej sytuacji król francuski nie śmiałby wplątywać się w awanturę w Niderlandach. Elżbieta nie miała więc wyboru. W sierpniu 1585 podpisała traktat ze zbuntowanymi prowincjami i posłała im pierwsze posiłki. Prowincjom jednak potrzebna była nie tylko pomoc wojskowa, lecz ponadto ktoś obdarzony prawdziwym autorytetem, będący w stanie utrzymać jedność, tak jak to robił Wilhelm Orański. Leicester widział siebie w tej roli i Elżbieta po długim wahaniu wyraziła zgodę. Stale zmieniała zdanie, chorowała, prawdopodobnie w związku z następowaniem okresu przekwitania. Jednego wieczora”bardzo żałośnie” błagała Leicestera, by jej nie opuszczał, bo czuje, że już długo nie pożyje. Po czym atak przechodził, humor się poprawiał. W końcu udało mu się wyjechać na początku grudnia. Był to krok nieodwracalny. Po dwudziestu siedmiu latach z rzadka tylko zakłócanego pokoju Elżbieta zaczęła prowadzić wojnę; co prawda nie wypowiedziana oficjalnie i szczerze mówiąc, nie zamierzona.

Kiedy Anglii zagroziła wojna, konieczność trzymania ręki na pulsie katolickich spisków stała się wymogiem chwili. Raz jeszcze los się uśmiechnął. W tymże grudniu 1585 niejaki Gilbert Gifford, który ukończył seminarium duchowne za granicą i był już po niższych święceniach, został wysłany do Anglii przez agenta Marii. Miał podjąć próbę nawiązania zerwanej łączności, do tej zaś misji szczególnie się nadawał, ponieważ jego rodzice, zamożni ziemianie z hrabstwa Stafford, mieszkali niedaleko Marii. Aresztowany natychmiast po wylądowaniu, będąc człowiekiem słabego i nie najlepszego charakteru, zgodził się szpiegować dla Walsingham. Nie on pierwszy i nie ostatni. Zadanie, z którym przybył, samo sugerowało rodzaj służby. Miał więc utorować”tajną” drogę dla listów Marii i umożliwić w ten sposób Walsinghamowi ich przechwytywanie. Trudno sobie wyobrazić prostszą i skuteczniejszą metodę wykrywania spisków i zarazem uwikłania Marii w niebezpieczną sytuację.

Dwudziestego czwartego grudnia przeniesiono Marię z Tutbury do Chartley, domu otoczonego fosą, należącego do młodego hrabiego Essex, w odległości około dwunastu mil od Tutbury. Tu właśnie zastawiono bardzo pomysłową pułapkę obliczoną znakomicie na łatwowierność Marii, pokładającej zaufanie w wydrążonych obcasach i tym podobnych sztuczkach. Chartley zaopatrywało się w piwo u piwowara w Burton. Ktoś, prawdopodobnie Gifford, namówił tego człowieka, by podjął się przekazywania listów Marii. Wędrowały w małym wodoszczelnym pudełku, które wkładano do beczki przez otwór szpuntowy. Pocztę przychodzącą dostarczano w pełnych beczkach, odchodzącą wysyłano w pustych. Piwowar początkowo działał w dobrej wierze - nigdy zresztą nie dowiedział się o zdradzieckiej roli Gifforda - wkrótce jednak sir Amias Paulet uznał, że rozsądniej będzie go wtajemniczyć, inaczej bowiem nie byłoby wiadomo, do jakich celów tajna poczta mogłaby być wykorzystana, a poza tym umożliwiało mu to skuteczne kontrolowanie Gifforda.

Kiedy już wszystko zostało zapięte na ostatni guzik, poczta funkcjonowała w następujący sposób: listy pisane do Marii za granicą docierały do Anglii w poczcie dyplomatycznej ambasadora francuskiego, co zresztą było poważnym naruszeniem przywilejów dyplomatycznych, ambasador doręczał je Giffordowi lub przysłanemu przez niego człowiekowi, który z kolei zanosił je Walsinghamowi, po czym nie śpiesząc się jechał do Chartley, gdzie mu je zwracano. Tymczasem Walsingham przekazywał je swemu niezwykle zdolnemu, choć bardzo niesympatycznemu pracownikowi, niejakiemu Thomasowi Phelippesowi. Ten drobny, chudy, płowowłosy krótkowidz o twarzy zeszpeconej ospą był świetnym lingwistą, a nade wszystko prawdziwym geniuszem, jeśli chodziło o czytanie szyfrów. Phelippes rozszyfrowywał i przepisywał zaszyfrowane listy, wysyłał je potem Pauletowi, który zwracał je Giffordowi, by wręczył je piwowarowi. Piwowar - o czym Gifford nie wiedział - odnosił je z powrotem Pauletowi, który, upewniwszy się, że to ten sam pakiet, zwracał je, po czym były doręczane Marii przy kolejnej dostawie piwa. Poczta Marii przechodziła tę samą drogę w odwrotnej kolejności. Ten "uczciwy człowiek", jak go nazywano, z zapalem wszedł w rolę "sprzedajnej dziewczki". Niezwykle szczerze wynagradzany przez Marię, zatrzymywał sobie prawdopodobnie część sum przeznaczonych dla Gifforda, a poza tym opłacał go Walsingham, co nie przeszkadzało mu żądać wyższej ceny za piwo!

Pierwsze listy otrzymała Maria tą drogą 16 stycznia 1586. Była zachwycona. Nieszczęsna, od roku odcięta od wszelkiej tajnej korespondencji, jak twierdziła, od grudnia 1584 roku nie miała żadnych wiadomości z zagranicy. Szybko uznała, że droga jest całkowicie pewna, i zażądała przesłania wszystkich listów, które czekały u ambasadora



francuskiego od spisku Throckmorta. Było tego dwadzieścia jeden pakietów, większych i mniejszych, zawierających tajemnicę”przedsięwzięcia”. Przez wiele tygodni pisała odpowiedzi. Elżbieta w rozmowie z ambasadorem francuskim wspomniała:”Panie ambasadorze, prowadzi pan ożywioną tajną korespondencję z królową Szkocji, ale, niech mi pan wierzy, wiem wszystko, co się dzieje w moim królestwie. Sama byłam więziona za panowania królowej, mojej siostry, i dobrze znam podstępny, do których uciekają się więźniowie, kiedy chcą pozyskać sobie służbę i otrzymywać tajne wiadomości.” Aluzja, niedyskrecja czy subtelne zuchwalstwo?

Tuż po zainstalowaniu tajnej poczty rozwaga Marii została wystawiona na kluczową i bodaj nieuchronną próbę. Tak się złożyło, że grupa młodych ludzi postanowiła zamordować Elżbietę, dając w ten sposób hasło do”przedsięwzięcia”. Inspiratorem pomysłu był niejaki ksiądz Ballard, człowiek próżny, lekkomyślny, amator dobrej kompanii i wszelkiej swawoli. Za granicą opowiadał, że 60 000 angielskich katolików gotowych jest w każdej chwili wszcząć rebelię; w Anglii obiecywał sześćdziesiąt tysięcy posiłki z zagranicy. Jedno i drugie było bzdurą. Ballard wciągnął do spisku młodego, zamożnego ziemianina z hrabstwa Derby, Anthony’ego Babingtona, który był w swoim czasie paziem na zamku Shrewsbury’ego i znał Marię. Człowiek ten bardziej nadawał się do filozoficznych rozmyślań niż do odgrywania bohatera. Przewidując, że czeka go nieśmiertelność, zamówił u malarza portrety, swoje i towarzyszy, z którymi miał zamordować królową,”dla upamiętnienia tak zacnego postępu”. Do spisku należał również John Savage, poczciwiec bardzo przejęty tym, że przysiągł zamordować królową Elżbietę. Od ośmiu miesięcy przygotowywał się do tego z całą powagą, a gdy po jeszcze kilku miesiącach Babington na pierwszą wiadomość, że spisek został wykryty, przyszedł do niego i zapytał:”Co teraz?”, odrzekł:”Nic, po prostu musimy natychmiast ją zabić.” „A więc dobrze - powiedział Babington. - Udasz się jutro na dwór królewski i wykonasz zadanie.” „Niestety, jutro nie mogę, bo jeszcze nie mam odpowiedniego stroju.” Gilbert Gifford, marginesowo związany ze spiskiem, namawiał Savage’a, by dotrzymał złożonej przysięgi. Nie wiadomo, czym się powodował, ale byłoby rzeczą naiwną przypuszczać, że Walsingham wyznaczył mu rolę prowokatora.

Jakieś demoniczne fatum zdawało się ciążyć nad Marią. Dwudziestego piątego czerwca, gdy spisek dojrzał i Babington wyznaczony został na przywódcę, Maria przypadkowo napisała do niego list nie mający nic wspólnego z całą sprawą. Babington w odpowiedzi zrelacjonował przygotowania - sześciu szlachciców ma zamordować królową, inni pośpieszą do Chartley uwolnić Marię i równocześnie obca armia dokona inwazji, prosi więc o radę i obietnicę zaszczytnej nagrody dla sześciu bohaterów, którzy podjęli się

przeprowadzenia”tragicznej egzekucji”. List oczywiście wpadł w ręce Walsinghamu. Maria znalazła się w potrzasku. Walsingham obawiając się jakichś komplikacji, które mogłyby pokrzyżować jego plany, wysłał do Chartley szyfranta Phelippesa z listem, by tam czekał na odpowiedź Marii. Najpierw nadeszło krótkie potwierdzenie otrzymania listu oraz zapowiedź dalszych szczegółów. Phelippes meldował:”Spodziewam się, że wkrótce będę znał całą prawdę.” Nie zawiódł się. Maria odpowiedziała 17 lipca. W niezwykle długim, liście wyrażała pełną aprobatę dla spisku i planu zamordowania Elżbiety, dodając wiele dobrych rad. Obciążało ją to dostatecznie, w połączeniu zaś z listem Babingtona stanowiło dowód zabójczy. Właściwie podpisała na siebie wyrok śmierci i tylko sprzeciw Elżbiety mógł wstrzymać egzekucję. Phelippes rozszyfrował list i dla większego pośpiechu kopię przesłał Walsinghamowi razem z normalną korespondencją. Szafot był gotów!

Gdyby Walsingham zadowolił się tym, co już miał w ręku, uniemożliwiłby Marii posługiwanie się odwiecznym, choć całkowicie już skompromitowanym argumentem, że działała rzekomo w dobrej wierze. On jednak, pragnąc zdobyć nieodparte dowody winy spiskowców, podrobił dopisek do listu Marii i prosił w nim o podanie nazwisk tych sześciu, którzy mieli zabić Elżbietę. Pomysł był prosty i wybaczalny. Gdyby wszystko przebiegło zgodnie z planem, otrzymałby odpowiedź, zachował ją i natychmiast zamknął winowajców. Babington jednak zwlekał z przysłaniem nazwisk i Walsingham musiał przystąpić do działania, choć nie był jeszcze gotów.

Drugiego sierpnia Maria pisała do jednego z przebywających za granicą korespondentów, że chwała Bogu tajna poczta działa tak sprawnie, iż mogą pisać do niej, kiedy tylko zechcą. Cóż za naiwność! Dwa dni później Walsingham przeprowadził pierwsze aresztowania i wkrótce potem Marię zaproszono na polowanie. Oddział konnych odeskortował ją do domu w sąsiedztwie. W tym samym czasie aresztowano obu jej sekretarzy i skonfiskowano wszystkie papiery znajdujące się w Chartley. Przy tej okazji podobno znaleziono listy od kilku angielskich arystokratów, pełne wyrazów szacunku i miłości, Elżbieta jednak zachowała w tej sprawie milczenie zgodnie ze swą dewizą: Video et taceo - widzę, lecz milczę.

Po ujęciu spiskowców londyńczycy uderzyli w dzwony, rozpalili ogniska, weselili się na ulicach, śpiewali psalmy, maszerowali przez miasto z bębniami i piszczałkami i tak wiwatowali, że”powietrze drżało”. Żaden monarcha na świecie nie był tak ubóstwiany przez swych poddanych. Ona zaś wzruszona do głębi, napisała do nich wspaniałe posłanie, świadcząc się swą miłością dla nich, na co odpowiedzieli ze zdwojoną radością i wzruszeniem. Jak gdyby Anglia uniknęła drugiej nocy św. Bartłomieja. Jeden z

korespondentów Walsinghamu pisał: "Ci księża z piekła rodem są trucicielami i nosicielami zarazy, której ulegli wszyscy występni ludzie w Anglii. Wystarczy ich odseparować, by zarówno zdrada, jak wszelkie nielojalne poczynania straciły powab." Dwudziestego września przewieziono spiskowców przez ulice Londynu na specjalnych ramach dla skazańców od Tower Hill do St. Giles's Fields, gdzie ustawiona była szubienica "niezwykłej wysokości, jak ta, na której zawisł dumny Hamon za swe nieczne zamiary". Ponieśli okrutną śmierć zdrajców. Następnego dnia stracono dalszych siedmiu, ale na rozkaz Elżbiety zdjęto ich z szubienicy dopiero, gdy wyzionęli ducha, i wtedy poćwiartowano. Popłynęła rzeka wierszy, ballad, pamfletów. W miastach i po wsiach śpiewacy śpiewali ballady „z gorliwością i odwagą równą ochocie i przyjemności, z jaką słuchali ich ludzie; i w taki lub inny sposób cała Anglia dowiedziała się o straszliwej zmurwie”.

„Mój najwierniejszy i najtroskliwszy sługo - pisała Elżbieta do Amiasa Pauleta - Bóg niech ci po trzykroć i w trójnasób wynagrodzi tak dobrze spełniony trudny obowiązek”, po czym dodała odnośnie do nowych restrykcji nałożonych na Marię: "Niech twoja przewrotna morderczyni dowie się, z jak ciężkim sercem wydaję te rozkazy zmuszona jej niegodziwościami, i przekażcie jej ode mnie, by prosiła Boga o wybaczenie za popełnioną zdradę." W całym kraju panowała atmosfera bliskiego zagrożenia. Rozeszła się pogłoska, że Francuzi wylądowali w Sussex; w tydzień później powtarzano, że flota hiszpańska zawinęła do jakiegoś francuskiego portu. Hawkins otrzymał rozkaz wypłynięcia na morze i patrolowania brzegów. We wszystkich hrabstwach mianowano pełnomocników królewskich do werbowania żołnierzy, pilnowania, by latarnie morskie były w stanie gotowości, i urządzania obław na księży katolickich. Elżbieta zabroniła czynienia aluzji do Marii w procesie Babingtona i jego towarzyszy, bo gdyby się okazało, że sprawa przedstawia się beznadziejnie, jej zwolennicy mogliby zrobić coś nieobliczalnego.

Maria znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Teoretycznie można było oczywiście dowodzić, że jako władczyni suwerenna, a za taką siebie uważała, odpowiada tylko przed Bogiem i żadnym prawom nie podlega. Prawnicy Elżbiety obalili ten argument w długim wywodzie, ku własnemu zadowoleniu. Ale echa tej kontrowersji można odłożyć do lamusa, wraz z głową świętego później króla Karola, w istocie bowiem chodziło z jednej strony o polityczną konieczność, z drugiej zaś o pretekst legalności - mniejsza z tym, czy z prawniczego punktu widzenia ważny - którego dostarczył ostatni parlament uchwalając ustawę o bezpieczeństwie królowej. Maria miała być sądzona na tej podstawie. Rada chciała umieścić ją w Tower, lecz wobec sprzeciwu Elżbiety przeniesiono ją do zamku Fotheringhay w hrabstwie Northampton. Akt oskarżenia został przygotowany z nie spotykaną dotąd

skrupulatnością. Sędziowie i uczeni prawnicy długo deliberowali nad jego sformułowaniem. Elżbieta zaś doprowadzała wszystkich do rozpaczy swą przekorą. Walsingham pisał: "Na Boga, wolałbym, żeby królowa, jak to czynią inni władcy, pozostawiła sprawę tym, którzy najlepiej się znają na rzeczy." Pisanie aktu oskarżenia, jako że miał on być pamiątką, która "przetrwa wieki", powierzono staremu skrybie, jednemu, który w tych czasach upadku sztuki pisania umiał pisać kaligraficznie.

Jedenastego października komisarze - trzydziestu sześciu parów Anglii, członków Tajnej Rady i sędziów, wśród nich również przyjaciel Marii, których listy znajdowały się być może między zapewnieniami o szacunku i miłości skonfiskowanymi w Chartley - przybyli do Fotheringhay. Maria zdecydowanie upierała się przy swych przywilejach suwerena, królowej z Bożej łaski, ale po dwóch dniach nieustannych dyskusji, w których szczegółowo rozpatrywano wydarzenia lat minionych i wzajemne pretensje, zgodziła się stanąć przed sądem, nie poddając się jednak jego jurys. dykcji. Dzisiejszego prawnika proces zapewne zgorszyłby i zdumiał, lecz prowadzony był zgodnie z normalną ówczesną procedurą oraz ze znacznie mniejszą stronniczością, przytaczano też poważniejsze dowody niż w wielu podobnych rozprawach. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Maria wiedziała o spisku na życie królowej, o planie sprowadzenia armii inwazyjnej na Anglię i że dała na to swą zgodę, ale raz po raz gwałtownie i uroczyście temu zaprzeczała. Nic dziwnego, walczyła o życie. Ale jej protesty nie mogły się ostać przed zeznaniami Babingtona i dwóch sekretarzy" nie mówiąc już o tajnej korespondencji, którą wraz ze sfalszowanym dopiskiem skrzętnie zatajano. Zgodnie z obowiązującym niezmiennie zwyczajem nie miała obrońcy. Broniła się bardzo umiejętnie, wymownie i z temperamentem. Przemawiała ze swadą, unosząc się, lecz także zachowując godność. Po czym, gdy gorąca dyskusja się skończyła, nagle, jak to zwykle z nią bywało, zmieniła się zupełnie. Zaklinała się, że kocha Elżbietę, schlebiała komisarzom, wybaczała im wszystko, przechodząc zaś obok prokuratora i sędziów powiedziała do nich z uśmiechem: "Bóg niech wam wybaczy, panowie prawnicy, bo twardzi z was ludzie. Niech Bóg broni mnie i mej sprawy przed waszymi prawami, bo jest słuszna i one tego nie mogą zmienić."

Sąd gotów był wydać wyrok, lecz Elżbieta, osamotniona po wyjeździe Burghleya, Walsinghama i innych doradców do Fotheringhay, nie mogła zagłuszyć wątpliwości i obaw. W środku nocy, o tej samej godzinie, kiedy załamała się w sprawie księcia Norfolk, wezwała sekretarza i poleciła mu, by powiadomił komisarzy, że mają się wstrzymać z wyrokiem i wrócić do Londynu. Po ich powrocie odzyskała stanowczość. Komisarze zebrali się

ponownie, dokonali przeglądu dowodów i "jednym głosem" uznali Marię winną zarzuconych jej przestępstw.

Dwudziestego dziewiątego października zebrał się parlament. Elżbieta doskonale wiedziała, że posłowie będą się starali wyrzucić na nią bardzo silną presję, była więc przeciwna zwołaniu parlamentu, ale Rada z tego właśnie powodu nalegała. Sesja była niezwykła: królowa nie brała w niej udziału, zrezygnowano z normalnego porządku dziennego i całą uwagę skupiono na sprawie najważniejszej. Podobnie jak w 1572 roku, obie Izby postanowiły wystąpić wspólnie. Po wysłuchaniu dowodów oddzielnie i jednomyślnie uchwałyły, że wystąpią z petycją domagającą się natychmiastowego stracenia Marii. Dwunastego listopada deputacja przybyła do Elżbiety bawiącej w Richmond z petycją podbudowaną argumentami Lorda Kanclerza i Przewodniczącego Izby Gmin.

Odpowiedź Elżbiety wzruszyła wielu posłów do łez. Oświadczyła, że Bóg darzy ją niepojętą łaską. Cudem jest, że jeszcze żyje, lecz nie za to dziękuje Bogu, lecz za miłość, którą darzą ją poddani i która po dwudziestu ośmiu latach panowania nie osłabła. "Dla was przede wszystkim pragnę żyć" - ciągnęła. - "Nie jest moje życie aż tak przyjemne, żeby mi na nim zależało, i nie odczuwam takiego strachu przed śmiercią, żeby mnie ona przerażała, lecz nie twierdzę, że ciało i krew nie odczuwają wstrząsu, gdy cios padnie, i nie będą się przed nim wzdragały. Znam dobrze ten świat z własnego doświadczenia. Wiem, co to znaczy być poddanym, a co władcą, co znaczy mieć dobrych sąsiadów, a co spotykać się z ludźmi złej woli. Widziałam, jak za zaufanie odpłacano zdradą, jak wielkie zasługi przechodziły nie zauważone." Nadal, jak zawsze w przeszłości, ze smutkiem myślała o tym, że osoba tej samej płci i pozycji, jej krewna, mogła pochwalać zamiar pozbawienia jej życia. Nie czuje złości do Marii. Po wykryciu spisku w sekrecie napisała do niej, że jeśli wszystko wyzna, wówczas gotowa jest osłonić jej hańbę i uratować ją od kary. Maria z uporem zaprzeczała, jakoby była winna. Gdyby przynajmniej teraz okazała skruchę, Elżbieta gotowa byłaby jej wybaczyć i odpuścić przewiny. Na koniec odprawiła deputację obiecując, że skieruje posłanie do parlamentu.

W posłaniu zapytywała, czy nie można by znaleźć jakiejś innej kary niż odebranie życia Marii. Obie Izby znów jednomyślnie odrzekły, że nie można, i 24 listopada stawiły się w Richmond uzbrojone w "niepodważalne argumenty" mające dowiedzieć, że zapewnienie bezpieczeństwa prawdziwej religii, życia królowej i całości państwa nie może być uzależnione od nadziei na zmianę usposobienia Marii, od roztoczenia nad nią ściślejszej opieki, od jej przysięg lub obietnic, od jej wygnania, od gwarancji innych władców, od odwołania bulli Piusa V, od innych zobowiązań lub przyrzeczeń jakiegось monarchy czy

nawet wszystkich monarchów z nią sprzymierzonych, od czegokolwiek w ogóle poza pośpiesznym jej straceniem. Elżbieta odpowiedziała: „Wielkim napełnia mnie smutkiem, że ja, która za mego panowania ulaskawiłam tylu buntowników, przymykałam oczy na tyle zdrad... muszę teraz w ten sposób postąpić wobec tej osoby.” Czego to nie powiedzą moi wrogowie, „kiedy się rozejdzie, że królowa dziewica dla swego bezpieczeństwa nie powstrzymała się od przelania krwi swej krewnej”? Nie podejmuje żadnej decyzji: czyny, a nie słowa niech będą odpowiedzią na ich żądanie. Prosi ich wobec tego, by zadowolili się „odpowiedzią bez odpowiedzi”. Burghley zauważył z goryczą, że ten parlament przejdzie do historii jako „parlament słów”. Królowa była jednak pod olbrzymią presją. Drugiego grudnia, kiedy sesja została odroczone do lutego, obiecała wydać wyrok. Obietnicę dotrzymała punktualnie ku niewysłowionej radości londyńczyków, którzy znów uderzyli w dzwony, palili ogniska i śpiewali psalmy.

Maria tymczasem przebywała w Fotheringhay „nie czując żadnego lęku przed nieszczęściem”, jak donosił Paulet, i zamęczając go „zbytecznym i próżnym gadaniem”. Szesnastego listopada Elżbieta powiadomiła ją o zapadnięciu wyroku, o petycji parlamentu i ostrzegła, że może ponieść śmierć. Maria ani drgnęła. Nie można było jej zmusić do skruchy, pokory, przyznania się do winy, prośby o łaskę. Zasiadła do pisania elokwentnych i żarliwych listów, w których odwoływała się do świata i potomności. Odgrywała ostatni akt swego dramatu z wielką odwagą i bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Przeznaczone dla papieża oświadczenie, choć utrzymane w uroczystym tonie spowiedzi przed śmiercią, zawierało kilka żalonych kłamstw, niemniej wyczuwało się, że Maria pragnie przedstawić siebie jako męczennicę za wiarę katolicką, uosobienie walki angielskich katolików. W tej roli chciała umrzeć. Kiedy Paulet usunął baldachim królewski, który już teraz jej nie przysługiwał, ponieważ w oczach prawa była martwa i nie piastowała żadnych godności, umieściła na tym miejscu krzyż i obraz przedstawiający mękę Chrystusa.

Elżbieta byłaby szczęśliwa, gdyby w najniklejszej bodaj mierze mogła być dumna z przypadającej jej roli! Zapewne zdawała sobie sprawę z konieczności, lecz wzdragła się przed czynem i towarzyszącą mu niesławą. Parlamentowi powiedziała, że władcy są na widoku całego świata i najdrobniejszą plamę na ich szacie, najmniejszą skazę w ich postępowaniu natychmiast się dostrzega. Śmierć Marii nie mogła pozostać sprawą wewnętrzną państwa. Przypominała o tym obecność na dworze ambasadorów króla francuskiego i Jakuba szkockiego. Przed kilkoma zaledwie miesiącami Jakub zawarł nareszcie przymierze z Elżbietą i początkowo wyglądało na to, że energicznym wystąpieniem w obronie życia matki może zagrozić temu bezcennemu sojuszowi. Ale panicz Jakub przede

wszystkim i nade wszystko troszczył się o panicza Jakuba. Wyraźne aluzje, że może stracić szansę na tron angielski, zawierał jego bardzo osobliwy list do Leicestera.”Każdy mógłby osądzić, jak bardzo byłbym zaślepiony i niekonsekwentny, gdybym stawiał wyżej matkę nad tytuł. Moja religia zawsze nakazywała mi nienawidzić jej polityki, choć honor zmusza mnie do walki o jej życie.” Zmuszał go również lud; Szkoci, którzy niegdyś wołali:”Spalić ladacznice!”, teraz wściekali się na myśl o tym, że Anglicy mogliby ich uwolnić od królowej.

W styczniu odkryto dziwny spisek na życie Elżbiety. W aferę tę był zamieszany ambasador francuski i jego sekretarz. Prawdopodobnie podstęp ten miał na celu położenie kresu interwencjom ambasadora i przestraszenie Elżbiety. Bez względu jednak na to, jak było naprawdę, sytuacja stawała się coraz bardziej niemożliwa i niebezpieczna. Na przełomie stycznia i lutego po całym kraju rozeszła się pogłoska, że królowa szkocka uciekła z więzienia, że Londyn się pali, że tysiące Hiszpanów wylądowały w Walii i tym podobne. Od dalekiej północy do południa, do samej Kornwalii uderzono na alarm. Wszyscy chwycili za broń, ustawiono strażę na drogach. Sytuacja była niepewna, ale kraj zachował niewzruszoną lojalność.

Elżbieta dłużej nie mogła się wahać. Pierwszego lutego podpisała nakaz egzekucji. Walsingham był chory. Królowa wręczyła dokument drugiemu sekretarzowi, Williamowi Davisonowi, który niedawno, 30 września, został mianowany na to stanowisko, i poleciła mu zawiadomić Walsinghama.”Obawiam się, że smutna wiadomość zabije go od razu!”

Ale na tym sprawa jeszcze się dla Elżbiety nie kończyła. Były dwa sposoby stracenia Marii - sądowa egzekucja lub zabójstwo. Szkocki ambasador, Leicester i inni, jak się zdaje, nakłaniali do przyjęcia drugiego wariantu. Niejaki Wingfield gotów był nawet czyn ten popełnić. Sankcji moralnej dostarczał akt konfederacji; gdyby miały nastąpić jakieś komplikacje prawne, obiecano mu ułaskawienie. Kiedy Davison wyjeżdżał z nakazem egzekucji, Elżbieta nagle uchwyciła się tej alternatywy i poleciła Walsinghamowi i Davisonowi, by zapytali listownie Pauleta o zdanie. Odpowiedział:”Niech mnie Bóg broni, żebym miał w tak haniebny sposób splamić moje sumienie!” Szlachetne miłosierdzie pozwoliło Pauletowi zapomnieć, że zaprzysiągł akt konfederacji. Elżbieta ironicz - nie powiedziała, co myśli o”przyzwoitości tych skrupulantów”, którzy ślubowali wykonać samosąd na Marii i hałaśliwie domagali się jej śmierci, ale odium pragnęli zrzucić na królową, która tej śmierci nie chciała. Istniały faktycznie dwie postawy: purytańska i polityczna. Pierwszą jesteśmy w stanie zrozumieć; druga była tak zmieniona, że właściwie jest zupełnie niepojęta. Ci, którzy zajmowali postawę polityczną, a należeli do nich wszyscy panujący, oburzali się straszliwie na sam pomysł postawienia władcy z Bożej łaski przed

sądem i stracenia go; woleli już morderstwo. Hrabia Aremberg, należący do otoczenia księcia Parmy, mówiąc o Marii oświadczył, że "już lepiej było ją otruć lub zadusić poduszką niż tak jawnie stracić". Tego samego zdania był król Francji i inni.

Elżbieta uważała, że może co najwyżej podpisać nakaz egzekucji. Spodziewała się, że kto inny weźmie na siebie odpowiedzialność za jego wykonanie. Nieszczęsny Davison przeczuwając, że to on będzie kozłem ofiarnym, zrzucił odpowiedzialność na Burghleya i innych członków Rady. Oni zaś spokojnie nakaz wysłali.

We wtorek 7 lutego zapowiedziano Marii, że następnego dnia umrze. Nie okazała strachu. Raz jeszcze oświadczyła, że nie wiedziała o spisku Babingtona, powtórzyła, że umiera za wiarę i wybacza swym nieprzyjaciołom ufając w pomstę boską. Prawie całą noc spędziła na modlitwie. Około ósmej rano szeryf i jego towarzysze wyprowadzili ją do sieni zamkowej, gdzie już poczyniono przygotowania do egzekucji. Była cała w czerni, włosy przykryła białym batystowym welonem, w rękę trzymała krucyfiks, a na pasku zawiesiła różaniec. Miała lat czterdzieści cztery i jeśli nie liczyć krótkiego okresu po ucieczce z Loch Leven, ostatnie dwadzieścia lat spędziła pod strażą. Powaby młodości przeminęły bez śladu. Była teraz kobietą korpulentną, zgarbioną, o otyłej twarzy i podwójnym podbródku. Jej kasztanowe włosy były sztuczne.

Bardzo płakała żegnając się ze służącymi, lecz nie przeraził jej widok szafotu obitego czarnym sukniem. "Mój wierny sługo - powiedziała do jednego z nich - niech to będzie - dla ciebie powodem do radości, a nie do smutku, bo teraz zobaczysz, że cierpienia Marii Stuart dobiegły długo oczekiwanego kresu." Dziekan z Peterborough w najlepszej intencji namawiał ją żarliwie, by dla zbawienia duszy zmieniła religię. "Nad twą głową zawisła ręka śmierci, topór dotyka korzeni drzewa, odsłoniony został tron wielkiego Sędziego Niebios, księgi całego twego żywota są otwarte, lada chwila zapadnie wyrok." Przerwała mu po pierwszych słowach: "Panie dziekanie, nie przeszkadzaj mi. Nie posłucham ja ciebie. Jestem wierna wierze rzymskiej i katolickiej." Próbował jeszcze coś powiedzieć, ale tym razem ucięła gwałtownie: "Dość, panie dziekanie! Nic tobie do mnie ani mnie do ciebie." Gdy się modlił, odmawiała głośno swe katolickie modlitwy i łzy płynęły jej z oczu. Dwóch katów pomogło jej się rozebrać. Z uśmiechem zauważyła: "Nie przywykłam, by tacy szambelani zdejmowali ze mnie szaty." Z niezachwianym spokojem położyła głowę na pniu, powiedziała: In manus Tuas, Domine, i zginęła z przykładowym męstwem. Kiedy kat uniósł do góry jej głowę, welon i peruka opadły odsłaniając siwe włosy "bardzo krótko obcięte", pozą dwoma lokami nad uszami. Kat zawołał: "Boże, chroń królową!", na co obecni odpowiedzieli: "Amen!" Dziekan dodał: "Tak niechaj zginą wszyscy Twoi nieprzyjaciele, o Panie!", i znowu rozległo się



chóralne:”Amen!” „Tak skończą wszyscy wrogowie Ewangelii i królowej” - powiedział hrabia Kent i lud znów odrzekł:”Amen.” Jeden z małych piesków Marii schował się pod jej suknią; teraz wyszedł i położył się we krwi między odciętą głową a ramionami.

Dziekany z Peterborough pisał:”Dzień był bardzo pogodny, jak gdyby na potwierdzenie przychylności niebios i pochwałę wymierzonej sprawiedliwości. W ósmym dniu lutego otrzymała zapłatę za karę, którą dziesiątego dnia tegoż miesiąca przed dwudziestu laty sama wymierzyła swojemu mężowi.

Kiedy wiadomość dotarła do Londynu, natychmiast uderzono we wszystkie dzwony, strzelano z dział, rozpalono ogniska na ulicach, weselono się i ucztowano. Obywatele zażądali od ambasadora francuskiego drzewa na ognisko, a kiedy odmówił, rozpalili ogień przed jego drzwiami. Natomiast Elżbieta była niepokieszona. Nie mogła jeść ani spać. Jaka szkoda, że swym niewieścim smutkiem obniżyła wzniosły ton tragedii! Musiała jednak grać rolę polityka. Była w podobnej sytuacji jak Katarzyna Medycejska po nocy św. Bartłomieja; musiała uciekać się do nędznych podstępów, by odwrócić od siebie hańbę tego uczynku przynajmniej w takiej mierze, w jakiej to było niezbędne dla utrzymania przyjaznych stosunków z innymi monarchami. Angielski ambasador we Francji donosił:”Nigdy jeszcze nie widziałem tak wielkiej nienawiści, z jaką mali i wielcy, młodzi i starzy, wyznawcy każdej religii przyjęli śmierć królowej szkockiej, szczególnie zaś sposób jej śmierci. Gdybyż to się stało w innym czasie!” Szkocję ogarnęło straszliwe wzburzenie. Wielu ludzi wzywało do wojny. Na ulicach rozlepiano paszkwile o Jakubie i jego anglofilskich ministrach oraz obmierzłe epigramaty o”Jezebel, angielskiej nierządniczy”.

Henryk III i Jakub VI nie chcieli dopuścić do tego, by głos ludu zmusił ich do zerwania przyjaznych stosunków z Elżbietą, a jednak dla ratowania własnego honoru domagali się od niej jakiegoś wytłumaczenia. Elżbieta prawdopodobnie to przewidziała i dlatego innym pozostawiła wysłanie nakazu egzekucji. Teraz oświadczyła, że nie miała wcale zamiaru go wysłać, że Davison postąpił niewłaściwie pokazując dokument innym członkom Rady, oni zaś nakaz wysyłając. Całkiem możliwe, że w końcu sama w to uwierzyła. Nigdy nie wyzbyła się wątpliwości i gdyby czekali z wysłaniem nakazu na jej wyraźne polecenie, zapewne nie raz jeszcze by się cofała, jak w przypadku Norfolka. Ale być może tylko grała komedię; jeśli zaś tak było, odgrywała ją z takim przekonaniem, że potrafiła oszukać Burghleya i innych, którzy mieli za to zapłacić. W każdym bądź razie jej gniew, prawdziwy czy udawany, spadł na tych, którzy nakaz wysłali, lżej dotykając Burghleya, ciężiej Davisona.

Broniąc się tak żałośnie napisała do Jakuba. Jak dotąd wszystko było w porządku. Jeden z ministrów Jakuba, zwolennik aliansu z Anglią, odpisał:”Jeśli królowa będzie nadal się

tłumaczyła i da jakieś dowody na potwierdzenie swych słów, to król niewątpliwie będzie ją kochał i szanował bardziej niż każdego innego monarchę... Ale by prawdę tę potwierdzić, mówię bez osłonek, *necesse est unum mori pro populo*"; innymi słowy, na ołtarzu aliansu ze Szkocją musi być złożony kozioł ofiarny. Los ten przypadł Davisonowi. Stał przed trybunałem w Izbie Gwiazdowej, został skazany na karę więzienia według upodobania królowej oraz na wysoka grzywnę. Przebywał w Tower przez osiemnaście miesięcy, korzystając zapewne z dużej swobody ruchu, a wypuszczono go natychmiast po rozgromieniu Armady, czyli wtedy, kiedy Elżbieta mogła nie za bardzo już przejmować się Szkocją. Grzywnę mu umorzono i nawet do końca życia zachował uposażenie sekretarza, nie obeszło się też bez gratyfikacji.

Tak oto kończy się opowieść, w której Przeznaczenie zmagало się z Miłosierdziem. Tragiczny splot namiętności i polityki, jakim było życie Marii, musiał doprowadzić do żalostnej śmierci. Dalsze dzieje państwa taką śmierć usprawiedliwiały. Stępiło się ostrze katolickiego zagrożenia, bo oczywistym dziedzicem tronu był teraz Jakub szkocki. Jego protestantyzm mógł budzić wątpliwości, jego polityczne intrygantwo mogło sprawiać kłopoty, ale w każdym razie nie była to Maria. Parsons i inni jezuici zaczęli wiązać nadzieje ‘ z córką Filipa II, doprowadzając do rozbicia katolickich szeregów. Katolicka rebelia w Anglii nie wchodziła już w rachubę - kiedy w przyszłości trzeba było walczyć z Hiszpanią, wszyscy czuli się Anglikami. Rozluźniły się więc trochę więzy łączące religię z polityką, początkowo nieznacznie, ale narodziła się zbawienna idea tolerancji. Z mroków wyłaniała się jasność.

## ***Rozdział siedemnasty***

### WOJNA

Elżbieta osiągnęła pięćdziesiąty trzeci rok życia; panowała od lat dwudziestu ośmiu. Bezlitosny czas nie stał w miejscu. Wielu podwładnych i przyjaciół młodości już nie żyło. Dawno zmarła pani Ashley. "Cóż to była za heretyczka!" Tylko nieliczni spośród humanistów z Cambridge przebywali jeszcze wśród żywych. Umarł Ascham, Nicholas Bacon, Thomas Smith, Thomas Wilson, Walter Haddon, Mathew Parker, James Pilkington i jeszcze inni, którzy stanęli przy uczniu ich przyjaciela Aschama, by wszystkie siły oddać budowie elżbietańskiego Kościoła i państwa. Trzej wybitni mężowie, którzy wytrwali przy królowej i wraz z nią mieli stawić czoło zbliżającemu się kryzysowi, nosili ślady nieprzyjemnej ręki czasu. Leicester utył i stracił figurę; wąsy i broda przerzedły, był trochę nalany. Cecil stał się siwobrodym starcem, jęczącym, gdy dokuczała mu podagra, często przebywającym poza

dworem, ale ten wielki i mądry mąż stanu wciąż jeszcze potrafił sobie radzić z ogromem pracy. Walsingham był męczennikiem kamicy nerkowej. Nie mógł się już stawiać na każde zawołanie, ale nie stracił zapału, nadal świetnie wszystko rozumiał i był niezawodnie przebiegły.

Z królową czas obszedł się łagodniej. Znowu cieszyła się dobrym zdrowiem. Codziennie, jak to było w jej zwyczaju, spacerowała i jeździła konno. Zachowała świeżość ciała i umysłu, czerpała siły z młodzieńczości swego dworu, na którym wciąż nowi pojawiali się ludzie. Nie miała skłonności do tycia, jeszcze nie stała się koścista i każdy, kto na nią patrzył, stwierdzał, że w młodości musiała być piękna. Z wiekiem nie tylko nie ubyło jej godności, lecz wręcz przybyło. Kiedy siedziała cała w bieli w złotej karecie królewskiej, „podobna była do bogini takiej, jaką zwykli przedstawiać malarze”. Ucichły za jej panowania surmy przeciw rządóm niewieścim. Wrogowie jej nienawidzili, poddani bali się lub kochali, potrafiła doprowadzać swych doradców do rozpacz, ale nikt nie mógł zaprzeczyć, że odniosła sukces. Nowy papież Sykstus V powiedział: „Zaiste jest ona wielką królową i bardzo byśmy ją ukochali, gdyby tylko była katoliczką. Zobaczcie, jak ona znakomicie rządzi! Jest tylko kobietą, tylko panią połowy wyspy, a przecież budzi strach w Hiszpanii, Francji, cesarstwie i we wszystkich.”

Dysproporcja między możliwościami Elżbiety i jej osiągnięciami, która tak wielkie wrażenie zrobiła na Sykstusie V, była cudem jej stulecia. Cud ten był możliwy dzięki niespotykanemu połączeniu odziedziczonych talentów: ojcowskiej umiejętności pozyskiwania sobie ludzi i dziadkowej roztropności w sprawach finansowych. Dzięki pierwszemu potrafiła wzbudzić w sercach poddanych tak żarliwe uczucie przywiązania, że panowanie jej zamieniło się w swoisty romans; dzięki drugiemu zdołała wykarmić lub opłacić żołnierzy i marynarzy. O pustym żołądku romans nie trwa długo.

Finanse są przedmiotem nieciekawym i trudnym, lecz one właśnie stanowią główny wątek w historii Elżbiety. Jej zwyczajne dochody - z domen królewskich, ceł itd. - wynosiły w pierwszych dwunastu latach panowania około 200 000 funtów rocznie, w ostatnim dziesięcioleciu około 300 000 funtów. Nawet po uwzględnieniu różnicy w wartości pieniądza była to suma śmiesznie mała, w żadnej mierze nie dająca się porównać z dochodami jej rywalek, Francji i Hiszpanii. Anglia nie była mocarstwem finansowym. Z dochodów zwyczajnych musiała Elżbieta utrzymać siebie, dwór i cały aparat rządów. W oddzielnej rubryce figurowały wydatki nadzwyczajne, przede wszystkim na fortyfikacje i wojnę. W przypadku wojny korona miała prawo zwracać się do parlamentu o pomoc w postaci opodatkowania, ale tylko w tym przypadku, normalne bowiem koszty rządzenia uważano za

prywatną sprawę monarchy, podobnie jak do magnata należało finansowanie jego rezydencji i dóbr. Podatki nie były rzeczą zwyczajną, lecz nadzwyczajnym obciążeniem, i każdy władca, dla którego, jak dla Elżbiety, źródłem siły była popularność, musiał o tym stale pamiętać. W ciągu całego jej panowania opodatkowanie nie przekraczało przeciętnie niespełna 80 000 funtów rocznie; w ciągu pierwszych lat trzydziestu wynosiło trochę powyżej 50 000 funtów rocznie. WOJNA

Tak więc do roku 1588 przeciętne dochody Elżbiety, zwyczajne i przyznawane przez parlament, nie przekraczały 250 000 funtów rocznie. Z tych pieniędzy musiała pokrywać królewską wystawność, koszty kierowania rządem i prowadzenia swych nielicznych wojen, a także finansować protestancką Europę.

Wydatki nadzwyczajne były zastraszające nawet przed nastaniem okresu wojen. Pozostał dług z czasów Marii w wysokości około 200 000 funtów. W latach 1559-1560 doszły koszty wypędzenia Francuzów ze Szkocji, w 1562 koszty katastrofalnej ekspedycji francuskiej. Te dwie kampanie, łącznie z długiem, wyrażały 'się sumą około 650 000 funtów, a choć niewątpliwie stanowiły pozycje najważniejsze, to jednak nie jedyne. Innymi słowy, same nadzwyczajne wydatki w pierwszych czterech latach panowania dorównały mniej więcej trzyletnim dochodom, zwyczajnym i parlamentarnym. Rzecz jasna, długów tych nie można było spłacić z dochodów, rozważa zaś zabraniała naruszać kapitał, chociaż faktycznie doszło do poważnej wyprzedaży dóbr koronnych.

Problem ten w naszych czasach rozwiązałby dług narodowy. Elżbieta nie miała takiej możliwości. Pod tym względem Anglia była na szczęście mniej nowoczesna od Francji i Hiszpanii. W tych czasach, gdy Henryk VIII trwonił spadek po ojcu, a potem majątki zagrabione klasztorom, i był względnie zabezpieczony przed brakiem gotówki, królowie Francji i Hiszpanii wpadli na pomysł zdobywania pieniędzy przez tworzenie rentes, czyli stałych dożywoci, jako formy zadłużenia korony, pozwalającej im się dobrać do majątku poddanych, pieniądze z gospodarczych przedsięwzięć tracić na marnotrawne wojny i królewską rozrzutność, aż w końcu nie mieli z czego płacić odsetek i bankrutowali doprowadzając wszystkich wokół do ruiny. Elżbieta nie dysponowała systemem rent, który mógłby ją sprowadzić na złe drogi, musiała więc korzystać z krótkoterminowych pożyczek zaciąganych w Antwerpii. Były kłopotliwe i niebezpieczne, wysoko oprocentowane, niełatwo dawały się prolongować lub zastąpić nowymi, a ponieważ zazwyczaj gwarantował je londyński patrycjat, niespłacenie pożyczki groziło konfiskatą towarów należących do angielskich kupców. Dlatego też Elżbieta za wszelką cenę chciała się uwolnić od zmory długu.

Oszczędność była u Elżbiety cechą wrodzoną, a także wynikiem wychowania. Przed wstąpieniem na tron miała bardzo skromne dochody, zaś finansowe trudności pierwszych lat panowania zmuszały ją do stałego czuwania nad wydatkami. Mimo gwałtownie spadającej wartości pieniądza udało się jej zredukować roczne wydatki zwyczajne do około 135 000 funtów, co pozostawiało nadwyżkę z dochodów zwyczajnych na likwidację długu. A potrafiła tego dokonać nie zmniejszając sprawności administracji i nie rzucając cienia ubóstwa na dwór, którego wystawność była przedmiotem dumy ludu i potwierdzeniem rangi monarchy. Po uzdrowieniu finansów utrzymywała je w przykładowym porządku, mimo że spadły na jej barki nowe ciężary, między innymi konieczność wydania 93 000 funtów na stłumienie rebelii na północy, pół miliona na dwie irlandzkie rebelie w 1573 i 1579, nie mówiąc już o mniejszych, choć bynajmniej nie błahych wydatkach, jak na przykład spłacenie Alengona.

Było to osobiste osiągnięcie królowej, wymagające stałej czujności i takiej postawy wobec dodatkowych ekspensów, że ministrowie bali się wspomnieć o "kosztach". Gdy zostawali isami, narzekali i współczuli sobie wzajemnie. Oszczędność nie jest cnotą lubianą. Pan Bóg kocha ludzi hojnych, a przecież wszyscy jesteśmy Jego dziećmi. Nie można jednak dyskutować z nieubłaganymi faktami. Najmniejsze ustępstwo ze strony Elżbiety pociągnęłoby za sobą potop żądań, który zmiotłby wszystkie jej rezerwy. Pierwszy wysunąłby je Walsingham, szczerze lamentujący, że królowa "za bardzo polega na fortunie, która jest nader wąłym fundamentem, by na nim budować. Wolałbym, by budowała i polegała na Bogu", czyli na impulsywnej rozrzutności Walsinghama, dziś utrzymującego, że trzeba wyznaczyć pensje szkockiej arystokracji i Jakubowi dać tyle, ile żąda, zamiast, jak to właśnie robiła Elżbieta, brutalnie ukrócić szantaże młodego hultaja; nazajutrz proponującego, by rozbić Filipa w Niderlandach nie bacząc na koszty i inne trudności; trzeciego dnia, by rozbić go na morzu; a kiedy indziej jeszcze, by wszystkie pieniądze zainwestować w Henryka z Nawarry. Na tę samą chorobę co Walsingham cierpiało wielu i nawet Burghley niekiedy na nią zapadał.

Na froncie wewnętrznym miała do czynienia z Czcigodnym Zakonem Żebraczym - dworem i arystokracją. Żebrali nieustannie i bez umiaru wydawali pieniądze. Wielu z nich musiała królowa wspomagać finansowo, bo przecież nie mogła pozwolić na to, by znaleźli się w nędzy. Zięciowi Burghleya, hrabiemu Oksford, który na swe wielkopańskie wybryki i szaleństwa roztrwonił majątek, trzeba było dać 1000 funtów rocznie dożywocia wypłacanego kwartalnie. W 1579 roku Leicester winien był Elżbiecie 21 000 funtówWOJNA z racji zaciągniętych pożyczek; a przecież nigdy nie brakło rozmaitych petentów - dworzan, ambasadorów, urzędników dopraszających się i otrzymujących tego rodzaju pomoc i w końcu

nie wywiązujących się ze swych zobowiązań. Zebrano o zaszczyty, o nadania ziemi, o urzędy! Wakans na jakimś urzędzie, ba! pogłoska, że piastujący ten urząd człowiek wkrótce umrze - wywoływały zaciekle boje. Pewien nieszczęśliwiec, przypisujący swój pech”w ciągu trzech troistości swego życia opornym wpływom ciał niebieskich”, tak oto żalił się Burghleyowi:”Dobijał się, ale drzwi były zamknięte, pukał za późno, musiał więc spać z pięcioma głupimi pannami.” Wkrótce po wstąpieniu na tron Elżbieta mówiła już o nienasyconej chciwości ludzkiej. Życie potwierdziło jej spostrzeżenie.

Ciężko było związać koniec z końcem, ale nie dałoby się to w ogóle osiągnąć bez owego dziwnego systemu, dzięki któremu prawie wszystkie przedsięwzięcia od przedsięwzięć państwowych po ekspedycje Drake’a były finansowymi spółkami monarchy i poddanych. Podobnie jak w dzisiejszych hotelach, w których obowiązuje jeszcze system”napiwków”, absolutnie niewystarczające pensje wolno było uzupełniać pobieraniem wynagrodzeń i łapówek. Ten demoralizujący zwyczaj panował również w rezydencjach arystokracji i temu w znacznej mierze trzeba przypisać panoszenie się nieprzyjemnej żebraniny i nie dającej się wytępić korupcji. Królowa, dworzanie i urzędnicy, wszyscy byli ofiarami tego zgubnego systemu, na który nie istniało żadne skuteczne lekarstwo. Anglia wzbogaciła się w ciągu tych lat pokoju i pomyślności, ale nie towarzyszyło temu wzmocnienie instytucji monarchii, wciąż jeszcze mającej bardziej osobisty niż narodowy charakter. Tron nie umiał w należyty sposób eksploatować nowego bogactwa, po części dlatego, że opodatkowanie nadal było czymś wyjątkowym, po części zaś z winy tych sił społecznych, które obracały ustalenie wysokości podatków w farsę, rozdzielały je niesprawiedliwie, a tym samym krzywdząco.

Jeśli chcemy zrozumieć historię okresu wojen, musimy pamiętać, że politykę Elżbiety kształtowało nieistnienie długu narodowego, brak długoterminowych pożyczek oraz roczny dochód w wysokości ćwierć miliona, wzrastający w sytuacji krytycznej o dalsze sześćdziesiąt procent.

Perspektywa wojny z Hiszpanią stanęła przed Elżbietą na jesieni 1585 roku, kiedy posłała Leicestera z armią do Niderlandów i kiedy po zatrzymaniu angielskich statków ze zbożem w portach hiszpańskich puściła Drake’a na grabieżczą ekspedycję do Indii Zachodnich. W jej przekonaniu nie były to formalne działania wojenne. Wysłanie armii Leicestera uważała raczej za środek zapobiegawczy w obliczu zagrożenia, którego Anglia nie mogła tolerować; o Drake’u zaś mówiła, że”jest to pan, który wcale nie przejmuje się tym, że mogą się go wyprzeć”. Filip był bardzo cierpliwy, a Elżbieta wciąż jeszcze liczyła na to, że będzie wolał dojść do porozumienia z rebeliantami niderlandzkimi i przywrócić przyjazne

stosunki z Anglią niż dorzucić do swych licznych kłopotów wojnę i zerwanie ważnych stosunków handlowych. Wiedziała, na co może sobie pozwolić, i nie była tak naiwna, by przypuszczać, że z rozpoczętej wojny będzie mogła się wycofać w dogodnej chwili. Była kobietą. Nie pragnęła chwały okupionej zrujnowaniem swej kariery, zastojem w handlu i przemyśle oraz doprowadzeniem społeczeństwa do krytycznej sytuacji. Kiedy więc posłowie holenderscy zaproponowali jej, wręcz zażądali, by zechciała roztoczyć swą władzę nad zbuntowanymi prowincjami, odmówiła stanowczo. Nie chciała doprowadzić do sytuacji, w której wojna stałaby się rzeczą nieuchronną.

A tego właśnie pragnęli Walsingham i Leicester. Elżbieta”strzelała”, Leicester”nosił kule”. Kilka tygodni po przybyciu do Niderlandów, słowem nie powiadamiając Elżbiety o swych zamiarach, przyjął tytuł i stanowisko najwyższego wojskowego i cywilnego zwierzchnika; naruszał w ten sposób otrzymane instrukcje, torpedował politykę królowej i - to było bodaj najbardziej irytujące - ośmieszał opublikowaną w kilku językach broszurę, w której elokwentnie tłumaczyła całemu światu, iż pragnie pokoju i nie sięga po władzę lub terytorialne zdobycze w Niderlandach. Gniew Elżbiety spadł jak grom. Na domiar złego dowiedziała się, że lady Leicester, której nie cierpiała, zamierza wyjechać do męża”z taką świtą dam i dworek, z tak wystawnymi karetami, lektykami, damskimi siodłami, jakich Jej Królewska Mość nie posiada, i że urządzi tam dwór wspanialszy od dworu, który Najjaśniejsza Pani ma tutaj”. W straszliwym uniesieniu Elżbieta zawołała, że nie pozwoli na to, by poza jej własnym dworem istniał jakikolwiek inny.

Burghley, Walsingham i Hatton starali się, jak mogli, uspokoić królową. Na próżno. Piorunowała na swe”dzieło”, na”człowieka - tak pisała do samego Leicestera - którego wychowała, darzyła niezwykłymi względami, większymi niż jakiegokolwiek innego poddanego”, tylko po to, by okazał jej takie lekceważenie. Stanowczo zażądała, by zrzekł się tytułu, i to publicznie, tak jak go przyjął. Doradcy przytrzymali kuriera czekając, aż gniew jej trochę ostygnie, co umożliwi złagodzenie instrukcji. Kiedy dotarł do Niderlandów, ośmielił się złagodzić złagodzenia. Wściekła napisała do niego:”I na co zda się rozum, kiedy zawodzi właściciela w największej potrzebie? Rób, jak ci kazano, a swoje pomysły zachowaj’ na własny użytek... Pewna jestem, że myślisz uczciwie, ale nigdy nie pozwolę na taką dziecinadę.” Inny kurier powiedział jej, że Leicester jest chory. Natychmiast zmiękła. Burghley nadal naciskał i groził, że ustąpi. W końcu uspokoiła się na tyle, by zrozumieć, że szkoda została już wyrządzona i że publiczne zrzeczenie się tytułu wywoła dezorientację i zamieszanie w prowincjach powstańczych. Burza minęła, ale królowa zabroniła Radzie omawiać sprawy niderlandzkie bez jej rozkazu i osobiście ich pilnowała.

Taki był żalosny początek żalosalnej historii. Następnym zmartwieniem okazały się finanse. Wojna w Niderlandach przyjęła fatalny obrót, zmuszając Elżbietę do podjęcia większych zobowiązań, niż początkowo zamierzała. Obiecała utrzymać armię liczącą w niektórych garnizonach 6000 piechoty i 1000 jazdy, co kosztowało 126 000 funtów rocznie. Jeśli się zważy jej dochody i stale będzie pamiętało, że musiała przewidywać atak Armady - co oznaczało wydatek 161 000 funtów rocznie - i potrzebę wspomagania hugenotów, wyda się rzeczą oczywistą, iż nie mogła sobie pozwolić na zwiększenie podjętych już wcześniej zobowiązań; właściwie i tak za daleko się posunęła. Wypłacała co do grosza to, co obiecała, a nawet więcej, jednak z przerażeniem i wściekłością dowiadywała się, że żołnierze nie otrzymywali żołdu i że ma jeszcze poważne sumy do uregulowania.

Fakt ten tłumaczył się dwojako. Po pierwsze, poza armią pozostającą na jej żołdzie istniała jeszcze angielska armia na żołdzie Stanów, znanych z tego, że źle płacą. Miały one zobowiązania znacznie przekraczające ich możliwości podatkowe, choć prawdopodobnie nie majątek, jako że bojowi, patriotyczni kupcy robili znakomite interesy na zaopatrywaniu wszystkich armii, łącznie z nieprzyjacielską. Anglicy na ich żołdzie głodowali i Leicester ratując rodaków przed śmiercią głodową oddawał im część pieniędzy otrzymywanych od Elżbiety. Innymi słowy, jako gubernator Niderlandów stawał się kanałem, którym finanse angielskie ściekały do przepaści holenderskiego bankructwa. Niezbyt pociągające widowisko dla Elżbiety, która uważała, że wolno jej wydawać tyle, na ile ją stać, i że powinna płacić tyle, ile się należy!

To jednak nie wszystko. System obowiązujący w armii fatalnie sprzyjał ówczesnej skłonności do korupcji. W starożytnym zawodzie najemnika przetrwały tradycje wolnych kompanii wieków średnich, działających na zasadach handlowych, kiedy dowódca wynajmował siebie i swój oddział, zbroi, ubierał i żywił ludzi za określoną sumę dziennie. Żołd nadal wypłacano dowódcy, który dość często dbał tylko o to, by szybko się wzbogacić lub, jeśli był "oficerem dworskim", porzucał swych żołnierzy w nieprzyjemnej porze zimowej i sam paradował na dworze. Starał się zachować z żołdu tyle, ile się dało. Z nominalnych poborów przewidywano pewne potrącenia: gdy kompania była niekompletna oraz za broń, mundury i strawę, jeśli częściowo lub w całości dostarczała je królowa. Dowódcy mieli uświęcone tradycją sposoby wykręcania się od tych potrąceń. Ludzie topnieli jak śnieg na wiosnę, ale kiedy zbliżał się dzień przeglądu, dowódcy wypożyczali sobie wzajemnie żołnierzy, by stworzyć pozory, że mają pełny stan. Tak postępowali wszyscy, nawet Leicester, który czerpał tego rodzaju dochody z własnego oddziału jazdy. Na mocy jednego z pierwszych zarządzeń, jakie wydał, podniósł sobie wynagrodzenie z 6 funtów dziennie do 10



funtów 13 szylingów i 4 pensów oraz pensje wszystkich oficerów, obracając wniwecz kalkulacje Elżbiety i łamiąc przy tym postanowienia traktatu. Był to krok, najdelikatniej mówiąc, nierozważny, Leicester jednak gardził rozważą i nie bardzo przejmował się swymi powinnościami.

Elżbieta miotała gromy, oburzona takim brakiem dyscypliny i korupcją. Pisała, że "stałe dowiaduje się, iż należą się poważne sumy, ale dlaczego czy też komu się należą, komu są wypłacane, a komu nie... tego nigdy nie może ustalić". Jeden oskarżał drugiego, a Leicester wszystkich. Domagała się rozliczeń: nie otrzymała żadnych, wobec czego odmówiła wysłania pieniędzy. Pisano przerażające historie o cierpieniach żołnierzy. Tym bardziej stanowczo postanowiła skończyć z rozkradaniem skarbu i żądała, by żołnierze otrzymywali należny im żołd. Kiedy się dowiedziała, że jakieś rozwiązane oddziały nie otrzymały ani grosza, choć dowódcy dostali pełne wynagrodzenie, natychmiast zarządziła dochodzenie i powołała komisję apelacyjną, która miała zbadać płace żołnierzy w każdym hrabstwie.

Troszczyła się o swą popularność jak żaden inny panujący na świecie, a oto zaczynano już szemrać przeciw wojnie. Stałe ubywało ludzi; despotyzm i korupcja towarzyszyły werbunkowi. Miejscowy sędzia pokoju i jego podwładni, którzy "wyciskali" ludzi do służby wojskowej, nader często wykorzystywali okazję do rozrachunków osobistych lub do nabicia sobie kabzy. Kilka lat później pewnego kandydata do parlamentu, który "wyciskał" ludzi w przeddzień wyborów, oskarżono o to, że zaciągał jedynie zwolenników rywala; zamiast dwunastu ze swego okręgu wziął czterdziestu, nadwyżkę zaś zwolnił za opłatą. Jeden poborowy, zdolny do służby, kupił sobie zwolnienie za dwadzieścia szylingów. Niejaki John ap John, choć niesprawny kaleka, musiał pójść na wojnę, bo nie miał pieniędzy. Scena werbunku w Henryku IV Szekspira była bardzo dobrą satyrą na ówczesne stosunki.

Elżbieta bardzo się przejmowała tym stanem rzeczy. "Przez to sito wszystko przechodzi bez żadnej korzyści" - zawołała. W tym ciemnym obrazie nie było prawie jasnych plam. Wydatki królowej osiągały granicę, której nie powinna przekroczyć, Stany zadłużone były powyżej swych możliwości. I mimo partnerstwa, którego zresztą długo nie dałoby się utrzymać, wyniki militarne sprowadzały się do licznych dotkliwych strat i nie dających się z nimi porównać zysków. Przyszłość rokowała jedynie katastrofę. W handlu angielskim panował zastój. Rosło bezrobocie. Nie pozostawało więc nic innego, jak tylko wysondować możliwości zawarcia pokoju. Negocjacje z księciem Parmy były już w toku, gdy Armada wypływała na pełne morze. Anglicy uważali, że królową oszukano; Hiszpanie obawiali się, że rozmowy o pokoju są "jedynie podstępem tej niezwykle chytrej niewiasty".

W końcu Filip musiał zabić osę, która go użądliła. Kiedy mu zaproponowano współdziałanie w spisku Babingtona, zapomniał o wrodzonej ostrożności. „Jako że jest to sprawa bardzo złośliwa, zasługuje niewątpliwie na poparcie i miejmy nadzieję, że Pan przyczyni się do jej powodzenia, chyba że na przeszkodzie staną nasze grzechy... Może nadszedł wreszcie czas, kiedy Bóg wystąpi w swej obronie.” Pisał te słowa już po wykryciu spisku i skazaniu na śmierć przywódców. Niemniej Hiszpania budziła się z drzemki. W portach gorączkowo przygotowywano Wielką Armadę.

Roztropne szczury lądowe, jak Sykstus V, bynajmniej nie były pewne, czy potężna Hiszpania pokona małe królestwo Elżbiety usytuowane jak niezdobytą twierdza na morzu, ale nawet oni nie zdawali sobie sprawy ze znaczenia zbliżającej się walki. Miała to być walka między tradycją i postępem, między krajem uwieńczonym wawrzynem zwycięstwa w ostatniej słynnej bitwie morskiej, w której uczestniczyły galery z wiosłami, i krajem, który nie mając żadnych tradycji, lecz wielkie możliwości, kroczył w awangardzie przemian i odkrył sztukę nowoczesnej wojny morskiej. Hiszpania do tego stopnia nastawiona była na Morze Śródziemne, że Filip, posiadający silną flotę galer, nie miał królewskiej floty oceanicznej, póki w 1580 roku nie uzyskał floty portugalskiej. Ale taktykę jego okrętów bojowych, ich niezgrabną konstrukcję i używanie piechoty do walki nadal określały tradycje walki galer, polegającej głównie na szepieniu się z okrętem nieprzyjacielskim, abordażu i stoczeniu bitwy lądowej na morzu.

Kontrast z Anglią był uderzający. Galera, nieprzydatna na morzach angielskich, nigdy się tu nie przyjęła. Zaraz po stworzeniu nowoczesnej floty jej twórca, Henryk VIII, wpadł na rewolucyjny pomysł umieszczenia na okręcie dział burtowych. Beczkowate, niezwrótne statki zastąpiono okrętami o smuklejszych kształtach. Dzięki tym zmianom można było wprowadzić nową formę walki, w której decydowały żeglarskie walory okrętu i zasięg jego ciężkich dział. Postęp był błyskawiczny, szczególnie w twardej szkole piractwa, gdzie sukces należał do tych, którzy szybciej pływali i mieli lepszą artylerię, i gdzie ze zwykłej konieczności załoga musiała zarówno walczyć, jak żeglować. Dla ludzi pokroju Drake’a i Hawkinsa zdumiewające możliwości nowych okrętów były czymś oczywistym, Anglia zaś miała szczęście, że Elżbieta była inteligentna i pojęta i wykorzystała ich doświadczenie. W 1577 roku Hawkins został kwatermistrzem marynarki wojennej i znakomicie spisywał się na tym stanowisku. Wytepił korupcję, nie bronił dostępu nowym ideom. Drake cieszył się względami Elżbiety, która bardzo go ceniła za to, że działa na własną rękę i nie ma pretensji o to, że jego działania są dezawuowane, gdy tego wymaga dyplomacja. Ci ludzie nie mieli cienia wątpliwości, że pokonają Hiszpanów. Najlepiej wiedzieli, jakie mają szansę.

Piętą achillesową były finanse. W przeciwieństwie do Filipa, Elżbiecie przeciąganie sprawy groziło finansową katastrofą. Nie mogła sobie pozwolić na trzymanie floty w stanie mobilizacji i ludzi pod bronią, podczas gdy Hiszpania marudziła. Ministra skarbu Burghleya doprowadzał do rozpaczki brak pieniędzy i w dniu, w którym Armada stanęła u wejścia do Kanału, podobno modlił się, by nieprzyjaciel nie zwlekał, skoro pokój jest nieosiągalny. Nie wiadomo zresztą, czy kłopoty finansowe były naprawdę takim nieszczęściem, skoro wspierały argumentację Drake'a, że natarcie jest najlepszą obroną, i umożliwiały mu wypróbowanie strategii, która w przyszłości miała się przyjąć w angielskiej tradycji morskiej.

W kwietniu 1587 roku Drake wyruszył z małą, lecz doborową eskadrą okrętów z poleceniem zaatakowania floty hiszpańskiej w jej własnych portach, zadania jej jak największych strat i uniemożliwienia poszczególnym jej jednostkom koncentracji w Lizbonie, skąd miała wyruszyć Armada. Była to genialnie pomyślana, bezbłędna kampania. Popłynął do Kadyksu i wbrew wszystkim staroświeckim regułom wojowania wszedł do portu nie zważając na forty i galery, po czym zniszczył okręty o wyporności wielu tysięcy ton i znaczne ilości zmagazynowanego materiału. Mówiąc jego słowami, przypalił brodę królowi Hiszpanii; udowodnił również, że nawet wtedy, gdy angielskie okręty stały unieruchomione z powodu braku wiatru, ich działa dalekiego zasięgu mogły całkowicie obezwładnić hiszpańskie galery. Po Kadyksie zdobył przylądek St. Yncent, wykorzystał go jako bazę dla operacji mających przeszkodzić koncentracji floty hiszpańskiej w Lizbonie i pokrzyżował w ten sposób plany nieprzyjaciela. Następnie podpłynął do Lizbony i choć port był zbyt silny, by go zaatakować, stanął na kotwicy, z zimną bezczelnością rzucając wyzwanie Hiszpanom. Ostatnim wyczynem było zdobycie na wysokości Azorów karaki wracającej z Indii Wschodnich z towarami wartości 114000 funtów. Zamysł strategiczny Drake'a nadal był skuteczny, kiedy bowiem zawijał już do Plymouth z łupami, naczelny dowódca Armady, nie wiedząc, gdzie go szukać, pośpieszył na ślepo ku Azorom, by uratować hiszpańską flotę skarbową przed nie istniejącym niebezpieczeństwem. Kampania Drake'a do dziś może służyć jako przykład najznakomitszego wykorzystania małej, dobrze dowodzonej floty... dla sparaliżowania mobilizacji przeważających sił".

Sykstus V wołał z podziwem: "Spójrzcie tylko na Drake'a! Kim on jest? Jakże ma siły?... Przykro nam, ale musimy powiedzieć, że nie jesteśmy najlepszego zdania o hiszpańskiej Armadzie i obawiamy się jakiegoś nieszczęścia." El Draque - smok, to słowo budziło przerażenie Hiszpanów. Twierdzili, że nie jest człowiekiem, lecz diabłem, że służy mu szatan, że w kabinie ma zwierciadło magiczne, w którym widzi nieprzyjacielskie okręty i wszystko, co się na nich dzieje, że może rozpuszczać i zatrzymywać wiatry we-dług swej

woli. Inni mówili:”Król myśli i planuje, podczas gdy królowa Anglii działa, i to nie na żarty.” Filip był postacią żalosną: miał lat sześćdziesiąt jeden, dokuczała mu podagra i katarakta na jednym oku, ugiął się pod brzemieniem pracy i trosk. Między modlitwą a urzędowaniem nie odpoczywał; robił uwagi na raportach, podpisywał niezliczone dokumenty, pisał notatki i rozkazy. Był, podobnie jak Elżbieta, autokratą, lecz nie umiał właściwie wykorzystywać innych. Ministrowie byli figurantami, polityka leżała odłogiem, bo na skutek jego powolności piętrzyły się sprawy bieżące. Ale atak na Kadyks wyrwał go z drzemki. Uparł się, że Armada musi wyruszyć jeszcze w tym roku, i nie dawał się od tego odwieść żadnymi argumentami. A jednak nie było to możliwe; Drake skutecznie storpedował inwazję w roku 1587. Tak więc ciężkie finansowe brzemie zwłoki spadło na Filipa. Elżbieta roztropnie trzymała większą część swej floty unieruchomioną w dokach. ‘ Od dawna krążyła wśród Anglików przepowiednia, że rok 1588 będzie rokiem cudów. Okazał się rokiem Niezwycięzonej Armady. Trwały bezładne przygotowania, gdy wtem Filip poniósł niepowetowaną stratę: w lutym zmarł jego utalentowany, choć wiekowy, dowódca floty. Przyjął wiadomość z pokorą:”Bóg okazał łaskę markizowi zabierając go teraz, a nie po wypłynięciu Armady”, po czym mianował nowego dowódcę. Dla Drake’a była to bardzo dogodna okazja do powtórzenia zeszłorocznego wyczynu z zabójczym skutkiem, lecz Elżbieta wysłała właśnie komisarzy, by pertraktowali z księciem Parmy o pokój, i względy wojskowe poświęciła na rzecz politycznych, co biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, było chyba całkiem słuszną decyzją. Zwolennicy wojny wpadli we wściekłość. Admirał lord Howard z Effingham pisał do Walsinghama:”Od kiedy Anglia Anglią, nie było jeszcze takiego podstępu i próby oszukania Anglii jak ten traktat pokojowy. Modlę się tylko do Boga - ciągnął robiąc aluzję do Burghleya - żebyśmy nie musieli za to przeklinać długiej siwej brody i białej głowy.”

Gdy zaczął się zbliżać dzień odpłynięcia Armady, Hiszpania pogrążyła się w modlitwie, zaś król codziennie klęczał przed Najświętszym Sakramentem przez dwie lub trzy godziny. W połowie maja Armada wyruszyła. W kraju”nieustannie odprawiano procesje, posty i nabożeństwa”. Filip modlił się dniami i nocami, choć cierpiał na bóle reumatyczne w prawej ręce. Wreszcie nadeszły pierwsze wiadomości: sztorm rozproszył okręty i wyrządził znaczne szkody. Flota zbierała się w La Coruña.

W Anglii tymczasem wrzało jak w ulu. Internowano katolikówziemian w domach prywatnych, innych w więzieniach, mustrowano, szkolono, zbrojono lud, by mógł stawić opór inwazji, mobilizowano flotę, kilka zaś portów podlegających opodatkowaniu tak zwanymi pieniędzmi okrętowymi otrzymało nakaz dostarczenia dodatkowych okrętów. Drake został wiceadmirałem, zastępcą lorda Howarda, Hawkins i Frobisher otrzymali stanowiska

dowódcze i, jako że Howard okazał się człowiekiem bystrym, nowa szkoła pływania zwyciężyła w marynarce. Na dworze królewskim trwała walka między nowymi i starymi ideami, w końcu jednak nowe zwyciężyły. Ostatecznie główna flota stojąca na kotwicy w Plymouth otrzymała pozwolenie popłynięcia do Hiszpanii i stoczenia walki z Armadą na jej wodach. Współcześni nie mogli pojąć tej strategii, ale dla Draike'a i jego przyjaciół była równie oczywista jak dla nas. Silne wichury tego roku wyjątkowych sztormów uniemożliwiły jednak manewr i okręty stały w portach czekając na pomyślny wiatr, gdy 19 lipca nadeszły meldunki, że Armada znalazła się koło półwyspu Lizard. Przez kilka godzin wyglądało na to, że okręty angielskie są w pułapce, ale dzięki znakomitej i śmiałej akcji morskiej wypłynęto z portów. Hiszpanie się spóźnili. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

Obie floty miały mniej więcej taką samą liczbę jednostek bojowych. Anglicy jednak dysponowali przewagą ogniową oraz znacznie sprawniejszymi okrętami."Niech Bóg je błogosławi, bo to bardzo zacne okręty" - pisał jeden z admirałów. Ich załogi były lepsze i stosowały nową taktykę. Hiszpanie nie mieli nawet szans dokonania abordażu. Plan hiszpański opierał się na księciu Parmy, który czekał z armią i transportem w Niderlandach. Armada otrzymała polecenie połączenia się z nim, osłonięcia jego przeprawy i wysadzenia armii na brzeg razem z jego wojskami. Flota angielska miała nie dopuścić do połączenia się Hiszpanów z Parmą oraz uniemożliwić im ustanowienie bazy operacyjnej na wyspie Wight, co najprawdopodobniej leżało w ich zamiarach. Obie floty spotkały się 21 lipca i zaczęły ruchomą walkę w Kanale. Hiszpanów zmuszono do opłynięcia wyspy Wight. Stopniowo oskubywano ich z piórek. Wieczorem 27 Armada stanęła na kotwicy w pobliżu Calais, wciąż jeszcze względnie cała, ale już nadgryziona i trochę zdemoralizowana. Następnej nocy okręty hiszpańskie musiały opuścić miejsce postoju, popędzone przez brandery, zaś nazajutrz nastąpiła pełna konfuzja. Hiszpanie walczyli bohatersko, lecz Anglicy zdobyli panowanie, wypędzili ich definitywnie z Kanału, przekreślając wszelkie nadzieje na połączenie z Parmą, i gdyby nie nagły szkwał oraz opatrnościowa zmiana kierunku wiatru, wzięliby prawdopodobnie do niewoli około piętnastu okrętów, resztę zaś zniszczyli na brzegach Zelandii. W tej sytuacji okręty hiszpańskie, po olbrzymich stratach, bardzo uszkodzone ogniem działał, bez wody i zapasów uciekły na północ przed wiatrem i usiłowały dotrzeć do Hiszpanii opływając Szkocję od północy i Irlandię od zachodu. Wiele okrętów uległo rozbiciu, większość żołnierzy, którzy uratowali się od utonięcia, wycięto w pień. Niespełna połowa wielkiej Armady wróciła do Hiszpanii. Anglicy nie stracili nawet łódki.

A tymczasem na lądzie Burghley, Walsingham i inni pracowali niestrudzenie. Sporządzali kosztorysy, rachowali, zmuszali niezbyt elastyczny skarb królewski do

niezwykłej rozciągliwości, załatwiali korespondencję floty i armii lądowej, zamawiali zaopatrzenie, przekazywali wszędzie rozkazy. Biorąc pod uwagę zasoby korony, bezprzykładna wielkość floty oraz przekraczające wszelkie przewidywania zużycie prochu, należy przyznać, że osiągnęli wyniki zadziwiające. Oczywiście były niedociągnięcia, na które głośno skarżyli się porywczy wojskowi i politycy, żaden jednak inny kraj nie przezwyciężyłby tego rodzaju kryzysu z taką energią, pomysłowością i sprawnością.

Gdy Armada zbliżała się do brzegów Anglii, Elżbieta porzuciła wszelkie wahania i myśli o pokoju. Na fali powszechnego entuzjazmu wzniosła się na wyżyny wielkości. Robert, syn Burghleya, pisał, jak wspaniale się zachowała na wiadomość, że doszło do spotkania obu flot: „Serce rośnie, kiedy się widzi, jak wielkoduszna i nieustraszona jest Najjaśniejsza Pani.” Słowa, którymi się zwracała do Leicestera, on natychmiast rozpowszechniał, by podnieść ludzi na duchu. Sformowano dwie specjalne armie, jedną pod pałacem Sw. Jakuba, by chroniła osobę królowej, i drugą pod Tilbury, by stawiała pierwszy opór w przypadku lądowania nieprzyjaciela. „Przyjemnie było patrzeć na żołnierzy maszerujących ku Tilbury, na ich radosne miny, dzielne słowa i gesty, jak tańczyli i podskakiwali na każdym postoju.” Podobno pułk z Dorset ofiarował pięćset funtów za wejście w skład ochrony królowej. Armada została co prawda pokonana, ale przez pewien czas liczone się z tym, że Parma spróbuje dokonać inwazji. Z jego trudnego położenia nie zdawał sobie sprawy nawet znakomity strateg morski Drake.

W takiej to sytuacji, choć niektórzy obawiali się o jej bezpieczeństwo, Elżbieta postanowiła odwiedzić w Tilbury armię dowodzoną przez Leicestera. Kiedy w sekrecie powiadomiła go o swych zamiarach, pisał: „Zacna, kochana królowo, nie zmieniaj swego postanowienia.” Ósmego sierpnia „z królewską stanowczością i większą niż niewieścia odwagą... na podobieństwo jakiejś władczyni Amazonek przejechała przez całą armię”. Do klęczących i modlących się za nią żołnierzy wołała: „Niech was wszystkich Bóg błogosławi.” Następnego dnia z buławą w ręku, na wspaniałym rumaku, przyglądała się grze wojennej, po czym odbyła przegląd wojsk. Przemówienie, które wygłosiła do swych żołnierzy, nie ma sobie równego:

„Ukochani moi, ludzie zatroskani o nasze bezpieczeństwo namawiali nas, żebyśmy unikali zbrojnego tłumu w obawie przed zdradą. Ale zapewniam was, nie chciałabym żyć, gdybym miała nie ufać memu wiernemu, kochającemu ludowi. Niech boją się tyrani. Bóg mi świadkiem, że zawsze dbałam o to, by głównym źródłem mej siły i bezpieczeństwa były wierne serca i dobra wola moich poddanych; i dlatego znalazłam się wśród was, tym razem, jak widzicie, nie dla odpoczynku i rozrywki, lecz w wirze i najgorętszym ogniu bitwy, by żyć

lub umrzeć wśród was, by polec nawet w prochu za mego Boga, za moje królestwo, za mój lud, mój honor i krew. Wiem, że mam ciało słabej i bezbronnej kobiety, ale serce i odwagę króla, króla Anglii, i nigdy nie pozwolę, by Parma lub Hiszpania, lub jakikolwiek inny władca europejski śmiał wdrzeć się w granice mego królestwa. Sama chwycę za broń, sama będę waszym generałem, sędzią i szafarzem nagród dla każdego, kto się odznaczy na polu bitwy, lecz nie dopuszczę, byśmy z mojej winy okryli się niesławą. Wiem, że już gotowością zasłużyliście na nagrody i korony; zapewniam was słowem panującego, że je otrzymacie.”

Wojsko odpowiedziało potężnym okrzykiem. Tegoż dnia w południe, gdy Elżbieta jadła obiad z Leicesterem, nadeszła wiadomość, że księżę Parmy zamierza wyruszyć na wiosnę. Wpadła wówczas na concept, że honor nie pozwala jej wrócić do Londynu, jak długo zachodzi możliwość pojawienia się nieprzyjaciela.”Widzi więc jego lordowska mość, że tutaj rodzi się odwaga” - pisał Walsingham.

Demobilizacja floty i armii odbywała się ze zbytnim, jakby się mogło zdawać, pośpiechem: tak zresztą uważali wojskowi, którym dogadzało pobieranie żołdu. Jakby nagle entuzjazm królowej ustąpił miejsca dawnemu skąpstwu. Burghley zwięźle przemówił w jej obronę:”Wydawanie pieniędzy we właściwym czasie jest mądrością; przeciąganie wydatków bez rzeczywistej konieczności trzeba później odpokutować.” Elżbieta być może sądziła, że trochę ryzykuje - w rzeczywistości nic nie ryzykowała - ale stawiała na szczęśliwy los, by oszczędzić własne i narodu pieniądze i móc spłacić długi. Nie na próżno obiecywała wojsku pod Tilbury, że otrzyma ono należny żołd. Chronicznym błędem prywatnej i publicznej gospodarki było nieregularne i tylko częściowe płacenie służącym, a szczególnie żołnierzom. Stany holenderskie uważały, że bardzo dobrze wywiązują się ze swych zobowiązań, gdy w ciągu roku wypłacały sześciomiesięczne pobory, zaś najemnicy w Niderlandach i w Niemczech uważali za wielkie szczęście być na żołdzie królowej angielskiej. Z przykrością jednak trzeba stwierdzić, że o ile w walce z Armadą padło zaledwie stu żołnierzy, o tyle epidemia, która później szalała we flocie, pochłonęła tysiące. Nie było w tym zresztą nic nadzwyczajnego; choroby dziesiątkowały również Hiszpanów.

W tych wielkich zmaganiach chodziło o wysoką stawkę, o przyszłość protestantyzmu. W całym świecie chrześcijańskim protestanci i katolicy modlili się za rycerzy swej wiary, w nich pokładali nadzieję, o nich się obawiali. W przeddzień klęski Armady powtórnie ogłoszona została ekskomunika Elżbiety, a pod nazwiskiem kardynała angielskiego Allena, założyciela seminarium w Douai, ukazała się broszura: Napomnienie arystokracji i ludu Anglii oraz Irlandii w związku z obecnymi wojnami, wzywające do wykonania wyroku Jego Świątobliwości. Emigranci katoliccy, spodziewając się zwycięstwa, atakowali Elżbietę z

niepohamowaną zjadliwością:”Bastard z nieprawego łoża, poczęta i zrodzona w grzechu przez bezwstydną kurtyzanę Annę Boleyn”;;”wyniosła do wszystkich godności duchownych najgorszych wyrzutków ludzkości, rozpustnych apostatów i heretyków”;;”zaszczytami obdarowała jednego szczególnego bandytę, którym zaopiekowała się jako zdrajcą i zupełną nicością, by służył jej brudnej żądzy... Z rzeczoną osobą i różnymi innymi nadużywała swego ciała... w nieopisanej różnaitości uczynków pożądliwych, o których skromność nie pozwala wspominać, tak jak nie nadaje się dla czystych uszu mówienie o tym, jak bezwstydnie zbrukała i zniesławiła swą osobę i kraj, uczyniła z dworu pułapkę, w której pograża się w grzechu i ginie młodzież arystokratyczna i szlachecka, przez co okryła się złą sławą na całym świecie, a w innych krajach stała się pospolitym przykładem podłości.”

Pierwsze wieści o bitwie, które dotarły na kontynent za pośrednictwem ambasadora hiszpańskiego w Paryżu, Mendoza, mówiły o zwycięstwie Hiszpanów: Drake został pokonany, piętnaście okrętów, w tym okręt admirałski, zatopiono. Wielka była radość w Hiszpanii. Ludzie wystrojeni w swe najwystawniejsze szaty paradowali konno przez ulice wołając, że wielki pies, Francis Drake, zakuty w kajdany, w pętach, znalazł się w niewoli. W nocy rozpalono ogniska i zabawiano się lżeniem Elżbiety. W Rzymie ambasador hiszpański poinformował papieża o zwycięstwie, lecz Sykstus przyjął wiadomość sceptycznie, zwracając uwagę, że dwa meldunki z tego samego źródła nie oznaczają jeszcze potwierdzenia. Kilka dni później, nim jeszcze poznano prawdę, zaczął niespodziewanie wychwalać Elżbietę i Drake’a:”Czy słyszeliście, jak Drake ze swą flotą wydał bitwę Armadzie? Jaka odwaga! I czy myślicie, że okazał ślad strachu? To wielki dowódca!” Po czym opowiadał o jego różnych wyczynach.

Kiedy pierwsze wzmianki o tym, co się naprawdę wydarzyło, dotarły do Filipa, przyjął zawód z nabożną rezygnacją.”To, co Bóg zamierzył, nie przysparza ani nie odbiera sławy. Najlepiej o tym nie mówić.” Kolejne fałszywe meldunki z Paryża podniosły go na duchu, ale po raportach księcia Parmy znowu wpadł w przygnębienie. W końcu wróciły niedobitki Armady z opowieścią o niewyobrażalnej klęsce. Filip milczał. Zamknął się w Eskurialu i pograżył w modlitwie. Nikt poza jego spowiednikiem nie śmiał się do niego odezwać. Ludzie zwiesili głowy zawstydzeni i zasmuceni.

Anglia zaś radowała się i dziękowała Bogu. Czyż nie wyprorokował autor ballady?

Pan. ǐście wspiera naszą siłą, a ta im sprawi upad.

Legenda na medalu wybitym z okazji zwycięstwa nad Armadą mówiła o tym, jak Bóg w postaci wiatrów rozproszył Hiszpanów. Była to trawestacja roli Jego i marynarki w bitwie. Dwudziestego sierpnia burmistrz Londynu i rada miejska uroczyście przybyli do katedry Sw.



Pawła, by złożyć dziękczynienie za zwycięstwo. Ósmego września specjalne kazanie zostało wygłoszone pod krzyżem u Sw. Pawła, gdy rozwinięto zdobyte sztandary, po czym znowu było kazanie i dzień radości w niedzielę 17 listopada, w rocznicę wstąpienia na tron Elżbiety. Wtorek był dniem świątecznym w całym królestwie; wygłaszano kazania, śpiewano psalmy i palono ogniska. W niedzielę królowa przybyła procesjonalnie do Sw. Pawła, a było to widowisko dorównujące koronacji. Korporacje miejskie Londynu wystąpiły w uroczystych strojach, zaś nad bramą Temple Bar pięknie grała orkiestra miejska. Ballady opiewały słynną bitwę, wyjazd królowej do Tilbury i

Przesławne czyny, które nasza chwalna Pani Spełniła, odkąd Słońce trzydziestokroć przeszło Znaki Zodiaku swoim promienistym światłem.

Pośród tej radości spadł na Elżbietę bolesny cios. W drodze do Kenilworth "nieustanna gorączka" zmogła Leicesterę. Zmarł 4 września. A jeszcze 29 sierpnia dopytywał się o jej zdrowie, "najważniejszą rzecz na tym świecie". Elżbieta napisała na liście

## ***Rozdział osiemnasty***

### NIESPOKOJNI PODDANI

W lutym, po zwycięstwie nad Armadą, zebrał się parlament, by rozpatrzyć nieuchronny apel o pieniądze. Podczas ceremonii otwarcia obrad po prawej ręce królowej stał sir Christopher Hatton., W kwietniu 1587 roku został Lordem Kanclerzem. Mianując go na to stanowisko Elżbieta miała duże wątpliwości, i to nie tylko dlatego, że spodziewała się nieprzyjemnych komentarzy po tej nominacji. Hatton, choć w swoim czasie studiował prawo, nie dorównywał wiedzą swym dwóm poprzednikom. Wkradł się w łaski królowej przymilnym zachowaniem, "zwyczajna dworska jarzyna, która w ciągu jednej nocy wyrosła". Podobnie jednak jak inni faworyci" był rzeczywiście zdolny. Elżbieta zrobiła z niego doradcę i polityka, który dzięki pracy i wpływowi zaczął ostatnio dorównywać Leicesterowi, Burghleyowi i Walsinghamowi i został jednym z czterech najbardziej wpływowych ludzi w rządzie, w pełni zasługującym na powierzenie mu wysokiego urzędu. Nominacja była całkiem rozsądna i chociaż kładła nacisk na polityczną stronę urzędu Kanclerza, Hatton dzięki swej ostrożności potrafił uniknąć potknięć natury prawniczej.

Jemu właśnie przypadło wygłoszenie mowy podczas otwarcia sesji. Uderzył w obowiązujący podówczas ton i napadł z wściekłością i w obelżywy sposób na papieża i jego działalność. Gromił szalejącego Byka i potępiał kalumnie rzucane przez tego potwora, Piusa V. Atakował seminaryjną księżowską hołotę nasyłaną bez wyboru i ograniczenia do kraju, by

powiększała zastępy potencjalnych rebeliantów pod pretekstem krzewienia wiary papistów; sprzeczną z chrześcijańskimi zasadami wściekłość, z jaką "ten wilk krwiożerczy" papież i "nienasycony tyran" Hiszpan występują przeciw Dziewiczej Królowej, damie słynnej, i krajowi, który wyznaje prawdziwą i nie sfalszowaną religię Chrystusową; machinacje i pisma bezwstydnego bezbożnika, przeklętego kardynała Allena, kapłana bez obycia i barbarzyńcy. Mówił o oburzeniu, jakie w nim budzą Anglicy, "przekłęci księża i dwulicowi zdrajcy", którzy występują przeciw własnemu krajowi."Taka rzecz, jak sądzę, nie była znana nawet u Scytów. Podobno węże w Syrii nie kęsa i nie żądają ludzi, którzy tam się urodzili; ale te jadowite węże nie tylko starają się nas pokąsać i użądlić, lecz jak żmije okrutne nawet chcą nas rozszarpać na kawałki i pożywiać się naszą krwią". Po czym słał rządy królowej i przedstawił dzieje jej życia jako przedmiot katolickiej nienawiści. Lecz Bóg błogosławi, gdy papiści przeklinają, zesłał więc niezliczone łaski na Anglię. Obronił Elżbietę i jej królestwo, "każąc nawet ptakom niebieskim" - bardzo trafne określenie Walsinghama! - odsłonić spiski jej wrogów. Ku zdumieniu całej Europy król Hiszpanii poniósł ciężkie straty i okrył się hańbą. Wątpić jednak należy, czy przejdzie on do historii jako ten, który pokornie przyjął zrzączenie losu. Trzeba więc przygotować się do obrony. Ich szlachetni poprzednicy, choć nie mieli takich środków, jakie oni posiadają, potrafili bronić Anglii i swego czasu należeli do najświetniejszych zdobywców."Czyż pozwolimy na to, by spotkała nas hańba niewoli? Anglia zawsze dotąd słynęła z męstwa i dzielności w całym świecie chrześcijańskim, mamy więc teraz postradać tę sławę? Gdyby miało dojść do tego, to już lepiej byłoby dla Anglii, żebyśmy się nie narodzili."

Odpowiedź była oczywista. Wśród tysięcy prostych ludzi, którzy chcąc nie chcąc szli walczyć na lądzie i na morzu, były i będą setki takich, którzy chętnie ryzykują."Po prawdzie byli to młodzi szlachcice, wolni chłopcy i ich synowie i najdzielniejsi rzemieślnicy, którzy gardzili grabieżą i kradzieżą, lecz chętnie i radośnie szli służyć, a wszyscy tacy ludzie są siłą i kwiatem królestwa." Tym duchem ożywiona była Izba Lordów i Izba Gmin. Obie Izby uchwaliły nadzwyczajny, podwójny podatek. Podczas uroczystości zamknięcia sesji Przewodniczący Izby Gmin w imieniu obu Izb zaproponował, by królowa wypowiedziała otwartą wojnę Hiszpanii, obronną i zaczepną. Oddawał do jej dyspozycji "ich ciała, życia, ziemię i majątki".

Parlament był żywiłowo szczery. Elżbieta jednak wiedziała, że łatwiej jest oddać życie niż otworzyć kiesy. Tuż przed uchwaleniem ustawy budżetowej rozległ się w Izbie Gmin głos sprzeciwu uzasadniający swe stanowisko wielkim ciężarem lokalnego opodatkowania związanego z obroną państwa w roku poprzednim. Był to prawdopodobnie

głos osamotniony, niemniej proroczy. Prorocza również było ostrożność, która kazała Izbie umieścić w preambule do uchwały zastrzeżenie, że ten podatek nadzwyczajny nie może stać się podatkiem zwyczajnym. Napomnienia, by podatek ustalać w możliwie uczciwy sposób, padały na głuche lub bezsilne uszy. W jednym z hrabstw posiadających znaczny odsetek zamożnej ludności wszystkie dochody oceniono poniżej osiemdziesięciu funtów. W Londynie, gdzie kupcy byli tak bogaci, że mogliby wykupić arystokrację, zaledwie czterech lub pięciu oszacowało swe dochody na dwieście funtów, żaden ponad tę sumę. Wpływy z pierwszej połowy opodatkowania świadczyły o postępującym upadku królestwa: wyniosły zaledwie cztery piąte sumy uzyskanej przed trzydziestu laty. Druga połowa wyniosła jeszcze mniej. Ściągnięcie podatku rozłożono na cztery lata, lecz całość z trudem pokryła koszty jednego, 1588, roku wojny.

Tymi właśnie okolicznościami tłumaczy się pomysł, którego uchwyciła się Elżbieta, a mianowicie prowadzenia wojny zaczepnej w postaci wypraw pirackich opromienionych blaskiem przygody. Był to sposób nie bardzo skuteczny i być może pożałowania godny, niemniej jedyny. Bogaci poddani nie lubili podatków, natomiast wielce im przypadło do gustu to osobliwe połączenie patriotyzmu i sobkostwa, jakim było grabienie hiszpańskiego majątku. Awanturniczą fantazję pobudziło 4700 procent zysku, które przyniosła wyprawa Drake'a dookoła świata. Niespokojni szlachcice, "młodszy synowie", którzy musieli sami się dorabiać, wreszcie amatorzy wojaczki, których nie brakło w czasach, gdy każdy władał bronią, chętnie wyruszali na takie wyprawy, zabierając ze sobą swych dzierżawców bądź dzierżawców swych ojców, których udało im się namówić lub zmusić do tego, by im towarzyszyli.

Entuzjazm po zwycięstwie nad Armadą był tak wielki, że bez trudu dało się wystawić wielką armię i flotę, prawdziwą kontrArmadę, jako spółkę akcyjną. Królowa wniosła wkład wysokości 20 000 funtów oraz kilka okrętów i te koszty dodatkowe, które ku jej uprzykrzeniu - była bowiem osobą oszczędna i lubiącą porządek - pociągały za sobą wszelkie takie przedsięwzięcia, co w danym przypadku trzykrotnie zwiększyło jej wkład. Ekspedycja wyruszyła w kwietniu 1589 roku. Flotą dowodził Drake, armia zaś słynny żołnierz sir John Norris. Po zniszczeniu floty hiszpańskiej w porcie mieli oni wylądować w Portugalii i spróbować obalić Filipa. Towarzyszył im pretendent do tronu portugalskiego, Don Antonio, bastard królewski, który od 1580 roku krążył między Anglią i Francją, rozpaczliwy suplikant, zastawiający swą biżuterię, wycyty z wszystkiego prócz - nadziei i żalosnej wiary, iż wystarczy mu stanąć na ziemi portugalskiej, by cały naród powstał i zrzucił jarzmo hiszpańskie.

Ekspedycja zaczęła się niepomyślnie. Jeden z dworzan Elżbiety, wschodząca gwiazda dworu królewskiego, ukradkiem przyłączył się do niej. Był nim hrabia Essex, dwudziestodwuletni, wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o niezwykle pociągającej, otwartej twarzy i łagodnych marzycielskich oczach. Jego umysł i temperament odpowiadały powierzchowności. Był uosobieniem poezji, młodym, impulsywnym i szlachetnym arystokratą, rycerzem z dworskiego romansu. Miał wszystkie zalety niezbędne do zrobienia świetnej kariery, brakło mu tylko rozwagi, stałości i dyskrecji. Kiedy zjawił się na dworze w 1587 roku, po wojennym nowicjacie u swego ojczyma w Niderlandach, odniósł natychmiastowy sukces nie tylko jako ozdoba swego pokolenia, lecz także jako wnuk sir Francisa Knoliysa, kuzyna królowej, i jako pasierb hrabiego Leicestera. Ojciec jego zginął w Irlandii w służbie królowej. Elżbieta znalazła się w podwójnej roli ciotki i królowej i w obu tych rolach chciała, by zrobił karierę. Królowej zależało na tym, by młody arystokrata pozostał na stałe na dworze i w jej służbie. Porozumiewali się językiem, w którym pobrzmiwały tony miłości, lecz było to jedynie odpowiednikiem tego uwielbienia, jakim w sto lat później darzono Ludwika XIV, ekwiwalentem kunsztownym, równie przydatnym i mniej odrażającym.

Elżbieta dość szybko przejrzała Essexą. Przepadała za jego radosnym, młodzieńczym towarzystwem, pragnęła, by był jej wierny, ale nieustannie starała się poskramiać tę zmienną, krnąbrną naturę i zrobić z niego pożytecznego sługę. Przystępny i hojny, nie umiał się zdobyć na wyrozumiałość. Zazdrosny był o swych rywali, na dworze królewskim ta słabostka przerodziła się w chorobę i już wkrótce wodził się za łby z gwiazdą starszego pokolenia dworzan, sir Walterem Raleighem. Poczul się urażony tym, że jego rywal ma tak wielkie wpływy, z jakiegoś tam powodu pogniwał się na królową i wymknął się cichaczem lecząc urażoną dumę w oblężeniu Sluys. Elżbieta ściągnęła go z powrotem. Cieszył się coraz większymi łaskami, pod koniec 1587 roku przejął po Leicesterze urząd Wielkiego Koniuszego dający 1500 funtów rocznie oraz stołowanie się na dworze, utrzymanie osobistej stajni i dysponowanie wieloma niższymi stanowiskami. Po kilku miesiącach został kawalerem Orderu Podwiązki. Kto wie, czy nie byłoby dla niego lepiej, gdyby nie tak szybko odnosił te sukcesy. Zachowała się anegdota o tym, jaki był zazdrosny. Młody, przystojny arystokrata sir Charles Blount odznaczył się w turnieju i królowa podarowała mu konika szachowego ze złota. Nazajutrz Blount zjawił się u dworu z konikiem przywiązany do ramienia purpurową wstążką. Widząc to Essex zawołał: „No cóż, każdy dureń musi otrzymać jakąś nagrodę.” Doszło do pojedynku i Essex odniósł ranę. Elżbieta straszliwie się rozgniewała: „O Boże! Ale dobrze się stało, że ktoś wreszcie dał mu nauczki i lekcję lepszych manier, bo już nie można

by dać sobie z nim rady!” Wkrótce Essex wyzwał na pojedynek Raleigha, lecz Rada do pojedynku nie dopuściła i starała się ukryć całą sprawę przed Elżbietą. Przyszłość dopiero miała pokazać, czy da się ujarzmić żywiołowego, czystej krwi rumaka, wprzęgając go do służby królowej i kraju, czy też taka próba zupełnie go załamię.

Wyprawa Drake’a i Nornsa, pociągająca jako przygoda i źródło zysków, pchnęła Essex’a do zrobienia następnego niepoważnego kroku. Żył nad stan, był niepoprawnie rozrzutny, zadłużył się na około 23 000 funtów. Królowa, do przesady dobra dla niego, miała już dość jego żebrania. Wymyślił więc sobie, że ucieknie do Drake’a. ”Jeśli będę miał szczęście, stanę się bogaty, jeśli nie, to nie dożyję kresu mej nędzy” - pisał. Zostawił klucze do biurka, w którym było ze czterdzieści listów do przyjaciół, i pewnej nocy wyruszył konno do Plymouth, zdecydowany, że nie zatrzyma go żaden rozkaz poza śmiercią. Następnego dnia posłano za nim pośpiesznie Knollysa, w nocy w ślad za Knollysem wyruszył lord Huntingdon, lecz Essex od razu wsiadł na jeden z okrętów królowej i za wiedzą oraz w towarzystwie zastępcy dowódcy sir Rogera Williamsa wypłynął na pełne morze na dziewięć dni przed flotą.

Elżbieta próbując zatrzymać zbiega nie powodowała się urzuciami zakochanej starszej kobiety; podjęła decyzję jako królowa, której podwładny porzucił bez pozwolenia swe stanowisko i obowiązki. Bardzo jej zależało, by w tej ekspedycji nie uczestniczył ani jeden arystokrata, który mógłby wykorzystywać przywilej urodzenia bez doświadczenia i nieroztropnie; lekkomyślny Essex najmniej się do takiego przedsięwzięcia nadawał. Kiedy się dowiedziała, że jest nieosiągalny i że sir Roger Williams samowolnie rzucił dowodzenie i zabrał jeden z królewskich okrętów - był to przejaw wielkiego niezdiscyplinowania i arogancji, nie rokujący powodzenia wyprawie - jej gniew przebrał wszelką miarę. Wysłała list za Norrisem i Drake’em, rozkazując im, że jeśli dotąd jeszcze nie ukarali Williamsa śmiercią, na co ponad wszelką wątpliwość zasłużył, to mają pozbawić go dowodzenia i osadzić w areszcie. ”My sprawujemy rządy i wymagamy posłuszeństwa.” Essex’a kazała natychmiast odesłać z powrotem. ”I żeby nie było żadnych dziecinad ani chytrych wykrętów - jak to jest w zwyczaju u prawników” - pisała. Walsingham stwierdził, że ten list jest nadspodziewanie łagodny! Miał nadzieję, że Norris i Drake, jako ludzie odważni, będą woleli nie wykonać rozkazu królowej niż narazić się na bunt przez surowe potraktowanie ulubionego dowódcy Williamsa. Młody krewniak królowej Robert Carey chciał się wymknąć z Essexem, ale ku jego wielkiemu żalowi nie został zabrany. Pocieszył się zakładem, że w dwanaście dni przejdzie piechotą do Berwick, i wygrał w ten sposób 2000 funtów. Okazało się to lepszą inwestycją niż wyprawa portugalska.

Wyprawa była nieudana. Dotarła do Coruña, gdzie stał tylko jeden okręt Armady, zamiast do innego portu, w którym było ich czterdzieści. Elżbieta zarzuciła dowódcom, że myśleli o zysku, nie o służbie; nie wiemy, na czyni opierała swe pretensje. Ludzie upili się winem zdobytym w dolnym mieście i podobno zawlekli na okręty chorobę, która zdziesiątkowała załogi. Zniszczenie okrętu w Coruña było co prawda wspaniałym wyczynem, lecz nadwerżyło ekspedycję nie przynosząc większego pożytku. Następnym celem była Lizbona. Po drodze Essex i Williams przyłączyli się do floty. Odtąd wszystko poszło na opak. Niepotrzebnie długi marsz do miasta, śmiały, lecz nieskuteczny popis pod murami, wycofanie się na okręty - oto przebieg wydarzeń. Prawie nikt nie opowiedział się po stronie Don Antonia, czego hiszpański gubernator dopilnował z okrutną bezwzględnością. Przed powrotem do Anglii flota miała się udać na Azory, lecz przeszkodziła temu szalejąca epidemia i przeciwne wiatry. Popłynęła więc prosto do domu. Z piętnastu tysięcy ludzi najmniej osiem tysięcy zmarło, większość na skutek choroby. Nie osiągnięto wiele poza tym, że Anglicy utwierdzili się w silnym poczuciu wyższości w stosunku do Hiszpanów. Drake i Norris musieli się tłumaczyć. Drake otrzymał dymisję.

To niepowodzenie zdyskredytowało być może zakrojone na wielką skalę plany morskie. Jedno jest pewne: przestrzegało prywatnych spekulantów przed spółkami zawiązywanymi bardziej dla narodowych niż pirackich celów. Elżbietę jednak głównie obchodziły finansowe aspekty wojny, obecnie zaś zaistniało niebezpieczeństwo, że wydarzenia we Francji pochłoną resztę zasobów, zmuszając ją do dalszych kampanii wojskowych, które nie przyniosą pożądanych rezultatów. Nie miała więc innego wyjścia, jak chwilowo pozostawić prowadzenie wojny morskiej kilku wielkim i małym kaperom, którym od czasu do czasu pomagała flota królewska.

Essex nadal broił, a tymczasem wyprawa portugalska, jak wynikało z meldunków, rozwijała się z wielkim rozmachem, lecz niezbyt rozważnie, w kraju zaś ten sam nieobliczalny duch czasów pogrążał Kościół w chaosie. Rozgorączkowane umysły coraz bardziej utwierdzały się w przekonaniu, że panowanie Elżbiety powinno się stać krucjatą Bożych wybrańców, Anglików, przeciw synom Beliala. Nic więc dziwnego, że najbardziej zapalczywych duchownych i świeckich pociągała partia domagająca się radykalnej reformy, oczyszczenia Kościoła z nagromadzonych przez wieki obcych naleciałości, powrotu do czystości i prostoty czasów apostołskich, do takiego Kościoła, jaki Bóg ustanowił. Anglikański Kościół episkopalny przesiąkł doczesnością i zepsuciem, odzwierciedlając niedomagania epoki. Zwolennicy reformy, niepomni tego, że Kalwinowi udało się utrzymać w Genewie teokrację z jej inkwizytorską moralnością i dyscypliną religijną tylko dzięki

napływowi żarliwych emigrantów z Francji i Niderlandów, widzieli w tej wspólnocie Państwo Boże na ziemi i stanowczo chcieli zbudować taką samą po-, nura Jerozolimę na zielonej i pogodnej ziemi angielskiej. ‘

Elżbieta bez ogródek mówiła, co myśli o tej purytańskiej tęsknocie do Kościoła prezbiteriańskiego, w którym duchownych, starszyznę i innych funkcjonariuszy wybiera się w powszechnym głosowaniu, o Kościele, w którym konsystorz bądź prezbiterium oraz prowincjonalne i narodowe synody rządzą całą społecznością wiernych. Było to całkowicie sprzeczne z ustrojem monarchicznym, oznaczało rewolucyjne przemiany w strukturze społeczeństwa, uderzało w prerogatywy królowej, zastępując jej władzę nad Kościołem poddaniem się władzy Kościoła. Prowadziło do utworzenia nietolerancyjnej inkwizycji wtrącającej się do prywatnego życia ludzi. Była realistką świadomą milionów przeszkód na drodze do doskonałości; mogła przewidzieć, jak będzie funkcjonował system genewski w społeczeństwie elżbietańskim, i prosta wiara obrońców tego systemu wydawała się jej żałośnie naiwna. Oświadczyła, że „te platformy i pomysły, o których mówią, są absurdalne”. Prowadzą do niedopuszczalnych nowinek; są niezgodne z Bożą wolą, prowadzą do niewiarygodnego despotyzmu, stanowią niebezpieczeństwo dla wszystkich dobrych rządów chrześcijańskich. Przemawiając do parlamentu powiedziała: „Widzę wielu, którzy zbyt śmiało poczynają sobie z Wszechmocnym Bogiem i pozwalają sobie przewrotnie badać Jego świętą wolę, jak prawnicy zwykli to czynić z testamentami ludzi.” Nie jest przecież osobą nieoczytaną. „Jak twierdzą, wiele studiowałam, ale głównie filozofię. Przyznaję, że to prawda, i sądzę, że niewielu jest takich, poza profesorami, którzy czytali więcej niż ja”; wśród licznych woluminów Księga Boża nie była lekturą rzadką. Nie ma żadnego powodu uważać, że religia jest jej obojętna. „Gdybym nie była pewna, że moja wiara zgodna jest z wolą Bożą, to niech Bóg broni, bym miała doczekać się tego, że będę ją wam narzucała.”

Elżbieta wiedziała, że nie wszystko w Kościele anglikańskim jest takie, jak być powinno. Ale czy istnieje powołanie bez skazy? - pytała. Postanowiła przeprowadzić takie reformy, jakie będą możliwe. Biskupom powiedziała: „Jeśli wy, panowie duchowni, nie poprawicie się, to was złożę z urzędów. Zaopiekujcie się więc przykładnie waszymi owieczkami.” Wypominała im, że powierzają duchowne stanowiska ludziom, których nie można przyjmować w przyzwoitym towarzystwie; innym pozwalają „tak interesować się sprawami, których nie są w stanie zrozumieć, że potem w kazaniach plotą trzy po trzy - że nie ma piekła, a są tylko męczarnie sumienia. Ba, słyszałam, że w jednej diecezji jest sześciu kaznodziejów, którzy wygłaszają kazania na sześć różnych sposobów. Chciałabym, żeby tacy ludzie mówili kazania zgodnie z obowiązującymi naukami.” Wydała rozkaz, by ci, którzy

zostaną uznani za niegodnych wygłaszania kazań, zostali zmuszeni do czytania homilii:”W każdej z nich jest więcej uczoneści niż w dwudziestu ich kazaniach. I żądamy, żebyście takich ludzi nie oszczędzali z litości... bo nim się zmienią, zawisną na szubienicy.” „Ale nie widzę tu pana biskupa Londynu, który nie zagląda do miasta, gdzie każdy kupiec musi mieć swego nauczyciela i urządzać nocne konwentykłe, podczas których objaśnia się Pismo Święte i katechizuje służbę tak gorliwie, że słyszałam, jak niektóre służące nie powstrzymywały się w 291 od krytykowania uczonych kaznodziejów i mówiły:”Taki to a taki inaczej uczył w naszym domu.” „,

Arcybiskup Canterbury próbował usprawiedliwić siebie i kolegów dowodząc, że nie można znaleźć wykształconych kapłanów dla trzynastu tysięcy parafii.”Jezu! - przerwała mu królowa. - Trzyście tysięcy! Tego przecie nie potrzeba!” Niemniej, dodała, jeśli nie wszyscy mogą być wykształceni, to niech przynajmniej będą uczciwi, trzeźwi i rozumni.

Co innego wydawać rozkazy, a co innego dopilnować ich wykonania. W 1583 roku udało się jednak Elżbiecie mianować na najwyższe stanowisko w Kościele anglikańskim prawdziwego zwolennika dyscypliny. Był nim arcybiskup Whitgift, jej”czarny małżonek”, jak go żartobliwie nazywała. Nominacja nastąpiła w momencie szczególnie krytycznym, bowiem duchowni purytańscy zaczęli ukradkiem wprowadzać w Kościele załączki presbiteriańskich porządków, nie czekając na decyzje władz. Musieli co prawda wykluczyć laikat ze swych zebrań, by nie narazić się na zarzut łamania ustawy o spiskach, lecz odbywali regularne i częste regionalne konferencje duchownych, opanowując w ten sposób niektóre kościoły. Ponadto jednoczyli cały ruch, gdyż co pewien czas zwoływali generalne konferencje, które w czasie sesji parlamentu odbywały się w Londynie i wobec tego miały poniekąd charakter synodów narodowych. Była to zaiste rzecz zdumiewająca. Jedynie wyjątkowa przenikliwość i zrozumienie ducha presbiterianizmu pozwalały uwierzyć, że w Anglii szesnastego wieku możliwy był taki przeskok do nowoczesnych metod organizacyjnych.

W tym właśnie czasie, gdy rozbudowywała się ta potężna i tajna organizacja, Whitgift przypuścił pod koniec 1583 roku generalny atak na nieporządki w Kościele. Próbował narzucić jednomyślność domagając się, by każdy duchowny podpisał trzy artykuły, z których dwa stanowiły anatemę dla purytanów. Ku zdumieniu wszystkich kraj zbuntował się i przeklinał Whitgifta. Arcybiskup nie zdawał sobie jeszcze sprawy, że me zwalcza jednostek, które można izolować i pokonać, lecz zdyscyplinowaną partię.

Osobliwie nowoczesny charakter całej sprawy objawił się, gdy pod koniec 1584 roku zebrał się parlament. Purytanie przygotowali morze petycji od duchownych, korporacji



miejskich, sędziów pokoju i ziemiaństwa całych hrabstw. Podczas sesji parlamentu zorganizowali w Londynie dwie konferencje i skierowali ogień propagandy na ukochaną Izbę Gmin, trybunę żarliwego protestanckiego patriotyzmu. Izba była wstrząśnięta, podobnie zresztą członkowie Rady. Nawet Elżbieta się zaniepokoiła, lecz nieugięcie trwała na pozycjach konformizmu, klęcząc się, że pociągnie do odpowiedzialności tych posłów, którzy mówili bez należytego szacunku o biskupach i mieszały się do spraw przerastających i nie należących do ich kompetencji. Dodała z gniewem: "Rozumiemy, że popierają ich niektórzy członkowie naszej Rady; przywołamy ich do porządku albo z Rady usuniemy." Tylko stanowczość mogła uratować Kościół, bo liczni członkowie Rady, między innymi Leicester, Walsingham i Burghley, sympatyzowali z purytanami i gwałtownie sprzeciwiali się polityce Whitgifta. Burghley pisał do arcybiskupa protestując przeciw jego rzymskim metodom, prześcigającym nawet chywy stosowane przez hiszpańskich inkwizytorów, gdy chcieli usidlić swe ofiary. Elżbieta, w przeciwieństwie do Burghleya, rozumiała sens i groźbę wyzwania, które purytanie rzucili państwu, i pragnąc położyć kres napaściom na arcybiskupa, mianowała go członkiem Rady. Był pierwszym i jedynym duchownym za jej panowania, którego ten zaszczyt spotkał.

Między parlamentem lat 1584-1585 i następnym w latach 1586- 1587 purytanie energicznie przygotowywali nową kampanię parlamentarną, przy której miała zblednąć poprzednia. Każda konferencja regionalna, czyli Classis, robiła przegląd stanu Kościoła w okolicy, by dowieść potrzeby reformy, przede wszystkim skupiając się na charakterystyce beneficjanta kościelnego. "Zwyczajny karciarz i pijak", "bardzo podejrzany o papizm, rzadko przebywający w swym kościele, dziwkarz", "gołowus, gra w kości, ojciec drogo zapłacił za beneficjum", "prawdziwie nabożny" - oto niektóre opinie. Meldunki z poszczególnych parafii zbierano w raporty hrabstw, które następnie uzupełniały generalną suplikę przeznaczoną dla parlamentu. Z przybliżeniem się wyborów purytanie organizowali kampanie wyborcze z pomocą szlachty podzielającej ich przekonania, wymogli również na grupie członków parlamentu, by wspólnie się naradzali i reprezentowali ich interesy w Izbie Gmin. Pracowite przygotowania zakończyli zwołaniem synodu w Londynie w czasie trwania sesji, by z jego trybuny prowadzić atak. Pod pewnymi względami kampania ta jest najbardziej znaczącym epizodem całego panowania, bowiem ci właśnie duchowni purytańscy uczyli Anglię tajników skutecznej akcji parlamentarnej, która w końcu doprowadziła do wydarcia władzy monarchii.

Do jednej z grup przygotowujących kampanię purytańską w Izbie Gmin należał Peter Wentworth, szwagier Walsinghama, człowiek o "ostrym i gwałtownym usposobieniu", z wrodzonym talentem ściągania sobie kłopotów na głowę. Był to interesujący okaz człowieka

tej wielkiej epoki. W pierwszym parlamencie, w którym zasiadał, znalazł się w komisji wysłanej do Izby Lordów, by wytłumaczyć, dlaczego Izba Gmin usunęła niektóre z trzydziestu dziewięciu artykułów w uchwale mającej nadać artykułom moc prawną. Wentworth oświadczył, że Izba nie miała czasu sprawdzić, w jakiej mierze usunięte artykuły są zgodne ze siewem Bożym. Arcybiskup Parker zerwał się oburzony. „Co!? Chyba zaszła tu jakaś pomyłka. W tych sprawach musicie polegać na nas bez reszty.” „Nie! Jak w Boga wierzę! - hardo odpowiedział Wentworth - nie uchwalimy niczego, póki nie zrozumiemy, o co chodzi, bo inaczej zrobimy z was papieży. Niech z was robi papieży, kto chce... tylko nie my.” Podczas następnej sesji Wentworth, pełen oburzenia, że ktoś śmie straszyć członka parlamentu konsekwencjami jego wypowiedzi, wygłosił namiętną obronę wolności słowa i zgromił donosiciela słowami Dawida: „Ty, o Panie, zniszczysz kłamców!” Równocześnie zganił sir Humphreya Gilberta za lizusowskie przemówienie, przyrównując go do kameleona. Tak jak to zwierzę może przybierać wszystkie kolory poza białym, tak Gilbert może zmieniać się dowolnie, tylko nie w człowieka uczciwego.

Powróciwszy do domu w Lillingstone Lovell, Wentworth rozpamiętywał swe przeżycia i kiedy rozważał, co przyniesie następny parlament, przyszły mu na myśl słowa Elihu w Księdze Joba: „Me serce jak wino zamknięte, rwie się jak nowe bukłaki. Muszę powiedzieć dla ulgi... Nie trzymam ja strony niczyjej. Nie będę schlebiał nikomu.” Na tym cytacie oparł znakomitą mowę, w której oskarżał królową, Radę i parlament. Sam wyznał, że kiedy chodził tam i z powrotem po swym domu, przepowiadał sobie, że wyląduje w więzieniu za to przemówienie, mimo to w czasie nowej sesji, ledwie skończyło się czytanie jakiejś ustawy, zerwał się i zabrał głos: „Znalazłem w małej książeczce te oto słowa: „Słodkie jest imię wolności, lecz wolność sama cenniejsza jest niż największe skarby.” „Rozwijając swój wywód w melodyjnej prozie wyjaśnił, że dwie rzeczy wielce szkodzą parlamentowi: pogłoski o gniewie królowej i posłania zakazujące debatowania nad sprawami religii. „Pragnąłbym, na Boga, by obie znalazły się w piekle... Wymyślił je diabeł, który tylko występki płodzi.” Wszyscy donosiciele powinni być znieawidzeni, bo są trucizną i jadem zatrującym państwo. Nie wolno ich oszczędzać, bo im wyższe zajmują stanowisko, tym większą mogą wyrządzić szkodę. Potem, jak ojciec karcący dziecko, zwrócił się do samej królowej: „Nikt nie jest wolny od błędu, nawet nasza szlachetna Najjaśniejsza Pani...” W tym jednak miejscu przerażona Izba mu przerwała. Powołano komisję, by go przesłuchała, i odesłano do Tower - prawdę mówiąc, z przykrością - bo wielu myślało tak jak on, choć brakło im jego odwagi.

Wentworth kochał królową równie wiernie jak wolność. Kiedy jeden z kolegów komisarzy chciał pozwolić sekretarzowi, by gwoli zwięzłości napisał po prostu „Królowa

Elżbieta”, Wentworth uniósł się:”Jakże to? Czyż nie wspomnimy, że jest naszą Najjaśniejszą Panią? Cóż za bezczelność! Może niektórym już się znudziła, ale nie mnie i dlatego żądam, żeby napisano”Nasza Najjaśniejsza Pani”.” Jego tragedia polegała na tym, że wraz z innymi purytanami znalazł się na rozdrożu i musiał wybierać między wiernością Bogu a wiernością swej monarchini. Ich trudne położenie opisał członek parlamentu Pistor, człowiek”zacyjny, odznaczający się darem wymowy”. Oświadczył, że”przejmuje się tym, iż sprawy ważne, za które odpowiadamy naszymi duszami i które wyżej stawiamy niż królestwo całego świata”, traktowane są tak lekko.”To jest sprawa Boża. Reszta to sprawy ziemskie, w porównaniu z nią drobiazgi. Nigdy nie mówcie, że ważne, lub nie udawajcie, że nie mają dla was większego znaczenia; czym bowiem są w porównaniu z nimi pensje, korony, królestwa; jedno wiem i za to dziękuję Bogu:”Starajcie się naprzód o królestwo Boże i o Jego sprawiedliwość, a to wszystko będzie wam dodane.”

Nieliczne tylko grono takich ludzi pozyskali purytanie dla swej akcji na terenie parlamentu w 1587 roku. W lutym, kiedy już został rozwiązany problem Marii, królowej szkockiej, jeden z nich zgłosił projekt ustawy mającej za jednym zamachem zlikwidować całą organizację kościelną w państwie i zastąpić ją ładem prezbiteriańskim. Pierwszy raz zgłoszono w parlamencie tak rewolucyjny wniosek. Przewodniczący przypomniał Izbie Gmin, że królowa założyła weto przeciw omawianiu lub podejmowaniu jakichkolwiek kroków w sprawach kościelnych, ale Izba nie przyjęła tego do wiadomości. Królowa wezwała więc Przewodniczącego i zasekwestrowała ustawę. Wentworth odpowiedział zgłoszeniem szeregu pytań odnośnie do natury i granic przywilejów parlamentarnych. Był za wszczęciem debaty z koroną nad zasadniczym problemem i zaproponował rozwiązanie tak daleko idące i nie liczące się z rzeczywistością historyczną, że w krótkim czasie pozbawiłoby monarchię znaczenia i przyznało parlamentowi rolę decydującego czynnika w państwie. Elżbieta na szczęście dowiedziała się o spotkaniach Wentwortha i jego małej grupki, co w owych czasach było poważnym wykroczeniem. Natychmiast zamknęła całą piątkę w Tower. Poleciała też kilku członkom Rady, by w Izbie Gmin rozprawili się z wnioskami purytańskimi i z całą bezwzględnością ujawnili ich prawdziwą treść. Stosując naciski i wspierając je rozsądnymi argumentami, rozstrzygnięto problem tak skutecznie, że parlament nigdy już nie wracał do tej sprawy za życia Elżbiety.

Co mieli począć purytanie? Jeden z ich przywódców uważał, że należy pozyskać lud zamiast parlamentu. Na sprzeciw innego duchownego odpowiedział:”Milcz! Skoro nie możemy tych spraw załatwić ani prośbami, ani dyskusjami, załatwić je musi rzesza ludzka i lud.” Znaleźli się tacy, którzy uniesieni gniewem zapomnieli o rozwadze. W październiku

1588 roku dwór, Kościół i cały kraj poruszyło ukazanie się dowcipnego i zarazem obelżywego pamfletu, którego autor występował pod pseudonimem Martin Marprelate. Pamflet został wydrukowany, jak to żartobliwie oznajmiała karta tytułowa, „za morzem, w Europie, w odległości jednej czwartej mili od Wielkiego Księdza”. Satyra gromiła biskupów i ich pomocników. Mniej więcej po miesiącu ukazała się następna. Zawierała listę „błędów, które uszły uwagi, czyli erratę”. „Wszędzie tam, gdzie prałaci są nazywani milordami... należy to uznać za błąd.” „Nie ma żadnej wzmianki o wielkim obłudniku i pieczeniarku, biskupie Norwich. Jest to wielki błąd.” W lutym pojawiła się ulotka. Odpowiedź na pierwszy pamflet napisał Thomas Cooper, biskup Winchester. Martin odpowiedział czwartą broszurą. Przez cały ten czas, jak kraj długi i szeroki, szukano tajnej drukarni, z której wychodziły te wywrotowe publikacje, ale bez powodzenia, bo drukarnia przenosiła się z miejsca na miejsce i dopiero po dziesięciu miesiącach zatrzymano ją przypadkowo w Manchester wraz z wozem, który ją przewoził. Ukazał się wtedy kolejny pamflet wydrukowany w innej drukarni, ostatni z siedmiu „Martinów”.

W toku polowania na Martina Marprelate’a władze kościelne wpadły na trop organizacji purytanów. Dzięki brytanijczy detektywistycznej robocie w stylu Walsinghamowskich szperań politycznych udało się zdobyć dalsze szczegóły i wtedy Whitgift uderzył. Rodzący się ład prezbiteriański, który zdążył się już przyjąć mniej więcej w dwudziestu hrabstwach, został w latach 1589-1590 zburzony, a przywódcy ruchu aresztowani.

Było rzeczą prawie nieuchronną, że taki ruch jak purytanizm pociągnie za sobą powstanie historycznego sekciarstwa. W roku 1591, kiedy jego przywódcy mieli stanąć przed trybunałem w Izbie Gwiazdowej, dwóch panów, niewątpliwie cierpiących na religijną manię prześladowczą, zaczęło rozpowiadać i pisać w niejasny i niebezpieczny sposób o zbliżających się zaburzeniach. Dogadali się z trzecią osobą, niepiśmiennym chłopem nazwiskiem Hacket, będącym, jak się zdaje, łotrzykiem i wariatem w jednej osobie. Już wkrótce uwierzyli, że są prorokami o anielskich duszach, i zaczęli planować ludowe powstanie. Hacket oznajmił swym dwóm obłąkanym patronom, których opętał bez reszty, że jest królem Europy, a potem, że jest nowym Mesjaszem namaszczonego w niebie przez Ducha Świętego. „Pójdźcie i powiedzcie w Londynie, że Jezus Chrystus przyszedł z wiejadłem w ręce, by sądzić ziemię. A kiedy się zapytają, gdzie on jest, powiedzcie, że w domu Walkera przy Broken Wharf.” Wybiegli więc obaj na ulice wołając głośno: „Okażcie skrucę”, i z wozu w Cheapside ogłosili tłumowi zdziwionych gapiów, że przyszedł Mesjasz, siebie przedstawili jako proroków Łaski i Sądu, a Hacketa jako króla Europy; królowa - mówili - straciła prawa do korony. Wkrótce znaleźli się w więzieniu, Hacketa zaś sądzono i skazano za zdradę. Pod szubienicą zaczął głośno

przeklinać królową i modlił się stentorowym głosem:”Boże w niebiesiech, potężny Jehowo, Alfo i Omega, Panie nad Panami, Królu nad Królami, Boże wieczny, który wiesz, że jestem prawdziwym Jehową przez Ciebie przysłanym, ześlij cud z obłoków, by nawrócić 1ych niewiernych i wybawić mnie od wrogów; jeśli tego nie uczynisz, podpalę niebo, własnymi rękami strączę Cię z Twego tronu.” Przerażeni widzowie domagali się odcięcia sznura, by zginął w męczarniach ćwiartowania.

Francis Bacon pisał o purytanach:”Niech się pilnują, by nie sprawdziło się to, co mówił jeden z ich przeciwników, iż brak im tylko dwóch drobnych T ze czy, wiedzy i miłość i.” Bardzo surowa to krytyka ruchu, który przyciągnął kilka najświetniejszych umysłów i duchów owych czasów. Nie wiadomo, jak daleko zaszliby w swej działalności, gdyby Elżbieta przestała popierać Whitgifta lub odstąpiła od wyznawanej zasady, że - jak to sformułował Bacon - sprawy sumienia, ”kiedy przekraczają właściwe im granice i stają się przyczyną podziałów politycznych, tracą swój charakter”. Zwycięstwo purytanów na pewno zmieniłoby całkowicie życie i instytucje Anglików. Ruch ten został jednak chwilowo rozbity i zdyskredytowany, dzięki czemu Kościół anglikański mógł stworzyć sobie środowisko równie wierne i żarliwe jak te, które mieli purytanie i katolicy.

Gdy zawiodła agitacja parlamentarna 1587 roku, niepoprawny Peter Wentworth zajął się inną sprawą potrzebującą męczenników - problemem sukcesji. W tymże roku napisał: Zwięzłe pouczenie dla Jej Królewskiej Mości. Charakterystyczny dla tego człowieka dokument. Oświadczał, że prawdziwa i szczerza miłość każe mu przypomnieć najdroższej i najprawdziwszej monarchini, że gdy spodoba się Bogu dotknąć ją cierpieniami śmierci, a przecież na pewno kiedyś umrze, to on bardzo się lęka, że jeśli za życia nie załatwi sprawy sukcesji, dusza jej i sumienie będą tak straszliwie cierpieć - dziesięć tysięcy piekieł będzie płonęło w jej duszy za to, że ściągnęła niebezpieczeństwa na Kościół Boży i swój kraj ojczysty - że gotowa będzie oddać cały świat, byle tylko się od nich uwolnić. Jest przekonany, że ledwie dusza jej opuści ciało, a już arystokracja, członkowie Rady i lud chwycą za broń; i wtedy należy się obawiać, że jej szlachetne ciało będzie leżało na ziemi nie pochowane, jako bolesne widowisko dla świata. Obawiał się również, że pozostawi po sobie imię tak powszechną okryte niesławą, że sama perspektywa takiego końca powinna już teraz budzić w niej głęboki smutek i przeszyć bólem szlachetne, miłosierne i czułe serce.

Wentworth miał nadzieję, że wskrzesi problem sukcesji - nikt poza nim nie ośmieliłby się tego uczynić - na sesji parlamentu w 1589 roku, ale chwila nie była sprzyjająca, po wielkim zwycięstwie, wobec czego postanowił poprosić hrabiego Essex, by wręczył królowej jego Pouczenie. Nim jednak zdążył coś w tej sprawie zrobić, wykryto rękopiśmienne

egzemplarze jego broszury, on sam zaś znalazł się w więzieniu. Nie dał się tym zastraszyć i z więzienia napisał do Burghleya prosząc, by pomógł mu przekonać królową. Był pewny, że jego argumenty trafią do tak rozumnej i rozsądnej osoby. Oczywiście obrazi się po przeczytaniu Pouczenia, czyż nie powiedział jednak duch Boży ustami Salomona: "Razy przyjaciela są oznaką wierności, pocałunki wroga są zwodnicze."? On woli Najjaśniejszą Panią razić swą wiernością. Elżbieta odpowiedziała sucho, że pan Wentworth jest dobrego mniemania o swej inteligencji. Po wyjściu z więzienia Wentworth wytrwale dążył do celu, który sobie postawił. Próbował zostać jednoosobową organizacją purytańską i przygotowując się do kampanii sukcesyjnej w następnym parlamencie naśladował taktykę parlamentarną purytanów. Przybył do Westminsteru w lutym 1593 roku mając w zanadru przemówienie, projekt ustawy, argumenty i odpowiedzi, podziękowanie dla królowej w przypadku, gdyby mu się powiodło, i napomnienie, gdyby go miał spotkać zawód. Udało mu się zebrać grono członków parlamentu, ludzi młodych, a nie "wielkich parlamentarzystów", którzy go już raz zawiedli w przeszłości, i wraz z nimi ustalił taktykę. Nie udało mu się jednak zachować tych działań w tajemnicy. Został wezwany do stawienia się przed Radą i ponownie osadzony w Tower. Umarł w więzieniu w roku 1597 licząc lat siedemdziesiąt trzy. Nie ugiął się, choć zdrowie mu nie dopisywało. Do końca nie chciał uznać swego błędu i nie przyjmował wolności w zamian za milczenie o sukcesji. W najczystszej postaci występował u niego ten upór, w rezultacie nieznośny, któremu epoka zawdzięczała swą wielkość. W chwili jego śmierci wszystkie sprawy, o które walczył, wydawały się stracone bezpowrotnie. Nie mógł spojrzeć w przyszłość i zobaczyć, jakie miejsce mu przypadnie w chwalebnym widowisku walki o wolność polityczną; pozostawało mu tylko jedno pocieszenie - epitafium.

## ***Rozdział dziewiętnasty***

### ESSEX

Lata mijały, a Elżbieta nadal cieszyła się fizyczną i umysłową sprawnością. Do zwyczajnych sposobów zażywania ruchu - pisał jeden z dworzan na Boże Narodzenie 1589 - należało odtąnczenie przed południem galardy sześć lub siedem razy, nie wspominając już o śpiewie i muzykowaniu. Przydała się wstrzemięźliwość i unikanie przedziwnych leków, których używali i nadużywali prawie wszyscy jej przyjaciele. Zaczynano się dziwić energii i młodzieńczości królowej: "Sądząc po jej sylwetce i powierzchowności, niewiele ustępuje młodej szesnastoletniej dziewczynie" - pisał z przesadnym entuzjazmem pewien cudzoziemski podróżnik w 1592 roku. Jakby zawarła pakt z Wiekiem, Śmiercią i Fortuną.

Czasami, bardzo rzadko, cierpiała na jakieś drobne dolegliwości, „które nie miałyby znaczenia u kogokolwiek innego, lecz budziły niepokój, bo chodziło o wielką królową”.

Jej pokolenie szybko schodziło do grobu. W 1589 roku straciła jednego ze swych najstarszych ministrów, Kanclerza Skarbu. W rok po tym umarła, licząc lat osiemdziesiąt dwa, główna dama dworu, wiekowa, ślepa Blanche Parry, podobnie jak jej pani stara panna. Przerwało się kolejne ogniwo łączące Elżbietę z dzieciństwem. Kilka dni później zmarł brat Leicester, hrabia Warwick. A potem szybko nastąpiła śmierć Walsingham i jego szwagra, słynącego z ogłady i dowcipu, sympatycznego Thomasa Randolpha. Na krótko przed śmiercią Randolph pisał do Walsingham, że na nich obu przyszedł czas, by pożegnać się ze światem, że pora wyrwać się z sieci spraw doczesnych, pomyśleć o ojczyźnie niebieskiej i prosić Boga o wybaczenie wszystkich przewin. Walsingham, schorowany i cierpiący, prosił właśnie o pozwolenie przejścia na emeryturę, gdy nastąpił kres. W tym samym roku zmarł jeszcze jeden doradca pamiętający rebelię Wyatta, sir James Croft, a po nim hrabia Shrewsbury, nadzorca Marii, królowej Szkocji. Pod koniec następnego roku zmarł sir Christopher Hatton. Elżbieta odwiedziła go w ostatniej chorobie i przenocowała w jego domu; był to jeden z tych wielu drobnych kobiecych dobrych uczynków, którymi starała się zawsze przynosić ulgę chorym lub okazywać współczucie pogrążonym w żałobie. Hatton bardzo lubił budować i żyć nad stan; umierając winien był królowej 56 000 funtów.

Pewien agent hiszpański donosił Filipowi o żałobie w Anglii po śmierci Walsingham. W Anglii - tak, nabazgrał król na marginesie raportu, „ale dla nas jest to dobra wiadomość”. Świat, który Walsingham opuszczał, przybrał na koniec kształt podobny do tego, jaki sobie wyobraził w marzeniach o świętej wojnie. Przed ośmiu miesiącami, w lipcu 1589 roku, Henryk III francuski został zamordowany przez fanatycznego mnicha w odwet za zgładzenie księcia Gwizjusza i jego brata. Ze śmiercią króla wygasła linia Walezjuszów. W grudniu poprzedniego roku rozstała się z utrapieniami pożeranego gorączką świata, „gdzie nawet myśl z szarego smutku się wylęga pod ciężką powieką rozpaczy”, Katarzyna Medycejska. Wszystkie jej plany legły w ruinach, jej imię stało się synonimem niesławy. Oto jeszcze jedna władczyni zmarła zawiedziona w swych nadziejach.

Na tron wstąpił Henryk z Nawarry, przywódca hugenotów. Otrzymał w spadku kraj bez stolicy, pogrążony w bratobójczej wojnie sukcesyjnej, takiej właśnie, jakiej w Anglii obawiał się Peter Wentworth i inni. Liga Katolicka, mając po swej stronie Paryż i poparcie Hiszpanii, wystawiła przeciw Henrykowi marionetkowego króla. Elżbieta za żadną cenę nie mogła dopuścić do zwycięstwa Ligi i święta wojna rozszerzyła się na nowe tereny. Jeszcze jedna przepaść bez dna rozwarła się przed skarbem angielskim. Elżbieta nie zwlekała z

pomocą. We wrześniu Henryk IV dostał 20 000 funtów, w październiku dalsze 15 000. Równocześnie do Normandii wyruszyła nieduża armia pod dowództwem lorda Willoughby, która ku wielkiej radości Elżbiety spisała się znakomicie i dzielnie. Królowa uważała, że w takich wypadkach sam podpis na listach z podziękowaniami nie wystarczy jako wyraz wdzięczności. Z tym uczuciem, które pozwalało jej w jednej chwili rozproszyć tysiąc pretensji i wzruszyć do głębi wierne serca, zakończyła jeden z listów do Willoughby'ego słowami: "Twoja najbardziej kochająca królowa, Elżbieta", inny zaś opatrzyła dopiskiem: "Mój drogi Peregrine, proszę Boga, by twoja dawna pomyślność nadal cię nie opuszczała w odważnych poczynaniach, i niemało jestem uradowana, że bezpieczeństwo towarzyszy twemu szczęściu, twoja kochająca cię królowa, Elżbieta R."

Szybkość, z jaką Elżbieta zadziałała, wydatnie pomogła Henrykowi w walce o tron, miał jednak jeszcze długą drogę do przebycia i poważny opór do przezwyciężenia. Król był bardzo energiczny, z równą łatwością zdobywał sobie sympatię żołnierzy, jak pięknych kobiet, odważny, bystry i krewki, ale nie miał pieniędzy. Ten czarujący i lekkomyślny pasożyt był w tak rozpaczliwej sytuacji, że nie miał żadnych skrupułów. Szastał obietnicami jak najwprawniejszy oszust, pisał ujmujące listy żebząc o pieniądze i ludzi. Zobowiązywał się do spłacania pożyczek w ciągu sześciu lub dziewięciu miesięcy, po czym błagał o dalsze zaliczki albo brał na swój żołd armię angielską, by później z rozbrajającą szczerością wyznać, że nie ma jednego sou, i prosić Elżbietę o pożyczkę na wypłacenie żołdu. Krótko mówiąc, wyłudzał, ile tylko się dało, od swej kochającej i wypłacalnej Siostry. Ona jednak umiała to utrzymać w rozsądnych granicach. Własnoręcznie zrobiła dla niego szal; posłała mu szmaragd, klejnot, który podobno pęka, gdy właściciel łamie słowo; pisała do niego piękne listy; nie szczędziła - podobnie jak sprytnemu młodemu pasożytowi Jakubowi szkockiemu - dobrych rad, przeplatając je przysłowiami i maksymami o sztuce rządzenia. W żadnym jednak wypadku nie miała zamiaru pozwolić na to, by pociągnął ją za sobą do ruiny, i nie pocieszała się tym, że posiadane przez nią holenderskie i francuskie skrypty dłużne stanowią prawdziwy majątek. Nasłuchiwała natomiast nasilających się pomruków niezadowolenia ludu, dbała, by możliwie jak najmniej krwi angielskiej przelewać w wojnach zagranicznych, budzących w niej prawdziwe obrzydzenie, i starała się o zachowanie kompromisowej równowagi między nieumiarkowanymi potrzebami Henryka, własnymi zasobami i interesem państwa.

W Anglii powstała tymczasem partia, której zależało na tym, by jak najwięcej wojować. Motywy były różne. Pewien korespondent donosił Burghleyowi, że podsłuchał, jak dwóch szlachciców chępiło się przy kolacji, iż jeden z nich zarobił 1000, drugi zaś 400



funtów na portugalskiej wyprawie 1589 roku: zostali w domu i wzięli odstępne od nowych dzierżawców, którzy przejęli gospodarstwa zmarłych podczas ekspedycji. Powiadają, pisał dalej, że pewien szlachcic z zachodnich hrabstw wystawił pułk dla Henryka IV i wykalkulował, że jeśli nawet on i jego koledzy oficerowie nie otrzymają poborów, to i tak odbiją to sobie z nadwyżką na dzierżawcach, którzy polegą. Wojny odciągały ubogich młodszych synów rodów ziemiańskich od "uczciwej służby", kusząc najemną żołnierką. Nowa partia złotej młodzieży - "ludzi czynu" - znalazła godnego przywódcę w dziarskim faworycie królowej, Essexie. "Kocham ich z wyrachowania - pisał - znajduję przyjemność w rozmowie z nimi" potrzebuję ich służby, uszczęśliwia mnie ich przyjaźń. Kocham ich za ich cnoty i wielkoduszność... Kocham ich z myślą o moim kraju" są bowiem najlepszą obroną i zaczepną bronią Anglii. Pokój będziemy im zawdzięczali; wojną oni będą musieli się zająć."

Elżbieta, chcąc nie chcąc, musiała kontynuować interwencję wojskową we Francji. W Bretanii wylądowała armia hiszpańska, nie mogła zaś dopuścić do tego, by prowincje nad Kanałem znalazły się w rękach Filipa i stały się bazą operacyjną dla nowej armady. Na początku 1591 roku wysłała do Bretanii niedużą armię. Henryk IV obiecał wzmocnić ją poważnymi siłami francuskimi, lecz złamał obietnicę, bo musiał odwojować całe królestwo i chytrze przewidywał, że Elżbieta nie ośmieli się wycofać swych wojsk. Co więcej" zażądał drugiej armii, która pomagałaby mu w Normandii, nęcąc obietnicą spłacenia długów po jej podboju. Proponował, by armią dowodził Essex, który palił się do tej eskapady. Elżbieta nie reagowała. Nierozważny młodzieniec i lekkomyślny król bez grosza przy duszy nie budzili zaufania. Trzykrotnie Essex padał na kolana, za każdym razem przekonując i błagając przez dwie godziny. Skuteczniejsze okazało się poparcie Burghleya. W końcu, wbrew temu, ca podpowiadał rozum, ustąpiła, tyle tylko, że zadbała, by Essexowi towarzyszyły trochę poważniejsze głowy. Nic to nie dało, bo któż oparłby się urokowi i zadzierzystości arystokratycznego faworyta?

Ekspedycja wylądowała na początku sierpnia 1591 roku i potwierdziła najgorsze przecucia Elżbiety. Wojsko miało konkretne zadanie - pomóc Henrykowi oblegającemu Rouen, i tylko przez dwa miesiące. Król jednak był zajęty czym innym i jak można było się spodziewać, z chwilą gdy armię miał już we Francji, postanowił użyć jej do innego celu. Na domiar złego Essex wybrał się na spotkanie z królem. Bezczyzną piechotę zostawił w bazie, sam zaś przejechał konno setkę mil przez kraj nieprzyjacielski. Gdyby mu sienie powiodło, wszyscy uznaliby to pochopne przedsięwzięcie za czyste szaleństwo. Co tu dużo mówić, Essex nie miał pojęcia o odpowiedzialności spoczywającej na dowódcy i wojnę uważał za najwspanialszy sport. Do Compiegne, miejsca postoju króla, wjechał poprzedzony przez

sześciu paziów w pomarańczowych aksamitnych strojach wyszywanych złotem; on sam i jego koń również okryci takim materiałem suto zdobionym drogimi kamieniami. Przed nim sześciu trębaczy grało hejnał, dwunastu giermków jechało za nim, a dalej sześćdziesięciu angielskich szlachciców. W czasie bratania się Henryk i jego panowie wyzwali Anglików na zawody w skokach, w których Essex "wszystkich przeskoczył". Przed powrotem posłał po swoją piechotę, by zabezpieczyła go w drodze, i zakończył bezsensowną eskapadę brawurowym popisem pod murami Rouen, co jego brat przypłacił życiem. Upłynął pierwszy z dwóch miesięcy, które armia miała spędzić we Francji; jak dotąd bez żadnych osiągnięć.

Elżbieta była wściekła. Uznała, że Henryk ośmieszył ją przed całym światem. Robiła awantury oficerom, którym zaufała, że utrzymają Essexą w karbach: "Gdzie on się znajduje, co robi i co zamierza robić, tego nie wiemy" - pisała rozgniewana. Essex starał się ją uspokoić pięknym, smętnym listem, ale znowu naraził się na jej gniew, kiedy się wybrał, by pomóc w oblężeniu jakiegoś małego miasteczka, i to z piką w ręce, jak zwykły żołnierz. Otrzymał rozkaz powrotu do domu. Tak się tym przejął, że "wszystkie guziki u kubraka odpadły jakby ścięte nożem". Nie był to jednak koniec jego nierozważnych wyskoków. Przed wyjazdem nobilitował dwudziestu czterech towarzyszy wyprawy tłumacząc, że nie z jego ani swojej winy nie wstawili się, wykazali natomiast dobrą wolę i za to on daje im sławę, którą mogli byli zdobyć. Zachował się niemądrze i w sposób wręcz podejrzany. Niemądrze, bo obniżał wartość zaszczytu, który Elżbieta wyjątkowo wysoko ceniła i którym rozporządzała się nie mniej skąpo niż swym kredytem finansowym. A w sposób podejrzany, bo tworzył z nobilitowanych przez siebie ludzi własną klientelę, która po pewnym czasie mogła się okazać niebezpieczna dla równowagi w państwie. Źródłem zaszczytów była korona; tak lekkomyślne i rozrzutne szafowanie prerogatywą dowódcy, by nagradzać odwagę, można było uznać za przywłaszczenie przywileju królowej. Uczynił ją pośmiewiskiem całego świata. Burghley ukrył wiadomość przed Elżbietą, która dobrze znając Essexą chciała pozbawić go tej prerogatywy. Kiedy w końcu dowiedziała się o wszystkim, miała powiedzieć: "Jego lordowska mość lepiej by zrobił, gdyby wprzód wybudował przytułki dla ubogich i potem dopiero pasował swych rycerzy."

Essex przyjechał na kilka dni, załagodził nieporozumienia, a ponieważ tym razem oblężenie Rouen miało się zacząć na serio, Elżbieta dała się przekonać, pozwoliła wojsku pozostać na miejscu i posłała posiłki. Po powrocie Essex, znowu w optymistycznym nastroju, napisał do królowej uwodzicielski list, który zaczynał słowami: "Moja najpiękniejsza, najdroższa, najwspanialsza Pani", po czym zapewniał, że gdy tylko skończy z tą wyprawą, już nigdy nie opuści królowej, chyba że otrzyma od niej jakieś ważne zadanie. "Dwa okna Twej

sypialni będą biegunami mojego globu, na którym pozostanę nieruchomo, jak długo taka będzie Twoja wola, Najjaśniejsza Pani, a kiedy uznasz, że nie zasługuję na to, by dłużej przebywać w Twym niebie, wówczas nie spadnę jak gwiazda, lecz ulotnię się jak para spita przez słońce, które na takie wyżyny mnie wyniosło. Jak długo Jej Miłość pozwala mi mówić, że Ją kocham, nic nie dorówna memu szczęściu i moim uczuciom. Jeśli kiedykolwiek odbierzesz mi to prawo, skończysz w ten sposób me życie, lecz nie zachwiejesz moją stałością, bo gdyby nawet słodycz Twej natury zmieniła się w gorycz, nawet tak wielka jak Ty królowa nie będzie władna mnie zmusić, bym przestał ją kochać.”

Elżbieta zastrzegła sobie, że po upływie dwóch miesięcy Henryk będzie płacił jej wojskom.”O ile bardziej bylibyśmy zadowoleni na żołdzie naszej zacnej królowej” - pisał jeden z żołnierzy. Miał rację. Henryk, jak to ujął ambasador Elżbiety, był królem bez korony, który prowadził wojnę bez pieniędzy. Jego własne wojska się buntowały, bo nie dostawały wynagrodzenia, Elżbiecie nie pozostawało więc nic innego, jak ustąpić w obliczu konieczności i nadal płacić. Oblężenie Rouen zaczęło się, trwało i miało trwać. Optymistyczne przewidywania, którymi wojskowi usiłowali uspokoić bardzo sceptyczna królową, się nie sprawdzały. Essex wyzwał na pojedynek lub turniej gubernatora miasta i otrzymał pełną godności odpowiedź, że urząd, który piastuje, nie pozwala gubernatorowi wystąpić w szrankach. Elżbieta nie szczędziła ironicznych uwag. Cała impreza zaczynała wyglądać na kpiny i nie rokowała zwycięstwa. Sucho zawiadomiła Essex, że może wracać, gdy zmądrzeje na tyle, by zrozumieć, że jest to mądra decyzja. Po czym w styczniu stanowczo kazała mu wracać. Opuszczając port złożył pocałunek na swym rapierze. Resztki armii zostały, ale Rouen nie skapitulowało.

Elżbieta miała wszelkie prawo gniewać się i oburzać na tę bezmyślną kampanię. Znalazła się w krytycznej sytuacji finansowej i nie mogła ścierpieć tego, że lekkomyślny i niepoważny król oraz nieodpowiedzialny młody arystokrata trwonią jej pieniądze bez żadnego pożytku. W ciągu czterech lat od 1589 do 1593 wydała około 300 000 funtów na pomoc dla Henryka IV. Wraz z kosztami utrzymania w tym czasie wojsk w Niderlandach wydatki na wojnę wyniosły co najmniej 800 000 funtów, nie wliczając w to wojen irlandzkich oraz wypraw morskich. W jednym tylko roku musiała sprzedać ziemie koronne wartości ponad 120 000 funtów.

Nie można było sobie pozwolić na ambitne operacje morskie, gdy kampanie wojskowe pochłaniały pieniądze w tempie, którego królowa nie mogła długo utrzymać, zaś koszty werbunku żołnierzy do służby za granicą i ciężkie straty w ludziach budziły powszechne niezadowolenie. Marynarka nie stała jednak beczynnie w portach i nie stroniła

od udziału w ryzykownych rajdach rabunkowych na statki handlowe. Ten rodzaj wojny morskiej najbardziej odpowiadał Elżbiecie dysponującej ograniczonymi środkami. Udane wyprawy przynosiły zyski skarbowi i równocześnie dezorganizowały cały wojskowy, morski i handlowy system Hiszpanii, uzależniony od bezpieczeństwa ruchu okrętów floty kolonialnej. W 1589 roku sprowadzono podobno do Anglii dziewięćdziesiąt jeden hiszpańskich statków zajętych na morzu. Na Azorach, ulubionych terenach łowieckich piratów, pewien obserwator zauważył”tylko ograbionych ludzi wysadzonych na brzeg z tego lub owego okrętu, i aż żał było patrzeć, jak przeklinają Anglików i swój los oraz tych, którzy sprowokowali Anglików do walki”. Anglicy stawali się”panami i właścicielami mórz i nie bali się nikogo”. Filip zdecydował się na rozpaczliwy krok i w 1590 roku zabronił całej skarbowej flocie zachodnioindyjskiej wychodzić w morze, czym wywołał falę bankructw w Hiszpanii. Ale następnego roku miał już do dyspozycji zbrojny konwój i z tą właśnie flotą sir Richard Grenville stoczył ostatnią nieśmiertelną walkę na okręcie”Revenge”. Bez względu na to, czy uznamy ten wyczyn za akt szaleńczej brawury, czy też samobójstwo mądrze obmyślane, była to znakomita demonstracja walorów bojowych nowszych okrętów Elżbiety. Podczas burzy, która potem się rozszalała, flota hiszpańska, uszkodzona ogniem dział i przez warunki atmosferyczne, poniosła nie mniejsze straty niż Armada. Hiszpańscy marynarze uważali, że Grenville był w pakcie z diabłem. Opowiadali, że jego ciało spadło prosto na dno morza i do piekła, gdzie nakazał wszystkim diabłom, by pomścili jego śmierć.

W następnym - 1592 - roku spółka, do której przystąpiła Elżbieta, zdobyła na Azorach największą i bajecznie bogatą karakę z Indii Wschodnich, druga zaś, zepchnięta na brzeg, została spalona przez załogę. Po wzięciu okrętu natychmiast zaczęły się saturnalia grabieży. Oficerowie z marynarzami przez całą noc płądrowali statek, kilka razy wywołując pożary. Największym złodziejem okazał się najstarszy rangą oficer, który podobno zagarnął łup wartości 10 000 funtów, lecz przyznał się zaledwie do 2000 funtów. Wartość skradzionych klejnotów, zastawy, jedwabi, perfum itd. wynosiła około 100 000 funtów. Większość kapitanów i członków załogi po rozgrabieniu wszystkiego, co tylko się dało, marzyła jedynie o tym, by wrócić do kraju i przeszmyglować łupy na brzeg, nim ich ktokolwiek zatrzyma. Niewiele brakowało, a w pośpiechu zostawiliby samą karakę wraz z cennym ładunkiem.

Cóż to był za wiek niezdiscyplinowania, braku odpowiedzialności i przekupstwa! Nic dziwnego, że Elżbieta nieufnie się odnosiła do niepotrzebnych ekspedycji połączonych ze zbyt wielkim ryzykiem. Kiedy wieści o zdobyczy dotarły do Anglii, kupcy, złotnicy i handlarze ruszyli tłumnie do portów. Dobijano fantastycznych interesów z prostymi marynarzami! 1800 brylantów i 200 lub 300 rubinów za 130 funtów! Portsmouth przypominał

Jarmark Bartłomiejowy. Elżbieta posłała sir Roberta Cecila do Dartmouth, by odzyskał łup. Po drodze dosłownie węchem rozpoznawał winowajców śpieszących do Londynu z piżmem i ambrą. Niewiele jednak dały dochodzenia i rozkazy, bo, jak powiedział pewien marynarz, "marynarskie palce są lepkie", a przesłuchiwanie ludzi pod przysięgą było "stratą czasu i obrazą boską". Udziałowcy, którzy sfinansowali wyprawę, musieli zadowolić się głównym ładunkiem - przyniósł on nielichy zysk 141 000 funtów. Elżbieta zagarnęła lwią część, "obojętnie" traktując innych awanturników, szczególnie Raleigha, jeśli wierzyć jego gorzkim żalom. Niejedno bodaj dałoby się powiedzieć w obronie królowej.

Nie danym było Elżbiecie zażyć błogiego spokoju u schyłku życia. Awantury w kraju szarpały jej nerwy, wrogowie za granicą stanowili wieczne źródło obaw. Jeden Burghley pozostał jeszcze spośród dawnych wielkich polityków. Był stary, miał już lat siedemdziesiąt jeden, nawroty reumatyzmu utrudniały mu poruszanie, niekiedy nawet uniemożliwiały pisanie. Tęsknił za spokojem swej ukochanej wiejskiej rezydencji Theobalds, gdzie się ukrywał przed tłumem interesantów nagabujących go w mieście i na dworze. Taka sytuacja rozpaliała ambicje, mogła narazić dwór królewski na walkę o stanowiska i wpływy, na wskrzeszenie chronicznych podziałów partyjnych jak w pierwszym dziesięcioleciu panowania. Najbardziej wystawiony na pokusy był Essex, który zarówno z racji pochodzenia, jak i łask królowej, wydawał się oczywistym następcą Leicesterera. Przyjaciele wciąż go namawiali, by starał się dorównać "domową wielkością" swemu ojczymowi. Ale przed Rouen, kiedy drogę zagradzali Burghley i Hatton, była to zbyt powolna gra dla niecierpliwego Essexa. Gdy wrócił z poskromionymi już trochę ambicjami wojskowymi, Hatton nie żył. Wydawało się, że zdobycie wielkiej pozycji w kraju jest tylko sprawą współzawodnictwa z Burghleyem, rywalizacji między zgorzkniałą starością i młodością.

Co więcej, konkurent do względów Elżbiety, sir Walter Raleigh, popadł w niełaskę, wyszło bowiem na jaw, że z jego winy była w odmiennym stanie jedna z dwerek królowej, błękitnooka, złotowłosa córka sir Nicholasa Throckmorta. Choć się okazało, że to tylko zapowiedź małżeństwa, oboje grzesznicy trafili do Tower. Elżbieta jak najstosowniej występowała *in loco parentis* wobec panien dworu i żądała, by pilnowały swej cnoty jak westalki. Miały upragnioną pozycję, codziennie stykały się z królową, co stwarzało szansę pozyskania jej serdecznej i trwałej przyjaźni, nie mówiąc już o niezrównanych możliwościach zrobienia wspaniałej partii. Królowa odpowiadała nie tylko za maniery tych panien, lecz również za ich moralność i wybór męża. Wychodząc za mąż bez pozwolenia nie tylko naruszały swe powinności, lecz wyrządzały straszliwy osobisty afront monarchini.

Wiemy, że Elżbieta wielokrotnie wtrącała się do romansów panien dworu, ale kierowała się poczuciem obowiązku, a nie jakąś zawiścią rozwydrzonej lub zazdrosnej starej panny, choć „domieszka kłamstwa jest zawsze przyjemna”. Dwór był wesoły, epoka - swobodna. Przystojni młodzieńcy w rodzaju hrabiego Essex musieli się wyszumieć i plotka o tym, „co się dzieje”, nie próżnowała, ale nie zapominajmy, że na dworze angielskim panował zupełnie inny ton moralny niż, powiedzmy, na francuskim. Elżbieta była równie daleka od przymykania oczu na rozwiązłość jak królowa Wiktoria. Przyłapanych winowajców czekał niechybnie pobyt w Tower lub więzieniu Fleet. Hrabia Oksford miał nieślubnego syna z Anną Vavasour, jedną z panien dworu, i temu prawdopodobnie należy - przypisać jego tajemnicze zamknięcie w Tower i późniejsze wydalenie z dworu. W 1591 roku ktoś donosił w liście, że niejaki pan Vavasour został uwięziony za to, że „skaleczył nogę pani Southwell”, zaś pan Dudley musiał opuścić dwór, bo pocałował pannę Cavendish. Jest rzeczą zrozumiałą, że Elżbieta nie mogła pochwalać zachowania Elizabeth Throckmorton i Raleigha, że musiała ich ukarać, jeśli chciała zapobiec temu, by służba na dworze stała się drogą do niesławy.

Raleigh uciekał się do najbardziej wyszukanych dworskich konceptów miłosnych, by naprawić swe stosunki z rozgniewaną Belpheobe. Jego kuzyn donosił Robertowi Cecilowi, jak Raleigh słysząc, że królowa pływa po Tamizie, błagał, by pozwolono mu w pobliżu wiosłować w przebraniu, bo chce tylko na nią spojrzeć. Odmowa wprawiała go w groźny szal. „Nikt nie powinien się o tym dowiedzieć” - pisał kuzyn dodając niepotrzebnie w dopisku - poza królową. Po tej sentymentalnej historii - jakże przypominającej różne niezwykle pomysły, którymi dworzanie zabawiali Elżbietę - nastąpił list Raleigha do Cecila na wieść, że Elżbieta zamierza wyjechać.

„Dziś po raz pierwszy me serce pękło, gdym usłyszał, że królowa wyjeżdża tak daleko, ja zaś, który przez tyle lat z tak wielką miłością i pożądaniem towarzyszyłem jej w tylu podróżach, mam pozostać samotny w tym mrocznym więzieniu. Gdy była jeszcze w pobliżu i mogłem o niej słyszeć raz na dwa lub trzy dni, smutek mój nie był aż tak wielki, lecz teraz serce moje stoczyło się na dno wszelkiej niedoli. Ja, który patrzyłem, jak dosiada konia na podobieństwo Aleksandra, jak poluje na wzór Diany, jak stąpa krokiem Wenus, gdy wietrzyk łagodny zwiewa jej jasne włosy na przezyste jak u nimfy policzki - Elżbieta liczyła sobie lat sześćdziesiąt! - to kryjąc się w cieniu jak bogini, to śpiewając jak anioł, to znów grając jak Orfeusz, lecz cóż! Zranił mnie smutek tego świata, pozbawiając tych radości. Ach, Miłości, która świecisz tylko w nieszczęściu, gdzież jest twa pociecha? Wszystkie rany się zblizniają, tylko nie rany wyobraźni, wszystkie uczucia przemijają, lecz nie te, które budzą w nas kobiety.”

Nie możemy, rzecz jasna, brać poważnie tych wyznań, nie ustępujących pod względem kunsztowności elegiom pasterzy lub pasterek ówczesnej poezji; świadczyłyby to o kompletnym braku poczucia humoru. Elżbiecie to nie groziło. Proszę, niech Raleigh czyni pokutę za splamienie pięknej reputacji jej dworu.

Raleigh nie był dla Essexu groźnym konkurentem, bowiem Elżbieta nie miała większego zaufania do jego talentów politycznych, lecz gdy znalazł się w niełasce, na dworze zbrakło przynajmniej jednego wroga. Głównym przeciwnikiem był teraz Burghley, a właściwie jego młodszy syn, Robert Cecil. Najstarszy syn był nieudany. Zdolności miał mierne, gdy wysłano go na kontynent, by uzupełnił edukację, stał się tak rozwiązły i rozrzutny, że ojciec z lękiem oczekiwał powrotu „nałogowego pijaka, którego można będzie zatrudnić jedynie przy oporządzaniu kortu tenisowego”. Zawrócił ze złej drogi, lecz do polityki się nie nadawał. Tak więc ojcowskie ambicje Burghleya skupiły się na Robertcie, który otrzymał po nim w spadku inteligencję i w niemałym stopniu talenty polityczne. Niestety! Był chorowity w dzieciństwie i wyrósł na chudego, niskiego wzrostu i garbiącego się młodzieńca. Garb prawdopodobnie odziedziczył po matce, choć przypisywano to wypadkowi w dzieciństwie. Elżbieta przezywała go, może niezbyt taktownie, lecz bez złośliwości, swym Pimejem. Wrogowie drwili ze zgarbionych pleców Roberta nazywając go Monsieur de Bossu lub Szatanem.\*

Cóż za paradoksalna sytuacja! Złamany podagrą starzec i jego niski, garbaty syn, obaj rywalizujący ze wspianiałym, nie zrównanym Adonisem na dworze królewskim, na którym talenty występowały w pięknej oprawie. Trudno byłoby jednak popełnić większy błąd niż wyobrazić sobie, że Elżbieta padła ofiarą fizycznych uroków swego Adonisa. Nawet w jej przyjaźniach element polityki odgrywał zawsze bardzo poważną rolę. Zaryzykujemy domysł, że rozmyślała o powtórzeniu w nowym, dochodzącym właśnie do władzy pokoleniu dawnej kombinacji Leicester-Burghley, o połączeniu arystokratycznego faworyta z bardziej godnym zaufania urzędnikiem administracji państwowej. Od pierwszej chwili przebiegle i świadomie zmierzała do tego celu. Po śmierci Walsinghama Essex starał się o przywrócenie Davisona na stanowisko sekretarza. Nie mamy powodu sądzić, że kierował się czymkolwiek poza przyjaźnią, niemniej, gdyby mu się powiodło, miałby po swej stronie w przyszłej walce o supremację polityczną człowieka zajmującego to bardzo ważne stanowisko. Elżbieta wysłuchiwała Essexu cierpliwie, przyznała, że Davison ma wiele zalet, po czym bardzo spokojnie, lecz stanowczo odmówiła. Nie obsadziła urzędu, przekazując obo-

\* Ang. Archenemy; arch znaczy łuk, co było aluzją do krzywych pleców Cecila wiązki Burghleyowi; być może już aprobowała ambitne plany Burghleya, który chciał

umieścić na tym stanowisku syna. Essex osobiście zaangażował się w udaremnienie tego planu. Skutek zaś był taki, że nominacja została wstrzymana na wiele lat, co pozwoliło Robertowi Cecilowi, nie mającemu jeszcze trzydziestki, na osiągnięcie właściwego wieku, nabycie doświadczenia i wpływów uzasadniających mianowanie go i zamykających usta krytykom.

Essex, opętany swym bezprzykładnym szaleństwem, z tak zbędną gwałtownością wdawał się w te rywalizacje, że nieustannie wystawiał na szwank swój autorytet i godność, narażając się na surowe upomnienia. Elżbieta musiała bardzo uważać, by nie dopuścić do sytuacji krańcowej. Chciała zatrzymać na służbie tego świetnego młodego arystokratę i nie uśmiechała się jej perspektywa naruszenia jakże niepewnej jedności kraju, a takie zapewne byłyby następstwa jego upadku. Wyobrażała sobie, że z czasem utemperuje wybujałe ambicje Essexa - nie cierpiała tej jego cechy, twierdził sir Thomas Bodley - i poskromi niezdolne monopolistyczne zapędy. Chwilami traciła cierpliwość, ale zawsze potrafiła zachować mądry umiar. Odłożyła na przykład kolejny awans Roberta Cecila do wyjazdu Essexa na roueńską wyprawę. Dzień lub dwa dni potem mianowała Cecila członkiem Rady - rzecz znamienne, zaszczytu tego nie przyznała Essexowi - i przydzieliła mu obowiązki sekretarza na równi z ojcem. Urząd sekretarza czekał na wiek dojrzały i podobną okazję.

Kto wie, czy losy Essexa nie potoczyłyby się inaczej, gdyby trzeźwiej oceniał swe możliwości i korzystał z usług dwóch braci, Anthony'ego i Francis Bacona. Ci dwaj młodzieńcy - Anthony urodził się w 1558 roku, Francis w 1561 - byli synami sir Nicholasa Bacona i ze strony matki kuzynami Roberta Cecila. Obaj byli niezwykle zdolni, Francis nad wszelką miarę. Anthony od dzieciństwa był kaleką. Kulał, cierpiał na reumatyzm i stale nadużywał lekarstw, „pan o bezwładnych nogach, ale ruchliwej głowie”. Będąc słabego zdrowia wyzbył się ambicji. W dwudziestym pierwszym roku życia wyjechał za granicę i nie słuchając rad i ostrzeżeń przyjaciół prowadził przez dwanaście lat rozrzutny i nierozsądny tryb życia. Francis wysłał mądrość z mlekiem matki. Rzadko się zdarza, by rozum ludzki jaśniał tak zimnym i czystym blaskiem. Pisał jak wyrocznia, przemawiał jak wytrawny orator. Natura jednak wzdragała się przed stworzeniem ideału bez skazy. Zabrakło mu jakiejś elementarnej siły charakteru, uczuciowej wrażliwości, męskiej energii, które warunkują wyrazistą osobowość. Pisał do Burghleya o swych „rozległych planach kontemplacyjnych”: „Wszelka wiedza będzie moją domeną.” Ale był to jeden z licznych listów, w których żebrał o stanowisko, i choć spowijał prośby w szlachetne zamiary służenia ojczyźnie swymi niezwykłymi talentami, w głębi duszy pragnął światowych zaszczytów,



ambicje jego były mniej szlachetne niż słowa i właściwie nie bardzo wiedział, czego naprawdę chce. Umysł jego szybował w chmurach, lecz nogi miał z gliny.

Baconowi tym pilniej potrzebne było stanowisko, im rozrzutniejszy prowadził tryb życia. Początkowo próbował szukać oparcia u swego wuja Burghleya, ale spotkał się tylko z pięknymi słowami i odmową załatwienia dochodowego stanowiska, co było słabą pociechą dla człowieka będącego w tarapatkach finansowych. Zawiedziony przeniósł wzrok na wschodzącą gwiazdę młodego pokolenia, Essex. Być może zimno liczył się z bliską ewentualnością śmierci Burghleya, a także - jak na to wskazuje jego esej o kalectwie, w którym wyciągał wniosek ze swych błędnych rachub - z małym prawdopodobieństwem dojścia do wysokich stanowisk i władzy garbatego Roberta Cecila. To przypuszczalnie Bacon w 1591 roku układał plany osiągnięcia przez Essex "domowej wielkości", których tamten nie miał cierpliwości zrealizować, i przestrzegał go przed błędami, które prawdopodobnie skłonny będzie popełnić. "Uważałem podówczas, że milord (Essex) najlepiej jest przysposobiony, by przynieść pożytek państwu - pisał Bacon na starość, okrywając swe poczynania zasłoną szlachetnych motywów - i dlatego zająłem się nim w sposób, który jak sądzę, rzadko się trafia między ludźmi." Pozyskał dla służby u Essex szyfranta i agenta wywiadu Phelippesa. Powrót Anthony'ego na początku roku 1592 stwarzał warunki dla zorganizowania sprawnego aparatu wywiadowczego lub służby tajnej i informacyjnej, która pozwoliłaby Essexowi konkurować z Cecilami w dostarczaniu królowej wiadomości i równocześnie zdobyć zasłużoną opinię poważnego polityka, dobrze poinformowanego i posiadającego cenne kontakty zagraniczne. Był to subtelny atak na Cecilów na ich własnym terenie sekretariatu, który starali się zachować wyłącznie w swej gestii. Musiało to również zrobić wrażenie na Elżbiecie, dla której "wywiad" był sednem dyplomacji i która uważała, że tajemnica jej władzy polega na tym, że jest najlepiej poinformowaną osobą w Anglii, a zatem również w Europie. Jej wzrok sięgał wszędzie, dostrzegała dobre i złe. Jednemu z urzędników, który właśnie wrócił z Niderlandów i wyjaśniał sytuację, powiedziała: "Cicho, Brown! Wiem więcej od ciebie", i uraczyła go własnymi uwagami i prognozami, a gdy ośmielił się coś powiedzieć o sprawach francuskich, znów mu przerwała: "Cicho, Brown! Sądzisz, że nie wiem?"

Intryga funkcjonowała sprawnie, bo w lutym 1593 roku Essex został członkiem Rady. Natychmiast się zmienił, skończył radykalnie z "wszystkimi swymi dawnymi młodzieńczymi kawałami" i zachowywał "bardzo chwalebłą powagę". Postanowił nawet spłacić długi; jego agent handlowy pisał: "co prawdopodobnie uczyni", licząc zapewne nie tyle na chwilową skruchę, ile na dochody ze stanowisk, na noworoczne prezenty itp., którymi starano się

pozyskać względy wszechmocnych, oraz sumy, które całkiem jawnie płacono za posady w służbie królowej."Wielkość domowa" Essexa była w istocie czymś w rodzaju wielkiej spekulacji finansowej. Jego rozrzutność i nieprzezorność, szeroko rozbudowany system wywiadowczy i stale rosnąca liczba domowników pociągały za sobą wydatki znacznie przekraczające najhojniejsze świadczenia Elżbiety. Wyplącalność zależała od dochodów, dochody zaś od tego, w jakiej mierze uda mu się uzyskać od królowej przywileje i stanowiska dla swych klientów. Stąd też wrodzoną żądzę skupienia całej władzy we własnym ręku podsycały względy materialne. W domu Elżbiety było mieszkań wiele; on chciał zająć wszystkie. Od rana do późnego wieczora tłoczyli się na jego pokojach klienci i pochlebcy; napiwki, które jego podwładni - od odźwiernego po sekretarzy - od nich dostawali, spadały jak świeży deszczyk z nieba na wyschniętą ziemię.

Bacon też czekał na swą nagrodę. Ale w tym właśnie czasie, kiedy miało się zwolnić stanowisko Rzecznika Finansów Korony, obraził królową. Chodziło o uchwałę budżetową w parlamencie. Izba Gmin w 1593 roku, zamiast podwójnego zasiłku jak w roku 1589, dała się przekonać i w następstwie wątpliwej interwencji Izby wyższej przyznała trzy zasiłki; zostały one jednak cofnięte, gdy wielu posłów, między innymi Bacon, który okazał się ich najwymowniejszym rzecznikiem, sprzeciwiło się wnioskowi, by podatek zebrać w cztery lata, a nie w sześć, jak oni się domagali. Bacon oświadczył, że byłby to ciężar nie do udźwignięcia."Ziemiańskie będą musieli sprzedać srebra stołowe, rolnicy naczynia miedziane, by zapłacić podatek." Ustawa wywołała niezadowolenie i stała się fatalnym precedensem.Elżbieta poczuła się boleśnie dotknięta opozycją. I słusznie! Parlament głośno wołał o wojnę i gorąco obiecywał, że pomoże. Niemal wszyscy zadreżczali ją, by tu wysłała wojska, tam flotę, jak gdyby to nic nie miało kosztować. Dokonywała cudów gospodarując swymi niedostatecznymi zasobami. Trzęsa się nad każdym osobistym wydatkiem ku obrzydzeniu chciwców i drapieżników ze swego otoczenia, bez przerwy narzekających i wyśmiewających się z jej skąpstwa. Skrupulatnie spłacała długi; naruszyła kapitał, byle na poddanych spadła tylko drobna część brzoźmi wydatków wojennych. A teraz, kiedy kraj powinien wziąć na siebie trochę większe ciężary, słyszy się tylko pretensje. Podczas zamknięcia sesji nie zadowolila się przemówieniem, które Przewodniczący Izby Gmin wygłosił w jej imieniu, i wystąpiła osobiście przed obu Izbami:"Zasiłek, który mi ofiarujecie, przyjmuję z wdzięcznością, jeśli będzie mu towarzyszyć wasza dobra wola; odmówiłabym przyjęcia, gdyby nie wymagały go potrzeby doraźne i wzgląd na wasze bezpieczeństwo." Lata i doświadczenie nauczyły ją unikać niepotrzebnych wydatków."Wymownie i z królewską śmiałością" dodawała im odwagi."Ja ze swej strony oświadczam uroczyście, że

nigdy się nie bałam i nie wiem, co to strach.” Jeśli chodzi o króla hiszpańskiego, ”to wcale nie lękam się jego pogroźek. Jego olbrzymie przygotowania i potężne siły mnie nie wzruszają. Jeśliby nawet napadł na mnie z większą potęgą, niż była nią kiedykolwiek jego niezwyciężona marynarka, to nie wątpię, że Bóg, któremu zawsze ufam, wspomóż mnie i pozwoli go pokonać i obalić. Albowiem moja sprawa jest słuszna.”

Nieszczęsne przemówienie Bacona pociągnęło za sobą chwilową utratę względów królowej. Essex występując w roli serdecznego przyjaciela namawiał ją, by dopuściła go z powrotem przed swe oblicze jako tego, który potrafił ocenić zalety ”tych świetnych”, prawdę mówiąc bardzo przeciętnych, przekładów z autorów klasycznych, którymi zabawiała się w sześćdziesiątym roku życia. Nie zareagowała na to pochlebstwo. W rzeczywistości Bacon nie otrzymał stanowiska Rzecznika Finansów Korony, ponieważ w porównaniu z kwalifikacjami Rzecznika Skarbu Edwarda Coke’a jego roszczenia były zwykłą bezczelnością. Essexowi zaś powiedziała, że jedyny zarzut, który stawia Coke’owi, a mianowicie, że jest za młody, jeszcze bardziej uderza w Bacona, o dziewięć lat młodszego. Starania Essex’a były nierozumne i niesłuszne, lecz on zaangażował się bez reszty. Elżbieta próbowała perswadować, on się upierał powiedziała, że postąpi tak, jak będzie uważała za stosowne, na co jeszcze bardziej się zaciął. Próbowała skończyć rozmowę i oświadczyła, że posłucha rady ludzi, którzy lepiej się na tych sprawach znają od niego, ale Essex mówił dalej. Był zdecydowany za wszelką cenę podstawić nogę Coke’owi i popierającemu go Burghleyowi. Kilka miesięcy później sir Robert Cecil próbował go nakłonić, by zadowolił się stanowiskiem Rzecznika Skarbu, a więc zastępcy Rzecznika Finansów Korony dla Bacona, co ”być może Najjaśniejsza Pani łatwiej strawi”. Essex odpowiedział mu z gniewem: ”Nie każ mi trawić żadnego trawienia, muszę zdobyć dla Francisa urząd Rzecznika Finansów Korony. Użyję do tego całej mej siły, władzy, całego autorytetu i wszystkich przyjaźni, będę go bronił do ostatniej kropli krwi i wystaram się o to stanowisko wbrew wszystkim. Jeśli zaś ktoś mi je wyrwie dla kogoś innego, drogo za to zapłaci.”

Essex pieklił się i gorączkował, a Elżbieta nie obsadzała urzędu. Potem, kiedy już się pogodził z twardą koniecznością i prosił o finanse dla Bacona, mianowała Coke’a Rzecznikiem Finansów Korony. Złowieszcza była jej reakcja na jego nowe zabiegi. Początkowo zachowywała rezerwę, ale gdy Essex stał się żarliwym obrońcą Bacona, poczuła do niego równie żywiołową niechęć. Powiedziała Essexowi, by poszedł spać, jeśli nie potrafi mówić o niczym innym. Obraził się i przez kilka dni nie był na dworze, ”jak to mu się zdarzyło dawniej, kiedy się spotkał z odmową. W toku dalszych sporów przypomniała mu nie bez racji, że jeśli ktoś ma ustąpić, to wypada, żeby on to zrobił. Ale nie chciał się cofnąć,

wobec czego powróciła do swej tradycyjnej taktyki i z odmów przeszła na zwlekanie”. Nieszczęsny Bacon powiadał o sobie:”Nikt dotąd nie spotkał się z tak nadzwyczajną niełaską.” Sprawę długo jeszcze odraczano.

A tymczasem po alarmach o spiskach na życie Elżbiety Essex wpadł na trop knowań, w które był zamieszany lekarz królowej, portugalski Żyd nazwiskiem Lopez. W styczniu 1594 roku Essex z wielkim podnieceniem pisał do Anthony’ego Bacona:”Odkryłem niezwykle groźne i szaleńcze przestępstwo. Celem spisku jest zamordowanie Najjaśniejszej Pani; wykonawcą ma być doktor Lopez, sposób - otrucie. Całą sprawę dokładnie zbadałem i nie mam żadnych wątpliwości.” Elżbieta poleciła Burghleyowi, Cecilowi i Essexowi przesłuchać Lopeza, ale pierwsze śledztwo nie przyniosło niczego, co mogłoby go obciążyć, i Robert Cecil, chcąc być pierwszym, który jej o tym doniesie, i przy okazji poniżyć przeciwnika, pobiegł do Elżbiety. Nie bez słuszności uznała, że Essex kierował się w tej sprawie wyłącznie złą wolą. Jak zawsze bardzo lojalna w stosunku do swych poddanych, uniosła się gniewem. Kiedy Essex stanął przed nią, zgromiła go”nazywając pochopnym i lekkomyślnym młodzieńcem, który występuje z zarzutami przeciw biednemu człowiekowi, choć nie potrafi ich udowodnić”. Wybiegł wściekły i wpadł do swej komnaty trzaskając drzwiami. Teraz chodziło już o jego honor - na nieszczęście dla biednego Lopeza. Do dziś nie wiadomo, czy był winny. Dochodzenia wykazały ponad wszelką wątpliwość, że gotów był za pokązną sumkę od Filipa II otruć Elżbietę. Tłumaczył się przekonująco, ale nie mógł przedstawić dowodów. Stanął przed sądem i został skazany. Elżbieta nadal chyba nie wierzyła w jego winę. Wbrew Essexowi i gniewnej tłuszczy zabroniła komendantowi Tower wydać go w ręce kata. Nie znamy dalszego przebiegu wypadków. Według późniejszej relacji, po dwóch miesiącach Essex podstępem wy dostał Lopeza z Tower, gdzie znajdował się pod ochroną królowej, i zaprowadził na szafot. Jeśli jest w tej opowieści choćby źdźbło prawdy, to Essex musiał posłużyć się całym swym urokiem, by przebłagać królową, która w kilka tygodni później podarowała mu 4000 funtów, prawdopodobnie na spłacenie długów, i mówiąc o tym, jak go lubi i dba o niego, dodała:”Pilnuj się, miły Essexie, dbaj o siebie mądrze, żeby twoi wrogowie nie mieli argumentów. Ja zawsze pomogę chętniej tobie niż innym.”

W listopadzie 1595, po przeszło półtorarocznej zwłoce, Elżbieta mianowała Rzecznikiem Skarbu wybitnego prawnika, sędziego Fleminga. Burghley i inni popierali Essexą w jego walce o Bacona, ale bez powodzenia. Ich kandydat został pominięty. Było to jedno z najbardziej przemyślanych i osobistych poczynań Elżbiety i niezależnie od innych wytłumaczeń miało swe tajne motywy. Tą tajemnicą były ponad wszelką wątpliwość stosunki

łączące Bacona z Essexem. Sir Thomas Bodley zanotował w swej autobiografii, że Elżbieta z reguły nie popierała stronników Essexu. Sam Bodley padł tego ofiarą, bo wbrew swej woli musiał zmienić protektora z Burghleya na Essexu, który tak energicznie popierał jego zabiegi o stanowisko sekretarza, że zyskał mu tylko niechęć królowej oraz zawiść Burghleya i Cecila. Bodley uznał więc w końcu, że postąpi roztropniej wycofując się w zacisze domowe i poświęcając swej wielkiej bibliotece w Oksfordzie.

Prawdą bowiem było, że każda osoba, która dzięki Essexowi otrzymywała stanowisko, zwiększała presję na królową. Niegdyś mówiono, choć nie bardzo słusznie, że trudno jej było oprzeć się Leicesterowi, bo umieścił w jej otoczeniu tylu swoich ludzi. Gdyby dopuściła do tego, że człowiek o temperamencie Essexu obstawi dwór i Radę swymi nominatami, skończyłoby się prawdopodobnie na tym, że stałaby się marionetkową królową w jego ręku. Była za chytra, za dalekowzroczna i władcza, by dopuścić do takiej sytuacji. Jakże bardzo różnił się Burghley od Essexu! Po kilku zaledwie miesiącach stary mędrzec wyłożył synowi swoje zasady politycznego działania. Kiedy jest innego zdania niż królowa, niech go nie zmienia, by jej pochlebić, byłaby to bowiem obraza boska, ale jako podwładny niech słuca jej rozkazów. Takiej właśnie służby wymagała Elżbieta i choć potrafiła powiedzieć o Burghleyu, że jest "krnąbrnym starym głupcem", kiedy w przypływie złego humoru uparł się i pojechał na dziesięć dni się leczyć, to jednak go szanowała; łączyły ich więzy przyjaźni i zażyłości, które obojgu przynosiły zaszczyt.

Essex wiedział dobrze, jaka jest przyczyna przegranej Bacona: "Wszystkie twoje niepowodzenia z tego się biorą, że wybrałeś sobie mnie jako narzędzie i protektora" - i powodując się szlachetnością, która stanowiła część składową jego anarchicznej, lecz ujmującej natury, uparł się, że nagrodzi mu te niepowodzenia darowizną ziemi. Mógł się mylić Bacon, kiedy źle przewidział reakcję Elżbiety na kalectwo Roberta Cecila, lecz teraz dostrzegał przyszłość równie jasno jak królowa. "Milordzie - powiedział do Essexu - muszę więc być twoim lennikiem i przyjąć twój dar; czy wiesz jednak, jak prawo nakazuje składać hołd? Zawsze z zachowaniem wierności królowi i jego innym panom. Dlatego, milordzie, nie mogę być bardziej twoim, niż byłem dotąd, zgodnie ze starożytnymi zastrzeżeniami." Rozważne słowa!

## *Rozdział dwudziesty*

NATURA NIEUJARZMIONA

Leniwie płynąca dotąd rzeka wojny zaczęła przyspieszać swój bieg. W roku 1595 Drake i Hawkins zajęci byli przygotowaniami do kolejnego przedsięwzięcia, na wespół publicznego, na wespół prywatnego, akcyjnograbięczego, jednego z tych, które wytrącały Hiszpanom broń z ręki i budziły zdumienie w całej Europie przyglądającej się temu, jak małe królestwo bezkarnie nęka bogate i wielkie mocarstwo. Elżbieta jak zwykle zadreęczała ich obu skłonnością do rewidowania swych decyzji po raz drugi i trzeci, do zmiany postanowień, do ulegania złym przeczuciom. Przechodziło to już u niej w stan chroniczny. Powtarzano dykteryjkę o jakimś woźnicy, który słysząc, że królowa już trzeci raz zmienia swe plany i nie zamierza tego dnia wyjechać, zdenerwował się i zawołał: "Teraz widzę, że królowa jest taką samą kobietą jak moja żona." Elżbieta stała właśnie w oknie i usłyszała te słowa. "Cóż za łajdak!" - wykrzyknęła i kazała trzem aniołom stróżom zamknąć mu usta. Zapewne była to cecha kobieca, ale w systemie rządzenia, w którym wszystkie decyzje miały charakter osobisty, zaś doradcy i dworzanie nieustannie nakłaniali mcnarchinię do ostrożności, wahania i zwłoki były nieuchronne. Raczej dziwić się należy, że potrafiła zachować zdrowy rozum i tak stanowczo zmierzać do celu. W końcu Drake i Hawkins wyruszyli w sierpniu na swą ostatnią tragiczną wyprawę na wody hiszpańskie. Miesiąc przed ich wypłynięciem cztery hiszpańskie galery skierowały się od wybrzeży Bretanii ku Kornwalii, spaliły Penzance i inne miejscowości, po czym uciekły. Była to jedynie drobna przykrość, niemniej dowodziła, że wybrzeża Anglii nie są nienaruszalne, a także dodawała wiarygodności dochodzącym z Hiszpanii pogłoskom o przygotowywanej na rok przyszły nowej armadzie. W kraju ogłoszono stan pogotowia i pod koniec roku wojskowi nakłaniali Elżbietę, by wydała polecenie zaatakowania floty hiszpańskiej w jej własnych portach. Miała poważne wątpliwości, szczególnie natury finansowej. Przewidywane koszty były zastraszająco wysokie i chociaż zarówno dowódca marynarki Howard, jak i Essex starali się je pomniejszać, roztaczali optymistyczne wizje łupu i zapewniali, że wyprawa przyniesie zyski, królowa się wahała.

Była jeszcze inna Anglia, nie ta, w której żyli Essex i jemu podobni. Anglia, o której Elżbieta stale pamiętała i dla której rok 1596 miał się okazać kolejnym, trzecim rokiem wielkiego nieurodzaju i straszliwej nędzy. Nie była to pora na zwiększanie finansowego i ludzkiego brzemienia wojny, na wykraczanie poza granice absolutnej konieczności. Deszcz okazał się nowym i znacznie groźniejszym wrogiem niż Hiszpania. Pewien kaznodzieja mówił: "Jednego roku mieliśmy głód, drugiego drożyznę, zaś trzeciego nie mieliśmy co do ust włożyć."

Przeto wół darmo w twardym jarzmie się mozolił, Próżno się znoił oracz, a zielone zboże

W młodości zgnilo, zanim wyrosła mu broda.

Ceny żywności rosły osiągając wysokość jak w czasie głodu; i choć rząd dokładał ojcowskich starań, by głodni mieli co jeść, ludzie umierali na ulicach z wyczerpania. Wybuchaly zamieszki i bunty, a wołania: "Oni nie powinni umierać z głodu, oni nie będą umierali z głodu!", towarzyszyły jeszcze bardziej złowróbnemu i upartemu szemraniu przeciw upustowi krwi na zagraniczne wojny. Królowa wciąż jeszcze zachowywała magiczną popularność, lecz musiała uważać, by nie przeciągnąć struny.

W takiej oto sytuacji Howard i Essex kontynuowali przygotowania do swej słynnej wyprawy na Kadyks po przełamaniu oporów Elżbiety przeciw atakowi jako najlepszej formie obrony. Nazwisko Essexu przyciągało setki młodych panów, awanturników, palących się do wojaczki, a jeszcze bardziej do grabieży, "zielonej młodzieży wystrojonej w pióra, złoto i srebrne koronki".

Wszystko, co w kraju jest najmniej stateczne, Wolontariusze skorzy a niebaczni, Z licami niewiast, z zażartością smoków, A z wypisaną na grzbietach godnością.

W pierwszych dniach kwietnia niespodziewanie nadeszły zdumiewające wiadomości, że pod Calais pojawiła się armia hiszpańska z Niderlandów, zablokowała dostęp do morza i przystąpiła do oblężenia miasta. Nieprzyjaciel stał na progu, trzeba więc było odłożyć plany zdobycia Kadyksu. Elżbieta postanowiła wykorzystać okazję - nie można jej tego mieć za złe - by wyłudzić od Henryka IV miasto za cenę odsieczki. Podobno zaklinał się, że jest mu wszystko jedno, czy będzie pokąsany przez psa, czy podrapany przez kota. Nie było jednak czasu na przetargi. Pośpiesznie zmobilizowano armię. Elżbieta pisała do Essexu: "Choć przebywam daleko od twego miejsca postoju, mam jednak dość dobre ucho, by słyszeć straszliwe odgłosy ataku, które dla mnie oznaczają wołanie o pomoc... Ruszaj, w imię Boże." Nazajutrz, kiedy wojska załadowano na okręty, było już za późno, bo Calais padło. Wznowiono więc przygotowania do wyprawy na Kadyks i 3 czerwca ekspedycja ruszyła, wspierana modlitwami specjalnie na tę okazję napisanymi przez Najjaśniejszą Panią w jej niezrównanym stylu. Przed kilku tygodniami wróciła flota Hawkinsa i Drake'a, przywożąc potwierdzenie wiadomości o śmierci dowódców i faktycznym niepowodzeniu przedsięwzięcia.

Kadyks nie był klęską, lecz przykładem tej świetnej, beztroskiej brawury, do której Los chętnie się uśmiecha. Essex radośnie rzucający kapelusz do morza na rozkaz wtargnięcia do portu; Raleigh odpowiadający na salwy dział z fortu hiszpańskiego pogardliwymi fanfarami trąb; dziecinna rywalizacja o przewodzenie i znalezienie się w wąskim miejscu, w którym rozgrywała się bitwa morska; brawurowe wspinanie się na mury miasta - wszystko to

szło w parze z uprzejmym, ludzkim i miłosiernym potraktowaniem mieszkańców Kadyksu po zdobyciu miasta przez Essex. Przypominało to stronice romansu i nawet Hiszpanie go chwalili.

Nie zabrakło jednak zawiści, głupoty, młodzieńczych humorów. Podwójne dowództwo nie wróżyło nic dobrego. Jeszcze przed opuszczeniem Anglii Howard wyciął podpis Essex z wspólnego listu, ponieważ, jak twierdził Essex, niesforny admirał "nie pozwoliłby na to, by ktoś był mu równy". Ta zazdrość i widok żołnierzy grabiących miasto, któremu marynarze nie mogli się przypatrywać bezczynnie, spowodowały, że prawie wszyscy popędzili szukać łupów, pozostawiając w porcie zdobycz największą, flotę handlową, która miała właśnie wypłynąć w drogę i na której Elżbieta mogła sobie odbić koszt wyprawy, a także uzupełnić swój skarb. Potem było za późno. Bohaterski dowódca hiszpański spalił okręty i towary, by nie oddać ich Anglikom. Flota składała się z czterdziestu paru dużych okrętów, nie licząc wielu mniejszych, i jej wartość oceniano na dwanaście milionów dukatów. Jakaż strata dla Hiszpanii! Jakaż strata dla Anglii! Skandaliczne zaniedbanie obowiązków przez dowódców angielskich raz jeszcze potwierdziło racje Elżbiety, która tak nieufnie odnosiła się do wielkich operacji wojskowych i morskich. Miała więcej powodów do obaw, niż to dostrzegają dzisiejsi krytycy.

Howard i Essex otrzymali rozkaz zachowania łupów dla królowej i do tego się zobowiązali. Mimo to rozdawali je hojną ręką swym żołnierzom. Wysłano wraz z nimi urzędnika, który miał dopilnować wykonania rozkazu; ten jednak grabił na równi z innymi. Flota i armia były jeszcze w dobrym stanie pod względem wojskowym i fizycznym i mogły wykonać dalsze zadania. Sam Essex nie miał duszy najemnika i opowiadał się za tym, by walczyć, lecz wszyscy bez wyjątku oficerowie, choć potrafili tak małą wagę przywiązywać do życia, bardzo sobie cenili możliwość grabienia. Niektórzy wynajęli małe statki, by przewieźć swe rozmaite i przedziwne łupy do domu, i chcieli dopilnować transportu. Popłynęła więc flota do kraju, przedtem jednak obaj dowódcy - Essexowi przypadła lwia część - nobilitowali licznych oficerów, "prawie wszystkich, którzy na to zasłużyli lub tego pragnęli, lub tego nie lekceważyli, lub wręcz nie odmawiali (co jednak niektórzy zrobili)". Krążył potem wierszyk:

Szlachcica z Waliz, rycerza z Kadyksu I ziemianina z Północnego Ludu - Chłop z Kentu, ledwie koniec z końcem wiążąc, Kupi ich wszystkich bez trudu.

Jak miała Elżbieta przyjąć zdobywców? Z jednej strony odnieśli wspaniałe, zdumiewające zwycięstwo. W Wenecji zażywała takiej sławy, że podobno ludzie dobijali się o jej wizerunek i wołali: "Wielka jest królowa Anglii! Cóż to za wspaniała kobieta! Szkoda



tylko, że nie jest chrześcijanką.” Równocześnie jednak skarb świecił pustkami, zaś dowódcy, którzy od niej domagali się pieniędzy na zapłacenie żołdu, wzbogacili się tym, co jej się należało. Chwaliła i miotała gromy.”Partia morską”, zazdrozcząca wojskom lądowym i rozgoryczona znikomym udziałem w grabieży, intrygowała na dworze. Essex, który wrócił z brodą, wymizerowany, z twardym postanowieniem unikania dworskich piękności i powściągnięcia swej namiętnej natury, ”był stale szczuty brytanami jak niedźwiedź”. Opędał się i jak to określił Anthony Bacon, jasnym blaskiem swej odwagi rozproszył mgły, którymi jego bezprzykładne zasługi osnuła złośliwa zawiść. Burghley robił przyjazne awanse.”Stary lis - pisał Bacon - kuli się służalczo i skomłę.” W powszechnym przekonaniu ten świetny, rycerski młodzieniec uchodził za zwycięzcę spod Kadyksu i uosobienie walczącej Anglii. Teraz znalazł się w szczytowym punkcie swej kariery. Ulubieniec ludu, faworyt Elżbiety.

Ten stan rzeczy nie mógł trwać wiecznie. Elżbieta nie zmieniła się, nie zmienił się też Essex. Miesiąc po jego odpłynięciu do Kadyksu zrobiła ostatni krok mający doprowadzić sir Roberta Cecila na stanowisko sekretarza. Miał lat trzydzieści trzy i po pięciu latach sprawowania władzy bez tytułu osiągnął ten punkt, w którym objęcie urzędu stało się czymś naturalnym i nie budzącym poruszenia. Królowa skorzystała z nieobecności Essexu.

Essex zaś nadal nie umiał się pogodzić ze sprzeciwem. W pewnym sensie głównym zadaniem, które Elżbieta sobie postawiła i które kosztem bolesnych zmagañ udało się jej zrealizować w pierwszych dziesięcioleciach panowania, było wykorzenienie uprzedzeń, jakie politycy i dworzanie żywili w stosunku do kobiety na tronie. Wraz z pojawieniem się nowego pokolenia problem powracał. Essex nie umiał myśleć o niej inaczej jak o kobiecie, co więcej, kobiecie starej, zniedołężniałej. Był przekonany, że wystarczy, jeśli będzie dość często i długo nalegał, by każda kobieta w końcu mu ustąpiła. Nastroje i postępowanie Elżbiety tłumaczył sobie, jak to często się zdarza mężczyznom, jako typowo kobiece. Jakże inaczej zachowywałby się, gdyby miał przed sobą króla jej klasy! Jej tragedią było, że fortel, którym się wciąż jeszcze posługiwała, by stawić czoło słabościom swej płci, przestał działać. Nadal trwała idylla Królowej Wieszczek. Kiedy i jak należało położyć jej kres? Dla starego, ledwo trzymającego się na nogach Burghleya te koncepty nie straciły świeżości i uroku, ale dla młodych elegantów pokolenia Essexu były w najlepszym wypadku w złym smaku, w najgorszym - zwyczajnym błazeństwem. Elżbieta zachowała zdumiewającą świeżość i energię umysłu.”Nie zdarza się widzieć kobiety o tak żywym usposobieniu i takiej bystrości” - pisał w rok później pewien bardzo obiektywny ambasador, ale starzała się szybko: miała teraz twarz długą i chudą, wyraźnie zdradzającą działanie czasu, zwieńczoną wielką rudawą peruką, zęby żółte i nierówne - tak ją opisał tenże ambasador. Starość i młodość nie są jednej

myśli i w chwilach szczerości młodzi ludzie z otoczenia Essexu powiadali, że nie pozwoliliby, by jeszcze jedna kobieta miała nimi rządzić. Zdarzało się zapewne, że w momentach gwałtownego uniesienia, kiedy najgłębiej skryte myśli dochodzą do głosu, Essex mógł się wyrażać pogardliwie o tej kapryśnej i despotycznej starej kobiecie, a Elżbieta mogła dawać upust wściekłości wzgardzonej kobiety.

W tej krytycznej chwili przemówił spokojny, wyrachowany głos rozsądku. Francis Bacon pisał do swojego protektora: "Człowiek o nieujarzmionej naturze, zajmujący pozycję nie odpowiadającą jego wielkości, popularny, związany z wojskiem. Pytam więc, czy można groźniejszy portret przedstawić jakimkolwiek żyjącemu władcy, cóż dopiero damie, osobie tak podejrzliwej jak nasza Najjaśniejsza Pani?" Namawiał go, by przekonał królową, że jest kolejnym Leicesterem lub Hattonem. Udawaj, że szczerze pochwalasz jej zdanie. Domagaj się łask po to tylko, by zrezygnować, jeśli będzie się sprzeciwiała. Faktycznie zatrzymaj sprawy wojskowe w swym ręku, ale odrzucając zewnętrzne oznaki władzy: świta wojskowa budzi podejrzenie. Zaprzestań starania się o urząd Marszałka Lordów lub Generalnego Intendenta; przyjmij stanowisko Lorda Strażnika Prywatnej Pieczęci, przynoszące poważne dochody i nie budzące zawiści. W każdej rozmowie z królową należy krytykować opinię publiczną i tanie próby jej pozyskania. Mów, że ci nie zależy na popularności, lecz w istocie o nią zabiegaj; jeśli potrafisz ją wykorzystać, będzie"jednym z najświetniejszych kwiatów twej wielkości obecnej i przyszłej". Ograniczaj swe wydatki,"wierz mi bowiem, milordzie, że póki Najjaśniejsza Pani się nie przekona, że oszczędnie rozporządzasz się swymi finansami, nie tylko będzie uważała, że nadal pozostaniesz jej dłużnikiem, lecz zaczniesz podejrzewać, że masz poważniejsze zamysły". Korzystna sytuacja królewskiego faworyta, przy zachowaniu takich środków ostrożności, niczym jej nie zagraża, lecz zaniedbując je,"budzi się podejrzliwość i obawy Najjaśniejszej Pani, która nie zna swej własnej siły". Cóż za prorocza wizja! Co za mądrość! Jaka subtelność! Co za zimne wyrachowanie! Krótko mówiąc, jakże odmienna dusza od Essexu! Chytry wieszczek zadedykował pierwsze wydanie swych Esejów, które ukazało się w lutym, nie Essexowi, lecz swemu bratu Anthony'emu Baconowi.

Essex nie mógł zmienić swej natury, tak jak lampart nie może się pozbyć cętek. Angielski ambasador we Francji wróżył mu, że źle skończy z własnej winy, bo więcej ma talentu do szerzenia anarchii na jakimś dworze niż do zaprowadzania porządku. W pierwszych miesiącach 1597 roku chodził obrażony, ponieważ nie mógł załatwić posady dla swego przyjaciela, sir Roberta Sidneya; królowa i Cecilowie mieli innego kandydata. Elżbieta zaklinała się, że złamie jego upór i pychę, którą odziedziczył po rodzinie matki. Widząc, że nie uda mu się przeforsować Sidneya, zaproponował siebie, by potem zrzec się stanowiska na

rzecz przyjaciela. Cały swój autorytet i wpływy zaangażował przeciw kandydatowi królowej. Elżbieta odmówiła, wobec czego osiodłał konie i miał już wyjechać na wieś, gdy wezwała go i zaofiarowała mu stanowisko Generalnego Intendenta. Załagodziła w ten sposób spór, pozwalając mu równocześnie zachować twarz. Miała dla niego inne zadania.

Kadyks wyrwał Filipa II z letargu. Chwycił za kandelabr i przysiągł, że raczej go zastawi, niż miałby zrezygnować z zemsty. W rzeczy samej zbankrutował; odbiło się to echem we Włoszech, gdzie kupcy kwaśno powiadali, że odtąd czas będą liczyć od roku, w którym zbankrutowali razem z królem hiszpańskim. Ale król bankrut nie został bez grosza. Budował nową armadę i właśnie dlatego Essex był potrzebny Elżbiecie. Po rozważeniu sprawy postanowiono przygotować ekspedycję, która będzie miała dwa cele: zniszczyć flotę hiszpańską w porcie Ferrol, po czym zaskoczyć flotę ze skarbami z Indii Zachodnich na Azorach. Essex domagał się, by mianowano go jedynym dowódcą, i w końcu postawił na swoim. Był szczęśliwy, a zatem i dwór był szczęśliwy. I o dziwo! Raleigh i Cecil zawarli z nim przyjaźń i cała trójka okazywała sobie serdeczność bez miary. Elżbieta poczuła się w Elizjum. Zapewniała Essexowi, że będzie oceniać przedsięwzięcie miarą ludzkich osiągnięć, a nie przypadków. "Niechby tylko korzenie były zdrowe, to wtedy nie będzie miało znaczenia, że owoce przepadną." Z jej strony "nie spotka ich żadna nagana".

Flota wypłynęła w lipcu 1597 roku. Sztorm ją rozproszył i zmusił do powrotu do portu. Początkowo myślano, że Essex zginął. Gdy wrócił cały, Elżbieta płakała z radości, Cecil zaś pisał do niego: "Królowa tak bardzo pragnie, żebyśmy wszyscy ciebie kochali, że co wieczór rozmawiamy z nią o tobie jak dwa anioły."

W tym czasie, gdy poddawano okręty naprawom, na dwór przybył ambasador króla Polski.\* Elżbieta, poinformowana, że przynosi propozycję pokoju, a także pamiętając, że ojciec ambasadora złożył jej wizytę, wyznaczyła mu publiczną audiencję. Gdy go wprowadzono, był w długiej szacie z czarnego aksamitu bogato ozdobionej klejnotami. Po ucałowaniu ręki królowej cofnął się z dziesięć jardów i rozpoczął mowę po łacinie z "taką śmiałością, jakiej w życiu jeszcze nie widziałem", pisał Cecil. Zamiast komplementów lub słów o pokoju wystąpił z pogrozkami. Elżbieta jak lwica zerwała się z tronu i bez przygotowania zgromiła go po łacinie za bezczelność i tupet. Jeśli jego król, powiedziała, odpowiedzialny jest za tę mowę, to zaiste dlatego, że jest jeszcze młody, że nie jest królem z urodzenia, lecz z wyborów, i to niedawnych. "Jeśli zaś o ciebie chodzi, panie ambasadorze, choć widzę, żeś przeczytał wiele ksiązek, by podeprzeć swe argumenty, skłonna jestem sądzić, że nie natrafiłeś na rozdział, w którym przepisane są formy, jakich należy się trzymać wobec królów i władców." Dwór był zachwycony tour de force królowej i wkrótce wieść o

incydencie rozeszła się po całym kraju. Elżbieta powiedziała Cecilowi, że żałuje, iż Essex nie słyszał łaciny jej i ambasadora. Cecil zrozumiał aluzję i opisał wszystko w liście do Essexu, któremu nie trzeba było podpowiadać, że ma pochwalić królową. Odpisał: "Jestem szczęśliwy za królową, cieszę się, że się uniosła i miała tak znakomitą okazję do popisu. Bohaterowie byliby tacy sami jak inni ludzie, gdyby nie mieli niezwykłych i niespodziewanych potyczek. Nie ulega wątpliwości, że Najjaśniejsza Pani jest z tej materii, z której, zdaniem starożytnych, stworzeni byli bohaterowie; to znaczy, umysł ma ze złota, a ciało z brązu." Odpowiedź udzieloną przez Elżbietę polskiemu ambasadorowi wspominało z dumą wiele pokoleń.

Flota w końcu wyruszyła na wyprawę, która miała potem otrzymać nazwę wyprawy na Wyspy. Prześladowały ją niepowodzenia

\* Tym niefortunnym posłem był Paweł Działyński, syn Pawła, kasztelana dobrzyńskiego. Wysłany w roku 1597 przez króla Zygmunta III Wazę do powstańców niderlandzkich i na dwór angielski, miał nakłaniać do porozumienia i zgody z Filipem II, królem Hiszpanii. Obie misje Pawła Działyńskiego, który nie miał ani większego doświadczenia politycznego, ani umiejętności dyplomatycznych, zakończyły się niepowodzeniem. Mimo to legacja jego znalazła uznanie wśród szlachty polskiej. Jeszcze dwa wieki później umieszczono jego popiersie wśród dwudziestu wizerunków znakomitych Polaków, którymi ozdobiono - na polecenie króla Stanisława Augusta Poniatowskiego - Zamek Królewski w Warszawie. Por. Polski Słownik Biograficzny, t. VI, Kraków 1948, s. 95-96. (Przyp. kons.) pogłębiane przez nieudolność Essexu jako dowódcy i urazy, które jego przyjaciele mieli do kontradmirała Raleigha. Stan okrętów angielskich uniemożliwił dotarcie do Ferrol i zaatakowanie tam floty hiszpańskiej, wobec czego popłynęły ku Azorom. Tu Raleigh wylądował i zdobył miasto pod nieobecność naczelnego dowódcy, który się spóźnił z niewiadomych powodów. Ukradł to, co Essex najwyżej cenił, czyli honor. Tylko dzięki mediacji drugiego zastępcy udało się nakłonić Essexu, by nie postawił Raleigha przed sądem polowym i nie ściął mu głowy. Kompromis polegał na tym, że bohaterski wyczyn pominięto w urzędowym sprawozdaniu z wyprawy! Potem, na skutek wręcz niezrozumiałej głupoty, zostawiono okrętom hiszpańskim ze skarbami otwartą drogę, przez którą wymknęły się bezpiecznie do portu. A można je było zagarnąć bez trudu. Wreszcie po powrocie okazało się, że flota z Ferrol, korzystając z okazji, popłynęła ku Anglii i tylko sztormy udaremniły jej atak na Falmouth. Essex oczywiście zwiększył swą wojskową klientelę, tym razem jednak ograniczył się do kilku zaledwie nobilitacji.

Po jego przybyciu do Anglii wszystko zaczęło się od nowa. Essex obraził się, ponieważ w niedzielę 23 października, na kilka dni przed jego powrotem, królowa wychodząc

z kaplicy mianowała Lorda Admirała Howarda hrabią Nottingham. Awans ten w połączeniu z piastowanym urzędem dawał mu pierwszeństwo przed Essexem. Na domiar złego, patent hrabiowski nie tylko wspominał o jego zwycięstwie nad Armadą, lecz ponadto stwierdzał, że Howard razem z Essexem zdobył Kadyks. Podwładny Roberta Sidneya, człowiek stronnicy, nie widział w tym wówczas nic złego, podobnie zresztą jak inni rozsądni ludzie, ale w powszechnym mniemaniu, szczególnie zapalczywych młodzieńców z otoczenia Essexa, był tylko jeden zdobywca Kadyksu, a po nieszczęsnej wyprawie na Wyspy honor bardzo wzrósł w cenie. Essex odmówił udziału w odbywających się właśnie posiedzeniach parlamentu, nie pokazywał się na dworze i jak Achilles wycofał się obrażony do swego namiotu. Nie przybył nawet na rocznicę wstąpienia królowej na tron 17 listopada, choć jak przypominał mu Burghley, zaczynała czterdziesty rok swego panowania. Tłumaczył się chorobą, co zresztą mogło być prawdą, bo dolegliwościom duchowym towarzyszą cielesne. Burghley i inni dokładali wszelkich starań, by doprowadzić do pojednania. Elżbieta oświadczyła zrazu, że "poddany nie może się spierać z monarchą", Essex natomiast domagał się, by w patencie zmieniono sformułowania, które go obrażały. W końcu 18 grudnia kłótnia skończyła się tak jak poprzednia. Elżbieta mianowała go Marszałkiem Lordów, co dawało mu pierwszeństwo przed świeżej daty hrabią Nottingham. Był uszczęśliwiony. Teraz z kolei wypadało, by Nottingham zachorował, ale nie był tak trudnym dzieckiem.

Uzyskał więc Essex dwa stanowiska wojskowe, przed którymi przestrzegał go Francis Bacon, i przepowiednie tego przenikliwego umysłu coraz bliższe były spełnienia. Na Nowy Rok Essex obiecał Robertowi Sidneyowi, że uzyska dla niego tytuł lordowski. Elżbieta zablokowała sprawę. Oznajmił wówczas, że poprze swego przyjaciela przeciw wszystkim innym kandydatom na stanowisko zastępcy marszałka dworu. Królowa wstrzymała się z obsadzeniem stanowiska do czasu, gdy Essex nie miał już nic do powiedzenia. Jeden z jego zwolenników słusznie zauważył, że mógł wszystko uzyskać dla siebie, ale nic dla swych przyjaciół. O arogancji tego niezwykle przystojnego, lecz nieznośnego młodzieńca czytamy również w liście lorda Greya do przyjaciela. Essex, dziwiąc się łaskawości okazywanej Greyowi przez królową, usiłował go zmusić, by opowiedział się wyraźnie, czy jest jego przyjacielem, czy też wrogiem, a zatem przyjacielem Roberta Cecila. Grey odrzekł, że nade wszystko ceni sobie niezależność, na co usłyszał, że jest straconym człowiekiem. Innymi słowy, Essex dał mu do zrozumienia, że go nie lubi i żeby jako wojskowy nie spodziewał się od niego żadnego awansu., Grey słusznie zauważył: "Jeśli więc królowa chce dopuścić do sytuacji, w której jeden człowiek podporządkuje sobie niewolniczo wszystkich żołnierzy i wojenne awanse będzie rozdzielał według własnej woli, to musi zrezygnować ze swej władzy

nad nim i tolerować taki stan rzeczy, w którym jej nieszczęsne i wierne rycerstwo uginać się będzie pod brzemieniem wzgardzonym osoby równego stanu.”

Na początku roku 1598 Rada omawiała sprawę wszczęcia pertraktacji pokojowych z Hiszpanią. Wiązało się to z postępowaniem Francji. Henryk IV, ku wielkiemu oburzeniu Elżbiety, choć może nie ku jej zaskoczeniu, przeszedł w 1593 roku na katolicyzm, by zjednoczyć swój naród. Podobno powiedział przy tej okazji:”Paryż wart jest mszy.” Rzeczywiście wart był i jego krok przyniósł owoce. W 1598 miał już taką sytuację, że mógł się pogodzić z ostatnim ze swych nieprzyjaciół, Hiszpanią, i chociaż przed dwoma laty zawarł trójstronne przymierze z Anglią i Niderlandami, zobowiązując się do niezawierania pokoju separatystycznego, Francja pragnęła pokoju i Henryk był zdecydowany, że będzie go miała. Drwił sobie z traktatowych zobowiązań. Elżbieta przezwiała go”antychrystem niewdzięczności”, ale w polityce międzynarodowej brakowało miejsca na skrupuły. Elżbieta musiała się zastanowić, czy nie powinna równocześnie starać się o pokój. Przeszkodą były Niderlandy. Bogaciły się i niepodległość przestawała być dla nich mrzonką. Nawet ludzie ostrożni zaczęli myśleć o niej jako o realnym celu i mniej niż kiedykolwiek zależało im na pokoju, skoro Hiszpania na pewno postawiłaby warunki nie do przyjęcia. W końcu Henryk IV zawarł pokój; Anglia i Niderlandy nadal prowadziły wojnę. Nie było wyjścia, jednak w toku debaty Rada angielska się podzieliła: jedni, których rzecznikiem był Burghley, pragnęli pokoju, jeśli tylko będzie możliwy, drudzy, których reprezentował Essex, stanowczo opowiadali się za wojną. Trwała ostra dyskusja. W końcu Burghley bez słowa otworzył psalterz i wskazał wers:”Chępliwi i nieprawi nie dożyją połowy swych dni.”

Gdzieś w lipcu, kiedy Elżbieta omawiała nabrzmiały i coraz bardziej dokuczliwy problem rebelii irlandzkiej, burza od dawna już narastająca w stosunkach z Essexem rozpetęła się nagle z dramatyczną gwałtownością, odsłaniając, jak w blasku błyskawicy, ukryte w obojgu mroczne głębiny namiętności. Obecni byli tylko Essex, Nottingham, Cecil i urzędnik pieczęci. Chodziło o mianowanie Lorda Namiestnika. Elżbieta chciała posłać do Irlandii sir Williama Knollysa - wuja Essexu; Essex natomiast domagał się mianowania swego wroga sir George’a Carewa, którego w ten sposób chciał usunąć ze dworu. Królowa uparła się, Essex stracił panowanie nad sobą i z wściekłą miną demonstracyjnie odwrócił się do niej plecami. Elżbieta, śmiertelnie obrażona takim pogardliwym zachowaniem, spoliczkowała go i”powiedziała, by się wynosił i powiesił”. Essex chwycił za rapier, a gdy Nottingham pośpiesznie ich rozdzielił, zawołał wielkim głosem, że nie może i nie ścierpi takiego afrontu i hańby, nie zniósłby ich nawet ze strony Henryka VIII. Po czym w nieprzytomnym gniewie opuścił dwór.

Przyjaciele Essexu próbowali przywieść go do opamiętania. Jego wuj Knollys pisał: "Błagam cię, pamiętaj, że monarsze musisz być posłuszny." I dodawał, że konieczność może zmusić królową do korzystania z jego służby, ale bez jej miłości złe języki wrogów będą mogły mu zaszkodzić. Lord Strażnik Pieczęci Egerton pisał rozsądnie i przekonywająco: "Nie posunąłeś się jeszcze za daleko i jeszcze możesz wrócić. Powrót jest bezpieczny, ale dalsza droga w obranym kierunku niebezpieczna i desperacka... Najlepiej nie spierać się i nie wojować, lecz pokornie ustąpić. Przecież dałeś powód i sam się obraziłeś! A w takim razie cokolwiek byś zrobił, nie wystarczy, by dać zadośćuczynienie." Essex odpowiedział: "Winien jestem Najjaśniejszej Pani posłuszeństwo jako hrabia i Marszałek Lordów Anglii. Cieszyłem się, że mogę służyć Jej Królewskiej Mości, ale nie mogę być jej niewolnikiem lub chłopem pańszczyźnianym... Czyż władcy nigdy się nie mylą? Czyż poddany nie może się uważać za skrzywdzonego? Czyż władza lub siła doczesna nie ma granic? Wybacz mi, wybacz, mój dobry panie, takich reguł nie uznaję nigdy." Gdybyż słuchał swej wyroczni: "Kiedy ludzie ambitni nie rosną z urzędem, przekonują się, że ich urząd wraz z nimi upada."

W czasie tej kłótni, 4 sierpnia, zmarł wielki człowiek epoki, Burghley. Siedemdziesiąt osiem lat jego życia tworzyło wspaniałe pole do popisu dla autora panegirku. Od dawna chorował, lecz niemal do ostatniej chwili nie tylko jego jasny umysł, ale i kruche ciało pozostawały w służbie królowej. Spodziewano się jego śmierci i czekanie złagodziło wstrząs, był to jednak zarówno bolesny cios osobisty dla Elżbiety, jak strata dla narodu. Powiedziała mu kiedyś, że nie chciałaby żyć, gdy jego już przy niej nie będzie, i na te słowa łzy pojawiły się w oczach starego człowieka. Innym razem kazała mu powtórzyć, że choć wychował syna na swoje podobieństwo, jej nikt go nie zastąpi i dla niej pozostanie na zawsze Alfą i Omegą. Miesiąc przed śmiercią pisał do swego syna Roberta, by podziękował królowej za jej niezwykłą dobroć: "Choć nie jest matką - jakże smutna refleksja! - to karmiąc mnie swą królewską ręką dowiodła, że jest troskliwą piastunką. Jeżeli odzyskam siły, bym mógł sam się karmić, to jeszcze gorliwiej będę jej służył na ziemi; jeśli nie, to mam nadzieję, że w niebie będę służył jej i Kościołowi Bożemu." „Służ Bogu służąc królowej” - dodawał w przypisku, układając swe własne epitafium.

Gdy wspaniały kondukt pogrzebowy powoli zmierzał ku Opactwu Westminsterskiemu, a Essex kroczył z najbardziej zaszępioną miną - co prawda niektórzy zastanawiali się, czy zmartwiony odejściem Burghleya, czy też pogrążony w czarnych myślach o własnym losie - w dalekiej Hiszpanii umierał Filip II, drugi z trójcy czasów minionych. Do końca wierny swej naturze, zarządził z góry każdy szczegół własnego

pogrzebu, zamówił nawet czarne sukno, którym miał być udrapowany kościół Eskurialu. Kazał przynieść do swego łoża ołowianą koszulę, którą miano mu nałożyć, i ołowianą trumnę, w której miał spocząć. Był jedną wielką ropiejącą raną, której odór obezwładniał lekarza, i straszliwie cierpiał na podagrę. Ból znosił z taką samą niezwykłą wytrzymałością, jak niepowodzenia. W sierpniu zdawało się, że już nie żyje; odzyskał przytomność po dotknięciu relikwii. Zmarł 13 września w siedemdziesiątym drugim roku życia. Dziewięć dni i nocy trwały modły, dzwony były bez przerwy. Oddzwaniały epokę i jej wielkie postacie. Przy życiu pozostała jeszcze tylko jedna, najszlachetniejsza. Musiała odegrać do końca swą rolę w dramatycznym konflikcie starości z młodością.

## *Rozdział dwudziesty pierwszy*

### ESSEX: NEMEZIS

Francis Bacon wspominał na starość, jak to uporczywie tłumaczył Essexowi, że tylko posłuszeństwem i szacunkiem można sobie poradzić z królową. Wtedy dobroć jej nie zna granic. Essex jednak miał w tej sprawie ustaloną opinię, że tylko konieczność i przymus mogą ją nakłonić do załatwienia czegokolwiek. „Doskonale pamiętam - ciągnie Bacon - jak za każdym razem, gdy gwałtownymi metodami stawiał na swoim, zwracał się do mnie: „No cóż, czyje zasady się sprawdzają?”, ja zaś odpowiadałem mu: „Te sposoby są jak wody lecznicze, które pomagają na ostry ból; ale zażywając ich rujnujesz żołądek, milordzie, i musisz zażywać coraz mocniejszych, w końcu jednak przestają działać.”,

Przez kilka tygodni po dramatycznym zerwaniu w lipcu 1598 zdawało się, że żadna ze stron, ani królowa, ani jej sługa, nie ustąpi. Potem, na początku września, Essex zachorował. Elżbieta, przejęta litością, posłała swego lekarza. Pokorny, czuły list z podziękowaniami utorował drogę do zgody i Essex znalazł się z powrotem na dworze. Nie był jednak w stanie pokonać swej natury. Zamiast ostrożnie stawiać krok za krokiem, jak przystało na człowieka, który otarł się o niełaskę, natychmiast podjął starą grę. Jednym z urzędów Burghleya, zwolnionych po jego śmierci, było stanowisko przełożonego Izby Dochodów Lennych Króla, bardzo popłatne i - co w oczach Essexu było jeszcze ważniejsze - umożliwiające zdobycie znacznych wpływów wśród arystokracji i szlachty całego kraju. Oto nadarzała się okazja stworzenia sobie cywilnej klienteli dorównującej znaczeniem jego klienteli wojskowej. Essex tak się zapalił do tego stanowiska, że nikt nie śmiał z nim rywalizować. Sprawa leżała jednak w ręku królowej. Odmówiła mu i zamiast powiększać jego niebezpieczne wpływy wspomniwała, że ma zamiar zachować ten urząd dla siebie. Bezcelnie i głupio odpisał, że



zaden z jej przodków tak by nie postąpił i że "świat może sądzić, a ja muszę wierzyć, że obalasz urząd tylko dlatego, bym ja go nie piastował"; jeśli mnie cenisz, Miłościwa Pani - kończył - to przemyśl moją prośbę. Jego "wody lecznicze" nie odniosły skutku. Elżbieta nie obsadziła stanowiska, w urzędzie zapanował bałagan, aż wreszcie, tak jak w poprzednich podobnych przypadkach, wykorzystała nieobecność Essexa i mianowała Roberta Cecila. Przy tej bodaj okazji, czy też po miesiącu lub dwóch, przestrzegła Essexa w znamienny sposób: "Powinien zadowolić się tym, że przy każdej okazji budzi jej gniew i bezczelnie ją obraża, lecz niech się wystrzeżga dotknięcia jej berła."

Essex znalazł się znowu na dworze między innymi z powodu stale pogarszającej się sytuacji w Irlandii. Po jego niełascie w lipcu armia angielska poniosła tam druzgocącą klęskę. Potrzebna była jego rada. Do wszystkich już dotarła bolesna świadomość, że ten kraj stał się Niderlandami Anglii i że Hugh O'Neil, hrabia Tyrone, władca środkowego i wschodniego Ulsteru, człowiek, który spędził kilka lat w Anglii, stał się dla swego ludu Wilhelmem Milczącym, dość przemyślnym i zdolnym, by zajmować się polityką, a także by zdyscyplinować i wyszkolić swych współplemieńców. Pod koniec sierpnia 1598 władza Anglików w Irlandii uległa silnemu nadwątleniu; zagrożony był nawet Dublin, siedziba rządu. Do tego dochodziła stała groźba, że Hiszpania przyśle posiłki rebeliantom. Należało więc podjąć stanowczą próbę obalenia Tyrone'a i odzyskania kraju.

Najważniejszą sprawą było znalezienie odpowiedniego człowieka. Chętnych, jak się zdaje, brakowało. Ambasador wenecki trafnie się wyraził: "Irlandię można z powodzeniem nazwać mogiłą Anglika." Elżbieta chciała posłać Charlesa Blounta, lorda Mountjoy, młodego dworzanina, z którym Essex przed kilku laty stoczył idiotyczny pojedynek, ale który potem został kochankiem Penelopy, żony lorda Richa, umiłowanej siostry Essexu, i w ten sposób znalazł się w jego kręgu. Essex był przeciwny tej nominacji, prosta bowiem konieczność zmuszała go do ubiegania się o to straszliwe zadanie. Jako "Anglii wielka chwała i przez cały świat podziwiany" nie mógł dopuścić do tego, by kto inny pokierował największą wojenną imprezą chwili, został jego rywalem i odebrał mu wojskową klientelę. Essex raz jeszcze stanął w obliczu wyboru, który tak jasno sformułował Bacon po wyprawie na Kadyks, między wielkością cywilną a wojskową. Pisząc do zaufanego przyjaciela tłumaczył swoją decyzję: "Dwór jest ośrodkiem, lecz wydaje mi się, że uczciwszym wyborem jest dowodzenie armiami, a nie zaszczytami." Gwałtownie zwracając uwagę na niedostatki innych i równocześnie podkreślając kwalifikacje, które on tylko posiada, właściwie przyznawał sobie nominację. "Pobiłem Knollysa i Mountjoya na Radzie - pisał - i da Bóg pobije Tyrone'a w polu."

Zmusiwszy królową i Radę do przyznania mu dowództwa, Essex zaczął się starać o taką armię i tak rozległą władzę, jakiej dotąd nie miał żaden zarządca Irlandii. Przez dwa miesiące, może nawet dłużej, trwała nieustanna walka z królową o warunki, na jakich ma nastąpić nominacja. Kiedy zdawało się, że sprawy nie wyglądają dla niego dobrze, i gdy na próżno zabiegał o stanowisko przełożonego Izby Dochodów Lennych Króla, pisał: "Choćby nie wiadomo jak Najjaśniejsza Pani mną gardziła, niech wie, że straciła tego, który dla niej uważałby niebezpieczeństwo za rozrywkę, a śmierć za bankiet... Dowiodę przed całym światem, że nie chodzi mi o życie, które jest przelotną chwilą, ani też o popularność u ludzi, która jest jak słomiany ogień, lecz o to, żeby ona mnie ceniła wyżej od tych, którzy żadnej wartości nie przedstawiają, jeśli zaś to jest niemożliwe, to chcę o świecie zapomnieć i być przez świat zapomniany." Jednego dnia wyglądało na to, że otrzyma stanowisko, drugiego nominacja była w zawieszeniu lub zupełnie nieaktualna. Codziennie jednak przybywali posłańcy z Irlandii, jak słudzy Joba uginali się pod brzemieniem złych wiadomości, zaś wojskowi lgnęli do Essexu w nadziei na awanse, ale także przyciągani magiczną siłą jego nazwiska. Zdawało się, że jest niezastąpiony. Bez najmniejszych skrupułów wykorzystywał te atuty i w końcu jego gwałtowne metody zwyciężyły. Otrzymał żadaną władzę i armię - największą armię, jaka za panowania Elżbiety opuściła brzegi Anglii, 16 000 pieszych i 1300 konnych, wystawioną przez lud uginający się od lat pod ciężarem nieustannych rekrutacji i sfinansowaną przez monarchinię, która właściwie nie wiedziała, skąd brać pieniądze.

Ten arogancki młodzieniec - mógłby być idealnym bohaterem klasycznego dramatu o hybris - z własnej winy znalazł się w straszliwej sytuacji. Elżbieta zapowiadała, że w Irlandii przekona się, iż sprawy przedstawiają się zupełnie inaczej, niż on to sobie wyobraża; nie dawał posłuchu zrzędnieniom starej kobiety. Krytykując bezlitośnie swych poprzedników narzucał sobie zadanie i w istocie z góry pozbawiał się wszelkiego usprawiedliwienia w przypadku niepowodzeń. Na radzie wojennej, w której uczestniczyli wszyscy eksperci i sama Elżbieta, poparł, ba, właściwie przeprowadził decyzję, by pierwszym i najważniejszym celem był atak na Tyrone'a w Ulsterze. Tajna Rada z niepokojącym wręcz pośpiechem spełniała wszystkie jego słuszne żądania; sprawiało to wrażenie, że dając mu pełną swobodę działania, chce mu podstawić nogę. Bez względu na wyniki cała odpowiedzialność spadała wyłącznie na niego i nie mógł się od niej uchylić. Tylko powodzenie usprawiedliwiłoby jego brutalny nacisk na królową. Elżbieta ustąpiła, ale uczyniła to w złowieszczy sposób. "Wody lecznicze" traciły skuteczność.

W miarę jak Essex zaczynał zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji, budziły się w nim coraz większe wątpliwości. Do przyjaciela pisał: "Udaję się do Irlandii. Królowa

nieodwołalnie tak postanowiła, Rada gorąco tego zażądała, a teraz honor nie pozwala mi zwijać chorągiewki.” Gdyby w tym momencie się wykręcił, a Irlandia została stracona, to jeśli nawet stałoby się to ze zrządzenia losu, winę zrzucano by na niego. Dostrzegał również złe strony swej nieobecności na dworze, ułatwiającej wrogom intrygowanie przeciw niemu, szczególnie przy królowej, która nieprzychylnym okiem patrzyła na ludzi cieszących się wielką popularnością.”Zbyt wiele niepowodzeń byłoby rzeczą niebezpieczną: tego niech się boją ci, którzy gotowi są żyć po utracie honoru. Zbytne powodzenie budzi zawiść: nigdy nie wyrzeknę się cnoty z obawy przed ostracyzmem.” „Oto moje osobiste problemy i conocne rozmyślenia.”

Bardzo jasny obraz sytuacji daje list z przestrogi wysłany z dworu królewskiego przez przyjaciela do Johna Haringtona, oficera udającego się do Irlandii:”Zapamiętaj moją radę. Przyglądaj się bacznie człowiekowi, który wydaje rozkazy, a sam je otrzymuje; nie po to się wybiera, by służyć królowej, lecz by się zemścić. Zachowuj się ostrożnie; nie zdradzaj swych myśli przed pierwszym lepszym. Nie mówię tego bez podstaw. Essex ma wrogów, ale ma także przyjaciół.” Ludzie zostali specjalnie wysłani, ”by donosili nam tu w kraju o każdym waszym kroku”. Jeśli Lord Namiestnik spisze się na polu bitwy tak, jak obiecał na Radzie, to wszystko będzie w porządku; ale choć królowa wybaczyła mu niedawne zachowanie w jej obecności, nie wiemy, co o tym sądzić. Ona na pozór ufa człowiekowi, który jeszcze niedawno mógł się spodziewać innego potraktowania: raz myślimy jedno, kiedy indziej co innego. Jakie będą losy Lorda Namiestnika, wie tylko Ten, który wie wszystko; ale kto z nas może przewidzieć, jaki koniec spotka człowieka, który ma tylu jawnych przyjaciół i tylu niejawnych wrogów?” „Bądź we wszystkim posłuszny Lordowi Namiestnikowi, ale nie wypowiadaj swego zdania; może być usłyszane w Anglii.” „Sir William Knollys nie jest za bardzo zadowolony, królowa nie jest za bardzo zadowolona, może Lord Namiestnik jest obecnie zadowolony, lecz wielce się obawiam tego, co może się zdarzyć.” „Niebezpieczeństwo dociera daleko, milczenie jest najlepszym pancierzem.”

Dwudziestego siódmego marca 1599 roku Essex dosiadł konia na Seething Lane i z wielką świtą arystokratów i szlachciców, sam skromnie odziany, przejechał przez Londyn w drodze do Chester. Ludzie zbierali się tłumnie wzdłuż ulic i gościńców wołając:”Boże5 błogosław naszemu lordowi!” Ich nadzieje wyraził Szekspir:

Gdyby namiestnik wdzięcznej pani naszej Z Irlandii wrócił (a da Bóg, że wróci), Na szabli ostrzu niosąc bunt przebity, Ileż tysięcy ze spokojnych ulic Biegłoby witać drogiego zwycięzcę?

(Przeł. Leon Ulrich)

Zanim jednak minęli Islington, na niebie pojawiła się wielka czarna chmura, nagle rozległy się grzmoty, rozpały się błyskawice i spadł grad, co "niektórzy uważali za szczególnie zły omen".

Nieporozumienia zaczęły się od nowa, nim dotarli do Chester. Ktoś robił w liście uwagi o niedoświadczonej młodzieży pchającej się do najwyższych stanowisk w armii. Essex chciał mieć przy sobie wszystkich koleżków, żeby to była "rodzinna wyprawa". Jego własna świta, a nie narodowa armia. Leżało to w jego naturze i nie musiało wcale świadczyć o jakichś podejrzanym zamiarach, lecz dalekowzroczna Elżbieta zbyt wiele miała doświadczenia, by nie dostrzec niebezpieczeństwa. Essexowi zależało na dwóch ważnych nominacjach. Chciał, by dowódcą jazdy został jego kuzyn hrabia Southampton, lekkomyślny młodzieniec, który niedawno uwiódł i ożenił się z jedną z panien dworu, wciąż jeszcze będący w niełasce za swe przewinienie. Wiedział, że Elżbieta się sprzeciwi, postanowił więc siedzieć cicho, aż otrzyma nominację, która umożliwi mu obsadzenie wszystkich stanowisk, bo wtedy - jak to sam powiedział - "jeśli pokłóci się ze mną, popełni wielki błąd, moja zaś stanowczość okaże się tym słuszniej". Elżbieta zwęszyła jego zamiary i założyła weto. Essex postanowił poczekać, aż znajdzie się w Irlandii, i wtedy rzucić wyzwanie monarchini. Drugą prawą ręką miał być jego ojczym, sir Christopher Blount, człowiek młody, w jego wieku, całkowicie mu uległy, podobnie jak Southampton. Mianował go dowódcą armii i to Elżbieta zatwierdziła, kiedy jednak postanowił go wprowadzić do irlandzkiej Rady - nie leżało to w jego kompetencji - Elżbieta się nie zgodziła, i słuszenie. Spróbował wówczas samowolnie sprawę rozstrzygnąć oświadczając, że odsyła Blounta i sam obejmuje stanowisko dowódcy armii, a jednocześnie prosi o zwolnienie z naczelnego dowództwa. "Prosiłem Najjaśniejszą Panią, by przyznała to z dobrej woli - pisał do Rady - lecz albo przemawiałem językiem, który nie został zrozumiany, albo do bogini, która nie raczyła wysłuchać modlitw... Widzę jednak, że choćbym nie wiadomo jak prosił, nie odniesie to skutku." Tym razem musiał skapitulować. Opuścił Anglię w ponurym usposobieniu, prosząc Radę, by go raczej żałowała, niż spodziewała się po nim niezwykłych sukcesów. Tracił pewność siebie. Być może już wtedy obawiał się starcia z Tyrone'em, jakby przeczuwał, że będzie to jego Rubikon.

Znalazszy się w Irlandii, ten człowiek, który nie był w stanie przyjąć porady królowej, uległ namowom Rady irlandzkiej, by odłożyć główne operacje w Ulsterze na czerwiec, kiedy będzie świeża pasza i utuczone bydło dla armii, a tymczasem rozpocząć kampanię w Leinster. Może to było słuszenie, ale w takim razie pozostanie tajemnicą, jak najtęższe głowy Anglii mogły przeoczyć równie istotny argument. Nie czekając na

zatwierdzenie tej zasadniczej zmiany planu przez królową i jej Radę, Essex wyruszył. W przeddzień pasował na rycerzy dwóch swych ludzi, chociaż instrukcje zalecały mu bardzo oszczędne korzystanie z tego przywileju, i to jedynie w przypadku oczywistej zasługi. Ale to był tylko początek szafowania tym zaszczytem w sposób wyzywający, rozrzutny i groźny. Między innymi nobilitował urzędnika, który zbiegł do wojska i podobnie jak wszyscy winni tego wykroczenia otrzymał rozkaz powrotu do domu! Mianował również Southamptona dowódcą jazdy. Elżbieta po pewnym czasie dowiedziała się o tym, ale gdy to nastąpiło, wydała rozkaz zdjęcia Southamptona ze stanowiska. Essex nie wykonał rozkazu, gdyż, jak oświadczył, okryłby się hańbą, co wywołałoby niezadowolenie w armii, „która i tak już martwi się o mnie”, i dodało otuchy rebeliantom.

Elżbieta trafnie przyrównała ekspedycję leinsterską do szlaku okrętu na morzu: rebelianci, jak wody oceanu, rozstępowali się przed Essexem i natychmiast po jego przejściu zwierali szeregi. Szedł na oślep za mirażem jakiegoś bohaterskiego wyczynu i z Larnster dał się zwabić do Munster, o czym dotąd w ogóle nie było mowy. Skończył się czerwiec, a miał to być miesiąc kampanii w Ulsterze. Na dworze powtarzano złośliwą uwagę królowej, że wypłaca Essexowi tysiąc funtów dziennie na jego królewski objazd Irlandii. W połowie lipca wrócił do Dublina z armią zmęczoną i w stanie rozkładu. Na koncie miał jedynie zdobycie jakiegoś nędznego zameczku, który w rok potem został odbity przez sześćdziesięciu żołnierzy i po tym skapitulował przed samymi pogrózkami.

Straszliwe poczucie klęski, od miesięcy przeczuwanej, zawładnęło Essexem. Zawodziły siły duchowe i fizyczne. Zaślepiiony pychą nie widział swych wad, zaś mania prześladowcza wyhodowana na pożywcze despotycznej zawiści, pobudzona teraz wiadomością o nominacji Cecila na przełożonego Izby Dochodów Lennych Króla, kazała mu wszystkie kłopoty przypisywać machinacjom wrogów na dworze królewskim. Dwa tygodnie przed powrotem do Dublina pisał do Elżbiety: „Po cóż jednak mówię o zwycięstwie czy powodzeniu? Czyż nie wiadomo, że w Anglii mogę się spodziewać jedynie przykrości i ran serdecznych? Czy nie mówi się w armii, że straciłem łaskę Waszej Miłości i że już źle życzysz mnie i wojsku... Czyż najwierniejsi poddani Waszej Miłości tu i w kraju nie załamują rąk nad tym, że jakiś Cobham lub jakiś Raleigh - nie wspomnę o innych ze względu na stanowiska, jakie zajmują - cieszą się wielkim zaufaniem i łaskami Najjaśniejszej Pani, choć pragną niepowodzenia Twego najważniejszego przedsięwzięcia, rozkładu Twojej największej siły, ruiny Twych najwierniejszych sług? Tak, tak, widzę już wyraźnie moje przeznaczenie i postanowienia Waszej Miłości i posłusznie godzę się z pierwszym i podporządkuję drugim. Pozwól mi służąc uczciwie i z całego serca zakończyć żmudny żywot.” Radzie

powiedział: "Dla tej służby wyposażylem się w napierśnik, a nie w kirys, to znaczy osłonięta jest ma pierś, lecz nie plecy."

Elżbieta dała upust wezbranym falom gniewu. Napisała do Essexu, że co prawda wrócił do Dublina, lecz niewiele pisze o swych planach głównej operacji przeciw Ulsterowi. Być może ona mogłaby uznać jego własne wysiłki za zadowalające, niechże jednak zrozumie, że zagraniczni władcy nie spuszczaają jej poczynań z oczu, że to ona musi podnosić na duchu i pocieszać lud jęczący pod brzemieniem nieustannych poborów i podatków, jakże więc ma się radować tym, co dotąd zostało osiągnięte? A jeszcze bardziej niż rujnujące wydatki martwi ją, że "królowej Anglii, która potrafiła ukorzyć swego największego wroga, przypadł taki los, że dzięki niej ten nędzny chłop z głuszy - Tyrone - zyskał reputację słynnego buntownika".

Przypomniała mu, że złamał dyscyplinę; zgodnie z instrukcjami miał po przybyciu na miejsce przesłać jej raport o organizacji swego wojska, ona jednak wciąż jeszcze nie wie, kto wydaje jej pieniądze i kto zajmuje wyższe stanowiska w jej armii, i musi polegać na pogłoskach. Dziwne to zaiste, że w sytuacji groźnej dla państwa, w kraju, gdzie tak wysoko ceni się doświadczenie, pułki powierza się młodym paniczom, "którzy chcieliby się popisać, ale nie wiedzą, jak to zrobić". Nie wystarczy - ciągnęła - że otrzymał wszystko, co zostało ustalone przed jego wyjazdem, i nawet więcej, lecz musi jeszcze swoim postępowaniem stwarzać preteksty do pogłosek, że jest taki człowiek - Essex - który śmie lekceważyć sobie jej niezadowolenie licząc na dawną pobłażliwość i przyszlą sławę. "Nie będziemy więc przed tobą ukrywać, że choć bardzo cenimy twoje zalety, nasz honor nie pozwala nam dłużej pozostawiać tej sprawy nie wyjaśnionej.", "Kimkolwiek są ludzie, których obdarzyłeś zaszczytami i stanowiskami, jeśli mogą wzbudzić najmniejsze podejrzenie, że lekceważysz sobie nasze rozkazy lub ich nie wykonujesz, nie zawahamy się ani przez chwilę rzucić taki cień, który szybko zaćmi wszelkie blaski." Przechodząc do konkretnej sprawy nominacji Southamptona, skarciła Essexu za to, że wyobraża sobie, iż osobistymi argumentami i dla swej własnej chwały uda mu się coś załatwić wbrew jej jasno wyrażonemu zdaniu. Wspomniał, że szlachta ochotnicy zdezerterują i wrócą do domu, jeśli poniży Southamptona. Odpowiedziała surowo, że nie wierzy, by ci ludzie służyli z przywiązania do Southamptona lub do niego, a nie z miłości do niej i z poczucia obowiązku. "Wody lecznicze" całkowicie straciły skuteczność!

Nim jeszcze list ten dotarł do niego i nim władze w kraju miały szansę wypowiedzenia się co do jego planów, Essex - marnując czas i ludzi - przystąpił do kolejnej błahej kampanii w Leinster. Elżbieta w ostrym liście rozkazała mu niezwłocznie uderzyć na Tyrone'a i aby nie mógł porzucić stanowiska pod pretekstem udziału w wielkich przygotowaniach czynionych

właśnie w Anglii przeciw "Niewidzialnej Armadzie" - inwazji, która nie doszła do skutku - stanowczo zabroniła mu wracać do kraju bez jej pozwolenia. Zażądał dodatkowych wojsk, prawdopodobnie spodziewając się odmowy. Otrzymał je. Próbował raz jeszcze, bardziej bezczelnie, wykręcić się z kampanii w Ulsterze; Elżbieta w jadowym liście potwierdziła swe rozkazy. Kiedy w tym właśnie czasie jeden z jej dowódców poniósł wielką klęskę, ona, "jak przystało na monarchę", nie tracąc czasu na daremny żal, zauważyła tylko z goryczą, że nie odniesie prawdziwego zwycięstwa człowiek, który nigdy nie słucha mądrych rad.

Essex był chory. Cierpiał bodaj na kamicę i podobne dolegliwości. Znalazł się w żalostnej sytuacji: postawił na jedną kartę, ryzykował chwałę lub klęskę i teraz klęska zaglądała mu w oczy. Prawie trzy czwarte swej armii zamknął w garnizonach, popełniając na wielką skalę ten właśnie błąd, który wytykał innym. Miał ruszyć na Tyrone'a, lecz nie mógł liczyć na zwycięstwo. Człowiek o jego usposobieniu musi albo się załamać, albo stracić wszelki umiar. Wybrał drugą możliwość. Zapomniał o honorze, obowiązku, posłuszeństwie. Potajemnie pchnął posłańca do Tyrone'a - jeśli nie w innym celu, to na pewno by przygotować pertraktacje zamiast bitwy. Korzystając z przysługującego mu prawa darowania kary za zdradę główną, zastosował je wobec posłańca i swego ojczyma Blounta, który miał wziąć na siebie odpowiedzialność, gdyby sprawa wyszła na jaw. Tyrone odpowiedział, że jeśli hrabia posłucha jego rady, on go uczyni największym człowiekiem, jakiego Anglia kiedykolwiek miała. Głos kusiciela dotarł do uszu gotowych go wysłuchać.

Essex uznał, że musi zlekceważyć rozkaz swego suwerena i wrócić do Anglii. Miał zamiar zabrać ze sobą jakieś trzy tysiące żołnierzy, wylądować w Walii, gdzie posiadał licznych zwolenników, i pomaszerować na dwór, nie po to, by obalić królową - w szesnastym wieku myśl taka, choć nie jej urzeczywistnienie, była czymś strasznym - lecz by przepędzić "jego wrogów" sprzed jej oblicza i ich zniszczyć. Ukazanie się w pierwszych miesiącach roku Żywota Henryka IV pióra Johna Haywarda, dedykowanego Essexowi "bestsellera" opisującego lądowanie Bolingbroke'a w Anglii i detronizację Ryszarda II, wywołało różne domysły. Teraz domysły te były bardziej uzasadnione. Po pierwszych miesiącach w Irlandii, kiedy Essex bezczelnie nadużył swego prawa do nobilitowania, Elżbieta posłała mu "list ekspresowy, cały napisany własnoręcznie", w którym kategorycznie zabraniała dalszych nobilitacji. Mimo to w sierpniu i wrześniu nobilitował trzydziestu ośmiu swych podwładnych! Anglia oniemiała ze zdumienia; on jednak przygotowywał sobie kompanię młodych śmiałków, którzy będą mu towarzyszyli w tym desperackim przedsięwzięciu. W największej tajemnicy podzielił się zdradzieckimi planami z Blountem i Southamptonem. Obaj przeciwstawili się temu obłądnemu pomysłowi. Przyznawali, że jest

rzeczą niezwykle ważną, by wrócił do Anglii, podsuwali myśl, by wziął ze sobą "właściwą liczbę" doborowych towarzyszy, którzy w przypadku nieprzychylności królowej uratują go od więzienia lub jakiegokolwiek innego niebezpieczeństwa groźniejszego niż areszt domowy u któregoś z członków Rady. Essex musiał przyjąć proponowaną przez nich alternatywę, bo bez ich zgody i pomocy nie mógł liczyć na przeprowadzenie armii do Anglii.

Tak więc plan został zredukowany do próby ucieczki od pokus wojskowej sławy i do powrotu w sposób uczciwy lub, jeśli to się okaże niemożliwe, nieuczciwy na mniej niebezpieczną drogę zaszczytów cywilnych. Przedtem jednak musiał Essex zobaczyć "dumnego buntownika" Tyrone'a. Pragnąc przygotować królową na tę śmieszną mysz, którą miała urodzić góra jego trudów, i być może - jak podejrzewała Elżbieta - po to, by ją postraszyć, że on ma po swej stronie armię, zwołał zebranie oficerów, którzy podpisali rezolucję przeciw kampanii w Ulsterze. Dziś postępowanie takie moglibyśmy uznać za rozsądne, wówczas jednak świadczyło o niezwyklej bezczelności.

Czternastego września Elżbieta napisała druzgocący list. Wszystkie krytyki, przechwałki, twierdzenia i obietnice Essex'a poczynione w Anglii obróciły się teraz przeciw niemu. Szczegółowo opisała jego nieustanne unikanie operacji przeciw Tyrone'owi. Twoje postępowanie jest źródłem wszystkich twoich kłopotów - pisała. "Jeśli powodem jest choroba w armii, to dlaczego nie przystąpiono do działań, gdy armia była w lepszym stanie? Jeśli nadchodzi zima, to dlaczego zmarnowano miesiące letnie, lipiec i sierpień? Jeśli na wiosnę było za wcześnie, lato stracono na coś innego, jeśli jesień, która potem nastąpiła, nie została na nic wykorzystana, to niechybnie musimy dojść do wniosku, że żadna z czterech pór roku ci nie odpowiada, podobnie jak decyzja Rady, by atakować Tyrone'a, na którą się powołujemy." Nie może być mowy o ignorancji tego dowodzą wszystkie jego oświadczenia złożone w Anglii. Nie może być mowy o braku środków: "Miałeś wszystko, czego sobie zażyczyłeś; mogłeś sobie wybrać dogodny czas, miałeś władzę rozleglejszą, niż ktokolwiek dotąd miał lub mieć będzie kiedykolwiek." Pisał, że w Irlandii sytuacja jest teraz gorsza niż wtedy, gdy tam przybył. "Każdy, kto będzie pisał historię tegorocznych działań, będzie musiał przyznać, że wystawiliśmy nasze królestwo na wielkie niebezpieczeństwo, a ty dołożyłeś wielu starań, by przygotować się do licznych zadań, z których nic nie wychodzi, jeśli się ich nie podejmie."

Zanim jeszcze Elżbieta napisała ten list, żałosna farsa, która w ciągu siedmiu miesięcy kosztowała ją 300 000 funtów, dobiegła końca. Essex wyruszył przeciw Tyrone'owi z niedużą armią, upozorował przygotowania do bitwy, po czym 7 września spotkał się przy przeprowie z przywódcą rebeliantów i przez pół godziny rozmawiał z nim w cztery oczy; tamten bez nakrycia głowy tkwił w wodzie sięgającej koniowi po brzuch, gdy sam Essex



pozostawał na przeciwnym brzegu. Southampton miał dopilnować, by nikt ich nie podsłuchał, podobno jednak trzech żołnierzy wysłuchało z ukrycia rozmowę i meldunki ich dotarły później do królowej. Essex zapewne wtajemniczył Tyrone'a w swe desperackie plany, ten zaś obiecał mu w razie potrzeby pomoc. Mogły nawet przy tej okazji paść obłąkane słowa, że jeden z nich zostanie królem Anglii, drugi zaś wicekrólem Irlandii. Na razie Tyrone sformułował warunki pokoju, które sprowadzały się mniej więcej do hasła: "Irlandia dla Irlandczyków", Essex zaś obiecał, że osobiście powtórzy je królowej. Uzgodniono zawieszenie broni i armia wróciła do Dublina. Essex bodaj otrzymał kolejny ostry list od królowej, krytykujący jego konszachty z Tyrone'em i wyrażający zdziwienie, że tak powściągliwie o nich donosi. Dwudziestego czwartego września niespodziewanie zawiadomił Radę irlandzką, że wraca do Anglii i zabiera ze sobą "odpowiednią liczbę" wybranych żołnierzy, i po półgodzinie ruszył w drogę.

W piątek 28 rano, pozostawiwszy swą eskortę w Londynie, by w razie potrzeby przysłała mu z odsieczą, Essex pośpiesznie udał się do pałacu Nonsuch, gdzie przebywał dwór. Dotarł tam o dziesiątej przed południem. Cały zablocony poszedł prosto przez salę audiencjonalną i komnaty królewskie do sypialni i wdarł się w chwili, gdy Elżbieta, jeszcze nie uczesana, się ubierała. Nie darmo poznała mądrość węża. Przez cały czas wiedziała dużo o tym, co się ESSEX. NEMEZIS dzieje, podejrzewała więcej. Być może miała już jakieś informacje o jego planach; w każdym razie swym zachowaniem krzyżowała je znakomicie. Nie zdradziła, co myśli, i Essex wyszedł dziękując Bogu, że po wszystkich kłopotach i burzach, które przeżył za granicą, zastał w kraju spokój. Umył się, przebrał i ponownie zobaczył się z nią: niebo wciąż jeszcze było czyste. Przy obiedzie otoczyli go przyjaciele. Agent sir Roberta Sidneya pisał z dworu: "Jak pragnę Boga, czas jest tu bardzo niebezpieczny, bo przywódcy obu stronnictw są na miejscu i nie wiadomo, jak się wobec nich zachować." Po południu jednak, po rozmowie z Cecilem, Elżbieta oceniwszy własne i Essex'a siły, przybrała minę sędziego i kazała mu się wytłumaczyć z zachowania przed Radą. Do późnego wieczora nie ograniczono mu swobody ruchów; potem otrzymał jedynie zakaz opuszczania swej komnaty. Minęły dwa dni. W poniedziałek dostał polecenie opuszczenia dworu. Znalazł się w areszcie domowym u swego przyjaciela Lorda Strażnika Pieczęci Egertona. Narwańcom dano czas na oprzytomnienie, kara zaś była mniejsza od tej, która miała stanowić sygnał do uwolnienia go siłą.

Kilka dni później Elżbieta, która w swym ostatnim liście napisała do Essex'a, że "zaufać przysiędze tego zdrajcy (Tyrone'a) to tyle, co zaufać diabłu, gdy klnie się na swą religię", powiedziała z gniewem ambasadorowi francuskiemu, że pomysł ułaskawienia

irlandzkich rebeliantów nie był jej, lecz „niejakiego Monsieur d’Essex”. Ona mu pokaże, że jest bezsilny. Gdyby to jej syn popełnił taki błąd, zamknęłaby go w najwyższej wieży w Anglii; Świat jednak nie doceniał jej gniewu i z dnia na dzień spodziewano się, że więzień wyjdzie na wolność. Dobrze, że tak właśnie było. W Londynie roilo się od rycerzy, kapitanów, oficerów i żołnierzy, którzy zdezerterowali z armii irlandzkiej pozostawiając za sobą niebezpieczny bałagan. Opętani byli wściekłą nienawiścią do Cecila, Raleigha i innych członków stronnictwa przeciwnego, tą nienawiścią, która była załączkiem obłędu ich przywódcy. Podobno rankiem 28 września jeden z rycerzy zaofiarował się, że zamorduje lorda Greya, by nie mógł się zjawić na dworze przed Essexem; pił w szynku zdrowie swego bohatera i za śmierć jego wrogów, grożąc swemu towarzyszowi, że go zasztyletuje, jeśli z nim nie wypije toastu.

Ci ludzie łatwo mogli podburzyć mieszkańców Londynu. Przecież Essex był ich ulubieńcem. Tysiącami przybywali, by zobaczyć go podczas jego rozrywek i zawodów strzeleckich. Ogromnie się cieszył i szczyił ich pochwałami. Elżbieta musiała się z tym liczyć. Jeśli żądza popularności była grzechem, to ona była największą grzesznicą na świecie, a teraz walczyła o swą duszę. Co prawda zaślepieni ludzie przysięgali, że kochają swoją Elżbietę i swego Essex’a, winę za jego niepowodzenia zrzucając na Cecila i jego bliskich, ale ją przeszywały strzały nienawiści wymierzone w Cecila. Była zaniepokojona i rozgniewana. Żona Southamptona i lady Rich uznały za stosowne opuścić Essex House i przeniosły się na wieś, uciekając przed tłumami, które się u nich zbierały. Ciotka Cecila, stara lady Russell, opatrująca swe listy cytatami z autorów klasycznych, pisała do Roberta, że w jakiejś karczmie słyszano, jak ludzie bardzo obraźliwie o nim się wyrażali, i że ona się obawia, iż dzień, w którym Essex zostanie pozbawiony wolności, będzie początkiem złych rzeczy. „Serce me smuci krzywda mej królowej; lękam się grożącego ci niebezpieczeństwa i nadciągających nieszczęść... Mogę się tylko modlić.”

Essex zachorował. Po swym upadku rozpamiętywał zapewne słowa i uczynki straszniejsze, niż sobie możemy wyobrazić, i z przerażeniem myślał o tym, że mogą wyjść na jaw. Elżbieta posłała swego lekarza i pozwoliła mu korzystać z ogrodu w domu Egertona. Miała w ręku dowody pozwalające się domyślać jego zdradzieckich stosunków z Tyrone’em, ale nawet wtedy, gdy wiedziała już więcej o jego knowaniach, utrzymała je w tajemnicy przed Radą. Piętnaście miesięcy później powiedziała ambasadorowi francuskiemu, że kierowała się wiarą w poprawę Essex’a. Wciąż jeszcze próbowała ujarzmić swego rasowego rumaka w imię jego zalet. W ramach jednak tej niezmiennej polityki jej uczucia zmieniały kierunek jak zmienny wiatr, niekiedy z gwałtownością huraganu. W tydzień po tym, jak

posłała swego lekarza do Essexu, wrócił sir John Harington z irlandzkim patentem szlacheckim, symbolem wierności rywalowi. Na myśl, że Essex podstępnie odebrał jej uczucia syna chrzestnego, przestała panować nad sobą. Gdy klęknął przed nią, chwyciła go za pas i zawołała: „Na Syna Bożego! Nie jestem królową! Ten człowiek jest nade mną. Kto ci kazał wracać tak prędko? Posłałam cię z innym zadaniem.” „Wracaj!” „Nie czekałem na powtórzenie rozkazu - opowiada Harington. - Gdyby wszyscy buntownicy irlandzcy deptali mi po piętach, nie pędziłbym tak, bo teraz uciekałem od osoby, którą kochałem i której się bałem.”

Stan Essexu się pogorszył; rosło powszechne podniecenie. Na dworze, w Londynie i w całym kraju rozrzucano niebezpieczne ulotki, po szynkach toczono groźne rozmowy. Dwudziestego dziewiątego listopada, na zakończenie terminów sądowych, kiedy Lord Strażnik Pieczęci wygłaszał tradycyjne przemówienie w Izbie Gwiazdowej, zebrał się okazały tłum ludzi i czterech głównych doradców wygłosili długie mowy w obronie królowej, atakując plotki i oszczerstwa oraz opisując błędy i przewinienia Essexu. W tydzień później stan chorego się pogorszył. Elżbieta poczuła litość i zamówiła konsylium ośmiu lekarzy. Posłała Essexowi rosół, kazała mu uważać na siebie i dodała, że odwiedziłaby go osobiście, gdyby to tylko było możliwe. Miała łzy w oczach. Dziewiętnastego rozeszła się pogłoska, że Essex zmarł; uderzono w dzwony. Duchowni modlili się za niego: „Okaż łaskawie swe miłosierdzie temu szlachetnemu Barakowi, jwemu słudze, hrabiemu Essex, wzmocnij go w duszy przeciw wszystkim jego wrogom... I gdy uznasz to za właściwe, przywróć mu zdrowie oraz łaskę jego i naszej monarchini dla Twojej chwały, dla dobra naszego Kościoła i Państwa, na złość i postrach wszystkim przewrotnym Edomitom, którzy żywią złe zamysły wobec Syjonu i”wołają do murów Jerozolimy:”Zburzyć je natychmiast i doszczętnie.” „Ludzie zaczęli wypisywać obelżywe słowa o Ceciliu nawet na ścianach pałacu królewskiego. Na drzwiach jego domu napisano:”Tu leży Ropucha.” Duchownym nakazano milczenie. Życzliwość Elżbiety ochłodziła, a serce jej stwardniało.

Bacon, który był teraz jednym z doradców prawnych królowej, próbował odwieść ją od zamiaru obrony jej polityki w Izbie Gwiazdowej, tłumacząc, że opinia publiczna jest po stronie Essexu i że lepiej będzie, jeśli sprawę załatwi się bez rozgłosu. Nawet Machiavelli nie potrafiłby sprytniej rozdrapywać rany królowej; nie przeszkodziło to wcale Dziecięciu Mądrości utrzymywać później, że uwaga ta płynęła z życzliwości dla Essexu! Jego diagnoza była słuszna, lecz Elżbieta okazała się nieustępliwa. Postanowiła się bronić i urządzić Essexowi proces publiczny w Izbie Gwiazdowej, nie po to, jak powtarzała, by go zniszczyć, lecz by go sprowadzić na dobrą drogę. Bacon ponownie doradzał, tym razem słowami głowy

spizowej braciszka Bacona:”Czas jest, czas był i czas minął.”„Już za późno, sprawa jest przegrana, stała się zbyt głośna.” Robert Cecil, albo niesłusznie szkalowany przez oszczerców, albo lepiej niż jakikolwiek inny polityk jego czasów umiejący ukryć swe myśli - prawdy nigdy nie dojdziemy - również był przeciwny procesowi. Essex ze swej strony napisał do królowej, pokornie zdając się na jej wolę i modląc się, by ominął go kielich. Niechętnie, wahając się do ostatniej chwili, Elżbieta odroczyła własną obronę na inny czas i odwołała proces. Essex dziękował za jej nieskończoną dobroć:”Bóg mi świadkiem, że szczerze ślubuję poświęcić resztę mego życia jej Królewskiej Mości i nie zajmować się żadną inną doczesną rzeczą.” Bóg był również świadkiem innych jego myśli, które z czasem dopiero zostały ujawnione.

Działo się to w lutym 1600 roku. Wtedy właśnie, a może w ciągu następnych kilku miesięcy Raleigh napisał oburzający, lecz mądry list do Cecila:”Nie jestem dość mądry, by tobie radzić, jeśli jednak posłuchasz kogokolwiek i zmiękniesz w stosunku do tego despoty, to pożałujesz, gdy już będzie za późno. Jego złośliwość jest niezmienna i nie ulotni się tylko dlatego, że okażesz mu serce, bo zmianę tę przypisze małoduszności Najjaśniejszej Pani, a nie twojej dobroci, wie on dobrze, że twym postępowaniem rządzą jej zachcianki, a nie twoja miłość do niego. Im bardziej go poniżysz, tym mniejszą będzie mógł wyrządzić szkodę tobie i twoim; i jeśli straci łaskę Najjaśniejszej Pani, stanie się znowu zwykłym człowiekiem... Nie trać swej przewagi. Jeśli ją stracisz, to już widzę, jaki los ciebie czeka:” W dopisku dodał: On będzie zawsze rakiem toczącym majątek i bezpieczeństwo królowej.”Jeśli wyjdzie na wolność, będę świadkiem kresu jej i naszych szczęśliwych dni.”

W marcu pozwolono Essexowi wrócić do domu i ustanowiono nad nim nadzór. W maju jednak jakiś przedsiębiorczy drukarz czy też nieodpowiedzialni przyjaciele wyrządzili mu złą przysługę ogłaszając pamflet napisany przez niego w 1598 roku i znany jako Apologia, który miał na celu podnieść na duchu admiratorów Essexu, szczególnie”ludzi czynu”. Szczytową zaś bezczelnością było wydrukowanie jako załącznika zuchwałego listu lady Rich do królowej w obronie brata. W tym samym mniej więcej czasie ktoś ogłosił straszliwy list Essexu do Lorda Strażnika Pieczęci Egertona, napisany w chwili największego gniewu po spoliczkowaniu w 1598 roku. Jeśli zrobili to wrogowie, czyn ich należy uznać za podłość, jeśli przyjaciele, jak utrzymywał Bacon i co w zasadzie jest bardziej prawdopodobne - za podburzanie do zdrady. Essex był w rozpacz. Napisał szalony list do królowej:”Jak ścierwo martwe rzucone w ką, jestem szarpany i pożerany przez najpodlejsze kreatury na ziemi. Bełkocący pijaczek z szynku mówi o mnie, co mu się spodoba; paszkwilant pisze, co chce; drukują mnie i przemawiają w moim imieniu do świata i wkrótce będą mnie

przedstawić na scenie. Nawet najdrobniejsza z tych rzeczy gorsza jest dla mnie od śmierci, ale to jeszcze nie jest najgorsze, Ty bowiem, która chroniłaś przed pogardą i zniesławieniem wszystkich swych ulubieńców, tylko nie Essex... teraz, po ośmiu miesiącach mego przebywania pod ścisłą strażą, odrzucasz me listy, nie chcesz mnie wysłuchać, a tak przecież nie postępowałaś nigdy, nawet wobec zdrajców. Pozostaje mi tylko błagać Cię, byś położyła kres mej karze, mej doli, memu życiu.”

Sytuacja stawała się niemożliwa. Elżbieta, która wbrew nakazom rozumu zrezygnowała z procesu, była szczególnie zirytowana oszczerzami i pozornie usprawiedliwionymi pogłoskami, że Essex skazano nie dopuszczając go do głosu. Postanowiła się oczyścić z podobnych zarzutów. Piątego czerwca Essex stanął przed specjalną komisją złożoną z doradców i innych oraz przed dobraną publicznością. Zdecydował się na taktykę pełnej kapitulacji, zaś członkowie komisji postanowili unikać wszelkiej wzmianki o zarzucie nielojalności. Elżbieta wciąż jeszcze chciała zostawić Essexowi drogę otwartą do poprawy i umożliwić mu powrót do służby. Rzecznik Finansów Korony Coke omal nie storpedował całej gry niezmiennymi inwektywami, lecz Essex, wspomagany przez sędziów, opanował swój wybuchowy charakter i okazał uległość:”Łzy płynące prosto z serca - powiedział - zgasiły w nim iskry pychy.” Nagana lub też wyrok sądu zawieszał go w sprawowaniu wszystkich urzędów i przedłużał uwięzienie do czasu, gdy królowa w swym miłosierdziu daruje mu karę.”Najżałośniejszy i najsmutniejszy widok przedstawiał ten człowiek, który był ulubieńcem Fortuny, a teraz stał się niegodny najpośledniejszego zaszczytu.” Wielu spośród obecnych płakało nad jego straszliwym upadkiem. Po dziewięciu dniach Lord Strażnik Pieczęci ponownie przemawiał w Izbie Gwiazdzistej w obronie królowej. Jest w Londynie - powiedział - kompania szlachciców - nie, nie są to szlachcice, lecz ludzie, którzy”nabrali tupetu” i żyją z miecza lub sprytu - podburzających do zdrady i szkalujących postępowanie królowej.

Jakieś drobne incydenty opóźniały zamierzony akt miłosierdzia, lecz na początku lipca cofnięto nadzór nad Essexem i pod koniec sierpnia był już na wolności; odtąd mógł się poruszać swobodnie i tylko nie wolno mu było bywać na dworze. Zabrał się teraz do pisania uwodzicielskich listów, które miały mu drogę na dwór utorować:”Spiesz, kartko, przed oblicze szczęśliwe, sprzed którego ja nieszczęsny jestem wygnany! Ucałuj tę piękną karzącą ręką, która teraz okłada plastrami moje lżejsze rany, lecz największą się nie zajmuje. Powiedz, że przybywasz od zawstydzonego, cierpiącego, zrozpaczonego Essexu.” „Słowa, wyrażcie, jeśli potraficie, moją najgłębszą wdzięczność; lecz nie naciskajcie, nie skarżcie się, nie wzruszajcie dając posłuch uczuciom, bo, uczucia, wy też możecie mnie zdradzić.

Donieście o moim milczeniu, mojej samotności, mych westchnieniach, ale nie o mych nadziejach, obawach, pragnieniach; największym bowiem moim pragnieniem jest być niemową przy tej, której obecność budzi radość i podziw odbierające mowę.”

Na jeden z tych listów Elżbieta przekazała ustną odpowiedź, „że wdzięczność jest zawsze mile widziana i rzadko bywa nie w porę” i że Essex słusznie postępuje, tak pokornie przyjmując do wiadomości, iż wszystko, co zostało zrobione, było dla jego dobra pomyślane. Lady Scrope, jedna z dam dworu, przedstawiła inny list, który Elżbieta przeczytała dwukrotnie lub trzykrotnie, jak się zdaje, z największym zadowoleniem. Lady Scrope wyraziła wówczas nadzieję, że królowa przywróci do łask człowieka, który z tak prawdziwą skruchą tego pragnie. Elżbieta nie odezwała się, westchnęła tylko: „Tak zaiste było”, po czym wstała i udała się na swe pokoje. Przed miesiącem lub dwoma, podczas przedstawienia weselnego, kiedy jedna z aktorek, Mary Fitton, podeszła i poprosiła królową do tańca, Elżbieta zapytała, jaką ona przedstawia postać. „Czułość” - odpowiedziała Mary Fitton. „Czułość! - rzekła królowa. - Czułość jest fałszywa.”

Czułość była fałszywa. Przez te wszystkie miesiące Essex snuł nadal te same zdradzieckie myśli, które opętały go w Irlandii. Po powrocie do Anglii związał się z hrabią Southampton i lordem Mountjoy. Pod koniec października, kiedy obawiano się, że Essex zostanie osadzony w Tower, ci dwaj i inni nakłaniali go do ucieczki. Odpowiedział, że jeśli nie mogą wymyślić nic lepszego od nędznej ucieczki, to woli stawić czoło wszelkiemu niebezpieczeństwu. Nominacja Mountjoya na następcę Essexu w Irlandii niemal natychmiast stworzyła tę lepszą okazję: armia znowu była pod ich kontrolą. Nowy Lord Namiestnik przejawiał podobną mentalność jak dawni hugenoci, którzy wyobrażali sobie, że zneutralizują rebelię zyskując poparcie księcia krwi. Skomunikował się potajemnie z Jakubem VI, z którym już przedtem intrygował, obiecując mu, że jeśli wejdzie w znowu i wystawi armię, wówczas on, Mountjoy, sprowadzi z Irlandii cztery lub pięć tysięcy żołnierzy, przywróci władzę Essexowi i ogłosi Jakuba następcą tronu. Posłaniec wrócił z zadowolającą, choć ostrożną odpowiedzią, ale został schwyty i uwięziony. Elżbieta milczała. Mountjoy był już w Irlandii i przebywając z dala od swej niebezpiecznej kochanki, lady Rich, coraz bardziej wciągał się do ucziwej pracy. Był przecież zdolnym namiestnikiem.

W kwietniu Essex wysłał przez hrabiego Southampton list do Mountjoya żądając, by przerzucił swą armię i wylądował w Walii. Odmówił. Przestraszył się na wieść o aresztowaniu posłańca, a ponieważ Essex nie miał już powodów do obaw o swe życie, on nie miał zamiaru posuwać się tak daleko tylko po to, by zaspokoić osobiste ambicje przyjaciela. Plany Essexu uległy chwilowo pokrzyżowaniu, lecz pod koniec lipca znowu obmyślał sposób

zdobycia dworu siłą i ponownie zażądał od Mount joya pewnej liczby doborowych dowódców i żołnierzy, a także listu aprobującego jego spisek, by mógł szantażować królową. Spodziewał się takiego poparcia, które pozwoli mu wrócić na dwór”tak spokojnie, że nawet pies nie zaszczeka!”. Jakub był w tym czasie na obszarach przygranicznych z silną armią: nie wiadomo, czy przypadkowo. Mountjoy pokrzyżował plan doradzając cierpliwość, wobec czego Essex postanowił wzruszyć królową jako pisarz, a nie spiskowiec. Istnieją przekonujące dowody, że rząd już w sierpniu wpadł na trop tych knoń. Elżbieta jednak, jeśli nawet wiedziała, wciąż nic nie mówiła. Wzdychała tylko czytając piękne zdania spływające z pióra Czulości. Czulość była fałszywa.

Na św. Michała kończyła się dzierżawa ceł na słodkie wina, którą Essex miał od królowej. Była to podstawa jego budżetu, przynosząca znaczne dochody - większe, niż byłoby bezpiecznie powiedzieć Elżbiecie. Essex tkwił po szyję w długach u handlarzy win i gdyby oni spanikowali, jak inni wierzyciele - szczury uciekają z tonącego okrętu - doprowadziłoby to do ruiny finansowej nie tylko jego, lecz również przyjaciół, którzy żyrowali weksle. Elżbieta twierdziła, że w ciągu krótkiej kariery ‘Essexa podarowała mu 300 000 funtów, lecz królewska rozrzutność w jego własnych i jej interesach zredukowała fortunę faworyta do zera. W lipcu powiedział współkonspiratorowi, że po tym, czy królowa wznowi dzierżawę, czy też ją odbierze,”będzie mógł się zorientować, co go czeka”. Od września zaczął wspominać o tym w uwodzicielskich listach do królowej. Baconowi powiedziała, że Essex”napisał do niej kilka bardzo pokornych listów i że bardzo się tym wzruszyła, bo myślała, że płyną z nadmiaru serdeczności, lecz okazało się, że są tylko wstępem do prośby o wznowienie dzierżawy ceł na słodkie wina”. Podobno podobał się jej aforyzm jednego z lekarzy:”Im więcej karmi się ciała zepsute, tym większą wyrządza się im szkodę.” Miała również powiedzieć, że”zmarowionemu koniowi trzeba zmniejszyć obrok, by łatwiej i lepiej dał się pokierować”. Uwaga ta, bez względu na to, czy prawdziwa, wyraża myśl osoby znakomicie odgadującej tajemnice petenta i zdającej sobie sprawę, że chodzi o to, kto będzie rządził Anglią, ona czy Essex. Nie odnowiła dzierżawy d nie przyznała jej nikomu. Zachowała ją, by mógł się o nią starać nawrócony Essex, którego widziała oczami wyobraźni.

Ostatni z zachowanych listów Essexa do Elżbiety został napisany w rocznicę jej wstąpienia na tron, 17 listopada 1600 roku. Jakież był żalony! Elokwencja, nieszczęście, smutek. Serce jednak się nie ukorzyło. Szalone myśli krążyły po głowie i znowu kazały mu zapomnieć o rozwadze. Z jego ust padały dzikie słowa: królowa”będąc starą kobietą ma umysł równie pokrecony i zniekształcony jak ciało”. Sir John Harington spotkał go.”Mówił dziwne rzeczy, graniczące z tak osobliwymi planami, że pośpiesznie go opuściłem i się

oddaliłem. Bogu dzięki, jestem bezpieczny w domu i jeśli znów dam się wciągnąć w takie tarapaty, to słusznie będzie mi się należała szubienica, jako wścibskiemu durniowi. To, co on mówi o królowej, nie przystoi człowiekowi, który ma mens sana in corpore sano... Królowa znakomicie potrafi upokorzyć taką butną duszę, a ta butna dusza nie umie się ukorzyć i miotana jest na wszystkie strony, jakby na falach wzburzonego morza.”

Essex dotarł do ”ostatniego aktu zapisanego w Księdze Przeznaczenia”. Rezydencja jego stała otworem dla wszystkich: ”szermierzy, bezczelnych oszustów, bankrutów, malkontentów i takich, którzy używają języka, by podburzać jednych przeciw drugim”. Fanatyczni kaznodzieje wygłaszali tam codziennie kazania, które ściągały tłumy obywateli. Dumna lady Rich urzędowała na miejscu, podburzając swego brata, powtarzając mu, że stracił odwagę, że wszyscy jego przyjaciele i zwolennicy uważają go za tchórze. Wśród jego stronników ”krążyło jako hasło i znak umowny, że jego lordowska mość nadstawia ucha” i że mają rozkaz stawienia się w Londynie na początku lutego. Przybyli ze wszystkich niemal hrabstw. Elżbieta i Cecil obserwowali, ale nic nie mówili.

We wtorek 3 lutego pięciu przywódców - Essex nie był obecny, by nie budzić podejrzeń - spotkało się w rezydencji Southamptona, Drury House, by rozważyć pewne propozycje Essex'a odnośnie do zdobycia dworu, miasta i Tower. Plany zajęcia dworu były skomplikowane: jedna grupa miała się zgromadzić w sali audiencjonalnej, inna w sali gwardii, w sieni, przy bramie i na dany sygnał miały odebrać straży halabardy i opanować dwór, zaś Essex w tym czasie przybyłby z przyjaciółmi, by wymusić na Elżbiecie zmianę rządu według ich uznania. Twierdzili, że obejdzie się bez rozlewu krwi - prawdopodobnie mieli nadzieję, że to się uda - ale, jak oświadczył Christopher Blount podczas egzekucji: ”Wiem i muszę wyznać, że gdyby nas spotkał zawód, wolelibyśmy zamordować królową niż pogodzić się z niepowodzeniem.” Znając Elżbietę nie mogli się spodziewać niczego innego, ale jak małe dzieci odsuwali od siebie tę straszną perspektywę. Essex już był napisał do Jakuba VI żądając, by wysłał dyplomatyczne demarche, które zostanie doręczone w czasie trwania akcji i ją wesprze. Niektórzy jego narwani przyjaciele przekupili trupę Szekspira, wręczając douceur w wysokości czterdziestu szylingów, by w sobotnie popołudnie odegrała w teatrze Globe detronizację i zabójstwo króla Ryszarda II. Po kolacji przeprowadzili się na drugi brzeg Tamizy, by obejrzeć ten złowieszczy spektakl.

Tego wieczora Rada przystąpiła do działania i wezwała Essex'a, by się stawił. Odmówił i straciwszy szansę zaskoczenia dworu, powrócił do planu ”pозdrowień i całusów dla Londynu”, wołając o pomoc pod fałszywym pretekstem, że wrogowie chcą go zamordować i sprzedali Anglię Hiszpanom. Książę Gwizjusz, którego paryżanie kochali tak



jak londyńczycy Essex, wkroczył do Paryża w Dniu Barykad w 1588 roku bez broni, z dziewięcioma lub dziesięcioma towarzyszami, i wypędził króla ze stolicy. Dlaczego nie miałyby się to udać Essexowi? Przez cały wieczór i nazajutrz, w niedzielę 8 lutego, od wczesnego ranka trwały pośpieszne przygotowania. Około 10 rano Lord Strażnik Pieczęci, hrabia Worcester, sir William Knollys i Najwyższy Sędzia, wszystko dawni przyjaciele Essex, weszli do jego domu w imieniu królowej. Zastali tam hałaśliwy tłum i słyszeli sporadyczne okrzyki: „Zabić ich!”, „Wyrzucić Wielką Pieczęć przez okno!” Essex aresztował wszystkich czterech i jako zakładników zostawił pod strażą, sam zaś z oddziałem liczącym około dwustu młodych arystokratów i szlachty ruszył w kierunku Londynu.

„Za królową! Za królową! Jest spisek na me życie!” - wołał Essex wjeżdżając na Ludgate Hill i przez Cheapside. Robert Cecil nie zasypiał jednak gruszek w popiele. Burmistrz został na czas uprzedzony i w ślad za Essexem postępował herold odczytując proklamację, w której oskarżano go o zdradę. Herold, powiedział Essex z pogardą, zrobi wszystko za dwa szylingi. „Bzdura, królowa nic o tym nie wie; to wszystko robota sekretarza Cecila.” Mieszczanie przyglądali się i żalowali go, niektórzy klaskali. Ale kiedy padło straszliwe słowo: „Zdrajca”, jego bardziej tchórzliwi towarzysze umknęli i przybrali miny niewiniątek. Essex był pewny, że dostanie broń i ludzi od szeryfa, ale spotkał go zawód. Zaczai, się pocić ze strachu, był trupioblady, wyglądał na zgubionego człowieka. Kiedy jakiś handlarz bronią powiedział mu, że nie ma dla niego broni, zapytał: „Dla mnie, Pickering?” Sytuacja była beznadziejna, wobec czego postanowił wrócić do domu. Ale brama Ludgate była zamknięta i uzbrojony oddział blokował ulicę odciętą łańcuchami. Essex zażądał przejścia, odmówiono mu. Po czym wołając: „Tnij, bij, pal!”, oddział jego zaatakował, lecz został odparty. Essexowi udało się wrócić do domu rzeką. Zakładnicy zniknęli i teraz on był otoczony. Wieczorem, gdy Lord Admiral zagroził, że wysadzi dom w powietrze, poddał się w końcu, przedtem jednak spalił różne obciążające papiery, między innymi list od Jakuba VI, które nosił w czarnym woreczku zawieszonym na szyi.

Elżbieta przez cały czas nie okazała śladu strachu. Kiedy na dwór dotarła fałszywa wiadomość o powstaniu w mieście, przyjęła to obojętnie, „jakby doniesiono jej o jakiejś bijatyce na Fleet Street”. „Poszłaby sama, by się przekonać, czy jakiś buntownik odważy się przeciw niej wystąpić, gdyby członkowie Rady z wielkim hałasem jej nie powstrzymali.” „Upraszam więc Jej Miłość - powiedział Admiral - by z królewskim męstwem i niezrównaną wielkodusznością wystąpiła jak przystoi monarsze z Bożej łaski i zechciała osobiście stawić czoło największemu zdrajcy, jakiego zna świat, zdając się na wszechmocną Opatrzność, która zawsze dotąd ją wspierała.” Następnego dnia udzieliła audiencji

ambasadorowi francuskiemu. Oświadczyła mu, że "obłąkany niewdzięcznik wreszcie ujawnił wszystkie swe zamysły". Nerwowe napięcie poprzedniego dnia i długich miesięcy oczekiwania zostawiło wyraźne ślady na jej twarzy. Po chwili zaczęła się śmiać i drwić z parady Essexu przez Londyn, z jego pyszałkowatych przemówień do ludu i rejterady. Twierdziła, że gdyby dotarł do dworu, wyszłaby do niego i stawiała mu czoło, by się przekonać, które z nich dwojga ma rządzić. Po tych słowach uspokoiła się i przeszła do omawiania spraw francuskich.

W mieście nastroje były niepewne, wobec czego rozstawiono silne straże i z okolicznych hrabstw ściągnięto przeszkolone oddziały, które rozłożyły się wokół pałacu przypominającego teraz obóz warowny, "jak gdyby Hiszpanie wkroczyli do kraju". Kilku czeladników, z romantycznymi złudzeniami właściwymi tej kategorii ludzi, zmawiało się, by zebrać pięcioletni oddział i uwolnić Essexu, "zaprzysięg go, że nie zrobi krzywdy Najjaśniejszej Pani", i potem zaskoczyć dwór. Trudno powiedzieć, czy łaskawość Elżbiety powstrzymałaby ją od wymierzenia zasłużonej kary Essexowi, jak to było w przypadku Norfolka. Wszystkie szanse przekreślił głupi spisek kapitana Lea, szlachcica z dobrej rodziny, który odegrał rolę tajnego emisariusza do Tyrone'a. Postanowił z garstką przyjaciół porwać królową, gdy siedziała przy kolacji z kilku tylko damami dworu, i zmusić ją, by uwolniła Essexu i jego towarzyszy. W czwartek po buncie aresztowano go w drzwiach prowadzących z kuchni do pokoju, w którym królowa jadła kolację.

Tydzień po tym Essex i Southampton stanęli przed sądem parów. Essex był w dramatycznej czerni i zachowywał się z niezwykłą wyniosłością. Po zaprzysiężeniu jako sędziego jego wroga lorda Greya "uśmiechnął się" do Southamptona i szarpnął go za rękaw. Podczas czytania aktu oskarżenia roześmiał się kilka razy i unosił oczy ku niebu udając zdziwienie. Raleigh występował jako świadek. "Na cóż zda się odbierać przysięgę od lisa?" - zapytał wzgardliwie Essex. Starł się na wszelkie sposoby dyskredytować świadków, kiedy zaś na bezpodstawne próby kwestionowania jego lojalności Cecil zareagował gwałtownym przemówieniem, zawołał: "Panie sekretarzu, Bogu dziękuję za takie upokorzenie, że pan zdobył się na odwagę i przybył tu, by dziś przeciw mnie przemawiać." „Nie obchodzi mnie mój los, Bogu winien jestem śmierć” - oświadczył, a gdy odczytano wyrok skazujący go na straszną śmierć zdraycy, odpowiedział dumnie: "Uważam za rzecz słuszną, by moje biedne członki, które służyły szczerze Jej Królewskiej Mości w różnych częściach świata, teraz na koniec zostały złożone w ofierze zgodnie z rozkazami Najjaśniejszej Pani." Jeden z obecnych pisał: "Łatwo było dostrzec, że ponieważ żył na oczach świata, główną jego troską było pozostawienie po sobie dobrego wrażenia."

Ludziom prostym i z reguły skłonnym do przewrotności mogła się spodobać taka brawura, lecz ludzie szanujący się uważali, że tak butnie zachowało się dotąd tylko kilka dusz pokrewnych Essexowi, a mianowicie Thomas Seymour i Maria, królowa szkocka.

Ówczesne konwencje wymagały, by księgę życia zdrajcy zamykał rozdział pokory i bogobożności, jakże bowiem inaczej dusza mogła uniknąć potępienia? Podnieść rękę na pomazańca było grzechem straszliwym, zaś umierać w pysze, przy tak oczywistej winie, było prawie bluźnierstwem. Essex jednak myślał o pomazańcu podobnie jak Seymour, choć w tym wypadku nie chodziło o króladziecko, lecz o kobietę - zasługującą na pogardę starą kobietę na tronie. Obaj w swym opętaniu nie dostrzegali tronu, widząc tylko rywali - równych sobie lub im nie dorównujących. Essex popełnił wielki błąd. Mylił się sądząc, że walczy z garbusem Cecilem, lisem Raleighem i ich ludźmi, ale właśnie dlatego, że tak myślał, jego dumna dusza nie ugięła się w męce ostatecznej.

Wrócił do Tower gotów pójść paradnie na śmierć. Poprosił o jednego ze swych kapelanów. Przesłano Ashtona, którego rozczarowani przyjaciele hrabiego określili jako człowieka "podłego, tchórzliwego i sprzedajnego", ale który być może był tylko bardzo religijny i konwencjonalny. Postanowił ukorzyć dumną duszę i pod strzałami jego nabożności znikła pewność siebie Essex'a, pozostawiając duszę skruszoną. Essex wezwał Cecila i trzech członków Rady i powiedział im: "Jestem bardzo zobowiązany Najjaśniejszej Pani, że była łaskawa dopuścić do mnie tego małego człowieczka, pana Ashtona, mego duchownego, dla dobra mej duszy. On bowiem w ciągu kilku godzin uświadomił mi, jak wielkich grzechów dopuściłem się wobec Najjaśniejszej Pani i mego Boga; więc wyznaję wam, że jestem największym, najpodlejszym, najbardziej niewdzięcznym zdrajcą, jakiego kraj ten znał... Wczoraj, przed sądem, jak najkłamliwszy nędznik, zachowaniem i słowami świadczyłem nieprawdę." Poprosił o konfrontację ze swoim sekretarzem i powiedział do niego: "Henry Cuffe, proś Boga i królową o litość i zasłuż sobie na nią mówiąc prawdę", po czym zarzucił mu, że był głównym inspiratorem jego poczynań. Sam wyznał wszystko nie oszczędzając żadnego przyjaciela, nawet swej siostry, opowiedział o jej stosunkach z Mountjoyem. "Czy wasza lordowska mość podejrzewałby taką słabość i niezgodne z naturą zachowanie u tego człowieka?" - pisał Admirał do Mountjoja.

Essex prosił, by egzekucja nie była publiczna: "Poklask ludu mógłby być dla niego pokusą - powiedział - wszelka popularność i zaufanie do człowieka jest próżnością." W środę 25 lutego 1601 roku wyprowadzono go rano na dziedziniec Tower. Przyjął śmierć z pokorą i powagą. Rumak został w końcu ujarzmiony. "Przyznał, dziękując Bogu, że sprawiedliwie został wypłuty z królestwa." Miał lat trzydzieści cztery.

## *Rozdział dwudziesty drugi*

### ODEJŚCIE KRÓLOWEJ

We Francji wielki podziw wzbudziła odwaga i stanowczość, z jaką królowa poradziła sobie z powstaniem Essexu. Gdyby to ich król Henryk III okazał choć w części taki hart ducha, gdy tłumiał bunt księcia Gwizjusza w Dniu Barykad! A Henryk IV wołał: "Tylko ona jest prawdziwym królem! Ona jedna tylko wie, jak należy rządzić!"

Nie mniejsze talenty okazała Elżbieta, gdy trzeba było zająć się przykrym likwidowaniem, następstw rebelii. Sprawiedliwość szybko ustąpiła miejsca Miłosierdziu. Stracono tylko sześć osób: Essexu, jego ojczyma Blounta, Cuffe'a, Thomasa Lea i dwóch innych. Być może królowa uważała, że śmierć Essexu jest ekspiacją za przestępstwa wielu winowajców, i miała nadzieję, że teraz, gdy zaraźliwy, despotyczny urok jego osobowości przestał działać, spiskowcy odzyskają rozum i w państwie znowu zapanuje spokój i ład. Dworzanie z litości, przyjaźni lub przekupieni wstawiali się to za jednym, to za drugim z głównych winowajców. Kierowali swe prośby do władczyni, która nienawidziła przelewu krwi. W przypadku hrabiego Southampton zdobyła się na miłosierdzie zaiste bezprzykładne. Cały świat litował się nad nim, on sam okazał pokorę i skruchę, ale przestępstwo jego było tak ohydne, że nie miał na co liczyć. A jednak królowa go oszczędziła. Bogatszych spośród pozostałych ukarała grzywnami, lecz tylko nieliczni je zapłacili, w każdym razie w całości. Brat Cecila, lord Burghley, który brał udział w tłumieniu powstania, pisał z Yorku o tym, jak wielkie wrażenie zrobiła ta łagodność, "nie notowana w żadnej kronice".

O miłosierdziu królowej świadczy taki oto przypadek. Po powrocie Essexu z Irlandii w 1599 roku jego żona, obawiając się, że w domu zostanie przeprowadzona rewizja, pośpiesznie wysłała szkatułkę z listami hrabiego do swojej dawnej służącej, Jane Daniel. Listy te zawierały nielojalne i pogardliwe wypowiedzi o królowej; jak bardzo musiały być pogardliwe i nielojalne, świadczy fakt, że mąż Jane, który znalazł szkatułkę i wyjął z niej kilka listów, domagał się za nie 3000 funtów. Dostał 1720 funtów, lecz jak przystało na szantażystę, oddał sfalszowane kopie, zaś oryginały zachował. Królowa dowiedziała się o tym ze skargi Essexu w czasie rebelii i nakazała przeprowadzenie skrupulatnego dochodzenia. Przysięgła, że jej całun będzie nieskalany, kazała sądzić Daniela w Izbie Gwiazdzistej i z 3000 funtów grzywny stanowiącej część kary hrabina Essex otrzymała 2000 funtów.

Żadna jednak łaska i wielkoduszność nie mogła pocieszyć ludzi oplakujących śmierć swego bohatera, szlachetnego Baraka, dzielnego rycerza Debory. Słuchali, jak kaznodzieja pod krzyżem przy kościele Sw. Pawła, posłuszny urzędowemu nakazowi, umiejętnie oparł

swe kazanie na cytacie:”Wtedy wojownicy Dawida zaprzysięgli go tymi słowy:”Nie możesz już wyruszać z nami na wojnę, abys nie zgasił pochodni Izraela\*” (Sam. 21, 17), głośno i radośnie go oklaskiwali, gdy wspomniał o ocaleniu Najjaśniejszej Pani; ich twarze zdradzały, że z kazania zrozumieli, kim był zdrajca; niemniej ich poeci pisali smętne wierszyki, które oni kupowali i śpiewali:

Już słodkiej Anglii duma zgasła! Biada nam, o, biada!

Blaskiem on męstwa zawsze świecił, jak prawy rycerz.

Nic złego nie uczynił przecież aż po sam kres.

Lecz Zawisć, szatan ów szkarady, sprawiła poprzez swoje jady, Iz rycerz nieświadomy zdrady w więzieniu szczył.

Albo smętną balladę, Ostatnie dobranoc Essexu:

Wszyscy, okryci tą żałobą, módlcie się ze mną i zapłaczcie! Ten, co Rycerstwa był Ozdobą, ten odszedł od nas już na zawsze.

Zamordowali by kata, kiedy wracał po egzekucji Essexu, gdyby szeryf na czas go nie uratował. W piwiarniach i innych miejscach dawali upust swej nienawiści do przeciwników hrabiego, zaś ludowi poeci produkowali paszkwile:

Mały SIĘ Cecil wszędy wkrada, I Sędem, i Koroną włada, Z Burghleyem, Bratem Łotrem, gada, Odziany w sute futro lisie.

I w proklamacji długiej prawił, że on Miasto to wybawił.

Czyż tak nie było iście?

Raleigh panuje w każdą porę, Silny i rano, i wieczorem, Lecz konno się nie wdrapie w górę, Choćby go pycha niosła. Podatków sobie szuka z cyny, Z skóry obdziera ludzkie syny I klnie się, że w tym nie ma winy. Zmiłujcie się, niebiosy!

W tych bodaj tygodniach niepokojów, a może w okresie między rebelią i egzekucją hrabiego - podawana data listu 9 października 1601 nie wydaje się prawdopodobna - sir John Harington złożył krótką wizytę na dworze królewskim. Był to krok wielce nieostrożny, gdyż na wezwanie swego przywódcy tłumnie ściągnęli do miasta zwolennicy Essexu, a Harington miał na sobie piętno irlandzkiego szlactwa. Elżbieta, rzecz jasna, podejrzliwie odniosła się do jego przyjazdu. Jeśli do tak dalekiej podróży - powiedziała mu - nakłoniły go czyjeś złe rady, to”pragnęłaby, żeby Niebiosy popsuły Los, który ona naprawiła”. A gdy po kilku tygodniach zauważyła, że wciąż jeszcze jest na dworze, przekazała mu przez Lorda Skarbnika surowe posłanie:”Powiedz temu spryciarzowi, memu synowi chrzestnemu, by wracał do domu; to nie pora, by się tu kręcił.” Harington powiada:”Prawdę mówiąc, bardziej bałem się Najjaśniejszej Pani niż buntownika Tyrone’a i żałowałem, że otrzymałem szlachectwo od

lorda Essex.” Na dworze zastał kompletny chaos.”Wszyscy zapaleńcy są podnieceni i grozi wiele złego.” Królowa”jest w złym humorze, nie dba o stroje i te troski bardzo jej szkodzą. Nie zwraca uwagi na drogie potrawy, które zjawiają się na stole, i bierze tylko troszeczkę białego chleba i zupy. Każda wiadomość z Londynu ją niepokoi, patrzy krzywym okiem na swe damy dworu.” „Liczne złowrogie spiski i knowania zmieniły łagodne usposobienie Najjaśniejszej Pani. Krąży długo po swoich komnatach, tupie nogą, kiedy dostaje złe wiadomości, czasem wbija swój zardzewiały miecz w arrasy z wielką wściekłością... Niebezpieczeństwo minęło, ona jednak nadal ma przy stole swój rapier.” Relacje Haringtona nie zawsze - być może i w tym przypadku - są wiarygodne.

Zamieszki wkrótce się skończyły; zapanowała dziwna cisza. W czerwcu Cecil pisał o niezwykłym spokoju w kręgach dworskich:”Kiedy padło drzewo, do którego przyrosło tyle gałęzi, wszyscy, którzy go kiedyś kochali, teraz okazują skruchę.” Co prawda Raleigh ze swym wiernym stronnikiem lordem Cobhamem próbował podważyć supremację Cecila, spełniając w ten sposób starą przepowiednię damy dworu Meg Radcliffe, że antyessexowska sfera teraz się rozpadnie, lecz Elżbieta nie podsyciała”cholernej pychy” Raleigha. Nie podzielała powszechnej antypatii do niego, ale przyznawała, że nie nadaje się na następcę Essexu..Rządził więc Robert Cecil, urzędnik o nie spotykanych dotąd zaletach. Był niezwykle zdolny, ale cóż za nieciekawa postać! Dawne bohaterskie rywalizacje wymarły ze śmiercią ich nieznośnego protagonisty; mogło się wręcz zdawać, że wraz z nim odszedł duch elżbietańskiej Anglii. W magicznych rękach królowej dworskie rywalizacje były tajnym kluczem do sławy i władzy; żywiołowy duch epoki płonął jasnym płomieniem, lecz w Essexie gorzał tak gwałtownie, że się wypalił, a teraz nie można go było rozniecić od nowa. Wygasły namiętności; przyszła starość. Zmianę podkreślała nieprzemijająca żałoba ludu. Tym razem okazał niespodziewaną stałość uczuć. Jeszcze po osiemnastu miesiącach pewien podróżnik niemiecki słyszał, jak wszędzie, nawet na dworze królewskim, śpiewa się Ostatnie dobranoc Essexu. W Tower pokazywano mu miejsce, gdzie został ścięty”dzielny bohater”. W Whitehallu musiał oglądać tarcze, które”wielki i sławny szlachetny rycerz” darowywał królowej podczas turniejów. Chwała Anglii, dotąd znacząca dzień dzisiejszy, odeszła w przeszłość i choć lud nadal darzył swą Elżbietę niezwykle zaiste miłością, wyczuwała w żałobie po Essexu wyrzut, musiała opłakiwać Anglię, która wraz z nim zeszła do grobu.

Elżbieta być może płakała nad tragedią Essexu, nigdy jednak nie miała wątpliwości, że spotkał go koniec sprawiedliwy i nieuchronny. Kilkanaście dni po egzekucji powiedziała ambasadorowi francuskiemu, że gdyby nie było to sprzeczne z wymogami bezpieczeństwa w państwie, chętnie oszczędziłaby życie tego przewrotnego niewdzięcznika; lecz sam Essex

przyznał, że nie jest godzien żyć, że jedno z nich dwojga musi zginąć, i prosił, by pozwolono mu swą śmiercią uratować ją od niebezpieczeństwa. Przyznała, że poniekąd sama przyczyniła się do jego upadku za bardzo go rozpieszczając i pozwalając, by zdobył większe zaufanie i autorytet wśród arystokracji i ludu, niż wypadało poddanemu. Nie potrafiła tylko zrozumieć, jak znając jej charakter ośmielił się sądzić, że może dyktować jej swą wolę.

W poprzednim roku uchyliła rąbka tajemnicy swej duszy wypowiadając gorzką refleksję o Czułości; tym razem zdradziła się z tragedią, którą przeżywała, w słowach wypowiedzianych do lorda Willoughby: "Oto przykład, bardziej oczywisty niż wszystkie lub jakkolwiek inny, jak mało było wiary w Izraelu." Trzech hrabiów, dwóch baronów, synowie i bracia arystokratów, ambasador, szeryf Londynu, wielu dzielnych szlachciców, wszyscy oni byli zamieszani w spisek i powstanie. Niegdyś wierny, całym sercem przywiązany dworzanim, a teraz Lord Namiestnik Irlandii, Mountjoy, gotów był poprowadzić przeciw niej swą armię. Nawet jej "Dobry Peregrine" Willoughby nie był wolny od podejrzeń, bo przecież jako gubernator Berwick ułatwiał tajnym emisariuszom Essexu przedostawanie się do Szkocji.

W sierpniu Elżbieta rozmawiała ze znawcą starożytności Williamem Lambarde, który mianowany został Strażnikiem Archiwum Tower i przyszedł przedstawić jej opisowy katalog dokumentów znajdujących się w jego pieczy. "Zamierzałeś wręczyć mi tę księgę za pośrednictwem hrabiny Warwick - zaczęła - lecz ja się na to nie zgodziłam, ponieważ od każdego mego poddanego, który zechce oddać mi usługę, z wdzięcznością przyjmę ją osobiście", po czym głośno zaczęła czytać książkę, raz po raz przerywając pytaniami o znaczenie zwrotów technicznych lub robiąc uwagi w rodzaju tej, że "chętnie zostałaby, mimo swego wieku, uczoną, bo nie gardziła w swym życiu nauką i jest tego samego zdania co ów filozof, który pod koniec życia zaczął się uczyć greckiego alfabetu". Kiedy doszła do dokumentów o panowaniu Ryszarda II, myślami przeniosła się do rebelii Essexu i złowieszczej podówczas popularności historii tego króla. "Czy wiesz, że to ja jestem Ryszardem II?" Lambarde taktownie wspominał o przewrotnej wyobraźni pewnego wielce nieuprzejmego pana, "najbardziej obsypywanej zaszczytami istoty, jaką Wasza Królewska Mość kiedykolwiek stworzyła". Elżbieta odpowiedziała na to: "Ten, kto gotów jest zapomnieć o Bogu, zapomni również o swych dobroczyńcach. Ta tragedia (Ryszarda II) J grana była czterdzieści razy na ulicach i po domach." Czytała dalej stare dokumenty, aż jakieś wyjaśnienie pobudziło ją do kolejnej refleksji: "W owych dniach zwyciężyła siła i broń; ale teraz wszędzie działa lisi spryt i trudno jest znaleźć człowieka wiernego lub prawego." Po czym rozstając się z nim powiedziała: "Żegnaj, dobry i uczciwy Lambarde." Dwa tygodnie po tej życzliwej audiencji zmarł gorliwy archiwariusz.

Nadchodził czas kolejnego i, według wszystkich ludzkich przewidywań, ostatniego parlamentu panowania Elżbiety. Potrzebne były pieniądze. Królowa wciąż sprzedawała swoje ziemie, musiała nawet sprzedać kilka klejnotów. Próbowwała zrealizować francuskie i holenderskie skrypty dłużne, ale Henryk IV, ten "antychryst niewdzięczności", nie szczędził pięknych słów, odmawiał natomiast zapłacenia choćby tyle, ile wydawał na kochanki, i nie lepiej powiodło się z Holendrami. Kampania w Irlandii szła dobrze, ale powoli, i pochłaniała znaczne sumy, a lada chwila spodziewano się ataku Hiszpanów. Elżbieta musiała być przygotowana na dodatkowe poważne wydatki. Z końcem września 1601 roku armia hiszpańska wylądowała pod Kinsale; na początku listopada zebrał się parlament.

W sytuacji, gdy Hiszpanie stali na ziemi irlandzkiej, nietrudno było otrzymać dodatkowe fundusze od Izby Gmin, która jednomyślnie poparła Przewodniczącego Izby obrzucającego "gwałtownymi inwektywami despotyzm króla hiszpańskiego, ambicje papieża i buntowników w Irlandii, pełzających i czołgających się jak kawałki pociętego węża, by znowu się połączyć". Dwa poprzednie parlamenty przyznały potrójny budżet, obecny przyznał poczwórny. Za tą gotowością do nowych i wielkich poświęceń finansowych krył się jednak pewien niepokój. Zaczęło się od błędu popełnionego przez jakiegoś niższego urzędnika, który w dniu otwarcia nie wpuścił na salę obrad parlamentu wielu członków Izby Gmin, uniemożliwiając im udział we wspaniałej ceremonii i wysłuchanie mowy Lorda Kanclerza. Nieliczni powitali królową zwyczajowym: "Boże, chroń królową", gdy przechodziła między nimi po zakończeniu następnego oficjalnego posiedzenia. Po czym, w toku sesji, jeden z posłów zaatakował monopole i nagonka ruszyła.

Monopole były przywilejami królewskimi uprawniającymi do wyłącznego produkowania lub sprzedawania jakiegoś towaru. Budziły one powszechne zgorszenie, zarówno dlatego, że namnożyło się ich bez liku i obejmowały już takie artykuły, jak sól i krochmal, jak też dlatego, że właściciele monopolów dopuszczali się nadużyć. Sytuacja była delikatna, ponieważ sprawa wiązała się z przywilejami królowej. Burza wybuchła podczas poprzedniego parlamentu. Teraz się rozszalała. Członkowie Rady i dworzanie bezskutecznie starali się ją złagodzić, po czym nastąpiła interwencja Elżbiety, która skierowała do Izby postanie utrzymane w najbardziej urokliwym tonie, na jaki było ją stać, i zapowiedziała ogłoszenie proklamacji mającej natychmiast zło naprawić. W mgnieniu oka gniew Izby przemienił się w wielką radość. Jeden z posłów płakał, nie mogąc powstrzymać wzruszenia, i wszyscy z wielkim zapalem zawołali: "Amen", po modlitwie Przewodniczącego Izby o zachowanie w zdrowiu królowej. Poprosili, by pozwolono im wyrazić swą wdzięczność, ona zaś odpowiedziała, że przyjmie jak najserdeczniej ich wyrazy miłości i podziękowania, ale



najpierw musi dotrzymać danej obietnicy. Trzy dni później proklamacja była już w Izbie Gmin i królowa oznajmiła, że gotowa jest przyjąć deputację. Kiedy doszło do ustalania listy, rozległy się wołania: „Wszyscy”, na co odpowiedziała, że choć dysponuje pomieszczeniem ograniczonym, chętnie wszystkich u siebie zobaczy.

Trzydziestego listopada stu czterdziestu członków Izby Gmin z Przewodniczącym na czele udało się do Whitehall, by wysłuchać ostatnich założeń Elżbiety do jej wiernego, niespokojnego parlamentu. Jeden z posłów powiedział, że poprzednie posłanie królowej powinno być wyryte w złocie; przemówienie, które tym razem wygłosiła, pozostało w pamięci posłów, ich synów i wielu następnych pokoleń jako „Złota mowa” Elżbiety. Przemawiała z typowym dla siebie niezawodnym wyczuciem, zaś jej kunszt oratorski potęgowała świadomość, którą podzielali wszyscy, że popisuje się nim po raz ostatni. Były to właściwie ostatnie słowa skierowane do królestwa, które kochała i któremu służyła całym swym jestestwem.

„Panie Przewodniczący Izby - zaczęła. - Rozumiemy, że przyszedliście, by nam podziękować. Wiedziecie, że przyjmuję to z radością, która dorównuje miłości, z jaką pragniecie wręczyć mi ten prezent, i że cenię go ponad wszelkie skarby i bogactwa, które umiemy cenić, lecz wierność, miłość i wdzięczność uważam za nieocenione. Bóg wyniósł mnie wysoko, lecz za chwałę swego panowania uważam to, że rządziłam wspomagana waszą miłością. Dlatego też cieszę się nie tyle tym, że Bóg stworzył mnie, bym była królową, lecz że pozwolił mi być królową tak wdzięcznego ludu i że uczynił mnie narzędziem zachowania was w bezpieczeństwie i chronienia was przed zagrożeniami... O sobie to muszę powiedzieć: nigdy nie byłam zachłannym, ciułającym grosz chciwcem, władcą surowym i twardym, ale nie byłam też marnotrawcą; nigdy nie dbałam o dobra ziemskie, lecz tylko o dobro mych poddanych. Tego, co mi podarujecie, nie będę chowała, lecz przyjmę, by was tym obdarować; co więcej, moje włości uważam za wasze, dla waszego dobra mają być spożytkowane i wy jeszcze zobaczycie, iż dla waszej pomyślności będą użyte.”

W tym miejscu Elżbieta kazała wstać klęczącym dotąd posłom, bo, jak powiedziała, chce ich utrudzić dłuższym przemówieniem.

„Panie Przewodniczący Izby, dziękujesz mi, ale to raczej ja winnam tobie dziękować i polecam ci przekazać moje podziękowania Izbie niższej; gdybyście bowiem nie dzielili się ze mną waszą wiedzą, mogłabym popełniać błędy tylko dlatego, że nie znałabym prawdy... Nasza godność królewska nie ścierpi tego, by nadane przeze mnie przywileje miały się stać powodami do skarg mego ludu, ucisk zaś by zasłaniał się naszymi nadaniami. Kiedy się o tym dowiedziałam, nie zaznałam spokoju, póki tego nie zmieniłam... Nie chcę żyć lub panować

dłużej, niż to będzie dla waszego dobra. I chociaż mieliście w przeszłości i mieć zapewne będziecie wielu potężniejszych i mądrzejszych władców, którzy w tym miejscu zasiądą, nigdy nie mieliście i nie będziecie mieć takiego, który was będzie kochał mocniej.” Na koniec, prawdopodobnie zdając sobie sprawę, że jest to jej ostatni parlament, poprosiła swych doradców, by przyprowadzili wszystkich tych ludzi na audiencję prywatną, nim powrócą do swych domów.

Kraj spowiała tragiczna cisza, ale - dowiódł tego ostatni parlament - jak długo żyła królowa Elżbieta, która umiała rozpalić serca swego ludu, duch Anglii nie ginął. Gdy członkowie parlamentu wracali do domów upojeni złotymi słowami swej monarchini, jej nieskończoną łaskawością i miłością, Mountjoy w Irlandii odniósł druzgocące zwycięstwo nad armią Tyrone’a, zaś w tydzień później armia hiszpańska skapitulowała w Kinsale. Było to jedno z najważniejszych wydarzeń w historii Irlandii. Triumf ten należy przypisać zarówno monarchini, jak i jej słudze, bo choć z historii Essex’a w Irlandii można by wyciągnąć wniosek, że niełatwo było służyć Elżbiecie, jej stosunki z Mountjoyem dowodziły, że potrafiła śpieszyć z pomocą i podtrzymywać na duchu uczciwych i wiernych. Namiestnik miał pretensje. W jednym z raportów przyrównał się kwaśno do kuchcika. Królowa własnoręcznie napisała w odpowiedzi długi, pocieszający, w żartobliwym tonie utrzymany list, w którym nazwała go ”Panią Kucharzową”, i rozproszyła chmury złego humoru. Kiedy Hiszpanie wylądowali pod Kinsale, napisała, i tym razem własnoręcznie, by zagrozić go osobiście i całą armię do bohaterskiego wyczynu: ”Powiedz od nas swym wojskom, by każdego stu żołnierzy postarało się pokonać tysiąc, a każdy tysiąc liczbę podwójną. Tym śmielej im to polecam, że czynię to w imieniu Tego, który zawsze bronił mej słusznej sprawy, i na ten wyczyn ich błogosławię. Ciebie stawiając na pierwszym miejscu, kończę bazgrząc w pośpiechu, twoja kochająca królowa E. R.” Po zwycięstwie przesłała dowódcy i armii płomienne podziękowanie za wielką Wiktorię, Mountjoy zaś nadal otrzymywał własnoręczne dopiski i całe listy pisane ręką królowej, które w cudowny sposób przywracały mu zapał. Jeden z tych listów kończył się następującymi słowami: ”Zapomnieliśmy pochwalić twą pokorę, że po tym, jak byłeś Kucharką Królowej, nie wzgardziłeś posadą Kuchcika u Zdrajcy. Niech Bóg da ci wytrwałość.”

Nie tylko na lądzie odżyła sława czasów minionych. W czerwcu 1602 roku sir Richard Leveson z małą królewską eskadrą zdobył wielką i bogatą karakę portugalską stojącą na kotwicy w Cezimbra Road pod osłoną dział fortecy, chronioną przez jedenaście galer, którymi dowodził świetny marynarz, i z czterystu szlachcicami ochotnikami na pokładzie, przybyłymi z Lizbony jako załoga karaki. Anglicy zmusili dwie galery do poddania się, resztę

do wycofania się z poważnymi stratami i na oczach dziesięciu tysięcy wojska zgromadzonego na brzegu unieśli łup. Był to wyczyn godzien najświetniejszych dni Drake'a.

Czasami, w chwilach przygnębienia, Elżbieta dotkliwie odczuwała samotność starości, tym dotkliwiej, że nic tak jej nie cieszyło jak wierne hołdy dworu i ludu. Nazbyt często mówiła o tym, że poddani skłonni są czcić wschodzące słońce, by nie zdawać sobie sprawy, że to właśnie już się dzieje. Ona sama nie miała wątpliwości, komu jej tron przypadnie, i w swej przedziwnie matczynej i wychowawczej korespondencji, którą od lat prowadziła z Jakubem VI, często w zdaniach zamaskowanych, lecz jednoznacznych dawała mu do zrozumienia, jakie ma intencje, wciąż jednak nie chciała otwarcie wypowiedzieć się w tej sprawie. Czyniąc to bowiem zachęciłaby wszystkich jego rywali i wrogów do wszczęcia działań, które uniemożliwiłyby mu sukcesję i zniweczyły jego prawa, a zarazem pokój wewnętrzny w kraju. Żaden z angielskich rywali nie miał szans pokonania Jakuba i całej potęgi Szkocji, a kiedy pod koniec roku 1602 jedna z pretendentek, Arabella Stuart, wdała się w niebezpieczne intrygi, Elżbieta natychmiast ustanowiła nad nią ścisłą straż, by nie zakłóciła pokojowego przekazania korony. Przebywając blisko Jakub mógł ubiec pretendentów i wrogów zagranicznych i uniemożliwić im jakiegokolwiek wrogie posunięcia. Tak więc Elżbieta z doskonałym kunsztem politycznym zachowywała trwające od początku panowania milczenie w sprawie sukcesji, wciąż lepiej niż jej lud wiedząc, co leży w jego interesie.

Dla większości Anglików Jakub stał się oczywistym, a nawet upragnionym następcą tronu. Arystokracja i ziemiaństwo nie chciały by jeszcze jedna kobieta zasiadła na tronie, i zdecydowane były nie dopuścić do kontynuowania tej zawstydzającej sytuacji, lud zaś cieszył się na tę dziwną nowość, jaką będzie król, bo tylko najstarsi pamiętali czasy, kiedy Anglią rządził mężczyzna. Pewien arystokrata, może trochę ze wstydu, przypisze to powszechne odczucie przeświadczeniu, że już nigdy nie będzie drugiej takiej królowej jak Elżbieta; była przecież szczególnym zrzędzeniem Opatrzności, jak Debora. W istocie jednak na dworze i w całym kraju narastało jakieś znużenie, zabarwione uprzedzeniami do kobiet, "rzeczy bowiem długo trwające, choćby najlepsze, zaczynają nudzić". Panowało "naiwne pragnienie nowości i zmiany, nadzieja na lepsze czasy, pogarda dla dnia dzisiejszego, niepamięć o minionych łaskach".

W dalszych miesiącach 1602 roku dworzanie i inni nawiązali tajną łączność z przyszłym królem. Na pewno najważniejszym spośród nich był sir Robert Cecil. Po straceniu Essexu zaczął sekretną korespondencję, która w połączeniu z mądrą polityką królowej faktycznie zapewniała Jakubowi sukcesję. Bardzo dbał o zachowanie swych listów w tajemnicy przed Elżbietą. "Wiek i przybliżanie się kresu drogi królowej wraz z zazdrością

właściwą jej płci mogłyby skłonić ją do krzywienia się na to, co miało jej pomóc w przetrwaniu” - pisał w późniejszych latach. Może to prawda, że Elżbieta byłaby zazdrosna, ale sprawa polegała raczej na tym, że Cecil nie miał szerokich horyzontów swego ojca, a każdy z nich mierzył monarchinię swą własną miarą. Burghley twierdził, że”była najmądrzejszą kobietą, jaka kiedykolwiek żyła, bo rozumiała interesy i usposobienia wszystkich władców swych czasów i tak świetnie znała swe królestwo, że żaden doradca nie mógł jej powiedzieć czegoś, czego by już przedtem nie wiedziała”. Syn zaś pisał:”Była więcej niż mężczyzną i słowo daję, niekiedy mniej niż kobietą.

W każdym razie Elżbieta, która dobrze znała swego Cecila i w ostatnich latach panowania swej siostry Marii nauczyła się wnikliwie oceniać sytuację, na pewno się domyślała, że sekretarz próbuje przygotować sobie grunt w Szkocji z myślą o dniu jej śmierci. Ale i tym razem trzymała się swej dewizy: *Video et taceo*. Widzę i nic nie mówię.

Elżbieta nic nie mówiła, tym więcej jednak przeżywała. W maju, w przyływie melancholii, powiedziała ambasadorowi francuskiemu, że życie ją męczy, że dusza jej nie znajduje w niczym zadowolenia i nic nie sprawia jej przyjemności. Wzdychała przy tym, a niektóre słowa zdradzały żal do czasów minionych. Potem wspominała ze wzruszeniem Essex. Nic jednak nie świadczyło o tym, by zmieniła zdanie o jego upadku. Bolała - i tak już zostanie do śmierci - nad tą nieuchronną tragedią. W następnej rozmowie, mówiąc o tym, że Henryk IV znalazł się w podobnej sytuacji podczas spisku swego dawnego towarzysza broni, odważnego i lubianego marszałka Birona, powołała się na własne doświadczenie i doradzała bezwzględna sprawiedliwość. Powiedziała:”Ci, którzy podnoszą rękę na berło władzy, nie zasługują na litość.” Berło jest jak pochodnia gorejąca tak żywym płomieniem, że spala każdego, kto jej dotknie. Okazywanie miłosierdzia w takich przypadkach jest rzeczą niebezpieczną. Doskonale wie, jak ciężko będzie królowi pozbyć się Birona, lecz wie też z własnego doświadczenia, że monarcha musi poświęcić swe uczucia, gdy w grę wchodzi bezpieczeństwo jego królestwa i następców. Rozmowa trwała dwie godziny.

Mimo nawrotów melancholii Elżbieta cieszyła się znakomitym zdrowiem. Latem 1602 roku bardzo chciała wybrać się na przejazd królewski aż do Bristolu i tylko argument, że przy złej pogodzie będzie to bardzo uciążliwe przedsięwzięcie dla ludzi, skłonił ją do zrezygnowania z pomysłu. W sierpniu Cecil stwierdził, że od dwunastu lat nie widział jej w tak dobrym stanie. W ciągu jednego dnia przejechała dziesięć mil konno i polowała,”pozostawiam waszej ocenie, czy była zmęczona”. Być może z tego właśnie powodu poczuła się źle pewnej nocy, ale następnego dnia spacerowała, by nikt nie zauważył jej niedyspozycji. We wrześniu jakiś cudzoziemiec powiedział, że spacerowała po ogrodzie

jak osiemnastoletnia dziewczyna. Humor jej się poprawił.”Od wielu lat nie była tak wesoła, tak spragniona rozrywek.” „Baraszkuje na naszym dworze.” Tańczono dużo, szczególnie jej ulubione kontredanse. Pewnego dnia zwróciła uwagę na medalion, który miała na szyi hrabina Derby. Nie uspokoiła się, póki nie zobaczyła, co jest w środku, a kiedy się okazało, że to portret Cecila, porwała medalion i najpierw żartobliwie przywiązała go do bucika, a potem nosiła go na ramieniu. Cecil, jak przystało na gorliwego dworaka, zamówił wiersze opisujące incydent i muzykę do nich, po czym zmusił królową, by wysłuchała tych pieśni w jego komnacie.

Elżbieta weszła w siedemdziesiąty rok życia. Siedemnastego listopada 1602 roku obchodziła czterdziestą czwartą rocznicę wstąpienia na tron”przy tak wielkiej owacji tłumów, jakby ją oglądały po raz pierwszy”. Szóstego grudnia była na obiedzie w domu, który Cecil niedawno wybudował dla siebie na Strandzie. Przyjęcie było w starym stylu, może nawet za bardzo starym, jak na gust królowej, bo miało w programie”układną rozmowę” między panną, wdową i mężatką, w której każda wychwalała swój stan i w której oczywiście triumfowała panna!

Pod koniec miesiąca sir John Harington przybył na dwór i zauważył wielką zmianę. Pisał do żony:”Nasza droga królowa zdradza teraz oznaki ludzkiej słabości. Zbyt prędko to idzie, jeśli pomyśleć o nieszczęściu, jakim będzie dla nas jej śmierć, zbyt powoli, jeśli wziąć pod uwagę szczęście, jakim będzie dla niej uwolnienie się od bólów i utrapień... Znajduję, że niektórzy mniej myślą o tym, co wkrótce stracą, niż o tym, co przypadkiem mogą zyskać. Jeśli o mnie chodzi, nie potrafię wymazać z tablic pamięci dobroci, jaką nasza Najjaśniejsza Pani mi okazała...; nie mogę zapomnieć o uczuciu, jakim darzyła moją matkę, która była jej damą dworu, o łaskach okazanych memu ojcu...; o tym, że opiekowała się mną w młodości, że lubiła me śmiałe słowa i podziwiała tę odrobinę wiedzy i poezji, umiejętności, które na jej rozkaz tak troskliwie rozwijałem.” „Gdybym oczami bez łez patrzył na jej stan, splamiłbym i splugawił źródło i krynicę wdzięczności.” Królowa wezwała go. Zapytała, czy kiedykolwiek widział Tyrone’a, a jego odpowiedź przywołująca wspomnienia o Essexie zgniewała ją i zasmuciła.”Ach! - zawołała - teraz mnie boli, że widziałeś tego człowieka przy innej okazji.” Uroniła przy tym łzę i uderzyła się w pierś. Zarecytował jej kilka swych dowcipnych wierszyków; uśmiechnęła się i powiedziała:”Kiedy poczujesz, jak czas się skrada do twej bramy, mniej będą cię bawiły te głupstwa: mnie już one nie cieszą.” Jeśli wydawca papierów Haringtona i tym razem nie powyczytniał swych sztuczek i nie antydatował listu o kilka miesięcy, to niedyspozycja Elżbiety musiała być chwilowa, ponieważ w dzień OSTATNIA CHOROBA przed rzekomym napisaniem tego listu tańczyła kuranta! Zgodnie z tradycją

Boże Narodzenie obchodzono wesoło w Whitehall, 18 stycznia 1603 roku królowa była jeszcze w doskonałym zdrowiu.

Dwudziestego pierwszego stycznia dwór przeniósł się do Richmond. Pogoda była brzydka, deszczowa, wiatr nagle zmienił się na północnowschodni i sprowadził "najsurowszą zimę, jaką znałem", pisze ktoś w liście. Mimo tych niezwykle silnych mrozów Elżbieta wkładała "suknie stosowne na lato" i pokazując je jednemu ze swych urzędników powiedziała, że "gardzi futrami jako ochroną przed zimowym chłodem". Nic dziwnego, że Burghley pisał do brata, iż królowa powinna zrozumieć, "że jest już stara, musi bardziej dbać o siebie i że nigdy nie dojdzie do zgody między młodym umysłem a starym ciałem". Szóstego lutego udzieliła audiencji posłowi z Wenecji. Elżbieta była w sukni ze srebrnej i białej tafty obrzeżonej złotem, włosy miała "w jasnym kolorze nigdy nie zrobionym przez naturę", cesarską koronę na głowie, perły, rubiny, brylanty i inne klejnoty i wyglądała królewsko. Wenecja nie przysłała stałego ambasadora za jej panowania i tę niegrzeczność królowa uroczyście wypomniała posłowi: "Nie przypuszczam, że tę złą notę płci mojej zawdzięczam, bo płeć moja nie stanowi uszczerbku dla mej powagi ani obrazy dla tych, którzy traktują mnie tak, jak traktują innych władców." Jej płeć! Audiencja była ostatnią wielką ceremonią tego panowania. Kiedy poseł gratulował jej świetnego zdrowia i odczekał chwilę, by usłyszeć jakąś replikę, zachowała milczenie.

W tydzień lub dwa potem zmarła kuzynka Elżbiety, jej dawna dworka i serdeczna przyjaciółka, hrabina Nottingham. Wywołało to nowy atak melancholii; królowa była przygnębiona, resztę zrobiła zła pogoda. Na początku marca dostała gorączki i cierpiała na bezsenność. Widział ją w tym czasie jej krewmy, sir Robert Carey, młody sportowiec, który piechotą wybrał się do Berwick, gdy Essex uciekł z Drake'em w 1589 roku. Siedziała zgarbiona na poduszkach w jednej ze swych prywatnych komnat. Wzięła go za rękę i mocno uścisnęła. "Nie, Robinie, nie czuję się dobrze" - powiedziała, po czym długo wzdychała mówiąc, że jest jej ciężko na sercu, że jest smutna. Próbował ją rozweselić, lecz melancholia zbyt głęboko zapuściła korzenie.

Jedenastego nastąpiła poprawa, ale potrwała tylko kilka dni. Chora nie brała żadnych lekarstw i odmawiała jedzenia. Siedziała zamyślona i milcząca. Niedawno trzeba było przepiłować wrastający w ciało pierścień koronacyjny, do którego była wręcz przesądnie przywiązana i którego nigdy nie zdejmowała z palca. Był to jak gdyby symboliczny akt rozwiązania jej zaślubin z królestwem. Tak też przyjęli to poddani. Roger Manners pisał 12 marca: "Bracie, jestem starym człowiekiem, chcę rzucić świat i oddać się kontemplacji i modlitwie. Nie będę się zajmował powoływaniem królów." Inni jednak byli młodszy i mniej

pogardy okazywali fortunie. Dziewiętnastego marca Robert Carey pisał do Jakuba, że królowa pozostanie nie dłużej niż trzy dni i że już kazał rozstawić konie po drodze do Szkocji, bo chce pierwszy przybyć z wiadomością, której król wyczekuje z utęsknieniem. Nazajutrz, może dwa dni później, Robert Cecil przesłał projekt proklamacji - słodko brzmiała ta muzyka w uszach króla - oznajmiającej, że Jakub został królem Anglii. Deszcz listów spadł na dwór szkocki. Wszystko to było całkiem naturalne. Królowa, cierpiąca i opuszczona, mogła tylko pomyśleć z goryczą, że tak mało wiary zostało w Izraelu! Zachowała na jednym z palców pierścień otrzymany od Essex, być może tylko dlatego, że jeszcze pasował, ale i to było symboliczne. Dla Gloriany życie już się skończyło, pozostały tylko smętne wspomnienia chwil wspaniałych, smutków i tragedii. Chciała umrzeć; ostatnia przysługa, jaką mogła oddać swemu ukochanemu krajowi, to umrzeć szybko. W jej otoczeniu uważano, że mogła być żywa, gdyby posłuchała się swych lekarzy; ale "władców nie można przymuszać" i nikt nie potrafił jej przekonać. Po spełnieniu ostatniego królewskiego obowiązku - po mianowaniu swym następcą Jakuba - skupiła myśli na sprawach nieba, radując się opieką swego duchowego lekarza, "czarnego małżonka", arcybiskupa Whitgifta. Po czym odwróciła się twarzą do ściany, zapadła w stupor i 24 marca 1603 roku między drugą a trzecią nad ranem spokojnie odeszła, tak jak "najwspanialsze słońce, które w końcu znika w zachodnim obłoku".

#### BIBLIOGRAFIA

Zestawiono tu książki wydane w języku polskim, pominięto natomiast prace drukowane w czasopiśmie naukowych (jak choćby W. Borowego, S. Kota i H. Zinsa).

#### I. EPOKA ELŻBIETY I NA TLE DZIEJÓW ANGLII I EUROPY

F. Braudel, Morze Śródziemne i świat śródziemnomorski w epoce Filipa II, Gdańsk 1976, t. III.

G. M. Trevelyan, Historia społeczna Anglii, Warszawa 1961.

G. M. Trevelyan, Historia Anglii, Warszawa 1963.

Z. Wójcik, Historia powszechna, XV-XVII wiek, Warszawa 1968.

A. Wyczański, Historia powszechna, koniec XV - połowa XVII wieku, Warszawa 1965.

H. Zins, Historia Anglii, Wrocław 1971.

#### II. PAŃSTWO - GOSPODARKA - SPOŁECZEŃSTWO - LUDZIE

Geneza nowożytnej Anglii, wyd. A. Mączak, Warszawa 1968.

K. Koranyi, Powszechna historia państwa i prawa, Warszawa 1966, t. III, rozdział IX i XIV.

A. F. Pollard, Henryk VIII, Warszawa 1979.

A. Szelański, Z dziejów współzawodnictwa Anglii i Niemiec, Rosji i Polski, Lwów 1910.

R. H. Tawney, Religia a powstanie kapitalizmu, Warszawa 1963.

J. Topolski, Narodziny kapitalizmu w Europie w XIVXVII wieku, Warszawa 1965.

H. Zins, Anglia a Bałtyk w drugiej połowie XVI w., Wrocław 1967.

### III. ANGLIA A POLSKA

W. Chwalewik, Polska w "Hamlecie", Wrocław 1956.

J. Dąbrowski, Polacy w Anglii i o Anglii, Kraków 1962.

U. Szumska, Anglia a Polska w epoce humanizmu i reformacji. Związki kulturalne, Lwów 1938.

H. Zins, Kopernik w angielskiej kulturze umysłowej epoki Szekspira, Wrocław 1972.

H. Zins, Polska w oczach Anglików XIVXVI w., Warszawa 1974. INDEKS

Abingdon 78 Afryka 232

Alba książę, Fernando Alvarez de Toledo 92, 142, 161, 169, 170, 174, 176, 179, 183, 185, 209, 217, 218 Aleksander Wielki 114, 133, 309 Ałençon książę, Franciszek de Yalois 207, 208, 217, 223-227, 229, 231- 234, 237-240, 243, 252, 269 Al Kasr al Kabir 232, 233 Allen William, kardynał 234, 235, 285, Napomnienie arystokracji i ludu Anglii... (Añ Admonition to the Nobility and People of England...) 281

Ambasadorzy i posłowie Angielscy

We Francji 134, 190, 208, 264, 305, 324, zob. także Throckmorton Nicholas

W Hiszpanii 112, zob. także Mañ W Niderlandach 76, 88, 92 W Rzymie 55 W Wiedniu 141 Obcy

Cesarscy 8, 70, 71, 74, 76, 134, zob. także Renard Francuscy 34, 36, 37, 44, 50, 85, 86, 127, 128, 137, 149, 153, 157, 166, 190, 206, 211, 219, 225, 230, 234, 239, 240, 246, 253, 254, 261, 264, 342, 343, 351, 358, 365 Hiszpańscy 70, 91, 92, 119, 135, 138, 144, 157, 162, 165, 168-171, 174-176, 182-184, 194, 218, 226, 239, 245-247, zob. także Feria, Mendoza, Quadra Mantuańscy 61

Polscy zob. Działyński, Kryski Szkoccy 156, 261, 262, zob. także Ross biskup Szwedzcy 70, 73 Wenecy 143, 332, 367

Wirtemberscy 132 Wzmianki ogólne 128, 132, 133, 148, 250, 322, 323

Amboise, spisek w 88, 92 Ameryka Południowa 233 Andegaweński książę, Franciszek zob. Alençon Andegaweński książę, Henryk zob.

Henryk III



Anglia, Anglicy passim Anjou księżę zob. Alençon i Henryk III  
Anna de Cleves (Kliwijska) 33 Antonio Don 287, 289 Antwerpia 110, 169, 220, 240,  
268 Aremberg hrabia 262 Argyll lady 130 Arran hrabia zob. Hamilton Artur, księżę Walii,  
mąż Katarzyny  
Aragońskiej 69  
Arundel Henry, hrabia 71, 161, 172 Arystoteles 17, 61 Ascham Roger 14-18, 53, 75,  
116,  
266, Nauczyciel (The Schoolmaster) 17 Ashley Kate 21-23, 25-27, 41, 48,  
49, 76, 79, 266 Ashridge 28, 35, 36 Ashton, kapelan 353 Aston 41  
Austria, Austriacy 134, 267 Aylmer John, biskup Londynu 15,  
28, 61 Azory 276, 289, 306, 307, 324, 326  
Babington Anthony 255-258, 262, 274 Bacon Anthony 311, 312, 315, 322, 323  
Bacon Francis, sir 297, 311-317, 327, 331, 333, 344, 345, 348, Eseje (Es - - says) 323

j

Bacon Nicholas, sir 15, 87-89, 107, INDEKS  
115, 116, 167, 168, 196, 202, 203,  
212, 266, 311, jego żona 311 Bacon Roger 344 Ballard John 254, 255 Barnard, zamek  
176 Bayard Pierre du Terrail de 123 Bazan Alvaro de 277 Beaufort Małgorzata, lady 13, 14,  
16, Złote zwierciadło dla grzesznej duszy (The Mirror oi Gold for the Sinful Soul) 13  
Bedford Francis, hrabia 71, 79, 130,  
131, 144-146, 151, 168 Bedford hrabina 113 Bedford hrabia zob. Russell Bedingfield  
Henry, sir 41, 42, 45 Bell Robert 138 Bendlowes, sędzia 194 Berwick 82, 84, 87, 151, 205,  
289, 359,  
367, traktat w 90, 94 Bili William 15 Biron Armand de Gontaut 365 Blois, traktat w  
209, 216 Blount Charles, lord Mountjoy 288,  
332, 333, 347, 348, 353, 359, 362,  
363 Blount Christopher, sir 336, 339, 340,  
350, 355  
Bodley Thomas, sir 311, 316 Boleyn Anna 5-12, 35, 50, 59, 68,  
138, 281  
Boleyn George 7, 9 Boleyn Mary 10 Bolingbroke 339 Bolton, zamek 155, 163 Bonner  
Edmund, biskup Londynu  
44, 196 Bothwell James Hepburn, hrabia  
146-150, 152, 159, 160, 186, 243 Bothwell Jean, hrabina 146, 147, 149 Boulogne 226

Brantome, Pierre de Bourdeilles 100 Brentford 77 Bretania 303, 318 Bristol 24, 199, 365 Brown William, sir 313 Browne Geraldine, lady 25 Bruksela 76 Bryan lady 11 Brytyjskie Wyspy 99, 119

Buchanan George 101, Detectio 186, Bullinger Henry 28, 57 Burghley lord zob. Cecil Thomas i

William Burton 253 Buxton 205, 242

Calais 51, 81, 82, 93, 106, 110, 111, 278, 320

Cambridge 16, 53, 196, 213, 266 Campion Edmund 235 Canterbury 239

Canterbury arcybiskupstwo 6, 43 Canterbury arcybiskupi zob. Cranmer, Parker, Whitgift Carew George, sir 328 Carey Robert, sir 289, 367, 368 Carlisle 155

Carlos Don 98, 116, 119, 121 Castiglione Baptista 47, 48 CateauCambresis, traktat w 81, 84, Cavendish panna 309 Caxton William 14 Cecil Robert, sir 129, 143, 279, 307,

309-312, 315-317, 322, 324, 325,

327-329, 332, 337, 342-345, 349-

-353, 357, 358, 364-368 Cecil Thomas, lord Burghley 310,

355, 357, 367

Cecil William, lord Burghley 15, 53, 61, 64, 73, 76, 77, 79-81, 84, 86-

-96, 99, 100, 105, 106, 110, 113, 114, 116, 122, 123, 129-137, 139, 142, 143, 151, 152, 154, 156, 158-160, 163-174, 177, 178, 180-182, 184-

-187, 196, 201, 202, 205, 206, 208, 209, 211-214, 216, 222, 224, 225, 228-231, 237, 238, 242, 258, 262, 264, 266, 269-272, 275, 277, 279, 281, 284, 293, 298, 302-304, 307, 308, 310-312, 315-317, 322, 324, 326, 328, 329, 331, 364

Cezimbra Road, port 363

Chartley 253, 255, 256, 258

Cheke John, sir 14-16

Cheke Mary, pierwsza żona Cecila 53INDEKS

Cheshunt 22

Chester 335

Chichester 108

Cobham Henry, lord 337, 358

Coke Edward, sir 314, 315, 346

Colet John 14, 60

Coligny Gaspard de 210

Compiègne 304  
Conde Louis, książę 106, 108, 110,  
111, 124, 165, 170 Cooke Anthony 53 Cooke Mildred, druga żona Cecila  
53, 310 Cooper Thomas, biskup Winchestera Coruna La 277, 289 Courtenay Edward,  
hrabia Devon  
32-34, 36, 40, 47-50, 72 Courtenay Henry, markiz Exeter, hrabia Devon 32 Coventry  
78, 176, 195, 249 Coventry rektor zob. Lever Cox Richard 15, 16 Cranmer Thomas,  
arcybiskup Canterbury 6, 8. 10 Creighton William 248 Croft James, sir 39, 84, 199, 301  
Cromwell Thomas, hrabia Essex 11,  
171, 172  
Cuffe Henry 353, 355 Cumnor Place 77 Cyceron 17, 19, 42, 75 Cyprian św. 17, 19  
Dacres Leonard 171, 177  
Daniel Jane 356  
Daniel John 356  
Darnley lord 121-131, 134, 135, 144  
-150, 152, 155, 158-160, 136, 188,  
212, 243 Dartmouth 307  
Davison William 262, 264, 265, 310 Dee John 47 Demostenes 17 Denbigh hrabstwo  
24 Denbigh hrabia zob. Dudley Robert Deptford 234 Derby hrabstwo 255 Derby hrabina 365  
Devereux Robert, drugi hrabia Essex 253, 287-290, 298, 300, 303- -306, 308, 310-317, 319-  
329, 331-359, 362, 364-368, jego brat 304, Apologia (Apology) 345  
Devereux Walter, pierwszy hrabia Essex 230  
Devon hrabstwo 36  
Devon hrabia zob. Courtenay  
Dieppe 106, 238  
Doncaster 144, 213  
Donnington Hali 36  
Dormer William, sir 41  
Dorset hrabstwo 279  
Dorset markiz zob. Grey Henry  
Dorset markiza 8  
Douai, seminarium w 234, 235, 281  
Dover 46, 184, 199, 226  
Dowe Matka 77, 136

Drake Francis, sir 169, 217, 233, 234, 270, 271, 275-279, 282, 286, 288, 289, 318, 320, 363, 367

Drummond William z Hawthornden Drunken Burley 79, 136 Dublin 332, 337, 341

Dudley Edmund 75 Dudley John, książę Northumberland

27, 28, 30, 49, 53, 75, jego syn 28

Dudley Robert, baron Denbigh i hrabia Leicester 74-80, 95, 100, 101, 103, 105, 113, 117, 119, 121-125, 128-130, 134-138, 142, 143, 151, 168, 171-174, 181, 182, 197, 200, 205-209, 211, 212, 214, 221, 222, 228-230, 237, 239, 243, 252, 261, 262, 266, 269-273, 279, 280, 283, 284, 287, 293, 308, 310, 317, 323

Dudley Robert, syn Leicesterera 309 Dunbar 149 Durham 176

Działyński Paweł, kasztelan dobrzyński 325 Działyński Paweł, syn kasztelana 325

Edward III, król Anglii 174

Edward IV, król Anglii 32

Edward VI, król Anglii 12, 15, 16,

19, 20, 23-28, 31, 54 Edynburg 92, 101, 123, 145, 147-149. INDEKS

157, 212, edynburski traktat 93,

97-99, 102, 104, 107, 108, 119, 144,

156 Egerton Thomas 196, 328, 342-348, Eltham 9 Elvetham 197

Elżbieta I, królowa Anglii *passim* Elżbieta de Valois, żona Filipa II 69, Elżbieta York, żona Henryka VII 59 Erazm z Rotterdamu 14 Eryk XIV, król Szwecji 70, 73, 74, 94, 98

Escobedo Juan de 221 Eskurial 282, 330 Essex hrabstwo 49 Essex hrabia zob. Cromwell Essex hrabiowie zob. Devereux Esse. i hrabina, żona Roberta zob.

Walsingham Frances Essex hrabina, żona Waltera zob.

Knollys Lettice Euklides 75 Europa 67, 82, 91, 98, 143, 164, 169,

214, 215, 233, 268, 296, 297, 312,

318”

Falmouth 326

Farnese Aleksander, książę Parmy 231, 262, 274, 277-280, 282

Ferdynand arcyksiążę 70

Ferdynand I, cesarz 70, 71, 74, 132

Feria Gomez Suarez de Figueroa, hrabia 52-54, 58, 61, 65-70, 73, 74, 76, 88

Ferrol 324, 326

Fife 89

Filip II, król Hiszpanii 32, 33, 35, 39, 40, 42, 43, 45-47, 50-52, 55, 56, 66-70, 72-74, 81-83, 88, 91-93, 119, 127, 144, 157, 164, 168-170, 179, 183, 184, 215-222, 226, 228, 232-234, 240, 242-245, 269, 271, 274-277, 282, 285, 287, 301, 303, 306, 314, 316, 324, 325, onn 330

Filip III, król Hiszpanii 360 Filip Neri św. 234 Firth of Forth 87, 89, 90

Fitton Mary 347

Flandria 46, 50, 103, 218

Fleming sędzia 316

Flushing 209

Fotheringhay, zamek 257-260

Foxe John, Księga męczenników

(Book of Martyrs) 212, 213

Franciszek, Delfin, późn. Franciszek II, król Francji 45, 67, 82-84, 93, 94, 97, 119, 122, 160

Francja, Francuzi 31, 32, 35, 44, 51, 55, 67-70, 74, 78, 81-84, 87, 88, 90-100, 105-108, 110, 112, 114, 117, 126, 127, 134, 135, 140, 142, 148, 150-153, 155-157, 162, 184, 166, 168, 170, 171, 180, 182, 207, 209-211, 216-221, 223, 231, 233, 237, 238, 240, 242-244, 246, 251, 252, 257, 267, 268, 287, 290, 303, 327, 328, 355

Frobisher Martin 278

Fryderyk II, król Danii 98

Galloway biskup 186

Gardiner Stephen, biskup i Lord Kanclerz 35, 37, 40, 43

Genewa 57, 290

Gifford Gilbert 253-255

Giggs Margaret 14

Gilbert Humphrey, sir 209, 294

Glasgow 146

Glencairn hrabia 95

Gloucester dziekan zob. Mań

Gloucester hrabstwo 23, 167

Granvelle Antoine Perrenot de, kardynał 88

Greenwich, pałac 5, 7, 8, 46, 47, 192

Grenville Richard, sir 306, 307

Gresham Thomas, sir 90, 93, 95, 110

Grey Catherine, lady 103, 104, 113, 116, 204  
Grey Henry, markiz Dorset 24  
Grey Jane, lady 15, 24, 28, 37, 53  
Grey z Wilton, lord 327, 342, 352  
Grindall William 15-17  
Grocyń William 14  
Grzegorz XIII, papież 215, 233, 236, 242, 243, 245  
Guise (Gwizjusze) 83, 88, 92, 97, 99, 106, 107, 113, 118, 165, 170, 207, INDEKS  
210, 211, 217, 219  
Guise Charles, książę, kardynał Lotaryngii 83, 146  
Guise Francois de Lorraine, książę 83, 106, 111, 112  
Guise Henri, książę 220, 243, 301, 350, 355  
Guise Maria, regentka Szkocji 83, 85, 87, 90, 92, 93, 146  
Habsburgowie 70, 134  
Hacket William 297  
Haddon Walter 15, 266  
Hales John 116  
Hamburg 170  
Hamilton James, hrabia Arran 83- 85, 94, 95  
Hamiltonowie 83, 125, 151, 153, 165  
Hampton Court 44-46, 85, 113, 159, 192, 248  
Hardwick Bess, z, hrabina Shrewsbury 243  
Harington John ze Stepney 205, on i jego żona 366  
Harington John, sir 201, 202, 204, 205, 334, 343, 349, 357, 358, 366  
Harington Mary 366  
Hartlepool 176  
Harwich 183  
Hatfield 8, 9, 25, 26, 28, 48-50, 52, 54, 55  
Hatton Christopher, sir 200-202, 228, 230, 242, 243, 271, 284, 285, 301, 308, 323  
Hawkins John, sir 169, 257, 275, 278, 318, 320  
Hawr 106, 110-112, 117  
Hayward John, Żywot Henryka IV  
(Life oi Henry IV) 339  
Heneage Thomas, sir 135, 136, 200

Henryk, kardynał, późn. król Portugalii 233

Henryk II, król Francji 55, 83

Henryk III, król Francji 182, 207, 208, 219, 223, 226, 237-240, 242, 262, 264, 301, 350, 355

Henryk z Nawarry, późn. Henryk IV, król Francji 130, 210, 252, 269, 301-306, 320, 327, 328, 355, 360, 365

Henryk VII, król Anglii 13, 55, 59,  
75, 121, 267, 268 Henryk VIII, król Anglii 5-16, 19-  
-21, 23, 29-32, 35, 39, 43, 50, 54, 58, 59, 65, 68, 69, 80, 103, 121, 138, 139, 229, 231,  
232, 267, 268, 275, 328

Herbert William, hrabia Pembroke 79, 137, 138, 173

Herbert William, sir 199

Herbert z Cherbury, lord 199

Hertford hrabstwo 77

Hertford hrabia zob. Seymour Edward

Hertford hrabina 204

Hiszpania, Hiszpanie 14, 36, 43, 45, 47, 52, 67, 82, 83, 88, 91-95, 98, 106, 112, 119, 126, 156, 157, 161, 162, 167-171, 180, 182, 190, 207, 209-211, 213, 215-221, 223, 233, 237, 240, 246, 248, 252, 257, 261, 265, 267, 268, 270, 274-282, 284-  
-286, 289, 301, 303, 306, 318-321, 324, 326-329, 332, 350, 352, 360, 363

Holendrzy zob. Niderlandy

Holsztyński książę 94

Holt, zamek 24

Howard Charles, lord Howard z Effingham, późn. hrabia Nottingham 239, 277, 278, 319-321, 326-  
-328, 351, 353

Howard Thomas, książę Norfolk 87, 90, 95, 113, 124, 135-137, 142, 158, 159, 171-  
175, 177, 182-185, 187-  
-190, 259, 264, 352

Howard William, pierwszy lord Howard z Effingham 40

Hume lord 95

Hunsdon Henry Carey, lord 9, 11, 120, 177, 178, 185, 205, 239, jego syn 205

Huntingdon hrabstwo 194

Huntingdon hrabia 113, 204, 288, jego żona 204

Huntly hrabia 101  
Indie Wschodnie 276, 307 Indie Zachodnie 271, 324 Irlandia, Irlandczycy 84, 140, 202, HINDEICS  
204, 207, 220, 232, 233, 236, 269, 279, 287, 306, 328, 332-334, 336, 337, 339, 341, 343, 347, 348, 355, 360, 362  
Islington 335  
Isokrates 17  
Italia zob. Włochy  
Izabela Kastylska 14  
Jackman Sampson 36 Jakub VI, król Szkocji 130, 131, 140, 144, 145, 150, 155, 158, 160, 180-  
-182, 186 187, 192, 243-246, 250, 252, 261, 264, 265, 269, 302, 347, 348, 350, 351, 363, 364, 368  
James lord 95  
Jan, brat Eryka XIV 73  
Jewel John, biskup Salisbury 108, 142  
John ap John 274  
Jonson Ben 206  
Juan Don 182, 219-222, 231  
Kadyks 276, 277, 319-322, 324, 326, Kalwin Jan 61, 290 Kanał Angielski 161, 164, 218, 275,  
278, 279, 303 Karol, arcyksiążę austriacki 70, 71,  
73, 74, 82, 98, 116, 132, 134-137,  
141-144, 206, 207, 226, 229 Karol I, król Anglii 257 Karol V, cesarz 12, 32, 34, 36, 44, 132 Karol IX, król Francji 97, 106, 116,  
127, 134, 135, 155, 166, 180, 190,  
206, 210, 218 Katarzyna Aragońska 5-10, 12, 14,  
15, 34, 35, 50, 69 Katarzyna Medycejska 97, 111, 127,  
134, 147, 207-210, 216, 218, 219, 237, 238, 264, 301 Kenilworth 197, 199, 283 Kent hrabstwo 36, 321 Kent hrabia 263 Kinsale 360, 362, 363 Kircaldy William z Grange 95 Kirk o'Field 147 Klemens VII, papież 6 Knollys Francis, sir 154, 155, 157, 159-162, 166, 230, 287, 288  
Knollys Lettice 230, 271, 324 Knollys William, sir 328, 333, 335, 350 Knox John 61, 62, 64, 83, 85, 98-102, 118, 119, 125, 128, 152, 179, Pierwsze surmy przeciw potwornym



rządom kobiet (The First Blast of the Trumpet against the Monstrous Regiment of Women)  
61, 86

Kondeusz zob. Conde Kornwalia 261, 318 Kryski Wojciech 46

Lambarde William 359, 360

Latimer Hugh, biskup Worcester 27

Lea Thomas 352, 355

Leicester hrabia zob. Dudley Robert

Leicester hrabina zob. Knollys Lettice

Leinster 336-338

Leith 87, 92-94, 100

Lennox hrabia 121, 122, 125, 148, 165

Lennox Margaret, hrabina 35, 121, 122, 124, 125

Lennoxowie 121, 122, 125

Lepanto, bitwa pod 219, 275

Leslie John, biskup Ross 160, 161, 181, 182, 184

Lethington zob. Maitland

Lever Thomas, rektor Coventry 78

Leveson Richard, sir 363

Lillingstone Lovell 294

Linacre Thomas 14

Liwiusz 17

Lizard, półwysep 278

Lizbona 276, 289, 363

Loch Leven 149, 160, 163, 244, 263

Londyn 8, 23, 25, 28, 30, 31, 33, 35-37, 40, 42, 43, 45-48, 55-57, 59, 60, 90, 101, 107,  
112, 113, 117, 119, 121, 159, 165, 173, 174, 182, 183, 192, 193, 195, 225-227, 248, 252, 256,  
259-261, 264, 280, 282, 283, 286, 292, 293, 297, 307, 335, 341, 342, 344, 346, 349-352, 357,  
359

Londynu biskup 179, 291, zob. także Aylmer, Bonner, Sandys INDEKS

Lopez Roderigo, doktor 315, 316 Lotaryngii kardynał zob. Guise  
Charles

Ludwik XIV, król Francji 287 Lyon 210

Machiavelli Niccoló 344

Madryt 168, 184

Magellana Cieśnina 233  
Maitland William z Lethington 95, 99, 101-108, 117, 119, 123-125, 128, 129, 145, 159, 179, 180  
Maksymilian II, cesarz 132-135, 137, 141, 143, 179  
Małgorzata, matka Henryka VII zob. Beaufort  
Małgorzata de Valois 210  
Małgorzata Nawarska, Zwierciadło grzesznej duszy (Le Miroir de l'ame pecheresse)  
15  
Małgorzata Tudor 121  
Manchester 296  
Mań John, doktor 167-170  
Manners Roger 368  
Maria Stuart, królowa Szkocji 35, 45, 55, 67, 68, 82, 83, 88, 93, 94, 97-109, 112, 113, 116-131, 134, 135, 140, 142-165, 168, 170-176, 179-184, 186-192, 199, 206, 207, 209, 211, 212, 215, 216, 220, 231, 238, 241-247, 249-265, 295, 301, 352  
Maria Tudor, królowa Anglii 5, 8, 10-15, 19, 20, 27, 28-54, 56, 57, 65, 67-69, 72-75, 80, 82, 83, 88, 104, 139, 143, 171, 187, 205, 213, 226, 234, 237, 254, 268, 365  
Marnock, paż Elżbiety 118  
Marprelate Martin 296  
Martyr Piotr 57  
Matylda, królowa Anglii 5  
Maurowie 219  
Maxwell 95  
Mechelen 90  
Mediolan 226  
Melancton Philipp, Loci Communes 17  
Melville James, sir 120-122, 131, 145  
Mendoza Bernadino de 221, 233, 247, 282  
Morę Margaret i jej siostry 14 Morę Tomasz, sir 14, 15 Mount j oy zob. Blount  
Charles Munster 337 Murray hrabia zob. Stuart James  
Nassau hrabia zob. Wilhelm Orański  
Neron 233  
Neville'owie 165, 175, 177

Niderlandy, Holendrzy 69, 90, 91, 142, 143, 156, 157, 161, 167-170, 177, 184, 209, 215-223, 225, 231, 232, 234, 238-240, 245, 248, 252, 268-273, 278. 281, 287, 290, 306, 312, 320, 325, 327, 328, 332, 360

Niemcy 98, 132, 135, 164, 281

Nonsuch, pałac w Surrey 341

Norfolk hrabstwo 174, 183, 194

Norfolk książę zob. Howard

Norfolk księżna 8, 79

Norham, zamek 175

Normandia 301, 303

Normanowie 5

Norris John, sir 204, 286, 288, 289

Norris lady i jej synowie 204

Northampton hrabstwo 257

Northampton markiz 56, 138

Northumberland hrabia 171, 175, 177

Northumberland hrabina 172, 175

Northumberland książę zob. Dudley John

Northumbria 127

Norton Richard 175

Norton Thomas, współautor tragedii Gorboduc 187, 188, 238, 238

Norwegia 150

Norwich 172, 195, 199

Norwich biskup 296

Nottingham hrabia zob. Howard Charles

Nottingham hrabina 367

Noweli Alexander, doktor 203

Nowy Świat 169

Oatlands 46

Oksford 14, 49, 77, 196, 316 Oksford hrabstwo 41 Oksford hrabia 269, 308 O'Neil Hugh, hrabia Tyrone 332-334, 336, 338-343, 352, 357, 362, 366INDEKS

Orański książę zob. Wilhelm Orański Orlean 210

Pacyfik 233

Padwa 50, 72

Paget William, sir 34-36, 40, 45

Parker Mathew, arcybiskup Canterbury 15, 86, 153, 211, 242, 266, 294 Parmy książę  
zob. Farnese Parr Katarzyna 12, 15, 16, 20-22,  
25, 56

Parry Blanche 300 Parry Thomas, sir 23, 25, 26, 41, 42,  
54, 74, 84

Parry William, doktor 251 Parsons Robert 235, 265 Paryż 31, 92, 111, 190, 210. 213,  
251,  
282, 301, 350 Paulet Amias, sir 252-254, 257, 260-  
-262

Paweł św. 13 Paweł IV, papież 54, 68 Pembroke hrabia zob. Herbert William  
Penshurst 202 Penzance 318-Percy'owie 165, 175. 177 Perth 83

Peterborough dziekan 263 Phelippes Thomas 254-256, 312 Pickering, handlarz bronią  
351 Pickering William, sir 71, 72 Pilkington James 15, 266 Pistor Tristram 295 Pius IV,  
papież 126, 127 Pius V, papież 157, 179, 182, 183, 260, Plymouth 36, 276, 278, 288 Pole  
Reginald, kardynał 43, 44, 51, Polska, Polacy 46, 325 Ponet Johh, biskup Winchestera 15  
Pope Thomas, sir 49 Portsmouth 112, 183, 307 Portugalia 232, 233, 287, 289, 290, 302  
Posłowie zob. ambasadorzy Puckering, Lord Strażnik 197

Quadra Alvaro de la, biskup Aguila 73, 76-78, 103, 112

Radcliffe Meg 358

Raleigh Walter, sir 201, 287, 288,  
307-310. 320, 324, 326, 337, 342,  
345, 352, 353, 357, 358 Randolph Thomas 78, 94, 99, 101,  
102, 106, 117-119, 123, 126, 130,  
300 Renard Simon, ambasador cesarski  
32-35. 37, 39, 40, 45, 67

Riccio David 124, 125, 128-131, 144-  
-146

Riccio Joseph 131 Richmond 41, 192, 259, 260, 367 Richmond książę 10, 12 Rich  
Penelope, lady 332, 343, 345,  
348, 349, 353 Ricote 41

Ridley Nicholas 15 Ridolfi Roberto 179, 182-184, 186,  
188, 193, 207, 215, 217, 241 Robsart Amy 75-78, 80, 95, 136, jej przyrodni brat 136

Rochester 239 Rogers John 44 Ross biskup zob. Leslie Ross hrabia zob. Darnley Rouen 111,

303-305, 308, 311 Rudd Anthony, biskup St. David's Russell John, hrabia Bedford 23 Russell  
lady 343 Ruthven Patrick lord 130 Ryszard II, król Anglii 339, 350, 359 Rzym 6, 34, 44, 55,  
82, 179, 184, 215,  
216, 234, 248, 249, 251, 282 Rzymianie 49  
Sabaudia 106  
Sabaudzka księżna 225  
Sabaudzki książę 50, 128  
Sadler Ralph, sir 158  
Salisbury biskup zob. Jewel  
Sandwich 195, 239  
Sandys Edwin, biskup Londynu 211  
Santa Gruz markiz zob. Bazan  
Savage John 255  
Scilly. wyspy 24  
Scrope Henry, lord 177  
Scrope lady 347 INDEKS  
Scytowie 285  
Sebastian I, król Portugalii 233  
Seymour Edward, książę Somerset i Lord Protektor 20, 21, 23-27,  
53, 75, 103 Seymour Edward, hrabia Hertford  
103, 197, 198, 204 Seymour Thomas, lord Seymour z Sudeley 16, 19-27, 72, 75,  
352, Sheffield lady 230 Sheffield, zamek 241 Shelton pan 11 Shrewsbury 184, 199  
Shrewsbury George, hrabia 163, 174,  
187, 241, 243, 246, 252, 255, 301 Shrewsbury hrabina zob. Hardwick  
Bess, z  
Sidney Henry, sir 107-109, 202 Sidney Robert, sir 324, 326, 327, 342 Simier Jean,  
baron de SaintMarc  
224, 226, 229-231, 243 Sluys, twierdza 287 Smith Thomas, sir 15, 214, 266 Sofokles  
17, 19 Solway Firth 153 Somerset książę zob. Seymour  
Edward  
Southampton 42, 199 Southampton Henry, hrabia 335, 336,  
338, 340, 341, 347, 348, 350, 352,  
355, jego żona 335, 343 Southwell pani 309 Stafford 199  
Stafford hrabstwo 252, 253 St. Andrews 89

Stanisław August Poniatowski 325 Stanton St. John 41 Stirling 125, 148 St. Julian's 199 Strasburg 17 Stuart Arabella 364 Stuart Esme, księżę Lennox 243 Stuart Henry zob. Darnley Stuart James, hrabia Murray 99, 101, 102, 123, 125, 127-131, 146, 150, 154, 156, 158-161, 163, 165, 170, 171, 177, 179, 180, 186, 212 Stuart Maria zob. Maria Stuart Stubbs John 228, Odkrycie ziejącej przepaści... (The Discovery of a Gaping Gulf...) 226, 227 Stukely Thomas, sir 232, 233 Sturm Jacob 17, 18 St. Vincent, przylądek 276 Sudeley lord zob. Seymour Thomas Suffolk 136 Suffolk hrabstwo 194 Suffolk księżna 35 Sussex 257 Sussex Henry, hrabia 38 Sussex Thomas, hrabia 79, 135, 136, 141, 142, 158-160, 175-177, 180, 181, 224 Sykstus V, papież 260, 267, 274, 276, 282 Syria 285 Szekspir William 335, 350, Henryk IV (King Henry the Fourth) 274 Szkocja, Szkoci 77, 78, 81, 82, 84-88, 90-93, 97-100, 103, 107, 109, 110, 117, 119, 120, 122-125, 127-129, 134, 135, 140, 142, 143, 145, 146, 148, 151, 152, 155, 157-159, 161, 163-165, 172, 176, 177, 179, 180, 183, 184, 186, 187, 209, 212, 218, 237, 240, 243-246, 248, 249, 261, 264, 265, 268, 279, 359, 364, 365, 368 Śródziemne Morze 275 Tamiza 5, 58, 240, 350, 351 Theobalds 308 Throckmorton Elizabeth 308, 309 Throckmorton Francis 246-248, 254 Throckmorton Nicholas, sir 40, 53, 78, 79, 88, 92, 98, 99, 105-108, 110, 124, 125, 151, 152, 171, 174, 247, 308 Tilbury 279-281, 283 Topcliff 175 Totnes 79

Trafalgar 219  
Trajan 56  
Trypolis 93  
Tudor Maria zob. Maria Tudor  
Tudorowie 15, 53, 122 Turcy 154, 219, 233 INDEKS  
Tutbury 163, 176, 251, 253 Tyrone hrabia zob. O'Neil Tyrwhitt Robert, sir 25-27,  
jego żona 26, 27  
Ulrich Leon 335  
Ulster 332, 334, 336, 337, 339, 340  
Vassy 106  
Vavasour Annę 308 Vavasour pan 309 Verney Francis 41, 42, 48, 49 Vives Luis, Plan  
studiów dla dziewcząt (Plan of Studies for Girls) 14 Walezjusze 301  
Walia 23, 36, 261, 321, 339, 348 Walker, właściciel domu 297 Walsingham Francee  
355, 356 Walsingham Francis, sir 201, 213- -215, 217, 221-225, 228, 230, 237, 240-242, 246-  
248, 253-256, 258, 262, 266, 269, 271, 277, 279, 280, 284, 285, 289, 293, 294, 296, 300, 301,  
310  
Warszawa 325  
Warwick 195  
Warwick hrabstwo 248  
Warwick Ambrose, hrabia 177, 300  
Warwick hrabina 359  
Wenecja 30, 44, 58, 321, 367  
Wensleydale 156  
Wentworth Paul 139  
Wentworth Peter 189, 190, 294-296, 299, 301, Zwięzłe pouczenie dla Jej Królewskiej  
Mości (A Pithy Exhortation to her Majesty) 298  
Westmorland Charles, hrabia 171, 174, 175  
Westmorland hrabina 175  
West Wycombe 41  
Wheatley 41  
White John, biskup Winchesteru 56,  
57 Whitgift John, arcybiskup Canterbury 203, 292, 293, 296, 297, 368 Wiedeń 133,  
142 Wight, wyspa 278 Wiktoria, królowa Anglii 308 Wilhelm Orański, hrabia Nassau 217,  
248, 252, 332 Williams John, lord Williams z

Thame 41

Williams Roger, sir 288, 289 Willoughby de Eresby Peregrine, lord 301, 302, 359

Wilson Thomas, doktor 15, 222, 266 Winchester 42 Winchester markiz 213

Winchesteru biskup zob. Cooper, Ponet, White Windsor 41, 135, 192 Wingfield 262

Winter William, sir 87, 89, 90 Wirtemberski książę 132 Włochy, Włosi 129, 164, 182, 217,

220, 232, 233, 324 Woodstock 41, 45, 171 Worcester 195, 199 Worcester biskup zob.

Latimer Worcester Edward, hrabia 350 Wriothesley Thomas, sir 12 Wyatt Thomas, sir 36-40, 43, 49, York 108, 158-160, 171, 199, 355 York hrabstwo 175, 176, 249

Zelandia 279

Zygmunt II August, król Polski 46

Zygmunt III Waza, król Polski 325

## SPIS ILUSTRACJI

### BARWNE

1. Henryk VIII, mai. Hans Holbein, zamek Howard.
2. Anna Boleyn, mai. nieznany, National Portrait Gallery, Londyn.
3. Maria Tudor, mai. Antonio Moro, Victoria and Albert Museum, Londyn.
4. Edward VI, mai. nieznany, własność królowej Elżbiety II, zamek Windsor.
5. Elżbieta w wieku około lat dwunastu, mai. nieznany, własność królowej Elżbiety II, zamek Windsor.
6. Elżbieta, portret koronacyjny, mai. nieznany, zamek Warwick.
7. William Cecil, lord Burghley, mai. Marcus Gheeraerst, Burghley House.
8. "Astrea", czyli alegoryczny sąd Parysa, mai. nieznany, własność królowej Elżbiety II, Hampton Court.
9. Elżbieta, "Portret z feniksem", mai. Nicholas Hilliard ok. 1575, National Portrait Gallery.
10. Henry Stuart, lord Darnley, i jego brat Charles Lennox, przyp. mai. Hans Eworth, własność królowej Elżbiety II, Holyroodhouse, Edynburg.
11. Elżbieta niesiona przez dworzan do Blackfriars, przyp. mai. Robert Peake ok. 1600, przedstawia królowa o wiele młodszą, zamek Sherborne.
12. Elżbieta, "Portret z gronostajem", przyp. mai. WilUam Segar ok. 1585, Hatfield House.
13. Robert Dudley, hrabia Leicester, mai. nieznany, ok. 1575, National Portrait Gallery.



14. Robert Devereux, hrabia Essex, mai. Marcus Gheeraerts młodszy, Longleat House.
15. Elżbieta, "Portret z tęczą", przyp. mai. Isaac Oliver ok. 1600, Hatfield House.
16. Jakub I, mai. John de Critz, Loseley Park.

#### BIAŁOCZARNE

1. Henryk VII z sarkofagu Piętro Torrigiano w Opactwie Westminsterskim.
2. Elżbieta York, żona Henryka VII z sarkofagu Piętro Torrigiano w Opactwie Westminsterskim.
3. Henryk VIII ze swymi dziećmi - obraz alegoryczny, dowodzący wyższości sukcesji protestanckiej, malowany za panowania Elżbiety, zamek Sudeley.
4. Anna Boleyn, przyp. rys. Hans Holbein, National Portrait Gallery.
5. Katarzyna Paar, przyp. mai. William Scrots, National Portrait Gallery.
6. Thomas Seymour, portret pośmiertny, Harding.
7. Edward Seymour, książę Somerset, mai. nieznaną, British Museum.
8. Edward Courtenay, hrabia Devon.
9. Roger Ascham.
10. Thomas Parry.
11. Kate Ashley.
12. Elżbieta w młodym wieku, rys. Federico Zuccaro, British Museum.

#### ILUSTRACJI

13. Filip II, mai. Sanchez Coello, Muzeum Prado, Madryt.
14. Eryk XIV, mai. Steven van der Muelen, zamek Gripsholm, Szwecja.
15. Sir Thomss Gresham, mai. nieznaną, wł. The Gresham Committee.
16. Sir Nicholas Bacon, mai. nieznaną, National Portrait Gallery.
17. Sir Nicholas Throckmorton, mai. nieznaną, National Portrait Gallery.
18. Maria Stuart, mai. nieznaną, St. Mary's College, Blairs, Aberdeen.
19. John Knox, sztych T. Beza. 1580.
20. John hrabia Bedford, rys. Hans Holbein młodszy, własność królowej Elżbiety II, Windsor.
21. Elżbieta, szkic do Wielkiej Pieczęci Irlandii, rys. Nicholas Hilliard.
22. Arcyksiążę Karol Habsburg, Mary Evans Picture Gallery.
23. Papież Pius V, Gabinet Rycin Uniwersytetu Warszawskiego.
24. Katarzyna Medycejska, medal rzeźb. Germain Pilon.
25. Henryk III Walezy, król Polski i Francji, mai. Martin de Vos, Zbiory Zamoyskich, Warszawa.

26. Henryk IV z Nawarry, rys. Pierre du Monstrier.
27. James Stuart, hrabia Murray, mai. nieznany, Scottish National Portrait Gallery.
28. Hrabia Shrewsbury, mai. nieznany, National Portrait Gallery.
29. Hrabina Shrewsbury, mai. nieznany, Hardwick Hall.
30. Fernando Alvarez de Toledo, książę Alba, Gabinet Rycin Biblioteki Narodowej, Warszawa.

31. Wilhelm Orański, Gabinet Rycin Biblioteki Narodowej, Warszawa.
32. Thomas Howard, książę Norfolk, mai. Hans Eworth.
33. Franciszek książę Alençon, Bibliothèque Nationale, Paryż.
34. Sir Christopher Hatton, mai. nieznany, National Portrait Gallery.
35. Papież Sykstus V, Gabinet Rycin Biblioteki Narodowej, Warszawa.
36. Henry Wriothesley, hrabia Southampton, mai. nieznany, Welbeck.
37. William Shakespeare, mai. nieznany, National Portrait Gallery.
38. Elżbieta, wg rys. Isaaca Olivera sztych Crispin van de Passę.
39. Sir Walter Raleigh, mai. nieznany, Williamsburg, Stany Zjednoczone.
40. Sir Francis Drake, mai. nieznany, National Portrait Gallery.
41. Sir Francis Walsingham, mai. John de Critz starszy, National Portrait Gallery.
42. Sir Richard Grenville, sztych Willem i Magdalena van de Passę (1620).
43. Robert Cecil, hrabia Salisbury, mai. John de Critz starszy, Hatfield House.
44. Elżbieta w podeszłym wieku, rys. nieznany, National Portrait Gallery.
45. Sir Francis Bacon, przyp. mai. Abraham Blyenberch, Łazienki, Warszawa.
46. Charles Blount, baron Mountjoy, hrabia Deyon, mai. nieznany, Mapledurham.
47. John Whitgift, mai. nieznany, University Library, Cambridge.
48. Głowa Elżbiety - rzeźba niesiona w kondukcje pogrzebowym.

## SPIS RZECZY

Rozdział pierwszy POCZĄTKI 5

Rozdział drugi EPIZOD Z SEYMOUREM 19

Rozdział trzeci EKSPERYMENT: KOBIETA NA TRONIE 30

Rozdział czwarty TRON 52

Rozdział piąty PROBLEM MAŁŻEŃSTWA 67

Rozdział szósty PIERWSZE KROKI NA ARENIE MIĘDZYNARODOWEJ

Rozdział siódmy MARIA, KRÓLOWA SZKOCKA 97

Rozdział ósmy PROBLEM SUKCESJI 110

Rozdział dziewiąty ZNOWU SPRAWA MAŁŻEŃSTWA 127

Rozdział dziesiąty ZAMORDOWANIE DARNLEYA 144  
Rozdział jedenasty REBELIA NA PÓŁNOCY 163  
Rozdział dwunasty SPISEK RIDOLFIEGO 179  
Rozdział trzynasty "ŁASKAWOŚĆ ICH WŁADCY" 192  
Rozdział czternasty NAMIĘTNOŚCI RELIGIJNE I POLITYKA 206  
Rozdział piętnasty OSTATNIA PRÓBA MAŁŻEŃSTWA 222  
Rozdział szesnasty TRAGEDIA MARII 241  
Rozdział siedemnasty WOJNA 266  
Rozdział osiemnasty NIESPOKOJNI PODDANI 284  
Rozdział dziewiętnasty ESSEX 300  
Rozdział dwudziesty NATURA NIEUJARZMIONA 318  
Rozdział dwudziesty pierwszy ESSEX: NEMEZIS 331  
Rozdział dwudziesty drugi ODEJŚCIE KRÓLOWEJ 355  
BIBLIOGRAFIA 369

INDEKS 370

SPIS ILUSTRACJI 380 PRINTED IN POLAND

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1981 r.

Wydanie pierwsze

Nakład 30 000 + 320 egz. Ark. wyd. 27,3 Ark. druk. 24

Papier druk. mat. kl. III 80 g. 61X8616

Oddano do składania we wrześniu 1980 r.

Podpisano do druku w styczniu 1981 r.

Druk ukończono w marcu 1981 r.

Wrocławskie Zakłady Graficzne, Zakład Główny

Wrocław, ul. Cławska 11

Nr zam. 1390/80 O-131

Cena zł 115